

Wizja Polski na łamach Kultury 1947-1976

Wizja Polski
na łamach
Kultury
1947-1976

★

Wizja Polski
na łamach
Kultury
1947-1976



Wizja Polski na łamach Kultury 1947-1976



**Do druku przygotowała,
wstępem,
przypisami i indeksem opatrzyła
Grażyna Pomian**

**Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu
Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej
Lublin 1999**

Redakcja: Elżbieta Muszyńska, Irena Pielak

Projekt okładki i stron tytułowych: Jerzy Durakiewicz

Skład: „Bez Erraty” Joanna Dyszczyk

© Instytut Literacki, Paryż

Pozycja dotowana przez

Komitet Badań Naukowych

ISBN 83-227-1170-0

ISBN 83-86907-19-3

Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej

Pl. Marii Curie-Skłodowskiej 5, 20-031 Lublin

tel. (0-81) 537-53-02, 537-53-04

Internet: <http://press.umcs.lublin.pl>

Między legendą a historią



„Cokolwiek powie o nas kiedyś Historia – zespołowi
Kultury nikt nie postawi zarzutu »zdrady klerków«”

Juliusz Mieroszewski

W 1989 roku do czytania „Kultury” przyznawała się prawie cała opozycja. Nawet ci, którzy nigdy nie mieli jej w ręku, a może nawet przedtem o niej nie słyszeli, wszem i wobec głosili, że wychowali się na „Kulturze”. Dziś ta moda minęła, ale nadal wiele osób jest przekonanych, że doskonale znają pismo z Maisons-Laffitte, choć je czytają od przypadku do przypadku. Bez względu na faktyczną znajomość „Kultury”, zarówno bieżących numerów, jak i starych roczników, każdy czuje się upoważniony do ferowania o niej ocen, tym bardziej że pismo Jerzego Giedroycia wyzwała nieustannie polemiki. Ma swoich wiernych czytelników, ma wielu wielbicieli, ale ma dziś, jak miało ongiś na emigracji, zdecydowanych przeciwników politycznych. Wśród krytycznych ocen i zarzutów, jakie padają pod adresem „Kultury”, jeden nie padł nigdy: że jest to pismo miłą i letnie.

Abstrahując od krążących opinii, warto zadać pytanie podstawowe: czy „Kultura” istniejąca od 1947 roku na emigracji i dopiero od 1989 roku mająca legalny dostęp do kraju mogła być pismem systematycznie czytany przez liczącą się grupę czytelników? Odpowiedź jest negatywna. Zdecydowały o tym co najmniej trzy czynniki: polityczny, materialny i psychologiczny.

Przez wiele lat dostęp do „Kultury” był niezwykle utrudniony. Mimo zabiegów ze strony potencjalnych czytelników, zabiegów wymagających niekiedy sporo wysiłku i odwagi, „Kultura” pozostawała artykułem rzadkim i mało dostępnym. Większość Polaków, w tym inteligentów, znała ją bardziej ze słyszenia niż z czytania.

Ważnym źródłem informacji, choć niebezpiecznym, była oficjalna propaganda. Przez czterdzieści lat trwała walka z „Kulturą”, zmieniała się jedynie jej forma. Najostrzejsze ataki przypadały na okres Bieruta i Gomułki.¹ Od lat siedemdziesiątych

¹ Z licznych obelg, jakimi obrzucano „Kulturę”, przypominam trzy: „Emigrancko-białogwardyjska zgnilizna, faszystowsko-katolicka »Kultura«” (J. Cyrankiewicz, 1950, „Trybuna Ludu”); „Ci spod znaku czarnej »kultury«, zwolennicy rehabilitacji esesmanów, teoretycy

krytyką „Kultury” zajmowali się prawie wyłącznie dziennikarze i partyjni politolodzy, nie zdarzały się natomiast publiczne wystąpienia dygnitarzy. Propagandowa ofensywa pozostawiła trwale ślady, nawet u tych, którzy uważali się za przeciwników komunistów. Niekiedy jednak wywoływała skutek przeciwny od zamierzonego: komuniści zwalczają „Kulturę”, a zatem jest to pismo ważne i warte czytania.

W utrwalaniu legendy „Kultury” znaczną rolę odegrały restrykcje polityczno-policyjne. Przede wszystkim wyroki sądowe.² Ale były tylko jedną z form represji. Ich propagandowy efekt był także dwuznaczny: na jednych działał zastraszająco, u innych wyzwał bunt. Mieć w ręku „Kulturę” czy książkę z Maisons-Laffitte, które policja ścigała z równą gorliwością jak zbrodniarzy pospolitych, już było wyzwaniem rzucanym władzy. Wielu to wyzwanie podejmowało, nie licząc się ze skutkami: jedni z zakorzenionego odruchu sprzeciwu, inni z zaciekawienia.

Linia postępowania instytucji państwowych wobec wydawnictw emigracyjnych była funkcją instrukcji partyjnych, które zmieniały się zależnie od krajowej sytuacji politycznej. W pierwszym, powojennym okresie walka z pismami emigracyjnymi ustępowała wobec walki z realnym przeciwnikiem w kraju. Działały jeszcze inne czynniki: umizgi do emigracji, którą namawiano do powrotu, istnienie wielu instytucji nie opartych jeszcze przez komunistów. Mimo więc partyjnych okólników napływ literatury emigracyjnej odbywał się bez większych trudności.³ Od 1948 roku sytuacja zaczyna się zmieniać; Polska zamyka się nie tylko przed literaturą emigracyjną. W okresie triumfującego totalitaryzmu, pomijając rzadkie przypadki, „Kultura” nie miała żadnego dostępu do czytelnika krajowego.

Stosunkowo najlepsza sytuacja zaistniała w okresie 1955–1958. Co prawda „Kultura” nadal nie miała debitu krajowego, ale kontrola uległa niesłychanemu rozluźnieniu, gdziekolwiek w ogóle jej nie było. Pod wpływem żądań studentów zmieniono przepisy biblioteczne; poczta ponownie zaczęła dostarczać „Kulturę” i książki, o których większość czytającej publiczności nie miała nawet pojęcia, że istnieją; tu i ówdzie zaczęły się ukazywać wzmianki o „Kulturze”, jeśli nie pozytywne, to neutralne, co Redakcja starannie odnotowywała; liczne podróże na Zachód przyczyni-

niosący światu wojnę” (J. Broszkiewicz, 1954, „Przegląd Kulturalny”); „Ludzie z »Kultury«, są po prostu garstką sprytnych facetów, dla których wszystko, co polskie stało się już w gruncie rzeczy zupełnie obce” (W. Górnicki, 1964, „Życie Warszawy”).

Warto przypomnieć, że tuż po wprowadzeniu stanu wojennego wydano w PRL afisz: drzewo zdrady narodowej, na którym obok działaczy krajowej opozycji honorowe miejsce zajmowali: Jerzy Giedroyc i Gustaw Herling-Grudziński. Por. S. Blumsztajn: *Obecność*, [w:] „Kultura” i jej krąg. *Les Amis de „Kultura”*, Paryż 1988, reprint wydany w kraju, Lublin 1995.

² W okresie panowania Gomułki za kontakty z Instytutem Literackim oraz za przewożenie „Kultury” skazano ogółem osiem osób. Najniższy wyrok wynosił półtora roku, najwyższy – trzy i pół. Za Gierka z tych samych powodów skazano trzy osoby, z podobnymi wyrokami.

³ M. Dąbrowska, pod datą 17 XII 1947 zanotowała: „Najpierw przyszedł listonosz (p. Antoni, który jeszcze przed wojną na Flory Jerzemu Stemp[owskiemu] pocztę nosił) i przyniósł „Kulturę”, miesięcznik wydawany na emigracji. O wiele lepszy poziom niż Grydzewskiego” (*Dzienniki, Czytelnik*, Warszawa 1996).

ły się do upowszechnienia „Kultury”. Nie ulega wątpliwości, że efektem zmian październikowych było zaistnienie „Kultury” w świadomości społecznej, przynajmniej inteligencji.

Okres limitowanych swobód trwał jednak krótko i zakończył się procesem Hanny Rewskiej. Skazano ją na półtora roku więzienia za kontakty z Instytutem Literackim i przewożenie „Kultury”. Za kratami znalazła się osoba i książka, nosicielka wolnego słowa.

Proces Rewskiej rozpoczął ponowny okres restrykcji skierowanych przeciw literaturze emigracyjnej. Zaostrzeniu uległa przede wszystkim kontrola celną. Na poczcie i na przejściach granicznych „Kultura” i książki w szarych okładkach były najbardziej poszukiwanym towarem przez celników. Ich przywożenie było karane co najmniej zakazem wyjazdu za granicę.

Nastąpiło również zaostrzenie przepisów bibliotecznych. Bibliotek, które miały prawo prenumerowania literatury emigracyjnej, nie było zresztą wiele. Wedle nowych przepisów łatwiej wydawano czytelnikom zezwolenie na czytanie powieści i periodyków literackich niż na książki i czasopisma polityczno-społeczne. Poza kryterium politycznym stosowano również kryterium osobowe. Autor–emigrant, którego publiczne zachowanie wobec PRL było nienaganne, miał łatwiejszy dostęp do czytelnika niż jego kolega manifestujący swoje poglądy polityczne. Do literatury „zakazanej” łatwiejszy dostęp mieli samodzielni pracownicy naukowi niż asystenci, a tym bardziej studenci, nie mówiąc już o przeciętnym obywatelu PRL.

Publikacje Instytutu Literackiego były na zaostrzonym indeksie, szczególnie „Kultura”. Uzyskanie zezwolenia na jej czytanie wymagało niemałego zachodu: uzasadnienia, że jest niezbędna do przygotowania prowadzonej pracy naukowej, uzyskania poparcia profesora oraz zgody władz wyższych, niekiedy sięgających szczebla ministerstwa. Biblioteki specjalistyczne miały swoje własne przepisy.

W latach siedemdziesiątych kontrola celną i biblioteczną jakby nieco zelżała, ale przepisy ciągle zachowały swoją moc prawną. Walkę komunistów z wolnym słowem przerwało zwycięstwo bloku solidarnościowego. Wydawnictwa emigracyjne uzyskały wreszcie wolny dostęp do czytelnika.



Zakaz debitu „Kultury” w kraju i prześladowania osób ją rozpowszechniających nie oznaczały jej nieobecności, a zwłaszcza jej nieznaności w kraju. W pojedynku komuniści – wolne słowo klęskę ponieśli komuniści, choć się im zdawało, że posiadają wszystkie atuty w ręku.

„Kultura” docierała do Polski rozmaitymi drogami i sposobami. Jej rozpowszechnianie zależało od postawy pracowników odpowiednich instytucji państwowych i niezłomnej woli jej potencjalnych czytelników. Najwięcej egzemplarzy przywozili turyści krajowi i zagraniczni, w tym dziennikarze i pracownicy placówek dyplomatycznych. Zasadniczy zwrot nastąpił po 1971 roku. Wraz ze wzrostem liczby podróżujących Polaków nastąpił równoczesny wzrost zainteresowania literaturą emigracyjną, wyrażający się między innymi w liczbie przywożonych egzemplarzy „Kultury”. Ukonstytuowa-

nie się opozycji przyspieszyło proces: wzmógł się przemysł zakazanej literatury, a wydawnictwa podziemne przyczyniły się do jej spopularyzowania. Wydawano książki autorów emigracyjnych, przedrukowywano artykuły i prowadzono polemiki. Na paralelnym rynku wydawniczym książki Instytutu Literackiego zajęły miejsce uprzywilejowane; nie dotyczyło to jednak „Kultury”.

Ważnym kanałem upowszechniającym „Kulturę” była poczta. Podobnie jak na przejściach granicznych, wiele zależało od pracowników cła. Było wielu gorliwców, którzy skrupulatnie przestrzegali służbowych dyrektyw, podpisując się przed szefami swoją czujnością, ale najczęściej było zwykłych oportunistów, którzy wykonywanie swoich obowiązków wiązały z aktualną sytuacją polityczną: gdy ulegała zaostrzeniu, ich skrupulatność się nasilała, gdy bariera strachu obniżała się, to kontrolowali o tyle, o ile, jak się nadarzało, zależnie od humoru. Możliwości czytania „Kultury” w bibliotekach zależały nie tylko od oficjalnych zezwoleń, ale również od ludzi: od jednych, by odważyli się udostępnić zakazane pismo, od innych, by odważyli się o nie poprosić.

Specyficznym źródłem wiedzy o „Kulturze” były rozgłosnie zagraniczne, wśród których Wolna Europa odegrała rolę najważniejszą. Dzięki ich informacjom, dzięki omawianiu treści kolejnych numerów, niekiedy przekazowi poszczególnych artykułów, uważny słuchacz mógł sobie wyrobić własną o „Kulturze” opinię. Ale i ta droga nie była łatwa. Wymagała wiele cierpliwości: pokonywania zagłuszarek i dostosowywania własnego czasu do godzin audycji.

Polityczno-policyjne prześladowania „Kultury” nie przekreślały co prawda jej dostępu do kraju, lecz uniemożliwiały normalne funkcjonowanie na rynku wydawniczym. Zarysowała się znamienita anomalia: liczba czytelników „Kultury” była nieporównanie mniejsza od liczby jej sympatyków, których wiedza o piśmie była powszechna. Ale to oni w znacznej mierze przyczynili się do powstania i upowszechnienia jej legendy. Podziwiane pismo z Maisons-Laffitte, które dla wielu Polaków było symbolem wolnej Polski, bardziej było znane z przekazu ustnego niż z lektury.

W drugiej połowie dwudziestego wieku, jak za dawnych zamierzchłych czasów, przekaz ustny zastępował lekturę. W dużych uniwersyteckich miastach, w których dostęp do „Kultury” był łatwiejszy, a bariera strachu mniejsza, od lat sześćdziesiątych pismo Jerzego Giedroycia było przedmiotem towarzyskich konwersacji: streszczano artykuły, dzielono się najświeższymi nowinkami, prowadzono dyskusje nad niektórymi artykułami, nie zawsze zresztą dla Redakcji przychylne. Przekaz ustny, jak każdy tego rodzaju przekaz, deformował i przeinaczał niekiedy sens artykułów, skupiał uwagę na jednych, milczeniem pomijając inne, które przekazicielowi wydawały się nieinteresujące lub mało ważne. Mimo wszystkich słabości, przekaz ustny przyczynił się niezmiernie do spopularyzowania „Kultury” i utrwalania jej legendy.

Relacje o „Kulturze” w znacznej mierze zależały od jej okazjonalnych czytelników. Czytano ją podczas wyjazdów zagranicznych, czytano przywiezione egzemplarze, wypożyczane nierzadko na jedną noc, używano różnych wybiegów, by uzyskać ją w bibliotece. Liczba okazjonalnych czytelników była wyznaczona przez aktualną sytuację polityczną. Nie ma jednak ścisłego związku między tak zwaną liberalną linią PZPR a zwiększaniem się czytelnictwa „Kultury”, tak jak nie ma ścisłego związku między wzmagającymi się restrykcjami politycznymi a spadkiem liczby jej czytelników. Represje niekiedy tylko zwiększały zainteresowanie „Kulturą”.

Grupa mniej więcej stałych czytelników „Kultury” była nieliczna i niejednorodna. Składała się z przeciwników władzy i funkcjonariuszy partyjnych. Pierwszych reprezentowali intelektualiści (najliczniejsi byli pisarze i naukowcy), a następnie przedstawiciele opozycji. Intelektualiści ze względu na swoją pozycję zawodową: wyjazdy za granicę, kontakty z zachodnimi dyplomatami oraz możliwości korzystania z „zakazanej” literatury w bibliotekach⁴ mieli prawie stały dostęp do „Kultury”.

Do drugiej grupy należeli propagandyści, którzy niejako z obowiązku byli „skazani” na czytanie pisma Giedroycia. Od lat siedemdziesiątych pojawiała się nowa grupa czytelników: frondujący dygnitarze partyjni, którzy z różnych powodów uznali za konieczne czytanie „Kultury”.⁵ Czy i w jakiej mierze miała ona wpływ na ewolucję ich postaw politycznych – trudno powiedzieć. Może pod jej wpływem zmieniali się, lecz z linią pisma nie mieli nic wspólnego.

Warto jednak przypomnieć, że dość liczna grupa inteligentów nie czytała „Kultury” z własnego wyboru. Jedni – bo po prostu bali się realnych czy wymagowanych konsekwencji, inni – bo ją odrzucali ze względów politycznych: dla jednych była zbyt reakcyjna, dla drugich zbyt „czerwona”. Był jeszcze jeden motyw: niechęć do emigracji, którą przenoszono na „Kulturę”. Oskarżano ją o oderwanie się od rzeczywistości krajowej (używano tego argumentu nawet wówczas, gdy blisko połowa autorów wywodziła się z opozycji), a przede wszystkim o pograżanie się w niebezpiecznych mrzonkach, mogących przynieść społeczeństwu więcej strat niż pożytku. Wielu przedstawicieli tej grupy było gorliwymi czytelnikami „Tygodnika Powszechnego”, który był dla nich rzecznikiem właściwej postawy wobec PRL.

W przeciwieństwie do normalnie funkcjonującego rynku wydawniczego, na którym ranga pisma jest zależna od liczby stałych czytelników, „Kultura” – jak już wspomniałam uprzednio – funkcjonowała w kraju wedle odmiennych reguł. Swoją prestię i powodzenie zawdzięczała przede wszystkim czytelnikom okazjonalnym i sympatykom. Nie byłoby ich, gdyby „Kultura” nie była pismem, które ponad granicami i „żelazną kurtyną” znalazło w Polsce swojego odbiorcę: postępowego, lecz nie komunistycznego inteligenta oraz buntującą się młodzież. Na emigracji było wiele pism, które broniły wartości narodowych, spuścizny kulturalnej oraz walczyły z komunizmem, ale jedynie „Kultura” stała się symbolem niezależnej myśli wolnej Polski. Stała się nim dlatego, że przez swoich czytelników i zwolenników była postrzegana jako pismo nowoczesne, zarówno w wymiarze kulturalnym, jak i politycznym. „Kultura” potrafiła połączyć tradycję z nowatorstwem artystycznym; wpisywać się w tradycję II Rzeczypospolitej i walczyć o nowy ustrój państwowy oparty na zasadach demokratycz-

⁴ „U Literatów nazytałem się paryskiej »Kultury« – zanotował pod datą 30 stycznia 1969 roku Stefan Kisielewski (*Dzienniki*, Iskry, Warszawa 1996). Możliwości czytania „Kultury” w czytelni ZLP były uwarunkowane wpisaniem się do specjalnego zeszytu, z podaniem dokładnych referencji. Niewielu było chętnych do korzystania z tego „dobrodziejstwa”.

⁵ J. Teichma w *Pożegnaniu z władzą* wspomina o systematycznym czytaniu „Kultury”, którą otrzymywał dzięki znajomościom w MSW. Pochodziła ona – jak pisze – z konfiskat przesyłek adresowanych do środowisk kulturalnych. „Myślę – dodaje – że mój egzemplarz nie był sprawą straconą dla redakcji Giedroycia” (*Projekt*, Warszawa 1996, s. 108).

nych; być pismem polskim, a jednocześnie pluralistycznym, otwartym na współczesny świat. I to wszystko stało się źródłem jej legendy.



Wejście „Kultury” na rynek wydawniczy w 1989 roku było wydarzeniem, które całkowicie zmienia jej pozycję w społeczeństwie. Traci swoje uprzywilejowane miejsce; staje się jednym z wielu periodyków, o czytaniu których decyduje wyłącznie wolna wola jednostki. „Kultura”, pismo ongiś kształtujące opinię opozycyjną i pobudzające społeczną wyobraźnię, w nowych warunkach nie zdobywa masowego czytelnika, a nawet traci część elity, która uprzednio ją czytała. Dlaczego? Przede wszystkim zmieniła się sytuacja polityczna oraz skład środowisk opiniotwórczych.

Pokolenie solidarnościowe wychowywało się na własnych pismach, których zawartość i ton różniły się zasadniczo od stylu redagowania „Kultury”. Charakteryzował je zideologizowany stosunek do rzeczywistości i podporządkowanie wszystkiego, łącznie z kulturą, walce politycznej. Na tym tle pismo Jerzego Giedroycia wydawało się staroświeckie, odległe od problemów krajowych, a jeszcze bardziej od walki prowadzonej przez obóz „Solidarności”. Zwrot polityczny 1989 roku odsłonił polityczną polaryzację bloku „Solidarności”, starannie ukrywaną w ostatnim okresie walki z komunizmem. Siłą rzeczy na nowej, politycznej mapie Polski „Kultura” reprezentowała jedną z wielu tendencji, nie znajdującą wówczas największego poparcia w politycznych kręgach opozycji.

Nowa sytuacja polityczna nie tłumaczy całości zachowań wobec „Kultury”. Większość jej okazjonalnych czytelników po raz pierwszy miała okazję do stałej lektury pisma. Rozpoczynali ją od numerów bieżących, dawne roczniki pozostały im nieznane. Nikt zresztą, poza nielicznymi specjalistami, nie miał czasu na zapoznanie się z ponad pięciuset numerami, bogatego i różnicownego miesięcznika. Brali więc do ręki „Kulturę”, którą dawniej czytali, którą poważali, lecz której faktycznie nie znali. Lektury nic im nie ułatwiało. Nie mieli żadnej informacji, a byli zmuszeni wejść w gąszcz problemów i sporów mających własną historię, na ogół nieznaną w kraju. Byli wychowani w tradycji walki: my – społeczeństwo przeciw nim – komunistom, toteż z trudem akceptowali pluralizm i ciężko znosili polemiki. Przeżywali to samo, co ongiś przeżywali emigranci. Zderzenie kulturalne i polityczne z „Kulturą” było tak silne, że wielu jej dawniejszych czytelników zrezygnowało z czytania, a wielu nowych szybko się zniechęciło. A jednak „Kultura” ciągle jest czytana i ciągle zachowuje wpływ w środowisku elity inteligenckiej, choć stanowisko przez nią zajmowane powoduje często oburzenie i wywołuje polemiki.



O „Kulturze” wiele w kraju mówiono i wiele padało pochwał pod jej adresem, lecz rzeczowej informacji i krytycznych analiz do 1989 roku było niewiele. Tak, jakby sukces pisma paraliżował jego zwolenników. Pomijając propagandę komunistyczną

i krótki interwał pierwszej „Solidarności”, podczas którego wspomniano o dorobku Instytutu Literackiego, między innymi z okazji przyznania Czesławowi Miłoszowi nagrody Nobla. W tym samym okresie odbyła się na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim sesja poświęcona literaturze emigracyjnej. Głównym źródłem informacji była jednak prasa podziemna, niestety powierzchowna i wybiórcza. Najwięcej artykułów poświęcono Jerzemu Giedroycowi i najbliższemu jego współpracownikowi, hagiografia zastępowała analizę merytoryczną. Podejmowano również polemiki z linią polityczną „Kultury”, ale dotyczyły one wyłącznie spraw bieżących. Stosunkowo wiele pisano o pisarzach współpracujących z „Kulturą” i o ich twórczości. Ale o jednym pisano wiele, o innych wcale. Decydowała o tym ranga pisarska, ale również osobiste zainteresowanie twórcą. Przy całym bogactwie publikacji ich zakres tematyczny był ograniczony i nie dawał pojęcia o całościowym dorobku kulturalnym „Kultury”.

Poza literaturą, jedyną twórczością budzącą zainteresowanie krytyków była publicystyka Juliusza Mieroszewskiego. Ale i w tym wypadku łatwiej było się zapoznać z komentarzem niż z samym tekstem Mieroszewskiego. Zbiory jego artykułów były wydane przez Instytut Literacki trzykrotnie, lecz w kraju mało o nich wiedzano, prawdopodobnie dlatego, że publicystyka polityczna budziła mniejsze zainteresowanie niż twórczość literacka. Stąd zapewne się bierze dość jednostronna ocena Mieroszewskiego, którego koncepcja polityczna jest najczęściej sprowadzona do postulatu przyznania Ukrainie, Białorusi, Litwie niezależności państwowej.

Próby spojrzenia na całościowy dorobek „Kultury” zostały podjęte na emigracji. Pierwszą z nich był artykuł Konstantego A. Jeleńskiego: „Kultura”: *La Pologne en exil*⁶, który był wielokrotnie przedrukowywany przez prasę opozycyjną. Wydarzeniem emigracyjnym była wystawa prezentująca całościowy dorobek Instytutu Literackiego, zorganizowana w Paryżu w czterdziestolecie powstania „Kultury” przez niewielkie stowarzyszenie Les Amis de Kultura. Pokłosiem wystawy był katalog-album: „Kultura” i jej krąg. Ważnym źródłem informacji o dorobku kulturalnym Instytutu Literackiego był przewodnik po literaturze emigracyjnej Marii Zielińskiej-Danielewiczowej.

W ciągu ostatnich siedmiu lat sytuacja uległa zasadniczej zmianie: Instytut Literacki i Jerzy Giedroyc stali się tematem modnym. Mnożą się wywiady i opracowania publicystyczne, odbywają się sesje jubileuszowe, nakręcono kilka filmów dokumentalnych. Warto zaznaczyć, że pierwszeństwo na tym polu należy do Agnieszki Holland, która z inicjatywy Mirosława Chojeckiego, twórcy grupy „Kontakt”, w połowie lat osiemdziesiątych nakręciła pierwszy film o Maisons-Laffitte. Dziś jest to dokument bezcenny ze względu na udział w nim osób już nieżyjących: Józefa Czapskiego i Konstantego A. Jeleńskiego.

Na popularnych i doraźnych artykułach jednak się nie kończy. Instytut Literacki rozpoczął przy współudziale Czytelnika publikację korespondencji Redaktora z autorami „Kultury”, niekiedy jej bliskimi współpracownikami, a zarazem wybitnymi postaciami kultury polskiej. W Czytelniku ukazała się również *Autobiografia na cztery ręce* Jerzego Giedroycia w opracowaniu Krzysztofa Pomiana. Pojawiło się również wiele cennych opracowań historycznych i literackich, których przedmiotem jest dorobek In-

⁶ K. A. Jeleński: „Kultura”: *La Pologne en exil*, Le Debat, nr 9, 1981, Paryż.

stytutu Literackiego, a jest to dopiero początek, sądząc po zapowiedziach wydawniczych. Można zatem powiedzieć, że „Kultura” z legendy przechodzi do historii.



Dzięki publikacjom ostatnich lat czytelnik mógł się wiele dowiedzieć o Jerzym Giedroyciu i o współpracownikach „Kultury”, mógł wzbogacić swą wiedzę o dorobku Instytutu Literackiego, o jednej rzeczy nie mógł się natomiast przekonać: jakim pismem była faktycznie „Kultura” we wcześniejszych latach swego istnienia. Pomijając twórczość literacką i wybory artykułów niektórych autorów, nie przedrukowywano jej artykułów. Krytyczne analizy dotyczyły tylko wybranych tematów. Nie ma również monografii „Kultury”, co skądinąd jest zrozumiałe, gdyż jej opracowanie wymaga długich i żmudnych prac przygotowawczych.

Najlepsze jednak opracowania nie mogą zastąpić kontaktu z pismem i znajomości tekstów będących przedmiotem komentarzy. Stąd pomysł wydania antologii „Kultury”. Jej celem jest zaprezentowanie współczesnemu czytelnikowi pisma Jerzego Giedroycia, tak aby mógł zrozumieć, czym faktycznie była „Kultura” i dlaczego cieszyła się tak wielkim prestiżem.

Wedle krążących tu i ówdzie opinii, stare roczniki „Kultury” są szacowną, lecz przestarzałą literaturą, zwłaszcza w jej polityczno-społecznym wymiarze. Literaturą nadającą się wyłącznie do badań, lecz mało interesującą współczesnego czytelnika. Przekonanie, że artykuły analityczne i dyskusje toczone przed laty nie mogą wnieść do wiedzy o komunizmie, socjalizmie realnym i samym społeczeństwie niczego, czego by w kraju już nie wiadano, jest dość silnie ugruntowane w pewnych kołach inteligencji. Jednym z dowodów jest brak odniesień do artykułów publikowanych w „Kulturze” w pracach historycznych, a zwłaszcza publicystycznych, odnoszących się do dziejów PRL, choć można w nich znaleźć informacje, których nie dostarczają tajne akta, a tym bardziej propagandowe publikacje komunistyczne.

Czy rzeczywiście dawne roczniki „Kultury” uległy takiej dezaktualizacji, że mogą wyłącznie interesować specjalistów i szperaczy? Z pewnością nie. Jest w „Kulturze” wiele artykułów naznaczonych duchem epoki, w jakiej były pisane, tak jak znajdują się w niej artykuły, które już w momencie publikowania należały do politycznego lamusa, a jednocześnie jest ona pismem, które w przeciwieństwie do wielu innych, emigracyjnych i krajowych, zachowało nadspodziewaną aktualność.

Stare roczniki „Kultury”, z których artykuły znajdują się w niniejszej antologii, są uzupełniającym, lecz niezbędnym źródłem informacji o społeczeństwie polskim okresu triumfującego totalitaryzmu, nadziei październikowych, letargu gomułkowskiego i schyłkowego okresu komunizmu. Dorobek „Kultury” przedstawia po dzień dzisiejszy bezcenną wartość, choćby z tego względu, że najbliższy krąg współpracowników Jerzego Giedroycia nie zamknął się w getcie emigracyjnym ani w horyzoncie polskiego zaścianka, lecz – przeciwnie – uważnie obserwował zachodzące przemiany w świecie, stając się świadkiem i komentatorem swej epoki. Wiele problemów, z którymi lepiej czy gorzej boryka się dziś polskie społeczeństwo, a szczególnie jego klasa polityczna, było już dawno poruszanych i omawianych w „Kulturze”. Sposób ich ujęcia

i wnioski, jakie były wyciągane, są niekiedy wnikliwsze niż analizy współcześnie publikowane.

Aktualność „Kultury” wyraża się również w odrzuceniu ideologii jako jedyne go kryterium oceniania peerelowskiej rzeczywistości. Dzięki temu „Kultura” dostrzegła w społeczeństwie zmiany, które nie były produktem systemu komunistycznego, potrafiła również docenić dorobek kulturalny tego okresu. Walka z komunizmem nie przesłaniała jej ani Polski, ani społeczeństwa.

Innym aspektem aktualności dawnych roczników „Kultury” są postawy emigrantów wobec wewnętrznych spraw kraju, a zwłaszcza ich oceny rządów komunistycznych. W prowadzonych dyskusjach wypowiadali się ludzie wolni, na ogół w swym własnym imieniu; wyzwoleni spod nacisku partyjnych zobowiązań oraz presji środowiska, w jakim żyli do 1939 roku. Ich głos jest dziś tym cenniejszy, że przypomina raz jeszcze, iż zróżnicowanie postaw wobec otaczającej rzeczywistości nie jest wyłącznie pochodną poglądów politycznych. W prowadzonych dyskusjach ujawniły się nasze narodowe zalety, ale również wady, które nigdy nam chluby nie przynosiły. Ówczesne dyskusje pozwalają na konstatację jeszcze jednej rzeczy: ewolucji postaw i poglądów, zwłaszcza emigrantów młodszej generacji, pod wpływem nowego otoczenia, w jakim się znaleźli. W przekształcaniu ich świadomości, nawyków i zachowania zasadniczą rolę odgrywał rozwój cywilizacyjny oraz ustrój demokratyczny. Podziały polityczne i to niekiedy bardzo ostre pozostały, przekształceniu ulegały wzory zachowań. Następował powolny, lecz nieuchronny proces odrzucania starych wartości – adekwatnych do stosunków zacofanego kraju rolniczego, a także ukształtowanych przez społeczeństwo, któremu obca była długoletnia tradycja państwa demokratycznego – na rzecz nowych: poszanowania pluralizmu, od politycznego poczynając, a przede wszystkim zaakceptowania „inności”. Opis tych przemian odnaleźć można w niezwykle interesującej książce Janiny Kowalskiej *Pogranicze*⁷. Ewolucja postaw emigrantów może być traktowana jako antycypacja zmian, które prędzej czy później nastąpią w Polsce.



Dokonanie wyboru z kilkuset roczników „Kultury”, który miałby wewnętrzną spójność i korespondował z zainteresowaniami współczesnego czytelnika, nie było łatwe. Dwie dotychczasowe antologie „Kultury” były przeznaczone dla czytelnika amerykańskiego.⁸ Ich głównym celem było zaprezentowanie „Kultury” publiczności, która nic o niej nie wiedziała, a jeśli, to miała pojęcie nader mgliste. Amerykańskie antologie koncentrowały się na osobach, których twórczość była intelektualną wizytówką dorobku „Kultury”.

⁷ J. Kowalska (Hanna Świdorska), *Pogranicze*, Instytut Literacki, Paryż 1980.

⁸ L. Tyrmand (ed.), *Explorations in Freedom and „Kultura” Essays* i tom drugi, „Kultura” essays, The Free Press in Cooperation with the State University of New York at Albany, New York 1970. R. Kostrzewa (ed.), *Between East and West, Writing from „Kultura”*, Hill and Wang, New York 1990.

Antologia przeznaczona dla polskiego czytelnika musiała podlegać innym kryteriom. Pierwszym z nich było usunięcie tematów znanych przeciętnemu polskiemu czytelnikowi z innych publikacji. Należała do nich przede wszystkim proza, poezja i krytyka, jednym słowem literatura. Książki Miłosza, Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego czy Czapkiego ukazywały się, niezależnie od Instytutu Literackiego, w wydawnictwach podziemnych, a od 1989 roku są nieprzerwanie publikowane w różnych oficynach wydawniczych. Na rynku pojawia się również coraz więcej książek pisarzy-emigrantów mniej znanych publiczności. Publikacjom książek pisarzy towarzyszą informacje i krytyczne eseje. Z tych właśnie względów literatura została wyeliminowana z antologii, choć stanowi niezaprzeczalny dorobek „Kultury”, będąc jednym z jej najbardziej atrakcyjnych działów. Pisarze, których nazwiska pojawiają się w antologii, występują wyłącznie w roli osób zabierających głos w sprawach polityczno-społecznych.

Innym kryterium była atrakcyjność tematu. Z tego powodu nie zostały uwzględnione artykuły poświęcone emigracji. Problem skądinąd ważny dla zrozumienia powojennych dziejów Polaków, dziś jednak mało czytelny dla odbiorcy krajowego. Kolejnym pominiętym tematem są sprawy międzynarodowe, w tym stosunki między wielkimi mocarstwami. Sytuacja polityczna i geopolityczna Europy, nie mówiąc już o innych kontynentach, w ciągu ostatnich dwudziestu lat uległa tak zasadniczym przeobrażeniom, że większość artykułów poświęconych tym sprawom należy już do historii. Podobnie jest z artykułami sowietologicznymi typu futurologicznego, których analizy i wnioski nie mają nic wspólnego z obecną rzeczywistością, a tylko śmieszają swoim czarnowidztwem. Z podobnych względów zostały wyeliminowane artykuły opisujące i komentujące sytuację gospodarczą Polski i krajów tak zwanej demokracji ludowej. Wnikliwe i rzeczowe, mogą być interesującym materiałem dla historyka gospodarczego, natomiast dla współczesnego czytelnika są abstrakcją oderwaną od rzeczywistości. W antologii nie ma również kronik wydarzeń w Polsce i w krajach ościennych, niegdyś uważnie czytanych, gdyż były źródłem informacji, której gdzie indziej znaleźć było niepodobna. Dziś mogą zainteresować wyłącznie badacze historyków.

Antologia „Kultury” została więc zawężona do polityczno-społecznych problemów kraju, stąd też tytuł wyboru. W jej skład wchodzi również artykuły omawiające miejsce Polski w Europie, a szczególnie jej stosunki z sąsiadami. Tematycznemu ograniczeniu antologii towarzyszyła cezura czasowa. Nawet pobieżne przejrzanie wszystkich roczników „Kultury”, to jest kilkuset tomów, pozwala na konstatację dość oczywistego faktu: w ciągu swojego istnienia pismo zmieniało swój charakter i styl. Z pisma skoncentrowanego na emigracji, „Kultura” stawała się coraz bardziej pismem krajowym; świadczyły o tym nie tylko poruszane problemy, lecz również zwiększający się udział autorów krajowych. Z miesięcznika literacko-społecznego przekształcała się w periodyk polityczny, choć z działu kulturalnego, zwłaszcza z literatury, Redakcja nigdy nie zrezygnowała. Mimo że przez te wszystkie lata cel pisma pozostawał ten sam: szerzenie wolnej myśli i walka o niepodległość i mimo jednorodności kierownictwa – linia redakcyjna ulegała jednak zmianom. Wyznaczała ją sytuacja polityczna, układy emigracyjne, a następnie opozycyjne, zależała ona również od składu najbliższych współpracowników Jerzego Giedroycia. Bardziej od ich poglądów politycznych, chociaż odgrywały swoją rolę, decydowało ich doświadczenie, szczególnie wojenne,

wyobraźnia polityczna, a przede wszystkim talent publicystyczny. Nie wystarczało wypowiadać słusznych poglądów, trzeba było mieć umiejętność ich przedstawiania i umiejętność przekonania czytelników.

Zmiana linii redakcyjnej nie była tak wyraźna, gdy czytało się „Kulturę” miesiąc po miesiącu, lecz jest widoczna, gdy przegląda się rocznik po roczniku. Zasadniczą cezurą jest, moim zdaniem, rok 1976, kiedy w Polsce ukształtowały się pierwsze grupy opozycyjne, którym „Kultura” otworzyła łamy, przekształcając się z pisma emigracyjnego w krajowe. Od tej pory przestano się ograniczać do komentowania rzeczywistości, lecz próbowano ją przekształcać; „Kultura” nie tylko staje się pismem politycznym polskiej opozycji, ale w jakiejś mierze ją współtworzy.

Był to również okres przegrupowań w najbliższym kręgu współpracowników „Kultury”. Odszedł na zawsze Mieroszewski i odeszli inni. Nowi, często równie utalentowani, inaczej jednak postrzegali świat, w inny sposób go opisywali i komentowali. Pod ich piórem powstawała inna „Kultura”, różna od tej, którą ukształtowała i czytała emigracja żołnierska.



Mimo ograniczeń tematycznych i zastosowania cezury czasowej, pozostał ogromny i niezwykle interesujący materiał, wobec którego należało zastosować dalszą, konieczną selekcję. Pierwszym kryterium było pierwszeństwo dla tematu, drugim uwzględnienie wszystkich poglądów politycznych prezentowanych w „Kulturze”, w tym także – w miarę możliwości – opinii czytelników. Dzięki czemu antologia nie zamieniła się w drugi wybór artykułów Mieroszewskiego ani w zbiór tekstów kilku autorów tylko dlatego, że ich nazwiska znane są publiczności. Większość wybitnych publicystów jest w antologii, w takiej mniej więcej proporcji, w jakiej w latach 1947–1976 drukowani byli w „Kulturze”.

Kryterium tematyczności pozwoliło na przedstawienie stanowiska Redakcji „Kultury” i jej czytelników wobec rządów komunistycznych z jednej strony, z drugiej zaś wobec postaw politycznych i obywatelskich Polaków żyjących w kraju i na obczyźnie. Wyselekcjonowane artykuły są zgrupowane w siedmiu tematycznych rozdziałach, które odpowiadają zasadniczym wątkom publicystyki „Kultury”. Każdy rozdział jest poprzedzony wstępem, którego celem jest usytuowanie omawianych problemów w kontekście ówczesnej sytuacji politycznej oraz linii redakcyjnej. Często wspomniana przeze mnie „linia redakcyjna” jest w istocie odbiciem koncepcji polityczno-społecznych Jerzego Giedroycia, który co prawda do „Kultury” wówczas nie pisywał, lecz ją projektował i z niezwykłą konsekwencją redagował. Narzucał wszystkim własną wizję Polski i jej podporządkowywał tematy i autorów. Artykuły zamieszczane w antologii stawały się często zarzewiem dyskusji i polemik między autorami „Kultury” oraz między nią a czytelnikami, co odnotowuję we wstępach do kolejnych rozdziałów.

Jerzy Giedroyc umie sobie dobierać współpracowników (wielu z nich weszło na trwałe do historii literatury i myśli społecznej), umie z nimi współpracować, ale i umie się z nimi rozstawać, gdy ich poglądy i koncepcje rozmiągają się z jego oceną aktualnej sytuacji politycznej i społecznej Polski, a w tym i z rolą, jaką przewidywał dla „Kultu-

ry" w nowej rzeczywistości. Wspominam o tych rozstaniach, często bolesnych dla obu stron⁹.

Gdy pisze się o „Kulturze”, naturalną koleją rzeczy pisze się przede wszystkim o Jerzym Giedroyciu i o autorach, którzy nadali jej swoiste, wyjątkowe miejsce w kulturze narodowej; rzadko natomiast wspomina się o współpracownikach Instytutu Literackiego, bez których jego egzystencja jest trudna do wyobrażenia. Warto więc czytelnikom antologii przypomnieć małżonków Zofię i Zygmunta Hertzów, mieszkańców Maisons-Laffitte, którzy od samego początku „Kultury”, w jej najtrudniejszym, bo biednym i politycznie trudnym okresie lat pięćdziesiątych, z niespożytą energią i poświęceniem pracowali w „Kulturze” i dla kultury. Od śmierci męża w 1979 roku, Zofia nieprzerwanie kontynuuje pracę.



Niniejszy wybór nie jest wydaniem krytycznym. Artykuły są przedrukowane tak, jak były wydrukowane, z wyjątkiem niezbędnych poprawek ortograficznych i interpunkcyjnych (w niektórych artykułach, zgodnie z intencją autorów, pozostawiono pismownię oryginałów). Skróty, bardzo zresztą rzadkie, są starannie zaznaczane. W niektórych artykułach pozostały nieścisłości i błędne informacje. Dotyczą one zazwyczaj spraw drugorzędnych, na przykład obsady personalnej aparatu władzy. Pomyłki, nie takie znowu częste, nie zmieniają merytorycznego i politycznego znaczenia artykułów, natomiast ich sprostowania wymagałyby dodatkowych uzupełnień, których niezbędność jest wątpliwa w antologii, która nie jest przecież kolejnym podręcznikiem historii ani monografią „Kultury”.

Dla ułatwienia lektury czytelnik znajdzie w indeksie osobowym krótkie informacje o autorach i osobach występujących w antologii. Wiele artykułów było drukowanych pod pseudonimami lub bezimiennie, w takich przypadkach nazwiska autorów, o ile dały się zidentyfikować, są zamieszczone na końcu każdego tekstu. Nie wszystkie pseudonimy udało się niestety rozszyfrować, nie o każdym autorze można było uzyskać niezbędne informacje. Wbrew zwyczajowi, nie podaję numeru ciągłego „Kultury”, lecz numer kolejny i rok wydania. Nie powtarzam również daty publikacji artykułu przeze mnie cytowanego, jeżeli znajduje się w antologii.

Przygotowując antologię, wiele godzin spędziłam w Bibliotece Polskiej w Paryżu, znajdując pomoc i zrozumienie. Specjalne wyrazy wdzięczności należą się panu Jackowi Krawczykowi, bibliotekarzowi Instytutu Literackiego, autorowi rozszyfrowanych pseudonimów. Jego wiedza i uczynność ułatwiły mi niepomiernie pracę.

Grażyna Pomian

⁹ Rozstanie się Gustawa Herlinga-Grudzińskiego z „Kulturą” zaważyło niestety na niniejszej antologii. Ku mojemu wielkiemu żalowi odmówił on przedruku swoich artykułów. Szkoda.

Miały to być teksty następujące: *Odpowiedź na ankietę: Literatura emigracyjna a kraj* (nr 1–2/1957); *Memoriał trzydziestu czterech* (nr 5/1964); *Praga-Warszawa* (nr 4/1968); *Obserwatorium: Proces* (4/1970); *Pozytywizm barokowy* (nr 7–8/1971).

Rozdział I

Polska z bliska i z daleka



Objęcie władzy przez komunistów i uznanie ich rządów przez aliantów oznaczało klęskę dla większości Polaków przebywających wówczas na Zachodzie. Klęskę wielostronną: utratę niepodległego państwa i narzucenie wrogiego reżymu pogłębiło poczucie daremności wojennych sukcesów i poniesionej ofiary. Niedawni sojusznicy aliantów okazali się szczególnego rodzaju zwycięzcami drugiej wojny: mogli tylko opłakiwać własną przegraną. Konieczność wyboru emigracji oznaczała utrwalenie rozłąki z najbliższymi i własnym środowiskiem, oznaczała również konieczność ponownego samookreślenia się w życiu, to jest wyboru w powojennych warunkach miejsca w społeczeństwie. Dla wielu emigrantów było to równoznaczne z utratą dawnego stanowiska, nierzadko możliwości wykonywania zawodu, a przede wszystkim z utratą pozycji społecznej i dawnego stylu życia.

W pierwszych kilkunastu powojennych miesiącach najczęstszą reakcją na poniesioną klęskę była nieprzejednana wrogość wobec nowego systemu politycznego w Polsce, połączona z rozmyślną głuchotą na wszystko, co działo się w kraju, a co nie potwierdzało własnych politycznych przekonań. Reakcja majora Polejki, znajomego Zbigniewa Florczaka na jego opowieść o odbytej dopiero co podróży do Polski: „Ciekawość prowadzi do herezji” – nie była czymś wyjątkowym.¹ Podobne postawy przetrwały przez lata. Niezależnie od żywionej niechęci i nienawiści do komunizmu wyrażały również obawę, że uznanie jakiegokolwiek osiągnięcia Polski Ludowej zniszczy własny i innych system obronny oraz gotowość do walki. Reprezentantem tych postaw był polski Londyn, nie tylko jako siedziba emigracyjnej reprezentacji politycznej. Nieprzejednana postawa wobec reżymu warszawskiego sprzyjała łatwym ocenom: Polska zaroiła się od Quislingów, a prawie każdy Polak z kraju stawał się podejrzanym kryptokomunistą.

Nieprzejednanie rodziło niecierpliwość, ale i nadzieje na szybkie obalenie komunizmu, najczęściej łączone z możliwością wybuchu następnej, trzeciej wojny światowej. Artykuł Aleksandra Korczyńskiego² może być przykładem tej postawy. Autor surowo oceniając powojenne zachowanie Polaków, w tym inteligencji, stwierdza:

¹ Z. Florczak: *Podróż na horyzonty*, nr 3/1949.

² A. Korczyński: *Być albo nie być*, nr 3/1949.

„Dziesięć zaledwie lat minęło, a już dziś żaden reprezentant Polski nie mógłby rzucić swiatu dumnego oświadczenia, że my Polacy nie znamy pokoju za wszelką cenę, że dla nas Polaków tylko honor jest rzeczą bezcenną. Bo dziś już znamy pokój za wszelką cenę i znamy cenę honoru. [...] Dlatego koncepcja neutralności polskiej w przyszłym konflikcie, a w szczególności neutralności Kraju, niczego nam nie daje i nie jest do przyjęcia. Dość już ofiary polskiej – oto hasło rzucone przez emigrację. Ale przecież poniesiemy ofiary, ofiary ogromne, bezsensowne i w jednym, i w drugim wypadku. Poniesiemy je, gdy powstaniemy przeciw Rosji i poniesiemy je, gdy Kraj pójdzie z Rosją. Różnica jest tylko ta, że w jednym wypadku w walce o swój byt, a w drugim w walce o ugruntowanie swojej niewoli, a więc o swoją śmierć narodową”.

Na czym opierali swoją wiedzę o Polsce powojennej „nieprzejednani”? Przede wszystkim na antykomunistycznej ideologii, podbudowanej doświadczeniami sowieckimi, nierzadko łagrowymi, i opowieściami zasłyszczanymi od uciekinierów. To było wiele. Ale czy wystarczająco wiele, by zrozumieć procesy zachodzące w Polsce, polaryzację postaw Polaków, a przede wszystkim, by podejmować w ich imieniu decyzje?

Stanowisko „Kultury” było odmienne, choć na jej łamach niejednokrotnie gościli przedstawiciele „nieprzejednanych” z Józefem Mackiewiczem na czele. Szeroko rozumiany zespół „Kultury” dysponował tym samym bagażem ideologicznym i życiowym, co większość emigrantów, i wobec komunizmu zajmował równie nieprzejednane stanowisko, lecz od początku reprezentował możliwie otwartą postawę wobec Polski. Za cenę niezwykle wysiłków i pomysłowości utrzymywał możliwie ścisły kontakt z krajem. Przyświecała mu maksyma, której nigdy zresztą się nie wyrzekł: najpierw dowiedzieć się i zrozumieć, a następnie osądzać i ewentualnie potępiać.

W „Kulturze” systematycznie czytano prasę krajową i rzeczników nowego porządku społecznego, a przede wszystkim starano się utrzymywać kontakty z przyjaciółmi i znajomymi, nie wzbraniano się również przed rozmowami z ludźmi reprezentującymi obóz komunistyczny. Uważnie słuchano i wysłuchiowano rozmaitych racji, co nie znaczy, że bez zastrzeżeń zgadzano się z każdą opinią i stanowiskiem. Podobnie było z informacjami o kraju zamieszczanymi w „Kulturze”. Obejmowały różnorodne gatunki: relacje, wspomnienia, reportaże, analizy wydarzeń społecznych i politycznych, o różnym stopniu spostrzegawczości i dociekliwości, jak również wrażliwości politycznej, ale zawsze odsłaniające jakiś aspekt krajowej rzeczywistości. W rezultacie wzbogacały obraz Polski, a tym samym umożliwiały emigrantom kształtowanie własnych opinii, a potencjalnym czytelnikom krajowym dostarczały informacji niedostępnych w prasie miejscowej.

Różnorodność informacji o Polsce zależała przede wszystkim od sytuacji politycznej w kraju. Innymi słowy – od dostępu do kraju, jego otwartości na Zachód oraz od postaw Polaków wobec komunistycznego państwa, w tym i od bariery strachu.

Można wyróżnić następujące okresy: w pierwszym, trwającym do połowy 1949 roku, świat pozostawał płynny: kontury polityczne były zmienne, a postawy – nie całkiem wykrystalizowane. Drugi okres, triumfującego totalitaryzmu, trwał od drugiej połowy 1949 roku do końca 1955 roku. Trzeci, to lata 1956–1967, okres względnej liberalizacji, ale i lata degrengolady systemu gomułkowskiego. Czwarty obejmuje okres między 1968 a 1975 rokiem. Jest to okres nowej fali emigrantów różniących się zasadniczo od powojennej emigracji. Jest to również okres narastającego buntu różnych warstw i grup społecznych w Polsce. Rok 1975 rozpoczyna nowy etap: formo-

wania się dysydencji przekształcającej się następnie w otwartą opozycję. Jej głos jest w „Kulturze” najbardziej słyszalny.

W okresie „płynnego świata” następowała konfrontacja poglądów emigracji z wrażeniami wyniesionymi bądź przywożonymi z Polski. Informacje były równie różnorodne, co bogate: emigrowano z Polski i z niej uciekano, powracano do Polski, skąd napływały obserwacje i opinie, które pozwalały na zapoznanie się z różnorodnymi stanowiskami. Najbardziej cenne były jednak wrażenia emigrantów, którzy jechali do Polski zapoznać się z jej powojenną rzeczywistością. Często wracali z wrażeniami odbiegającymi od obowiązujących w środowisku emigracyjnym. Nie wystarczyło odciąć się od komunistycznych porządków, potępić terror i zależność od ZSSR, gdyż większość emigrantów oczekiwała i wymagała, by obraz kraju był przedstawiany w kolorze jednolicie czarnym.

Ostre, potępiające reakcje ze strony prasy i oficjalnych czynników emigracyjnych, w mniejszym stopniu czytelników, nie ominęły i „Kultury” za opublikowanie nonkonformistycznego reportażu Aleksandra Janty: *Wracam z Polski*, którego pierwszy odcinek ukazał się w 1948 roku w numerze 12.³ Atak był tak zmasowany, że Redaktor czuł się w obowiązku odpowiedzieć:

„Jeżeli uważaliśmy za wskazane i pożyteczne zamieszczenie reportażu Aleksandra Janty, to przede wszystkim dlatego, by uprzytomnić sobie i emigracji, że czas płynie i że nie tylko obecna rzeczywistość polska odbiega od rzeczywistości z 1939 roku, ale przemiany, jakie zachodzą w Kraju, pozostawiają swoje piętno, nawet psychiczne – czy nam się to podoba, czy nie [...]. Nie jesteśmy pismem propagandowym, operującym sztancami. Jest zbyt wiele zagadnień w życiu polskim drażliwych i wstydliwych, których się nie wyjaśnia ani rozwiązuje, pokrywając je natomiast wyświechtanym frazesem [...]. Jakkolwiek bardzo często krytykujemy na łamach „Kultury” jałowość czy dekadencję Zachodu, to jednak dlatego jesteśmy z nim, że tu jest wolność, bez której żadna twórcza dyskusja o Polsce nie jest możliwa. [...] Chcemy to słowo wolność traktować dosłownie, a nie jak parawan dla bierności, nieodpowiedzialności i praktyk, z którymi walczyliśmy jeszcze w Polsce niepodległej”.⁴

W odpowiedzi Redaktora została sformułowana linia „Kultury”, która jest respektowana do dziś.

W okresie triumfującego totalitaryzmu kontakt z krajem był niezwykle utrudniony. Równie rzadkie były informacje zasługujące na uwagę i zaufanie, co nie znaczy, że w ogóle zniknęły z łamów „Kultury”.

Państwo komunistyczne dbało o zachowanie pozorów i starało się uczestniczyć w międzynarodowych spotkaniach i imprezach, których nie mogło obsadzać wyłącznie wiernymi i posłusznymi mu ludźmi. Najostrzejsza selekcja i najgorliwsza indoktrynacja nie zawsze wystarczała, by przerwać dawne więzy i znajomości. Jedni spotykali się z zachowaniem odpowiednich zasad ostrożności, bo chcieli wrócić do Polski, inni zostawali na Zachodzie. Informacje jednych i drugich wzbogacają wiedzę o tamtych czasach, a zwłaszcza o ówczesnych postawach.

³ Drugi odcinek reportażu już w „Kulturze” się nie pojawił, natomiast całość została wydana przez Instytut Literacki w 1949 roku.

⁴ Redaktor: nr 13/1949.

Ci, którzy zjawiali się na Zachodzie i którzy nawiązywali kontakt z emigrantami, byli – jak można się domyślać – inteligentami: pracownikami naukowymi, urzędnikami występującymi w roli ekspertów bądź też funkcjonariuszami państwowymi niższej rangi. Rozmówca Władysława Pobóg-Malinowskiego⁵ reżym, w którym zmuszony jest żyć, osądza negatywnie, choć spokojnie. Zwraca uwagę na niepokojące zjawiska, między innymi na zanik postawy obywatelskiej, donosicielstwo, oportunistę, wyrażający się na przykład w głośnym afiszowaniu swoich postępowych poglądów, na bezwolne poddanie się terrorowi (głośno narzekają tylko prowokatorzy) i zdecydowaną niechęć do emigracji. Ludzie rozdarci między „duszącą niewolę” a lękiem przed nową wojną chcą tylko jednego: „trwać i przetrwać”.

Nieco inny charakter mają relacje uciekinierów. Większość z nich nie tylko próbuje opisać panujące w kraju stosunki, ale przede wszystkim usprawiedliwić własne zachowanie.⁶ Nie wszystkim, jak Czesławowi Miłoszowi, udaje się zachować odpowiedni ton opisu i obronić własną godność.

Oczekiwania wobec osób przyjeżdżających z kraju, a zwłaszcza wobec pozostających na Zachodzie, były szczególnego rodzaju: mniejszą wagę przywiązywano do opisu sytuacji faktycznych niż do potępienia reżymu i pokajania się za współpracę z komunistami. Wielu nie podporządkowywało się tym wymaganiom, po prostu dlatego, że odmiennie niż większość emigrantów oceniało sytuację krajową. Ich głos daje się usłyszeć w artykule Witolda Kostrzyńskiego. Opinie zniuansowane, chociaż dystansujące się od komunistycznych rządów z reguły wywoływały protesty, niekiedy gwałtowne. Wiele z nich zostało utrwalonych w listach do „Kultury”. Do emigrantów bardziej przemawiały opinie, ujawniające się w listach kierowanych do rozgłośni madryckiej, które na łamach „Kultury” przedstawił Józef Łobodowski. Słychać w nich rozpacz wyzyskiwanych i terrorizowanych biedaków, którzy nadzieję na zmianę sytuacji wiążą z Zachodem, czasem nawet z wybuchem wojny.

Krzyk gniewu był równie autentyczny jak postawy pozytywistów, którzy mimo obcości, jaką żywili wobec komunistów, byli przekonani, że należy się włączyć w proces odbudowy i rozbudowy kraju, bo tylko w ten sposób można działać na rzecz Polski. Na podstawie takich informacji ukształtowała się opinia, która przeciwstawiała lud – inteligencji. Lud miał być antykomunistyczny i antysowiecki, natomiast inteligencja politycznie chwiejna, podatna na łaski komunistów oraz ich propagandę. Opinia, która będzie miała długi żywot polityczny.

Początek 1956 roku rozpoczyna nowy okres stosunków między „Kulturą” a krajem. Polska przestaje być wyizolowaną planetą, oddzieloną od Zachodu „żelazną kurtyną”. Do Polski zaczyna się masowo przyjeżdżać; przyjeżdżają także emigranci, których informacje są cenne dla „Kultury”. Z Polski zaczyna się również wyjeżdżać; poza oficjalnymi czy półoficjalnymi wizytami zjawiają się na Zachodzie zwykli obywatele, którzy na ogół mieli niewiele wspólnego z komunistami. Odnawiają się stare kontakty i nawiązują nowe znajomości, w tym także z młodzieżą. Składa się wizyty w „Kulturze”. Stefan Kisielewski udziela jej długiego wywiadu⁷, inni, jak na przykład Jerzy

⁵ W. Pobóg-Malinowski: *Nocna z rodakiem rozmowa*, nr 7/1950.

⁶ M. S. Korowicz: *Wybrałem wolność*, nr 7–8/1954.

⁷ [–] *Rozmowa ze Stefanem Kisielewskim*, nr 6/1957.

Kornacki, drukują swoje artykuły.⁸ Między „Kulturą” a krajem, mimo ciągle istniejącej cenzury i policyjnej czujności, nawiązuje się dialog, nie pozbawiony zresztą ostrych, polemicznych akcentów. Spory dotyczą przede wszystkim teraźniejszości i przyszłości systemu, to znaczy jego możliwej ewolucji oraz roli, jaką inteligencja i emigracja powinny w tym procesie odgrywać. Postępująca normalizacja rozchwieanego porządku społecznego nie przerywa nawiązanego dialogu, choć odwiedziny z czasem się rozgęszczają. Do sytuacji sprzed 1956 roku nigdy jednak nie powrócono.

Relacje odwiedzających ojczyznę po wieloletniej przerwie są warte szczególnej uwagi, niezależnie od stopnia spostrzegawczości emigrantów, ich krytycyzmu, umiejętności syntezy oraz talentów pisarskich. Jest to spojrzenie dostatecznie swojskie, by pozwalało na zrozumienie zakodowanego systemu znaków i symboli, niepojętych dla obcokrajowców, a jednocześnie już dostatecznie odległe, by zauważyć stopień oddalenia Polski od nowego miejsca zamieszkania, to znaczy Francji, Anglii, USA czy Kanady. Mimo radości ze znalezienia się w kraju, emigranci rejestrują, często z nie ukrywaną niecierpliwością, wszystkie fakty, niekiedy wydawałoby się błahe, które wskazywały na cywilizacyjne zacofanie Polski oraz odmienności w stylu życia będące w takim samym stopniu wynikiem masowego awansu społecznego, co komunistycznego standardu życiowego. Właśnie dlatego, że emigranci zwracają uwagę na szczegóły, często lepiej oddają ówczesną codzienność i „inność” świata komunistycznego niż niektórzy autorzy zabiegający o stworzenie makrosocjalnej syntezy.

Emigranci nie są w stanie zrozumieć przyczyn powszechnego niechlujstwa, które nie zawsze dawało się wytłumaczyć biedą kraju: wymiętoszonych i nie pozapinanych mundurów oficerów, niedbałych kolejarzy, brudnych koszul urzędników i dość powszechnego zjawiska: nie oczyszczonych butów. Denerwuje ich pijaństwo, niekompetencja urzędników i sposób rozmawiania z klientami jak z petentami, który Sally Boss (Ewa Thompson) określi jako oscylację między przywilnością a opryskliwością. Emigranci nie mogą się nadziwić rozpiętości między poziomem życia na prowincji, nie wspominając już o wsi, a dużymi miastami (Warszawą, Krakowem, Poznaniem); często również między centrum miasta a jego peryferiami.⁹ Emigrantki zwracają uwagę na kobiety chodzące już wczesną wiosną bez pończoch lub też w pończochach z spuszczanymi oczkami, co przy upowszechnieniu nylonów na Zachodzie było dla nich szokiem. Wszystkich zadziwia bylejakosć nowych dzielnic mieszkaniowych i powszechna szarzyzna, wśród której rzadkie, nieruchome neony bardziej przypominają pomniki surrealizmu niż reklamę.

Relacje emigrantów pełniły wielorakie funkcje, również i ostrzeżenia wobec innych: nie wracajcie, bo tam nie da się żyć. Przeważnie były jednak świadectwem emigranckiego rozdarcia, które Danuta Irena Bieńkowska wyraziła następująco: „I to jest właśnie prawda – ani tam powrócić, ani stamtąd odejść na zawsze. Zawsze ciągnie i zawsze odpycha”.¹⁰

⁸ J. Kornacki: *Próba dialektyki*, nr 3/1957.

⁹ J. Plot [Andrzej Markiewicz]: *Skrawek Ojczyzny*, nr 1–2/1961; nr 4/1961.

¹⁰ D. I. Bieńkowska: *Głupstwa i niegłupstwa, Migawki z Polski*, nr 6/1970.

Opinie i wrażenia emigrantów były na ogół źle przyjmowane w kraju. Stefan Kisielewski dyskredytuje reportaż Jadwigi Jurkszus-Tomaszewskiej¹¹ i zjadliwie komentuje relację Ewy Karpińskiej, uważając, że „roi się tam od rzeczy wręcz dziecinnych”. Podobne oburzenie daje się wyczytać w replice Lucjana Perzanowskiego na reportaż Mieczysława Lurczyńskiego. Nastąpiło tu zderzenie postaw: przedstawiciel nowej fali emigrantów komentuje uprzedzenia do „starego kraju” emigracji wojennej.

Niechętny stosunek do relacji emigrantów wynikał między innymi z odmienności spojrzenia na rzeczywistość krajową. Inteligencja krajowa była dumna z tego wszystkiego, co ciągle łączyło Polskę z Zachodem i co ją do niego upodabniało. Uważała – nie bez racji – że jest w tym i jej zasługa. Podkreślanie przez emigrantów podobieństwa Polski do sowieckiego świata, zwłaszcza w okresie popaździernikowym, drażniło, gdyż było odbierane jako lekceważenie własnego wysiłku, starań i poświęcenia. Znamienna jest pod tym względem rozmowa polskiej turystki z Juliuszem Mieroszewskim, podczas której pierwsza tłumaczy drugiemu wyższość polskiego stylu życia nad zmaturalizowanym Zachodem, wyrażającą się w kulturalnej pasji. Schemat, wedle którego Polak, a już z pewnością polski inteligent, jest nastawiony na „bycie”, podczas gdy zachodni mieszczanin na posiadanie jak największej liczby przedmiotów, był przez lata balsamem leczącym kompleks biednego kuzyna pragnącego, by w salonie europejskim traktowano go równorzędnie, z należyty szacunkiem dla jego zachodniości.

Drugim, niezwykle ważnym elementem wiedzy o kraju były artykuły analityczne oparte na prasie i dokumentach. Brak miejsca nie pozwala na ich zamieszczenie, a szkoda, gdyż po dzień dzisiejszy artykuły Janiny Miedzińskiej, Zbigniewa Jordana czy Witolda Jedlickiego¹² czyta się z zaciekawieniem i pożytkiem. Pozbawione zacierzawienia ideologicznego, sytuowały omawiane zjawiska w perspektywie demokratycznego porządku społecznego. Nie zapominały ani o tym, czym była Polska za czasów stalinowsko-bierutowskich, ani o tym, że nie jest krajem demokratycznym, a nawet nie realizuje propagandowych haseł lansowanych w czasie Października. Chłodna, rzeczowa analiza stanie się z czasem w „Kulturze” rzadsza, choć całkiem nie zaniknie. Jej rzecznikami¹³ byli w większości wypadków reprezentanci tej grupy starej emigracji, dla której racjonalność wywodu i szacunek dla faktów były ważniejsze od antykomunistycznego pustosłowa i biadolenia nad nieszczęsnym losem Polaków.

Gdzieś od 1963 roku kontakty „Kultury” z krajem ulegają ponownemu przeobrażeniu. Jedni w trosce o zachowanie przywilejów małej stabilizacji, inni w obawie o własne bezpieczeństwo unikają domu w Maisons-Laffitte. Zmniejsza się również liczba relacji emigrantów, często z tych samych powodów. W trosce o rodzinę pozostającą w kraju wolą nie ujawniać się ze swoimi opiniami. A jednak napływ artykułów

¹¹ S. Kisielewski: *List otwarty do Redaktora „Kultury”*, nr 2/1962; J. Jurkszus-Tomaszewska: *Nowy Kraj – nieznany Kraj*, nr 5/1961.

¹² Wymieniam tytułem przykładu: J. Miedzińska: *Niebezpieczny eksperyment. Sądy robotnicze*, nr 10/1961; Z. Jordan: *Sens reorganizacji Polskiej Akademii Nauk*, nr 4/1960; W. Jedlicki: *Mały kodeks karny*, nr 9/1965.

¹³ Jednym z nich jest Józef Gidyński omawiający konsekwencje zmian wprowadzanych do ustawodawstwa, np. *Neostalinizm bez terroru. Reforma administracyjna*, nr 11/1975.

z kraju nie ustaje. Niekiedy odbywają długą, niespodziewanie okreśną drogę, nim znajdują się na biurku Redaktora. W opisach sytuacji krajowej uderza zmiana tonu: zniżenie nadziei i entuzjazm, z za konturów siemieżnego socjalizmu wylania się szara beznadzieja. Biedzie i brakowi perspektyw jakiegokolwiek zmiany towarzyszą afery, przekupstwo, łapówki i pijaństwo. Żadna grupa społeczna – jak twierdzi Gaston de Cerizay, czyli Stanisław Cat-Mackiewicz – nie jest w Polsce zadowolona, ale najmniej powodów do zadowolenia mają robotnicy. Prorocze słowa. Autorzy odnotowują narastające zbiurokratyzowanie aparatu partyjnego, jego obrastanie w przywileje i zachłanność na władzę; jednocześnie – zdaniem autorów – budzi on więcej pogardy i drwiny niż strachu. Opisuje się również zmiany w postawie społeczeństwa:

„Na każdym kroku – pisze anonimowy autor – popełnia się nadużycia, drobne oszukaństwa, składa się fałszywe zeznania. Na każdym kroku idzie się na kompromis moralny, wyśrodkowując pomiędzy szacunkiem dla samego siebie i koniecznością życiową. Jakież jest status moralny człowieka, który należy do partii i oficjalnie głosi jej slogany, w które wcale nie wierzy albo czuje do nich odrazę?”¹⁴

Niektórzy w opisach późnych lat gomulowskich łatwo wpadali w katastrofizm, snując ponure prognozy, inni nie przestawali mieć nadziei i nie tracili wiary w społeczeństwo. Zamieszczony w 5 numerze z 1968 roku artykuł Pelikana (Zbigniewa Florczaka – podpisującego swoje teksty PELIKAN) pod wymownym tytułem *Koniec Małej Stabilizacji* był odrzuceniem końca pewnej epoki.

Wydarzenia marcowe zarówno w ich aspekcie antysemitycznym, studenckim, jak i inteligentnym odbijają się szerokim echem w „Kulturze”. Nowa fala emigrantów przywozi ze sobą własną wizję Polski, zbudowaną na niedysiejszych nadziejach i późniejszych rozczarowaniach. Następuje konfrontacja postaw i poglądów nowych emigrantów ze starymi, z przedwojennymi i wojennymi doświadczeniami. Konfrontacja niekiedy polemiczna, niekiedy gorzka, zaprawiona urazami i uprzedzeniami. Spośród „nowych” tylko niektórzy pozostali wierni „Kulturze”.

Historia jakby przyspieszała kroku. Po marcu 1968 roku następuje grudzień 1970. Polska ponownie znajduje się na łamach prasy światowej. Nikt z autorów „Kultury” nie żywi żadnych złudzeń co do nowej ekipy partyjnej, wręcz przeciwnie – podkreśla jej niski poziom i niezdolność polityczną.¹⁵ „Kultura” uważnie śledzi wydarzenia w kraju, ich plonem są dwie publikacje: *Poznań 1956 – grudzień 1970* oraz *Sąd orzekł* (pierwsza wydana w 1971 roku, druga – w 1972). Warto odnotować wnikliwy reportaż Bolesława Sulika z grudniowego strajku w Szczecinie, wydrukowany już po następnym buncie robotniczym w 1976 roku. Była to pierwsza, niezależna opowieść o robotniczym proteście i o sposobach rozprawienia się z przywódcami strajku. Obok reportaży i artykułów analitycznych poświęconych problemom krajowym, od połowy lat sześćdziesiątych pojawiają się krótkie informacje, które od numeru 7–8/1969 będą drukowane w rubryce: „Wydarzenia miesiąca”. Stała się ona wkrótce niezmiernie popularna, gdyż w zwięzłej formie informowała o zasadniczych wydarzeniach krajowych.

¹⁴ [–] *Konfrontacje*, nr 7–8/1967.

¹⁵ B. Kotowicz [Andrzej Szczypiorski]: *Po Gomulce Gierek...* (List z Kraju), nr 10/1976.

Rubryka przetrwała z niewielką zmianą do dnia dzisiejszego. Po 1990 roku tytuł „Kraj i blok wschodni” zostaje zamieniony na „Polska i wschodni sąsiedzi”.

W centrum zainteresowania „Kultury” pozostaje inteligencja i jej najwięcej miejsca poświęcają autorzy artykułów nadsyłanych z kraju. W ciągu niespełna 10 lat inteligencja przechodzi znaczącą ewolucję: od przygnębienia i poczucia bezwyjątkowości do buntu, do dysydencji, a następnie – do zorganizowanej opozycji. W 1975 roku Zygmunt Ossowski¹⁶ analizując sytuację w Polsce, którą określił jako neostalinizm bez terroru, konkludował:

„Generalnych propozycji, zmierzających do naprawy socjalizmu nie wysuwam, bo nie wierzę już w jakiegokolwiek reformy. Rządy imperialne Rosji w Europie Wschodniej nie dadzą się pogodzić z jakąkolwiek »naprawą Rzeczypospolitej«. Hasłami naprawy daliśmy się zwać już kilkakrotnie i w tej chwili nikt nas na nie nie nabierze”.

Autor nie mylił się: niewiele osób spośród inteligencji humanistycznej wierzyło jeszcze w socjalizm i jego naprawę.

W roku 1976, po wydarzeniach czerwcowych, to jest kolejnej rozprawie ze strajkującymi robotnikami, powstaje Komitet Obrony Robotników: pierwszy, opozycyjny ośrodek, którego założyciele działali pod własnymi nazwiskami mimo policyjnych i politycznych represji. „Kultura” staje się trybuną opozycji, nie tylko KOR-owskiej. Na jej łamach ukazują się programy, dokumenty, listy protestacyjne i prowadzi się dyskusje o teraźniejszości i przyszłości Polski. W numerze 12 z 1976 roku kronika działalności opozycyjnej rozpoczyna się na stronie 125, a kończy na 160. Od tej pory „Kultura” staje się bardziej pismem krajowym wychodzącym na obczyźnie niż pismem wyrażającym opinię polskiej emigracji.

Grażyna Pomian

¹⁶ Z. Ossowski [Andrzej Micewski]: *Neostalinizm bez terroru*, nr 6/1975.

JÓZEF ŁOBODOWSKI

Sytuacja w kraju poprzez korespondencję

Pokaźna korespondencja, jaką sekcja polska programów zagranicznych radiostacji madryckiej otrzymała z kraju na przestrzeni roku, stanowi niewątpliwie wymowny w swym autentyzmie dokument obecnej rzeczywistości i nastrojów społeczeństwa. Audycja polska istnieje od stycznia ubiegłego roku, jednakże listy, które napływały w pierwszych miesiącach, pochodziły prawie w całości ze środowisk emigracyjnych; pierwszy list z kraju przyszedł w lutym ubiegłego roku, masowo zaś zaczęto je otrzymywać począwszy od czerwca–lipca. Listów tych nadeszło do końca wiosny 1950 przeszło tysiąc (nie licząc emigracyjnych), a nie brak wśród nich korespondencji obszernych, zasługujących jeśli nie na nazwę referatów, to w każdym razie szczegółowych sprawozdań.

Około osiemdziesięciu procent całej korespondencji pochodzi z dzielnic po lewej stronie Wisły; najsłabiej odzywają się Lubelszczyzna, Podlasie i Białostockie. Jest kilka unikatów, na przykład w postaci listu ze Stanisławowa, a nawet, co brzmi wręcz fantastycznie, z pewnej miejscowości zauralskiej. Nie potrzeba dodawać, że list ten przebył długą i skomplikowaną drogę, zanim dotarł do rąk adresatów. Gdy zaczynano pracę, poważnie liczone się z tym, że bezpośredniego kontaktu z krajem w ogóle się nie zdoła nawiązać. Któż mógłby wówczas przypuścić, że pewnego poranka otrzymamy wiadomość z dalekiego sybirskiego stepu!

Rozpiętość wieku piszących jest bardzo wielka, należy jednak podkreślić, że procent młodzieży szkolnej (nie akademickiej) stale wzrasta. Inteligencja reprezentuje znikomą mniejszość; znakomita większość – to robotnicy i chłopci, nierzadko ludzie z trudnością władający piórem. Listy podpisywane są z reguły pseudonimami, przy czym wielu korespondentów nie zaniebduje okazji, by popisać się swoistym humorem. Tak więc ktoś podpisuje

kartę pocztową – „Wiesław Osóbka”, inny kaligrafuje pod listem – „Kostek Rokossowski”. Poza tym nie brak takich podpisów, jak Marysia Oczekiwal-ska, Wierny Słuchaczewski, Niepodległy Polak i tym podobnych. Korespon-dent z małej miejsciny podaje następujący adres: „Rokossowo, Aleja Stalina 397”. Inny podpisuje się – „Satrapa Konstanty. Wieś Oddaje. Poczta Czasu Warszawskie”. Listy od młodzieży podpisywane są często zbiorowo, po trzy, cztery i więcej imion lub pseudonimów.

Pozytywny stosunek do audycji madryckiej wyraża się w różnej formie, poczynając od ocen entuzjastycznych, a na przychylniej krytyce kończąc.

„Przynajmniej przez te pół godziny przeniesie się człowiek w inny świat – pisze stały korespondent ze Śląska – w świat, gdzie się oddycha świeżym powietrzem, tak nam dzisiaj potrzebnym, bo my tu się tak czujemy, jak w długie i nie kończące się dni słotne [...]” „Drodzy przyjaciele – pisze inny Ślązak – nie macie pojęcia, z jaką uwagą w kraju śledzą wasze audycje. Kiedy już rozpacz szarpie człowieka, to po półgodzinie waszych słów człowiek jakoś znów na duchu się podnosi”. * „Audycje z Madrytu w naszym mieście (mowa o mieście wojewódzkim na Ziemiach Odzyskanych) i dalej słucha bardzo szeroki ogół społeczeństwa. Co do poziomu i aktualności omawianych zagadnień oraz bezkompromisowości w naszych sprawach, audycje polskie z Madrytu stoją na pierwszym miejscu ze wszystkich audycji polskich za granicą”. „Nareszcie mamy audycję polską o naprawdę po-krzepiającej treści, bo to, co dotąd na falach eteru odbieraliśmy, było bardzo mdłe i nic nie mówiące”. „Kochani! Godzina 20.30 jest dla nas wszystkich godziną nadziei i pocie-szenia w naszej ciężkiej niewoli”. „Na terenie naszego miasta (Łodzi) rozmawiałam z kilkudziesięcioma osobami na temat Madrytu i każda osoba oświadczała: «Jeśli chodzi o Madryt, to nadaje najlepsze audycje z zagranicy». Wszyscy twierdzą jednomyślnie, że rezygnują z wielu przyjemności, aby móc wysłuchać nadawanej przez was audycji”. „Au-dycja wasza znajduje wśród nas Polaków w okupowanym kraju pełne zrozumienie. Jak żadna z zagranicznych audycji podnosi nas na duchu...”. „Pamiętajcie, że słuchają was po prostu setki tysięcy Polaków – oświadcza karta »znad Brdy i Noteci« – gdyż przy każdym aparacie o 20.30 zbiera się co najmniej 4–8 rodaków, by się waszą audycją pokrzepić, nieraz od wsi do wsi w błocie brodząc po kolana... Onegdaj rozmawiałam z repatriantem ze Lwowa, który mi potwierdził, że i we Lwowie was szeroko słuchają i łakną waszej au-dycji”. „Słuchanie Madrytu staje się coraz popularniejsze w całej Polsce. Myślimy o tym, aby zorganizować słuchanie Madrytu dla młodzieży szkolnej [...] Dziękuję wam w imie-niu nauczycieli naszej szkoły za te chwile odprężenia i nadziei, które nam dają wasze au-dycje”. „Nawet wielu reżymowców słucha z zainteresowaniem audycji madryckich.” „Mówicie tak, jakbyście tutaj z nami przeżywali tę potworną rzeczywistość”. „Gdyby nie cenzura reżymu komunistycznego i obawa przed represjami ze strony UB, mielibyście pa-nowie takich listów tysiące”.

Bardzo często pozytywna ocena programów madryckich idzie w parze z krytyką innych radiostacji zagranicznych.

* Wszystkich skrótów w cytowanych wypowiedziach dokonał J. Łobodowski.

„Takim językiem jak wy – pisze »Kmicic« – ci z Londynu ani z Ameryki przemawiać nie potrafią [...]. Słuchamy was tak, jak jeszcze przed rokiem słuchaliśmy »Głosu Ameryki«. Lecz dziś w Polsce zaczynają nienawidzić Ameryki za jej obojętność patrzenia na naszą niewolę z rękami założonymi [...]». „Anglii nikt już słuchać nie chce, bo tylko doznaje rozczarowania i przykrego zawodu [...]”. „Najlepsze audycje są wasze, reszta – to szkoda czasu na słuchanie. Powiedźcie Francji, że ich audycje są banalne [...]. Ameryka – mogliby się sami wyeliminować, a nie zabierać czasu ludziom swymi występami”.

Przyszło też w ciągu tych siedemnastu miesięcy kilka listów z wymysłami. Można je zresztą policzyć na palcach jednej ręki. Jakiś jegomość z Krakowa, przedstawiający się jako dobry Polak i praktykujący katolik, oświadcza, że wszystkie informacje o walce z Kościołem i religią są nieprawdziwe; kiedy indziej robotnik z francuskiego Nordu* nazwał osoby pracujące w madryckiej audycji „faszystowskimi włóczęgami”; słuchacz–Ukrainiec oburzył się na tekst poświęcony Ziemi Lwowskiej; wreszcie swoiste *curiosum* stanowi list ze Szwecji, w którym „stały słuchacz” *Reichsdeutsche, in Litzmannstadt geboren*, chwali audycję madrycką za dobry poziom, oświadczając jednak, że wszystko to na nic się nie zda, bo i tak Warszawa zostanie definitywnie zburzona, zaś Polacy będą musieli przenieść się na Polesie, gdzie założą swoją stolicę w Pińsku. Podpis z zakrętasem, rysunek trupiej główki, no i nieodzowne *Heil Hitler!*

Przychodzą listy od Rosjan i Ukraińców, słuchających audycji polskiej o tyle chętnie, że audycja madrycka w języku rosyjskim jest zbyt silnie głoszona. Listy te, skarżące się przeważnie na utrudniony odbiór audycji rosyjskiej, rzadko kiedy przynoszą ciekawszy materiał.



Co przede wszystkim uderza w tych listach, to żywiołowa nienawiść do Sowietów i komunizmu. Niektóre wypowiedzi sprawiają takie wrażenie, jakby piszący człowiek chciał wyrzucić z siebie w jednej chwili całą nagromadzoną gorycz i gniew, spiesząc się, przeskakując z tematu na temat, niemal dławiąc się własnymi słowami... Każdy ma coś do powiedzenia o okrucieństwie bolszewików, o nadużyciach i gwałtach armii sowieckiej, i prawie każdy prosi o odczytanie listu przed mikrofonem, „żeby dowiedział się cały świat”.

* Północne rejony Francji o dużym nasileniu polskiej emigracji.

„Powiedzcie robotnikom włoskim, francuskim i hiszpańskim – pisze na półpiśmienny, choć dobrą polszczyzną władający górnik z Górnego Śląska – że choćby im było bardzo źle, choćby im było najgorzej, niech nie słuchają propagandy komunistycznej, bo dopiero w tym ustroju poznaliby, co to prawdziwe piekło!”

Niewątpliwie wstrząs psychiczny wywołała w kraju nominacja Rokossowskiego, oceniona jako zdecydowany zwrot w polityce sowietyzacyjnej. Przyjście czerwonego marszałka i słynny list Stalina do Wilhelma Piecka wzbudziły w Polsce znaczny niepokój, któremu daje wyraz większość korespondentów. Ostra kampania przeciw Kościłowi również przyczyniła się do wzrostu nastrojów pesymistycznych.

„Jeszcze rok temu – czytamy w liście podpisanym »Robotnicy ze Śląska« – wielu z nas wierzyło obietnicom, propagandzie i nawet zapisywało się do partii, dziś zaledwie mały procent pozostał prawdziwych komunistów, albo zaprzedańców, co to dla kariery. Zmiana ta nastąpiła z dwóch powodów. Jednym to jest zbratanie się naszego rządu z Niemcami. Jeszcze rok temu wielu wierzyło, że rząd dla nas dobrze chce, a teraz każdemu aż się w każdym żyma, jak to nie pamiętają mordów niemieckich, obozów Treblinki, Oświęcimia, Palmir, egzekucji na ulicach, spalenia Warszawy. To nam otworzyło oczy na dobre, zdrada jaka czy co, teraz to pewno cały Śląsk oddadzą Szwabom, na to się zanosi, domy po miastach mieli sprzedawać, ludzie robili starania, a wszystko strzymane i gospodarstwa też mieli przepisywać na własność. To by wyglądało na zdradę. Drugim powodem to jest walka z religią. Nasze kobiety pierwsze podnieśli gwałt. Prawie każdy jeden był u spowiedzi, księża spowiadali całą noc po rekolekcjach, a w Palmową Niedzielę komunია trwała z pół godziny, przystępowali przeważnie mężczyźni i młodzi, i starsi tacy, którzy przedtem do kościoła nie chodzili, na rekolekcjach tłok jak nigdy... W święta widziałem się ze szwagrem, jest górnikiem w jednej kopalni, powiada że to samo u nich, a na nowe zarządzenia klną, ale wszyscy udają jak niby nic, nawet między sobą nie mówią głośno, bo jest dużo szpiegów, my tak samo boimy się i z nieznanymi nie rozmawiamy. Ci górnicy, co przyjechali z Francji, to żalują, że przyjechali i zaraz by tam powrócili, żeby ich puszczono, choć im dogadzają jak mogą. Że to co piszemy jest prawdą, to się może panowie sami kiedyś przekonają, bo jakaś zmiana musi przyjść, bo tak długo ludzie nie wytrzymają. Coraz więcej mówią o wojnie, to może i będzie”.

Wzrost religijności, o którym pisze śląski górnik, widoczny jest poprzez lekturę wszystkich listów, niezależnie od wieku, pochodzenia i pozycji społecznej korespondentów. Spory procent listów zaczyna się od „Pochwalony!” i kończy poleceniem adresatów Opiece Boskiej. Niektóre tchną swoistym mistycyzmem, inne są wręcz pisane w modlitewnym stylu i nastroju.

Skargi na pogarszającą się sytuacją gospodarczą stanowią inną dominantę większości listów.

„Jesteśmy eksploatowani przez Rosję. W naszych sklepach nie widać nic, a przecież wciąż się mówi o przekroczeniu planu, o wykonaniu 200 lub 300 procent normy. Więc gdzie się to wszystko podziewa?”.

„Warunki życiowe są pod psem. Robotnik pracujący po osiem godzin dziennie, niedziele i święta, zarabia na miesiąc 12–13 tysięcy złotych. Kilo mięsa kosztuje 480 zł, kiszki 400–500 zł, chleb 48 złotych kilo. Ubranie (tandeta) 10 000 złotych, para butów 6000–10 000 złotych, ale to takie słabe, że szybko się drą [...]. Mięso otrzymujemy na kartki po 150 gramów na tydzień na jedną osobę. Tyle mięsa zjadać to ni dla psa, ni dla kota [...]. Byczo jest w »demokracji ludowej«...”

„Na pierwszego stycznia podnieśli nam zarobki o 5 procent, a mięso, słoninę i szynkę podnieśli o 30–60 procent, wełnę o 35 procent itp.”. „Zarabiamy bardzo mało, jak mam według 8 grupy 11 400 złotych, odtrącają około tysiąca, a potem przekłeta partia, do której pod terrorem trzeba należeć, prasa, związki zawodowe itd. – pozostaje 10 000 złotych”. „To, co robotnik dostaje, to u dobrego gospodarza pies więcej zje, a przy tym normy nie potrzebuje wyrabiać [...]”. „Dla NKWD jest oddzielny sklep, gdzie mogą we wszystko zaopatrzyć się, ale dla robotników nie ma nic, oprócz wszy i głodu – oto taka równość. Oto dobrobyt. Ratujcie świat, póki czas!”.

Wiele listów podaje przykłady marnotrawstwa gospodarczego, spowodowanego niedbalstwem i przerostami biurokracji partyjnej.

„Zspali zboże do szopy na wysokość dziesięciu metrów, no i zboże zgniło – nie miał wieśniak, nie miał robotnik, nie miało państwo. Chleb był ze stęchłego żyta – ale kto się tam martwi o los robotnika!”. „Spędza się do wagonów całe setki świń i wiezie bez wody, bez jedzenia, zanim się dowiezie do miejsca przeznaczenia, to połowa ginie i idzie na gnój, a robotnik dostaje 50 gramów mięsa na cały tydzień”.



Z otrzymywanej korespondencji zdaje się wynikać, że prasa emigracyjna w niewielkim tylko stopniu informuje o objawach rosnącego terroru politycznego.

„Wy tam na emigracji – pisze robotnik śląski – wiecie tylko o większych procesach, ale co się dzieje na co dzień, to tylko my w kraju mamy pojęcie. [...] Zagranica mówi o rzeczach dziejących się u nas tylko w ułamku tego, co jest. Na przykład, o aresztowaniach to wiedzą tylko o osobistościach znanych, a przecież wciąż są aresztowania różnych ludzi, z różnej warstwy i tych małych najwięcej. Nikt nie wie, że wielu z nich wieszają. Nikt też nie wie, że już zabierają tę osobę, która wystarczy, że powie, że nie ma masła czy mięsa i nawet nie można wiedzieć, przed kim się stoi w kolejce. A w najlepszym razie przychodzą do mieszkania, robią rewizję dokładną i każą podpisać, że w dwudziestu czterech godzinach opuszczasz dobrowolnie miasto i z zamkniętą buzią...”

„Kto by do kina na sowiecki film nie poszedł, już jest politycznie podejrzany i przy pierwszej okazji się go oskarży za byle jaki wymyślony sabotaż i już siedzi”.

„Na kopalni »Wujek« koło Katowic miała miejsce taka oto zbrodnia. Kiedy robotnicy odmówili wykonania nieludzkiej wysokiej normy wydobywania węgla, zjechał siepacze spod znaku UB [...], użyto broni [...], po stronie robotników padło 6 zabitych i 14 rannych, po stronie bolszewickiej padł jeden czerwony policjant [...]. Boję się podać prawdziwe nazwi-

ska, bo mógłbym się znaleźć w Miłecinie... A nie macie pojęcia, co znaczy tam Polak prawdziwy, co nie chwali demokracji ludowej – w Miłecinie uśmierca się takiego na serce. Rozmawiałem z kolegą, który siedział w Miłecinie. Jak opowiadał mi o tym obozie, włosy mi dęba stawały”.

„W jednym z powiatowych miasteczek poruszenie niebywałe [...], odbywa się wielki proces w trybie doraźnym przed sądem wojskowym. Na ławie oskarżonych troje dzieci. Dwóch chłopców i jedna dziewczynka – uczniowie pierwszych klas gimnazjalnych. Dziewczynka w harcerskim mundurku, jeden z chłopców także. Prokurator surowym głosem oskarża: »Dążyli świadomie do obalenia siły ludowej władzy w Polsce...«. Rzecz działa się następująco: Na pobliskiej stacji kolejowej po sprzeczce między żołnierzami rosyjskimi, którzy się tu włóczą jak psy bezpańskie, doszło do strzelaniny, w trakcie której dwóch bolszewickich oficerów zostało zabitych i kilku rannych. Polskie pacholki usłuźnie wykonali rozkaz Moskwy i polskich żołnierzy rozstrzelano. Fakt ten wywołał ogólne oburzenie i był gorąco dyskutowany. Naturalnie przede wszystkim u młodzieży. Bolszewicy postanowili więc za jednym zamachem wszystkie gęby zamknąć. Upatrzili tych troje. Chodzi o to, że ta cała trójka dyskutowała, że żołnierzy polskich zabijają Rosjanie i że na Sybirze jest źle. Sąd uznał ich winę i skazał. Chłopiec i dziewczynka, którzy na temat zajęć rozmawiali, dostali po dwa lata więzienia, a drugi chłopiec, który przysłuchiwał się rozmowie i potakująco kiwał głową, rok więzienia... Fakt ten jest autentyczny i mogę podać dalsze szczegóły”.

Niemal z miesiąca na miesiąc można z lektury tych listów dostrzec rosnące wciskanie się terroru politycznego do najbardziej prywatnych zjawisk życia, przez co coraz bardziej zwęża się i tak już szczupły margines, w którym społeczeństwo szuka chwili odpoczynku i zapomnienia. Zwłaszcza od ubiegłej jesieni zaznacza się wyraźna zmiana w tonie i nastroju większości listów. Przebija przez nie rosnące znużenie, a niekiedy i beznadziejność, choć również nie brak listów pełnych otuchy i wiary w przyszłość. Te jednak od pewnego czasu stanowią mniejszość.

Ludzie są już znużeni natrętną, krzykliwą propagandą, od której uciec niepodobna.

„Żeby tę orgię propagandową – pisze korespondent ze Śląska – pojąć i odczuć, to trzeba to oglądać na własne oczy. Takiej powodzi transparentów i obrazów bóstw marksistowskich świat nie oglądał dotychczas. Nam tu zły los tego nie skąpi i sypie się to na nas, jak z rogu obfitości”. „Kochani, jeżeli w tym roku wojna nie wybuchnie, to będzie z nami koniec”. „My tu w ojczyźnie dłużej już nie możemy wytrzymać. Bo nikt wierzyć nie chce, co głosi propaganda reżymu komunistycznego, ale coś zrobić, że pod naciskiem partyjnym i pistoletów ubowskich ludność polską do wszystkiego zmuszają”. „Tam, gdzie pracuję, jest 75 procent partyjnych, ale wiedźcie, że takich, jak ja – muszą, bo zależą na pracy i życiu...”.

„Jestem członkiem komunistycznego związku ZMP oraz członkiem PZPR. Na ich zebraniach te gładzenia komunistyczne wywołują chęć pojechania do Rygi, a serce z bólu pęka... Reżym komunistyczny dużo młodzieży załamał, ale jest to wygląd tylko zewnętrzny, w sercu jesteśmy jednak prawdziwymi Polakami”. „Spędza się ludzi na zebrania, wy-

ciąga się gotową rezolucję i odczytuje, pada pytanie, kto jest przeciw tej rezolucji, a że takich śmiałków nie ma, więc rezolucja jest jednomyślnie przyjęta i posłana do prasy. Czego my tu spontanicznie nie uchwalamy! Przeciw podżegaczom wojny, przeciw uciskowi ludu pracującego na zgniłym Zachodzie, przeciw nadużyciom w Caritasie, przeciw mieszanii się kleru do polityki. Niepodobna tu wyliczyć wszystkiego, czego my tu spontanicznie nie uchwalamy [...]". „Porównać nas można do człowieka ciężko chorego, który wie, że tylko operacja może go uzdrowić, bo innego wyjścia nie ma. Dla nas tutaj życie nie przedstawia już takiej ceny, jak kiedyś, więc nie bardzo dbamy o nie". „Już nie można znieść tej obrzydliwej propagandy, tej atmosfery przygniatającej, tego bólu i łez. Od czerwieni aż oczy boją, a ciągle sowieckie akademie, sztuki w teatrach, filmy – na każdym kroku serca się ranią [...]". „Ten, kto tu nie jest, nie może mieć wyobrażenia, co to propaganda. Jest to słowo tak straszne, że można nim człowieka uśmiercić, a co najmniej do obłędu doprowadzić [...]. Do największej ohydy trzeba to zaliczyć, że ludzie muszą brać udział w różnych obchodach i głośno manifestować, że im teraz dobrze [...]". „Doprowadzają nas do granicy obłędu [...] w czasie okupacji hitlerowskiej mieliśmy przynajmniej nadzieję, że się to raz skończy, teraz nadzieja ta jest bardzo mała, a może nawet żadna...". „Męczą nas te wieczne zebrania, ta nieustanna propaganda, te wszystkie uchwały, zawsze »jednomyślne« i »dobrowolne« [...]". W Polsce czerwony terror panoszy się coraz bardziej, a my musimy tylko zaciskać zęby i czekać na lepszą przyszłość [...]. Ale ten stan wyczekiwania staje się dla nas wszystkich coraz bardziej wyczerpujący [...]". „Jestem uczniem, no i należę, oczywiście, do tak zwanego ZMP. Należymy prawie wszyscy, bo inaczej trudno byłoby otrzymać maturę. Chodzę regularnie na zebrania, chociaż wiele mnie to kosztuje, bo czasami to człowiek po prostu zwymiotowałby do tego ich gadania [...]". „Chwilami żyć się nie chce, zdaje się, że wszystko stracone, że niewola na wieki, stokroć gorsza nawet od niemieckiej, gdyż podczas okupacji hitlerowskiej miało się do czynienia z otwartym wrogiem i nikt nie zmuszał do wstrętnego zakłamania, a obecnie zmuszają człowieka do zaparcia się siebie [...]". „Za Hitlera było lepiej, bo przynajmniej można było walczyć i zginąć, a takie życie, jak teraz, to chyba gorsze od śmierci!"

Procent listów, wyrażających skrajnie rozgoryczenie i zdecydowanie negatywny stosunek do Zachodu, jest stosunkowo niski; wolno jednak przypuszczać, że w normalnych warunkach korespondencyjnych byłby znacznie wyższy.

„Pięknie mówić to potraficie, ale nic konkretnego nie umiecie powiedzieć". „Chcemy nareszcie wiedzieć, kiedy to się skończy, a nie słuchać słów pocieszenia [...]". „Każdy nas tylko pociesza! Nie pocieszajcie nas słowami. Dajcie nam pociechę czynem. Uwolnijcie nas spod jarzma plagi naszej. Tego od was oczekujemy i żądamy, jako od tych, za których sprawę walczyliśmy. Nie gadajcie nam pustych frazesów, które nas jeszcze więcej zanurzają w czarną rozpacz bez wyjścia [...]". „Wyrazu »zgniły Zachód« często używają komuniści i nie całkiem bez racji, bo jak ktoś umie wygłaszać jakieś hasła, a nie umie o nie walczyć, to sam podaje lekceważeniu to, co wyznaje, więc w propagandzie komunistycznej przeciw Zachodowi jest pewna doza prawdy [...]". „Owszem, my wiemy, że nas łupią, ale co wy chcecie nam dać? O co idzie ta walka? – wyłącznie o własny żłób, o stanowisko, po trupach się idzie do władzy, obiecując wolność i dobrobyt naiwnym, a gdy się siedzi

dobrze już na koniu, to się wtedy innych przykróca. Teraz tam (na Zachodzie) [...] niby nas żalują i ubolewają – niech oni sami zapłaczą nad sobą...!”

Zapewne właśnie dlatego, że znużenie przeciągającym się stanem rzeczy i rozwydrzoną propagandą komunistyczną zaczyna dochodzić do kresu ludzkich sił, tak wielka liczba korespondentów zwraca uwagę na audycje, w których urząda się kpiny z marksistowskiej frazeologii i sowieckich sloganów, karykaturyzując typowe chwytły propagandowe.

„Prosimy jeszcze więcej – pisze Robotnik z Ziemi Odzyskanych – krytyki, satyry i humoru pod adresem obecnych marionetek stalinowskich w Warszawie, [...] żeby więcej razy w audycjach występował ten »starszy pan« ze swoją humorystyką. Bardzo chętnie jest słuchany i nas trochę w tej niewoli rozwesela...”. „Bez humoru i satyry »starszego pana« nie wyobrażam sobie audycji madryckiej”.

Najwidoczniej bezceremonialne, a niekiedy brutalne kpiny z bonzów bolszewickich, okadzanych na co dzień natrętą propagandą, już samym prawem reakcji dają ludziom w kraju pewne psychiczne odprężenie.



Rzadko kiedy piszący precyzuje swój stosunek do emigracji jako zjawiska politycznego. Powtarza się niezmiennie westchnienie zazdrości: „Jesteście szczęśliwi, że żyjecie w wolnych krajach!” – choć w liście pisanym przez uczennicę gimnazjalną czytamy opinię nieco inną:

„Tu w kraju mówią o was, że jesteście szczęśliwi i zazdroszczą wam, ale ja myślę, że lepsze warunki zewnętrzne to jeszcze nie wszystko; musi być i wam bardzo ciężko w tęsknocie za krajem i w nieświadomości dnia powrotu do ojczyzny”.

„Głoście prawdę o Sowietach, uświadamiajcie opinię krajów na Zachodzie” – oto życzenie wypowiedziane w tonie imperatywu niemal w każdym liście.

Ciekawsze uwagi na ten temat znajdujemy w bardzo obszernym liście, referacie niemal, pisanym przez człowieka niewątpliwie bystrego, a przy tym ujmującego sprawę na zimno, bez emocjonalnego zabarwienia, jakim odznacza się lwia część listów.

„O ile w czasach okupacji niemieckiej żyliśmy tym tylko, co dochodziło przez BBC, o pracach naszego ówczesnego rządu, sukcesach i niepowodzeniach, radościach i smutkach – o tyle dziś, po czterech latach »wolności«, kiedy naród łudzono biało-czerwonymi sztandarami, kiedy *Mazurkiem Dąbrowskiego* wyciskano łzy radości, kiedy – paradoksalnie w obecnym układzie stosunków politycznych – wytyczano zachodnią granicę Chro-

bręgo, a jednocześnie stopniowo zastępowano biało-czerwone sztandary czerwonymi, hymn narodowy – *Międzynarodówką*, przy całej ohydzie służalczości w stosunku do Sowietów i ordynarnego ich małpowania – naród nasz otępiał, kwestia bytu, najzwyczajszej egzystencji, walka o byt, dla siebie i dla najbliższych stała się jedyną domeną zainteresowań i dążeń. Naszą emigrację z terenu Wielkiej Brytanii postawiono poza nawias zagadnienia – jako środowisko bankrutów politycznych [...]. To zdyskredytowanie w oczach narodu jego emigracji [...] było częściowo zasługą wielu spośród tych, którzy wrócili z Zachodu do kraju w myśl znanego powiedzenia, że »Polskę można odbudować tylko będąc w kraju«.

„Gdzie jest prawda? Sądzę, że otrząsnęliście się z marazmu i zdobyli na konkretne osiągnięcia – o tym przynajmniej świadczyłaby audycja z Madrytu. Na wpadacie jednak w pychę, jeszcze daleko do tego, abyście mogli powiedzieć, że jesteście pełnowartościowym odpowiednikiem woli narodu i wyłącznym jej wyrazicielem. Kapitał moralny, utracony z tych czy innych powodów [...], należy odzyskiwać systematycznie w coraz silniejszym oparciu o kraj...”

„Chcemy w was widzieć ludzi, którzy się nie dadzą zaskoczyć wydarzeniom, lecz w przewidywaniach swoich wybiegają w przyszłość i ochraniają naród przed zdradliwymi nowościami jutra. Nie wiemy, co nam tu w kraju przyniesie przyszłość, pesymizm stał się naszym udziałem, spodziewamy się stale coraz to nowych ciosów i stałego pogarszania się naszej rzeczywistości. Gdyby było inaczej – użyłcie nam nieco swego optymizmu. Nie chodzi nam o słowa pocieszenia, lecz o konkretne fakty, dające możliwość stawiania horoskopów”.

Zacytowany list jest zresztą, jeśli chodzi o szerokość postawienia problemu, raczej wyjątkiem. Z reguły korespondentów obchodzą wydarzenia w wielkiej polityce światowej, a nie dalekie podwórko emigracyjne. Nie wymieniają nazwisk; najwidoczniej sprawa Mikołajczyka jest już zbyt oddalona w czasie i przebrzmiała, o innych nie wiedzą lub nie chcą wiedzieć. Prawda, trzeba i tu zrobić jeden wyjątek: nazwisko generała Władysława Andersa powtarza się stosunkowo często, zwłaszcza w listach młodzieży; Monte Casino, odebranie obywatelstwa przez reżym i ciągłe ataki prasowe musiały zrobić swoje.



Pragnę podkreślić, że szereg audycji, częściowo lub w całości poświęconych młodzieży, spotkało się z natychmiastową i bardzo gorącą reakcją. Jak już zaznaczyłem na wstępie, chodzi tu przede wszystkim o młodzież szkolną, gdyż od studentów audycja otrzymała bardzo niewiele listów, zapewne nie przekraczających kilku promili w stosunku do ogólnej liczby.

Właśnie te listy, pisane przez sztubaków, odznaczają się stosunkowo większym optymizmem, a w poszczególnych wypadkach – o czym zaraz będzie mowa – zniecierpliwieniem i wolą walki czynnej.

„Duch w nas jest dobry – zapewnia jakiś siedemnastoletni młodzieniec – a gdy tylko padnie hasło, pójdziemy do walki i, jeśli trzeba będzie, zginie my za ojczyznę”.

„Bądźcie spokojni – zapewnia w zbiorowej epistole grono przyjaciół – wiemy, że trzeba działać bardzo ostrożnie. Łączymy się w małe kółka po trzech, czterech, by wspólnie pracować nad sobą i bronić się przed zarazą bolszewicką i aby być gotowymi na właściwą chwilę”. „Większość młodzieży na naszym terenie należy do ZMP dla interesu. Jakies 10 procent to aktywiści, rozsiani po zarządach powiatowych, dzielnicowych czy szkolnych. Około 90 procent jest w ZMP dla materialnych zysków. Większość, czyli 60 procent jest nastawiona negatywnie do dzisiejszej rzeczywistości, z czego wielu ma jasno skryształizowane poglądy na bolszewizm, a do ZMP należy bądź to dla zamaskowania się, bądź też dla rozbijania wroga od wewnątrz. Reszta to młodzież obojętna, niezdecydowana lub nie mająca pojęcia o bolszewizmie”.

Sporo piszą o młodzieży i starsi.

„Największą naszą troską – czytamy w liście »Znad nadmorskiej granicy« – są dzieci, gdyż pozbawione obecnie możności porównania z resztą świata, karmione jedynie propagandą, mogą uwierzyć, że to prawda”. „Doradźcie, co mam uczynić – błaga rozpaczliwie »Matka, jakich wiele«. – Nie chcę oddawać dzieci do komunistycznej organizacji, ale wiem, że bez tego nie będą mogły studiować. Co czynić? Przecież muszę im dać wykształcenie!” „W waszych audycjach – pisze cytowany już uprzednio »Kmicic« – wyczuwa się dużą troskę o młodzież. Chociaż sprawa przedstawia się groźnie, to jednak nie całkiem beznadziejnie, bo na truciznę, którą zatrują nasze dzieci, stosujemy odtrutkę i mamy nadzieję, że utrzymamy je przy jakim takim zdrowiu [...]. Mamy odporność moralną i będziemy się bronić do ostatka!”

Czasem zadźwięczy nuta wyraźnie sformułowanej krzywdy społecznej, z góry apelującej do trybunału przyszłości.

„Nie chciałem pójść do ZMP i usunięto mnie ze szkoły. Nie uczę się już od roku i wybaczone za błędy ortograficzne, ale brak mi wykształcenia. Inni moi koledzy nie cierpią komunistów, ale należą do organizacji, żeby skończyć szkołę. To zapytuję, czy jak Polska odzyska niepodległość, ci wszyscy, co poszli do komuny dla interesu, będą mieli takie same prawa, jak ci, co nie poszli?”

Od paru miesięcy coraz częściej zjawiają się w listach akcenty, dawniej nie istniejące, pomysły o walce czynnej, zapowiedzi zbrojnych wystąpień, co zdawałoby się dawać rację tym, którzy twierdzą, że wzrastający nacisk sowiezyczny doprowadzi do odrodzenia „lasu” na większą skalę. O takiej możliwości świadczą nie tylko listy pisane przez młodych i zapalczywych korespondentów.

„Żyję tylko wspomnieniami z mojej kochanej partyzantki – zapewnia »Słuchacz z Gór Świętokrzyskich«. „Kochani Rodacy, doradźcie, czy już jest czas na organizowanie ruchu podziemnego, bo my na wszystko jesteśmy już gotowi. Jakbyście mogli podać nam gotowe instrukcje, jak mamy postępować [...]. Mamy lat 18 i 19 [...]. Prosimy przestać ukłony dla generała Andersa”. „Pragnęlibyśmy skomunikować się z naszym rządem na emigracji i dostać od was pewne wskazówki dotyczące naszej działalności [...]. Będziemy działać i walczyć w szeregach naszej organizacji”.

Podpis. Podana nazwa organizacji i dołączona pieczęć.

„Chcę nawiązać kontakt z podziemiem [...]. Nie należy czekać, tylko brać się do czynu, bo tylko walka da nam wolność. Myślę, że znajdę takich, których szukam. Bo lepsza śmierć, niż katowanie bezpieki i niewola”. „Dosyć mamy już tego, że głód cierpieć i nędzę i być podwładnymi komunistów, więc postanawiamy walczyć – w jaki sposób, to pokaże przyszłość...” „My, robotnicy, myślimy tym zbirom urządzić krwawą sobotę, choć wiadomo, że nas później przerzedzą [...], żebyśmy tylko mogli jakąś pomoc techniczną z zewnątrz otrzymać [...]. Wiosna się zbliża, trzeba coś robić...”

Jest rzeczą charakterystyczną, że aż do ostatnich miesięcy tego rodzaju akcentów w listach nie było. Wzmoczenie tempa sowietyzacyjnego, zapoczątkowane ubiegłej jesieni, odbiło się na korespondencji w dwojaki sposób: znużenie i zwątpienie, dochodzące do rozpacz u jednych, nurtująca myśl o wznowieniu walki zbrojnej u innych. Jak zawsze, gdy się zwraca uwagę przede wszystkim na objawy skrajne, jest w takim ujęciu wiele z uproszczenia i uogólnienia, nie zapominajmy jednak, że od jesiennego Plenum KC, mianowania Rokossowskiego i zapoczątkowania generalnej ofensywy na terenie kultury i oświaty upłynęło zaledwie kilka miesięcy. Czas pokaże, czy pewne tendencje, jakim dają wyraz cytowane powyżej listy, okrzepną, czy też są to wysoki indywidualne, nie mające pokrycia w nastrojach mas.

✱

Powstaje pytanie, w jakim stopniu analizowana korespondencja jest pełnym i nieskażonym odbiciem rzeczywistości w kraju. W szczerść jej nikt zapewne wątpić nie zamierza. Jednak trudno byłoby przypisywać jej wartość wszechstronnej ankiety. Należy założyć, że ludzie, których rozgoryczenie, znużenie i apatia doprowadziły do całkowitego załamania i pogodzenia się z obecną rzeczywistością, nie słuchają audycji zagranicznych, a w każdym razie listów nie pisują. Gorąca reakcja młodych słuchaczy również nie powinna skłaniać do wniosków zbyt optymistycznych; odzywa się bowiem element najwrażliwszy i najwartościowszy. Tak więc, choć z całą słusnością można listy te traktować jako drgania igły na sejsmografie nastrojów krajo-

wych, nie wolno zapominać o konieczności przeprowadzenia pewnych poprawek czy uzupełnień.

Jedno nie ulega wątpliwości: kraj jest coraz bardziej znużony, co w części tłumaczy się psychicznym nieprzygotowaniem do tak szybkiego tempa socjetyzacji, skoro rachuby na przeciąganie się w czasie swoistego polskiego NEP-u całkowicie zawiodły. W tych warunkach odrodzenie podziemia ze wszystkimi jego konsekwencjami staje się nie tylko możliwe, ale i wysoce prawdopodobne.

Niech skłócona i tracąca czas w politykierskich gierkach na śmietniku zawiedzionych złudzeń emigracja zastanowi się nad tą ewentualnością i wyciągnie z niej właściwe wnioski, które oby znów nie przyszły zbyt późno!

Józef Łobodowski

[11/37/1950. Drugi artykuł ukazał się w 5/1951]

Rozmowa z „pozytywistą” krajowym*

– Piwo macie tu niewiele lepsze od naszego – powiedział, odstawiając nie dopity kufel. – Nie mam zresztą nic przeciwko temu, że w kraju piwo jest podłe, a wódka droga. Jest to jedna z form walki z alkoholizmem, prowadzonej u nas z niewielkim powodzeniem przez reżym, który zdaje się nie dostrzegać, że zwalcza objawy, a nie przyczynę. Zresztą – nawet i świadomość tego faktu nie mogłaby zmienić jego postępowania. Jedną bowiem z głównych przyczyn rozpanoszonego pijaństwa jest sam system. Wyobraź sobie taką sytuację: wracasz wieczorem do domu w lepszym niż zwykle nastroju – nie było tego dnia żadnej „akcji”, szkoleniówki czy pochodu – mogłeś więc spędzić popołudnie u przyjaciół. Pozwoliło ci to oderwać się na krótki czas od ciężaru codziennych kłopotów. U progu wita cię gospodyni, u której wynajmujesz pokój, wiadomością, że w czasie twojej nieobecności było w mieszkaniu dwóch panów i pytali o ciebie. – Nie, nie widziała ich tu nigdy przedtem – po chwili zaś dodaje: byli samochodem. – Choć starasz się na nią nie patrzeć, czujesz, że przygląda ci się uważnie. Z dobrego samopo-

* Powyższe informacje otrzymaliśmy z kraju i zamieszczamy je jako materiał i bardzo ciekawy, i charakterystyczny. Oddaje on dość wiernie sposób myślenia i oceny sytuacji niewątpliwie dość znacznej części społeczeństwa – a specjalnie inteligencji technicznej.

kkkkNie można ryczałtem potępiać wszystkiego, co się dzieje w kraju. Niewątpliwie zachodzą tam również przemiany pozytywne. Ale do tych nielicznych jasnych punktów należy podchodzić i ostrożnie, i z dużym krytycyzmem. Nie można oceniać niczego w oderwaniu od zamierzonej i bezwzględnie przeprowadzanej przez Sowiety przebudowy społecznej. Słusznie zwraca uwagę R. Palester, że w tym aspekcie, tak zdawałoby się niewątpliwie pozytywne fakty, jak np. rozbudowa wyższych uczelni, wyglądają inaczej. Albo sprawa elektryfikacji? Jakże wielu z nas zapoznało się z tą „elektryfikacją” na wsi rosyjskiej. Jeśli zaś idzie o zagadnienie uprzemysłowienia, to zwracamy uwagę czytelników na studium S. Gryziewicza, zamieszczone również w bieżącym numerze [Redaktor].

czucia nie zostało ani śladu i czujesz, jak strach rozprzestrzenia się w mózgu i tkankach. Nie jesteś w stanie ani chwili dłużej zostać w tych czterech ścianach, które nagle przestały być schronieniem i upodobiły się raczej do celi więziennej. Pod byle pozorem odprawiasz gospodynię, która ciągle jeszcze stoi niezdecydowana, jakby czekała jakichś wyjaśnień. Płaszcz nie zdążyłeś nawet zdjąć, więc tylko kapelusz na głowę i – ulica. Ludzie obcy, obojętnie przechodzą obok ciebie, nie darząc się nawet spojrzeniem. Zaczynasz powoli odzyskiwać równowagę, resztę niepokoju zrzucasz z siebie, po pierwszym kieliszku wypitym przy bufecie najbliższej knajpy. Jeśli przypadek zdarzy, że spotkasz kogo znajomego – sprawa kończy się dziką i hałaśliwą pijatyką. Następnego dnia, w biurze, rzecz się wyjaśnia. Przyjechał tu służbowym wozem przyjaciel twój z fabryki położonej dość daleko od twego miasta. Po załatwieniu spraw w urzędach zapragnął cię odwiedzić, nieznajomej gospodyni nie zostawił karteczki ani nazwiska, bo ludzie zdążyli się w ciągu sześciu lat nauczyć unikania pewnych rzeczy, a może działało tu przyzwyczajenie z okresu wojny.

Teraz, kiedy już wiesz, że nie było powodu do obaw, odczuwasz ulgę, połączoną z zawstydzieniem i wściekłością na siebie samego. Przy odrobinie opanowania i rozsądku mogłeś być przecie przewidzieć, że pewna kategoria gości nie zwykła składać wizyt po południu. Postanawisz więc sobie być w przyszłości bardziej opnowanym i nie powodować się pierwszym odruchem. A jednak czujesz, że w podobnej sytuacji zachowasz się znowu tak samo. Masz za sobą prawie sześć lat okupacji niemieckiej i tyleż – drugiej, to zaś nie wpływa na zobojętnienie wobec niebezpieczeństwa. Są choroby, po których przejściu organizm staje się odporny na jej zarazki, i inne, czyniące go podatniejszym i słabszym w wypadku recydywy. Bakcyła strachu łatwiej przezwyciężyć żołnierzowi frontowemu niż spokojnemu poddanemu w systemie totalnym. Nieuchwytny, niewidzialny bakcyl, nieodczuwalny, dopóki ukrywa się w jakimś zakamarku podświadomości, gotów w każdej chwili do zaatakowania i zawładnięcia swoją ofiarą. Zresztą przeważnie nie wiesz czy nie pamiętasz o jego istnieniu i to twoje największe szczęście, pozwala ci bowiem żyć; za to gdy raz cię dopadnie, nie broni cię wtedy ani wpływowe stanowisko, ani twoja niepozorność, bezpartyjność czy najmocniejsza pozycja w Komitecie partyjnym, brak ambicji politycznych, ani posiadanie ich w nadmiarze, zasługi przeszłości, ani teraźniejsze wyniki – nic. Pod tym względem system wzniosł się na wyżyny doskonałości, realizując absolutną równość wszystkich poddanych wobec strachu.

[...]



Dobrze, że zaczęliśmy o tym mówić. O „ciemności w południe” pisało się już dosyć i ta strona życia w systemach totalnych jest znana dość dobrze nawet ludziom, którzy sami żyli i żyją poza kręgiem totalizmu, tak dobrze, że przesłania wszystkie inne. Nie chciałbym przyczyniać się sam do zaciemniania obrazu życia ludzi w dzisiejszej Polsce. Można żyć względnie normalnie nawet nosząc w sobie bakcyła strachu, podobnie jak nikomu nie mąci radości życia fakt, iż nosi stale na podniebieniu zarazek zapalenia płuc. Nieprzyjemnie zaczyna być dopiero wtedy, gdy choroba rozwinie się, tym bardziej że nie wynalazł nikt penicyliny, która by ratowała człowieka zagrożonego systemem totalnym. Alkohol spełnia tu rolę nie lekarstwa, lecz środka uśmierzającego ból.

Na ogół jednak ludzie w Polsce starają się żyć i żyją tak, jak gdyby nie groziły im choroby, nie znane ludziom w szczęśliwych demokracjach mieszczańskich. Czy oznacza to, że żyją tak samo, jak przed wojną? Oczywiście nie, ale nie zapominaj, że od tamtych czasów dzieli nas piekło okupacji niemieckiej, po której obecne życie wydaje się mimo wszystko lepsze. Dawne przedwojenne czasy żyją w pamięci wielu w formie mocno wyidealizowanej i zamglawionej. O tym, że trzy czwarte ludności państwa było stale niedożywione, o owych słynnych zapalkach, rozłupywanych na cztery części, myślą „wspominkarze” niechętnie.

„Wewnętrzni emigranci” (byli nimi i przed wojną) nie interesują jednak ani mnie, ani ciebie. Chcesz wiedzieć, jak żyje w Polsce przeciętny człowiek, wrośnięty w dzisiejsze warunki? Zaczniemy od funkcji najprostszej – jedzenia. W tej dziedzinie różnica między stopą życiową dzisiejszego inteligenta a robotnika została prawie zatarta. Pierwszy odżywia się gorzej i skromniej niż przed wojną. Obiady jada już przeważnie w stołówkach zakładowych lub gospodach ludowych, podobnie jak robotnik. Mleko i pieczywo oraz pozostałe posiłki dostępne są nawet dla najbiedniejszego, zarabiający lepiej mogą sobie pozwolić na luksus wędliny czy jajek. Dla robotnika nie oznacza to na pewno pogorszenia w porównaniu z czasami przedwojennymi.

Problem mieszkaniowy nie wygląda w Polsce wesoło. W ciągu ubiegłego roku na przykład oddano w Warszawie do użytku 16 tys. nowych izb mieszkalnych, równocześnie zaś przybyło ponad 45 tys. mieszkańców, to znaczy, że na każdego z nich przypadła jedna trzecia izby. Poza Warszawą ludzie mieszkają trochę lepiej, co jeszcze nie znaczy, aby mieszkali dobrze.

Przyznać bowiem trzeba, że budowa nowych mieszkań nie dotrzymuje tempa rozwojowi przemysłu i powstawaniu w związku z tym nowych skupisk ludzkich. Na wsi natomiast sytuacja uległa pewnej poprawie wobec poważnego odpływu na zachód i do miast. Warunki mieszkaniowe chłopów na Ziemiach Odzyskanych są oczywiście lepsze niż w Polsce centralnej.

Mówiąc o mieszkaniach, warto wspomnieć, iż są one nieporównanie tańsze od przedwojennych. Komorne w mieszkaniach przydzielonych drogą służbową kosztuje po prostu grosze. Ktoś zarabiający na przykład 600 zł płaci w takim Szczecinie czy Wrocławiu za mieszkanie trzypokojowe 30 zł, czyli 3% uposażenia. W miastach centralnej Polski komorne jest może nieco wyższe, ale ciągle jeszcze dalekie od owego przedwojennego haraczu, który wynosił co najmniej 30% zarobków. To tanie komorne nie jest jednak przywilejem „inicjatywy prywatnej”, likwidowanej zresztą w coraz szybszym tempie. Znaczna większość mieszka jednak za półdarmo. Dzisiejszy kamienicznik jest w położeniu gorszym jeszcze od kułaka. Czyny od lokatorów przynosi mu grosze, a obciąża go obowiązek przeprowadzenia remontów, płacenia podatków. Często jedynym wyjściem biedaka jest przekazanie domu spółdzielni czy państwu.

Jak wygląda zaspokojenie potrzeb wyższego rzędu? Zaczniemy może od dziedziny najbardziej zaniedbanej, jaką była przed wojną wieś. – Pogrzebał przez chwilę w tecze. – Posłuchaj, jeśli cię to nie nudzi. Czy wiesz na przykład, w ilu wsiach wprowadzano przed wojną rocznie elektryczność? W dwudziestu dwóch. Interesuje cię może, ile wsi zelektryzowano w roku ubiegłym? – Tysiąc. Dwanaście i pół tysiąca gromad wiejskich korzysta obecnie z dobrodziejstwa elektryczności, przy końcu planu sześcioletniego liczba ich wzrośnie do ponad dwudziestu tysięcy. W ostatnim roku planu jedna czwarta ogółu gospodarstw będzie zelektryfikowana. Oznacza to przewrót nie tylko w metodach gospodarki rolnej, ale także przewrót kulturalny wsi, która dzięki wprowadzeniu radia i kina przestaje być izolowana od świata. Dzisiaj masz już na wsi przeszło ćwierć miliona radioabonentów, posiadających nie detektorki, jak przed wojną, lecz przynajmniej głośniki domowe (radiowęzeł) lub normalne aparaty lampowe (tych jest nawet znacznie więcej). Liczba stałych kin wiejskich wynosi już dziś ponad 600 i wzrośnie przy końcu planu do trzech i pół tysiąca. Prócz tego działa dziś kilkaset kin objazdowych. – Tak, masz rację, sam postęp techniczny to tylko część problemu. Nie chodzi tylko o ilość strawy kulturalnej, dostarczanej chłopu przez radio, kino, prasę i książki, ale o jej rodzaj. O tym rozstrzyga oczywiście sam reżym, a nie odbiorca, który nie ma żadnej możliwości wyboru. Reżym,

jak ci już powiedziałem, nie jest filantropem, jeśli robi jakieś inwestycje gospodarcze czy kulturalne, muszą się one mu opłacać. W warunkach izolacji kulturalnej wsi wszelki wpływ na nią byłby niemożliwy. Względy, którymi kieruje się reżym, mogą być takie czy inne, pozostaje niezaprzeczenie fakt pozytywny – wieś uczy się konsumować dobra kulturalne, ta potrzeba pozostanie i będzie zadaniem przyszłości wykorzystać ją kiedyś do lepszych celów. Zresztą i to, co dzisiaj otrzymuje odbiorca na wsi, nie zawsze jest szkodliwe czy bezwartościowe. Radiowe pogadanki rolnicze, filmy fachowe i kulturalne, muzyka, słuchowiska literackie są strawą, której wieś potrzebować będzie i w zmienionych warunkach. A biblioteki i czytelnie wiejskie? Powiedz mi, kto się tym zajmował systematycznie przed wojną? Dziś reżym troszczy się o to, aby każda gromada wiejska miała świetlicę, połączoną z wypożyczalnią książek. Dobór książek? Naturalnie znowu pod kątem celów reżymu, ale czy nie jest już pozytywny sam fakt, że ludzie w ogóle czytają, także ci ludzie, którzy przed wojną czytać nie umieli? Bo likwidowanie analfabetyzmu dobiega końca, akcja ta ma już być w tym roku zamknięta. I znów, to samo. Wiem, że reżym zadał sobie tyle trudu nie dla miłości bliźniego, lecz po prostu chce, aby do każdego docierała drukowana w tysiącach odmian bibuła propagandowa. W tej gorliwości i pasji o władnięcie każdą duszą jest coś z gorliwości pierwszych chrześcijan. Jest to oczywiście apostołstwo ułatwione, wsparte wszelkimi zdobyczami postępu technicznego, a męczenników spotyka się jedynie pośród nawracanych, nie zaś nawracających. Ale rezultat? Chłop czy robotnik, którego nauczono czytać, nie będzie trawił swego czasu tylko nad lekturą podsukaną mu przez reżym, ale sięgnie też czasem po Kraszewskiego, Orzeszkową czy popularną broszurę rolniczą. Mickiewicz nigdy nie był tak bliski zawędrowania pod strzechy, jak właśnie teraz.

Nigdy jeszcze w Polsce nie wydawano tak dużo i tak tanich książek. I nie tylko propagandowego śmiecia. Doczekali się wznowienia prawie wszyscy klasycy, nawet *Trylogia* Sienkiewicza (choć w mniejszym nakładzie i znacznie droższa w porównaniu z innymi), wygrzebano nazwiska i dzieła zapomniane, nie żałuje się nawet pieniędzy na wydania bibliofilskie. Wysokie nakłady i niskie ceny możliwe są dzięki subwencjom państwowym oraz większej niż przed wojną liczbie odbiorców. Zakupuje książki każda z niezliczonych bibliotek świetlicowych, rozsianych po wsiach, fabrykach, szkołach, związkach i organizacjach. Trzy czwarte nakładu rozchodzi się w ten sposób, resztę wykupują odbiorcy prywatni i z reguły po kilku miesiącach nakład jest wyczerpany. Dotyczy to oczywiście większości dzieł literatury

pięknej, znacznie mniej jest wznowień przedwojennej literatury naukowej, wyrosłej z innego światopoglądu niż reżymowy, najmniej zaś wznowień ma, tak bogata w okresie międzywojennym, polska literatura społeczno-polityczna. Czytelnik polski ma możliwość zapoznania się z publicystyką Fryczów-Modrzewskich i Stasziców, ale nie Dmowskich i Piłsudskich. Cała tematyka okresu międzywojennego zawarta w tak licznych publikacjach młodej publicystyki polskiej, owych Bocheńskich, Wasiutyńskich, Bączkowskich i dziesiątków innych, jest młodszemu pokoleniu oczywiście najzupełniej nieznana i niedostępna. Taki Bierut może na przykład umieszczać w referacie długie cytaty z Dmowskiego *Polityki polskiej*, ale już jego poddanym niedostępne są takie źródła.

Ludzie w Polsce uczą się. Uczą się dużo i uczących się jest wielu. Rozbudowana sieć szkolnictwa dociera już dzisiaj do każdego. Nie ma już dzieci, dla których zabrakło miejsc w szkole, ale pasja uczenia się ogarnęła nie tylko młodzież. Namnożyło się szkół wieczorowych, kursów dokształcających, korespondencyjnych, na których ludzie zdobywają kwalifikacje fachowe w godzinach wolnych od pracy zarobkowej. O tym, że praca nie jest dzisiaj w Polsce lekka, wiesz dobrze. Jak się to dzieje, że wyżyłowany normami i współzawodnictwem pracy robotnik czy inteligent ma jeszcze siłę i ochotę do wygnięcia ławy szkolnej, mimo różnych szkoleń i pochodów? Odpowiedź prosta: trud się opłaca. Fachowiec zarobi lepiej od niewykwalifikowanego, majster od robotnika, inżynier od majstra. A możliwości polepszenia sobie warunków życia są dla chętnych ogromne. Nigdy jeszcze awans społeczny nie był tak łatwy i szybki, jak dzisiaj. Przed wojną szedł robotnik do fabryki, przepracował w niej kilkanaście lub kilkadziesiąt lat, przeważnie w tym samym oddziale, i opuszczał ją wreszcie jako emeryt, jeśli nie nastąpiło to wcześniej z powodu bezrobocia. – Powiedz sam, ilu szczęściarzy miało widoki dokształcić się na majstra? Dzisiaj młody i zdolny robotnik ma szansę zostania nie tylko majstrem, ale i inżynierem. Zresztą nie tylko inżynierem, także i dyrektorem fabryki, ale to już należy do humorystycznych poczynań reżymu. – Dlaczego widzę różnicę? Widzisz, robotnik musi, jak każdy inny, zdobyć sobie dyplom inżyniera, pomaga mu w tym fabryka, ale uczyć musi się sam; na stanowisku dyrektora nie potrzeba dyplomu, wystarczy uświadomienie „klasowe”, „czujność proletariacka” i zaufanie komitetu partyjnego. Ci kreowani w ten sposób dyrektorzy bez przygotowania są nieszczęśliwymi ofiarami losu, niezdolni do podołania nałożonym na nich obowiązkom, tęskniący nieraz za funkcjami mniej odpowiedzialnymi. Obecnie wprowadzono i dla nich kursy dokształcające, czas był

najwyższy! Znałem jednego, który bał się brać do ręki słuchawkę telefonu, w obawie, że ktoś z centralnego zarządu zapyta go o przebieg jakiegoś skomplikowanego procesu produkcyjnego albo – co jeszcze gorzej – o sprawy związane z biurowością fabryki. Dlaczego reżym ośmiesza się takimi nominacjami? To już należy do fasonu proletariackiego, móc powiedzieć: z robotnika – dyrektorem. Zawsze się już tam znajdzie jakiś zastępca, który robi wszystko, co trzeba.

Ten pęd do uczenia się, wspinanie w górę po drabinie społecznej, popierany jest przez reżym wszystkimi środkami, systemem stypendiów i ulątwień w zakładach pracy. Mimo surowej „dyscypliny pracy” możliwe jest dla studenta czy ucznia wychodzenie z biura lub warsztatu przed zakończeniem godzin pracy. Reżym potrzebuje inteligencji technicznej i sił fachowych do prowadzenia rosnącego przemysłu, mechanizowanego rolnictwa, transportu itd. Ludzi tych i fabryk potrzebuje także nasz kraj.

Plan sześcioletni jest w dziedzinie rozbudowy przemysłowej Polski zamierzeniem częściowo nawet pozytywnym. Wiem, że nakłada na ludzi ciężar wysiłku i wyrzeczeń – wielki. Trafia się nam niecodzienna szansa, aby przestać wlec się w ogonie narodów świata. – Mówisz, że jest niesprawiedliwością nakładanie tak wielkich ofiar na pokolenie, które tyle wycierpiało, zasłużyło sobie na lepsze życie, że ciężar tych ofiar można by rozłożyć bardziej równomiernie na barki wielu pokoleń. Nie wydaje mi się, abyś miał rację. Przedwojenny układ gospodarczy świata, błędy własne popełnione w okresie dwudziestolecia niepodległości i wreszcie wojna – zepchnęły nas tak głęboko w grzęzawisko, że tylko bardzo wielki wysiłek umożliwi nam wydobyć się na twardy grunt. Chciałbyś wiedzieć, czy nawet jeśli będzie nam dane przeprowadzić do końca plan sześcioletni, Polska stanie się w roku 1955 krajem mlekiem i miodem płynącym? Nie trzeba przesadzać i oczekiwać zbyt wiele. Jedno jest pewne: stworzone będą wówczas podstawy do życia na bardziej równej stopie z bogatszymi krajami Europy Zachodniej. Czy to nastąpi? Chyba tylko wtedy, gdy będzie to leżało w interesie okupanta, sądząc więc po przebiegu pięciolatek sowieckich, widoki na to nie są zbyt wielkie. Więc po co w takim razie tyle wysiłku bezcelowego? Nie bezcelowego – mój drogi, to, co zbudujemy wystarczy nawet w rozmiarach uszczuplonych przez nową wojnę, aby rozpocząć w normalnych warunkach – normalne życie.

Zamierzenia planu sześcioletniego w dziedzinie rolnictwa trudno uznać za zbieżne z interesami polskimi. Proces kolektywizacji, rozpoczęty na dobre dopiero w tym roku, rozwijać się będzie dalej. Obecna liczba kołcho-

zów, zwanych u nas wstydliwie spółdzielniami produkcyjnymi – wynosząca około dwa i pół tysiąca – nie jest jeszcze zawrotna, ale tempo „przechodzenia na podstawie dobrowolności od drobnej, rozproszonej indywidualnej gospodarki na tory gospodarki socjalistycznej, zespołowej” zaczyna być coraz szybsze. W 1945 roku, obejmując ziemie zachodnie, mieliśmy jedyną, bodajże, szansę stworzenia w Polsce zdrowej struktury rolnej, opartej na średnich i dużych gospodarstwach chłopskich. Ale reżym nie myślał długo zgrywać się na dobrodziejza chłopów, zresztą musiał się słuchać rozkazów okupanta, który naglił i szybko usuwał bardziej opieszalnych wykonawców w rodzaju Gomułki. Walka z chłopem będzie ciężka, z tego sobie reżym zdaje sprawę, prowadzi ją więc ostrożnie, choć bynajmniej nie zamierza cofać się z obranej drogi. Korzysta tu niewątpliwie z odstrasających doświadczeń ukraińskich z początku lat trzydziestych. Mówienie przez Minca o dobrowolności jest oczywiście zwykłym cynizmem, dowodzi jednak, że reżym nie zamierza powtarzać błędów sowieckich sprzed z górą piętnastu lat. Przymusu fizycznego wobec chłopów opierających się kolektywizacji nie stosuje się jeszcze masowo. Zresztą, po co zmuszać siłą, skoro istnieje tyle form nacisku pośredniego, przez podatki, szykany administracyjne i wygrywanie wewnętrznych antagonizmów wsi. Warstwa małorolnych, zwana dziś z sowiecka „biedniakami”, nie została upelnorolniona w rozmiarze możliwym do przeprowadzenia, właśnie po to, aby reżym miał wygodne narzędzie do swej walki ze zniechęconymi kułakami. Tam, gdzie reżym nie chce się angażować bezpośrednio, wyręczy go biedota wiejska podpuszczona umiejętnie na bogatszych gospodarzy. Jeśli na przykład uznano, że kułak nie odstawił dość zboża na sprzedaż państwu, przychodzą sąsiedzi, wymłócają parę kwintali, ładują na wóz i dostarczają do punktu skupu zboża. W ten sposób, wygrywając jednych przeciw drugim, osiąga reżym dwa cele: osłabienie spójni wewnętrznej wsi, która mogłaby zwiększyć jego trudności, oraz pozory spontaniczności akcji. Nie wystarczy zdemaskować kułaka jako wroga reżymu, musi zostać uznany za wroga klasowego, wroga samych chłopów, tych właśnie „biedniaków”.

Państwowy plan skupu zboża, czyli po prostu ustalenie kontyngentów, jest dla reżymu doskonałą okazją do wygrywania przeciw sobie dwóch grup wiejskich. Gromada ma odstawić tyle zboża, ustalenie rozdzielnika na poszczególne gospodarstwa pozostawia się już samym chłopom. Łatwo sobie wyobrazić, jakie powstają konflikty, zawsze ktoś się czuje skrzywdzony i zawsze znajdzie się winny, jeśli plan nie został wykonany. Jest nim oczywiście zawsze kułak. Gdy reżym pewien jest już, że wspólnota gromadzka została

podkopana, że wieś podzielona została na dwa wrogie obozy, można wówczas przystąpić do realizacji właściwych, dotąd skrywanych celów. Paru specjalnie wybranych, zwykle małorolnych chłopów rozpoczyna przekonywanie opornych. Czasem wysyła się przedtem owych specjalnie dobranych ludzi z wycieczką do któregoś z wzorowych kołchozów ukraińskich, skąd wracają oczywiście z ładunkiem przepisane entuzjazmu. Agitatorzy roztańczają ponętne perspektywy ulg podatkowych, pomocy państwa w dostarczaniu maszyn, nawozów sztucznych itd. W odpowiednim momencie przychodzi im w sukurs reżym, przykręcając wydatnie śrubę podatkową, oporni widzą, że sprawa jest i tak przegrana, i wreszcie wszystko kończy się zabawą, gdzie przy wódce i tańcach ostatni wątpiacy zostają „przekonani”, po czym zebrani uchwalają założenie spółdzielni produkcyjnej. Tak, mniej więcej, wygląda schemat, mogą być zresztą tu różne warianty. Utworzony kołchoz cieszy się rzeczywiście poparciem władz! Przychodzą maszyny, traktory, nawozy sztuczne, materiały budowlane, podatki zelżały.



Niechętnie czytam w prasie zachodniej i emigracyjnej głosy pełne oburzenia na wyzysk człowieka pracy w dzisiejszej Polsce. Oczywiście, że wyzysk ten istnieje, i to wyzysk ujęty w system. Nie przybrał on jeszcze tych rozmiarów co w Sowietach, szczególnie problem pracy niewolniczej istnieje u nas w skali znikomej w porównaniu z „ojczyzną ludu pracującego”. Stale podwyższane normy i współzawodnictwo pracy mają na celu wydobyć z każdego maksimum wysiłku i niejeden istotnie „wypruwa sobie flaki”, aby nie zostać czasem posądzonym o bumelanctwo czy sabotaż. Ale jest też bardzo wielu cwaniaków, którzy potrafią sobie radzić wcale nieźle, bądź to zwyczajnie kiwając zwierzchników, bądź też przez lepszą organizację pracy. Te normy, o których dość przesadne wyobrażenie panuje u was, nie są znowu tak przesadnie wyśrubowane, aby z reguły rujnowały organizm przeciętnie zdrowego człowieka. W górnictwie na przykład, mimo iż wielokrotnie już zwiększono je, codienne wydobywanie węgla na górnika ciągle jest jeszcze niższe od przedwojennego. Albo więc po wojnie nie wysilano się zbyt w kopalniach, albo przed wojną eksploatacja górnika była większa niż obecnie. Zresztą, zapewniam cię, że pędzenie normami bardziej wpływa na obniżenie jakości pracy niż nadwyrężenie zdrowia pracującego. Inaczej już wygląda sprawa, jeśli chodzi o tak zwaną „dyscyplinę pracy”. Wprowadzono system drakońskich kar i bardzo łatwo jest za kilka spóźnień czy nieobe-

ności wylądować w karnym obozie pracy. Natomiast podnoszenie wydajności pracy jest prostą koniecznością, jeśli chcemy produkować tak jak Zachód.

Najgorszą zmorą człowieka pracującego jest dziś, mimo całej prawdy o eksploatacji wysiłku ludzkiego, nie sama praca, lecz to, że nie dają mu świętego spokoju po robocie, że go „doszkalają”, każą maszerować, kwadransami skandować „Stalin-Stalin”, spontanicznie uprzątać gruzy, podpisywać apele. Nie w formach, warunkach i rozmiarze pracy leży dziś główne źródło niezadowolenia ludzi.

Jest moment, który nie pozwala ludziom w Polsce dostrzegać osiągnięć reżymu. Ponosi tu winę sam właśnie reżym przez swoje nieumiarkowanie. Chciałby on wykrzesać w ludziach entuzjazm, wszystkie zamierzenia i osiągnięcia przejawia, narzuca je świadomości ludzi propagandą natrętną, hałaśliwą. Ludzie są już tym wszystkim zmęczeni, chcieliby spokoju, a przede wszystkim pozostawienia im samym sądu o tym, co się dzieje. Okazji tej reżym ludziom nie daje. Nie chodzi tu oczywiście o prawo do krytykowania tych czy innych lokalnych posunięć administracji, organów życia gospodarczego itp. W sprawach istotnej wagi w skali państwowej obywatel wypowiedzieć się nie może, nawet gdyby w jego głosie krytyki miało być maksimum akcentów uznania. Reżym będąc totalnym, toleruje tylko całkowite, absolutne uznanie jego posunięć, żąda od obywatela stosunku entuzjastycznego. Entuzjazmu na obstalunek nie było i nie będzie. Natrętne domaganie się i próby organizowania go przez reżym wywołują w rezultacie nieufność i przekorę. Przełamanie tych oporów nie jest dla reżymu rzeczą już prostą. Najwięcej niepowodzeń zawdzięcza reżym swojej własnej, przesadnej gorliwości. Nie pozbędzie się jej nigdy, wypływa ona bowiem z jego istoty, my zaś na pewno nie mamy powodu tego żałować, jakże często bowiem nieufność i przekora są jedyną formą obrony przeciwko próbom zatruwania dusz ludzkich.

To nieumiarkowanie reżymu zaciążyło jednak na stosunku niektórych ludzi do zagadnienia szczególnie dla nas ważnego. Myślę o naszych ziemiach zachodnich. Nieustanne powtarzanie przez tuby propagandy reżymowej, że ziemie te wróciły do nas na zawsze i niedwołalnie, zaczęło wywoływać po pewnym czasie więcej szkody niż pożytku. Niejeden zaczął się zastanawiać, czy reżym głośnym powtarzaniem nie usiłuje zagłuszyć mogących powstać wątpliwości może i własnych? Myślę, że należy tu zaraz stwierdzić, że owa kategoria ludzi ma zasięg ograniczony. Zauważyłem, iż w ostatnim czasie podjęła ten temat część prasy emigracyjnej. Próbowano generalizować pew-

ne zjawiska, występujące sporadycznie albo wręcz należące do przeszłości. Myślę, że obaj nie potrzebujemy przekonywać się o tym, że ziemie te należą się nam i są nam potrzebne. Cały nasz wielki wysiłek dzisiejszy, wyrażony w planie sześćioletnim byłby skazany na niepowodzenie, gdyby nie posiadanie tych obszarów. Kraj, który tak potwornie spustoszył Polskę w ostatniej wojnie, nie byłby w stanie zapłacić za to żadnymi górami złota, którego i tak zresztą nie posiadał. Trudno nie uważać tego za fakt sprawiedliwości dziejowej, że ziemie uprawiane nie od dziś rękoma polskiego autochtona na Śląsku, Pograniczu, Warmii, Mazurach i Powiślu lub robotnika sezonowego, który chadzał „na saksy” do dzisiejszej Ziemi Lubuskiej i Pomorskiej, będące nieraz bramą wypadową rozbójniczej wyprawy na wschód, dziś, należąc do nas, umożliwiają nam odbudowę i stopniowe narastanie dobrobytu.

Nie ma na świecie narodu, który by chętnie wyrzekł się choćby skrawka ziemi kiedyś do niej należącej. Tu zaś chodzi o coś więcej niż skrawek. Nie dziwi mnie przeto rewizjonizm niemiecki, a także i to, że większość Niemców wydaje się przekonana, bez zastrzeżeń, o słuszności swoich żądań. Niemcy są na ogół skłonni wierzyć w to, co jest im w danej chwili wygodne, jeszcze chętniej w to, co związane jest z ich korzyścią. Dlatego może do dziś dnia tylu Niemców wierzy, przynajmniej oficjalnie o tym zapewnia, że ogromna większość popełnionych przez nich w czasie wojny zbrodni jest jedynie wytworem wrogiej im propagandy. Słyszałem, że film dokumentalny, nakręcony przez Amerykanów w obozie koncentracyjnym Belsen-Bergen zaraz po wyzwoleniu, był ze zdumiewającą konsekwencją, w jakiejś milczącej zmowie, bojkotowany przez Niemców, nawet tam, gdzie urządzano bezpłatne pokazy. Nie należy się łudzić, aby Niemcy chcieli lub potrafili zrozumieć nasze racje i argumenty. Jest to dla nich, przy ich charakterze i mentalności – po prostu niemożliwością. Nie chcę, żebyś mnie posądzał o ułatwianie sobie sprawy uogólnieniami, wiem, że spotyka się wśród Niemców wyjątki od tej reguły, jednostki te jednak nie mają większego wpływu na opinię ogółu czy większości.

[...]

Człowiek na ogół nie ceni sobie tego, co przychodzi mu zbyt łatwo. Polacy włożyli w Ziemię Odzyskane ogrom wysiłku, który przerodził się w przywiązanie i poczucie związania z tą ziemią. Jak już ci wspomniałem, są od tej zasady wyjątki, których liczby nie przeceniałbym. Wojna zrobiła z niejednego włóczęgę i cygana, który nigdzie miejsca nie zagrzeje. Chłop, któremu przydzielono gospodarstwo, a później zmuszono do przystąpienia do kolektywu, musi poddać się zniechęceniu. Tak zwana

ucieczka ludzi ze wsi do ośrodków przemysłowych jest wyrazem protestu przeciwko kolektywizacji lub szukaniem lepszych warunków bytu w rosnącym przemyśle. Te rzeczy mają miejsce, lecz nie są nagminne. Masa ludności tkwi na miejscu i czuje się na swoim. Stopień zakorzenienia się nie jest zresztą równy na całym obszarze ziem zachodnich. Największy bezwzględnie jest na Śląsku, najmniejszy chyba w samym Szczecinie. Ale dowodem, jak mocno ludzie zrastają się z podłożem, będą chyba cyfry przyrostu ludności. – Posłuchaj uważnie, bo to jest bardzo ciekawe. Wiesz, że przyrost naturalny jest dziś w Polsce bardzo wysoki. W roku 1948 wynosił on 17,9%, ale z tego na ziemi „dawne” przypada tylko 14,5%, zaś na odzyskane 25,5%. Województwa wrocławskie i szczecińskie mają jeszcze wyższe wartości przyrostu od przeciętnej dla całych ziem zachodnich: 30,7 i 31,3%. Płodność ludzi z kresów zachodnich przewyższa wszystkie przedwojenne rekordy Polesia czy Nowogródzyny. Zresztą udział najpłodniejszego elementu Polski przedwojennej, tak zwanych „zabużan” w zaludnieniu ziem zachodnich wynosi około 20% (na 6,5 mln – od 1 do 1,5 mln), nie może więc decydująco wpływać na wartości ogólne przyrostu. Wydaje mi się, że ten fakt mocniej niż wszystkie inne świadczy o zrośnięciu się ludzi z ziemią. Jeśliby nastąpić miał nowy *exodus*, dobrowolnie opuści te ziemie około miliona lwowian i wilnian. To na pewno nie będzie oznaczało powstania *vacuum*.

Mógłbym ci wskazywać na wiele jeszcze innych przemian w Polsce, od których nie wystarczy odgrodzić się pogardliwym gestem, ponieważ są dziełem Quislingów krajowych lub ich panów. I równie dużo można by mówić o innych posunięciach godzących bezpośrednio w nasze interesy, na przykład likwidacji prywatnej inicjatywy w handlu detalicznym, rzemiośle i stworzeniu na ich miejsce państwowej sieci domów towarowych i „spółdzielni usługowych”, których katastrofalne funkcjonowanie powoduje, że te potrzeby ludności zaspokajane są w fatalny sposób. O tym na przykład, że można dziś w Polsce kupić filizankę i czekać miesiącami na transport spodeczków do niej, że uszycie ubrania czy podzelowanie butów uległo wielu komplikacjom, które pocieszne mogą wydać się tylko niezainteresowanym.

Można by mówić wreszcie o wysiłkach reżymu nad pozyskaniem dusz ludzkich i wynikającej z nich walce z Kościołem i religią – i o najtrudniejszym, najboleśniejszym problemie zatruwania i demoralizowania duszy młodzieży, któremu na emigracji poświęcano już wiele słusznych uwag. Część tej młodzieży, najbardziej zaślepiona, jest może i najwartościowsza,

ponieważ w coś wierzy. Wygranie walki o te dusze będzie może najtrudniejszym, ale i najwdzięczniejszym zadaniem, jakie czekać będzie kiedyś nas – skazanych teraz w kraju na milczenie, i was, marnotrawiących nieraz tak dużo słów – bezużytecznie...

Witold Kostrzyński
[Mieczysław Zarzycki]

[7/1951]

Na trasie Wschód–Zachód, czyli nasi za granicą

Onegdaj rozmawiałem z Polką, która zatrzymała się w Londynie w podróży powrotnej z Toronto, gdzie spędziła kilka tygodni u syna.

– Jak się pani podobał tak zwany wielki świat? – zagadnąłem. – Panie, Toronto to zakazana prowincja! – wybuchnęła krewko starsza pani. – Cóż z tego, że mają lodówki, odkurzacze elektryczne, telewizję i tony żarcia na głowę. U nas, panie, w Warszawie szesnaście teatrów i zawsze pełne. Pełno na koncertach i na odczytach. W każdym najbiedniejszym domu sterty książek i czasopism. W Toronto nie ma co czytać, nie ma gdzie pójść, nie ma o czym mówić. Nuda, panie, nuda!

To jest manifestacja raczej typowa. Kobiety reagują bardziej żywo i bardziej pozytywnie w zetknięciu z kontrastem Polska – Zachód. Mężczyźni ulegają natychmiast magii bogactwa i już na lotnisku dławi ich klasyczny polski „kompleks zagraniczny”.

U państwa N. na „drinkach” dyskutowaliśmy perspektywę pożyczki amerykańskiej. W miarę jak w karafce ubywało dżinu, horyzonty pożyczkowe poszerzały się w zawrotnym tempie. Rozwiązaliśmy już problem mieszkaniowy i zabraliśmy się rącho do motoryzacji. Warszawa zaroila się od najnowszych modeli samochodów – autostrady lśniącem węzłem wybiegały z rogatk warszawskich ku Śląskowi, Pomorzu, Podhalu. Wystawy sklepów stołecznych pękały pod lawiną towarów. W każdym domu „frizyder”, telewizja, elektryczna pralnia z elektryczną suszarnią, automaty do skrobienia kartofli i mycia naczyń, łazienki z aparaturą do odchudzania – elektryfikacja, amerykanizacja, automatyzacja.

Pani Jadzia cedziła wolno i z oporem angielski dżin. Z polskiej wódki, którą przywiozła z Warszawy – nie było już ani śladu. Zlikwidowano ją

z sentymentalną zachłannością zaraz pierwszego wieczoru – tak, że jej nawet nie powąchałem.

– Czy pan myśli, że wtedy i u nas wszystko by się skończyło? – zapytała znienacka.

– Co by się skończyło? – Przecież to jasne! – uśmiechnęła się niecierpliwie. – Czyta pan przecież polską prasę, periodyki, koresponduje pan z ludźmi. Czy myśli pan, że jak kiedyś obrośliśmy w piórka, w fryzery i automaty – skończyłaby się ta atmosfera, ta duchowa gorączka, te dyskusje, walki ideowe, teatry pełne ludzi, wielotysięczne nakłady książek, wiersze, które wszyscy znają, artykuły, które czytują – sama nie wiem, jak to określić, ale przecież pan wie, o czym mówię...

– Rozumiem. Pragnie pani wiedzieć, czy dobrobyt i wysoka stopa życiowa nie przyniosłyby w konsekwencji małomieszczańskiej ciasnoty, przyziemności, filisterstwa, nudy. Czy to pani myślała?

Pani Jadzia skinęła głową. – Hm... niełatwo jest odpowiedzieć na to pytanie, choćby z tej przyczyny, że jak dotąd nie było na świecie państwa socjalistycznego, którego obywatele nurzaliby się w dobrobycie i luksusie. Mam oczywiście na myśli państwo socjalistyczne, a nie socjaldemokratyczne. Socjaldemokracja wykazuje niepomierne większe uzdolnienia w tym kierunku. Osobiście wątpię, czy byłoby możliwe w ramach społecznego dosytu materialnego utrzymać stan równie wysokiego napięcia psychicznego, jaki charakteryzuje klimat kulturalny Polski współczesnej.

Pani Jadzia potrząsnęła energicznie głową.

– Zapewniam pana, że nawet z lodówkami i automatami będziemy inni, żywi, inteligentni, nie tacy jak tu... – wykonała nieokreślony ruch ręką.

Londyńczyk

[Juliusz Mieroszewski]

JANUSZ MATIASIAK

Newroza na Śląsku

Współczesne położenie czołowego oddziału polskiej klasy robotniczej – górników śląskich – jest konsekwencją systemu określanego często mianem stalinowskiej inkwizycji. Dzieje (narodziny, rozwój, mechanizm działania) owej inkwizycji sięgają daleko wstecz i stanowią sporą część z całości polskiej historii...

Górny Śląsk, jak wiadomo, leży na skraju południowego masywu. Rzeka Brynica przepływa, gdzieś w okolicach Sosnowca, koło trójkąta trzech cesarzy. Lewy brzeg rzeki zamieszkują gospodarni Ślązacy. Na prawym leży wygadane Czerwone Zagłębie, a dalej na wschód droga wiedzie w stepy, na strefę polarną do ogromnych obszarów cywilizacji turańskiej. Stopa życiowa mieszkańców Śląska, sądząc z ich wyglądu, z ich domów, ich sposobu odżywiania się, była niska, ale równocześnie była daleko wyższa niż w innych częściach Polski. W pierwszomajowy dzień ludność Zagłębia i Ślązacy nosili czerwone wstążeczki w klapach odświętnych marynarek, w pełni marzeń o socjalizmie. Militarne teren Śląska był bezbronny.

Wiosną 1944 roku – szumiały wtedy dęby amerykańskie – problem Polska–Niemcy został dla Śląska przesądzony. Społeczeństwo znalazło się wobec chaosu i nosiło znamiona moralnego rozkładu. (Tu przeszło pierwsze uderzenie w „Germanię”). Zniemczała część inteligencji, wysoko kwalifikowani zawiadowcy i sztygarzy albo wyemigrowali w stronę Weimaru i dalej, albo w Polsce oddawali się bezsensownym marzeniom, oczekując pomocy znikąd. Natomiast młodzież wracała do sztolni, w pośpiechu uczyła się sylabizować nie tylko znany już pacierz po polsku, ale i gazety, była zupełnie zagubiona. W kopalni „Paryż” w 1944 roku powstała rada załogowa. Grupa starych KPP-owców, ospowaty działacz z KPP z czerwonymi opaskami na rękawach wyklócali się namiętnie z PPS-owcami o mandaty w wyborach do

instancji samorządowej, przejmowali na własność robotniczą kopalnię i zabudowania. Mając w pamięci międzywojenne doświadczenia mało kto wierzył na Śląsku w polski *Ordnung*. A przecież polski *Ordnung* był jedyną siłą, która mogła zapewnić spokój i odbudowę kraju... Uruchomić koła na szynach, dać Ślązakom zarobek, sprawić, by działały koleje i linie żeglugi. Nie trzeba było być komunistą, aby to rozumieć. Narzucała to sama oczywistość. Przeciwdziałać uruchamianiu fabryk, budowaniu nowych oddziałów, było szaleństwem wbrew zdrowemu rozsądkowi i instynktowi samozachowawczemu.

Los przemysłu węglowego i 200 tys. górniczych istnień rozstrzygnęły w latach 1950–1953 rozmowy pomiędzy Bierutem a Moskwą i jeden wieczór, w którym prasa i radiostacja katowicka przyniosły wieść, że do wrót Europy zakołatał koszmar wojny. Od tego momentu na Śląsku zaczął funkcjonować w sposób najbardziej widoczny ów system „S”..., wielotysięczne pochody ze śpiewem, malowane na płótnach ceglastymi farbami portrety członków rządu i partyjnego kierownictwa... System, dla którego człowiek doczesny, jednostka, nie była celem w sobie, ale środkiem do celu.

Praca na biedaszybach w okupacyjną faszystowską noc musiała być przerażającym doświadczeniem dla górników. Zwyczaje niemieckich zdobywców mogły być zakwalifikowane metodą pojęć elementarnych: bezprawie, gwałt, zbrodnia. To, co zaczynało dziać się w śląskich kopalniach w sześciolatce trudno było w ogóle zakwalifikować. Ustalając cyfrę 100 milionów ton wydobywania na 6 lat, obiecano wysokie subwencje dla Śląska, budowę 23 poziomów, 8 nowych kopalń, ilość wierceń *n*-tego rzędu. Inwestycje te były elementarnym warunkiem wykonania zadań. Dziś publicystę szperającego w górniczych statystykach ogarnia przerażenie: 60% planu inwestycji, 95% planu wydobywania! Czy w samym stosunku tych dwóch cyfr wynikowych sześciolatki (nie wnikając w szczegóły i przyczyny niewykonania planu inwestycji) nie kryje się koszmar? Wielka tragedia śląskich liderów, zmuszanie górników do formy pracy niewolniczej.

Zacznijmy od liderów.

Obserwacje wykazują, że przede wszystkim zarządzili oni demokratyczne ustalanie planów dla kopalń. Ustalanie nie przypominało jednak w niczym praktyk z okresu samorządu robotniczego roku 1944. Samorządy robotnicze po kilku dniach przestały istnieć, a kopalnie przejęły od robotników zjednoczenia i Ministerstwo Górnictwa. Był to akt upaństwowienia środków produkcji, który miał bardzo doniosłe konsekwencje: plan nie był ustalany demokratycznie, oddolnie, ale był narzucany robotnikom odgórnie

przez państwo. Odnutowywano wysokość złożeń na miliardy ton i przyjmując tę podstawę ustalano wykopy na czarny dzień. Decydowały nie możliwości faktyczne (np. w kopalni „Bobrek”, „Wieczorek”), a potrzeby gospodarcze Polski, ZSSR, NRD, CSR (tu bilans w skali bloku). Sposób zarządzania kopalniami miał charakter czysto wojskowy: oficerowie produkcji + szlify na górniczym mundurze = odpowiedni typ działacza. „Wykonaj plan, wykonaj plan...” śpiewała prasa i radio, wtłaczano tę prawdę w każdym Komitecie partyjnym, świetlicy i Zjednoczeniu.

Jednym z dyrektorów w średniej kopalni węgla był mój stary towarzysz, awansowany górnik-robotnik, którego pamiętam z wczesnej młodości. Przegwarzyliśmy przy niejeden szklance wina wiele chwil, wymyślaliśmy na imperialistów; broszurki ZMP-owskie „sen bumelanta”, roznosiliśmy razem. W okresie mobilizacji 1952–1953 został dyrektorem. Dziwne to musiało być dla niego przeżycie: agitować starych przyjaciół z KPP do pracy niedzielnej (która w śląskich kopalniach trwała od dziesięciu lat po dzień dzisiejszy), do planowych rolek, tłumaczyć się przed prokuratorem z wydziału górniczo-węglowego WP w Katowicach, przed Związkiem Zawodowym Górników, prasą, ZMP (istniał przecież system transmisji), kiedy pękła sprężynka w radzieckiej ładowarce albo gdy górnik przez trzy dni opuścił pracę.

A jednak wbrew sobie stał się stalinistą. Sądzę, że najpierw i przede wszystkim przyswoił sobie metodę dużych pojęć. Dotąd z uporem maniaka przyzwyczajony był powtarzać: „honor”, „godność osobista”, „sumienie”; teraz kazano mu wyeliminować je z codziennego słownictwa i zastąpić innymi pojęciami: „żelazna dyscyplina”, „kategorie konieczności państwowej”, „cele w skali bloku”. To znaczy – za wszelką cenę węgla, jak najwięcej węgla. Podnosił wzrok ku niebu i na ścianach czytał hasła, w przerwie narad brał do ręki „Trybunę Ludu”, w domu słuchał radia i wszędzie odnajdywał potwierdzenie: inaczej być nie może. Poczciwy dyrektor, niedoświadczony instruktor skąd mógł wiedzieć, że wobec metody tak zwanych dużych pojęć należy stosować kryteria sprawdzalne i wykazywać ich nędzę filozoficzną. Na Śląsku nie było ani jednego uniwersytetu, teatr zamierał... Śląsk był jak dawniej pozbawiony humanistycznej inteligencji (rozwijano tylko uczelnie fachowe), panuje też dotąd jakaś kusa, półślepa jednostronność technicystyczna typu wybitnie półkolonialnego.

Następnie przyswoił sobie nowe zwyczaje: całonocne zebrania, składanie samokrytyki na rozkaz, podejmowanie zobowiązań pierwszomajowych, zobowiązań dla uczczenia rocznicy czyichś urodzin. Potem nawet odważył się występować z inicjatywą na zjazdach.

...Spotykałem go siedzącego na zjazdach w MG (Ministerstwo Górnictwa) i KW (Komitet Wojewódzki). Stosunek sali do mówców wygłaszających urzędowe referaty, do wizytującego mityngu gen. Jaroszewicza był zdecydowanie wrogi. Wszyscy wewnętrznie uważali plan za maniakalną mrzonkę, której urzeczywistnienie doprowadzi do oplakanych rezultatów (poszarpię front wydobywczy, spowoduje konieczność wybierania pod miastami i pędzenia chodników do granic szybów itp.). Próby wywołania dyskusji poza poprawnymi przemówieniami kilku tak zwanych „urobionych” dyrektorów nie udawały się. Sala milczała. Wówczas znajdował się pierwszy, który przypuszczał atak pełen tłumionego żalu do kierownictwa przy wyraźnym, ale milczącym poparciu sali. Odpowiedź referentów miażdżyła atakującego znacznie lepiej przeprowadzoną argumentacją i, aby wypadła jeszcze mocniej, zawierała pogrożki pod adresem kariery i przyszłości nie uświadomionego towarzysza; zwykle padało kilka uwag o mentalności perliczki i psychice szczura. Pamiętam twarz mojego dyrektora: zimna, obojętna. Była jednak na tyle czytelna, że mogłem szybko zauważyć zmieniające się nastroje: gniew, lęk, podziw, niedowierzanie – wszystko przelatywało falami.

Był kwiecień 1955 roku w starych zakopconych Katowicach. W pogodny wiosenny ranek siedziałem w sekretariacie tow. Olszewskiego: rozmawialiśmy o powojennej poezji polskiej i Di Vittorio. Rozmowa była nader gorącym zajęciem, gdyż przedmiotem sporu stał się poemat Ważyka, teza włoskiego komunisty: „O granicach wytrzymałości klasy robotniczej”, kategorie stosunku członka partii do uchwał kierownictwa...

Czy w każdym wypadku członek partii jest zobowiązany realizować każdą uchwałę? Towarzysz Olszewski uznawał jedyną maksymę: żelazna dyscyplina i podporządkowanie. Wypaliłem dużo papierosów. Do pokoju wpadł świergot ptaków, który nagle zmieszał się z podniosłą muzyczną frazą. To był Mozart. Postać sekretarza znieruchomiała. Za oknem widać było wielki plac, na którym w dniu Barbórki stały rzędem wyszorowane ify i motocykle dla górniczych przodowników pracy. Zauważyliśmy, że teraz właśnie wszedł na ten plac oddział ludzi, dużo młodych mężczyzn w wojskowych mundurach. Niektórzy próbowali się opalać, rozpinając koszule na piersiach, inni śpiewali *Szła dziewczeczka do laseczka*. Stojąc w oknie, obserwowałem ich w milczeniu. Byli to, jak łatwo odgadnąć, żołnierze wojskowych batalionów węglowych, których miałem poznać jednak w nieco późniejszym terminie. Po schodach, obłapując poręcze, schodził jakiś mężczyzna ze szlifami dyrektora na górniczym uniformie. Widziałem, że gładził policzki mokrą ręką, która drżała. Operację, jaką tu przeszedł, wielu dyrek-

torów miało już za sobą, mało kto zwracał na niego uwagę. Niektórzy kiwali głowami ze współczuciem. Sami to przeszli, jedni ostrzej, drudzy słabiej, znali jej przebieg. Nie było odważnych, nie było typów monumentalnych czy rozdartych w KW, który był zwany przez niektórych Białym Domem; wszystko tu było logiczne, jasne, konkretne, oderwane od rzeczywistości. Tu właśnie dyrektor i działacz węglowy składali ów akt przyznania się do winy, tu kajali się za nie popełnione błędy. Wynik operacji był jednak radosny. Petent wychodził z KW „po przełomie”, zdobywając owe morale: uznawał odtąd wyższość celów państwowych nad ludzkimi i – stawał się stalinistą. Mówić, odczuwać, myśleć, czynić tak jak „trzeba”, ponieważ poza tym „trzeba” nie pozostawało nic wartościowego. A jednak kiedy wracał rządowym autem w swój tak zwany „teren”, wpadł w stan ruiny nerwowej, jakiś szczególny rodzaj przygaszenia miał w oczach, boleśnie spuszczone kąciaki ust, a na skroniach białały mu kępki siwych włosów. Przytłaczał go ból, wątpliwości, z których się nie mógł zwierzyć nikomu.

Jak wygląda świat górniczy i ci, którzy bezpośrednio walczyli o plan? Czy jest to świat opisów „Officyny Ferraria”, w której renesansowy pisarz polski w XVI wieku przedstawiał Śląsk, świat obrazów malarza Ociepki? Nie...

Kopalnia. Przed nią tłum obdartych, wynędzniałych ludzi w stanie silnego wycieńczenia. Zjazd odbywa się tu górniczą klatką albo w prądach nie przewietrzanego chodnika, upadem trzeba iść wiele kilometrów, w kucki, zwijając się w kłębek (kopalnia „Mortimer”). Na dole praca w 60% ręczna, w rozproszeniu, w ciemności i pyłe, w temperaturze 30°, nagie plecy, zepsute wentylatory, dłonie konwulsyjnie ściskające kilofki, mdlejące ciała – wyjątkowo niebezpieczna praca.

Pokłady poziome, 60 cm wysokie; wybierać węgiel, ładować na taśmy można tylko w pozycji leżącej na wznak albo na brzuchu (kopalnie dolnośląskie). Albo pokłady pionowe, stojące, tak zwane „kominy” – górnik w pozycji kominiarza, z góry zrywające się, nieustannie zrywające się zwały węgla, nieostrożne wysunięcie głowy grozi zmiażdżeniem sklepienia czaszki („Sośnica”, „Gliwice”).

...Tu spotkałem żołnierzy z owych wojskowych batalionów węglowych. Było ich tysiące. Przed zjazdem młodszy płakali (kopalnie „Wujek”, „Wieczorek”), nadchodzący masy więźniów, tak zwanych „pracowników specjalnych” (PS), prowadzonych z psami, z milicją, w czwórszeregach. Jedni i drudzy byli miazgą ludzką, która się nie liczyła. Zjeżdżali wieczorem, a późnym popołudniem na drugi dzień górnicza klatka wyrzucała ich na powierzchnię. Pracowali często i po 24 godziny (kopalnia „Rozbarki”), na

przykład w trakcie wykonywania zobowiązań 1-majowych. Cywilne brygady (np. Steffera) również przedłużały czas pracy do 16 godzin. W grudniu 1955 roku, kiedy kopalnia „Bobrek” szturmowała roczny plan, brygady ścianowe z oddziału VIII (np. Alfreda Jędryska) przebywały na dole 17 godzin bez przerwy. Pracowano w niedziele i święta (mimo strajków w kopalni „Jowisz”, „Czerwona Gwardia”, „Kazimierz” w 1951 roku). W dni powszednie średnia przeciętna czasu pracy na 10 tys. przodków kopalnianych wśród brygad ścianowych we wszystkich kopalniach wbrew oficjalnym statystykom oscylowała wokół 12–14 godzin pracy dziennej. Mieli poodbijane ręce, poparzenia w kroku... Wskutek przekraczania maksimum zdolności człowieka do pracy (a owe maksimum przecież istnieje) górnicy popadli w stan owej newrozy: ogarniała ich apatia, tracili podzielność uwagi, mimo sygnałów ostrzegawczych na przykład wpadali do szybów, podstawiali nogi pod elektrowozy, ginęli setkami w katastrofach. Wypadki w Zagłębiu Śląskim osiągnęły w latach 1955–1956 największą (po ZSSR i NRF) w Europie wielkość – 4000 wypadków miesięcznie.

Płace w górnictwie pozostają po dziś dzień dla wielu złotą legendą! Dzieje się tak dzięki dwóm czynnikom: propagandzie prasowej i instytucji przodowników pracy. Przodownicy pracy pracując często po kilkanaście godzin dziennie, istotnie osiągają bardzo wysokie przeciętne. Ale olbrzymie masy górnicze po odliczeniu dodatków za liczne niedziele, święta i nadgodziny... Podstawowa płaca górnicza jest na szóstym miejscu w Polsce. We wszystkich krajach Zachodniej Europy jest stosunek zupełnie odwrotny: górnicy są zawsze na pierwszym miejscu, potem hutnicy, metalowcy itp.

Górnice mieszkania (familoki, kolonie kopalniane, prywatne domki) znajdują się w opłakanym stanie. Grzyb, wilgoć, bez światła, stemple podpierające sufit, dzieci górnicze w pobliżu bydła i świń (osiedle Zagórze). Rozchodzące się ściany, tak że widać stary angielski tramwaj (Zagłębie). W jednym pokoju (na przykład dom Adama Łydka) śpi siedem górniczych rodzin – na jednym łóżku, podłodze... Ich życie osobiste, prywatne, doniczki, kąciek do osobistych rozmyślań – nie istnieją. Fama tylko głosi, że kobiety na nogach mają podwiązki, aby się w nocy cudze żony ze sobą nie pomieszały (kopalnia „Mortimer”). Walą się nie tylko poszczególne domy, czteryśa pięćdziesiąt rodzin w Sosnowcu, kilka tysięcy drobniutkich dzieci mieszka w piwnicach, wali się całe Zagłębie (Będzin).

Owe zjawiska (warunki, czas pracy, zarobki, mieszkania) Marks w swym wiekopomnym dziele *Das Kapital*, omawiając kwestie pierwotnej akumulacji kapitału w Anglii, nazwał sto lat temu biologicznym niszczeniem klasy robot-

niczej. A przecież od czasów Marksa, od czasów pierwotnej akumulacji kapitału (XVI–XVIII w.) upłynęło kilka ładnych lat walki o wolność człowieka.

Mojej relacji nie zaczerpnąłem z roczników katowickiej prasy. Obserwacje moje pochodzą jeszcze z dawnych lat, kiedy pracowałem w „Trybunie Robotniczej”, są żywe aż do bólu.

Powstaje pytanie: czy są jakieś kategorie etyczne, moralne, które pozwałyby niszczyć ludzi w imię jakichś wyższych celów? Cała postępową myśl ludzka mówi: nie wolno. Kto dał to prawo garstce śląskich liderów: system stalinowski, konkretni ludzie? Dlaczego w propagandzie zwróconej do śląskiej klasy robotniczej „Trybuna Ludu”, Polskie Radio apelują do moralnego oburzenia, posługując się emocjonalnym sloganem „walczymy z krzywdą człowieka”?

Co w śląskich miasteczkach, sztolniach zdaje się jaskrawo przeczyć „doskonałości systemu śląskiego”, to właśnie owa newroza, jaka zalega w ludziach i trawi jednocześnie ich gorączkową działalność. Trwa nie tylko w czarnych sztolniach, ale wydobywa się spod ziemi jako fluid wielu tysięcy jednostek.

*

Moje wrażenia z ostatniej podróży po Śląsku były jednak najbardziej przykre. Mówią tam górnikom (na przykład w kopalni „Mortimer”): kopalnie są deficytowe, organizujemy, niech powstają, niech dojrzewają rady robotnicze – czynnik doradczy dyrektora. Zabezpieczy to wykonanie planu 5-letniego w górnictwie. Plan 5-letni to wielkość 110 mln ton. Nie mam pewności, nie mają i tej pewności towarzysze ślascy: czy będzie pełne pokrycie inwestycyjne dla tak wysokiego fedrunku. Wiem, że z żądań śląskiego Komitetu Wojewódzkiego 300 tys. izb mieszkalnych PKPG wykroiło 150 tys. Wiem, że nie ma finansów na radykalne podwyższenie płac węglowych. Sytuacja jest bardzo trudna. Nie ma jednak żadnych powodów, ażeby dzisiaj, po przewrocie październikowym, tę trudną sytuację rozwiązywać poza śląską klasą robotniczą. Niech górnicy rozwiążą ją sami: niech nastąpi uspołecznienie środków produkcji, kopalń, zabudowań, wolnych szybów. Niech powstaną samorządy robotnicze, a nie bajraty* robotnicze traktowane na Śląsku jako jeszcze jeden poganiacz do walki o plan, bajrat dla dyrektora. Tylko one będą, moim zdaniem, w stanie wyprowadzić nasze kopalnie ze stanu newrozy psychicznej.

[11/1957]

Janusz Matysiak

* Z niem. komitet lub rada o charakterze doradczym, pomocniczym.

Refleksje i obserwacje

W okresie ponadmiesięcznego pobytu w kraju nie spotkałem się ani z trudnościami, ani przykrościami ze strony władz administracyjnych. Korzystałem w całej rozciągłości ze swobody poruszania się, podobnie jak każdy inny turysta. Nie odniosłem również wrażenia, abym był śledzony. Skłonny jestem przypuszczać, że w obecnej chwili zarówno czynniki urzędowe, jak i partyjne zrezygnowały z przesadnej kontroli ruchu przybyszów i raczej nie interesują się nimi. Oczywiście nie wahałem się, by nawiązać kontakty, które uznałem za wskazane, celowe, pomocne w rozeznaniu się w obecnej rzeczywistości. I tutaj również nie napotykałem żadnych oporów.

Wszyscy moi rozmówcy, a było wśród nich sporo, których dopiero teraz poznałem, starali się odpowiadać często na huraganowy ogień pytań. Z zasady mało kto uchylał się od bardzo drobiazgowych, szczegółowych dyskusji, nawet i na bardzo delikatne tematy. Częstokroć zamiast udzielać odpowiedzi, rozkładano ręce, lecz nie spotkałem się z tendencją mniej lub bardziej grzecznego spławiania natrętnych pytań.

Nie ograniczyłem swego pobytu do Warszawy, ale zwiedziłem szmat kraju, bodajże wszystkie miasta wojewódzkie, z wyjątkiem Rzeszowa i Białego-stoku. Bawiłem w małych miasteczkach i wsiach. Każdą obserwację, każdą informację konfrontowałem wielokrotnie w rozmowach z przeróżnymi ludźmi w rozmaitych miejscach. Była to również konfrontacja własnego poglądu, opartego na lekturze, na rozmowach z przyjezdnymi z kraju, z codzienną rzeczywistością.

Ilu jest komunistów?

W Polsce nie ma komunistów i gdyby przeprowadzono uczciwe wybory, nie otrzymaliby więcej aniżeli 5% głosów – tak brzmi wysoce rozpowszechniona w kraju i na emigracji opinia.

Wiemy oczywiście, że w Polsce było naprawdę mało, bardzo mało komunistów i wolno zakładać, że raczej brakło obiektywnych podstaw do powstania wielomilionowej masy zwolenników tego systemu. Spójrzmy jednak na rzeczywistość.

Każda partia rządząca – niezależnie od tego, jak dochodzi do władzy – zdobywa zwolenników i współpracowników. Szczerych i oportunistycznych. Lojalność czy pewność ich jest wprost proporcjonalna zarówno do korzyści, jakie daje partia, jak i do zasięgu jej działania. Nagminnie istnieje tendencja traktowania społeczeństwa jako pewnej całości, i to politycznie wyrobionej, co musi nieuchronnie prowadzić do zasadniczych i poważnych błędów. W każdym bowiem narodzie liczba osób wyrobionych politycznie jest ograniczona; gdyby było inaczej, sytuacja w każdym bodajże kraju na świecie układałaby się inaczej: byłibyśmy świadkami ciągłego ruchu, stałych przemian.

Fakt istnienia ilościowo wielkich mas bezpośrednio nie zainteresowanych w sprawach państwowych i politycznych ułatwia i umożliwia każdemu systemowi utrzymanie się przy władzy przez pewien okres. Działa ona na mocy niemego kredytu obojętnych. Oczywiście w wolnych wyborach co najmniej poważny odsetek obojętnych czy nie zainteresowanych ma możliwość wypowiedzania się. Z braku jednak takich wyborów jedynie na podstawie pewnych posunięć wobec tej ludności i na podstawie pewnych jej reakcji można wnioskować, jakie jest jej nastawienie.

Komuniści w Polsce ani razu nie skorzystali z możliwości przeprowadzenia wolnych wyborów, nie podjęli ryzyka sprawdzenia swoich rzeczywistych sił i popularności swojej gospodarki, a mimo to głoszą o swoich sukcesach, o wkorzenianiu się w życiu.

Jeszcze bardziej uderzające jest, że prawie nikt nie kwestionuje uprawnień do rządzenia tej znikomej mniejszości. Prawa do rządzenia nie odmawia PZPR żaden z czynnych politycznie czy społecznie działaczy, nie odmawia Kościół, nie odmawiają uświadomieni politycznie, jakkolwiek nie znajdujący się w szeregach tej partii.

Dlaczego?

Rola kierownicza PZPR

Partia komunistyczna objąwszy rządy w Polsce, miała jedynie poparcie obcego państwa. Znalazła się przed obliczem potwornie zmęczonego, wyniszczonego społeczeństwa, zdeorientowanego i żyjącego w iluzjach. I to był duży atut kierownictwa partii. Potrzebowała ona ludzi do aparatu państwowego i otworzyła szeroko podwoje swojej organizacji. Nie zamykamy oczu na fakt, że setki tysięcy inteligentów skorzystało z tej możliwości.

Spotykałem członków partii, którzy zajmowali przed wojną nie najlichsze stanowiska w aparacie państwowym, w przemyśle itp. Ani się nie wstydzili swego członkostwa, ani też nie wyrzekali się swojej przeszłości. Widziałem młodszych oficerów przedwojennych, którzy pozostali w służbie czynnej i nie ujawniali ani cienia nielojalności wobec obecnego rządu i kierownictwa partii.

Obawiam się, że ta grupa wynosi więcej aniżeli 5% wyborców i nie wydaje mi się, by była – przynajmniej w obecnej sytuacji – zainteresowana zmianami. Czy to komuniści?

Pewien mój rozmówca ironicznie zauważył po bardzo długiej dyskusji – „Ależ oczywiście, nie ma w Polsce komunistów, nie są nimi nawet członkowie partii, a w zaufaniu panu dodam, że członkowie Biura Politycznego też nie są komunistami. Ale to już tajemnica państwowa”.

Nie upraszczajmy sobie tego problemu. Istnieje wielka rozpiętość między aktywnym uczestnictwem w życiu partyjnym, karnością wobec organizacji, wiernością wobec zasad programowych i każdorazowych wytycznych a między nastawieniem milionowych rzesz społeczeństwa polskiego do państwa rządzonego przez tę partię mniejszości, do systemu, który ona reprezentuje.

Ta „niekomunistyczna” partyjna czy niepartyjna większość pasywnie akceptuje jednak kierownictwo partii i czynnie współdziała w funkcjonowaniu wszelkich komórek państwowych i publicznych. U najbardziej nawet psychicznie opornych jednostek wytworzyła się wcale szeroka płaszczyzna dobrowolnego współdziałania z wszystkimi płynącymi z tego logicznymi następstwami.

Tak więc pokost komunistyczny dostrzegany jest chyba bez wyjątku u wszystkich. Do jednych przywarł mniej, do innych bardziej. Z upływem lat stanie się raczej trwalszy, co nie znaczy oczywiście, iż nie da się usunąć, ale niewątpliwie: 1) nie bez reszty; 2) decydować o tym będzie społeczeństwo na miejscu.

„Awans” partii

Nastąpił „awans” partii komunistycznej. Przyznaję, że było to jedno z największych zaskoczeń, niespodzianek, gdyż nie sądzę, by istniała dostateczna ilość obiektywnych danych do przeprowadzenia tak głębokiej rewizji. Ten „awans” odnosi się zarówno do osób, jak i do programu czy jeśli ktoś woli „ideologii”.

Słyszeliśmy więc o sprawiedliwości społecznej, o konieczności podziału dochodów, o zabezpieczeniu należytej pozycji pracującym, o dodatnim znaczeniu gospodarki planowej, o wyższości jej nad kapitalistyczną i idealistycznym nastawieniu niektórych przywódców, ich patriotyzmie, poczuciu odpowiedzialności za losy państwa, narodu itp. Często towarzyszyły tym wypowiedziom westchnienia: „Ach, gdyby nasze położenie geograficzne było inne, gdyby oni posiadali większą swobodę działania”.

Czyżby istotnie zabrakło tym ludziom krytycznego probierza? Czyż nie stać ich na obiektywną analizę?...

Doktor Zbigniew Brzeziński w swej relacji z pobytu w Polsce ubiegłego roku zauważył, że społeczeństwo polskie uważa administrację Gomułki za rząd ocalenia publicznego, za administrację okresu nadzwyczajnego. Odniosłem wrażenie, że przy wszystkich zastrzeżeniach, oporach, przy niezadowoleniach obecnie istniejących, jest to pogląd ścisły. Trzeba jedynie dodać, iż ten okres nadzwyczajny jest rozciągnięty, terminowo bezkresny.

W Polsce panuje duża swoboda słowa mówionego i najzłośliwsze dowcipy rodzą się w szczupłym gronie komunistycznych intelektualistów, ale nad procesem myślenia zawisła szkoła komunistyczna. Mimo wielkiego rozluźnienia, mimo załamania się dogmatu poważne ślady „zniewolonego umysłu” pozostały. Nie jest zresztą wykluczone, że dobrowolnie, że jest to rodzaj profilaktycznego zabezpieczenia się, pewnej samoobrony.

– Może to i dobrze, że jesteśmy oderwani od różnych źródeł zachodnich, bo w przeciwnym razie byłoby zapewne znacznie trudniej nam żyć. Bylibyśmy bardziej niespokojni, bardziej podnieceni – mówiono mi niejednokrotnie, gdy starałem się prostować różne mylne poglądy na temat Zachodu.

Stan podgorączkowy

Spółeczeństwo polskie od lat żyje w specyficznej, nienormalnej atmosferze, co oczywiście musi pozostawić ślady. Stan podgorączkowy nie jest groźny, ale nie jest normalny. Znakomita większość społeczeństwa, jeśli nie całe, żyje od lat w stanie podgorączkowym. Tak się do niego przyzwyczaiło, iż skłonne jest uważać ten stan za normalny, ale jasne jest, że w tych warunkach reaguje inaczej na różne zjawiska. Raz jest bardziej uczulone, innym razem mniej wrażliwe. W każdym wypadku – z reguły – reakcje są odmienne.

– Łatwiej będzie panu zorientować się i rozeznać w naszej rzeczywistości, gdy zechce pan zapomnieć, że jesteśmy narodem, państwem zachodnim – sugerował mi prawdziwie zachodnioeuropejski uczony polski. A pewien znakomity pisarz wręcz oświadczył: „Robię i wszystko będę robił, by Polska pozostała w kulturalnym związku z Zachodem, ale politycznie należymy i musimy należeć do Wschodu”.

Czy są to oderwane deklaracje wybitnych intelektualistów? Myślę, że nie. Jeden z czołowych publicystów katolickich, oceniając politykę Gomułki i PZPR wywodził, iż wahania wobec linii moskiewskiej w polityce zagranicznej są dużym błędem. Jego zdaniem bowiem nie należy pozostawić nawet cienia iluzji w narodzie polskim, że istnieje szansa czy chęć współdziałania z Zachodem.

– I po co to? – mówił. – Zachód jest słabszy, w pozycji przegranej, natomiast w bloku z ZSRR możemy oczekiwać – i doczekać się – zmian pozytywnych dla nas.

PAX na przykład drażnił bardzo stosunek Gomułki do Jugosławii. Uważano, iż nie należy ani przeciwstawiać się, ani drażnić Moskwy. A silniejsze powiązanie z nią to jednak szansa.

Szczytna dewiza „za naszą i waszą wolność” znakomicie zdewaluowała się w Polsce. Nie wiem, czy jest to jedynie następstwo rewolucji węgierskiej, ale ta wywarła głęboki wpływ na myślenie społeczeństwa polskiego. Wiele zdaje się jednak wskazywać na to, że proces przeobrażenia umysłowego nastąpił w wyniku powstania warszawskiego, zaś lata terroru dokonały reszty.

Błędem byłoby wnioskować, że mamy społeczeństwo politycznie cyniczne, pozbawione pierwiastków idealistycznych, elementów uczuciowych. O nie! Te są, ale spoczywają w szczelnie zamkniętej kapliczce serca.

Sercem więc wszyscy są po stronie Węgrów, wszystkich uciśnionych i pokrzywdzonych, lecz nad uczuciem panuje zimny rozsądek. Mało: strach! Regulujący nie tyle postępowanie, ile zachowanie.

Wizerunek współczesnego bohatera polskiego znakomicie odbiega od dawnego, mimo nimbu legendy otaczającej powstańców warszawskich i żołnierzy Podziemia.

Ani powstanie, ani rewolucja

– Polski nie stać ani na powstania, ani na rewolucję. Musimy skończyć raz na zawsze z tym porywaniem się z motyką na słońce. Dość tych słów o wielkomocarstwowości! Wbijano to nam w głowę z wiadomym rezultatem. Musimy pamiętać o swoim położeniu geograficznym i wyciągać z tego wnioski. Dla starszego pokolenia to bardzo przykra świadomość, ale za to młodsze nie będzie posiadało tych obciążeń – mówił mi nie tylko pewien dawny dyplomata, ale i wiele innych osób.

Nie spotkałem nikogo, kto by oczekiwał od Gomułki wystąpień w obronie innych, by pod tym hasłem wszczął zatarg z Moskwą, natomiast społeczeństwo polskie oczekuje od niego obrony własnego marginesu swobody, odmienności od innych państw komunistycznych. Co więcej, zdają sobie doskonale sprawę, że nie można oczekiwać zbyt wiele i że chodzi raczej o utrzymanie tego, co istnieje. Niektórzy wprawdzie powtarzają:

„tak czy owak
będzie Nowak”,

ale wszyscy wolą Gomułkę, choć krąży dowcip, że zmienił nazwisko na „Gadułka” albo że jest „zdalnie kierowany”. I nie jest zapewne przypadkiem, iż przy ogromnej utracie popularności zachował ją w znacznie większym stopniu w bezpartyjnym społeczeństwie aniżeli w kołach partyjnych.

Nie! To nie jest ani intelektualista, ani inteligent, ale człowiek o dużym zmyśle realistycznym. Na ogół wszyscy mówili o jego patriotyzmie, zmyśle państwowym, co miało świadczyć, że tym wyróżnia się od wielu innych komunistów. Panuje przekonanie, że grono jego zaufanych i najbliższych współpracowników jest szczupłe, co jednak nie przeszkadza mu w utrzymaniu kontroli nad całą partią. Wynika to z samej jej struktury.

Na pytanie, czy istnieje możliwość usunięcia Gomułki przez Biuro Polityczne KC odpowiadano zgodnie, że nie *sua sponte*. Innymi słowy, może to nastąpić jedynie w wyniku postanowień powziętych poza tym zespołem, ale w oparciu o niego. Informowano mnie dalej, że oczywiście w obecnym składzie KC znajdzie się zestaw nowego kierownictwa, nie mówiąc o tym, iż niektórzy kandydaci znajdować się mogą na bocznym torze.

Proces adaptacji

Wróćmy jednak do nastawienia społeczeństwa, do tego wyraźnego, współczesnego pozytywizmu. Znając już genetykę tego stanu, łatwiej go zrozumieć.

Spółeczeństwo zmęczone, zawiedzione w nadziejach, zdeorientowane propagandą, ugniatane terrorem musiało znaleźć formy adaptacji. Różni w różnym stanie weszli na tę drogę i jak mówiono mi: „Nie o to chodzi, że jest w partii, piastuje takie czy inne stanowisko, ale jak się zachowuje”. Spotykałem się często z następującym podziałem: 1) ludzie, których znało się przed wojną; 2) znanych dobrze z okresu okupacji, w tym z obozów, oddziałów AK itp.; 3) powojennych znajomych; 4) partyjnych.

Odnosnie do pierwszej grupy, niezależnie od tego, czy są w partii, czy poza nią uważa się, że można mieć do nich duże zaufanie. Odnosnie do drugiej jedynie do bardzo bliskich i pozapartyjnych, natomiast do dwu ostatnich nie można w ogóle mieć zaufania. Skłonny jestem przypuszczać – na podstawie własnych obserwacji i doświadczeń – że ten podział daleki jest od obrazu rzeczywistego. Być może pasował do poprzednich lat, ale obecnie nastąpiło ogromne przetasowanie elementu ludzkiego, nie mówiąc już o tym, że w tym podziale nie ma miejsca dla pokolenia młodszego, które przecież żyje, działa i odgrywa wielką rolę.

Siłą komunistów do Października był terror. Z rewelacjami Chruszczowa o Stalinie zawalił się gmach ideologiczny, załamało się młode pokolenie, zaplecze i nadzieja partii.

W październiku 1956 roku wydawało się, że żywot partii został przesądzony. Wówczas wszedł na arenę Gomułka z tak zwanym programem „odnowy”, przeprowadzając wręcz paradoksalną operację: odbudował partię w oparciu o antypartyjne, antykomunistyczne społeczeństwo.

Niewątpliwie dla pewnej części była to przykra niespodzianka, największa natomiast dla grupy młodych komunistów, dla „ideologów” Października.

Pasywna akceptacja kierownictwa PZPR, przystosowanie się do powstałych warunków, wyrobiła – jako formę samorozgrzeszenia – w masie inteligentnej „myślenie państwowe”. Ono to ma być rzeczywistym motorem działania tych ludzi, powoduje częstokroć dobrowolne nakładanie okularów zarówno przy ocenie rzeczywistości, możliwości na przyszłość, jak i układu na Zachodzie.

Milcząco należy to oczywiście uzupełnić normalną koniecznością zapewnienia sobie warunków codziennego bytu. Sumując te wszystkie elementy, otrzymamy odpowiedź na pytanie, dręczące niejednego na Zachodzie: jak to się dzieje, że mniejszość komunistyczna – bez stosowania fizycznego terroru – nie tylko rządzi, ale nie jest w tych rządach zagrożona, a nawet posiada „antekomunistycznych” lojalnych współpracowników.

Opozycja wewnętrzna

Istnieje w Polsce wielka ilość powielanych, pisanych na maszynie satyr, doskonałych, krytycznych artykułów odslaniających kulisy różnych skandali i tym podobne. Nie wiem, skąd pochodzą, czy są dziełem jakichś jednostek, czy grup. Niektóre zdradzały doskonałe pióro, inne znawców przedmiotu. Najbardziej uderzyło mnie, iż były skierowane przeciwko nieporadności rządzących, korupcji różnych dygnitarzy, ignorancji innych, lecz nie przeciwko fundamentalnym założeniom systemu. I to pozwala przypuszczać, że literatura ta wywodzi się z „wewnętrznego eksportu” PZPR.

Opozycja wewnętrzna formalnie zamilkła, została rozłożona. Starsi „stalinowcy” otrzymali ciepłe posadki, a wszyscy pobierają jakieś wysokie pensje, związane ze stanowiskami ostatnio piastowanymi. Błędem byłoby jednak przypuszczać, że opozycja ta przestała istnieć. Dotyczy to również tak zwanych rewizjonistów. Trudno powiedzieć, jaki odsetek tej grupy pogodził się z nowym kierunkiem i szczerze go uznał, jaki podporządkował się bez przekonania, a jaki po prostu milczy.

Wydaje mi się również – na podstawie licznych rozmów z tymi ludźmi – iż błędem byłoby uznać tych spośród młodej inteligencji komunistycznej, którzy opuścili szeregi partyjne, za przeciwników systemu, który nazywają socjalistycznym. Wolno raczej przypuszczać, że wielu z nich jest skłonnych w odpowiedniej chwili znowu włączyć się aktywnie w życie polityczne, wyjść z obecnego specjalistycznego, zawodowego schronienia.

Ludzie tej kategorii posiadają zresztą najżywsze kontakty z grupami o innych przekonaniach. Nie są to jednakże żadne powiązania natury politycznej, brak jest wszelkich śladów, a nawet zamiarów tworzenia zrębów organizacyjnych. Nie przypuszczam, by wynikało to li tylko z faktu, iż nie można tego robić ze względów administracyjnych, jako że nietrudno byłoby znaleźć formy kamuflażowe, ale po prostu ludzie ci jeszcze nie dojrzelili do takich

akcji, nie wytworzyli żadnej koncepcji. Można ich uważać i sami uważają się raczej za pewnego rodzaju rezerwę, za ludzi znajdujących się politycznie w stanie nieczynnym, którzy bądź zostaną w sprzyjających okolicznościach powołani do życia politycznego, bądź potrafią narzucić pewne koncepcje polityczne.

Ani pokonani, ani bankruci nie nadają się do ideologicznych oddziałów szturmowych, stąd taki chaos na tym odcinku wśród komunistów, stąd obrona miast natarcia, lizanie ran w bezpiecznym mateczniku. Jaskrawe przeciwieństwo do intelektualistów katolickich. Tam poszukuje się nowych, konkretnych form dla mocnego trzonu ideologicznego, ciągle jednak nie praktyczno-politycznego. Pierwsi posiadają jednak olbrzymi atut w postaci nieograniczonych wprost środków działania, podczas gdy drudzy walczą z ogromnymi trudnościami, muszą strzec się przed niezliczoną ilością pułapek, przed ponętym, lecz zdradliwym widmem łatwego zwycięstwa. Tym tłumaczy się już nie ostrożność, ale daleko posunięta wstrzeźliwość i samowyrzeczenie się tej grupy.

W konsekwencji przedłuża się okres wykluwania się form ideologicznych, starcia dwu kierunków, wśród których katolicki świadomie zmierza do znalezienia pewnego *modus vivendi*.

Aktywni i nieaktywni komuniści zgodnie wywodzili, że nie ma powrotu do dawnych form, które każdy zresztą inaczej oceniał i określał. Nawet zwolennicy przeszłości godzili się z takim poglądem. Jednocześnie wszyscy głoszą, że „socjalizm” jest jedyną możliwą formą ustrojową dla Polski. Niektórzy nie przeczyli, że nie jest to ustrój idealny, nie kwestionowali, iż przyjęcie przynajmniej pewnych form kapitalistycznych, demokratycznych byłoby celowe, ale jednocześnie zastrzegali się, iż na pewno nie w obecnych warunkach ani też na przestrzeni najbliższych kilku lat.

Słyszałem również wręcz „heretyckie” opinie w tym gronie, a mianowicie, że komunizm jest odpowiednią formą rządzenia dla krajów biednych i zacofanych, tam zdaje znakomicie egzamin. Polska była w sytuacji przymusowej, gdyby nie forma „socjalistyczna”, nie udało się ani odbudować kraju, ani przeprowadzić jako takiej stabilizacji po wojnie.

O czynniku zewnętrznym, najbardziej decydującym, wszyscy dyskretnie – a myślę, że rozmyślnie – milczeli.

Ale ten „socjalizm” oznacza również partię, i to PZPR, i dlatego uważają, iż wszystko będzie można przeprowadzić jedynie poprzez partię. Zdaniem

ich, istnieją możliwości ewolucyjnych przemian. Ale to kwestia raczej długiego czasu, nie mówiąc o tym, iż uzależniona jest od wielu niewiadomych czynników, jak chociażby rozwój sytuacji międzynarodowej.

- A może i od nastawienia Moskwy? – pytam.
- To też czynnik międzynarodowy – pada odpowiedź.

Kochacie Gdańsk?

ZSRR nie jest popularny w Polsce i niektórzy komuniści z nieukrywaną złością wskazywali, że nawet w Wielkiej Brytanii nie kocha się Amerykanów. Biedni nie lubią moźnych, słyszałem często. Święta prawda.

Wiadomo jednak, że – mówiąc wysoce oględnie – brak sympatii do Rosji, do ZSRR, ma w narodzie polskim wcale głębokie i dostatecznie uzasadnione powody. W obecnych warunkach politycznych jest to jedynie przekorna manifestacja uczuć. Jest to jeden z licznych paradoksów polskiego życia. Myślę, że wyłania się wyraźnie z następującej relacji pewnego dziennikarza belgijskiego, który niedawno bawił w Polsce. Oto jego dialog z warszawskim kolegą – członkiem partii.

- Wy nie lubicie Niemców, prawda?
- Nie, ale to przecież chyba rozumiecie dla pana!
- Tak, tak. Nie mam zastrzeżeń, ale wy zdaje się również nie lubicie Rosjan?

- Hm, jak to panu powiedzieć? Pewnie, że nie kochamy. Mamy przykre wspomnienia z przeszłości dawnej i niedawnej, nie zawsze zachowują się należycie.

- Rozumiem, ale niech mi pan powie, czy Szczecin, Gdańsk, kochacie?...
- Zapewne, Ziemia Zachodnia są bodajże najważniejszym elementem ustawiającym orientację polityczną społeczeństwa polskiego. Nie jest to jednak jedyny. Do ciężaru położenia geograficznego dochodzą powiązania, zależność gospodarcza. Są to czynniki, o których nie chce się w Polsce mówić, ale one kształtują życie i nastawienie. Najzupełniej zbędne jest straszyć Polskę dywizjami sowieckimi, bo na przykład wstrzymanie dostaw bawełny i rudy żelaznej doprowadzi najdalej w ciągu trzech tygodni do unieruchomienia całego przemysłu tekstylnego i ciężkiego.

Wystarczy, prawda?

Ale niezliczone dowcipy na temat ZSRR, brak entuzjazmu do Rosjan, to pewnego rodzaju zadośćuczynienie za niewesołą świadomość zależności, słabości i niemocy. Powiedziałbym nawet, że to kłapa bezpieczeństwa.

Nie będę na tym miejscu relacjonował codziennych warunków życia w Polsce, ale ograniczę się do stwierdzenia, że są ciężkie. Stopa życiowa jest niska, rozpiętość między cenami a dochodami duża. Polska jest nadal biedna i zacofana i bardzo powoli dźwiga się z najniższego upadku. Suma błędów przewyższa sumę osiągnięć, ale w tej chwili istnieje już świadomość tego i nikt nie usiłuje ukryć obrazu rzeczywistości, co samo przez się jest dodatnim objawem.

Nad całym społeczeństwem i nad krajem ciąży przede wszystkim nieświadomość dnia jutrzejszego. Jest to szalone obciążenie, potężny hamulec dla wszelakich poczynąń. Źródła tego są wielorakie: wewnętrzne i zewnętrzne, uzasadnione i nieuzasadnione, ale w ostatecznym efekcie działają wspólnie. I ujemnie.

W miejsce zaplecza

Partia ma tylko bardzo cienkie zaplecze w proletariacie, co stanowi największą jej słabość. Naturalnie przystąpiono do pracy na tym odcinku, jednakże nikt nie ma wątpliwości, że nie pójdzie to ani łatwo, ani szybko. Brak jej młodego pokolenia, zdrowego – pod każdym względem – narybku robotniczego. Młodzież fabryczna, a więc trzon proletariatu, stroni od partii, a ci, którzy należą, nie zdradzają wielkiego zainteresowania pracą organizacyjną. Często jest to element najbardziej oportunistyczny, traktujący przynależność do partii, przyjmowanie w niej jakichś funkcji jako czynnik w awansie materialnym. Naturalnie takie podejście – świadomie czy nieświadomie – jest powszechne wszędzie, ale właśnie na obecnym etapie i w szeregach PZPR jest objawem ujemnym, który nieuchronnie doprowadzi do upadku wartości kadr.

Trudno jest obserwatorowi nie dostrzec w Polsce wyraźnej ewolucji wsi. Nie, wieś nie jest komunistyczna. Wiele mówi się tam o ruchu ludowym, o prawach chłopskich, o tradycjach organizacyjnych, o specyficznych potrzebach. Ale ta wieś – po wstrzymaniu kolektywizacji – posunęła się naprzód materialnie i społecznie. O ile w poprzednim okresie cierpiała materialnie, o tyle na odcinku społecznym ewoluowała.

Ze wsi wyszła na przykład wcale poważna warstwa nowej inteligencji, a obok niej wielu niższych i średnich pracowników samorządowych i państwowych. Dawniej wieś dostarczała miastom tylko jednostki, dziś nastąpiła wcale radykalna zmiana. Ze wsi pochodzą policjanci, oficerowie, nauczyciele i lekarze. I to nie pozostaje bez wpływu na powszechne nastawienie wsi. Każdy czuje, że potencjalnie może awansować. Natomiast ta nowa warstwa

zawodowa i inteligencka, która wyszła ze wsi, nie pozostaje w zasięgu „myślenia wiejskiego”, nie reprezentuje swojej „klasy”. Owszem, reklamuje swoje pochodzenie, gdyż jest to dobrze widziane, pomaga w karierze, ale stara się wrastać w nowe środowisko, środowisko rządzące. Jest to element prężny, ambitny, wyrosły w całkowicie odmiennych warunkach. Mit przeszłości nie przemawia do niego, nie dochodzi wprost do jego świadomości.

I nawet gdy jest niepartyjny, to jest z partią wieloma więzami związany. On to uważa ją bardziej aniżeli ktokolwiek inny za „transmisję państwową”. W jeszcze silniejszym stopniu odnosi się to do elementu pochodzącego z dawnych województw wschodnich i południowo-wschodnich, z tym iż rozciąga się również na dzieci niższych funkcjonariuszy państwowych i samorządowych, średnich urzędników i tym podobnie.

Wdzięczność nie jest cnotą rozpowszechnioną i nie wolno na niej zbyt budować. Byłoby więc zapewne błędem przypuszczać, że ci wszyscy wyawansowani są bezgranicznie wierni, oddani partii i jej rządowi, lecz co najmniej równie błędne byłoby zakładać, że są oni zainteresowani w gwałtownej zmianie ustroju, że są zasadniczymi jego przeciwnikami. Naturalnie tęsknią do przemian, do reform, ale to jest co innego.

Jest jeszcze jeden awans wsi stanowiący nie mniej cenny atut obecnego ustroju, a mianowicie przenikanie ludności wiejskiej do miast w związku z uprzemysłowieniem kraju. Teoretycznie wieś jest rezerwatem proletariatu miejskiego i gdyby ten proces odbywał się ewolucyjnie, nie odróżniałby się niczym od podobnych procesów na Zachodzie czy w dawnej Polsce. Wiemy jednak, w jakich warunkach dokonał się. Otóż ten nowy proletariat ciągle jeszcze nie ma oblicza robotniczego, a częstokroć nawet jest wrogo nastawiony do tradycji robotniczej. Wędrując po różnych zakładach pracy w Polsce mogłem stwierdzić, że pojęcie „świadomości proletariackiej” jest dla tej nowej warstwy czymś zupełnie obcym. Niewątpliwie jest to jeszcze jeden z licznych paradoksów współczesnej rzeczywistości polskiej. Partia głosząca, iż jest „awangardą” proletariatu, znajduje poparcie w robotniku nie posiadającym „świadomości proletariackiej”. I jeśliby ktoś sądził, że partia i jej rząd są z tego niezadowoleni, byłby w grubym błędzie. Naturalnie mówi się o konieczności „nałężytego” wychowania tych ludzi, ale w rzeczywistości brak tradycji robotniczych jest władzom wysoce na rękę. One bowiem osłabiają solidarność robotniczą i na tym tle doszło nieraz w różnych zakładach do zaburzeń czy bójek, a nawet do krótkich, dzikich strajków.

Do pracy zawodowej i na wyższych uczelniach pojawia się pokolenie urodzone w latach 1938–1939. Różni się ono i od tego, które jest zaledwie

o kilka lat starsze. Nikt nie może zaprzeczyć, że pozbawione jest ono więzów z minioną przeszłością. Jak wyglądać będzie start życiowy tego pokolenia?...

Stawianie horoskopów byłoby na pewno zwodnicze. Byłoby także uproszczeniem, gdybyśmy usiłowali rozpatrywać je w oderwaniu, gdyż niewątpliwie istnieją powiązania między tymi rocznikami a nieco starszymi. Nie wskoczą one w życie jako oderwana całość i w dalszych latach dojrzewania będą ocierać się o starszych i młodszych, ale mimo to reprezentują już odmienny typ psychiczny. O to pokolenie rozegra się teraz wielka batalia.

Inteligencja polska, opierając się na obowiązującej tezie, że żyje w ustroju, którego ideałem jest „bezklasowe” społeczeństwo, przyjmuje na siebie rolę nieomal apostołską. Uważa, iż z natury rzeczy przypada jej kierownictwo. Uzasadnia to również tym, że wywodzi się z różnych „dawnych” klas, czyli stanowi emanację całego narodu. I jakkolwiek przywódcami ruchów robotniczych byli – i są – inteligenci, partia takiej zasady uznać nie może i nie chce. Korzysta dowolnie z inteligencji, awansuje poszczególnych jej członków, lecz nie oddaje im prymatu.

W PZPR – wbrew pozorom – inteligencja bynajmniej nie obsadziła większości czołowych, kierowniczych stanowisk. Znaczny odsetek inteligencji w szeregach partyjnych rekrutuje się ze „średniaków”, z grupy pracowników zawodowych. Zestawienia nie uwzględniające wykształcenia zniekształcają i ten obraz, gdyż na stanowiskach tak zwanych inteligenckich, na przykład dyrektorów przedsiębiorstw, naczelników, kierowników instytucji, wydziałów, spotyka się wielu robotników. Jest wielu wyższych oficerów, którzy dopiero w wojsku, gdy znaleźli się na odpowiedzialnych stanowiskach, otrzymali pewne wykształcenie na szczeblu średnim.

Wydaje się, że inteligencja, przede wszystkim intelektualiści, osiągnęła swój najwyższy szczyt w dniach poprzedzających polski Październik oraz bezpośrednio po nim. Nie można jeszcze mówić o nastrojach antyinteligencyjnych, lecz istnieje wyraźna tendencja do nieprzecenia tego elementu i utrzymania go w ściśle fachowych, zawodowych ramach.

„Kultura” w kraju

Na zakończenie coś niecoś o „Kulturze”. Miło było stwierdzić, że w wielu domach, nie mówiąc o instytucjach i organizacjach, znajduje się nie tylko „Kultura”, ale i wiele jej wydawnictw książkowych. Niektóre instytucje uskarżały się, że cenzura regularnie i konsekwentnie konfiskuje egzemplarze „Kultury”, a wszelkie reklamacje pozostają bez skutku.

Miesięcznik krąży z rąk do rąk. Niektórzy otrzymują tylko określone numery, niemniej jednak pismo jest raczej szeroko znane, jak to wynikało chociażby z rozmów. Oceniane jest przez wszystkich, partyjnych i niepartyjnych, dodatnio. Pierwsi oczywiście mają już nie tylko zastrzeżenia, ale potężne skargi. I tak na przykład atakowano artykuły Mieroszewskiego, irytowano się na felieton inż. Ledóchowskiego, by wymienić ostatnie numery. Zarzucano „Kulturze”, że usiłuje się zamęt, że chce tworzyć opozycję, że..., że...

W toku jednej rozmowy ktoś rzucił: – Giedroyc zachowuje się w stosunku do nas, Polski Ludowej, jak suweren, jak oddzielne państwo.

– Po trosze ma do tego prawo, bo czy my sami nie uważamy go za takiego? Czy każdy z nas, udający się za granicę, nie pędzi do Maisons-Laffitte? – zauważył wcale wybitny członek partii.

Najbardziej popularny z pisarzy znajdujących się na emigracji jest niewątpliwie Miłosz. Nie padały pod jego adresem żadne złośliwości i uszczypliwości, co najwyżej niektórzy utrzymywali, iż omylił się – podobnie jak Orwell – w *Zniewolonym umyśle*.

W kołach literackich bardzo wysoko cenią Józefa Czapskiego, Pawła Hostowca, Witolda Gombrowicza. Cykl amerykański Aleksandra Hertza wywarł duże wrażenie i stanowił temat licznych rozmów. Były i pretensje za wydanie *Cmentarzy* Marka Hłaski, co uznano gdzieś za prowokacyjną demonstrację. Ale te gorączkowe nastroje były już w stanie zamierania. Zapewniano mnie, że Hłasce na pewno nic nie grozi po powrocie, poza... przymusowym milczeniem, to znaczy odmową drukowania. Niezbyt zachęcająca perspektywa dla młodego pisarza.

Benedykt Heydenkorn

[9/1958. Drugi odcinek relacji ukazał się w 6/1960]

EWA KARPİŃSKA

Zieloność i pajęczyna

Zwycięstwo

Zielono. Tyle drzew, tyle trawy.

Wzruszają kwiaty na skwerach, latarniach, w kioskach, a zwłaszcza na balkonach, gdy tłem są brzydkie mury albo stare zranione w Powstaniu, albo nowe, jeszcze nie otynkowane czy też już obdrapane.

Gruzów nie widać, a w każdym razie nie rzucają się w oczy.

Trawy robi się jakoś dużo. Cała łąka gęsto nakrapiana białą koniczyną, kolorowy łubin, niby to dziki, niby to grządka, piękny klomb w kształcie warszawskiej syreny z czerwonych liści. W głębi, zza drzew Ogrodu Saskiego, wyłania się wszechobecny, „maleńki, ale za to w dobrym guście” Pałac Kultury. Na szczęcie jest daleko.

Blisko na słupku, na tle gołego nieba, napis: Wierzbowa. Gdzie wśród koniczyny czerwieni się syrena, onego czasu białł się piękny pałac Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Na tle nieba i drzew, na tym słupku, wyrastającym sobie z ukwieconej łąki, drugi napis: Plac Zwycięstwa.

W lewo spalony pałac Kronenberga na Królewskiej, w prawo dźwigający się kolos nowej Opery, a na wprost trzy łuki, resztką dawnej kolumnady. Grobowa płyta: Tu leży żołnierz polski poległy za Ojczyznę.

Partyzantka, Dywersja, Sabotaż, Gwardia Ludowa, AK, AL, Bataliony Chłopskie, Getto, Powstanie..., Monte Cassino 1944, Lenino 1943, przedtem Tobruk, Narvik..., przedtem 1939, od Borów Tucholskich po Kock... A przedtem?

Nie, oczywiście, nie 1920.

Więc zaczyna się ta litania 1 września 1939, data przełomowa, historyczna, logiczna?

Nie.

Początek historii, to Madryt 1936, Ebro 1938.

Dopiero w następnym roku i w trzecim wierszu tablicy przychodzi ten polski wrzesień, który rozżagwił się w drugą wojnę światową.

Na grób żołnierza polskiego poległego za ojczyznę pasują biało-czerwone kwiaty. Ale te hiszpańskie bitwy wołają głośno, że oficjalny hołd należy się tylko czerwoności. Jak gdyby Polska była tylko przypadkiem, a jej historia fragmentem.

Wzrok, słuch i mowa

Na szybie czerwonego autobusu produkcji francuskiej napis: *Sortie de secours*. Nogi na amerykańskich szpilkach ostrożnie szukają bezpiecznych miejsc wśród wypukłych listew i rowków drewnianej podłogi. Nad głową zadziwia białość nie upstrzona ogłoszeniami. „Co za marnotrawstwo – sarkająby agencje z Madison Avenue – tyle stóp kwadratowych w tylu miejskich autobusach, ile to dolarów rocznie? Reklama jest dźwignią handlu, dobrobyt zawdzięczamy reklamie!”

A tu ciężarówki szare bez firm, tylko drobnymi literkami na drzwiach szoferki wypisane państwowe to czy tamto. A tu w radio nic się nie reklamuje. A tu w gazetach tylko drobne ogłoszenia. Owszem, są szyldy sklepowe, ładne graficznie, nawet neony, godne i dostojne, jednokolorowe, nie mrugające: **Jedwabie. Obuwie. Konfekcja. Wełny. Bez nazwisk, bez nazw.**

Brak reklam pozbawia miasto kolorowych akcentów. W lecie są barwne suknie, ładne stoiska kwiatowe, ale w zimie? Czy tylko czerwoność autobusów ożywia szarość murów i bruków?

Wiele ładnych wystaw, ale sklepy jakoś zupełnie nie wciągają klienta. W Nowym Jorku zdają się operować na odległość mackami świateł, olbrzymich przestrzeni wystawowych wysuniętych w ulice i cofniętych w głąb budynku. Tutaj są jakieś dyskretne. Nie chodzi o jakość towaru, który może zmieniać się od skromnego do luksusowego, ale o samą koncepcję sklepu, na businessową, nie handlową, bez wysilania się na tricki dla zdobycia klienta. Architekt może cieszyć się z prawidłowości i piękna domu: cały parter przygląda się ulicy szeregiem jednakowych półokrągłych okien, za którymi widać kolejno i kawiarnię, i jakieś biuro, i sklep. Ale chyba żaden kupiec nie wynająłby jednego z tych lokali do sprzedaży swego towaru, mającej dać mu zysk.



Pierwsza rzecz – rejestracja w ambasadzie amerykańskiej. Bo kto ICH tam wie, strzeżonego Pan Bóg strzeże, niech *Uncle Sam* dba o swych nowych obywateli. Potem meldowanie polskie, najpierw dzielnicowe. Ciasny lokalik, na żarówkę nałożony lejek z gazety, dwie doniczki z uschniętymi roślinkami, zatłoczona ławeczka i kolejka stojących. Urzędniczka jest uprzejma i życzliwa.

Metryczkę pan pozwoli, a pani zaraz wypełniam to zgłoszenie do przedszkola. Dobry wieczór pani, musi pani poczekać na pieczęteczkę, szuflada zamknięta, koleżanka z kluczem zaraz przyjdzie... Nie, to jeszcze nie wszystko, proszę pana, trzeba jeszcze dołączyć poparcie wniosku z Instytucji (w głosie słysząc to duże I).

Państwo puszcza mnie z łaski swojej – odzywa się głos przy drzwiach – ja tylko dowód odebrać. Już trzeci raz zwalniam się z pracy za tą jedną sprawą, a tu zawsze coś, to druczków zabrakło, to znów ta z kluczem od szuflady nie przyszła...

Iluz to papierków wymaga zwykły żywot człowieka pocziwego!

– O, naczeka się pani po urzędach Polski Ludowej – objaśnia sąsiadka w kolejce, otaksowawszy najpierw wprawnym okiem buty, pończochy (już w maju nikt ich w Warszawie nie nosi), torbę i wszelki ciuch pochodzący z przedziwnego kraju, w którym w ogóle nie istnieją meldunkowe czy adresowe urzędy i buja człek nie zapisany od Atlantyku po Pacyfik.

Z różowym odcinkiem mieszkaniowego meldunku i z nieswoim trochę uczuciem, jako że w potocznym języku mówi się o meldowaniu w UB, trzeba teraz iść do głównej komendy milicji w Pałacu Mostowskich. Biuro dla cudzoziemców. Czyste, kolorowe, nowoczesne i eleganckie. Prospekty zagranicznych linii lotniczych, dobre światło, rośliny w doniczkach podlane i kwitnące. Dziwne uczucie, żeby w rodzonej Warszawie zaliczać się do cudzoziemców.

– Pani tak dobrze pisze po polsku – z uznaniem stwierdza urzędnik, śledząc ruch pióra po formularzu. – I żeby od kiedy to, od stycznia 1940 roku, nie nabrać obcego akcentu?



Autobus jedzie szybko szerokimi ulicami, nie znającymi – jak na razie – przekleństwa powszechnej motoryzacji. Trzeba uginać nieco nogi w kołanach, aby odczytywać przez szybę nazwy ulic, białe na granatowych tabliczkach.

– Abonament ulgowy pani będzie łaskawa – mówi pasażer, pokazując jakąś legitymację.

– Środek pani będzie łaskawa! – woła wysiadający jegomość do konduktorki. Ach, więc to tak się mówi: *Out, please* albo *Getting off*, jaka długa ta prośba o otwarcie drzwi i co za Wersal!

– Czy pan leci Marszałkowską czy Nowym Światem i Krakowskim? – pyta zdyszany pasażer, dopadając przystanku na placu Unii.

„Leci!” Samo nie przyszłoby na język. Autobus pospieszny rzeczywiście pędzi, ale nie chodzi o szybkość. Warszawska gwara uskrzydliła i tramwaj, i każdy pojazd.

– Polecimy Alejami – mówi taksówkarz.

– Niestety, nie mogę polecić aż na Żolibórz – żałuje szofer rządowy, dorabiający przewożeniem pasażerów „na łebka” po drodze po Pana Dyrektora. – Ale tu akurat ma pani przystanek pospiesznego, trasą W–Z raz dwa zajadzie.

Na przystankach są ławki, tabliczki z dokładną trasą i rozkładem jazdy, jak w Paryżu. Proszę, proszę! Gdzie tam Nowemu Jorkowi do Warszawy! Jakie czyste ulice, jak zielono, ile kwiatów – cieszy się połowa serca. A druga połowa ściska się boleśnie na widok zaniedbanych klatek schodowych i rozpaczliwie tandentych nowych domów.



Szybko jednak mija ostrość pierwszych wrażeń, oczy i uszy przestają chwytąć. Tylko zapachy – te odczuwa się do końca, stety przy jaśminie i poziomkach, Niestety przy... lepiej zamilczmy.

Już nie ma co krok zdziwienia. Już nie stawia oporu wielgachny klucz do windy, która nie zna guzikowego przywoływania na górę i chodzi tylko do IV piętra, chociaż dom jest pięciopiętrowy. Już automatycznie przypomina się godzina wieczornego mycia – bo po 11 nie będzie wody tak wysoko, wyłączają się bowiem dodatkowe pompy robiące zbyt dużo hałasu. Już za

pierwszym wychytrzonym pociągnięciem sznurka, pełniącego obowiązki łańcuszka, spuszcza się krnąbrna woda, bez szumu i bez należytego impetu, a za to z jękiem i zgrzytem dźwigni w zbiorniku.

– Jednak nie wynarodowiłaś się, miałam tu kilka cudzoziemek i ani rusz nie umieją pociągnąć, nie mają wyczucia! – z uznaniem stwierdza przy tej okazji Hanka.

Już wiadomo, którądy leci pospieszny, a którądy „setka”, bez pudła wyciąga się 60 groszy na trolejbus, 80 groszy na autobus, a tylko 50 groszy na tramwaj. Już nie tak uderza, choć ciągle bawi superlatyw „wdechowa babka”, już bez zająknięcia mówi się o kociakach i o wczasach i już w ogóle nie pchają się na język angielskie zwroty.

Rozkładając lekkie i zgrabne łóżko polowe rosyjskiej produkcji, Dziunia uśmiecha się wieczorem:

– To nieprawda, że ty w ogóle wyjeżdżałaś!

Oni

„Dla rozpoznania elity władzy naszych czasów należy wskazać właściwy sens anonimowego określenia ONI, które niższe warstwy ludności przeciwstawiają anonimowemu określeniu MY”. Wright Mills: *The Power Elite*.

Tak jest na pewno wszędzie na świecie. Ale w Polsce jest i tak, i nie tak, bo tu każda definicja i każda teoria wikła się wśród paradoksów. W potocznej mowie i na pierwsze pobieżne nastawienie ucha ONI to władza. ONI występują co trzy zdania i należy raczej polować na MY. Nie: „co myśmy przeszli”, za Niemców czy za Stalina, kiedy wszyscy porządni Polacy byli po stronie MY; ale teraz, dziś, kiedy nic nie jest proste.

*

– Czerwona burżuazja, psiakrew – syczy przez zęby taksówkarz-śledzienik koło Domu Partii. – Niechby tych Amerykanów pokreśliło, jak tego ich Roosevelta właśnie wtedy, że nas pod tych czerwonych wpakowali, kto wie, czy jeszcze sami nie powąchajom z bliska, już majom czerwoną burżuazję na Kubie!

– Zawsze i wszędzie jest jakaś burżuazja, rząd, klasy...

– No tak! Ale dawniej to była szlachetna burżuazja, a teraz to chamstwo, cholera! Tylko drętwe mowe trzymać umiejom, żyć człowiekowi nie dajom.

Zarabia się niby te półtora tysiąca, a skąd się te drugie półtora tysiąca dokradnie, to ICH nic nie obchodzi!

Inny taksówkarz ma usposobienie pogodniejsze. Jadąc nadwiślańskim bulwarem, objaśnia:

– Ten Stadion Dziesięciolecia udał IM się, to szkoda gadać. Widziała pani tę rzeźbę, trzech faceci co biegną, nie tylko „do figury”, ale jak ich Pan Bóg stworzył? To repatrianci z Rosji! Bo nadzy i na Zachód ganiają!

*

ONI przemianowali wiele ulic. Mało IM nowych dzielnic, niechby tam pakowali tych wszystkich bohaterów, zamiast zamęt wprowadzać.

– Rutkowskiego 15 – jegomość z prowincji rzuca taksówkarzowi adres odczytany z drukowanego zawiadomienia.

Szofer patrzy pytająco. Drugi pasażer niecierpliwi się:

– No, jedź pan! Chmielna 15!

– To czemu pan od razu po ludzku nie powie?

*

– Plac Wilsona! plac Wilsona! – obwieszcza urzędowo konduktor autobusu.

– Czy to następny przystanek będzie plac Komuny Paryskiej?

– A pani właściwie skąd? – wtrąca się tonem zaczepnym typowy Pan Piecyk lub Szwagroszczak Piekutowszczak, mogący być autorem sławnego wykrzyknika przy podobnej okazji:

– Wsiadaj, królowo Związku Radzieckiego, właśnie zajechalim do tej Komuny!

Piecyki i Piekutowszczaki mają wyrobione zdanie: „To jak świat światem był plac Wilsona i tak mają w warsiaskich autobusach wołać, żeby warsiaskie rodaki rozumieli. Nie będziem się co parę lat uczyć od początku, plac Saski, plac Piłsudskiego, a tera plac Zwycięstwa. ONI na urzędach nic do roboty nie majom, cholera, tylko stare ulice od nowa chrzcić, kołowacizny człek dostaje. Kartkie na imieniny do ciotki jak świat światem adresowało się na Złote ulice, to tera Kniewskiego. Albo Szucha, co to NAM jom gestapowce szkopy tak upamiętniły, nie mogła historycznie zostać się bez zmiany na tom patriotycznym pamiątkie? Żeby to jakie trefne burżujskie nazwisko – Aleje Ujazdowskie zaraz obok za Aleje Stalina wtedy biegały, więc i Szu-

chowi na sucho by ująć nie mogło, gdyby pod Stalina nie pasował. Tymczasem to był ogrodnik, czyli lud pracujący, więc co IM szkodziło, jak świat światem...”

*

Autobus przejeżdża przez plac Bankowy – obecnie Dzierżyńskiego i „Saskiem Ogrodem” wpada na Marszałkowską. Szeroka arteria aż się prosi o jakiś akcent końcowy za placem Konstytucji, gwooli symetrii i miłego oparcia dla oka. Tymczasem w piękną perspektywę włązi jeden z poprzecznych bloków MDM, a zza niego ni w pięć, ni w dziewięć wieże kościoła Zbawiciela.

– Czy to nie można było inaczej rozwiązać placu Konstytucji i MDM? Ale ONI nie mogli przecież dopuścić, aby kościół był centralnym punktem takiej wielkiej ładnej osi.

*

Nie jest łatwo kupić pocztówki w kiosku Ruchu. Często nie ma ich w ogóle, zwłaszcza na dworcach. A jeśli są – nie można samemu pokręcić stojakiem dla wybrania fotografii, ONI bowiem powiesili wiatraczek za szyną, w górę w skos od głowy sprzedawczyni.

– Tę drugą od dołu pani będzie łaskawa, nie, nie Grand Hotel, tę obok!

Po długich i ciężkich obopólnych cierpieniach, wybrane pocztówki leżą na kupce.

Po złoty czterdzieści sztuka, plus 20 groszy na Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy, mówi nadruk; a tamte dwie tylko po złoty czterdzieści, nie, nie, ja nie policzę pani wszystkich jednakowo, to inna seria, biedna jestem, ale uczciwa, ja nawet ICH nie oszukuję, choć to pewno nie byłby grzech, ale jestem starej daty, nad grobem stoję, na telewizor i tak nie zbieram. Dzieci zginęły, i od Niemców i od Rusów, dla samej na jedzenie starczy i w tej naszej Warszawie zemrę daj Boże już spokojnie, kąt pokoju opróżnię, może ONI nie dokwaterują tam zaraz kogo, wszystkim w mieszkaniu lżej będzie. A jeszcze niech pani ten piękny kościół weźmie, dobra fotografia.

– Sakramentki na Nowym Mieście, byłam tam, kuzynka wstąpiła do nich już po wojnie i w tej krypcie jest pochowana. Proszę dwie sztuki.

– Tak młodo umarła. Tym bardziej na mnie starą czas... Dla pana szanownego „Trybunkę”, proszę, proszę uprzejmie, a panu „Życiem Warsza-

wy” już służę, to mój stały klient – objaśnia zadowolona, że jest przed kim odsłonić kawałek codziennego życia. – Jak to miło pogadać z panią, dziś nikt nie ma czasu, nawet są klienci, co się uśmiechną i dzień dobry powiedzą, i ci dla których „Przekrój” chowam zawsze, ale nie mogą przecież zatrzymywać się, każdy biegnie do pracy albo załatwić coś na boczku, albo o trzeciej do domu na obiad... Tak, to kościół Sakramentek, ale napisane jest „Rynek Nowego Miasta”, widzi pani, ONI nie mogą przecież napisać, że to kościół.

*

Nad kanapą wisi na ścianie makatka w czerwone róże. W rogu telewizor. Mieszkanko podmiejskie jest jasne i czyste, z wyjątkiem – jak wszędzie – wiele do życzenia pozostawiającej łazienki. Gospodarze rozmawiają swobodnie, literackim językiem, terminy techniczne i obce słowa wplatają się naturalnie i we właściwych miejscach. Jedzenie smaczne i ładnie podane, nie mówiąc o jego obfitości. Dzieci porządnie ubrane.

– Chciałabym je podrzucić do babci, aby znowu pracować. Przyjęliby mnie z powrotem do tej hodowlanej stacji doświadczalnej. Ale chyba muszę poczekać, aż oboje pójdą do przedszkola – wzdycha mama, potrząsając modną fryzurą.

Tata jako dziecko biegał na bosaka po wsiowej błotnistej drodze. Ale już przed wojną skończył szkoły: i powszechną, i rolniczą. Kim byłby dzisiaj, czy też rolniczym urzędnikiem, jak wyglądałoby ich życie, gdyby nie Polska Ludowa?

Pewno dość podobnie. Nie sposób jednak ustosunkować się wprost do makatki w róże, do telewizora, kultury, mowy i stołu, okropnej łazienki, aby zaraz w tok myśli nie wplątali się ONI jakąś drętwością propagandową.

Radio podaje streszczenie czyjegoś jakiegoś przemówienia: „Trzeba poruszyć sprawę współpracy komitetów z radami..., należy rozgraniczyć sprawy należące do kompetencji..., zmienić zakres działania..., stworzyć szersze możliwości..., nawiązać do postulatów dotyczących skorygowania planów”.

W radio i telewizji, drukowanymi szpaltami i metrami taśmy filmu czy magnetofonu snuje się pajęczyna. Nie tylko omotuje, ale zagradza dostęp wszystkiemu innemu. Tylko to jedno, tylko ICH oficjalnie uznane słowa...

*

ONI puszczały najlepsze dowcipy, jakby wkupywali się do wspólnoty. Kapitalne terminy, jak okres neominiony w odniesieniu do terażniejszości, formalizm, ubizm, neorepresjonizm, urodziły się pewno z chęci nawiązania łączności intelektualnej poprzez przedziały pogładowe. W takich rozmowach znikają ONI, a w żadnym razie nie utożsamiają się z PZPR.

Natomiast panna sklepowa czy urzędnik na poczcie, który odstawia ważniaka ku rozgoryczeniu i złości klientów, może łatwo znaleźć się wśród NICH. Zarabia te swoje marne grosze, wymyśla razem ze wszystkimi, że ONI żyć człowiekowi nie dają, ale sam również życie innym utrudnia, w ten sposób oddzielając się od NAS i reprezentując ICH.

– A to mi władza, cholera – mruknął zmaltretowany człowiek przeciw krzyżówce balona z automatem. Częściej jednak zrezygnowany czeka w kolejce. Bo coż zrobić?

– W piekarni tej koło przystanku była tylko jedna osoba, wskoczyłem tę dobrą bułkę kupić. A tu paniusia przede mną akurat bierze bułkę drożdżową, 475 gramów po 58 złotych i 60 groszy za kilogram, jak zaczęło się obliczanie! Paniusia była z Detroit, zgadaliśmy się, do siostry przyjechała, swojska „akaczka”. Mówi, że to wypadnie trochę mniej niż 30 złotych, ale ona chętnie zapłaci całe 30, bo jej się spieszy. A panienska nic, tylko mnoży i ani rusz zgodzić się nie chce, autobus mi uciekł przez to. Czy to ONI nie mogą równych cen wyznaczyć? A jeśli już koniecznie trzeba ważyć, nie mogą zrobić tabelki dla sprzedawczyni? W inicjatywie prywatnej dawno by była, dziwowała się ta z Detroit, rację miała, ale mnie samemu to już nawet do głowy nie przychodzi. Prosta rzecz, ani sprzedawczyni nie byłaby taka zła i umęczona, ani klient. ONI zaplanują przy biurku, a w praktyce nikt się nie interesuje...

*

Komunistka na wysokim stanowisku, znana ze swej inteligencji i życzliwości dla wszystkich ludzi, i z sensownego załatwiania spraw, a nie biurokratycznego odwalania – lub nieodwalania – papierków, to broń Boże nie ONI.

– Ona jest partyjna, ale obyśmy więcej takich mieli, dobrze by się w kraju działo!

Obyśmy – MY, ona jest nasza. Chwalić Boga, że partyjna, przynajmniej ONI muszą się z nią liczyć.

Na wczorajszych tropach

– O! panna Karpińska! Tylko nie wiem, czy starsza, czy młodsza?

Wacia, woźna szkolna, szeroko otwiera drzwi, zaprasza do mieszkania kilku starych nauczycielek.

Poznała! Po tylu latach, wśród tylu setek uczennic w granatowych mundurkach mijających ją co dzień u wejścia.

– Ewa, nasza kochana – cieszą się staruszki – przyjechałaś z Ameryki, opowiadaj, dawno jesteś w Warszawie? Proszę, proszę, jedź truskawki, zaraz będzie herbata. Byłaś na Pięknej? Stoi, chwała Bogu, jest tam internatowa szkoła pielęgniarstwa, ulica poszerzona o nasze podwórze. A Krucza nie do poznania, widziałaś? Może tam mieszkasz w Grand Hotelu, turyści z Ameryki tam się zatrzymują, podobno bardzo elegancko, ale myśmy nigdy nie byli...

Turyści, ale przecież nie starzy warszawiacy, których tu czekają gościnne łóżka składane, którzy przyjechali pielgrzymować po swoich dniach wczorajszych, ciekawi dnia dzisiejszego: czy jest swój, czy obcy?

Szkoła! Jedenaście lata życia, od ABC do matury. Te same schody... Dlaczego tak wzruszają metalowe powyginane sztachetki i drewniana na nich poręcz? Cóż za niezdarzony przybytek wspomnień i emocji...

Oto korytarz, klasy. Tu była ósma, czyli druga licealna, tu biblioteka, tu duża sala, scena, w głębi zamykany ołtarz ścienny – jedyny kościół dzieciństwa. A tu pod zegarem stała często przełożona i ośmioletnie serce biło mocno w obawie, czy uda się ładnie dygnąć. Teraz zamiast zegara jest lustro, przyszłe pielęgniarki poczesują włosy, w pokoju nauczycielskim gwarzą sobie z papierosem w dłoni...

– Może pani pomóc? Czy pani kogoś szuka?

*

– Przecia, posuń się, Pepina, krok w prawo! Karaś z Jakubem do środka, gość honorowy i gospodyni. Spokój, dziewczynki, przyjemny wyraz twarzy, pstrykam, uwaga!

Przecia dawno nie nazywa się Przecalska, Pepina dawno zapomniała o swej miłości do księcia Józefa, a Karaś o szkolnych przezwiskach. Od ma-

tury minęło dwadzieścia dwa lata. A przecież te wykrzykniki brzmią tak normalnie, tak właśnie, jak powinny. Dziewczynki!

– Wiecie co, gdy nasze mamy spotykały się na brydża, były młodsze niż my dzisiaj, a nam się wydawały takie stare, niech to wszyscy diabli! No a teraz gadamy, jest nas dzisiaj tuzin, kto co wie o drugich dwóch tuzinach? Dawaj ten szkolny album, że też się uchował, moje wszystkie fotografie spaliły się. Jedziemy według listy z dziennika, Bohusalska, Brzezińska, Czocharówna, Dawidczyńska...

Jak wytłumaczyć, że po latach, po ogniach, mieczach i potopach, po obozach i przesiedleniach, szkolna klasa potrafi się skrzyknąć i stanowi taką „morową ferajnę”? Że nieznani panowie przychodzą oglądać cudzą od piętnastu lat żonę, tylko dlatego, że siedzieli na ławie szkolnej z jej mężem?

W Ameryce z miejsca urywają się szkolne związki, a college'owe zjazdy dawnych roczników nie mają osobistego, intymnego charakteru. Niemożliwa byłaby masowa konspiracja w syrkim jak piasek społeczeństwie, nie z powodu donosicielstwa czy zdrady, lecz po prostu nie kleiłoby się organicznie, a do niczego jest sama tylko organizacja nie wrośnięta w organiczny grunt. Co to są „więzy społeczne”?

Czym jest ten cement polski, że nie kruszą go ani lata, ani oceany, ani wojny? Mija czas, dzieli przestrzeń, obce życie staje się powszednie i przysypuje szkolno-domową polskość warstwą zapomnienia.

Taka sobie rozmówka

– Marta owdowiała, jest jej dość ciężko w Kanadzie, czy mogłabyś jej ułatwić przysłanie córek na wakacje do Polski? Ja już się tu nimi zajmę, ale żeby wpakować je na transport, może przez harcerstwo? Czy nasza ambasada organizuje darmowe przejazdy dzieci polskich na lato? Pewno trudno się dostać na taką gratkę, więc jeśli masz jakie stosunki w harcerstwie, to popchnij te moje siostrzenice, one jeździły przez parę lat na polskie obozy harcerskie na tych kanadyjskich Kaszubach.

– Emigracyjne harcerstwo i ambasada reżymowa! Gdzie Rzym, gdzie Krym!

– Byłaś na *Kuglarzach* w Kameralnym? Dobrze, prawda? Magister Proch, recepcja i propaganda zaleca, aby trzymać i z Rzymem, i reżymem. Reżymowa czy nie, jest jedyna polska ambasada.

– Ale nie ma żadnych darmowych przejazdów przez Atlantyk, to byłaby propagandówka mająca dzieciom zaszczepiać komunizm.

– Ach tak? To moje dzieci mogą tu żyć stale, a wasze zarażą się przez jedne wakacje? Do głowy mi nie przyszło, że ktokolwiek miałby opory, aby nie skorzystać z darmowego dzieciennego rejsu Batorego Montreal–Gdynia, taki piękny polski statek...

– A nie sądzisz, że oprócz darmowej podróży trzeba by też skorzystać z urzędowego zwiedzenia – „oto pomnik Dzierżyńskiego, polskiego bohatera narodowego, który bardzo kochał dzieci”.

– No to co, wielkie rzeczy. Każdy wie, że kochał dzieci, tylko ich rodziców nie kochał. Na tym cokole jest napis, nie wykuty, lecz ułożony z metalowych liter na kamieniu: „Feliks Dzierżyński to Duma” – polskiej rewolucji czy klasy robotniczej, czy czegoś tam, ale w każdym razie „duma”. M odleciało, pewno mu ktoś pomógł, i przez dłuższy czas zastąpione było przez P, wyrysowane kredą, co dzień na nowo. Czy dzieci emigracyjne nie nauczą się tyle samo antymarksizmu co marksizmu przez sam fakt oddychania polskim powietrzem? Cóż za trzymanie ich pod kloszem? Patrz, to fotografia moich siostrzenic, tańczą krakowiaka na obozie. Lepsze to niż nic, ale mało. Wydaje mi się, że i emigracyjne krakowiaki, i krajowi Dzierżyńscy spłyną z dzieci jak z gęsi woda, a z wakacyjnej polskości zostanie konkret i przeżycie...

Rozmowa urywa się. Bo już nie chodzi o siostrzenice ani o darmowe rejsy Batorego, ale... ale... o groby i o nowe domy, o każdy kamień stolicy, która w oczach sypała się w gruzy i w oczach się odbudowuje, o te lata wsiąkające w obcą ziemię, i o te lata zmarnowane w więzieniu Polski Ludowej – pomyłka administracyjna okresu minionego... O to... o to wszystko...

– Wiesz, czasem sama nie wiem... Ojca zamordowali w Katyniu, mama zginęła w Powstaniu, Marta przeżyła obóz, ale nie wróciła, tylko wyemigrowała do tej Kanady... Ja się wyżywałam w AK, a po sławnym wyzwoleniu siedziałam osiem lat w ciupie. I co komu z tego, czy to wszystko rzeczywiście ku chwale ojczyzny, jak nas uczono w szkole, pamiętasz? Może lepiej niech te wasze dzieci wyrosną na porządnym ludzi za Atlantykiem i koniec...

Byle handel szedł...

Mała apteka. Krótki ogonek paru osób. Sprzedawca za szybą z wykrojonym okienkiem: urzędnik w Instytucji (przez duże I).

– Wody utelnionej proszę.

– Nie ma – automat z miejsca wyłączył klienta.

– Proszę termometr.

Rączka automatu wyciąga z szuflady kolorowy plastikowy futerał. Jaki wielki termometr! Widać w Polsce mierzy się temperaturę pod pachą? A dzieciom w pachwinie?

– Ile kosztuje?

– Czternaście siedemdziesiąt pięć.

Kobieta podaje banknot dwudziestozłotowy.

– Nie mam reszty – automat najspokojniej zwraca się do trzeciego numeru w kolejce.

No wiecie państwo! Czy on nawet nie udaje, że *be's sorry*? Zdziwienie ubiera się w angielskie słowa, w miarę jak narzuca się prawem kontrastu porównanie z maleńkim kioskiem w *lobby* 33-piętrowego biurowca w Nowym Jorku. Czegoż ten kupiec nie ma i jak załatwia? Rozmawiając i dowcipkując z tuzinem klientów, którzy szczerze wypełniają całą przestrzeń życiową, trzema parami rąk zdaje się podawać papierosy, przyjmować filmy do wywołania, jako *notary public* uwierzytelnia podpis na zwykłym papierku zastępującym paszport bezpieczeństwa, z uśmiechem wydaje resztę z 10 dolarów za 5-centową gumę do żucia, zachwala najnowszy model plastikowych ochraniaczy na buty, bo dziś deszcz zapowiadają...

– Moi teściowie wyjeżdżają do Europy tylko na styczeń – mówi Ruth w windzie, nie odrywając oczu od kupionego właśnie w *lobby* numeru „Hair Do”. Wtedy w ich sklepie i tak jest najmniejszy obrót, a że podczas ich nieobecności zawsze spada o jakie 10–15%, wybierając ten miesiąc ponoszą najmniejsze straty.

– Dlaczego obrót spada? Sklep w pełnym biegu, zaopatrzone, klientela od lat wyrobiona, personel wyćwiczony i uczciwy. Kończysz tę swoją ekonomię na Columbii, wytłumacz!

– To psychologia, nie ekonomia. Jest duża część handlu i usług, której nie można odczłowieczyć. Nie masówka, nie automat, lecz tylko w pełni zaangażowany i dopasowany człowiek osiąga zysk w postaci zarówno pieniędzy, jak i ludzkiej życzliwości, a ta, wraz z zadowoleniem, kursuje, procentuje i kapitalizuje się we wspólny wszystkim skarb wzajemnego uśmiechu. Ładnie to powiedziałam, co? Ekonomia jest ogromnie związana z psychologią, czynnik ludzki gra pierwszorzędą rolę. Nie rozumiał tego wiek XIX i dziś jeszcze różni teoretycy operują systemami, jakby to były słowa na papierze, a nie życia ludzkie. Nie rozumieją, że wśród niezadowolonych, a nawet obojętnych, handel musi szwankować.

Masowość produkcji

Barak, a raczej dawna stajnia, przeznaczony jest do rozbiórki. Na razie jednak, nie od roku i nie od dwóch, stanowi dach nad głową dla licznej rodziny czekającej na kwaterunkowy przydział mieszkania. Podłoga–klepisko, dach przecieka, piecyk dymi. Stół – deski na kozłach, łóżka–barłogi służą też za ławki.

Ale... w rogu pralka, cztery rowery i motocykl. W drugim rogu, na skrzynkach po pomidorach – telewizor.

Gdy wreszcie wyprowadzą się, tata, mama i czworo dorastających dzieci, do tych wymarzonych dwóch (a może trzech?) pokoi z kuchnią w nowym bloku, czy powieszą sobie na ścianie makatkę w czerwone róże i oleodruk z jeleniem na rykowisku? Czy też przykryją tapczany, a nie klasyczne łóżka, nowoczesnymi drukami lub prostą kolorową tkaniną, niekoniecznie zaraz z Cepelii, ale z Cedetu?

– W Cedecie na Woli można trafić na całkiem ładny towar, jeśli ma się szczęście – objaśnia mieszkanka Mokotowa. – Znacznie lepszy niż w Alejach Jerozolimskich.

Dzięki masowej produkcji są pralki i telewizory. Ale jak z makatkami i jeleniami w złożonych ramach? Czy odgórne i obowiązkowe „dźwiganie smaku wzwyż” nie jest obosieczne?

Drożdże w cieście

Przed ołtarzem stoi zwarty tłum. Trzeba chytrłości węża i łokci wcale nie idących w parze z gołęmbym sercem, aby przepchać się do balustradki i wrócić na swoje – stojące – miejsce. Komunikujących dużo, chyba znacznie więcej niż przed wojną, gdy to „raz koło Wielkiejnocy”. Wszyscy zdają się pchać w obie strony jednocześnie i całe swe zasoby skupienia marnuje człek na to, by nie następować na odciski bliźnim i o tyle o ile uchować własne. Najwyraźniej brakuje odgórnego planowania i – pewno na przekór władzy socjalistycznej – panuje nieokiełznana samowola jednostek. Spróbowałby kto, w wolnościowej Ameryce, zbliżyć się do ołtarza inaczej niż grzecznym rządkiem lub odejść najkrótszą drogą do swojej ławki, zamiast w przepisową stronę!

Kościół ma wpływać na życie, a praktyczne doświadczenia życiowe należy stosować w kościele, twierdzą niesforni Jankesi, eksperci w regulacji ruchu.



Msza dla dzieci. Stoją porządnie rzędami w specjalnie dla niech zarezerwowanym miejscu. Dookoła tłum dorosłych, też na stojąco. Kazanie trwa 25 minut. Kilkoro dzieci słabnie, wyprowadza się je do zakrystii. Mówi ksiądz dość młody, wyglądający inteligentnie. Niestety, jego wywody pasują do epoki, gdy zbierało się sreberko od czekolady na „wykupienie Murzynka” (czy z niewoli kapitalistów kolonialnych?) i do zabytkowych hagiografii, z których wynikało niezbitcie, że jedynym ideałem życia jest smażenie się w oleju, chyba że zamieni się je na stanie na słupie albo ostatecznie na dziewictwo w małżeństwie, ale to już „nie to”. Najlepiej zaś wszystko razem: kanonizacja murowana.

Słowa innego księdza, też w dużym mieście. Wszystko co piękne, dobre, prawdziwe jest Boże, choćby ludzie tworzący piękno, szukający prawdy i czyniący dobro twierdzili, że nie wierzą w Boga. Otwórz szeroko drzwi i okna, żyj dzisiaj, żyj, żyj pełną piersią! Dawne czasy nigdy nie wracają. Nie myśl, że tylko dawniej były jakieś wartości, każda epoka ma ich wiele, w każdej epoce zмага się prawda i fałsz, miłość i nienawiść. Buduj porządne domy, produkuj dobre filmy, posuwaj się w laboratorium w swych doświadczeniach, wydobywaj węgiel, montuj solidne samochody, szybko a uważnie załatwiaj biurowe papierki, każdy z nich jest ludzką sprawą! To są drogi zbliżania się do Boga, czyli osiągnięcia pełni życia. Nie wymyślaj, że ONI wszystkiemu winni, że ONI kradną – zastanów się, jak sam pracujesz? Czy nie okradasz nie tylko fabryki, ale własnej rodziny z należnego jej od ciebie czasu i serca? Zamiast stawiać koledze ćwiartkę, kup swemu dziecku zabawkę, w rocznicę ślubu przynieś żonie kwiatek lub pończochy, uśmiechnij się zamiast zakląć, gdy cię ktoś potrąci na schodach, starej sąsiadce wynieś wiadro ze śmieciami. Te małe rzeczy rozrosną się w tobie w wielką miłość...

Kazania trwają zwykle 5 minut. Ludzie zjeżdżają się z drugiego końca miasta.



Zebranie rodziców klas trzecich we czwartek o 6, klas czwartych o 7, w poniedziałek rodzice klas piątych o 6, klas szóstych o 7 – padają z ambonny zawiadomienia.

Ho, ho! Jak to trudno było w warszawskiej parafii przed wojną ściągnąć rodziców na jakieś zebranie! A tu z podziałem na dni i godziny, i klasy! Jaka też frekwencja rodzicielska! Jaka obecność dzieci na lekcjach religii? O ileż łatwiej zostać w budynku szkolnym, gdzie przyjdzie ksiądz, niż wychodzić drugi raz z domu do kościoła...

Czego i jak będą się te dzieci uczyły? Katechizmu, oczywiście, lecz w jaki sposób? Nie dostaną nowoczesnych kolorowych książek, nie obejrzą przeznaczonego ani filmów. Nie o to chodzi, nie to jest najważniejsze, ale czy wyklepywane na pamięć formułki będą tak samo pozbawione *osobistej* treści, jak była drętwa mowa w ZMP o bycie określającym świadomość lub o bazie i nadbudowie?

Praktycznie znaczenie Chrystusa w życiu nie jest problemem specyficznie polskim, ale w Polsce nauka religii nabiera dziś szczególnego znaczenia.

Are we really teaching religion? – rozlegają się mądre głosy anglosaskie. Teza: jeśli dzieci zapomną wszystkiego, czego się kiedykolwiek uczyły na religii, ale jeśli zostanie w ich świadomości, że te lekcje różniły się od wszystkich innych wykładów – to będzie największe osiągnięcie. Jeśli zrozumieją i odczuwają miłość – nie ślamazarność, nie czułostkowość ani nie żadną inną jej karykaturę, ale *caritas* Pawłową, i jeśli połączą je z osobą Chrystusa, lekcje religii po stokroć spełnią swe zadanie, choćby wychowankowie w dorosłym życiu nie potrafili odpowiedzieć prawidłowo na żadne katechizmo-we pytanie.

*

– Gdzież to prześladowanie religii? Księży i zakonnic jest więcej niż przed wojną. Państwo odbudowało tyle zabytkowych kościołów. Niedawno przyszedł do nas dozorca, czyli funkcjonariusz państwowy, z zapytaniem, czy chcemy poświęcić mieszkanie, różni lokatorzy prosili księdza, więc jednego dnia cały dom obejdzie, kto chce. Okazało się, że tylko dwóch lokatorów nie chciało. Dałem księdzu 100 złotych, pokropił, po łacinie się jak należy wymodlił, jeszcze powiedział, że mszę na naszą intencję odprawi. Ani dozorca, ani mnie, ani księdzu nic się z tego powodu nie stało. A procesję Bożego Ciała widziała pani? Więc jakie tu prześladowanie Kościoła?

Pewno że żadne, jeśli „prześladowanie” oznaczałoby rzucanie lwom na pożarcie. Tymczasem chodzi o użeranie się, całkiem nieromantyczne i nie-

bohaterskie, z podatkiem, z pocztą, z cenzurą, z Instytucją taką i owaką, ale zawsze przez duże I, z paragrafem, z zarządzeniem.

Oto spis mszy w letnich uzdrowiskach, rozkład godzinowy, jakich w Ameryce pełno w sobotnich gazetach, w hotelach: cenzura nie pozwala drukować. Może w końcu puści, ale trzeba się nachodzić, natelefonować, naurzędzić. Oto seminarium duchowne zaklasyfikowane i opodatkowane jako dochodowy zakład gastronomiczny. Odklasyfikowanie trzeba wypapierzyć, wysiedzieć w poczekalniach, dni i godziny złożyć w ofierze na ołtarzu nienasyconej biurokracji. Oto książki z zagranicy, leżące miesiącami na cieczy w cenzurze lub może po prostu mielone na makulaturę. Oto pomoc dla charytatywnego zakładu, jedną ręką udzielana oficjalnie z ministerstwa, drugą ręką obcinana, gdy przychodzi z zagranicy...

Krew męczenników użyźnia, powoduje rozrost. Natomiast wyjaławia i dusi powolne męczeństwo zmęczenia: zanudzenia, uwikłania w fałszu, ośmieszenia i przeinaczenia, zakazów, utrudnień, ograniczeń, dla obrony przed którymi trzeba nieruchomo zeszytywnieć w formalnościach, zamiast pozwolić pulsować rozedrganemu życiu. *Spiritus flat ubi vult*. Nie ima się Go topór kata, ale łatwo krępować Go pajęczyną.

Uroda życia

Bukiet kwiatów stoi w alkowie, w której urodził się Fryderyk. Ponad kwiatami, wśród drzew pięknego parku, drżą dźwięki jego muzyki, a zasłuchana publiczność wypełnia stary dworek o szeroko otwartych oknach i cały ogród.

Niedzielny koncert fortepianiowy w Żelazowej Woli.

Drugi w Łazienkach. Koło pomnika Szopena fortepian, instalacja głośnikowa, zapelnione ludźmi ławki i krzesła. Najlepsza muzyka, nie z płyty, lecz na żywo, w wykonaniu dobrego pianisty. Dla wszystkich.

Urok Łazienek wieczorem. Kumkają i rechoczą żaby, księżyc okrągłutki wytoczył się w całej krasie właśnie pod koniec przedstawienia w teatrze na wyspie. Cichutki szelest starych drzew, zapach kwiatów i skoszonej trawy, wdzięk pałacyku króla Stasia. Jest prześlicznie i tak dobrze iść powoli z rodzinką ku bramie.

– Wiesz, byłem dwa lata temu w Chinach – mówi wujek, malarz. – Wymiana kulturalna bardzo dzisiaj w modzie.

– Tak, częstujecie gościa z Ameryki chińskim koniakiem, rosyjskim szampanem i węgierskim winem!

– Właśnie. Ale te Chiny pokazywano mi nie tylko od strony turystyczno-gastronomicznej. Jeden obraz zrobił na mnie tak silne wrażenie, że do dziś dnia oblewa mnie zimny pot i ciarki chodzą po grzbiecie, gdy mi się ta scena przypomni w bezsennej nocy. Jechaliśmy autem, zza zakrętu szosy doleciał mnie przeciągły ni to jęk, ni to śpiew, aaaa – monotonny, falujący dźwięk. Po chwili poczułem się jakimś Guliwerem spoglądającym na ludzkie mrowisko. Dwunożne żywe maszyny niwelowały górę. Każdy miał dwa kośce na drążku, biegł truchcikiem przenosząc ziemię. Krok musiał być dopasowany do amplitudy drgań koszyków, ta zaś zależy od długości drążka. Tłumaczka wyjaśniła mi rzeczowo, że Mao Tse-tung skrócił drążki tak, aby trzeba było biegać. Nie zapytałem ani o przejmujący, niesamowity jęk, ani o liczbę robotników; może było ich dziesięć, może sto tysięcy. Po dwóch dniach wracaliśmy tą samą drogą. Nie było żywego ducha i nie było góry. Na zakręcie szosy rozciągała się cicha, pusta równina.

A tu tymczasem romantyczne Łazienki. W południe koncert szopenowski, wieczorem teatr na wyspie i w Pomarańczarni, świeci księżyc, pachnie świeża ziemia i bujna zieleń, żaby kumkają inaczej niż w Ameryce.

Jak pięknie i dobrze jest w rodzanej Warszawie! Ale popielate macki aż z dalekich Chin ścisną serce i duszą radość. Trzeba znowu wypłatywać się z pajęczyny strachu i żalu.

Dzień surrealistyczny

Wycieczka za miasto. Jedyna okazja, by ujrzeć wywłaszczony dwór ziemiański w Polsce Ludowej.

Brama na pół rozwalona, przy niej krzyż. Nad kolumnami ganku, w trójkącie, gdzie wedle opinii jednej z guwernantek przewijających się tu onego czasu, „powinny być wymalowane takie gołe babuski, co by herb podtrzymywały” – krzyż. Obok ganku, dwumetrowy krzyż na pamiątkę misji 1957 roku. Z tyłu budynku – krzyż. Wewnątrz kaplica. Figury, obrazy, konfesjonał. Na stopniu ołtarza ładnie rzeźbiona podstawa pod mszał z inicjałami i herbem dawnych właścicieli.

Wytłumaczenie?

Ano po prostu: parafia była rozległa, do kościoła daleko. W niedzielę odprawiano mszę w salonie we dworze, cała wieś się schodziła. Tak było za polskich czasów przed wojną, i za Niemców też. A jak Sowieci przyszli, to miało mszy nie być tylko dlatego, że dziedziców we dworze zabrakło? Lu-

dzie nie dali budynku na nic innego. Kaplica, oprócz dawnego salonu, zajmuje dawny stołowy, sypialnię i dziecinny.

– Jak tu zarosło przez szesnaście lat, tę lipę sadziliśmy, gdy urodził się najmłodszy syn, a cóż to teraz za drzewo! Dziś nie wybrałbym lipy, bo za wiele ich, lipa wolności, lipa przyjaźni polsko-radzieckiej... To dzieci przynosiły ciągle do domu takie kawały. Dzieci już dorosłe, każde pracuje w swoim fachu, nie mogą zrozumieć, po co nam było kiedyś tyle pokoi. Starsze pamiętają, chociaż nie byliśmy tu ani razu, ale wnukom nawet fotografii nie pokazujemy. Nie mam do nikogo żalu ani pretensji. Nawet mi przyjemnie, że to tak się obróciło, że w moim eks-domu chwała Boża się pomnaża...

Sylwetka starszego pana w mocno wytartym ubraniu rysuje się dziwnie młodo na tle bujnej zieleni dawnego parku. Jasne oczy patrzą pogodnie na ukochane pagórki i daleko ku Tatrom. Ten widok ani mój, ani upaństwowiony, tylko po prostu piękny. I polski.

*

Teatr. *Indyk* Sławomira Mrożka. Miałeś chamie złoty róg, czapkę z piór... Nie tylko ta chochołowa melodia każe myśleć o *Weselu*. Wypiański ery atomowej i może coś z unowocześnionych *Dziadów* przewija się na scenie, gdzie chłopci w cudnie i cudacko ukwieconych kapeluszach śpią na stole w karczmie, wojskowemu nie chce się przeprowadzać werbunku, poeta wyrzuca książki i nie chce mu się pisać wierszy, Gomułka przemawia do narodu, podczas gdy wielka łapa Rosji leży przed nim na pulpicie, eksperyment z parą kochanków państwowych nie udaje się, indykowi nie chce się zabierać do kur. A gdy przemógł tę apatię – kura zniosła kwadratowe jajko.

– Co z tego będzie?

– Czekajmy!

– Ano, czekajmy! – zasypiają chłopci, fałszywie i ostro rzępolą skrzypce, czarna niema postać w pelerynie uprowadza białą dziewczicę, a na scenie rysuje się olbrzymi makabryczny ludzki cień.

Reżyseria, dekoracje, dźwięk i światło zręcznie uwypuklają różne aspekty tej filozofii nonsensu i stwarzają jedyne w swoim rodzaju wrażenia. Teatr nabity, publiczność wyczulona reaguje precyzyjnie. Podobno cenzura dużo skreśliła, ale zostało dość.

– Jak to możliwe, żeby państwowy teatr za państwowe pieniądze przy państwowej cenzurze nabijał się z rządu? – pytają Amerykanie.

W Polsce wszystko jest możliwe.



Po filozofii nonsensu, nonsens czysty. Na ulicy Sławkowskiej pod numerem 14 (a ten dzień surrealistyczny ulokował się w starym grodzie krakowskim, jak na prawdziwą sztukę przystało) oświetlona niewielka wystawa. W głębi srebrzysta nieforemna plama, obok tiul różowy i niebieski, prze-myślnie udrapowany.

Kołyśka dziecinna? Pierwsza suknia balowa? Esencja kobiecości w postaci perfum, wykwintnej bielizny? Z czym jeszcze kojarzy się taki tiul? Wystawa jest pusta, nie ma na niej żadnego towaru. Na srebrnym picassowskim kształcie napis: **Specjalność Zakładu: Frytki na gorąco.**

U dołu z prawej strony napis: **Soki owocowe zawierają witaminy.** Dla potwierdzenia głębokiej prawdy tych słów z wąskiego wejścia do tak zareklamowanego przybytku chwiejnym krokiem wychodzi gęsiego pięciu pijanych.

Powiedzcie kochani, powiedzcie mi przecie, czy jest taki drugi kraj na Bożym świecie, gdzie wystawa gastronomicznego zakładu nie przemawiała by wprost do żołądka?

Lot

Lot do Polski – polskim LOT-em.

Samolot rozpędza się po bieżni Le Bourget.

Trrrr – podskakuje i drży. Flejtuchy te Francuzi, żeby jakieś kocie łby były na rozbiegu!

Nie Francuzi winni. Okazuje się, że lewe koła zgubiły opony. Na gładkiej nawierzchni stoją teraz nagie, jakieś rozczapierzone, ostre, bez śladu ogumienia.

Powrót do hali. Czekanie. Dłuuuugie.

– Nie odlecimy dzisiaj.

Co robić? Popołudnie, kolacja, nocleg? Prawie wszyscy pasażerowie są oficjalnymi delegatami polskimi na coś międzynarodowego w Paryżu. Nikt przecież nie będzie wiozł franków z powrotem do Warszawy, na lotnisku wydali ostatnie centymy na pomarańcze i papierosy.

– Państwo będą łaskawi napisać, z jakiej są Instytucji, LOT rozliczy się...

Nie ma na razie objaśnień co do bagażu, terminu odlotu, hotelu. Najpierw najważniejsze: Instytucja. Zapisać zaraz na pierwszej stronie dziennika: pierwszy kontakt z Polską Ludową – to Instytucja przez duże I.

Urzędnik jest grzeczny, sympatyczny. Defekt – nie jego wina. I tak szczęście, że obyło się bez wypadku, gorzej byłoby zgubić opony przy lądowaniu w Berlinie.

– To sowiecki samolot, stare pudło, nawet się oparcia nie przechylają do tyłu – pocieszają się pasażerowie.

Ach, trzeba było wybrać dzień, gdy leci nowoczesna caravelle'a Air France, zamiast chcieć dać LOT-owi zarobić. Ojciec czekać będzie na Okęciu, jutrzejsza niedziela od miesiący zaplanowana, z pierwszą obfitą dawką emocji – jedzie się przecież i dla wzruszeń, wysuszonych przez anglosaskie lata...

*

Powrót tymże LOT-em. Odprawa celna, kontrola paszportu odbywa się na Okęciu wieki przed czasem, choć ruch przecież minimalny. I już się jest jak w kojcu, odprowadzający za daleką siatką. Nie to, co Idlewild International, gdzie w kapeluszu grzybiastego Panamerican Terminal na parę minut przed odlotem odprowadza się ukochanych do samej szyby, poza którą, z balkoniku na tymże poziomie, chłonie ich od razu czeluść samolotu.

Opóźnienie. Czas dłuży się nieznośnie. Wreszcie wsiadamy.

Przy schodkach żołnierz, kontrola paszportów. Jak to, przecież już była?

Objazd po biegni. Powrót przed budynek. Wysiadać, muszą coś sprawdzić. Po kwadransie wsiadać.

Przy schodkach żołnierz, kontrola paszportów. Jak to, znowu?

Lecimy.

Łzy, łzy, łzy. Szczęście, że obok nikt nie siedzi. A zresztą, wszystko jedno.

Podają drugie śniadanie: dwie bułki z szynką, krajana grubo jak chłopu do kosy. Szynka dobra, nie żałują.

Zaczyna rzucać i trząść, w uszach gniecie, lądujemy. Czyżby już Berlin?

Nie, Poznań. Wysiadać. Budynek tranzytowy malutki, czyściutki, kolorowy i przyjemny. Trzeba było sprawdzić, z obowiązku dziennikarskiego, czy jest papier w toalecie, w przeddzień targów poznańskich. Gablotka reklama Cepelii staranna, dobrze oświetlona, eksponaty z cenami, zachęcające. Cóż z tego, kiedy Cepelia nie załatwia wysyłki, niejedyn dolar wpłynąłby, gdyby można w sklepie wybrać i opłacać garnki czy kilimy, a otrzymać paczkę w Nowym Jorku pocztą.

Wsiadać. Przy schodkach żołnierz, znowu kontrola paszportów.

Lecimy. Nie ma żadnych objaśnień przez mikrofon, tylko kartka od pilota, podawana z rączki do rączki: wysokość, temperatura, spodziewany ter-

min lądowania. Jest zresztą w rezultacie bardzo spóźniony, o czym nikt nie zawiadamia.

Zaczyna rzucać i trząść, w uszach gniecie, lądujemy. Wschodni Berlin, ten sam co przed miesiącem. Portret władzy na ścianie budynku tranzytowego, w miejscu ustronnym porozrzucane na miejscu gazety, widać cieszące się większym uznaniem niż papier z rolki, identyczny jak w Polsce Ludowej: krzyżówka bibuły z pakowym, tylko grubszy. Słowem – bez wątplenia Europa B. Po papierze ich poznać je...

Wsiadać. Już nikt nie sprawdza paszportu.

Lecimy. Obiad, a raczej *lunch*. Sztućce w celofanie z nadrukiem LOT-u, jednym słowem „poziom”. Serwetka w wesołe kwiatki, też LOT-u – ale druk zamazany. Jedna Instytucja dostarczyła drugiej Instytucji, co kogo obchodzi, że któraś seria poplamiona...

Zaczyna rzucać i trząść, w uszach gniecie. Lądujemy. Le Bourget.

Mój Boże, jaki ten Paryż zasiedziały, jaki wykończony, gdy tymczasem Warszawa... W piętnaście lat miasto na pustyni gruzów, tutaj dokoła wieki, wieki nie tknięte ogniem ani bombami, a tam... Jak tam ciekawie, co za teatry, czytanie światowe... Ale co czytają dzieci, a jeszcze bardziej: czego nie czytają? Jakiej historii uczą się w szkole, czy to prawda, że z podręczników, gdzie 100 stron wystarcza do XIX wieku, a przez 400 stron zanudzają ruchy robotnicze? Jak spędza dzień do niedawna wiejska kobieta, zamieszkała w Nowej Hucie, gdzie ponoć oszczędza się na maśle, aby uzbierać na telewizor, w wyścigu *keep up with the Jones's*? Kto pęka ze śmiechu, kto bierze na serio, a kto w ogóle nie zauważa smakowitych zdań w broszurce reklamowej Pałacu Kultury: „...dominuje nad miastem jego strzelista (sic!) sylwetka. Wzniesiony przez radzieckich przyjaciół w samym sercu stolicy, stał się jej nieodłącznym elementem, symbolem... Znana jest serdeczność i przywiązanie warszawiaków do tej największej w kraju budowli”.

Po locie – przylot

– *Welcome back, did you have a nice trip?* – windziarz naciska guzik na 28. Skąd on wie? Przecież pracuje nas tu pięć tysięcy? Ach prawda, fotografia jadących do Europy była w biuletynie. Co tydzień wychodzi na kredowym papierze, żebyśmy się nie zgubili, żebyśmy się czuli związani z firmą, odtrutka na odczłowieczenie...

– *Welcome!* – woła wierszyk i kwiaty na biurku.

– *How was it?*

– *Had a good time?*

Żeby to wszyscy naraz! Ale każdy po kolei, a na 28 piętrze jest nas... czy jest ich...? ... jest osiemdziesiąt osób.

– No i jakież pani wrażenia z Polski – słyszać w telefonie i pyta każdy ro-dak spotkany na nowojorskim bruku.

Jaką powiedzieć prawdę, swoim i obcym, o tym swoim, a jednak innym, przedziwnym kraju, gdzie nie ma nędzy, ale wielką biedę się klepie, artyku-ły tłumaczone z pism zagranicznych krążą w maszynopisach, dziecko pasące krowinę nad rowem przydrożnym obowiązkowo nosi skarpetki i buty... Po-godny starszy bankowiec–humanista pouczy cię z uśmiechem, że kapitalizm i komunizm zleją się w jeden system światowy, ale na razie nic się osobiście nie zmieniło, bo zarabia tak samo trzy tysiące miesięcznie jak przed wojną; od zgorzkniałego proletariusza zaś usłyszysz fantastyczne bajki o przepelnio-nych w tej chwili obozach koncentracyjnych i o niezwykle szlachetności przedwojennych bogaczy. Różowiutka lnianowłosa przedszkolanka z entu-zjazmem opowie, że odkąd wróciła do Warszawy z Londynu, przynajmniej wie, że żyje: wybiega z domu o 6 rano, aby otworzyć „przechowalnię”, mat-ki zostawiają dzieci po drodze do pracy; zajęcia w przedszkolu od 8 do 4, potem dokształcanie personelu, trzeba dzielić się mądrościami wyniesionymi od Anglików; tu wpaść sprawdzić, jak jest u tego słabowitego Maciusia, tam zebranie rodziców lub dodatkowe zabawy z dziećmi; teraz bajecznie, bo mieszkanie, duży pokój z kuchnią, luksus przez pierwszy okres, mieszkając kątem, ratunkiem był teatr, 87 razy w ciągu roku! W następnej godzinie ró-wieśniczka przedszkolanki zapewni cię, że nad Wisłą żyć w ogóle nie moż-na, bałagan, skrępowanie, jedna wielka kradzież i siuchta, głupota, jedynym ratunkiem, zamienić się w automat, aby broń Boże nie przejmować się ani ludźmi, ani pracą, niczego nie wspominać, o niczym nie marzyć, jak tylko o wyjeździe stąd na kraj świata...

Wrażenia z Polski?

O przeszłości nie mówi się, bo cóż... Na teraźniejszość psioczy się, bo ONI, a jednocześnie tworzy się ją i chłonie z rozpędzoną żarliwością. A przyszłość?

Życie jest silniejsze niż teorie.

Ewa Karpińska

[Ewa Gieratowa z domu Karpińska]

Klasa najbardziej niezadowolona^{*}

I

Melchior Wańkowicz nie złożył apelacji i wyrok skazujący go na półtora roku więzienia już się uprawomocnił. Czy istotnie stary pisarz pójdzie do mamra? Zdaje się, że rząd czy partia, a to w Polsce jest równoznaczne z wymiarem sprawiedliwości, znajdą takie czy inne wyjście, bo u nas przestali lubić okrucieństwa. O Wańkowiczu mówi się jednak ostatnio już mniej, bo aktualne są inne sprawy. Przede wszystkim aresztowano, a później wypuszczono dwudziestu asystentów Uniwersytetu Warszawskiego, oskarżając ich o sympatie dla „Listu 34”, organizowanie wiecu uniwersyteckiego deklarującego swoją solidarność z intelektualistami i tym podobnie. Na czele tych asystentów stał p. Modzelewski, syn byłego ministra spraw zagranicznych komunistycznej Polski. Podobno ten minister, będąc uczniem gimnazjalnym w Częstochowie w 1920 roku, odmówił pójścia do wojska, bo już wtedy był komunistą z przekonania. Tego rodzaju stanowisko nawet u największego przeciwnika politycznego spotyka się z szacunkiem. Wdowa po Modzelewskim, pisarka polska, także zwolenniczka „Listu 34”, udała się do Ochaba i zdołała oswobodzić syna z aresztu.

Ci asystenci uniwersyteccy są interesujący, ponieważ chodzi tu o ludzi młodych. Poza tym akcja publicystyczno-policyjna zwraca się przeciwko ludziom starym. Zawistowski i January Grzędziński – dwóch ludzi zbliżonych poglądowo do prof. Tadeusza Kotarbińskiego, owego arcykapłana antyrelijności w Polsce, byli także inkomodowani. Zawistowski znalazł się w szpi-

^{*} Powyższy artykuł teoretycznie powinien się być ukazać w lutym. Ze względu na to, że – jak corocznie – numer styczniowy jest numerem podwójnym, i biorąc pod uwagę ich aktualność, zamieszczamy dwa artykuły Gastona de Cerizay jednocześnie [Redakcja].

talu wariatów, bo przy rewizji znaleziono u niego papier z nagłówkiem „Instrukcja nr 8”. Dla kogo to była instrukcja, nie wiadomo, on sam tłumaczył, że to jest jego sposób zapisywania własnych myśli, a nie żadne działanie organizacyjne. Znaleźli się psychiatrzy, którzy zaproponowali, że odbędą nad nim badania. January Grzędziński, redaktor „Czarne na Białym” przed wojną, lewicowy pilsudczyk, był ciągnany na wielokrotne badania w związku z najbardziej prywatnym listem, który napisał do swego przyjaciela w Maroku. W liście tym użył arcyniebezpiecznego zwrotu, mianowicie napisał: „pozdrów ode mnie Jerzego”. Oskarżenie twierdziło, że jeśli Jerzy, to na pewno Giedroyc, redaktor „Kultury”, którego się tutaj obawiają na równi z bombą atomową. Grzędziński żartobliwie odpowiedział, że tu chodzi nie o Giedroycia, lecz o Putramenta – „Przecież Putrament mieszka w Warszawie”. – „No tak, ale Giedroyc także nie mieszka w Maroku, lecz w Paryżu”. Grzędziński jest na wolności, lecz oskarżony z art. 23 Małego kodeksu karnego przewidującego za szkalowanie Polski Ludowej karę od trzech do piętnastu lat więzienia.

Ale najgłośniejsze oskarża się najstarszego ze wszystkich, mianowicie poetę Jana Nepomucena Millera. Przed wojną był on ultralewicowym pisarzem. Teraz oskarżony jest o drukowanie korespondencji w ultrareakcyjnych „Wiadomościach” Grydzewskiego w Londynie, poza tym o złośliwą chęć wydania w Państwowym Instytucie Wydawniczym zbioru esejów *Bez kropek nad i*. Tego samego dnia dwa pisma bardzo reprezentacyjne, bo tygodnik „Polityka” i najbardziej czytany dziennik „Życie Warszawy” wystąpiły z atakiem na tego starca. Zarzuca się biednemu Millerowi, że korespondencje swe wysyłał na adres jakiejś pani Katarzyny Dupont do Brukseli, a stamtąd dopiero wysyłano je do Londynu; że jego żona nosiła te artykuły do przepisywaczki, aby nie były wysyłane na maszynie Millera i rzeczy podobne.

Wszystko to jest materiałem policyjno-wywiadowczym. O takich rzeczach wolno jest pisać szanującemu się dziennikarzowi, dopiero kiedy będą ujawnione w sądzie. Ale nowoczesne maniery są inne.

Wypomina się także Millerowi, że otrzymał nagrody literackie od władz Polski Ludowej, a teraz je rzekomo szkaluje. Nagroda literacka uważana jest za coś w rodzaju łapówki, którą jeśli się raz weźmie, to już do końca życia trzeba być swemu łaskawcy wiernym, oddanym i posłusznym.

II

Ale to są takie nerwowe alergie na ciele polskiej inteligencji. Ważniejszy jest stosunek klas społecznych do reżymu komunistycznego w Polsce, a mianowicie następujących klas społecznych: inteligencji, masy włościańskiej, rzemieślników i klasy robotniczej. Z tych klas najwięcej wroga reżymowi, najbardziej nienawidząca samego wyrazu socjalizm jest niewątpliwie klasa robotnicza.

Teraz powiem kilka słów, które może zdziwią czytelników „Kultury”. Otóż uważam, że obecny rząd polski prawie wszystko co robi, robi jak najgorzej, ale przecież jest jedynym możliwym rządem dla państwa posiadającego tego rodzaju sytuację geopolityczną, co obecna Polska. To nie komuniści są winni, że nami rządzą; stanowili oni niepozornie mały odsetek w Polsce; w Polsce przedwojennej mniej było przekonaniowych komunistów niż w Anglii czy Francji. Do władzy doszli oczywiście nie dlatego, że raptem zyskali oparcie w społeczeństwie, lecz dlatego, że Anglia nas najzwyczajniej sprzedała Stalinowi. Nie ma dzisiaj człowieka odpowiedzialnego i poważnego, który by przyjął władzę wtedy, kiedy istnieje rozpołowienie Niemiec, rządy komunistyczne w Czechach i na Węgrzech. Do komunistów polskich odnieść można poniekąd frazes Robespierre’a o Panu Bogu, że gdyby go nie było, należałoby go wymyślić. Cóż za szczęście, że znalazł się Gomułka i inni, którzy mimo wszystko są jednak chociażby poniekąd Polakami. Zresztą Gomułka zasługuje na miano żywiciela, bo to on sprzeciwił się socjalizacji wsi. Gdyby panowały u nas kołchozy, Warszawa musiałaby zdechnąć z głodu, tak jak głód panuje w wielkiej ojczyźnie Lenina.

Rząd jest więc nie do zastąpienia w obecnych warunkach. Konflikt chińsko-rosyjski zapowiadał, że coś się zmieni. Nic się na razie nie zmieniło. Również nie zmieniło się nic w polityce Niemiec Zachodnich wobec Polski. Ci Niemcy wołają wciąż o granice z 1937 roku, ale tylko dla Niemiec, czyli że rewizja granic ma tylko wynagradzać Niemcy, natomiast Rosja ma dalej panować nad Lwowem i Wilnem. Za mało się podkreśla, że tego rodzaju polityczne stanowisko Niemiec, będąc stanowiskiem rozbiorowym wobec Polaków, jest jednocześnie ofertą przyjaźni wobec Rosji. Pogódźmy się kosztem Polski – stare to hasło niemieckie, i rzecz dziwna, że jakieś nowe idee nie mają dostępu do głów niemieckich.

III

Ale jeśli prawdą jest, że obecny komunistyczny rząd jest nie do zastąpienia, to również prawdą jest, że w kraju nie ma on zwolenników, ale albo zawziętych, choć bezsilnych wrogów, albo przynajmniej potencjalnych wrogów. Nie ma... Jest to oczywiście wyraz obejmujący olbrzymią większość narodu. Nie ma, to znaczy, że 99,99% obywateli Polski Ludowej nienawidzi tego ustroju. Gomułka i zapewne kilku innych ludzi jest jego zwolennikami, ale i oni uważają, że powinno byłoby być lepiej. Przeinaczaniu tego stanu rzeczy służy prasa, w której dziennikarze piszą akurat odwrotnie, niż mówią w rozmowach prywatnych.

Inteligencja jest niewątpliwie uprzywilejowana, jest warstwą rządzącą, bo chłopci i robotnicy w Polsce „ludowej” nie mają nic do powiedzenia. Inteligencja jest też w znakomitej większości w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Znowu, jeśli ktoś sobie wyobraża, że członkowie tej partii są komunistami z przekonania, to mu powiemy, że jest dzieckiem wierzącym w bociana. Jeśli w Rosji za rządów carskich opartych na „czynownictwie” ktoś otrzymywał „czin”, to nie znaczyło, że zostawał monarchistą carskim. Członkostwo partii to jest sytuacja osobista, zwłaszcza ważna dla inteligenta pracującego w biurze. Dlatego nikt się jej nie wyrzeka, a potem śpi na zebraniach partyjnych, o ile oczywiście nie zajmuje się jakimiś partyjnymi intrygami lub pieniężnymi spekulacjami załatwianymi *via* stosunek partyjne.

Inteligencja otrzymuje pensje głodowe. Przychodzi mi do głowy piękne porównanie. Oto w XIX wieku i w początkach XX aktorki teatrów paryskich miały także bardzo skąpe wynagrodzenia. Do ról w sztukach współczesnych musiały sobie kupować kosztowne stroje. Nikt jednak nie badał, skąd na to biorą pieniądze. Podobnie jest dzisiaj z urzędnikiem państwowym w Polsce. Nie znaczy to, aby każdy brał udział w wielkich aferach w rodzaju mięsnej, celnej, dewizowej i wielu innych, przeważnie albo całkowicie przez prasę przemilczanych, albo bardzo dyskretnie referowanych. Wystarczy spokojniejsze i mniej lukratywne „organizowanie”, jak to się nazywa.

A gdyby tego „organizowania” nie było? Najbardziej niemoralnym z paradoksów jest właśnie to, że wszystkim byłoby gorzej. Dobrobyt kraju uzależniony jest w pierwszym rzędzie od szybkości obrotów gospodarczych w samym kraju. Gdyby wszyscy poprzestawali na swoich głodowych pensjach i leżeli na brzuchach, jak Hindusi nad Gangesem, to nędza kraju byłaby jeszcze o wiele nędzniejsza.

Chłop jest dzisiaj warstwą uprzywilejowaną, bo wolno mu korzystać z rezultatów swojej pracy i tymi owocami dowolnie rozporządzać. Ale chłop jest klasą zamkniętą i odrębną. Nie ma nic do powiedzenia w Polsce Ludowej, ale znajduje się pod całkowitym wpływem Kościoła i księdza. Politycznie będzie się zachowywał tak, jak mu proboszcz każe. A znowuż Kościół, jeśli chodzi o skład kleru, stracił charakter wielostanowy, stał się całkowicie chłopski. Weźmy listę Episkopatu w Polsce. Z małymi wyjątkami nazwiska zdecydowanie włościańskie. Skład zarządów Stronnictwa Ludowego za czasów Witosa czy Mikołajczyka nie był tak jednolicie chłopski, jak dzisiaj jest skład Episkopatu. Z tego między innymi wynika polityczna siła Kościoła. Chłop i ksiądz rozumieją się doskonale.

Napisałem powyżej, że robotnik polski nienawidzi dziś samego wyrazu „socjalizm”. Może byłoby inaczej, gdyby miał do czynienia z socjalizmem reprezentowanym przez – dajmy na to – szwedzką partią socjalistyczną. Ale w Polsce socjalizm streścił się do upaństwowienia całej gospodarki. Istnieją rady robotnicze przy zakładach fabrycznych, pewna (nie za duża) liczba robotników wchodzi w skład Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej... Ale robotnik będący członkiem tych organizacji nie ośmieli się w żadnym wypadku zająknąć o konieczności jakiejś podwyżki płacy. Byłby to czyn antypaństwowy, godzący w budżet. Przedstawicielstwa robotnicze w państwach tak zwanych kapitalistycznych służą do obrony interesów robotnika, w Polsce służą do trzymania tego robotnika w ryzach i posłuszeństwie wobec tego hipergospodarza i jedyne go kapitalisty, którym w tym kraju jest samo państwo.

Robotnik polski jest pracowity, zdolny i przede wszystkim nie jest głupi. Otrzymuje paczki i listy od swoich krewnych z Ameryki lub Niemiec Zachodnich. Wie, że robotnik w krajach kapitalistycznych zarabia więcej i że jednocześnie towar jest tam tańszy. Wyciąga z tego odpowiednie wnioski...

Gaston de Cerizay

[Stanisław Cat-Mackiewicz]

GEORGE J. FLEMMING

Z polskiej rzeczywistości

Młodzież

Niewiele pewnie jest krajów w Europie, gdzie sprawy młodzieży miałyby takie znaczenie jak w Polsce. Przyczyną pierwszą jest fakt, że Polska jest krajem o niesłychanie wysokim procencie obywateli poniżej pełnoletności. Sam widok miast takich, jak na przykład Nowe Tychy wprawia w zdumienie – i nie na darmo, bo właśnie tam liczba dzieci i młodzieży sięga 70% ogółu mieszkańców. Słynny już „wyż demograficzny” stał się postrachem rządu, sejmu, partii i ludzi starych, którym grozi wcześniejsza emerytura, co ma państwu zaoszczędzić pieniędzy i dać więcej miejsc pracy dla młodych następców.

Jaka jednak jest ta młodzież, co reprezentuje, jak i co myśli? I odpowiedź na to pytanie jest tak samo skomplikowana, jak nieproste są sprawy młodzieży. Oglądając zatłoczone sale wykładowe wyższych uczelni, studenckie kluby, kawiarnie, winiarnie, wreszcie boiska chuligańskich rozróbek przed Pałacem Kultury albo na Targowej od Dworca Wileńskiego do Bazaru Różycznego – można wyciągnąć najrozmaitsze wnioski. Jeden, i pierwszy, jaki się narzuca, to ten, że młodzież ma sporo pieniędzy i jeszcze więcej czasu. Tak jak wśród dorosłych, tak i wśród młodzieży trudno by było ustalić z całą precyzją źródła dochodów, bo oficjalne są z pewnością mniejsze niż wydatki. „Fukier”, który stał się mekką „młodziaków” we włoskich butach, nie jest tanim miejscem rozrywki, a jednak znalezienie tam stolika należy do cudów. To samo dotyczy MDM-owskiej „Niespodzianki” i niejednego nocnego lokalu o nader podejrzanym reputacji. A pieniądze na te nie zawsze najlepszego gatunku rozrywki albo pochodzą z niezupełnie czystych źródeł, albo od rodziców, którzy, jak to się w Polsce mówi, mieli „ciężkie dzieciństwo”

i chcą swym pociechom życie osłodzić. To słodzenie prowadzi czasem – i to nierzadko – do sądu, gdy młody człowiek wcześniej umiejący wydawać pieniądze, niż je zarabiać, straci nagle rodzicielskie wsparcie, a nie potrafi się odzwyczaić od *dolce vita*. A przy tym wzorów do naśladowania i celów zażądności nawet w Polsce nie brak. Rozbijają się po kraju od Sopotu po Zakopane synkowie aparaczyków i „badylarzy” volkswagenami (od 100 do 150 tysięcy złotych na prywatnym rynku), a niech by tylko syrenami; wysiadują nad whisky na Gubałówce i podrywają kociaki po „Jędrusiach” i Grand Hotelach. „I pan Krupa chciał być taki” – toteż normalna kolejka marzeń każdego młodego człowieka jest następująca: chata, szkło, gabłota*, i w tym wszystkim cizie, czyli szmatki, czyli złote rybki, czyli kociaki. Abstrahując od warszawskiego żargonu, takie marzenia nie byłyby w zasadzie czymś zdrożnym, ale w warunkach ekonomicznych epoki Gomułki są drogą legalną trudną do zrealizowania.

Te dążenia i marzenia dają nieraz przedziwne i wcale nie zamierzone przez partię rezultaty. Tak się stało na przykład z Nową Hutą, „pierwszym socjalistycznym miastem”, które po okresie baraków, błota i – już nie chuliganów – po prostu bandytów stało się najbardziej drobnomieszczańskim miastem (dokładniej dzielnicą) w Polsce. Dziś łatwiej o nocny napad w starym Krakowie niż w odległej zaledwie o siedem kilometrów Nowej Hucie, gdzie w niedzielę niedawni rozrabiacze po mieszczańsku dorobieni wychodzą na spacer z dziećmi w róźane aleje albo łapią ryby nad niedalekim Jeziorem Rożnowskim. Tam zadziałał przykład dobrze znany z dawnej ojczyzny młodych robotników – przykład pana rejenta z Kłaja czy pana aptekarza z Kolbuszowej. Na pewno nie tak miało wyglądać socjalistyczne miasto – ale tak wygląda typowe młode miasto, jakkolwiek by się ono miało w partyjnej nomenklaturze nazywać.

Beznadziejnością zioną ciche uliczki Zamościa, Wągrowa, Zambrowa czy Góry Kalwarii: młodzież nie ma co robić, nie ma się gdzie podziać; może nie być kina, telewizja jeszcze nie dociera, ale knajpa na pewno jest, z zielonym szyldem „Samopomocy Chłopskiej”, gdzie łatwiej o czerwoną kartkę** niż o świeży chleb – ale za to trudno o pieniądze. Nie od dziś też trwa masowy *exodus* młodych na „budowy socjalizmu” do Turoszowa, Konina, Płocka – tak jak dawniej do Nowej Huty. Za nimi zostają na łasce starych pozostawione gospodarstwa, bo nawet średnie czy wyższe studia agronomiczne

* Przekład na wszelki wypadek: mieszkanie, wódka, samochód [przypisy autora].

** Najtańszy gatunek wódki.

ne dopełnione w mieście nie zmuszają do powrotu, gdy weselej i łatwiej się żyje w zneutronizowanych punktach zbiorowego mieszkania. Wieś jest nudna i, co najważniejsze, bez przyszłości, chyba że się jest badylarzem albo hoduje ślimaki na eksport do Francji – ale na to idą raczej znudzeni miastem niedożywieni nauczyciele czy niedopłaćeni inżynierowie; wiejska i małomiasteczkowa młodzież zapełnia wielkie miasta, uzupełniając szeregi nisko kwalifikowanych robotników, a często luki wśród drobniejszych chuliganów, koników i zwykłych obiboków. Jest oczywiście spora liczba wiejskiej młodzieży na wyższych uczelniach, ale mimo stypendiów i wielu ułatwień trzeba samozaparcia i dużej wytrwałości, by w tych wrunkach ukończyć kilkuletnie studia. Zresztą procent młodzieży wiejskiej na uniwersytetach i politechnikach jest w stosunku do wkładanych wysiłków rządu i organizacji młodzieżowych bardzo niewielki.

W ustroju, gdzie państwo przyzwyczajają swoich obywateli, że będzie za nich myśleć i działać, łatwo jest o powstanie przeświadczenia, że wszystko „się należy” i to należy jak najprędzej i bez wielkiego wysiłku. Te prawdy miasta odkryły już dość dawno, a teraz odkrywa je młodzież napływowa. Rezultaty są tylko smutne, a pociechą może być fakt, że i władcom zaczyna świtać, gdzie leży ich błąd. Na to przeświadczenie pracowały jednak lata i teraz trzeba będzie jeszcze dłuższych lat, by to odrobić. Hasło „Czy się robi czy się leży, dwa patyki się należy” weszło w krew, i chociaż o te dwa patyki wcale nie jest łatwo, to bez nich „nie warto” nic robić. Pewien znajomy Amerykanin, po kilkumiesięcznym montażu urządzeń stoczniowych w Polsce, tak streścił swoje wrażenia: „Na Zachodzie pieniądz znaczy dużo, ale w Polsce: wszystko”. Kłopot polega na tym, że nie zawsze pieniądze opłaca się zarabiać. Łatwiej o nie, gdy przychodzą same: „konikowanie” pod kinami albo obok stadionów i hal sportowych, przez hazard nie tylko na wyścigach, ale nawet przy szachach, nie mówiąc już o niezapomnianych „trzech kartach”, przez prostytutkę i sutenerstwo, z których tylko to drugie jest nielegalne, bo „paragraf zero” nadal obowiązuje. Po młodzieżowych lokalach wysiadują piętnasto- i szesnastoletnie prostytutki w towarzystwie niewiele starszych alfonsiaków rajfurzących swoje podopieczne starszym panom żądnym wrażeń. Zaawansowana sorta uczęszcza do nocnych lokali odwiedzanych przez „dewizowych”, a w Szczecinie, Gdańsku czy Gdyni nie wiadomo, czy w ogóle są inne lokale niż podległe miejscowym królowym portowego półświatka rządzonego przez niewidocznych, a jednak dobrze milicji i prokuratorze znanych, kundów*. W „Bajce” czy w „Cafe Clubie” w Szczec-

* „Kunda” – „przedsiębiorca” handlowy w strefie wolnocłowej, wynajmowany również

cinie znajdzie się wśród tamtejszych cór Koryntu niejedna studentka, była urzędniczka, dziewczyna z dobrego domu – zbierająca w ten sposób pieniądze na posag, na mieszkanie, na samochód... I to też jest młodzież.

To wszystko nie są tajemnice, o tym się wie, nawet czasem pisze, ale nigdy nie wyciąga na zjazdach i kongresach, plenach (plenumach, jak mówi minister Naszkowski!), sesjach i innych odświętnych miejscach dyskusji bez dyskusji. Oczywiście prostytutka i chuligaństwo nie są polską specjalnością, spotyka się te zjawiska na całym świecie, i to w może jeszcze większej skali, ale chodzi o to, że tak się dzieje w określonym ustroju i za parawanem wielkich słów i jeszcze większych przyrzeczeń.

Są i inni, jest ich wielu, młodzi ludzie, którzy tworzą i budują, coraz bardziej znani na całym świecie: młodzi architekci, artyści pędzla, pióra i kamery filmowej, inżynierowie, lekarze, młodzi uczeni – pracujący z całym zapalem dla państwa, a nieraz i wbrew państwu. Nie zawsze ich wysiłki są oceniane tak, jak na to zasługują i nie zawsze znajdują zrozumienie u niedouczonych stołecznych i prowincjonalnych kacyków. Jakie są ich poglądy? jakie ich dążenia? Na pewno niedalekie od wyników ankiety wśród studentów z roku 1961, kiedy to zaledwie kilka (4)* procent uznało się za marksistów. A dążenia też podobne do byłych rozrabiaczy z Nowej Huty, tylko realizowane w sposób mniej wzorowany na aptekarzach i rejentach z Kłaja Dolnego.

Wyż demograficzny, obok znanych już skutków, wywołał jeszcze jeden: podniesienie barier kwalifikacyjnych. Dziś, żeby być personalnym, nie wystarczy być konfidentem UB, trzeba coś umieć. Oficerowie milicji i wojska coraz częściej pytani są o wyższe wykształcenie, a nawet gromadzcy urzędnicy pisują na maszynie. Małomiasteczkowe magistraty wypełniają się powoli (bardzo powoli) ekonomistami, prawnikami i nawet zdarzają się dyrektorzy przedsiębiorstw państwowych ze średnim wykształceniem. To podniosło rangę szkoły wyższej jako środka zapewnienia jeżeli nie dochodów, to przynajmniej stałej pracy – i nikt już nie ukrywa swego magisterium czy doktoratu dla utrzymania się na wyższym poziomie zarobkowym, jak to nieraz dotąd bywało, gdy laborant był wyżej płatny od młodego lekarza, a tokarz od inżyniera.

dla zabicia, pobicia itp. Rekrutuje się na ogół spośród wysłużonych marynarzy, nierzadko członków partii.

* Nie pamiętam dokładnie.

Przybyło Polsce kilkanaście tysięcy fabryk, tłucze się we Wrocławiu taśmowo mózgi elektronowe, buduje ileś tam statków rocznie, produkuje się zegarki, tranzystory, telewizory, stylon, orlon i elanę, ale, o niekonsekwencjo polska, najwięcej zgłoszeń na wyższe uczelnie przypada na tak egzotyczne studia, jak archeologia śródziemnomorska, orientalistyka, historia sztuki, plus kilka bardziej pożytecznych w polskich warunkach, jak handel zagraniczny i nowo otwarte studium afrykanistyczne. Wyjaśnienie tej zagadki jest oczywiście niezmiernie proste: każdy z kandydatów ma przed oczami jeden cel – jego zdaniem to są studia najwłaściwsze, żeby móc jeździć za granicę z wygodnym i bezbolesnym paszportem służbowym. A wyniki: jeden archeolog jest spikerem w telewizji warszawskiej, turkolog urzędnikiem w amerykańskiej ambasadzie – i to jest jeszcze dobrze, bo bywają absolwenci historii sztuki, którzy chyba do końca świata będą szlifować bruki, zwłaszcza od czasu, kiedy budżet Ministerstwa Kultury przestał przewidywać „zbędne” etaty w muzeach i galeriach sztuki. A jednak pęd do wyjazdów zagranicznych jest tak wielki, że napływ na nierealistyczne w polskich warunkach fakultety trwa. Niewiele zdaje się znaczyć kolosalne zapotrzebowanie na matematyków, fizyków i chemików, skoro na pierwszym z wymienionych wydziałów bywały wolne miejsca. Cóż, skoro matematyk może pojechać najwyżej do Bułgarii czy Czechosłowacji, a fizyk, jeśli będzie dobry, może być wysłany do podmoskiewskiej Dubnej, by dać się okradać ze swoich odkryć i wynalazków.

Bujne życie studenckie w latach popaździernikowych, czasy „Stodoły” „STS”, krakowskiej „Piwnicy” – straciły na barwach, na żywiołowości, na ostrości politycznej. Pojawili się organizatorzy z urzędu, a za nimi niezbędną biurokracja, cenzura i drętwa mowa. Kabaretowe premiery przestały być wydarzeniem i stały się jeszcze jednym miejscem, „gdzie się bywa”, ale nie zawsze wiadomo, po co. Z dawnych amatorów wyrosli do dziś zawodowcy, a nowych nie ma, bo nie powinni być. Istnieją nadal kluby studenckie, „Hybrydy”, „Largactil”, „Jaszczury” i wiele innych, ale niewiele w nich zostało z dawnego życia i barwy. Przychodzi się tam potańczyć, pograć w bilard, w szachy czy brydża, pójść do baru na wino – to prawie wszystko. Nie lepiej się dzieje z prasą młodzieżową. Jeżeli nie gorzej. Z dawnego bestsellera „Dookoła świata” zrobiła się po polsku mówiąc „chała”, z „Nowej Wsi” – nie, bo nigdy nie była dobra. O prasie studenckiej lepiej nie mówić. „Płomyk” – jak za najlepszych czasów Wasilewskiej. Z dawnego „Po prostu” nie zostało śladu, a redakcję porozstawiano po kątach, od radia po „Kulisy”. Nie lepsze będą losy młodej literatury po wystąpieniach znanych krytyków

literackich Gomułki i Kliszki. Obaj są bezwzględni w swych opiniach i nie ma chyba granic, przed którymi by się zatrzymali, skoro nie wahali się postawić przed sądem syna ministra Modzelewskiego, komunistycznego świętego, którego nazwiskiem nazwano ulice i uczelnię. Nie ma miejsca w Polsce dzisiejszej dla myślenia innego, niż tego sobie życzą władze. Czuwa nad tym niezawodny Gazrurka-Witaszewski, który ma chyba już teraz wolną rękę w rozwiązaniu zagadnienia niegrzecznych intelektualistów przy pomocy metalowego narzędzia bandytów z jego rodzimej Woli. Polska przestała być „najweselszym barakiem w obozie socjalizmu”.

Oderwanie ogromnych mas młodzieży od ich wiejskich domów, stosunków, otoczenia, bliskości proboszcza, musiało z konieczności wpłynąć na inne ukształtowanie się światopoglądu, oddalenie od Kościoła. Tak może w pewnym stopniu się stało. Ale tylko w pewnym stopniu. Miejska w pierwszym pokoleniu młodzież tkwi głęboko w tradycjach polskiej wsi. Manifestuje się to nie tylko trzymaniem kur na balkonach, a świń albo węgla w wannach, ale także niezmiennym przywiązaniem do głębszych treści niż zamiłowania hodowlane. Wprawdzie w mieście ksiądz jest dalej i przestał być osobą pierwszą i najważniejszą, ale kościół jest artykułem pierwszej potrzeby, choćby stał na skrzyżowaniu ulic Marksa i Budowniczych. Kościoły są pełne nie tylko ludzi starych, ale i młodych. *Exodus* młodzieży wiejskiej na pewno w dużym stopniu przyczynił się do tego, a ulica przed kościołem nawet w Warszawie wygląda trochę jak w Piasecznie czy Sokołowie, będąc miejscem spotkań sąsiadów i podziwiania niedzielnych kreacji. Słyszałem nieraz na Zachodzie ludzi martwiących się, jak będzie wyglądało wychowanie religijne najmłodszego pokolenia w Polsce Ludowej. O to zadbała partia i rząd stwarzając takie warunki ekonomiczne, w których na ogół oboje rodzice muszą pracować na utrzymanie domu, a troskę o wychowanie dzieci zostawiają babciom-dewotkom. I bywa tak nierzadko, że nawet mało przejmujący się religią rodzice miewają dzieci wyjątkowo religijnie wychowane. Nawet ekonomia marksistowska, jak z tego widać, miewa swoje absolutnie nieoczekiwane osiągnięcia i sukcesy...

Dziwne może się wydawać, że w kraju tak surrealistycznym jak dzisiejsza Polska rośnie młodzież właściwie bardzo realistyczna (nawet studia archeologii śródziemnomorskiej mają przecież swoje bardzo realistyczne usprawiedliwienie). Zresztą może nam się tylko wydaje, że Polska jest surrealistyczna, bo przecież jeżeli krakowska spółdzielnia „Młoda Gwardia” sprzedaje baranki wielkanocne, to chyba wie, że na tym zarobi. A nazwa? Polska też się przecież nazywa demokracja ludowa.

Łapówki

Temat właściwie stary jak świat (oczywiście powojenny), bohater niejednego dowcipu, niejednej smutno-zabawnej historyjki i niejednego procesu, ale pewnie niewielu rodaków na emigracji zdaje sobie sprawę, jak szeroko i jak głęboko ten nowy styl sięga. W zasadzie sprawa łapówek wypływa dopiero wtedy, kiedy o kimś w rozdzielniku zapomniano i ten ktoś poczuł się dotknięty pominięciem.

Sprawa zaczyna się właściwie od tego, że w Polsce można wszystko, ale to absolutnie wszystko kupić – zależy tylko, za ile. A to „ile” stoi w kuszącym związku z przeciętnym zarobkiem. Jeżeli na przykład pracownik stacji benzynowej zarabia 1000 złotych miesięcznie, a jedna cytryna na czarnym rynku kosztuje 20 złotych, to albo taki facet nie kupuje cytryny, albo sprzedaje 60-oktanową benzynę po cenie 80-oktanowej i wtedy już może kupić cytrynę. Ekonomicznie prosta historia i – co tu dużo gadać – zrozumiała. Pytano kiedyś Gomułę na zebraniu przedwyborczym w jednej z warszawskich fabryk: dla kogo jest w „Delikatesach” francuski koniak po 400 złotych. Odpowiedział wtedy, że on sam, jeżeli pije, to polską wódkę, a koniaku nie kupuje. Ale koniak, whisky, gin stoją w sklepach i ktoś je przecież w końcu nabywa, chociaż cena wynosi więcej niż połowa głodowego, oficjalnego minimum egzystencji. Sama prywatna inicjatywa nie wystarczy, więc co pewien czas jakiś nowy proces skórzany, piekarniczy, przemysłowy czy inny wyjaśnia, kto wpłaca najwyższe podatki pośrednie do skarbu państwa.

Koniak jest tu oczywiście pretekstem, drobnym przykładem, a przedmiotów kuszących przecież nie brak. Wystarczy się przejść po Chmielnej (przepraszam, Rutkowskiego), po Nowym Świecie i wzdłuż pawilonów prywatnego handlu, żeby zobaczyć, ile i na co można wydać w Warszawie pieniędzy: amerykańskie i francuskie kosmetyki, niemieckie, angielskie, amerykańskie elektryczne aparaty do golenia, ciuchy z całego świata, pióra Parkera i Watermana, tytoń angielski i holenderski (50–75 złotych za paczkę), zapalniczki Ronsona (ponad 1000 złotych), japońskie radia, płyty, instrumenty muzyczne, adaptory, lodówki, telewizory, maszyny do pisania – wszystko po cenach rynkowych zagranicznych... tyle że przeliczonych po kursie PKO, to jest te głupie 72 złote za dolara plus marża sklepu. Nikt nie wie dokładnie, ile jest w Polsce tranzystorowych aparatów, bo nie są rejestrowane, ale słychać je i na Helu, i na Zawracie, i na Marszałkowskiej.

Wszystkie te przedmioty ktoś więc musi kupować, a mały tranzystor japoński to przeciętnie trzy „patyki”. Czy trzeba wspominać o tym, że w sa-

mej Warszawie istnieje kilkanaście punktów (oficjalnych) sprzedaży używanych (i to jeszcze jak!) samochodów, gdzie za niewiele podszykowanego grata prywatny kupiec żąda, zależnie od marki, od 60 tysięcy (za fiata 600) do 300 tysięcy za mercedesa.

A rynek mieszkań i nieruchomości, na którym niebrzydkie pieniądze robią setki uczciwych i nie bardzo uczciwych pośredników? A coraz bardziej rosnący rynek sprzedaży nieruchomości w Wilnie, Lwowie – oczywiście tylko na papierze i po cenach stanowiących nie więcej niż 10% wartości? (ostatnio nawet podobno ceny na tym rynku poszły w górę!), czyżby reakcja na spór rosyjsko-chiński?

Gdy się ma pieniądze, można w Polsce wszystko kupić – problemem jest tylko, skąd wziąć pieniądze.

Systemów jest mnóstwo, a najprostszym jest oczywiście wykorzystanie zajmowanego stanowiska. Jeśli przedsiębiorstwo państwowe ma prawo zlecenia robót prywatnym wykonawcom, to kierownik inwestycji ma swoją „dolę” od prywatniarza, czasem nawet przekraczającą połowę dochodu wykonawcy. I wtedy żona kierownika kupuje wszystko, co się wcześniej wymieniło, a pan kierownik miewa samochód. Trzeba dodać, że i prywatni wykonawcy nie krzywdzą sobie, bo przecież pan kierownik inwestycji może wystawić „lipne” rachunki na zawyżone koszty wykonawstwa. Nie chcemy tu powiedzieć, że wszyscy kierownicy inwestycji zarabiają w ten sposób, ale jest ich na pewno bardzo dużo. Wiadomo, jak trudno jest dostać w Warszawie mieszkanie z przydziału, czyli „z kwaterunku” – ale to tylko tym, którzy są na tyle naiwni albo biedni, by załatwiać sprawę drogą uczciwą i normalną. Ale oprócz tej drogi ciernistej i bardzo długiej są drogi znacznie krótsze. Nie darmo co parę miesięcy zmieniają się kierownicy miejskich kwaterunków, nie darmo utworzono kilkusobowe komisje przydziału mieszkań. Wynik jest w zasadzie tylko jeden: koszt „załatwienia” mieszkania podskoczył parokrotnie: trzeba przecież opłacić teraz całą komisję, a nie pojedynczego faceta jak przedtem... I znów nie znaczy to, że wszyscy w kwaterunku są tacy sami, ale wiemy o niektórych dzielnicowych kwaterunkach, gdzie bez forsy nie należy się w ogóle zbliżyć. Obostrzenia kwaterunkowe, obniżenie norm mieszkaniowych, a jednocześnie podniesienie cen elektryczności, ogrzewania i gazu wpłynęły na niesłychany wzrost cen willi, nieraz trzy- i czterokrotnie. Fakt, że domek jednorodzinny o powierzchni do 110 m² jest w zasadzie nietykalny dla władz miejskich, sprawił, że ceny placów w rejonach nieumiastrzonych (ładne słowo!) są nieraz wyższe niż koszt postawienia domku. Ale i na to są nabywcy.

Dwa systemy dorobienia się już wymieniliśmy, ale jest ich nieskończenie więcej. Pewien kierownik kiepskiej knajpy w znanej miejscowości wyprodukowej pracował tylko trzy lata, by już w tej samej miejscowości wybudować sobie „domek” za przeszło milion złotych, na oczach całego urzędu skarbowego, prokuratury i swoich dawnych (bo z pracy już zrezygnował) przełożonych. I tu dochodzimy do jeszcze jednego systemu zarabiania, tym razem na etacie urzędnika skarbowego. Pewien znany nam właściciel sklepu regularnie płaci od 6 do 10 tysięcy złotych miesięcznie w jednym ze stołecznych urzędów skarbowych tylko po to, by uniknąć domiarów. Urzędnicy się co pewien czas zmieniają (solidarność: niech każdy zarobi!), ale haracz zostaje bez zmian. Niemniej jednak obie strony są z siebie zadowolone i współpraca układa się harmonijnie. Czasem kupiec jest niedomyślny albo – co gorsza – skąpy, wtedy są sposoby, by mu przypomnieć, od kogo zależy wysokość domiaru. I wtedy kupiec przywołany do porządku pokornie i bardzo szybko płaci gdzie i ile trzeba.

Nie darmo się mówiło w Warszawie z okazji głośnego przed paru laty procesu mięsnego, że został on przesunięty na okres po zjeździe partii... bo inaczej nie byłoby na zjeździe *quorum*. Różnie się o tych partyjnych udziałowcach w mieszanej gospodarce polskiej mówi. Wymieniało się nazwiska osób wysoko postawionych w hierarchii partyjnej, nawet wyżej niż się to potem potwierdziło. Przeszło trzydzieści tysięcy usuniętych z partii w roku ubiegłym, to przecież w większości ci, którzy w ten czy inny sposób byli zamieszani w afery gospodarcze.

Przed kilku laty przyjechał tranzytem przez Warszawę do Izraela pewien autentyczny kubański Kozak, repatriowany do Polski jako Żyd (jego żona była kuzynką żony pewnego warszawskiego Żyda). Ten facet był na swoim Kubańnię kierownikiem „rajonnych” magazynów tekstylnych. Pewien znawca tamtejszych stosunków (przeszedł edukację na dwuletnim kursie w „pudle” w Astrachaniu, a więc ekspert), oświadczył, że jeśli taki Kozak po kilkunastu latach nienagannej pracy na tym samym stanowisku wyjeżdża za granicę i tam zaraz kupuje sporą fabryczkę – to, według jego wiedzy przedmiotu, musiał przez cały ten czas regularnie opłacać co najmniej czterdzieści osób, w tym cały rejonowy aparat partyjny i władze administracyjne. Procesy ostatnich lat w Polsce wykazały, że nasi rodacy są jeszcze daleko w tyle za „pierwszym krajem socjalizmu” i przejście do komunizmu jest chyba jeszcze dalekie. Brak nam solidarności i akuracności we wnoszeniu odpowiednich opłat...

A jednak robi się wszystko, co w ludzkiej mocy, by podnieść stopę życiową w kraju, rozwinąć prywatną motoryzację i tak dalej.

Nie tak dawno wyszło na jaw w Wydawnictwie Ministerstwa Obrony Narodowej, że któryś z księgowych „dzieli się” z tłumaczami tajnych przekładów, których autorzy pracują na miejscu w redakcji i tylko przy pomocy magnetofonu (diabli wiedzą, dlaczego mają one być tajne, skoro są to książki wojskowych autorów zachodnich, dostępne poza tym w oryginale w niejednej państwowej księgarni...). Skandal był publiczną tajemnicą, ale o wyłaniu księgowego jakoś się nie słyszało.

Bardziej bezpośrednio łapówki brało parę osób w samym Ministerstwie Spraw Zagranicznych za wysłanie za granicę na takie eksponowane stanowiska, jak kierowca albo niższy urzędnik ambasady. Pewien adwokat zainteresowany w podreperowaniu się na posadzie kancelisty spotkał się wprost z propozycją wpłacenia głupich czterdziestu „patyków” na fundusz rodzinny pewnego niewysokiego urzędnika departamentu kadr rzeczono MSZ. W innym wypadku niesprecyzowana bliżej suma miała mieć błogosławione skutki dla pewnego gentlemana, któremu marzyła się egzotyka pracy w komisji kontroli w Laosie. Propozycję odrzucił, zanim doszło do wymienienia sumy – nawet nie ze wstrętu, ale z braku funduszy. Na powyższe tematy mógłby pewnie coś niecoś powiedzieć ambasador PRL w Izraelu, a były dyrektor departamentu kadr MSZ, towarzysz Puta. Przecież niemożliwe, żeby nie wiedział, co się w jego departamencie działo?

Jeżeli jesteśmy przy MSZ, to trzeba powiedzieć, że wcale nie lepiej, jeżeli nie gorzej, działo się i dzieje na placówkach. Przez ładnych parę lat były wiceminister kultury Piotrowski był opłacany przez kierowniczkę punktu sprzedaży w polskim ośrodku kulturalnym za wolną rękę w handlu. Pani Formankova, Polka z pochodzenia, żona wysokiego urzędnika Ministerstwa Handlu Zagranicznego CSSR, a może Wnitrnej Bezpieczeństwa (a najpewniej obu naraz) była poza tym wiernym szpiclem tegoż radcy, a także samego ambasadora Mazura, który bez tego rodzaju pomocy po prostu nie wyobraża sobie życia. Wcale nie lepiej rządził się kierownik podobnego ośrodka w Berlinie Wschodnim, gdzie też jest punkt sprzedaży i także jest czym po-handlować. Tacy ludzie są zawsze na tyle dobrze obstawieni, że im się krzywda nie stanie, natomiast ten, co aferę wykryje, może się pożegnać z posadą – jak to miało miejsce w wypadku berlińskim.

Ale opuśćmy już *high-life* i wróćmy do ludu. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że nie ma lepszego businessu, niż być bufetową i to w knajpie najgorszego gatunku, czyli „mordowni”. Tam gdzie za brudną szybą bufetu leży zakurzony ser i spleśniałe dzwonka śledzia w oliwie, wódka najpewniej leje się najszerzym strumieniem. I tutaj jest kilka punktów, ruchów i posunięć,

które napędzają pieniądze do kieszeni. A więc nalewanie (uwaga!) ćwiartek z litrówek (w litrowej butelce jest zawsze pewien niewielki margines „na rozlew”), z litrówek przyniesionych z domu (tańsza wódka, bo sklepowa, a pieczęć „Gastronomiczna” przecież łatwo sobie zamówić), nie do pełna, no i oczywiście niższego gatunku niż zamówiony. Taka operacja – rzecz nie do wiary, ale jednak prawdziwa – może w jednej knajpie przynieść dochód do kilku tysięcy złotych dziennie! Stanowiska bufetowych (podobnie jak szatniarzy, zwłaszcza w nocnych lokalach) są otrzymywane za „odstępny”, które się wpłaca ustępującej, a czasem także kierownikowi, jeżeli nie ma on dyskretnej umowy bezpośredniej. Ponieważ spożycie alkoholu w Polsce prawie nie spada, trzeba się liczyć z tym, że liczba zamożnych niewiast w wieku pod- i trolejbusowym* będzie nadal wzrastać.

Nie ma w zasadzie dziedziny życia, gdzie nie dotarłaby wiedza o zdobywaniu chleba smarowanego z obu stron. A jeśli ktoś wykazuje zupełny anty-talent albo – o zgrozo – nie ma takich możliwości, to pozostaje mu liczyć na cud, czyli, jak to kiedyś ładnie powiedział Antoni Słonimski: że raz wreszcie przed kioskiem z papierosami pojawi się ktoś, kto położy pięćsetkę, poprosi o zapalki i nie zażąda reszty...

Jeżeli nie możliwości, to zostają już tylko marzenia, bo te przynajmniej nic nie kosztują. A pieniądze dla handlowych geniuszy leżą po prostu na ulicy. Znana jest w całej Polsce historia gentlemana, który wykupił w sklepach w całym kraju spoczywające tam beczynnie dziesiątki tysięcy butelek z popularnym i bardzo tanim żurem. Co z nim zrobił? Proste. Żur wylał, a butelki sprzedał z wysokim zarobkiem w punktach skupu „opakowań szklanych”. Transakcja była tak legalna, że nawet prokurator nie mógł się dopatrzyć niczego bezprawnego.

A gdyby nawet bezprawie, to czy władze się nim nie posługują? To są publiczne tajemnice – i każdy wie, że Ministerstwo Skarbu ma własną sieć waluciarzy, skupujących wolne dolary po hotelach i barach dla rzeczonoego ministerstwa w zamian za swobodę uprawiania handlu, a milicja ściga tylko „dzikich” i „nielicencjonowanych”. Kiedy przed kilku laty trzeba było dokonać pilnej zapłaty za jakieś bliżej nieznane usługi bliżej nieznanej osobie – sama bezpieka pozbierała ze znanych sobie miejsc handlarzy złotem i dewizami i... kupiła od nich potrzebne ilości towaru po bieżącym, rzetelnie obliczonym kursie!

* Gdyby ktoś nie wiedział, to trolejbusy w Warszawie kursują na liniach oznaczonych numerami od 50 w górę.

Pewien znajomy hodowca drobiu, kiedy jego cenna eksportowa hodowla została zagrożona epidemią, usłyszał z ust urzędnika odpowiedzialnego za tę gałąź gospodarki: „My terramycyny nie mamy, kup pan w PeKaO. Co? Że nie ma pan dolarów? To kup je pan na Czackiego, nie wiesz pan gdzie? Każdy milicjant pokaże”.

George J. Flemming
[Jerzy Działek]

[4/1966]

BOGDAN ADAMSKI

Z pamiętnika architekta powiatowego

Mróz dochodził do minus 30°, kiedy w lutowy ranek spieszyłem, by objąć moje nowe obowiązki. Decyzja przysłała łatwo, dłuższe zastanawianie wydawało mi się zbyteczne, miałem bowiem działać na obszarze niemal dziewiczym, nie tkniętym ręką urbanisty ani architekta – jakież więc szalone pole do popisu otwierało się przede mną. Oczyma wyobraźni widziałem stworzone przez siebie plany przestrzenne osiedli, miasteczek i wsi, modernistyczną architekturę dużych obiektów, inwestycji i małych domków – słowem upojny obraz entuzjastycznej twórczości. I góry. Właśnie góry, w które zwykłem uciekać z miasta, wykorzystując każdą wolną chwilę i które dobrze znałem, swego czasu uzyskałem nawet dyplom przewodnika. Pełen ambitnych planów i radosnego podniecenia wkraczałem w progi prezydium powiatowej rady narodowej.

*

Dziś w mieście jarmark, a więc i dzień przyjęć w moim wydziale; w taki dzień sprawy lokalizacji inwestycji i wszelkie sprawy budownictwa państwowego schodzą na dalszy plan. Grubo przed ósmą tłum petentów czeka już przed drzwiami – teraz ci ludzie nazywają się „stronami”.

– Panie architku – zwraca się do mnie jeden z petentów – zatwierdźcież mi te plany zaraz, bo dziś zaczynam budowę.

Projekt narysował sobie sam – wolno mu, tutaj projektują wszyscy: nauczyciele, fryzjerzy, działacze k.o. (kulturalno-oświatowi...), a głównie sekretarze gromadzkich rad narodowych – ostatecznie trudno takiej urzędowej osobie odmówić zatwierdzenia planu... Projekt jest beznadziejny.

– Człowieku – powiadam – dlaczego dajecie od północy pokoje, a sieni, komorę i kuchnię od południa, czy nie szkoda wam słońca?

– Niby racja – rzecze mi na to – ale dom musi stać frontem do drogi i pokoje mieć od strony drogi, to jest najważniejsze, a że to akurat północ – no to trudno.

Sień przelotowa, mnóstwo straconego miejsca, drzwi wejściowe od strony drogi i drugie od podwórza – będzie wchodził oczywiście od tyłu, drzwi frontowe zabije gwoździami, ale co powiedzieliby sąsiedzi, gdyby dom nie miał drzwi od frontu.

– A gdzie dajecie ustęp? – pytam inną „stronę”.

– O tu – wskazuje na planie punkt oddalony o dobre 30 metrów od budynku mieszkalnego.

– To nie wolicie mieć ustępu pod tym samym dachem, tylko gonić taki kawał drogi i to jeszcze w zimie? – dziwię się naiwnie.

– A gdzieżbym ja, panie architekcie, takie świństwo trzymał w domu – obraził się chłop.

Godzina trzecia, jestem już mocno znużony. Przepisy wymyślone przez kogoś gdzieś w dalekiej Warszawie przewidują dla mojego wydziału kilka etatów urbanistów, inspektorów nadzoru budowlanego, siłę kancelaryjną, środek lokomocji i tak dalej. Wszystko to pozostaje w sferze marzeń, jestem sam, wykonuję szereg czynności administracyjnych, piszę na maszynie, naklejam opłaty stemplowe, adresuję koperty – a wielka, wymarzona architektura odsuwa się gdzieś daleko, daleko... Entuzjazm powoli wygasa.

*

Dziwiło mnie początkowo, że oprócz obowiązującej opłaty stemplowej niemal każde podanie o zatwierdzenie planu budowlanego zaopatrzone było w przypięty dyskretnie spinaczem banknot stułotowy. Dziwiło mnie – byłem bowiem jeszcze żółtodziobem w pracy aparatu rad narodowych, ale doświadczony petent dobrze wiedział, że trudno mu spodziewać się pozytywnego załatwienia sprawy, bez poparcia podania odpowiednią łapówką. Oczywiście w różnych wydziałach rozmaitych prezydiiw płaciło się różnie – więcej lub mniej, od kurczaka lub kopy jaj począwszy aż po sporą gotówkę – w zależności od wagi sprawy i szczebla urzędniczej drabiny. Metody wręczania łapówek wysokim osobistościom stanowią w Polsce Ludowej całą bogatą wiedzę i są niekiedy wprost imponujące w swej pomysłowości. Osta-

tecnie trudno się i dziwić – gdyby nie perspektywa łapówek, którzyż urzędas brałby odpowiedzialną posadę w prezydium za pensję, z której nie sposób wyżyć.

*

Wiozę mnie saniami do Zawadzisk. Sprawa podobno pilna bardzo, więc decyduję się jechać, mimo że jest już po godzinach urzędowania. Droga bajkowo piękna, zachodzące słońce oświetla białą czapę szczytową kolosalnego masywu Babiej Góry. Domy góralskie obok drogi i na stokach gór reprezentują czystą, regionalną architekturę, nie skażoną wpływami podmiejskich majstrów uważających się za propagatorów modernizmu, którzy szczęśliwie tu jeszcze nie dotarli. Profilowane rysie, ciekawe portale, rzeźbione pazdury na dachach wskazują na rękę starych mistrzów ciesiołki, których tradycje są już w zaniku. Natomiast zabudowa, jak zresztą na całym Podhalu, fatalna – każdy kawałek terenu bez względu na jego rzeźbę poznaczony domkami. Przypominam sobie imponującą dyscyplinę zabudowy wsi słowackich, gdzie żaden budynek nie wyrывa się poza wyznaczone granice osiedla.

– Jesteśmy na miejscu – w izbie miłe wrażenie sprawia widok rozpalonego pieca.

– Napijcie się, panie, herbaty?

Z rozkoszą myślę o szklance gorącego napoju, nagle – rany boskie – duszę się, oczy w ślup, wymachuję rękami... Och, to było ciężkie przeżycie, ale teraz już wiem, że gdy w Zawadziskach proponują herbatę, to znaczy, że w szklance jest wprawdzie trochę esencji herbacianej dla zabarwienia, lecz reszta to gorący spirytus. – Górale są wyraźnie zadowoleni i rozpoczynają poczęstunek. Niedawno było świniobicie, na stół wjeżdżają więc zwoje kiełbas i kiszek. Wędliny są znakomite, wykonane według recepty starego gady, który ponoć przed wojną zaopatrywał przed każdym rejssem kuchnię „M/S »Batorego«”, a dziś jako przedstawiciel tępionej „prywatnej inicjatywy” popisuje się swym kunsztem tylko na użytek rodziny. Pojawia się też wielki półmisek grubo cukrzonych faworków. Nie śmiem prosić o chleb, gospodarze mogliby się obrazić, chleb dobry na co dzień, przenigdy nie podadzą go „urzędowemu” gościowi. Jem więc kiskę z faworkami i popijam gorącym piwem, którego trzy kufle postawiono przede mną. Wreszcie omawiamy sprawę, która okazuje się nie tak znów paląca i saniami odwożę mnie na stację kolejową.



Konstytucja Polski Ludowej zapewnia obywatelom prawo składania skarg i zażaleń do wszystkich organów władzy. Realnie niewiele to pomaga, ale zawsze działa psychologicznie. Ludność wiejska skwapliwie korzysta z tego przywileju – więc i dzisiejsza poczta przynosi mi nową porcję skarg. „On jest Wielki Palacz Papierosów i Pijak Mocnych Trunków” – skarży się na sąsiada jakaś babina, operując mianami godnymi pióra Karola Maya. Mam również zażalenie przesłane mi przez KC partii, które posiada takie zakończenie: „[...] więc bardzo proszę kochanego towarzysza Wiesława (Gomułkę), żeby mi to załatwił, w przeciwnym razie odwołam się wyżej”. Zaś na porządku dziennym zdarzają się w podaniach zręczne pozdrowienia: „z proletariackim Bóg zapłać!” lub „cześć pracy socjalistycznej – z Bogiem”. – Nie mogę sobie odmówić przyjemności zacytowania jednego z podań: „Podaję do Rządu Planu ja Pokątek Aniela i Proszym Rządu Planu aby dom Poprawić Wstajni Ściany Pognite Spułnocy i ze Wsodhu i Podstajniom Mur kce Wywalić spułnocy bomi gnojówka podtchodzi do Piwnice i Dostodoły i kciałabym Piwnicke i Stajenke Skamienia i szbetonu i Prosze łaskawie Rządu Planu o przyzynyne mi Z uszanowaniem Rządu Planu Pokątek Aniela”.

Jedna ze „stron” z wyraźną dumą przedkłada do zatwierdzenia projekt domku. No cóż, widzę nieudolnie nabazgrane kwadraciki z trójkątami dachów, na dachu komin, w kominie dym, okna przecięte na krzyż – któż z nas nie rysował podobnie mając pięć lat. Na jednym kwadraciku jest napisane „to jest dom Michałka”, a na innym „a to Gawłów”, na krzywej linii „to droga do pola”, a na największym kwadraciku specjalnie wielkimi kulfonami „mój dom”. – Tłumaczę spokojnie, że amatorowi rysunek może się podobać jako dzieło sztuki, ale ja nie mogą go uznać za obowiązującą dokumentację techniczną i zezwolenia nie wydaję. Oburzony petent porywa swój „projekt” i, jak zwykle, pędzi na skargę do przewodniczącego prezydium. Ten wzywa mnie i choć nie ma pojęcia, o co chodzi, a projekty ledwo umie odczytywać, w obecności chłopca w ostrych słowach poleca natychmiast zezwolenie wydać. Teraz zadowolony kmiolek poniesie wieść, że towarzysz przewodniczący to dobrodziej, zaś ja utrudniam i hamuję rozwój budownictwa. O to tylko zresztą przewodniczącemu chodzi, wybory do rad narodowych się zbliżały, a że architektura wyje z rozpaczy, o to mniejsza.



Udało mi się pożyczyć motocykl wuefemkę, jadę do Toporowa, osiedla położonego niemal pod szczytem Jałowieckiej Góry. Dowiedziałem się, że Toporowo to skarbiec starych ludowych malowideł i drewnianych świątków. Jest słoneczny dzień, pachnie koniczyzna, góry powlekają się lekką mgiełką. Wchodzę do pierwszej z brzegu chałupy i przystaję w półmroku. W izbie okiennice przymknięte, piekielny zaduch, w kołysce leży blade niemowlę o wielkiej głowie. W kuchni młoda kobieta o zupełnie płaskich piersiach informuje mnie, że świątki drewniane owszem były, ale bardzo stare i brzydkie, więc wstydziła się ich i spalili, to samo zresztą uczynili i pozostali sąsiedzi. Ale nad łóżkiem dostrzegam wiszące w ciężkich ramach pomiędzy oleodrukami stare, ręcznie malowane obrazy. Złota farba na szatach świętych person błyska wyraźnie spoza brudnej szyby obrazu. Domyślam się, że to niedobitki, które czeka los drewnianych świątków. Istotnie, z rozmowy wynika, że obrazy mają być usunięte i zastąpione drukami. Proponuję więc, że kupię je, przyrzekając również przysłać rulon wizerunków św. Antonich i św. Józefów. (Nawiasem mówiąc można je dostać bardzo tanio, pomysłowi sprzedawcy przerabiają bowiem produkowane masowo portrety brodatego Engelsa na wizerunki świętych pańskich...).

Zgadniają się, pod warunkiem, że zostawię im ramy, na co z kolei ja godzę się bardzo chętnie. Czuję, że uważają mnie za półgłówka, który za bezwartościową starzyznę daje coś zupełnie nowego. Na zakończenie gospodyni częstuje mnie jajecznicą, która pływa w tłuszczu – nie jestem w stanie tego jeść, wychodzę z chałupy i z rozkoszą wciągam w płuca krystalicznie czyste powietrze. Horyzont zamyka ciemna, pękata sylweta Magury i Równicy, a dalej pasmo babiogórskie.



Mam jechać w jakiejś sprawie do oddalonej o kilka kilometrów wsi, „strona” z uśmiechem zaprasza mnie więc do czekającego samochodu. Wychodzę z budynku i dosłownie zatyka mnie. Oto przy chodniku stoi sześciometrowy, nowiusieńki, rudy chevrolet. Wsiadamy, chłop prowadzi, trzymając kierownicę jak lejce, na tylnym siedzeniu pełno słomy, w której grzebią wieszki na targ kury. Nie pytam, skąd wytrzasnął taki wóz.

Wieś wyjątkowo bogata, rzemiosło kwitnie, na oko widać, że domy budowane są bez liczenia się z kosztami. Niemal nad każdym dachem sterczy

antena telewizyjna. Wprowadza mnie do domu – sień wyłożona płytami białego marmuru, ale łazienki w całym budynku nie ma, pięć pokoi stoi prawie nie używanych, cała rodzina i tak mieszka w kuchni. Chevrolet garażuje w stodole, tylko wrota nie chcą się domknąć.

Przed kilkoma tygodniami miałem ciekawe spotkanie w Jakówce, wsi rozłożonej malowniczo na kilku wzgórzach. W przeciwieństwie do poprzedniej wieś to przeciętna, raczej uboga, dźwigająca się dopiero po spaleniu jej przez Niemców za ukrywanie licznych tu w czasie wojny polskich partyzantów, których pomnik stoi obecnie na najwyższym wzgórzu. Przeprowadzając kontrolę terenu, zetknąłem się w jednej z chat z emigrantem polskim, który po dwudziestu latach pobytu w Chicago przybył odwiedzić rodzinę w kraju. Mówił dziwną mieszaniną gwary góralskiej i amerykańskiego slangu.

– „Jo jest drajwer na ford-traku w buczerni” – opowiada mi o swojej pracy Frank Kociaszek. Jest odziany w białą koszulę non-iron z kolorową muszką, spodnie na wąziutkich szelkach, na głowie kapelusz z szeroką wstążką. Zapomniał już nieco, jak to bywało, kiedy pasał krowy w swojej rodzinnej wsi – narzeka, że nie ma napoi z lodówki, zamiast codziennego *shower* proponują mu kąpiel w balii na klepisku, wieczorne czytanie przy lampie naftowej męczy oczy. Rozmawiamy w izbie pachnącej baraniami kożuchami – na parapecie okna, z którego roztacza się widok na góry, a bliżej na kałużę gnojówki, spostrzegam duży flakon wody Yardleya.



Podniecony głos w słuchawce telefonu wzywa mnie do oddalonej o jakieś 40 kilometrów wsi Lipówka, gdzie podobno wywiązał się spór na tle budowlanym. Sprawa to typowa – chłop zaczyna coś tam budować, sąsiedzi natychmiast protestują dla zasady, by pokazać, że oni też mają coś do powiedzenia w tej sprawie, w której poprzednio nikt ich o zdanie nie pytał. Zaczynam więc denerwujące poszukiwanie środka lokomocji – jak zwykle informują mnie, że jedyną służbową warszawę zabrał sekretarz prezydium. Dzwonię po wszystkich instytucjach dysponujących samochodami, próbuję pożyczyć prywatny motocykl, wreszcie gdy wszystko zawodzi, dowiaduję się, że wóz straży pożarnej udaje się w kierunku Lipówki – dosiadam się i jedziemy.

Na miejscu spór rozwija się już w całej pełni – po obu stronach płotu stoją uzbójcy w siekiery i widły przedstawiciele poważniejszych rodów, w su-

mie jakieś trzydzieści osób, i na razie obrzucają się wyzwiskami. Sytuacja niewesoła, tak czy owak rozstrzygnę spór, zawsze istnieje duże prawdopodobieństwo „oberwania” od drugiej, niezadowolonej strony. Trzymając na wszelki wypadek rękę na klamce samochodu, staram się łagodzić, obiecuję urzędowe wstrzymanie i opieczętowanie budowy i po prostu rejteruję.

Na drugi dzień wyjaśniła się historia służbowej warszawy. Otóż sekretarz prezydium musiał godnie wystąpić na weselu innej powiatowej osoby, załadował więc bagażnik służbowego wozu wódkami, piwem, kiskami i kiełbasami – i pojechał. Towarzysz sekretarz to figura, z którą tu się liczą – wprawdzie nie udało mu się ukończyć nawet szkoły podstawowej, ale za to był oficerem plutonu egzekucyjnego w KB* i dopiero po „odwilży październikowej” przesunięto go na spokojniejsze, ale znaczne stanowisko sekretarza powiatowego prezydium. Poza trzymaniem się ściśle linii partyjnej, przeważnie nie bardzo orientuje się, o co chodzi, lubi jednak czasem wygłaszać do mnie przemówienia w rodzaju:

– „Wy towarzyszu inżynierze nie myślcie, że jesteście mądrzejsi od nas, bo wy z rodziny inteligenckiej – tu my jesteśmy władzą”. On do mnie, skromnego bezpartyjnego obywatela *per* towarzysz, ja do niego *per* pan sekretarz – tak to czasem śmiesznie bywa.

Towarzysz sekretarz bawił się dobrze, wracając tłukł z rozmachem puste butelki o maskę samochodu – służbowa warszawa ma zniszczony lakier i rozbity reflektor...

*

W sobotę po pracy wracam zatłoczonym pociągiem do miasta, w którym mieszkam. Wieczorem zabieram żonę na program awangardowego teatru do klubu studenckiego. Znakomite nowoczesne dekoracje, świetne teksty i gra aktorów, doskonałe opracowanie muzyczne – na chwilę zapominam o moich „towarzyszach” z prezydium.

Bogdan Adamski
[Adam Berestyński]

[1–2/1968]

* Chodzi prawdopodobnie o UB, to jest Urząd Bezpieczeństwa.

Koniec Małej Stabilizacji

Ogólne założenie mojej korespondencji jest mniej więcej takie.

Po dwudziestu paru latach rewolucji prawdziwej i udanej, faktycznej i nominalistycznej (bo tego nie można upraszczać) rząd w Polsce ustalił się ze wszystkimi swoimi cechami. Na razie nie ma mowy o zmianie na jakiejś drodze choćby *quasi*-parlamentarnej. W każdym razie aparat się umacnia. Zło tych rządów nie ma swego źródła w założeniach ustrojowych, a przynajmniej nie w najważniejszych założeniach ustrojowych, które teoretycznie niosą w sobie dużo dobrego, dają się dyskutować i rozwijać, gdyby starczyło rozumu i dobrej woli. Zło tkwi w ludziach, w zespole starych komunistów, na ogół niedokształconych, ale za to wypaczonych kursami agitatorskimi na Kremlu i późniejszymi więzieniami. Jest to najstarsza kadra, uzupełniły ją liczne i trudne do scharakteryzowania szeregi karierowiczów, jeżeli to pojęcie wymaga dodatkowego charakteryzowania. W tej strukturze jest gdzieś jakieś miejsce dla ludzi względnie młodych z wykształceniem i dobrą wolą, ale ci jeszcze nie dali o sobie znać, ani jako generacja, ani tym mniej jako zorganizowana frakcja. Dali znać o sobie tylko nieliczni intelektualiści marksistowscy, którzy albo siedzą w więzieniach, jak Kuroń i Modzelewski, albo zostali wyrugowani z partii i ze stanowisk uniwersyteckich, jak Kołakowski. To jest kapitał na przyszłość, z którego ceny nie zdajemy sobie sprawy. Ale jakieś pozytywne przeobrażanie stosunków zależy od zbyt wielu okoliczności zewnętrznych, których nie można przewidzieć.

*

Przesyłam to jako rodzaj dziennika czy fragmentu dziennika, w którym czytelnik nie będzie szukał definitywnych sądów. Co do jego autora, ten ma

nadzieję, że mu to przyniesie długo oczekiwaną ulgę moralną i rozumową. Powiedziałem sobie: człowieku, spuść wreszcie wodę!

Ponieważ nie będzie to podpisane własnym nazwiskiem, więc użyty tu zaimek „ja” jest tylko środkiem formalnym, nie przydaje tej korespondencji żadnej barwy osobistej, żadnej w ogóle wartości i nie może żyrować jej wiarygodności. Na to nie ma rady. Prócz tego tekst jest za długi, to jest inna wada, związana z warunkami łączności. Lepiej byłoby pisać krótko i przejrzysto – gdyby można było po prostu pójść co jakiś czas na pocztę i wrzucić kopertę do skrzynki.

*

Zdaje się, że do końca marca zakończyła się pierwsza faza zdarzeń sprowokowanych zdjęciem Dejmkowski *Dziadów*. Są tu w ramach partii, jak widać, jakieś komeraże i jak dotąd nieczytelne zagrania, ale ważna jest tylko jedna sprawa – antagonizm między partią a społeczeństwem. Ale nie wszystkie człony społeczeństwa są tak samo przeciwne praktykom rządu i niezupełnie tak samo zorientowane. Nie można sobie wyobrażać, że po tylu latach obcowania z partią (na zasadzie współpracy, przeciwieństwa czy poddania się naciskowi) naród zachował wciąż tę samą osobowość, co przed rokiem 1945. W lutym i marcu zupełnie inną rolę odegrała inteligencja, a inną robotnicy, choć podział nie jest taki czysty, jak sugeruje kampania ze strony aparatu.

Przed kilkoma dniami, 23 marca około godz. 11, przypatrywałem się zdzieraniu transparentów z frontonu UW na Krakowskim Przedmieściu. Ludzie obserwowali to dość spokojnie, wymieniając niegłośnie uwagi, przyklejali twarze do szyb trolejbusów i autobusów. Można było sądzić, że miejskie załogi porządkowe likwidują dekorację jakiejś wczorajszej uroczystości. Właściwie miasto zna ten gatunek dekoracji. Nie sięgając zbyt daleko wstecz, to w październiku 1956 roku, akurat w tych samych miejscach, oparte o te same mury uniwersyteckie stały deski wzywające do kwesty na rzecz pacyfikowanych Węgrów. Teraz też deski, płótno, tektura i te napisy przez parę tygodni wciąż na nowo reprodukowane. Zamaszyste i z pośpiechu niezdarne pismo, w którym wyraża się wesołość autentycznego czynu ulicy. Na rozpacz nie ma wtedy czasu. To kulfoniaste pismo bywa przecież w zupełnie innych okolicznościach po prostu fałszowane, na przykład w czasie pochodów majowych też widać takie deski z wyraźnymi imitacjami spontanicznego pisma, żeby zrobić atmosferę żywiołu ulicy, o czym od

dwudziestu lat nie może być mowy. Teraz to obcowanie z prawdziwymi odruchami rewolucyjnymi (choć jeszcze nie można tego nazwać pełną rewolucją) było niezwykle podniecające.

Slogany wyrażały całą gamę protestów i żądań dobrze utrzymanych w granicach zdrowego rozsądku, bez wypadków szczeniactwa. Wezwanie do robotników, żeby solidaryzowali się ze studentami i literatami, protesty przeciw akcji prasy. Jeden z napisów głosił: „Tylko MIŚ nie kłamie!” Lapidarna prawda: „Miś” to barwne pisemko dla maluchów. „Bez chleba nie ma wolności!” – ten głęboki filozoficznie aksjomat afiszowano wielokrotnie, na Uniwersytecie i na Politechnice. Widać tu wpływ konspiracyjnej myśli teoretycznej z ducha memoriału Kuronia i Modzelewskiego. Cała ta akcja sloganowa dowodziła mądrości, była jedną z najpiękniejszych kampanii demagogicznych, jakie się zdarzały. Aż trudno było w to uwierzyć: tyle lat ładowano ludziom do głowy całkowicie mechaniczne zaufanie do tak zwanej nieomyślności odruchów ludowych, że myśli się o tym z najwyższym krytycyzmem i zresztą słusznie.

Młodzież studencka odrabia dziś jeden z najcięższych fragmentów roboty, w każdym razie w ciągu krótkiego czasu wysunęła się na czoło narodu. Zawalił się mit streszczający się w słowach zapożyczonych zresztą z żargonu młodzieżowego: „chata, cizia i szkło”. Zresztą oni doskonale rozumieją moralną pozycję, którą niespodzianie zdobyli. Może zresztą była to niespodzianka tylko dla nas, tak zwanych wapniaków, którzy zbyt pochopnie uwierzyliśmy w rozmaitą mitologię o cynizmie powojennej młodzieży, co w tej chwili dementują studenci nie tylko w Polsce, ale – wszędzie na swój sposób – i w Madrycie, Paryżu, we Włoszech, w Tokio, nie mówiąc o Pradze i Bratysławie. Patrząc teraz w niesłychanie pewne siebie, bystre oczy tych młodych należy raczej sądzić, że cała ich sławna dotychczasowa poza była tylko barwą ochronną. A krył się pod nią wstyd. Wstyd z powodu swego okaleczonego wnętrza, za co ich pokolenia w żadnym razie nie mogły odpowiadać; prawdopodobnie wstyd za nas, za to pokolenie, które powinno za swoją epokę odpowiadać. Teraz to już zaczyna być ich epoka i może mamy prawo łączyć z tym faktem jakieś nadzieje.



Najlepszy dowód, jak oni czują swoją rolę, jest nadzwyczajny popyt na białe miękkie rogiatki UW, a pewnie coś podobnego dzieje się i w innych miastach, gdzie wchodzi w grę inne czapki. Dotąd rzadko kto te czapki no-

sił, gardzono nimi, bo taki był styl i różne pozy. Dziś podobno czapkarze robią na tym pieniądze, bo na ulicach pełno jest tych białych i najwidoczniej świeżo zakupionych czapek. Przez cały marzec to były dwa najbardziej rzucające się w oczy akcenty ulicy: czapki studenckie i zielone hełmy żandarmerii. Żandarmi spacerowali na ogół w kombinacji z milicjantami. W chwili gdy to wysyłam, jest ich bez porównania mniej, pacyfikacja mniej więcej się udała. Mówiono, że w najgroźniejszych dniach w kinach położonych blisko Uniwersytetu i Politechniki były wywieszki, że miejsca są wyprzedane, ale naprawdę w środku siedzieli milicjanci. Zresztą wciąż się widziało stojące w różnych kątach śródmieścia autobusy i autokary, normalnie używane do przewożenia wycieczek, załadowane siedzącymi w pogotowiu milicjantami. Te dwa czy półtora miesiąca musiały dużo kosztować. Same strajki okupacyjne na Politechnice musiały pochłonąć wielkie sumy pieniędzy – nie pierwszy raz marnotrawionych przez rząd. Istniała przez pewien czas teza, lansowana zdaje się także przez Radio Wolna Europa, że manifestacje przeciw zdjęciu przedstawienia *Dziadów* zostały umyślnie przez jakieś koła w rządzie sprowokowane, żeby stworzyć odpowiednie tło do rozgrywek wewnętrznych. Rozgrywki są, to nie ulega wątpliwości, jest konsekwentna akcja antysemicka, wyrzucono i osmarowano kilku byłych dygnitarzy. Ale w stosunku do młodzieży, do inteligencji, do społeczeństwa byłaby to prowokacja całkowicie nieopłacalna. Od przeszło miesiąca aparat ma pełne ręce roboty, gdy powinien być gotów do obrony w związku ze zmianami w Czechosłowacji. To, co działo się u nas, w jakiś sposób merytorycznie łączy się z wypadkami czechosłowackimi, ale rząd powinien był uczynić wszystko, co w jego mocy, żeby takiemu zbiegowi zdarzeń zapobiec.

O zebraniu nadzwyczajnym literatów 29 lutego nie było potem w prasie żadnej relacji, naturalnie wbrew temu, czego właśnie żądali literaci. Owszem, była nazajutrz kilkuwierszowa wzmianka, z której wynikało, że przedstawiciel Ministerstwa Kultury i Sztuki, dyrektor S. Balicki zapoznał zebranych z powodami zdjęcia *Dziadów*. Chodziło o wywołanie wrażenia, że to wystąpienie Balickiego było całkowicie zadowolające. Dopiero potem, gdy trzeba było zmontować wielką kampanię prasową, nie można było uniknąć aluzji do zebrania 29 lutego. Nikt się naturalnie nie przejmował tym, że brak tu jakiegokolwiek logiki, dosłownie nikt: ani ci, co dyrygowali kampanią, ani społeczeństwo, do którego to było adresowane. To jest kwestia długotrwałego przyzwyczajenia do różnych form i faz kłamstwa. Jego widoczność nie jest w tej technice uważana za przeszkodę.

Byłoby nieźle to choć z grubsza wyjaśnić, jeżeli to się w ogóle da wyjaśnić. Sprawa sięga gruntownie w tradycje techniki agitacyjnej bolszewików, którzy już od samego początku uczynili wygodne dla siebie założenie, że liczy się nie prawda o przedmiocie, tylko pozycje, z jakich o nim się mówi. W praktyce stalinowskiej uległo to dalszej korupcji, zostało też przejęte do techniki aparatu rządzącego we wszystkich krajach obozu. Ostatnio mieliśmy pokaz tego w całym niewiarygodnym wachlarzu. Kłamstwo gra tu niemal rolę przestrzeni, w której wszystko się porusza. Jest czwartym wymiarem tej oryginalnej szkoły politycznej, która rzeczywiście potrafiła w końcu stworzyć swój własny świat. Dlatego nie warto o tym mówić w kategoriach etycznych, to jest raczej część używanej tu dialektyki.

Ale znam przecież wielu spośród tych ludzi, jeżeli nie na samej górze, to gdzieś w „ścianie nośnej” budowli. Tym ludziom, znacznie bliższym ziemi, nie można przypisać jakiegś całkiem odrębnej psychologii, bo wtedy całe zagadnienie uległoby uduchowieniu, mitologizacji, z czego już rozum nie potrafiłby się wygrzebać. Więc wciąż pasjonuje mnie pytanie, w jakim stopniu jest to kwestia rutyny umysłowej, w jakim stopniu autosugestia pod wpływem różnych interesownych kalkulacji, których nigdy w tego rodzaju karierach nie brak? W jakim stopniu dobra wiara i wreszcie fanatyzm, który w procesie myślowym nie waha się iść „po trupach”.

Są tam ludzie osobiście uczciwi i ludzie inteligentni. Oni też kłamią albo podpisują się pod kłamstwem. Widocznie ciągle w nich się odbywa jakiś automatyczny i piekielnie trudny do określenia proces samoobrony moralnej, sprzężonej z odwrotnym działaniem krytycyzmu. Były na ten temat dwie książki Miłosza, ale od tego czasu minęło kilkanaście lat i pilnie są potrzebne nowe tego rodzaju książki. To trzeba wciąż naświetlać i nagrzewać, coś tak, jak obumierający organizm. Po pewnym czasie w nas samych zaczyna się wapnienie czułek, które mają zdolność normalnego reagowania na kłamstwo. Wzajemny kontakt aparatu i społeczeństwa nie obywa się bez obustronnych zmian wewnętrznych, zdaje się, że była już o tym mowa. W Polsce wciąż jeszcze nie bardzo widać zmiany, jakie na tej zasadzie zaszły w ludziach aparatu, choć nie wątpię, że one są. Ale na każdym kroku obserwuje się zmiany w nas samych i dlatego trzeba zazdrośnie pilnować normalności swoich reakcji. Patologia obcowania narodu z reżymem jest właściwie nieobliczalna w skutkach. Miłosz już nie może napisać książki na ten temat ani Mieroszewski, bo tego nie pisze się na odległość. Ale w Polsce jest przynajmniej kilku ludzi, którzy mogliby ją napisać. Przede wszystkim Kołakowski, gdyby się tym zainteresował.



Stosunkowo łatwo akceptuje się różne formy względności, między innymi względną i nawet widocznie ograniczoną prawdziwość informacji. Jeszcze do niedawna ludzie z dozą zaciekawienia i przyjemności sięgali po tutejszą gazetę. Czytało się ją do porannej kawy, z rozluźnionymi mięśniami, w nastroju szlafrokowym, czyli w całej tej atmosferze akceptacji, z jaką czytali swego kurierka trochę już legendarni galicyjscy radcowie. Bo bez gazety, byle było w niej dużo nadrukowane, nie można się na co dzień obejść. To między innymi wchodziło w zakres pojęcia tak zwanej Małej Stabilizacji, które przed paru laty wziął na warsztat satyryczny teatrzyk studencki na Świerczewskiego. Jednak dla większości nawet nie brzmiało to jak satyra, raczej oznaczało taką szlafrokową ulgę: niechby minimalna, byleby stabilizacja. Ludzie w Polsce są niewiarygodnie zmęczeni (i dlatego już czas, żeby zastąpili ich młodzi). Z drugiej strony przez tyle lat przyzwyczajano nas do życia minimum. Do całkowicie absurdałnego założenia, że mimo ogólnego boomu w większej części świata zachodniego i właśnie na tle tego dotąd nie spotykanego boomu – w Polsce z jakichś pryncypialnych (bo przecież nie ekonomicznych) przyczyn musi trwać i nie ruszać się z miejsca to życie minimum. Na horyzoncie pralka i telewizor. Już nie samochód, bo to poza rejonami Małej Stabilizacji. Kaszanka sprzedawana w sklepach delikatesowych. I „Express Wieczorny”, który rytmicznie co jakiś czas donosi, że „cały naród w czynie przedzjazdowym” i tak dalej. Ale jest tam także jakiś kryminał w odcinkach i głosowanie na najlepszego aktora w TV. To są dla przykładu sieci Małej Stabilizacji, jednej z największych afer w dziedzinie rządzenia państwem i społeczeństwem.

Gdzieś w początkach marca tłumy ludzi oglądały na stadionie w Chorzowie i w telewizji mecz futbolowy o Puchar Europy między Górnikiem-Zabrze a Manchester United. Spiker telewizyjny wrzeszczał w stanie niemożliwej do opisanie ekscytacji: „To jest, proszę państwa, d r a m a t, któremu przygląda się cała Polska!” W tym samym czasie naoliwieni alkoholem oromowcy rozbijali wiece studenckie na terenie Uniwersytetu, w tym samym czasie kolegia orzekające nakładały na zatrzymanych studentów kary za chuligaństwo w wysokości kilku i kilkunastu tysięcy złotych i równocześnie odbywała się niezwykle sprawna zbiórka na pokrycie tych grzywien; w tym samym czasie kilkadziesiąt gazet (nie jest ich w ogóle dużo) donosiło identycznymi słowami o spontanicznym proteście całego społeczeństwa

wobec działalności bankrutów politycznych, agentów imperializmu i syjonistów; w tym samym czasie sprawcy, których nie udało się zatrzymać, wyłamali palce i żebra Stefanowi Kisielewskiemu, a szef partii i państwa insynuował publicznie, że jeden z literatów, niedawno odznaczony orderem i niewątpliwie najpopularniejszy w tej chwili autor książek, był bandytą, mordował chłopów białoruskich i został wypuszczony przez bezpiekę za cenę wiadomych zobowiązań.*

Gdzie był rzeczywisty dramat? Tego nie potrzeba dowodzić. Ale faktem jest, i to wstrząsająco ciekawym, że dla wielu ludzi mecz w Chorzowie był rzeczywistym dramatycznym przeżyciem, tak że na inne przeżycia nie stało nerwów. Mecz zmieścił się w skali Małej Stabilizacji.

Dziś już nie jesteśmy w stanie wrócić do ludowego kurierka i do innych konwencji Małej Stabilizacji. Nie mówię tego o wszystkich; o pewnej części społeczeństwa, przede wszystkim inteligencji. Dla tej części narodu Mała Stabilizacja wreszcie strzeliła jak opona, powiem trywialnie: pękła jak nadużyty kondon! To jest pierwszy widoczny skutek obecnej prawie rewolucji intelektualistów i studentów, na razie spacyfikowanej.

*

Słowa pacyfikacja użyto w jednym z przemówień na nadzwyczajnym zebraniu literatów, nie pamiętam już, w którym przemówieniu. Dopiero w następnych dniach i tygodniach w całej rozciągłości potwierdziła się jego słuszność. Zebranie odbyło się w sali konferencyjnej ZAiKS-u, w tak zwanym Domu pod Królami, który ZAiKS sobie wybudował przed kilku laty na ulicy Hipotecznej. Przewidywano z góry, że mała salka domu ZLP na Krakowskim nie mogłaby pomieścić zebranych. Było ich około czterystu, o ile można było na oko ocenić. W jakieś 10 dni potem ukazało się w prasie oświadczenie, że ZAiKS nie może sobie darować faktu wypożyczenia swojego lokalu literatom podpuszczonym przez syjonistów. To oświadczenie na pewno wysłała komórka partyjna władz ZAiKS-u, zresztą w wielu wypadkach w imieniu gremium różnych instytucji zabierały głos komórki partyjne i nie wszyscy czytelnicy umieli to w czas rozróżnić. Był nawet jeden precedensowy fakt: w Gdańsku kilka szuj z zarządu tamtejszego oddziału ZLP pospieszyło się z ogłoszeniem tego rodzaju oświadczenia, ale niedługo potem gazety zamieściły sprostowanie, że nie chodzi o opinię całego oddziału.

* Mowa tu o Pawle Jasienicy.

Tego wieczoru i w nocy z 29 lutego na 1 marca przemawiało około 30 osób, potem za zgodą sali zapisy do głosu zamknęto. Było mniej więcej wiadome, co kto może powiedzieć i po kilku godzinach garnitur interesujących mówców został wyczerpany; naturalnie nigdy już nie będzie wiadome, co by mieli do powiedzenia ci, którzy zdecydowali się milczeć, klaskać i głosować. Atmosfera w sali była jednoznaczna, to już było samo w sobie satysfakcją – brać udział w tym po raz pierwszy do tego stopnia swobodnie sejmującym zebraniu. Gwarancją skuteczności zebrania było przeprowadzenie zaraz na początku zasady tajnego głosowania. Zrobiono to szybko, z inicjatywy Jasienicy, przez podniesienie rąk. Czuło się, że ci, którzy kilka dni przedtem zebrali w ustawowej liczbie podpisy pod wnioskiem o zwołanie zebrania, będą „trzymać rękę na pulsie”. Zebrani od razu poczuli się silni, rodzaj samopoczucia bardzo rzadki na publicznych naradach. Zresztą po zachowaniu się paru członków, przede wszystkim Putramenta, można było z miejsca się zorientować, co w istocie znaczy przegłosowanie zasady o tajnym składaniu wotów.

Od razu zaczął krzyczeć, to zwyczaj Putramenta, stojąc gdzieś z tyłu, od strony drzwi. Drugi człowiek, który zwykle na zebraniach literatów daje znać o sobie okrzykami, to Pasternak. Ale Pasternak tylko awanturuje się, Putrament przeprowadza swoją politykę. Przesuwał się wśród krzeseł i pod ścianami z twarzą dość napiętą, ale nie bez wyrazu powstrzymanej ironii, można było myśleć, że chodzi wśród stolików z szachami. W tym wypadku ironia musiała mieć charakter obronny, bo musiał z góry przewidywać, że większość partii na stolikach przegra. To zresztą jeden z najciekawszych ludzi reżymu, skojarzenie człowieka aparatu z literatem i to zdolnym literatem, choć piszącym za dużo i niechlujnie. Takie połączenie było dość częste w stosunkach radzieckich. W Polsce od dziesięciu lat jest to już bodaj ostatni przykład tego rodzaju. Putrament zadbał o wyrobienie sobie pewnej popularności jako fanatyk wędkarstwa, odkrywca Mazur prawie w tym stopniu, co odkrywca Zakopanego był Witkiewicz – i jako weredyk. Pisuje rzeczywiście bardzo twarde felietony o jakimś zapaskudzaniu Kazimierza i o stanie szos w stronę Mikołajek. Najdziwniejsze, że zbiera oklaski. To też zjawisko całkowicie w skali Małej Stabilizacji.

Najpierw było długie i podobne do filologicznego wypracowania oświadczenie Ministerstwa Kultury i Sztuki, które odczytał z kartek tłusty olbrzym Balicki. To wystąpienie też trzeba zaliczyć do interesujących, choć w innym sensie. Charakterystyczne, że nie zjawił się na zebraniu nikt z góry partyjnej, ani Kraško, ani Starewicz, ani Kliszko, który w sprawie z *Dziada-*

mi miał, zdaje się, osobisty udział. Zorientowano się zawczu, że to będzie poważna rozprawa, na której nie ma co ryzykować z kartką z instrukcjami. W takich wypadkach aparat rezerwuje sobie czas, musi mieć trochę czasu na wysmażenie odpowiedniej publicystyki, która zresztą – i to najbardziej dziwi – nawet po takim przygotowaniu nigdy nie odbiega od schematycznego żargonu. Wydaje się, że to jest jak magiczne zaklęcie trzymające cały system przy życiu, że od tych prefabrykowanych pustaków partia mogłaby odstąpić tylko za cenę życia. Prawdopodobieństwa przyjazdu samego Gomułki nigdy nie brano pod uwagę. Panuje przekonanie, że ten nie umie i nie lubi rozmawiać z intelektualistami. Co prawda, pojęcie rozmowy zostało w ogóle wykluczone ze sposobów kontaktowania się partii ze społeczeństwem. Z całego tego jakże żywego pojęcia – które jest jednym z podstaw kultury łacińskiej i w ogóle zachodniej – w hermetycznym świecie aparatu została tylko nazwa. Tak jak po wielu innych pojęciach i środkach porozumienia. Można by metaforycznie rzec, że partia urzęduje na jakimś kolosalnym składzie łusek po nabojach – ale metafora ta jest niefortunna, bo skądinąd wiadomo, że tu się od dawna strzela i od dawna pada tu gęsty trup.



Balicki przez długi czas wyjaśniał, że w świecie teatru są możliwe bardzo różne interpretacje tekstu autorskiego i ta interpretacja, której zakazano, była niestosowna. Potem pytano Balickiego w różnych słowach, w stosunku do czego taka interpretacja była zła, kto jest tym autorytetem decydującym o niestosowności i kto ma monopol na kryteria. Naturalnie Balicki ani myślał na to odpowiadać, nie miał do tego żadnych instrumentów myślowych. Wstał jednak pod koniec przemówień, żeby odpowiedzieć Słonimskiemu. To był zabawny incydent. Słonimski nie czekał swojej kolejki głosu i wszedł na mównicę zaraz po Balickim, przygarbiony chytry człowiek o zwiędłej szyi minął się ze zwalistym i zażenowanym Balickim i wszyscy od razu wiedzieli, że będzie tak zwany szpas. Wesołość na tego rodzaju najpoważniejszych w świecie zebraniach wcale nie jest intruzem. Jest ona może bardziej potrzebna niż kiedykolwiek, produkuje ją napięcie nerwów. Balicki powiedział między innymi dwie rzeczy: zgodnie ze swoją linią wyводу zauważył, że w wypadku zdjęcia *Dziadów* nie wiadomo właściwie, kto jest pokrzywdzony, czy Mickiewicz, czy Dejmek i Stopka; powołał się także na przedwojenną recenzję Słonimskiego, w której ten pisał, że poezja Mickiewicza jest w istocie niewygodnym dziedzictwem dla rządów. Już wtedy na sali wy-

buchł śmiech i każdy zadawał sobie pytanie, po co ten Balicki tak się „podkłada”? Ale prawdziwy śmiech wybuchł dopiero wtedy, gdy natychmiast potem ukazał się Słonimski i oświadczył, że chce tylko podać drobne uzupełnienie do przytoczonego przez dyrektora Balickiego tekstu: „Napisałem wtedy, że dziedzictwo Mickiewicza jest niewygodne dla rządów totalitarnych” – i schodząc z mównicy dodał: „naturalnie miałem na myśli sanację”.

Pod koniec przemówień Balicki powiedział: „Pan Słonimski dał słowo, że na tym zebraniu nie będzie stosował dowcipów. Ale nie mogę za nic innego uznać jego rzekomego uzupełnienia do przytoczonego przeze mnie cytatu. Każdy może sprawdzić, że w artykule Słonimskiego w »Wiadomościach Literackich« z dnia takiego a takiego, z 1935 roku, odpowiednie zdanie kończyło się właśnie tak, jak je zacytowałem”. Kawał Słonimskiego nie udał się, ale nie był to już moment, żeby ktokolwiek był lojalnie to w stanie ocenić; do tego czasu podniecony i zmęczony tłum wysłuchał zbyt wielu śmiałych i wyzywających, rozpaczliwych przemówień. Obok nich wiele przemówień, które należy zapamiętać z innych powodów. Zamierzam tu scharakteryzować najważniejsze przemówienia i może zacznę od wystąpień tej innej kategorii, dla której nietrudno znaleźć nazwę.



Było to już pod koniec. Wyszedł na mównicę Ignacy Krasicki, nosiciel niezwyklego nazwiska, poza tym typowy dorobkiewicz dziennikarski, który z ramienia PAP długo siedział w Rzymie. Tonem dość lekceważącym oświadczył, że miał okazję w czasie jednego z ostatnich przedstawień *Dziadów* przyjrzeć się grupce młodzieży przed teatrem, która nie mogła zdecydować się, czy zacząć awanturę, czy nie. Dodał, że kazano mu teraz głosować nad jedną z dwóch zaproponowanych rezolucji, których on nie redagował i z których żadna mu nie odpowiada. Było to właściwie sprytnie postawienie sprawy, bo istotnie sprawę podanych na początku dwóch tekstów rezolucji (Dobrowolski i Kijowski) można było uważać za dość anonimową i zaskakującą. W rzeczywistości wszyscy się orientowali, że rezolucja, którą odczytał Dobrowolski, była, jak się później wyraził Putrament, „wysmażona” na zebraniu komórki partyjnej ZLP i to w celu riposty na rezolucję, którą przygotowali inicjatorzy nadzwyczajnego zebrania, przede wszystkim Jasienica, Słonimski, Kisielewski, Kijowski i inni. W połowie marca odbył się w Warszawie Krajowy Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Dziennikarzy, który zamienił się w dobrze zorkiestrowany wiec przeciwko manifestującej młodzie-

ży i zebraniu literatów. Środowisko dziennikarskie jest skorumpowane i o tym było z góry wiadomo, więc nie wahali się tam przybyć liderzy aparatu, było moc fotografowania, uścisków, apelu i potem odpowiedniego relacjonowania w prasie. Była to swego rodzaju zemsta aparatu za sejm literatów, bo też w strefie pióra. Jest w istocie między obiema naradami jakaś żalosna symetria i jakieś podobieństwo *à rebours*. Na tym zjeździe dziennikarskim otworzyło dopiero serca kilku ludzi, którzy milczeli parę tygodni przedtem w sali ZAiKS-u, na przykład wspomniany Krasicki, który tym razem nie bawił się w owijanie w bawełnę. Świadczy to wymownie o atmosferze panującej na zebraniu literatów, gdzie oczywiście działało określone ciśnienie moralne, które przeciwnikom kazało albo siedzieć cicho, albo szukać wybiegu.

Poza paroma wyjątkami. Wyszedłem wtedy na papierosa; była zdaje się tylko jedna przerwa, w czasie której ludzie starali się dobić w niezmierzonej kolejce do bufetu z kawą, poza tym wychodziło się na papierosa z własnej inicjatywy, kiedy można było przypuszczać, że nic rewelacyjnego nie nastąpi. Sala była zapchana, gdy przyszedłem parę minut po 16, już nie było ani jednego krzesła i mnóstwo osób uganiało się po wszystkich piętrach doskonale zresztą znanego sobie ZAiKS-u, żeby gdzieś z jakiejś ubikacji wydobyć coś podobnego do krzesła. Gdy się wychodziło na korytarz, prosiło się sąsiada o dopilnowanie, że miejsce nie zostanie zajęte. Otóż torując sobie z trudem drogę z powrotem na swoje miejsce pod oknem, zobaczyłem, że na trybunie stoi mały, młody i widocznie nerwowy osobnik, którego nazwiska nigdy przedtem nie mogłem zapamiętać, bo to jest facet pisujący jakieś teksty piosenek do radia czy coś w tym rodzaju. Ale koleżanka, z którą wżajemnie pilnowaliśmy sobie na zmianę miejsca, poinformowała: – To Gaworski. Otóż to nazwisko trzeba ocalić, jak pisał Gałczyński, od zapomnienia. Już przedtem, gdy na czarnej tablicy stojącej za mównicą i stołem prezydialnym spisywano kolejno nazwiska tych, którzy prosili o głos, Gaworski podniósł rękę, wstał i powiedział, że ponieważ za nim na liście jest Leszek Kołakowski, więc on swoje miejsce ustępuje Kołakowskiemu. Byliśmy dość zdziwieni tą kurtuazją, bo nie takie rzeczy były wtedy w głowie, ale ostatecznie wszyscy byli gotowi uznać to za miły gest. Przewodnicząca Żółkiewska zapytała głośno, czy Kołakowski zgadza się na propozycję, i wtedy, dobrze pamiętam, siedzący niedaleko mnie Kołakowski odezwał się głosem pogardliwym, przeciągając sylaby, tak że wszyscy się zaśmieli: – Dobrze, dobrze! Kołakowski wiedział z góry, czym pachnie od małego tekściarza Gaworskiego i zaraz potem elegancja tego ostatniego nabrała innego wyrazu.

Gaworski przez przeszło kwadrans bił się w piersi, jękał się i jak najgorzej artykułując swoje długie okresy, zapewniał zebranych, że choć go tutaj namawiają do wystąpień przeciw władzy ludowej, to on tej władzy nie będzie bił (dosłownie), bo najpierw trzeba wiedzieć, kto do tego namawia, w jakim interesie i tak dalej, a on swojej władzy ludowej tyle zawdzięcza i nie ma mowy, żeby go skaperować. Słuchano tego z całą cierpliwością. Trzeba przyznać, że nikt się tutaj takiego wystąpienia, na tym poziomie, nie spodziewał. Pod koniec, przy głosowaniu, ktoś zbliżył się do mnie i powiedział: – No, trzeba przyznać, że niektórzy okazali niezwykłą odwagę. – Tak – odrzekłem – taki Kisiel, no i Grzędziński... – Ależ skąd – odparł mój rozmówca – mam na myśli tego kundelka, Gaworskiego. Żeby w tym kontekście innych przemówień, przy tej powadze i doniosłości większości wystąpień zdobyć się na ten szwargot o władzy ludowej, to trzeba mieć pewien rodzaj odwagi. – Potem zaproponowano Gaworskiemu, żeby powtórzył to na piśmie i orędzie ukazało się w „Życiu Warszawy”, zresztą w znacznie poprawniejszej formie.

Najciekawszymi przemówieniami były, z różnych względów, oświadczenia Jasienicy, Kisielewskiego, Jastruna, Andrzejewskiego, Kołakowskiego, Międzyrzeckiego, Zagórskiego – i wreszcie, ze względów całkiem odwrotnych, Putramenta i Bratnego. Jasienica, wyłysiały człowiek w okularach, o twarzy okrągłej, z niezdrowymi rumieńcami – aparycja typowego belfra – występował dwa razy: raz, gdy zaapelował o tajne głosowanie, i potem na początku ustalonej kolejki przemawiających. Nie jest mówcą; najciekawszym punktem jego wystąpienia było odczytanie paskudnego antysemitckiego wierszyka, który krążył – nie jeden taki – po Warszawie. Jasienica wskazał na fakt montowania antysemityzmu, co dla większości obecnych było jeszcze wtedy, 29 lutego, zupełną nowiną. Z sali odezwało się kilka głosów: – Hańba, hańba! – Tak jest, to hańba! – powtórzył znacząco Jasienica. Przypuszczam, że wielu słuchaczy było zdeorientowanych: kto, kogo i tak dalej? Ale zaraz się wyjaśniło: z tyłu odezwał się po swojemu, wielkim głosem, ale wyraźnie zirytowany Putrament: – „Niech kolega Jasienica nie pozwala sobie na żadne tego rodzaju insynuacje (kolega Jasienica ograniczył się tylko do odczytania wierszyka i stwierdzenia faktu wzbierającego antysemityzmu), my dobrze wiemy o antysemityzmie i partia już zaczęła z tym walczyć”. Wtedy wszyscy od razu zorientowali się, kogo miał na myśli Jasienica mówiąc „hańba”. Jasienica odpowiedział Putramentowi: – „Najwyższy czas, żeby partia do tego się zabrała”. Swoją drogą interwencja Putramenta była tym razem tylko śmieszna i skazana na śmieszność. Wiadomo było, co

działo się latem 1967 roku, kiedy przeprowadzano wśród partyjnych Żydów weryfikacje o charakterze typowych czystek, kiedy spotykało się na ulicy ludzi ze łzami w oczach, najgłębiej dotkniętych w swojej godności. (Spotkałem takich głęboko dotkniętych, a mimo to wiernych, wiernych do końca metodom, żargonowi, w którym kazano im pisać, schematowi deklaracji, i to było zadziwiające!) Wtedy to przecież wyjechał do Izraela człowiek cichy, uczciwy, pochłonięty tylko jedną sprawą – wspomnieniami eksterminacji Żydów w czasie wojny: Stanisław Wygodzki, na którego skierowano obecnie, tytułem przykładu na zdradę typu syjonistycznego, część ataków prasowych. Gotów jestem myśleć, że Putrament polemizując wtedy z Jasieńnicą, osobiście wierzył w szczerość antysemickich deklaracji aparatu. W Putramencie zostało dużo z komunisty w pierwotnym, teoretycznym znaczeniu tego słowa. Jeżeli moja interpretacja nie jest kompletnym pudłem, to nie chciałbym być w skórze tego człowieka, gdy w jakiś tydzień potem okazało się z całą oczywistością, że partia świadomie, z rozważą i tupetem jedną ręką nacisnęła klawisz antysemityzmu, a drugą, jednocześnie, uruchomiła wszystkie maszyny z frazesami o walce z przejawami rasizmu i tak dalej. Ale to tak się tylko mówi: nie chciałbym być w skórze Putramenta; Putrament ściśle związał swoją karierę z kadencją obecnego aparatu, to raz. Po drugie, w każdym z nich natychmiast działa, jak już pisałem, automatyczny system samoobrony moralnej, który natychmiast kasuje niewygodną różnicę między nominalizmem a faktami. Jak to się dzieje – nie wiadomo, ale wiemy, że to się dzieje i skutecznie.

Postawienie na starą kartę antysemityzmu w tym narodzie nie jest taktycznym niewypałem, odwrotnie. To jest jedyna w ciągu tych wydarzeń udana próba – częściowo udana – zhańbienia tego narodu. Pod tym względem aparat może sobie powinszować umiarkowanego sukcesu. Minęły już, być może, czasy pogromów, ale puszczone wśród prostaków jady zaczął dość szybko i widocznie działać. W ciągu lutego i marca wiele rozmów politycznych można było przeprowadzać na ulicy, w poczekalniach itd., na pewniaka, z całkiem nieznanymi osobami. Porozumiewano się przy pomocy nieznaczących aluzji, wybuchano rozgoryczonym śmiechem, wzruszano ramionami. To osobny rys całego tego cyklu wydarzeń. Ale zdarzało się stosunkowo często, że porozumienie przestawało nagle grać, gdy padło słowo Żydzi.

Jedną z milszych instytucji powojennych jest dzielnicowa biblioteka i wypożyczalnia. Takich bibliotek jest stosunkowo dużo, dobrze wyposażonych, przestronnych. Panuje tam wśród personelu nieco inna atmosfera – nie ma tej tłumionej (w lepszych wypadkach) zgryźliwości i zniechęcenia, które tak

fatalnie odbijają się we wszystkich resortach służb publicznych, w sklepach czy w urzędach, a które są spowodowane ogólnym poczuciem beznadziejności ekonomicznej i nie tylko ekonomicznej: temu jednak Mała Stabilizacja nie zaradziła. W bibliotekach urzędnicy są ludźmi – widać otoczenie książek działa kojąco, w co zresztą zawsze wierzyłem. W jednej z takich dzielnicowych bibliotek, gdzie czuję się dość zadomowiony, spotkałem się z bardzo przykrym faktem. Wydająca książki pani, osoba powściągliwa, kulturalna, kiedyś bardzo przystojna dziewczyna, zapytała mnie szeptem, co sądzę o którymś z ostatnich seryjnych przemówień. Zdziwiłem się, że tutaj ktoś mówi szeptem. – Bo widzi pan – powiedziała, raczej poruszając ustami niż wymawiając słowa – ja jestem Żydówką. Już tu na mnie patrzą w specjalny sposób.

Nie mogłem ochłonąć ze zdumienia. Tu? Znałem na ogół cały personel. Kierowniczką była bardzo taktowna pani o mądrej twarzy, z którą lubiłem poplotkować o książkach. Jej właśnie najbardziej bała się bibliotekarka Żydówka. To fakt, którego żaden dodatkowy opis nie zmieni. Obala on sąd, że antysemityzm dotarł tylko do ludzi na pewnym poziomie. W każdym razie trzeba ten sąd skorygować: antysemityzm dotarł, i zadziałał, przede wszystkim do ludzi bez wykształcenia, ale nie tylko. Jakbym słyszał starego oportunistę a świetnego poetę Gałczyńskiego, jak deklamuje zza grobu: – Chcieliście Polski, no to ją macie. Skumbria w tomacie, skumbria w tomacie, pstrąg!



Przemówienie Kisielewskiego zostało potem dostatecznie rozreklamowane przez Gomułkę i w ogóle prasę. Rzeczywiście odmienił w ciągu swojego, szybkiego i nerwowego, dyskursu aż kilkanaście razy epitet „ciemniaki”. Tego jednak w gmachu na rogu Nowego Świata i Alej nie potrafili znieść. Kisielu pobito, krąży uporczywa wiadomość, że ma połamane palce i że leży w szpitalu. Nie ręczyłbym, że wszystko tu jest prawdziwe, ale i odwrotnie: to bardzo prawdopodobne. Innego rodzaju faktem jest to, że nie poszedłem i nie pójść odwiedzić Kisielewskiego w szpitalu, bo się boję. Znowu skumbria w tomacie.

Bardzo pięknie mówił Jacek Bocheński. To pisarz średniej dziś generacji, który nie tak dawno, z samego wnętrza środowiska „pryszczatych” piszących głównie (a często w dobrej wierze) o traktorach i tym podobnie – po cichu wyrósł na jedną z ładniejszych postaci literackich Polski, widać u nie-

go nie tylko talent, ale i uczciwość, i tę ostrożność etyczną, z którą dziś trzeba chodzić po redakcjach, po wydawnictwach i w ogóle po całym kraju. Bocheński mówił z przerwami, niezdarnie, zatrzymując się, i w końcu nawet wyciągał portfel, żeby zajrzeć do jakiejś notatki – a mimo to panowała cały czas napięta cisza, rytmicznie kwitująca każde jego słowo. To Bocheński odpowiedział na kwestię Balickiego, że „nie wiadomo kogo tym zakazem grania skrzywdzono, Mickiewicza czy Dejmka”. Autor *Boskiego Juliusza* zwrócił Balickiemu uwagę: „Tu nie Dejmek został pokrzywdzony i nawet nie Mickiewicz, tu został pokrzywdzony ktoś trzeci – naród”. Prostota tego spostrzeżenia była tak duża, że wydawało się nam wszystkim, że Jacek każdemu z nas wyjął to z ust.

Do przemówień podobnego typu, to znaczy takich, gdzie dominowała nie tyle polemika z aparatem, co analiza moralna bezsensownej hecy ze zdjęciem *Dziadów* – należały wystąpienia Andrzejewskiego, Międzyrzeckiego, który siedział za stołem prezydialnym i był wyraźnie wzruszony, oraz Jastruna. Kijowski wystąpił na początku, żeby w krótkim i dobitnym tonie odczytać rezolucję przegłosowaną ostatecznie olbrzymią większością głosów zaraz po północy, już 1 marca 1968 roku. Zaraz po Kijowskim wystąpił Zagórski, zapowiedział, że powie tylko parę zdań i, wbrew zwyczajowi mówców składających tego rodzaju obietnice, wypowiedział rzeczywiście tylko kilka zdań, które sprowadzały się do dwóch szczegółowych propozycji zaostrożenia tonu rezolucji Kijowskiego. Osobne miejsce w tym sprawozdaniu należy się Leszkowi Kołakowskiemu. Mówił bardzo prędko, a jednocześnie z zachowaniem absolutnej płynności okresów, a także jakby z niechęcią, że jest tu zmuszony wypowiedzieć taką masę truizmów. Bo istotnie, z punktu widzenia umysłu wdrożonego w myślenie logiczne, dyskusja z całkowicie bzdurnymi przesłankami wysuwanymi za pośrednictwem Balickiego przez aparat była nie tylko łatwa merytorycznie, była w tej łatwości aż poniżająca. Mimo tej odrazy do powtarzania rzeczy oczywistych, wyjaśnienie raczej niż przemówienie Kołakowskiego zachowało subtelność i lotność, a przy tym strukturę filozoficzną, którą nie wiem jakim cudem (nie dysponuję tekstem) i w tym, z konieczności zwulgaryzowanym, kontekście potrafił zademonstrować.



Przeciwnicy wyszli na trybunę pod koniec, to znaczy myślę o dwóch, których stanowiska miały wagę. Najpierw Putrament, który przestał krążyć między swoimi stolikami z przegranymi partimi szachowymi i dopadłszy

mikrofonu (który był mu zresztą, ze względu na krzykliwy sposób mówienia, prawie niepotrzebny), wypowiedział kilkanaście myśli, które chyba wszystkie nadawały się do powtórzenia. Dlatego że większość z nich była absolutnie nieprawdziwa, co specjalnie kontrastowało z widoczną pewnością siebie i aroganckimi tonami, jakie ten człowiek przybierał. Inne myśli miały wagę sensacji. Zaczął przede wszystkim od tego, że to on, Putrament, a nie wszyscy ci śmiałkowie, którzy tu pozwalają sobie na różne ekscesy, dostanie w końcu za to zebranie po głowie. Bo to on, Putrament, będzie za nie odpowiadał. Gdybyście wiedzieli, ile się trzeba było namęczyć, żeby wysmażyć rezolucję, którą odczytał Dobrowolski. Putrament dał do zrozumienia, że tę rezolucję trzeba uważać za jedyny ratunek w tej dość zakałapuścanej sytuacji, w jaką koledzy literaci wbrew zdaniu Putramenta siebie i jego wpakowali. Chcecie rozmawiać z Gomułką, chcecie z nim dyskutować na platformie tej drugiej rezolucji: proszę bardzo – niech idzie do niego Kijowski, taki zdolny polonista, i spróbuje rozmawiać! Gomułka to człowiek o wielkich zaletach (głos z sali: Nie ma ludzi niezastąpionych!), ale on nie lubi intelektualistów. Zebrani powinni dać jemu, Putramentowi, kredyt: jeżeli przegłosują rezolucję Dobrowolskiego, to on podejmuje się dyskutować z pierwszym sekretarzem i zrobić, co się da, jest ogromna szansa na przywrócenie *Dziadów*. To kwestia zaufania: niedługo będzie walne zebranie i wtedy Putrament zda sprawozdanie ze swoich starań.

Już parę godzin przedtem, nie znając tego, co ma powiedzieć Putrament, odpowiedział mu Kisielewski. Literaci byli dostatecznie długo grzeczni i z tego nigdy absolutnie nic nie wychodziło. Na zjeździe w Koszalinie podjęto pewne uchwały, między innymi co do cenzury i nie było na nie ani pozoru odpowiedzi. Uchwały zjazdu koszalińskiego nawet nie zostały opublikowane w wewnętrznym biuletynie ZLP, w czym chyba tkwiła najbardziej odpowiedź i niedwuznaczny komentarz co do ówczesnych żądań ograniczenia cenzury. Za długo byliśmy grzeczni i nic na tym nie zyskaliśmy – powiedział wtedy Kisiel, jakby odgadując kierunek argumentów Putramenta.

Bratny mówił starannie i dobitnie, w tym samym duchu co Putrament. Radził spojrzeć na sprawę utylitarnie. Rezolucja Kijowskiego nie była do przyjęcia dla władz, nie była nawet do dyskusji. Jeżeli nie zebraliśmy się tutaj – dowodził – dla demonstracji, jeżeli nie chodzi jedynie o skorzystanie z okazji, żeby odpowiednim przemówieniem zrobić sobie biografię, to powinniśmy głosować za rezolucją Dobrowolskiego, która może nie wszystkim zadowala, ale przy jej pomocy można będzie zacząć jakieś działania.

Być może, że Bratny przekonał tych kilkudziesięciu (nie mówiąc o zwykłych tchórzach), którzy potem głosowali za rezolucją Dobrowolskiego. Z pewnego punktu widzenia mówił przekonywająco.

Tylko że ich punkt widzenia, Putramenta i Bratnego, nie miał w tych okolicznościach sensu. To oczywiste, że już od dawna zebrany w ZAiKS-ie, studentom w uniwersytetach i tej części społeczeństwa, którą oni reprezentowali – nie chodziło o przywrócenie Dejmowskiej inscenizacji *Dziadów*. *Dziady* były pretekstem do wszczęcia procesu o znacznie bardziej istotne i szersze sprawy; krótko mówiąc, o wolność wyrażania swoich myśli, bez której nie może być chleba, tak jak bez chleba nie ma wolności. Raz po raz w przemówieniach padało słowo eskalacja: eskalacja ingerencji władz w sprawy kultury, absurdałne skrępowanie warunków wszelkiej twórczości, pogłębiająca się dezinformacja w prasie, radiu, telewizji i inne rzeczy. Słowo eskalacja, zapożyczone ze słownika wojny wietnamskiej, jest brzydkie i głupie, bo zupełnie nieprzydatne, w duchu naszego języka jest słowem snobizmu dziennikarskiego, które bardziej by pasowało do Zjazdu Stowarzyszenia Dziennikarzy niż do zebrania w ZAiKS-ie. Ale wszystko jedno: myśl była słuszną, znana, była jednym z tych truizmów, którymi brzydził się Leszek Kołakowski.

Wśród tych wielu świetnych przemówień zabrakło następującego argumentu: głosujemy nie dla napisania pospiesznej biografii, nie pod wpływem oburzenia (choć ten motyw mógłby ująć w tych warunkach za wystarczający), ale zgodnie ze zdrowym rozsądkiem. To znaczy nie za podlizującą się rezolucją Dobrowolskiego, która Gomułkę i towarzyszy mogła tylko utwierdzić w ich samowoli, ale za rezolucją Kijowskiego. Ta ostatnia rzeczywiście nie stanowiła żadnej platformy do rozmów z Gomułką i towarzyszami, bo rozmowa – jak już próbowałem udowodnić – od dawna została wymazana z listy środków komunikowania się ze społeczeństwem. W takich warunkach nie chodzi o odzyskanie *Dziadów*, których ostatecznie żadna siła narodowi nie potrafi odebrać, nie chodzi o rozmowę, która nic dać nie może, chodzi w samej rzeczy o demonstrację i protest, o ujawnienie całkowitej sprzeczności interesów między aparatem a narodem. Od demonstracji zaczyna się każda rewolucja. Literaci w Domu pod Królami wzywali właściwie do rewolucji.

Po północy poszliśmy do dwóch urn według podziału alfabetycznego – z podniecającym i upokarzającym jednocześnie uczuciem, że po raz pierwszy po wojnie idzie się głosować z pełną swobodą. Podobno Waldorff powiedział przy okazji dowcip: – „Przynajmniej wiem, że do tej urny nie niosę swoich prochów”. Ale to był dowcip optymistyczny. Potem wypadki pokazały, że reżym nie daruje literatom i nie tylko literatom.



Pierwszym skutkiem tej prawie rewolucji było przerwanie dla wielu tysięcy ludzi myślących wątpliwego czasu Małej Stabilizacji. Drugim skutkiem była konsolidacja tej właśnie, ostatecznie bardzo rozległej i bardzo czynnej warstwy obywateli. Ale do całkowitej rewolucji nie mogło dojść, bo sprawami wolności myśli i kultury nie były dostatecznie zainteresowane masy robotnicze. Robotnicy instynktownie sprzyjali studentom i intelektualistom, nawet w Pafawagu, w Stoczni Gdańskiej i podobno w Nowej Hucie doszło do starć z milicją; w Stoczni Gdańskiej robotnicy wystąpili dość tłumnie, z zawczasu przygotowanymi narzędziami walki, które działały na zasadzie sprężyny i wśród milicjantów było wielu rannych. Ale to wszystko były tylko oznaki sympatii, a nie wola walki, o której na przykład nie można było wątpić w Październiku. Dialektyka literatów i studentów nie dość mocno podkreśliła momenty ekonomiczne, a tylko te są dostatecznym argumentem do sprowokowania robotników do wyjścia na ulicę.

Aparat na to liczył. Aparat całą swoją drętwą, prefabrykowaną propagandę, której arcydziełem jest podjudzanie do antysemityzmu, obliczył i adresował do robotników i drobnomieszczan, a nie do intelektualistów, bo z tymi nie ma żadnych w ogóle środków porozumienia. Wypadki lutowe i marcowe łączą się niewątpliwie z wypadkami w Czechosłowacji i w ogóle z rozprężeniem w obozie. Ale mają swoją własną jakość. Nie skończyły się i nie zaczęły się bez przyczyny. Są dalszym ciągiem Października i będą miały swój dalszy ciąg, choć nie wiadomo, jak prędko i w jakiej postaci.



Pozostaje przede mną kwestia wybrania pseudonimu. W ostatnim półroczu, zwłaszcza po wizycie de Gaulle'a, zaczęła krążyć w Polsce cała masa złośliwych kawałów o Ochabie. Wszystkie ilustrują niedokształcenie i głupotę Ochaba. Niektórzy twierdzą, że to są kawały inspirowane, bo Ochab stoi u końca swojej kariery w aparacie. Osobiście jest mi to obojętne, za to bardzo mi się podobają jedna z tych anegdot, której mikrofabuła dzieje się w ogrodzie zoologicznym. Oboje państwo Ochabowie przyglądają się strusiowi czy nawet rodzinie strusiów za ogrodzeniem. – Widzisz, Edziu – mówi pani Ochabowa do męża – jaka gęś! Wkrótce Boże Narodzenie. Mógłbyś pogadać z dyrektorem i on by ci dał taką gęś. – Ty

durna – odpowiada Ochab – to wcale nie gęś, to pelikan. Z tego robi się atrament.

Ponieważ mój zawód i moje dzisiejsze przedsięwzięcie mają coś wspólnego z atramentem, przynajmniej w przenośni, więc niech będzie PELIKAN. Tak się podpisuję z braku innego pomysłu.

*

Jeszcze jedna sprawa całkiem osobista. Przeznaczając te notatki dla paryskiej „Kultury”, nie mogę się obronić przed przykrym uczuciem, że coś, że kogoś w tej chwili zdradzam. Co i kogo? To niejasne. Może mam na myśli długi szereg osobiście znanych mi osób, które są przyzwoitymi ludźmi i dobrymi Polakami – mimo że pracują w instytucjach bezpośrednio kontrolowanych przez partię, a często noszą w kieszeni partyjne legitymacje. Sam miałem taką legitymację. Tłumaczę sobie, że tego rodzaju list za granicę nie jest aktem zdrady, tylko aktem myślenia opozycyjnego, które w warunkach demokratycznych byłoby dozwolone i całkiem normalne – a jest niedozwolone i ścigane w warunkach rządów aparatu. Tak rozumię i zgadzam się całkowicie z tego rodzaju rozumowaniem, bo inaczej bym tego nie wysłał. Ale niejasne uczucie, o którym mówię, nie ustępuje niezależnie od tej argumentacji. Wiem, że w przytłaczającej większości wypadków będzie ono zupełnie niezrozumiałe dla polskiego czytelnika za granicą. Niemniej jednak proszę go o szacunek dla takiej a nie innej psychologii powstawania niniejszej korespondencji. Mogę do tego jeszcze dodać, że piszę nie tylko dla emigrantów, ale także, a może przede wszystkim, dla Polaków w kraju. „Kultura” jest czytana w kraju i jeszcze szerzej komentowana, choć w sumie ogranicza się to do dość wąskiego środowiska. Moja konspiracyjna publicystyka jest tylko substytutem opozycji, której w kraju nie ma w formach legalnych i która przede wszystkim nie ma żadnej możliwości wypowiadania się.

PELIKAN

[Zbigniew Florczak]

Notatnik z podróży po Polsce

Na wstępie kilka uwag natury ogólnej. Gdy mnie, lat temu dwadzieścia pięć, wywożono z Polski, byłem zaledwie człowiekiem stojącym na progu życia. Cały mój okres „męski i klęski” przeżyłem na Zachodzie. To, co zostało za mną, przesłoniła mgła tęsknoty, ocieniło zapomnienie. Zarazem potrzeba utrzymania się na powierzchni życia w społeczeństwach o maksymalnych zasobach cywilizacyjnych zmieniła, czego sam nie byłem dostatecznie świadomy, moją strukturę wewnętrzną tak zasadniczo, iż ktoś całkowicie inny wjeżdżał po ćwierćwieczu do swego rodzinnego kraju, ktoś posiadający odmienne zgoła oceny, inny wzrok, inne serce.

Nie umiem odpowiedzieć na pytanie, czy jechałem do Polski jako turysta, czy jako pielgrzym. Obawiam się, rzecz prosta, wywołania złej opinii o wartości mego patriotyzmu, u nas dość łatwo operuje się sloganami i feruje wyroki. Poczucie jednak prawdy wymaga stwierdzenia, iż z sentymentem dalekim od uniesienia ustawiłem auto w rodzinnym bajorze i wybojach (po niemal 2000 kilometrów autostrady Francji, Belgii oraz obu państw niemieckich, przecinającej całą Europę), przekroczywszy koło Frankfurtu nad Odrą granicę Polski. Grubemu celnikowi, który mi z dość odstręczającą jowialnością insynuował uczucie radości przy, po tylu latach, pierwszym doświadczeniu rodzinnej ziemi, odpowiedziałem szczerze, „iż jest to coś więcej i mniej zarazem niż radość”. Ale byłbym w kłopotcie, gdybym musiał dokładniej sprecyzować doznawane w tym momencie uczucia.

Notatki poniższe nie mają żadnej pretensji do oceny i do osądu. Zbyt krótko byłem w Polsce i w zbyt wielu dziedzinach życia jestem dyletantem, aby uzurpować przeświadczenie, iż byłyby one słuszne. Miesięczny pobyt nie daje mi żadnego prawa do ferowania wyroków o rzeczywistości tak odmiennej od tej, którą opuściłem przed ćwierćwieczem. Jak również od tej, z którą żyłem się na Zachodzie. Będą więc to zupełnie proste impresje, nie dążące do jakichkolwiek uogólnień, najbardziej prymitywne spostrzeżenia

przechodnia, często zbyt spieszącego się, aby mógł dłużej pochylić się nad tą czy inną sprawą, nad tym czy innym zdarzeniem, nad takim czy innym uczuciem. Będą one natomiast całkowicie szczere. I, poza ogólnymi elementami humanizmu i humanitaryzmu, które mi są niezbędne do życia, jak rybie jest potrzebna woda, bez tak zwanych uprzedzeń czy też *parti pris*.

[...]

Granice

Miałem przed sobą długą podróż. Z Paryża na Lille, na Brukselę, na Liege, Akwizgran, potem Kolonię, Hanower, Brunswik, Helmstedt, Magdeburg, Brandenburg, Frankfurt, przez Poznań do Warszawy. O szybkim załatwianiu formalności granicznych niech świadczy fakt, że odbyłem ją w półtora dnia. Oprócz dowodów osobistych oraz tak zwanej *carte verte* wozu, nie pytano mnie o nic ani we Francji, ani w Belgii, ani w Niemczech Zachodnich. Sytuacja zmieniła się dopiero w Niemczech Wschodnich, gdzie polecono mi za każdym razem, gdy mijałem granicę, otwierać kufer. Jak się potem dowiedziałem, Niemcy Wschodnie obawiają się przemytu ludzi, polecają więc otwierać kufry wszystkich większych aut. Dla celów nadzoru mają również odpowiednio spreparowane lustra wsuwane pod podwozie. Jedynym incydentem granicznym, z mojej winy, była kwestia maszyny do pisania. Będąc w Polsce, skorzystałem z okazji, by kupić tam maszynę do pisania z polskimi czcionkami, gdyż moja jest już w stanie mało nadającym się do pracy. Okazało się jednak, wbrew informacjom sprzedającej, że wywóz maszyn do pisania jest z Polski zabroniony, celnik poradził mi więc, abym powrócił do miasta i tam wysłał maszynę pocztą do kogoś ze swych przyjaciół. Oczywiście w Polsce. Cała rozmowa odbyła się zresztą w tonie bardzo kulturalnym i po powtórnym ukazaniu się na granicy nie czyniono żadnej w wozie rewizji.

Z wyjątkiem Niemiec Wschodnich (zawsze) i Polski (przy wjeździe) kwestia dewiz nigdzie nie była poruszana. Pomimo częściowego zakazu wywozu ich z Francji.

Pierwsze wrażenia

Wjeżdżam w kraj gęsto pokryty lasami, o polach oblanych przedwieczornym słońcem. Niebieskie mgły z wolna gromadzą się w dolinach. Domy murowane. Przypominam sobie, że przecież to jest kraj zdobyty na Niem-

cech. Droga kręta, wąska, nie pozwalająca rozwinąć szybkości. Trzeba bardzo uważać, bo niespodziewanie dużo spotyka się pieszych spacerujących po jezdni. Widocznie tu taki obyczaj, że w niedzielę szosa jest miejscem klubowego zgromadzenia młodych i starych. Ciekawe, że większość ludzi jest głucha. Z zasady nie reagują na sygnał samochodu, co w pierwszych momentach spowodowało kilka dość napiętych sytuacji. Często, chyba swoiste poczucie heroizmu, skłania co młodszych do ostentacyjnego ignorowania jadącego, to znaczy w momencie krytycznym występowania właśnie na środek jezdni. Pojąłem, dlaczego bywalcy w Polsce ostrzegali mnie przed specyficznymi trudnościami tamtejszych dróg. Na odcinku 200 kilometrów do Poznania spotkałem również kilku motocyklistów uważających, że cała szerokość szosy należy się im z prawa i równie głuchych na wszystkie sygnały. Jakiego rodzaju kompleksy dochodzą tu do głosu u młodych i starych?

Miasta, przez które na tej trasie przejeżdżałem, robiły wrażenie ostatecznego spustoszenia. Zaniebane domy, odrapane i z opadającymi tynkami, brak budynków o jakimś stylu i charakterze, kocie łby jako bruk, doły i zapadnie, wiele objazdów prowizorycznych przez miejskie wertepy, od których gorsze widywałem tylko na odcinku Namur, Charleroi, Mons – w Belgii, no i oczywiście w Hiszpanii. Ludzie sprawiają wrażenie schludnych, choć ubogich, dziewczęta ubrane kolorowo i z pewnym rozeznanie w współczesnej modzie, mężczyźni z reguły na czarno. Zapytywani odpowiadali chętnie, nawet wtedy gdy podawane informacje okazywały się błędne. Lubili okazywać, że wiedzą, że się orientują. Rzuciła się w oczy niezwykła jasność włosów, szczególnie silna u dzieci i młodzieży. Ten zachód Polski typami ludzi przypominał mi, w sposób zastanawiający, Polesie i Wołyń. Byłaby to kwestia przesiedleń?

Poznań

Rzecz prosta o Poznaniu ani o żadnym z następnych miast nie będę mógł powiedzieć nic, co by wykraczało poza naskórkowe wrażenia przypadkowego zupełnie zetknięcia. Wrażenia te mogą być mylne, byłem jedynie obserwatorem, nie mającym istotnego kontaktu z życiem ani z ludnością, nie biorącym udziału w jej codziennej walce o egzystencję. Poznań pamiętam z czasów dzieciństwa. Wtedy uczynił on na mnie duże wrażenie swą solidnością, świadomą pełnią egzystencji mieszkańców, materialną kulturą obywateli. Tym razem miałem wrażenie, że przyjechałem do obozowiska, do zgrupowania będącego chwilowo bez ruchu, do konglomeratu w stanie przemiany.

Wrażenie to będzie się utrzymywało przy każdym nowym kontakcie z miastami, przez które prowadzi mnie droga. Jak należy to wrażenie rozumieć?

Zniszczenie Poznania było wielkie w czasie ostatniej wojny. Plany odbudowy uwzględniły je chyba, zamieniając wiele zburzonych budowli na skwery lub wznosząc elementy o charakterze prowizorycznym w typie pawilonu, rozszerzając place, mnożąc architektoniczne rozwiązania przestrzeni. Zarazem konieczność pośpiechu obdarzyła miasto wielką liczbą budek (prym dźwierz tu „Ruch”), jakie zazwyczaj związane są z koncepcją jarmarku, wystawy, targów. Biezący ruch budowlany (nie umiem nic powiedzieć o jego nasileniu) obdarza miasto pewną liczbą budynków dopiero zaczętych, powiązanych samą cechą swego jeszcze nieistnienia z ogromną liczbą budynków zniszczonych ponad miarę, których wygląd zewnętrzny świadczy o opuszczeniu, o niedbałości, o braku elementarnej troski o estetyzm. Tu i ówdzie jeszcze szczyty zęby ruina. Zaniedbane chodniki nie ułatwiają spacerów. Dychawiczne tramwaje, nadrabiające lamentem krzyku swą powolność, kolebią się niezdarnie po szynach, przeszkadzając sobie i ludziom. Jakiś ogólny smutny nastrój roślinności, dojrzała, skłopotania, monotonii, rezygnacji, szarzyzny stroju i koncepcji życiowej, powszechnego zubożenia panuje na ulicy, którą „rozświeca” od czasu do czasu ponura sylwetka i dowcip pijanego.

Jeżeli do tego dodać szokujący widza smutny handel uliczny, z koszyków, z kobiałek, w takiej Warszawie na przykład istniejący nie tylko na pryncypalnych ulicach, ale sąsiedztwem konkurujący z wielkimi magazynami państwowymi, można sobie wyobrazić inność miast Polski. Okutane, oberwane, zastygłe w bezruchu kobiety stoją: ta z pękiem kwiatów, owa z trzykilogramowym zapasem jabłek, inna wreszcie z kilkoma główkami kapusty. Stoją, jakby miały czas wieczności oddany do swej wyłącznej dyspozycji. Jakby sama kwestia sprzedaży była drugorzędna, a liczył się jedynie fakt stania, zawierający kwintesencję życia i jego filozofii. Widziałem kobietę sprzedającą kilka astrów, inna trzymała w ręku biały ser, jeszcze inna pęczek marchwi. Marnotrawstwo czasu staje się tu zagadnieniem o wadze narodowej.

Pijacy

Ponieważ o tym zacząłem... W czasie mojego trzydziestodniowego pobytu w Polsce dostrzegłem, nie szukając bynajmniej, około pięćdziesiąt wypadków pijactwa publicznego. Po doświadczeniu w Poznaniu postanowiłem liczyć spotykanych wokół mnie ludzi nietrzeźwych. Widziałem ich wszędzie,

w tramwajach, w sklepach, w urzędach, zwłaszcza na ulicach. Groteskowo rozbawieni, gadający, przeklinający, kochający świat, umizgający się do kobiet, zaczepiający ludzi, ponurzy, prowadzeni pod pachy, obezwładnieni umysłowo, towarzyscy, filozofujący, coś za kalejdoskop ludzkiego nieszczęścia. Musi być wielką krzywdą ludzka, jeśli ucieka się ona do tak masowego znieczulania bólu trucizną. Ludzie szczęśliwi piją, ale się nie upijają.

Bolesny nad wyraz jest widok ulicznych budek sprzedaży piwa, już o wczesnej godzinie porannej otoczonych mężczyznami i kobietami, biednie ubranymi, którzy ciągną i ciągną z butelek płyn, wprost na ulicy, jakby gasili pragnienie, którego nie sposób ugasić...

Ciastkarnie oraz inne sklepy

Jest to zjawisko zdumiewające, owa liczba ciastkarń w Polsce, kraju zdecydowanie ubogim. A może to właśnie wpływ owego ubóstwa, chęć za taną cenę zaznania przyjemności, drobnej, lecz w zasięgu możliwości każdej niemal kieszeni? Przyjemności natychmiastowej, łatwej do zrealizowania. W każdym, najbardziej nawet podłym mieście, gdziekolwiek zajeżdżałem, miałem możliwość kupienia tego przysmaku o jakości wielokrotnie zastanawiającej, nawet w porównaniu z Paryżem. W takich sklepach strucle, babki, makowce płynęły jak woda, tworzono w oczekiwaniu na nie ogonki, wydatek kilkudziesięciu złotych nie przestraszał kupującego. Ciastkarnie są z reguły przedsiębiorstwem państwowym, często rozbudowanym, zazwyczaj połączonym ze sprzedażą chleba i lokalem kawiarnianym.

Ponieważ mówię już o sklepach... Uderzyła mnie wielka liczba (i to we wszystkich miastach) drobnych inicjatyw prywatnych, z reguły bazujących na współpracy jednej rodziny. Nieprawdopodobnie wielka liczba usług zegarmistrzowskich (w kraju, gdzie z reguły wszyscy spóźniają się na spotkanie), szewskich, zduńskich, malarskich, skupu rozmaitych odpadków i tak dalej, daje możliwość wędrowki wzdłuż całych kilometrów zaniedbanych, pustych niemal witryn, zakurzonych szybek, na głucho zamkniętych drzwi, ciemnych cuchnących nor, pozbawionych powietrza. Na dużym ciele państwa przypominają one huby rosnące na dębie. Czy jest to samoobrona państwa nie potrafiącego sobie dać rady w wielu dziedzinach usług? Czy jest to samoobrona człowieka, chcącego posiadać trochę więcej inicjatywy i, kto wie, złudzenie lepszego startu w życiu? Być może jedno i drugie. Nie wiem.

Stacje benzynowe

Opuściłem Poznań, by ruszyć na północ w Bory Tucholskie. I od razu powstała kwestia, która nie istnieje gdzie indziej. Stacje benzynowe są niezmiernie rzadkie, nie zawsze posiadają benzynę tej jakości, jakiej wymagałem dla mego wozu. Mają one jednak jeszcze jedną cechę, całkiem już niezrozumiałą. Oto kryją się przed klientem. Czyżby to była skromność kopcuszków? Żarty na stronę. Stacje benzynowe są małe, redukując się w bardzo wielu wypadkach do jednej lub dwu pomp, bez właściwego obudowania, bez możliwości umycia wozu, uczynienia drobnej reperacji, zakupu, sprawdzenia gum, umycia się. Ich kierownicy (dzierżawcy?) o wyglądzie zewnętrznym często nieprawdopodobnie zaniedbanym, nie mają żadnego sensu reklamy, ograniczają się (i to nie zawsze) do ustawienia przy drodze małego znaku z wizerunkiem pompy. Skrywanie stacji ma w sobie coś z perfidii. Są one często z dala od głównej drogi, bywają całkowicie zasłanianie drzewami, osłonięte ścianą, przybierają barwy ochronne. Trzeba je dosłownie wydłubywać w przestrzeni, wypytując miejscowych ludzi. Gdy wskazówka zegara spadła poniżej 20 litrów, wskazówka napięcia nerwowego wzrastała u mnie w tym samym stopniu. Może nie dojadę, może nie starczy, myślałem. Jakakolwiek poważniejsza akcja turystyczna nie jest możliwa bez ogromnego, ilościowo i jakościowo, powiększenia sieci stacji obsługi samochodowej. Nie mówiąc już oczywiście o sprawności samej obsługi. Człowiekowi przyzwyczajonemu na Zachodzie do wymagań w głowie się nie mieści, by musiał sam otwierać z klucza bak, by nie miał prawa zażądać wytarcia szyb, by nie miał prawa prosić o sprawdzenie poziomu wody w chłodnicy czy poziomu oleju w motorze. Wszystko to, oczywiście, bez dodatkowej obowiązkowej zapłaty.

Brak wreszcie, co nie jest do pojęcia na Zachodzie, garaży jako koncepcji usługi zarobkowej. Zważywszy, że już we Francji ostrzegano mnie przed dalekowzroczną inicjatywą prywatną zawodowych amatorów wycieraczek szyb i kolekcjonerów oprawek do reflektorów i gum samochodowych (połowa wozów jeździ bez wycieraczek), wybudowanie takich garaży jest rzeczą bardziej niż pilną, jeśli się chce poważnie myśleć o rozwoju ruchu turystycznego.

Wieczory i noce

Spokój, ciszę i piękno Borów Tucholskich zostawiwszy za sobą ruszyłem po odpoczynku w świat, zahaczając o dwa miasta, zagubione w swej przeszłości, Świecie i Chełmno. Droga prowadzi na Tczew i Gdańsk. Chciałem mieć jak największy kontakt osobisty z ludnością, korzystałem więc w czasie podróży i później, na odcinku Elbląg–Warszawa–Kalisz, z instytucji może słusznie pomyślanej, mianowicie z pośrednictwa hotelowego przy zdobywaniu noclegu. Rzecz sama w sobie jest prosta. Przed wieczorem należy udać się do hotelu i prosić o przydział prywatnego pokoju. Po załatwieniu wszystkich formalności paszportowych i ściągnięciu należnych kubanów (niecałe sto złotych) otrzymuje się adres mieszkania, do którego należy się udać. Wynajmuje się pokój „na niewidziane”, tak że procent niespodzianki jest duży. Niemal zawsze warunki higieniczne pozostawiały, delikatnie mówiąc, wiele do życzenia. W zasadzie było wszystko, i łazienka, i ubikacja, ale... albo nie było wody gorącej, albo łazienka nie działała i należało reperować, albo też stan zewnętrzny skłaniał do jak najdalszej ostrożności przy jej używaniu. Niemal w każdym wypadku była to raczej dekoracja i to niedoskonała, mająca za zadanie podwyższyć wartość wynajmu pokoju. Rzecz prosta, nie mówię już nic o jej wyglądzie estetycznym, o chromach, kafelkach i tym podobnie. W każdym wypadku było to wnętrze odrapane, z instalacjami prowizorycznymi, zawsze bardziej niż podejrzaną czystości i w którym z tych czy innych powodów nie można było się izolować.

Lecz straszliwą naprawdę instytucją jest dopiero *duena*, pani domu. Poza rzadkimi wyjątkami jest to osoba całkiem dla mnie niezrozumiała. Osoba chcąca na siłę uczestniczyć w prywatnym życiu najemcy. W klasycznym przykładzie, w jednym z miast, odnajemczyni weszła do pokoju dziesięć razy w ciągu pół godziny. Weszła, często nie pukając nawet, nie czekając na zezwolenie, gdy pukała. W sprawach tak nie cierpiących zwłoki, jak: brzmienie mego nazwiska mało wyraźnie napisanego na kwicie, potrzeba zabrania kwiatków z okna, bym miał lepszy widok na miasto, przyniesienia mi pantofli męża (?), abym butami nie niszczył podłogi, z zapytaniem, czy mi już słać łóżko, z zapytaniem, czy wychodzę na spacer i kiedy powrócę, z zapytaniem, czy czego nie potrzebuję, z zapytaniem, o której godzinie następnego dnia wyjeżdżam, z zapytaniem, czy czasem nie chciałbym posłuchać informacji o kościele widocznym naprzeciw, ponieważ mąż jej... Podobnie bywało w innych miastach. Preteksty tych napaści bywały nieraz tak absurdalne, tak nierzeczowe, że do dzisiejszego dnia nie umiem określić, co

się za nimi kryło. Chęć zysku, ciekawość? Wiadomo, że wszyscy *concièrges* w Paryżu są zaufanymi policji, może więc tam... Doprawdy, nie wiem.

Gdańsk

Kochałem kiedyś Gdańsk za jego krwistą kulturę mieszczańską, może nie w najlepszym smaku, ale przecież tu i ówdzie wykwitającą cudami architektury i ową pełnią życia zazdrośnie zamkniętego w murach i gromadzącego z pokolenia na pokolenie dostatek i swoiste poczucie szczęścia.

Teraz po dwudziestu pięciu latach jechałem do Gdańska ze świadomością, że miasto, zniszczone w czasie wojny, zostało z wielką troską odbudowane. Jak? To właśnie ciekawy byłem zobaczyć.

Wrażenie było wstrząsające. To, co później napiszę, nie będzie miało charakteru krytyki. Być może, iż zrobiono, jak tylko się dało najlepiej, być może, iż dokonano cudu. Podobno jednak Łazarz, wskrzeszony, powróciwszy ze świata umarłych, nigdy nie mógł już odnaleźć się między żyjącymi. To, co widziałem, co zdołałem w ciągu dwu dni obejrzeć, było takim właśnie przywróceniem umarłego do życia. Gdańsk żyje, ale żyje życiem upiora. Wydobytego z trumny trupa zgalwanizowano tak, iż się porusza, a dla tym większego złudzenia pomalowano mu twarz wszystkimi kolorami barwiczki, na czaszkę wepchnięto perukę, przyobleczono truchło w kolorowe łachmany i całość poddano silnym operacjom reflektorów. Włóczęga po znanym ongiś mieście była koszmarem, jaki czasem męczy nas we śnie. Niby dekoracja teatralna, która ulega zniszczeniu, odsłaniały się domy, ulice, martwa Motława, sławny dźwig zabytkowy, kościół Marii Panny, wszystko w surrealistycznej atmosferze ni prawdy, ni kłamstwa, torturujące oczy, torturujące serce. Pustka. I wszechobecna, brutalna głupota wesołych turystów, zwożonych tu stadami z całego kraju, patrzących a nie widzących, mieszających piwo z wódką i kupujących co ohydniejsze „pamiątki”.

Późnym wieczorem szedłem do mego wynajętego pokoju z uczuciem, iż wracam z pogrzebu. Dopiero tego dnia umarł dla mnie naprawdę Gdańsk.

[...]

Warszawa

Od północy wjeżdża się do Warszawy przelotową ulicą dzielącą właściwie stolicę na dwie części. Nazywa się ona rozmaicie, a w swej części środkowej zachowała dawną nazwę Marszałkowskiej. Wjazd ten jest wygodny i w miarę imponujący, pozwalający na złudzenie, iż przyjeżdża się do wielkiej metropolii europejskiej. Złudzenie to rozwiewa się w miarę bliższego kontaktu ze stolicą.

Dłgie lata przeżywałem w Warszawie przed wojną, znałem ją dobrze, wiele pozostawiłem w niej wspomnień. Chciałem więc odwiedzić miejsca związane ongiś z moim życiem. Włócząc się po ulicach, mogłem przekonać się, o ile mylne było moje pierwsze wrażenie. Gdy tylko odchodzi się od śródmieścia, od Marszałkowskiej, od Nowego Świata w bok, natychmiast ukazują się rzeczy budzące smutek. Obszarpana skóra tynków nie ruszanych od czasu króla Ćwieczka, wyżarte mięso cegieł, prowizorka załatań murów, nawet okien, straszliwe wnętrza klatek schodowych, chwiejne poręcze, łaty dykt tam, gdzie powinny być drzwi, ogólna atmosfera brudu i zaniedbania, często zaniedbania kryminalnego, zupełnej obojętności dla murów, w których się żyje – oto obraz stolicy z dala od głównych arterii przelotowych. Ale i w śródmieściu... Pamiętam dom przy Alejach Ujazdowskich, gdzie niepewność solidności balkonów zlikwidowano bardzo prosto: likwidacją tychże balkonów. Przy czym nawet nie starano się zatrzeć śladów tej roboty. Pozostawiono dziury na ceglach i zabito otwory wyjść deskami. A wnętrza mieszkań! Te ludzkie skupiska w izbach pozastłanianych łachami, przegrodzonych parawanami, przeżartych wzajemną nienawiścią, permanencją wojny wszystkich ze wszystkimi, o lada kąt, o lada metr kwadratowy przestrzeni. Te zajazdy obliczone na długie miesiące przed ich skutecznieniem, wzajemne wygryzanie się, walka nerwów, zwyczajstwa brutalności, podstęp. Piekło. Piekło tym większe, że powszednie.

Oczywiście oglądałem i inne mieszkania, dwa trzy pokoje o pewnym standardzie. Lecz nie potrafiły mi one zatrzeć w pamięci tych innych, odczłowieczających ludzi, doprowadzających ich do stanu półobłąkania lub gorszej jeszcze od każdej formy protestu rezygnacji.

Nie będę tu mówił o sławnym Pałacu Kultury, bardzo niekulturalnym w swej koncepcji architektonicznej, ani o MDM, dzielnicy mieszkaniowej przy Marszałkowskiej, ciężkości stylu przypominającej raczej wzory petersburskie, obce duchowi Warszawy. W Pałacu Kultury kupiłem kilka książek

i miałem krótką rozmowę z panią z informacji przy wejściu. Chciałem zwiedzić wystawę sztuki rosyjskiej, a posiadając francuskie *laissez-passer* dające mi zwyczajowe prawo, jako artyście, wolnego wstępu na wystawy wszędzie, dokąd mnie tylko zagnała ciekawość włóczęgi, na wszelki wypadek zwróciłem się z zapytaniem do okienka „informacja”, w którym siedząca ładna pani z całym zapalem poświęcała się pracy nad szlifowaniem paznokci.

– Czy tutaj honoruje się ten papier? – rzekłem, podając *laissez-passer*.

– My nic nie honorujemy – odpowiedziała mi pani, zastrzygłszy ładnie podmalowanym oczkiem w stronę mej przepustki.

W jedno z pogodnych popołudni zwiedziłem Łazienki, które dziś, bardziej niż kiedykolwiek, są pięknym kwiatem, raczej pięknym bukietem na zgrzebnej siermiędze stolicy. Zwiedziłem również Wilanów, w który włożono naprawdę wiele wysiłku, by mógł stanowić *curiosum* dla przybysza z Zachodu czy Wschodu. Zwiedziłem, dzięki uprzejmości dyrektora Lorentza, zamknięte na czas reorganizacji Muzeum Narodowe i mogłem podziwiać ogrom, a przede wszystkim zuchwałość prac dokonywanych w tamtejszych atelier konserwacji. I bywałem, niestety, codziennym gościem MDM, gdzie znajduje się bodaj jeden z pięciu strzeżonych w mieście parkingów.

Teatry

W dwu miastach, w których przebywałem dłużej, chciałem zobaczyć teatr polski po wojnie. W Poznaniu, mimo usiłowań, nie udało mi się widzieć aktorów, zważywszy na sezon letni i rodzaj spektakli związanych raczej z nadscenką niż z koturnem. W Warszawie również sezon ogórkowy kwitł w pełni. Grano *Ciężkie czasy* Bałuckiego i *Damę od Maxima* Feydeau. Jak za dawnych dobrych czasów przed dwudziestu pięciu laty. Zdecydowałem się wreszcie pójść na *Damy i huzary* Fredry do teatru na Pradze. Teatr skromny, publiczność jeszcze bardziej skromna, łatwa do rozbawienia, mało żądająca, ciesząca się tym, co dawano. A dawano szopkę, farsę, z wstawkami tanecznymi, baletem, kupletami i nawet ze strażakiem na scenie. Dawano rozrywkę popularną. Afisze zapowiadały wznowienie *Sułkowskiego* i *Horsztyńskiego*, niestety w terminie zbyt odległym dla moich możliwości.

[...]

Trzy noce

Przypadkowa zbieżność okoliczności połączyła owe trzy noce, ustawiając je obok siebie tak, że słusznie czy niesłusznie, ze spojrzenia na nie wykwitło owo uczucie, mimo woli zaszeregowujące każdą z nich do pewnej kategorii wspomnienia, określającego sobą (powtarzam jeszcze raz: słusznie lub niesłusznie) większą psychiczną całość.

Owa zbieżność to fakt, za każdym razem, przebudzenia mnie ze snu, przywrócenia światu zatopionemu, za każdym razem, w spokój księżycowego światła jednako niemal, pod niebem Hiszpanii, Niemiec i Polski, błyszczącego swym srebrnym i zielonym blaskiem.

Chronologicznie pierwsza z tych nocy, w Grenadzie, pozwoliła mi, gdy otworzyłem oczy, dojrzeć natychmiast pięknie rzeźbioną kratę patia i poczuć zapach, przychodzący z Generalife, kwiatów pomarańcz i cytryn. Jednocześnie zalała mnie, dosłownie, fala muzyki o niesłychanej słodczy tonów. W pobliżu, na ulicy, ktoś grał na gitarze oszałamiającą od liryzmu melodię, unoszącą się jak dym z kadzielnicy ku niebu. Słuchałem w milczeniu owego stawania się cudu, tak ogromnego, iż serce odmawiało mi posłuszeństwa. Strumień srebrnej księżycowej kipieli lał się przez otwarte okno, w nie z Alhambry gęstniały i muzyka stawała się ciągle słodsza i słodsza, aż bolesna w swej piękności, aż nie do zniesienia w swym uroczym szale.

O poranku spytałem Mosquito, czy słyszała tej nocy muzykę. Uśmiechnęła się. „W pobliżu nas mieszka piękna dziewczyna. To *novio* jej urządzał pod balkonem serenadę”.

Druga z tych nocy... Nazwa miejscowości wypadła mi już z pamięci. Tego wieczoru zjechałem z „Autobahn”, by znaleźć dobrze zasłużony odpoczynek po przebyciu jednym ciągiem tysiąca niemal kilometrów. Było to, pamiętam, przed Kolonią, w pobliżu kuracyjnej miejscowości Oyenhäusen. Przystanąłem w ładnym i zamożnie wyglądającym osiedlu. W pierwszym hotelu nie było ani jednego pokoju, ze względu na wesele. Szczęściem dziewięć metrów dalej inny hotel znalazł jeszcze jeden pokój wolny, tak że po zjedzeniu kolacji, znużony, położyłem się spać, nie zwracając uwagi na wyjątkowo pięknie wśród obłoków zachodzące słońce.

Obudziła mnie pieśń, zgodnym chórem głosów męskich i kobiecych niosąca się przez ciszę nocy. W okno zaglądał granat nieba oraz czarna sylweta drzewa. Uniosłem się na pościeli i słuchałem. Potężna fala rytmicznej radości wchodziła do mego pokoju. Niosła ze sobą poczucie siły, poczucie szczęś-

cia. Kadencja jej trochę przyspieszona, posiadała energię pobudzającą tętno krwi. Był to chyba weselny marsz, wspaniały niby głos wielkiego, odświeżonego dzwonu. Uroczysty, a jednocześnie niemal skoczny. Poważny, a jednocześnie radosny swą ufnością w wartość jutra.

To było w Warszawie, w roku 1968. Pierwszy mój pobyt w Polsce od czasu wojny. Więc po mniej więcej ćwierćwieczu. Mieszkałem u przyjaciół w jednym z nowych drapaczy nieba, przy Puławskiej. Pierwsza moja noc warszawska. Mały pokój był schludny, pachnący świeżością, biały. Z okna widać było aż po horyzont zieleń pól, punktowanych różnymi kształtami drzew, coraz błękitniejszych w miarę oddalenia. Potem na ogromne niebo wstąpił księżyc i począł wędrować, nieustrudzony pielgrzym, po drodze wyznaczonej od początku świata.

Obudziły mnie nieskoordynowane wrzaski, słabo imitujące piosenkę. Nade mną fetowano jakąś uroczystością. Głosy były gęste, bełkotliwe, przepojone alkoholem. Ktoś chciał zarywać tenorem, bez przerwy próbując przebrnąć przez pierwsze słowa popularnego przed trzydziestu laty *Śniegu*. I ustawał. By za chwilę od nowa podjąć usiłowanie przebrnięcia przez tę zaspę.

Histeryczny pisk kobiecych głosów... Górował on nad męskimi i nasycił atmosferę posmakami sabatu czarownic.

By wzmocnić siłę głosów, ktoś uderzał przedmiotem o przedmiot, ktoś inny z całym uporem walił obcasem w podłogę.

Chaotyczne skrawki słów, melodii przetaczały się po dużej przestrzeni lat, czerpiąc motywy z pieśni legionowych, modnych ongiś szlagierów, współczesnych przebojów partyzanckich i powstania w Warszawie, by wpadać co chwila w mniej lub więcej sprosne ich warianty.

Wreszcie najbardziej bawoli bas zaintonował *Sto lat*. I zbożne to życzenie ciągniono i przeciągano, rycząc na całe gardło. Gdy wreszcie zbiorowym wysiłkiem doprowadzono je z trudem do końca, ów basista z uporem pijanego zaczynał je od początku „Jeszcze raz, jeszcze raz...” trzaskały ściany, leciał tynk.

Wielki księżyc stał prosto w oknie, osłupiały, siny... Bezsenna noc krok za krokiem przetaczała się ku poblądnemu od mgieł porankowi.

Pożywienie turysty

Sprawa ta jest niesłychanie uproszczona. W każdym mieście i miasteczku, o niemal każdej porze (z wyjątkiem nocy) można znaleźć bar mleczny, jadalnię czy restaurację, gdzie za niewielką opłatą otrzymuje się proste, ob-

fite potrawy. Usługa sprowadzona jest do minimum, nakrycia również. To, co w takiej na przykład Francji opłacane jest specjalnie jako tak zwane *cover*, redukuje się w Polsce do talerza, noża, widelca i łyżki i, oczywiście, nic nie kosztuje. Napiwek nie jest w zwyczaju. Nikt nie namawia (przynajmniej w moim doświadczeniu) do picia, jak to zdradziecko czynią Francuzi, by potem fantastyczne sumy liczyć za butelkę wina. Nie można kapryścić, potrawy są przygotowane, a wybór ich jest mały. Ale głodny nie będzie nikt. W barze mlecznym dostanie się jajecznicę, zupę mleczną, różnego rodzaju kluseczki, w jadłodajni duży kotlet wieprzowy, bigos czy flaki, w restauracji befszytk. Do tego rodzaju instytucji zazwyczaj wchodzi ludzie rzeczywiście głodni, ogromna część je i zapłaciwszy zaraz wychodzi. Nie ma celebrowania jedzenia, co – dla mnie przynajmniej – jest tak niemiłe na Zachodzie. Oczywiście widywałem pijących i pijanych, ale była to kwestia kilku mniej lub więcej kieliszków (butelek?) wódki. *En général* koncepcja smakoszostwa i wykwintu chyba nie istnieje.

Kontakty z ludźmi

Były one, samo przez się zrozumiałe, bardzo powierzchowne, odpowiadające warunkom mego życia w Polsce. Wydaje mi się jednak, że dostrzegłem w psychice żyjących tam ludzi pewne przemiany, które należałoby ujawnić. Pierwszą z tych cech jest rodzaj rozpanoszonego mentorstwa, chęci pouczenia, często nawet dobrotliwego i pełnego zrozumienia, zawsze jednak płynącego z uczucia nieokreślonej bliżej wyższości. Jest oczywiste, że każdy kto chce jechać windą, musi być zaopatrzony w klucz do jej użytku, jest oczywiste, że winda staje między piętrami, ponieważ nie jest dostatecznie dotarta. Jest oczywiste, że pasażer w taksówce nie ma prawa otworzyć okna, gdy jest mu zbyt gorąco. Jest oczywiste, że nie ma się prawa wejść do otwartej restauracji, gdy w drzwiach ustawiono krzesło. Jest oczywiste, że kartka z liczbą przypięta do półki stanowi cenę towaru. Z uśmiechem pobłażania, *ex cathedra*, mówi się – znajdzie to pan tam, niech pan idzie ów-dzie, to będzie otwarte dopiero o tej godzinie, to się sprzedaje w takiej instytucji. A potem okazuje się, że tego się tam nie znajduje, nie tam właśnie należało się udać, to bywa otwarte o innej godzinie, tego się właśnie w tej instytucji nie sprzedaje... Ale informator jest już daleko. Obsługujący posiadają również swoje obyczaje. Wszedłem do sklepu, zapytując, czy mają pewien towar na składzie. Odpowiedzią siedzącej za ladą ekspedientki było zaprzącenie głową. Zapytałem o coś zastępczego. Odpowiedzią również było

milczące zaprzeczenie głową. Musiałem tę rzecz kupić, zapytałem więc, gdzie mogę ją dostać. Odpowiedzią było wzruszenie ramion. Ekspedientka była młoda, masywna, kwitnąca zdrowiem. Skąd ta niechęć do wysiłku? W innym sklepie spytałem o cenę leżących na półce ręczników. – Czy pan nie widzi? – odpowiedziała ekspedientka. Nie, nie widziałem. I byłem tak mądry po tej odpowiedzi jak przedtem. Stwierdziłem, że nawet gdy towar jest, ekspedienci łatwo odpowiadają „nie ma”, ponieważ połączone to jest z mniejszym wysiłkiem. W wielu wypadkach czułem, iż sprzedawcy, przejmując się swą rolą, czują się istotami wyższymi, posiadającymi w swych rękach dystrybucję dóbr ziemskich i ludzkiego szczęścia. Istnieje ogólna tendencja do przemieniania się w kacyków, szastających się niby szare gęsi na własnych śmieciach, rządzących się według własnych przepisów, to znaczy według fantazji i humoru. Sławne pod tym względem są tak zwane remanenty lub odbieranie towaru, automatycznie powodujące zamykanie drzwi w najbardziej nieoczekiwanych porach.

Jednocześnie klienci mają żywiołowy pociąg, żeby nawet na skutek istotnie drobnych przyczyn żądać natychmiast książek zażaleń, znajdujących się w każdej handlowej i usługowej instytucji.

Kilka osób (ja również) zwróciło mi w Polsce uwagę na pewną, rozwijającą się wciąż cechę, którą nazwałbym „właściwościami bożej krówki”. W dzieciństwie zauważyłem, iż boża krówka, dotknięta palcem lub żdźbłem trawy, pozornie martwieje. Jest to oczywiście refleks samoobrony, jedynie możliwej dla tego pięknego stworzenia. Otóż w Polsce pewien procent ludzi, gdy się ich interpeluje kłopotliwym pytaniem czy uwagą, martwieje jak owe boże krówki. Nie słyszą. Nie rozumieją. Z wolna wyrabia się w społeczeństwie głuchota na wszystkie zagadnienia szerszej natury. Głuchota, która ustaje tylko wtedy, gdy w grę wchodzi kwestia indywidualnego, najbardziej wąsko pojętego interesu. Interesu, którego ramy obejmują jedynie zagadnienia dojrzejszej spokojnej wegetacji. Nie egzystencji. Nie życia. Wegetacji. To maksymalne życzenie ludzi zrezygnowanych świadczy o jakiejś ogromnej goryczy doświadczenia, o jakimś ogromnym znużeniu ducha. O jego śmierci nawet. Lub o jego głębokim śnie.

Pisze się w prasie zachodniej o wielkich przemianach językowych dokonanych w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. Jest to prawda. Dostrzegłem również mocne jego zwulgaryzowanie. Pierwszym słowem, jakim mnie poczęstowała Polska, gdy tylko przejechałem szlaban graniczny, było „łacińskie” słowo k... Dwaj przejeżdżający obok mnie motocykliści przerzucali się uwagami, w ten sposób je ozdabiając. Słowo to później szło za mną, w towarzy-

stwie innych, nie mniej soczystych, wiernie jak pies. Słyszałem je na ulicach, w tramwaju, w urzędach, w sklepach, słowem wszędzie. To i inne słowa tego samego „łacińskiego” obrządku. Razem z przemianą socjalną zyskały one swą nobilitację. Czyżby to był symptom czasu?

[...]

Mieczysław Lurczyński

[1-2/1969]

List do M. Lurczyńskiego

Zastrzegał się Pan na wstępie swego *Notatnika*, że zawarte w nim wrażenia z Polski stanowią „zupełnie proste impresje, nie dążące do jakichkolwiek uogólnień”. Ja też chciałbym się zastrzec, że te moje spostrzeżenia nie stanowią żadnego osądu ani próby krytyki Pana wrażeń.

A teraz zabawmy się w „kącik szczerości” i powiedzmy sobie z całą otwartością, że obydwie nasze zastrzeżenia nie są funta kłaków warte, bowiem Pana *Notatnik* – być może wbrew Pana intencjom – jest uogólnieniem, natomiast moje spostrzeżenia w związku z Pana zapiskami będą krytyczne – też wbrew intencjom autora.

Bo, proszę Pana, ja sobie „założyłem”, że Pana wrażeń warszawskich krytykować nie sposób – tak jak nie miałoby sensu głoszenie najgorętszych nawet sprzeciwów wobec takich zjawisk, jak deszcz, czy rytm obrotów kuli ziemskiej. Jeżeli jednak, mimo wszystko, te moje spostrzeżenia postanowiłem spisać, to tylko dlatego, że Pana *Notatnik* z Polski stanowi kapitalny przyczynek do naszego, emigracyjnego „konfliktu pokoleń”; jest wyjątkowo atrakcyjnym pretekstem do pogwarzenia sobie o tym, co nas dzieli: Pana, który opuścił Polskę przed dwudziestu pięciu laty i mnie, który ją opuściłem niecałe dwa lata temu. Konkretnie mówiąc – dlaczego Pan i ja widzimy Warszawę w tak diabelnie różny sposób?

Jestem przekonany – choć pewnie Pan się ze mną nie zgodzi – że dzieli nas przede wszystkim Pana r o z c z a r o w a n i e. Zastrzegał się Pan wprawdzie, że przybywał do Polski bez żadnych łzawych wzruszeń, ale – i z tym Pan się chyba zgodzi – miał Pan, przekraczając Odrę, jakieś swoje wyobrażenie tego kraju, jakąś wizję Warszawy, w której – jak Pan pisze – przeżył Pan długie lata przed wojną.

Zastana rzeczywistość obróciła tę wizję w pył już tylko wspomnień, dla których nie mógł Pan znaleźć nawet materialnej oprawy. Nie mógł Pan na-

wet, spacerując po Marszałkowskiej, powiedzieć sobie: Zupełnie tu tak, jak tamtego wieczoru, przed laty... *rozczarowanie*.

„Obszarpana skóra tynków nie ruszanych od czasu króla Ćwieczka, wyżarte mięso cegieł, prowizorka załatań murów, nawet okien, straszliwe wnętrza klatek schodowych, chwiejne poręcze, łaty dykt tam, gdzie powinny być drzwi, ogólna atmosfera brudu i zaniedbania...”

Wydaje mi się, że pisze Pan tak o Warszawie, ponieważ nie jest to już Warszawa Pana, mimo że podrapane ściany, niechlujne klatki schodowe i stopy śmieci na podwórzach w Pana Warszawie też nietrudno było znaleźć. I chyba nie tylko w tych ponurych zakątkach znalazł Pan obcość, ale również w błyszczących szkłem wieżowcach Ściany Wschodniej, w awangardowej architekturze dworca śródmiejskiego i w świeżych murach nowych osiedli. No i oczywiście w ludziach. Tych ludziach, którzy budują takie wspaniałe rzeczy, którzy tak beztrudno i łatwo śmieją się w skromnym teatrze, a którzy jednocześnie tak gburowato – powiedzmy bez ogródek, po chamsku – traktują się nawzajem w sklepie, urzędzie i tramwaju.

Tak, Pałac Kultury jest straszny. Ale dla mnie jest on inaczej straszny niż dla Pana. Bo Pan nie przechadzał się nocą po otaczających go skwerach z dziewczyną – tą pierwszą – wymieniając złośliwe uwagi pod adresem jego projektantów i ofiarodawców. Z tej samej – symbolicznie biorąc – przyczyny odbudowany Gdańsk wydał się Panu „trupem”.

A ludzie? Chce Pan, żeby uwag Pana nie odczytywać jako uogólnienia. Ale przecież pisze Pan i o gburowatej ekspedientce, i o kilkudziesięciu pijakach na ulicach, i o durnej kasjerce w Pałacu Kultury, i o tępym kierowniku poczty, i o groteskowych urzędnikach bankowych. To jest uogólnienie, czy Pan tego chce, czy nie chce. Owe „trzy noce”, które opisuje Pan w tak właśnie zatytułowanym rozdziałku *Notatnika* – to też uogólnienie. Ta obrzydliwa, warszawska noc, pełna pijackiego ryku – to w Pana *Notatniku* symbol. I zresztą słusznie. Pewna współczesna, polska piosenka kabaretowa mówi o „niebie zbryzganym gwiazdami”. To jest, proszę Pana, właśnie to.

Dzieli więc nas jeszcze Pana niezrozumienie dla dziwnej – zgoda, często paskudnej – zgoda, psychiki tych ludzi, którzy wznoszą błyszczące wieżowce, mieszkają wśród podrapanych murów, dokonują artystycznych cudów i zalewają się w trupa podłą, śmierdzącą gorzałą. Często też, proszę Pana, i nie kąpią się po dwa tygodnie. A do tego wszystkiego jeszcze popatrzyć na Pana z góry. To rzeczywiście denerwujące.

I wreszcie, na koniec, dzieli nas jeszcze jedna sprawa, chyba zasadnicza. A mianowicie to, że – jak wynika z Pana spostrzeżeń – nie zauważył Pan, iż znalazł się wśród społeczeństwa, które się rozpaczliwie broni.

Gdyby Pan to zauważył, to może ekspedientki nie wydałyby się Panu tak gburowate, urzędnicy – tak beznadziejnie durni, a pijacy – tacy obrzydliwi. Ludziom, którzy od dwudziestu pięciu lat znajdują się w permanentnej, obejmującej najpospolitsze trywia codzienności w a l c e – wybaczają się wiele. Trzeba tylko zdać sobie sprawę z całego, wszechogarniającego koszmara tej walki, z jej mechanizmu. Wówczas także i sposoby ludzkiej obrony staną się bardziej zrozumiałe, choć nie przestaną przez to być – czasem – odrażające.

Nie jest wcale przypadkiem, że psychiatrzy – ludzie walczący z obłądkiem – wydają się często osobom postronnym cokolwiek rąbnięci. Ludzie broniący się od lat, codziennie, przed nachalną i wszechpenetrującą (bo wyposażoną w atrybuty władzy) głupotą, z takimż kabotynizmem i takimż świństwem – mogą komuś postronnemu wydać się durniami, kabotynami i łajdakami.

Cieszę się bardzo, że opublikował Pan swój *Notatnik z podróży po Polsce*. Jest on – w swej narracji – złościście rzetelnym i prawdziwym rejestrem oderwanych faktów, słów i postaci. W sumie natomiast – jest antyobrazem dzisiejszej Polski, a zwłaszcza dzisiejszych Polaków. Dlatego właśnie, dzięki tej swojej szczególnej właściwości – jest bardzo cenny, bo prowokujący. Stanowi rzadką okazję do szczerzej rozmowy między Wami, Seniorami emigracji, a nami, niedawno dopiero przyjętymi członkami emigracyjnej rodziny. Okazję do podsumowania dzielących nas różnic, bo przecież bez wzajemnego uświadomienia tych różnic nie może być zrozumienia.

Cieszyłbym się, gdyby ten list potraktowano jako próbę – rzecz jasna skromną i dotykającą zaledwie kilku problemów – nawiązania takiej rozmowy. Skoro bowiem mamy porozumieć się co do przyszłości Polski, to musimy przedtem znaleźć wspólny język dla określenia jej dzisiejszości.

Lucjan Perzanowski

BOLESŁAW SULIK

Robotnicy

Jednodniowe rozruchy robotnicze w Polsce 24 czerwca 1976 roku nie powinny były stanowić zaskoczenia ani dla władz partyjnych, ani dla uważnych zagranicznych i emigracyjnych obserwatorów sytuacji w kraju. Tymczasem powszechność i gwałtowne formy protestu robotników przeciwko podwyżkom cen mięsa i innych artykułów żywnościowych stały się dla władz oczywistym szokiem, a dla zagranicy zjawiskiem rewelacyjnym, lecz niezrozumiałym. W wypadku władz polskich jest to najbardziej, jak dotychczas, przedziwny i jaskrawy przykład nieuniknionego w systemach totalitarnych zatruwania się własną propagandą. Po rozruchach i strajkach robotniczych (styczeń 1970 – luty 1971) kontrola polityczna nad wielkimi zakładami pracy została znacznie zacieśniona. Sto kilkadziesiąt najważniejszych zakładów wyjęto spod kurateli komitetów wojewódzkich i przeniesiono pod bezpośrednią zwierzchność Komitetu Centralnego PZPR. Rozwinięto metodę monitorowania napięć w wielkich środowiskach robotniczych z siecią terenową komórek socjologicznych. Cały ten system okazał się bezużyteczny. Sygnały od partyjnych socjologów z terenu musiały być błędne, skoro doprowadziły do fałszywego rozpoznania w centrali.

Jest to zrozumiałe. Z jednej strony chaos pojęciowy, a z drugiej wzniesione przez lata praktyki życiowej defensywne mechanizmy psychologiczne u badających i u badanych wypaczają w zarodku wszelkie oficjalne sondaże nastrojów społecznych. Wiemy, że nawet w społeczeństwach otwartych, gdzie informacja nie jest tożsama z propagandą, niezmiernie trudno jest przewidzieć ruchy opinii publicznej i narastanie napięć. Cóż dopiero w systemie „demokratycznego centralizmu”, gdzie wszystkie istniejące struktury polityczne służą przekazywaniu woli władzy i gdzie partyjny badacz, który zamierzałby przesłać w górę sygnał sprzeczny z tym, czego władza chce i oczekuje, traci od razu normalne punkty oparcia. Do tego w tym systemie drastyczne rozszerzenie świadomości na urzędową i prywatną jest co naj-

mniej równie ostre wśród robotników, jak i wśród inteligencji pracującej. Urzędowe pytania pobudzają do urzędowych deklaracji. Osobiste uczucia grzęzną w tej podziemnej sferze życia, której się nie otwiera dla oficjalnych inspekcji. Tylko w momentach, kiedy napięcia pękają, w momentach wybuchu, przerwania tamy, ten żywioł się wylewa i prywatne frustracje robotników zyskują publiczny wymiar.

Zdziwienie zagranicznych i emigracyjnych obserwatorów wypływa, paradoksalnie, z analogicznych źródeł: z niezrozumienia społecznych i kulturowych mechanizmów, które działają w środowiskach polskich robotników. Dlatego zaskakuje ich powszechność i natychmiastowość protestu, dlatego szukają śladów zorganizowanego współdziałania robotników lub gotowi są wierzyć w ukrytą prowokację.

Kiedy to piszę, nic nie jest mi wiadomo o zajściach 24 czerwca poza powierzchniowymi i czysto zewnętrznymi relacjami z paru miejsc i oficjalną wersją, dawkowaną przez polską prasę. Nie wiem, czy nawet w Ursusie i Radomiu, gdzie bunt robotników przybrać miał najbardziej agresywne formy, ukonstytuowały się komitety strajkowe, nie wiem, kim byli i jak się wyłonili przywódcy buntu, czy doszło do sformułowania postulatów i czy szukano rozmów z władzami partii. Ale i bez tych istotnych konkretnych danych samą dynamikę zjawiska zrozumieć można poprzez analogię z poprzednimi polskimi strajkami, a przede wszystkim z wybuchem na Wybrzeżu w grudniu 1970 i styczniu 1971 roku. Na ten temat istnieją już dosyć obfite materiały.

Wiem sporo o organizacji i o dynamice ruchu robotniczego na Wybrzeżu, a w szczególności o najbardziej pod niektórymi względami ciekawym strajku okupacyjnym robotników stoczni im. Adolfa Warskiego w Szczecinie, od 22 do 25 stycznia 1971 roku. Jestem autorem scenariusza angielskiego filmu telewizyjnego *Three Days in Szczecin* (*Trzy dni w Szczecinie*), transmitowanego po raz pierwszy 21 września tego roku. Film jest półtorgodzinny, inscenizowaną rekonstrukcją styczniowego strajku, który zakończył się, jak wiemy, bezpośrednią konfrontacją okupujących swój zakład robotników z Edwardem Gierkiem. Materiały na ten temat zbierałem mozolnie przez blisko rok. Odbyłem kilka wielogodzinnych rozmów z Edmundem Bałuką, przewodniczącym styczniowego Komitetu Strajkowego w Szczecinie, który w 1972 roku uciekł na Zachód i mieszka obecnie w Anglii. Parę razy odwiedzałem Szczecin, gdzie poznałem innych przywódców strajku. Kontaktowałem się z działaczami robotniczymi w Warszawie, zbierałem materiały w kraju, gdzie tylko się dało. Pełną wersję zebranych mate-

riałów mam nadzieję sporządzić kiedy indziej. Tutaj podzielić się chcę tymi wiadomościami, które wydają mi się być pomocne w zrozumieniu aktualnej sytuacji w kraju. Prawie wszystkie konkrety zaczerpnięte są ze środowiska robotniczego w Szczecinie, które poznałem najlepiej.

Istnieje uderzająca różnica pomiędzy strukturą organizacyjną strajków grudniowych a strukturą strajku styczniowego w Szczecinie. W grudniu elita przywódcza była stosunkowo szczupła i składała się prawie wyłącznie z robotniczych działaczy partyjnych. Stąd też podejrzenia o prowokację, spekulację na temat partyjnego spisku, który miał być rzekomo ukrytą przyczyną wydarzeń grudniowych. Nawet przy tej interpretacji kluczowa rola ludzi partyjnych wydaje się dziwna. Wybuch gniewu zwrócony był przeciwko władzy partyjnej, naturalnym odruchem tłumu był marsz pod Komitet Wojewódzki, a kiedy dom KW stanął w ogniu, następnym symbolicznym aktem oczyszczenia stały się dziesiątki i setki legitymacji partyjnych, demonstracyjnie wrzucanych w płomienie. (To samo miało podobno miejsce 24 czerwca tego roku w Radomiu). Lecz kiedy po pożarach, strzelaninie i bitwach ulicznych tłum stoczniowców odpłynął do zakładu, zamknięto bramy i rozpoczęto strajk okupacyjny, na czele Komitetu Strajkowego stanął działacz partyjny Dopierała. W zgromadzeniu spontanicznych wieców poszczególne działy stoczni wybrały trójki reprezentantów, wśród których, jak się okazało, większość stanowili członkowie partii. W wyłonionym przez „trójki” zaledwie pięciosobowym nadrzędnym Komitecie Strajkowym łącznie z Dopieralą co najmniej cztery osoby (piątej nie jestem pewien) były partyjne.

Ale też bezpartyjnych działaczy robotniczych w Polsce praktycznie nie ma. Pojęcie „bezpartyjnego aktywu” odnosi się głównie do inteligencji. Dla robotników obdarzonych temperamentem społecznym partia, nie licząc organizacji sportowych, daje praktycznie jedyną możliwość spełnienia. Dlatego, gdyby istniały metody pomiaru przeciętnego poziomu moralnego kadr partyjnych, przekonany jestem, że wśród ogólnie bardzo nędznych wyników stosunkowo najwyższą przeciętną otrzymalibyśmy w środowiskach robotniczych. Znalazłaby się tam pewna liczba partyjnych nie przeżartych cynicznym oportunizmem.

Osób autentycznie dynamicznych, stanowiących naturalną elitę klasy robotniczej, jest w Polsce w zasadzie mało, na pewno procentowo mniej niż w przemysłowych krajach Zachodu. Jak wiadomo, polska klasa robotnicza jest dzieckiem powojennego przewrotu społecznego. W okresie niezwykle gwałtownej geograficznej i społecznej migracji stosunkowo łatwe się stało przekraczanie klasowych barier. Los robotnika nie był i wtedy pociągający.

Robotnikami stawali się ludzie o najniższych aspiracjach lub ci, którym się w życiu nie wiodło. Od tego czasu struktura społeczna w Polsce okrzepła, ale „przecieki” z jednej warstwy do innych wciąż są znaczne. Podobno na zawodowych kursach wieczorowych około 40 procent studiujących to robotnicy. Zapewne właśnie oni stanowią najbardziej ambitny i dynamiczny element w swej warstwie, ale cały ich margines energii nie strawionej przez pracę fizyczną w zakładzie służy temu, by z tej warstwy uciec. Z jednostek wybijających się, ale pogodzonych z losem robotnika, duży, być może przeważający, procent trafia do pracy partyjnej. Jest to zresztą jedyna dostępna im platforma i szkoła życia publicznego. To właśnie spośród nich pochodzą naturalni przywódcy strajków grudniowych na Wybrzeżu.

Oczywiście, robota partyjna nie jest szkołą nonkonformizmu. Ale w sytuacji grudniowej, w sytuacji tak strasznego napięcia emocjonalnego, działacze partyjni utożsamiając się z buntem robotników, ratowali autorytet już nie partii, ale swój osobisty. Zresztą wiedzieli, że ryzyko mogło się opłacić. Nie trzeba było wcale być uczestnikiem „spisku”, by zdawać sobie sprawę z prawdopodobieństwa zmian w Biurze Politycznym, łącznie ze stanowiskiem pierwszego sekretarza. Od roku 1968 partia nie była monolitem. W sytuacji braku otwartej gry politycznej działacze stają się niezwykle wrażliwi na wszelkie sygnały ukrytej walki, na zapowiedzi zmiany. Mrok zwiększa wrażliwość. Taka sama wyostrzona intuicja tłumaczy dwuznacznie przyzwalające stanowisko administracji w czasie strajków grudniowych. Mimo przerażającej gwałtowności walk ulicznych i żywiołowej nienawiści, jaka zapanowała pomiędzy policją i robotnikami, warunki bytowe na terenie okupowanych zakładów w Gdańsku i Szczecinie były stosunkowo łagodne. Nie próbowano głodzić strajkujących, nie odcinano przyływu żywności i wody. Administracja zachowywała pewien zakres neutralności, nie utożsamiała się jednoznacznie z policją.

Dnia 20 grudnia doszła do strajkujących wiadomość o usunięciu Gomułki i o objęciu przed Edwarda Gierka funkcji pierwszego sekretarza KC PZPR. Wypuszczono – jakby powiedzieli Anglicy – wiatr z partyjnych żagli. Strajk nie osiągnął swoich zasadniczych celów: nie cofnięto podwyżek cen żywności, nie mówiąc już o politycznym postulacie niezależności związków zawodowych. Ale na górze dokonano rewolucji pałacowej, partia zwierzała szeregi wokół nowego lidera i te same, bezbłędne instynkty działaczy robotników, które podpowiadały przedtem, że coś się stać musi, szeptały teraz, że to już to, że czas do domu. A tymczasem wrzenie wśród mas nie ustawało. Drogi partyjnych przywódców strajku i szeregowych robotników zaczynały

się rozchodzić. W Szczecinie bezczynność Komitetu Dopierały doprowadziła 22 grudnia do próby stworzenia nowego pięcioosobowego Komitetu, z poparciem części „trójek” strajkowych. Na jego czele miał stanąć bezpartyjny Edmund Bałuka. Tego samego dnia przyjechał do Szczecina wicepremier Kaim. Na rozmowy z nim stawily się już oba komitety, w składzie dziewięciu osób, bowiem jedna, Ewa Zielińska, weszła do obu. Niewątpliwie taka „rozłamowa” sytuacja ułatwiła Kaimowi zadanie. Oba komitety zgodziły się „zawiesić” strajk na czas Świąt Bożego Narodzenia.

Grudniowe strajki okupacyjne nie zostały nigdy formalnie odwołane, komitety i „trójki” wydziałowe nie rozwiązały się. Po prostu przestały funkcjonować i rozplynęły się. Po Bożym Narodzeniu stoczniowcy powrócili w zakładzie do swoich stanowisk pracy, ale produkcja praktycznie nie ruszyła z miejsca lub, w najlepszym wypadku, posuwała się naprzód w żółtym tempie. Odbывał się za to nieustanny ciąg zebrań i wieców, nieoficjalnych i oficjalnych, zwoływanych z byle czyjej inicjatywy pod czapką rady zakładowej, rad wydziałowych lub nawet przez pojedynczych „mężów zaufania”. Administracja był zwykle na tych wiecach reprezentowana, czasami pojawiali się ludzie z Komitetu Wojewódzkiego. Łatwo sobie wyobrazić, że na tym etapie większość zakładowych działaczy partyjnych starała się hamować nastroje, wysuwając skromniejsze postulaty, nie kolidujące z deklaracjami nowego kierownictwa partii. Niektórzy partyjni po prostu usuwali się w cień. W praktyce oznaczało to, że działacze partyjni przestali być reprezentatywni, nie wyrażali wręczących wciąż nastrojów mas. Ogłoszone przez Gierka podwyżki zarobków dla najniżej płatnych robotników, stoczniowców na ogół nie dotyczyły i nie zmieniały ich sytuacji. A Boże Narodzenie, święto rytualnego obżarstwa, uzmysłowiło znowu mięsożernym bez wyjątku robotnikom, jak dotkliwe były podwyżki cen żywności.

Ten paratygodniowy okres wiecowania pomógł zapewne w wyłonieniu potencjalnych, niepartyjnych przywódców. Trudno oczekiwać, by robotniczy działacze partyjni chcieli wnieść protest w rejony, gdzie układy wewnątrz partii nie mogłyby już dać żadnego oparcia. Na nowym etapie na czoło wysunąć się musieli ludzie niespokojni, o temperamentie awanturniczym – w niepejoratywnym tego słowa znaczeniu. Niezbędnymi cechami nowych przywódców były: zuchwała odwaga i umiejętność mówienia. Wstrząs grudniowy i parę późniejszych tygodni w atmosferze podnieconego wiecowania wypełnić musiały brak doświadczenia w życiu publicznym. Dla określenia własnej postawy, dorobienia się niezależnego światopoglądu politycznego, był to na pewno kurs bardziej owocny niż szkoła jałowych zebrań partyjnych.

Przywódcami strajku styczniowego w Szczecinie zostali tacy właśnie outsiderzy, a między nimi ludzie z historią konfliktu z prawem, pozbawieni możliwości działania w warunkach normalnych. Edmund Bałuka, rodem z Krosna, we wczesnych latach pięćdziesiątych był młodym marynarzem na dalekomorskich trasach. Pozbawiony książki marynarza za rzekome kontakty z emigracją próbował w 1956 roku uciec na Zachód, przepływając wpław Dunaj koło Bratysławy. Wyciągnięty z wody przez patrol czeski i wydany policji polskiej, odsiedział z górą rok w więzieniu. Z początkiem lat sześćdziesiątych osiedlił się w Szczecinie, gdzie później też znalazł się w areszcie za uderzenie funkcjonariusza milicji. O parę lat starszy Adam Ulfik, zastępca Bałuki w Komitecie styczniowym i dowódca milicji strajkowej, odpowiedzialny za bezpieczeństwo wewnątrz stoczni, był synem przedwojennego robotnika z Częstochowy. W czasie okupacji był już szczenięcym konspiratorem. Zesłany na roboty w głąb Niemiec, po nieudanych próbach ucieczki zostaje uwięziony w obozie Mauthausen. Kiedy po dwóch latach obóz koncentracyjny wyzwalają wojska alianckie, Ulfik odszukuje swego obozowego kapo i zabija go. Odsiaduje wyrok w amerykańskiej strefie okupacyjnej, po czym wraca do Polski i osiedla się w Szczecinie. Trafia tu znowu do więzienia na sześć miesięcy za pobicie oficera milicji.

W oczach kolegów robotników taka „kryminalna” przeszłość nie jest na pewno żadną plamą. Natomiast zagraża tym niespokojnym, energicznym i często autentycznie zdolnym ludziom drogę do działalności publicznej, już chociażby przez to, że po wyroku skazującym nie można być przyjętym do partii.

Bezpośrednim lontem strajku styczniowego były kłamstwa propagandy. Normalnie robotnicy są całkowicie gruboskórni i nieczuli na napuszoną i sprzeczną z faktami retorykę środków masowego przekazu. W okresach napięcia, kiedy ich głębokie frustracje wychodzą na powierzchnię, stają się niezwykle na propagandę wyczuleni i drażliwi. Po Bożym Narodzeniu jedyną koncesją władz na rzecz wzburzonych szczecińskich robotników było odwołanie Walaszka, znienawidzonego po Grudniu sekretarza KW. Z początkiem stycznia pojawił się w stoczni Szydlak, po czym Walaszek zniknął i przyjechał Ołubek, nowy pierwszy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego. Pierwszą inicjatywą Ołubka było spreparowanie w stoczni kontrwiecu na wydziale rurowni. Działając poprzez wydziałową komórkę partyjną, zaimprovizowano 11 stycznia zebranie w rurowni, w obecności grupki miejscowych dziennikarzy, fotoreporterów i ekipy telewizji szczecińskiej. Bez wiedzy robotników wywieszono transparent na temat czynu produkcyjnego

i odczytano zobowiązanie o ponadplanowej produkcji w rurowni. W parę dni później na pierwszej stronie „Głosu Szczecińskiego” ukazała się szumna relacja z zebrania, zilustrowana fotografią-fotomontażem, gdzie dla lepszego efektu wkomponowano aktualny transparent w zdjęcie tłumnego wiecu sprzed paru lat.

Krajowi zwolennicy teorii spisku chcą widzieć w obelżywej prymitywności tego propagandowego manewru dowód prowokacji. W ich interpretacji zebranie w rurowni było inspirowane przez moczarowców, by spowodować nowy wybuch i skompromitować nie okrzepły jeszcze reżym Gierka. Nie znane mi są żadne związki pomiędzy Ołubkiem i Moczarem, natomiast wiem, że spreparowane zobowiązania tego typu należą do arsenału normalnych środków aparatu partyjnego, że ich stosowanie jest jego naturalnym, mechanicznym odruchem. Podobnie w końcu czerwca bieżącego roku odpowiedzią aparatu na protest robotników były zganiane pochody i wiece demonstrujące rzekome poparcie dla rządowej polityki wzrostu cen. Nie wolno zapominać, że w tamtym systemie nie istnieją i bez radykalnej reformy obecnych struktur nie mogą istnieć żadne procedury pozwalające na przeprowadzenie autentycznych konsultacji z robotnikami. Zebrania odbywają się zawsze według ustalonego schematu, wypowiedzi są zawsze zaprogramowane, konkluzje muszą być z góry wiadome. Niekontrolowane, spontaniczne procesy powodują wśród odpowiedzialnych władz panikę. Sama sytuacja prawdziwie otwartego zebrania, gdzie każdy mówi co chce i co myśli, jest jednoznaczna z buntem. Ale też wydarzyć się może tylko w warunkach spotęgowanego napięcia. Normalnie ludzie trzymają się gotowych, bezpiecznych, a nic nie znaczących formuł. Lub milczą.

Tak więc nowy sekretarz KW, świadom, że partia oczekuje od niego politycznej inicjatywy, chwytą się gotowych, stereotypowych wzorów. Nie rozumie – bo pełna świadomość byłaby zbyt groźna, bo godziłaby w rację, które praktykuje on i jego partia – że w sytuacji społecznego wrzenia działanie normalnie bezpieczne, asekuranckie, staje się sypaniem prochu w żar. Kiedy robotnicy chcą mówić własnym głosem i podejmują niezbędne po temu ryzyko, powstaje rodzaj sprzężenia zwrotnego i cała zdawałoby się martwa partyjna liturgia nagle też ożywa, stając się zniewagą nie do zniesienia.

Po rzekomych zobowiązaniach z 11 stycznia rurownia stała się przedmiotem gniewu i pośmiewiskiem reszty stoczni. Nowa fala wzbierała przez kilka dni, rozlewając się, kiedy zobowiązania powróciły echem ze stolicy i „Trybuna Ludu” zamieściła relację o zobowiązaniach w rurowni szczecińskiej. Dnia 22 stycznia rano, kiedy dzienna zmiana weszła do rurowni,

a nocna jeszcze nie wyszła, robotnicy wydziału porzucają stanowiska pracy i ruszają w stronę budynku administracji. Przyłączają się do nich inni stocznioowcy, tłum rośnie. Z obawy przed powtórzeniem się walk ulicznych ktoś z administracji zamyka główną bramę. Na terenie zakładu rozpoczyna się spontaniczny, burzliwy wiec. Z dachów szop i budynków kilku mówców jednocześnie wykrzykuje swoje racje. Na płaskim dachu kiosku żywnościowego, tuż ponad napierającym na bramę tłumem, staje Bałuka, Ulfik, Tokarski i paru innych stocznioowców. Wołając przez tubę naprędce zwiniętą z forszpanu, Bałuka pierwszy rzuca hasło strajku okupacyjnego aż do przyjazdu na rozmowy ze strajkującymi najwyższych władz partyjnych i państwowych.

Przypadek odegrał tu sporą rolę. Edmund Bałuka przyznaje, że sformułował to hasło na poczekaniu, pod naciskiem sytuacji. Ale była to pierwsza propozycja odmiennej niż dotychczas strategii. Pierwsza i jedyna. Na poczekaniu też wymyślona została nowa struktura organizacyjna strajku. Każdy z trzydziestu sześciu wydziałów Stoczni im. A. Warskiego wybierał pięciu reprezentantów i jednego członka centralnego Komitetu Strajkowego. Na czele Komitetu stanął Edmund Bałuka, a jego zastępcami byli Ulfik i Andrzejczak. Spoza „piątek” dokooptowano jeszcze do zadań specjalnych dwóch partyjnych aktywistów, Franciszka Wilanowskiego i Lucjana Adamczuka. Wilanowski w okresie stalinowskim był przez czas pewien robotnikiem-prokuratorem i miał być przy Komitecie doradcą prawnym; Adamczuk, który po dziesięciu latach pracy fizycznej w stoczni ukończył korespondencyjnie Wyższą Szkołę Nauk Społecznych przy KC, i w grudniowym Komitecie Dopierały pomagał redagować postulaty, zgodził się pełnić tę samą rolę przy Komitecie Bałuki. Tak więc ponad dwustu robotników, w ogromnej większości niepartyjnych, brało w czasie strajku bezpośredni, aktywny udział w robocie politycznej. Do tego dodać trzeba robotników stoczni remontowej i innych zakładów szczecińskich, które zastrajkowały na znak solidarności i przysłały swoich reprezentantów do stoczni. Poza tym kilkuset stocznioowców pełniło służbę przy ochronie bram, przejść, przystani, instalacji i magazynów.

Nie tylko dla tej stosunkowo bardzo szerokiej elity, ale dla wszystkich zamkniętych w stoczni robotników trzy dni strajku były jednym ciągiem zebrania i narad. Czterdziestoosobowy Komitet pozostawał w prawie stałej sesji, wprowadzie nie zawsze w pełnym składzie, bo poszczególni członkowie mieli też swoje specjalnie przydzielone zadania. „Piątki” strajkowe krążyły nieustannie pomiędzy Komitetem a swoimi wydziałami, zwołując zebrania

wydziałowe, przedstawiając im propozycje Komitetu i przekazując poglądy kolegów z powrotem Komitetowi. Poza tym w specjalnie wydzielonym pokoju Adamczuk i Szerkus przyjmowali postulaty zgłaszane indywidualnie i grupowo przez stoczniovców i od załóg innych strajkujących zakładów. Było tych postulatów dosłownie setki. Ich tematem mogły być równie dobrze zarówno nieistotne drobiazgi regulaminowe, jak i naprawa systemu.

Ta oszałamiająca trzydniowa eksplozja demokracji tym bardziej jest imponująca, że miała miejsce w warunkach ogromnego zagrożenia. Stwierdzenie, że przez te dni uczucie strachu nigdy nie opuszczało przywódców strajku, nie przynosi żadnej ujemy tym ponad wszelką miarę odważnym ludziom. Nie zamierzam w szczupłych ramach tego artykułu opowiadać szczegółowej historii styczniowego strajku w Szczecinie, ale przecież był on działaniem po omacku, bez żadnych precedensów i bez praktycznych nadziei na jakiekolwiek oficjalne poparcie. Dyrekcja stoczni od początku była jednoznacznie wroga. Odcięto dopływ żywności i papierosów, a ulotki z helikopterów i głośniki spoza bramy wzywały robotników do wystąpienia przeciwko „bandytom”, którzy opanowali stocznię, i do otwarcia bram. Jeszcze w piątek, pierwszego dnia strajku, łączność z miastem była stosunkowo łatwa, ale w sobotę nadeszły znaczne posiłki „golędzinowców” i stocznia została zamknięta ciasnym kordonem uzbrojonej po zęby policji. Według ocen strajkujących liczba policjantów była znacznie wyższa od liczby zamkniętych w stoczni robotników. Wieczorem w sobotę odcięty został dopływ prądu, i w nagłym mroku umilkł głos radiowęzła kontrolowanego przez stoczniovców. Uderzenie milicji wydawało się prawdopodobne. Tylko śmiały blef Komitetu (groźba zgubnej dla instalacji eksplozji kotłów parowych) skłonił dyrekcję do przywrócenia w stoczni elektryczności.

Działający w atmosferze uniesienia i strachu i określający się w tym działaniu Komitet i aktyw strajkowy nie mogły być politycznym monolitem. Byli tam ludzie, którym marzyło się powstanie robotnicze w całej Polsce. Padały sugestie wyjścia za bramę, uderzenia na policję, jazdy zdobycznym czołgiem do Warszawy, w zapalczywej wierze, że cały kraj ich poprze. Większość stawiała znacznie skromniejsze cele, wśród których postulat cofnięcia podwyżki cen i gwarancji nietykalności osobistej dla uczestników strajku traktowane były jako najważniejsze. Nawet wśród najbardziej zuchwałych pragnienie ocalenia własnej skóry grało swoją rolę. Dlatego aktywista partyjny Wilanowski pilnował, z pełnym poparciem Komitetu, by nie gwałcono litery prawa, a drugi aktywista, Adamczuk, redagował list Komitetu do Gierka i postulaty stoczni.

Adamczuk, syn chłopa z Lubelszczyzny, wydaje się najdziwniejszą i najbardziej złożoną postacią wśród przywódców strajku. Jest to człowiek inteligentny, zdolny, pracowity, racjonalny, urodzony polityk. Jego rola i w grudniowym, i w styczniowym strajku była znaczna. Styl postulatów i listu do Gierka wydaje się wystarczającym świadectwem rzetelności jego poglądów. Ale też w najbardziej politycznie karkołomnych, krańcowych sytuacjach, Adamczuk starał się zachować jakiś zakres lojalności względem partii. Nie solidaryzował się, jak twierdził, z jej polityką wewnętrzną, dążył do jej zmiany, ale podlegał dyscyplinie partyjnej. Zapewne jego ambicje osobiste nie pozostawały bez wpływu na jego postawę. Zaproszenie Komitetu Strajkowego przyjął dopiero po rozmowie telefonicznej z Ołubkiem, sekretarzem KW, z czym zresztą wcale się nie krył. Przypuszczać wolno, że jego otwarcie podzielona lojalność i stosunki w KW tolerowane były jako mały wentyl bezpieczeństwa w raczej beznadziejnej sytuacji. Ale w nocy z soboty na niedzielę Adamczuk przekazał do radiowęzła, bez upoważnienia, komunikat o bezwarunkowym odwołaniu strajku. Przesłuchiwany przez członków Komitetu mówił, że strajk nie ma już żadnych szans powodzenia, że zgnieciony zostanie siłą. Mimo to nie został wydalony ze stoczni – co spotkało przedtem paru innych „zdrajców” – i w niedzielę wieczorem na spotkaniu z Gierkiem pilnował porządku przy mikrofonie.

Mimo różnicy zdań pomiędzy „rewolucjonistami” i „reformistami” Komitet Strajkowy trwał przy żądaniu konfrontacji z Gierkiem na terenie stoczni i uparcie odmawiał rozmawiania na jakimkolwiek niższym szczeblu. Widocznie jednak podświadomie przywódcy strajku nie wierzyli w spełnienie tego podstawowego postulatu, skoro w trakcie całej tej demokratycznej, trzydniowej egzaltacji nie znalazł się czas na sprecyzowanie procedury na wypadek nagłego pojawienia się Gierka. Tymczasem w niedzielę po południu zgłosił się Szlachcic, poprzedniego dnia mianowany ministrem spraw wewnętrznych, z wiadomością, że Gierek jest już w Szczecinie i z pełnomocnictwem na omówienie warunków spotkania. Komitet Strajkowy prosił o parogodzinną zwłokę dla umożliwienia konsultacji z „piątkami” i załogami wydziałów. Nim jednak Szlachcic zdołał opuścić stocznię, Gierek i Jaro-szewicz wysiedli z taksówek przy głównej bramie i przekroczyli ją bez sprzeciwu osłupiałej straży.

Gierek szedł przez stocznię w stronę świetlicy, wzywając do siebie napotkane grupki robotników. Zapewne jego pierwszym zamiarem było zaskoczyć Komitet Strajkowy, wypełnić salę przypadkowymi ludźmi i rozegrać konfrontację na własnych warunkach. Tylko częściowo udało się to udare-

mnąć. Ulfik z grupą ludzi ze swego wydziału odciął u drzwi większą część podążających za Gierkiem robotników, ale na sali, obok Komitetu i pewnej części „piątek” (inni już w czasie spotkania prowadzili zebrania na swoich wydziałach), znalazła się spora grupa robotników bez mandatu. Właśnie chaos i przypadkowość procedury uczyniły z tego zebrania dziewięciogodzinną konfrontację o przejmującej dramaturgii, z gwałtownie spontanicznymi wypowiedziami stoczniowców. Na szczęście, Komitet okazał się wystarczająco przezorny, by utrwalić całość spotkania na taśmie magnetycznej. Dzięki temu znane jest nam dokładnie.

Jak wiadomo, Gierek odmówił kategorycznie rozważenia postulatu pierwszego – żądania obniżki cen na artykuły spożywcze. Skapitulował dopiero w tydzień później, po strajku łódzkich przadek. Za to raczej nieoczekiwanie przyjął postulat bezzwłocznych wolnych wyborów do władz związkowych i rad robotniczych na szczeblu wydziału i zakładu, i zgodził się na przeobrażenie Komitetu Strajkowego w Komisję Robotniczą, z zadaniem dopilnowania realizacji tego postulatu. Do kompetencji Komisji Robotniczej miało należeć wyłączne dysponowanie radiowężłem.

Znając późniejszy rozwój wydarzeń, można być pewnym, że koncesja Gierka miała charakter czysto taktyczny. Trudno sobie wyobrazić, by kiedykolwiek zamierzał on dopuścić do uniezależnienia struktur związkowych od partii. Ale po zakończeniu strajku, przez kilkanaście dni do wyborów, które na terenie zakładu przeprowadzone zostały 12 lutego, Komitet Strajkowy, działający pod nową nazwą w prawie nie zmienionym składzie, pozostawał faktyczną władzą polityczną stoczni. Znowu jednak na jaw wyszedł brak doświadczenia politycznego przywódców strajku. Mając w ręku tak istotne atuty, nie wyzyskiwali ich do przeprowadzenia efektywnej kampanii przedwyborczej. Zapewne sądzili, że ich strajkowe osiągnięcia wystarczą. Tymczasem „opozycja”, oparta na lojalistycznej części partyjnych i wspomagana przez dyrekcję, nie zasypiała sprawy. W rezultacie w głosowaniu na „mężów zaufania” i do rad wydziałowych przeszła pewna liczba popularnych w skali wydziału członków Komitetu lub „piątek”, ale na szczeblu zakładu do Rady Robotniczej wszedł tylko Bałuka, którego nazwisko stało się w stoczni głośne. Zdyscyplinowany blok oponentów Komisji Robotniczej sprawił, że Ulfikowi, Bezi i innym zabrakło paru głosów.

Po wyborach Komisja Robotnicza została formalnie rozwiązana. Przez parę następnych miesięcy grupa jej byłych członków dysponowała jeszcze poważnym wpływem na terenie stoczni, ale jej całkowita dezintegracja była już tylko kwestią czasu. Stocznia imienia A. Warskiego nie mogła pozostać

długo jedyną w skali kraju oazą niezależnych robotników. Formalnie nikt z przywódców strajku nie został nigdy postawiony w stan oskarżenia za działalność polityczną na terenie stoczni, ale naciski policyjne grały ważną rolę w pacyfikowaniu zakładu.

W życiu polskiego robotnika policja jest zawsze bliska, nie jako ramię abstrakcyjnego „systemu”, ale jako obecność całkiem namacalna, fizyczna. Najróżniejsze formy infiltracji są oczywistym dla wszystkich faktem. Nie tylko ORMÓ, ale i większość umundurowanych, szeregowych milicjantów wywodzi się ze środowisk robotniczych, podobnie jak i wielu cywilnych agentów i zwykłych donosicieli, jak dozorczy domów, których związki z milicją są w Polsce powszechnie znane. Robotnicy i policjanci należą do tej samej formacji kulturowej. Żyją ze sobą w osobliwej intymności, na dnie której są osady podejrzeń, niechęci, strachu i często nienawiści. Uciec od policji się nie da ani fizycznie, ani – jak się to udaje dysydenckim inteligentom – poprzez sposób bycia stwarzający dumny dystans. Policjanci są w zakładzie, na trybunach stadionów i w pijackich barach. Wódka ma w tej niebezpiecznej intymności swoją istotną rolę. Wcale nie wszyscy robotnicy piją nałogowo, ale raz na jakiś czas, zwykle po wypłacie, prawie wszyscy piją do upadłego. Czasem jest to wieczór z żoną czy dziewczyną w restauracji drugiej kategorii, gdzie już po ósmej z kolacją bywa kiepsko, ale jest dansing i nigdy nie brak czystej wyborowej lub żytniej. Znacznie częściej spotyka się kolegów w ciasnych, tanich barach, gdzie pije się na stojąco, obowiązkowo zagryzając gęste „sety” cienkim dzwonkiem śledzika lub kęsem kiszzonego ogórka. Potem, jeżeli jeszcze trzeba, są prywatne „meliny”, gdzie wolno budzić właściciela o każdej porze nocy i butelka stołowej, zwanej też „partyjną” z uwagi na czerwoną etykietkę, kosztuje o pięćdziesiąt lub sto procent więcej. Wszystkie te miejsca są dobrze znane i uczęszczane przez policję, służbowo i z czystej ochoty. Przy stoliczku, po drodze do zupełnego zamroczenia, znajomy policjant może stać się na krótko partnerem zwierzeń, przez pijackie koleżeństwo lub na zasadzie „ja się ciebie nie boję”. Nierzadko taka intymność kończy się wybuchem nienawistnej złości. Wśród robotników pobicie funkcjonariusza milicji jest najczęstszym „kryminalnym” wykroczeniem.

Polityczne procesy nie są potrzebne. Dysponując czasem i cierpliwością policja może poczekać na okazję wyłowienia niebezpiecznych politycznie robotników, może taką okazję podsunąć lub spreparować. Łatwo da się zbierać informacje, potrzebne do dezintegrujących środowisko drobnych prowokacji. Najbardziej efektywną metodą walki z robotniczym nonkonfor-

mizmem jest rozsiewanie podejrzeń, że wszystko jest prowokacją, że wszyscy przywódcy strajku byli agentami UB. W formalnych i nieformalnych przesłuchaniach policja popisuje się zawsze tym, co wie, i nieopatrznie „zdradza” swoich rzekomych informatorów. Rozsyłane są także anonimy. W głębokiej społecznej izolacji, w jakiej żyją robotnicy, w kulturowym ubóstwie ich zwykłej egzystencji, jest niemal nie sposób oprzeć się tak przewrotnym metodom.

Podejrzania, że agenci działali wewnątrz Komitetu powstawały jeszcze w czasie strajku. W parę dni po spotkaniu z Gierkiem z Komisji Robotniczej, za kontakty z UB w czasie strajku wydany został niejaki Zaleski. Wkrótce po rozwiązaniu Komisji mieszkania jej członków nawiedzać zaczęli przyjezdni z Warszawy tajniacy, znani jako „trenerzy” („bo ustawiają zawodnika”). Przyjeżdżali po dwóch, jeden groźny, drugi miły, i poza wyciąganiem informacji personalnych próbowali przekupstwem lub pogroźkami skłonić rozmówcę do wskazania skrytek z dokumentacją strajku. Nie tylko w Szczecinie, ale w skali całego kraju odbywała się wtedy gigantyczna operacja policyjna, której celem było znaleźć i zabezpieczyć wszystkie potencjalne źródła informacji o wydarzeniach na Wybrzeżu. Operacja trwała nawet po przedostaniu się na Zachód dźwiękowego zapisu spotkania z Gierkiem. Pozostawały bowiem w ukryciu zapisy zebrań Komitetu i wieców strajkowych, zdjęcia, zeznania na temat zachowania się policji w czasie i po wydarzeniach ulicznych i tak dalej. Wydaje się, że policji udało się przechwycić większość tych materiałów.

Generalna, ostra rozprawa z grupą przywódczą strajku rozpoczęła się latem 1971 roku. Dnia 10 sierpnia Bogdan Gołaszewski, który w styczniu wyprowadził robotników z rurowni, najmłodszy i jeden z najbardziej bojowych przywódców strajku, znaleziony został w swojej kawalerce nieżywy, otruty gazem. Jego koledzy z Komitetu są przekonani, że został zamordowany przez agentów policji. W jakiś czas potem miał miejsce nieudany zamach na życie Ulfika. Pewnego wieczoru, kiedy wracał sam do domu (żona wyjechała na wczasy), zastał w mieszkaniu dwóch nieznajomych, którzy obezwładnili go i wyszli odkręcając kurki z gazem i zostawiając go na podłodze, odurzonego chloroformem. Ulfik, mężczyzna potężny, przyszedł do siebie i zdołał otworzyć okno. Niedługo po tym incydencie Ulfik został aresztowany pod zarzutem zgwałcenia ułomnej, niedorozwiniętej córki dozorczy domu, w którym mieszkał. Mieszkanie dozorczy było znane jako miejsce pijackich zebrań miejscowej milicji. Ulfik kategorycznie zaprzeczał oskarżeniu i po energicznej interwencji Rady Robotniczej, której sekretarzem był

wtedy Bałuka, został odesłany z więzienia do szpitala, po czym zwolniony bez sprawy i przeniesiony na rentę zdrowotną. Zabrano mu wtedy przepustkę do stoczni i nie zwrócono, chociaż Ulfik żądał jej, by udać się do swojej przychodni lekarskiej na terenie zakładu i odmawiał zbadania przez lekarzy na mieście. Przez następne lata wypłacano Ulfikowi rentę zdrowotną, chociaż nie przedstawił on ani razu zaświadczenia lekarskiego. Na teren stoczni wejść nie miał prawa.

Adam Ulfik zmarł nagle 2 lutego 1976 roku. Ten groźny, zdecydowany na wszystko kolos o uśmiechu dziecka zasłużył na to, by go wydobyć z mrocznych dziejów PRL. W Komitecie Strajkowym był postacią bodajże najbardziej niezłomną, otwarcie wrogą systemowi. Pragnął kontynuować strajk i zapoczątkować zasadę, że każdy strajk okupacyjny, trwający dłużej niż pięć dni, w którym bierze udział więcej niż połowa załogi, staje się sprawą międzynarodową i badany być powinien przez niezależny zespół działający pod egidą ONZ. Jego poglądy były mieszaną naiwności i prawdziwego rozumu politycznego, owianą sentymentalnym a gorącym patriotyzmem. Był całkowicie bezkompromisowy i nieprzekupny, nie załamał się nigdy, do końca wierzył, że siła polskich robotników obali istniejący porządek.

Pomiędzy latem 1971 a 1972 roku ukryte represje dotknęły i innych członków Komitetu. Gałązka, który w czasie pochodu 1 maja 1971 roku zerwał czapkę z głowy oficerowi milicji i publicznie ją podeptał, został skazany za gwałt na osiem lat więzienia. Po incydencie w restauracji więzienie groziło Arturowi Bezi. Kilkoro innych – Ewa Zielińska, Jola Jakimowicz (spikerka w czasie strajku), Urbański – pod naciskiem przyjęło pracę poza stoczną. W drugiej połowie 1972 roku cały zakład był już praktycznie spacyfikowany. W tym samym czasie Edmund Bałuka przyjął posadę wojewódzkiego przewodniczącego Związku Metalowców i opuścił teren stoczni. Już w półtora miesiąca później został pozbawiony urzędu i nie przyjęty z powrotem do pracy w zakładzie. Z początkiem 1973 roku pozwolono mu uzyskać książkę marynarza, zapewne w nadziei, że opuści kraj na stałe. Co uczynił.

Żadne niezależne pogrudniowe struktury nie utrzymały się i nie mogły się utrzymać. Były to jednak precedensy ogromnej wagi. Spoistość klasowa i solidarność nowej klasy robotniczej w Polsce datują się właściwie od grudnia 1970 i stycznia 1971 roku. Ale wzrost zarobków w latach siedemdziesiątych wcale nie zmienił ich kulturowo wciąż ubogiej egzystencji i nie usunął źródeł frustracji. Jest to życie od zdarzenia do zdarzenia, gdzie wódka czy sport pozwalają na małe eksplozje frustracji, zawsze na temat „ja wam pokażę,

ja się nie boję”. W sytuacjach gwałtownego fermentu te psychiczne napięcia wybuchają zbiorowo, publicznie. Robotnicy się nie boją, bo ich strach przeraża się w zuchwałość, bo deprawację ich życia eksplodują złością.

Nowa świadomość klasowa oznacza, że coraz trudniej jest odizolować pojedyncze wybuchy. Kiedy rosną napięcia, dezinformacja środków przekazu odnosi odwrotny efekt. Wszyscy się wsłuchują, więc każdy szept się rozlega spod tej martwej gadaniny, każda plotka staje się legendą. Wybuchy robotnicze leżą w naturze systemu i chyba będą coraz częstsze.

Bolesław Sulik

[10/1976]

SALLY BOSS

Jankeska na dworze króla Gierka

Przybyszkę ze Stanów Zjednoczonych uderza w Polsce od początku ton głosu. Jest on przymilny lub opryskliwie zaperzony. Panienki i panowie z okienek wydający przeróżne kwitki oraz ekspedientki w sklepach są poważnie zaperzeni. Ale nie tylko oni. Jak pacjent w chronicznym stanie podgorączkowym, przeciętny Polak znajduje się permanentnie w stanie lekkiej irytacji. W tramwaju i w sklepie. Przy rodzinnej rozmowie. U fryzjera. Gdy pracuje. Nasuwa się refleksja, że używający tonu zaperzonego musieli być wiele razy poniżani, nabierani i oszukiwani i wyrobili w sobie zwyczaj nieinteligentnego odparowywania ataku stroszeniem się.

Ton przymilny używany jest zwykle przez kelnerów, którzy zdecydowali, że gość wart jest skakania obok niego, przez panienki, które chcą brzmieć elegancko i nobliwie, oraz przez petentów (czyli kupujących) w sklepach. W parze z nim idą zdrobnienia: herbatka, ciasteczko, kawka, szklaneczka, rachuneczek, papierek. Zauważyłam ślady tonu przymilnego, sztucznie ugrzecznionego, u spikerów i spikerek telewizyjnych. Ludzie pracujący w usługach często używają tonu zaperzono-zirytowanego na zmianę z przymilnym – zależnie od tego, kogo obsługują. Słowem, „szary człowiek” wydaje się mieć tylko te dwa tony w swoim repertuarze.

Gdyby nie ton głosu, który uderza od początku, przybyszka nie od razu zauważyłaby, że coś jest w dużym nieporządku. Gdyż Polska jest krajem złudzeń optycznych. Jadąc z lotniska na Okęciu do Warszawy, widzi się czyste i porządne ulice, dobrze umieszczone znaki drogowe oraz inne sygnały normalnego europejskiego życia. Główne trasy samochodowe też nieźle wyglądają. Chodząc po centrum Warszawy, widzi się sklepy z doskonałymi często wystawami, na których znajduje się niemal wszystko, czego ciało może zapragnąć. Przechodnie są nie najgorzej ubrani, sporo ładnie ubranych dziewcząt. No i – ważna rzecz! – ludzie, z którymi cudzoziemiec zwykle się spoty-

ka, należą do grupy dobrze sytuowanej, używającej hoteli i restauracji, wysoko postawionej zawodowo, z mieszkaniem i samochodami.

Po paru dniach pobytu zauważa się skazy na tym obrazku. Kolejki pięcioosobowe, które w Stanach też nie są zjawiskiem nienormalnym (ale likwidowane są w ciągu paru minut), tutaj stoją wiele razy dłużej. Akcja przy końcu kolejek przypomina teatr absurdu. Dóbr materialnych wszelkiego rodzaju jest najwidoczniej tak mało, że efektywność sprzedaży zupełnie nie jest potrzebna: wszystko i tak „pójdzie”. W księgarni pytam panienkę, siedzącą za ladą i czytającą książkę: – „Przepraszam, czy pani tutaj pracuje?”. – „A co to panią obchodzi, czy ja tu pracuję, czy nie?” – stroszy się panienka. – „Chciałam zapytać, czy jest...” (już przybieram ton przymilny). – „To nie tutaj, niech pani zapyta na prawo”. Ta ślamazarność obsługi, to dopraszanie się łaski u obsługującego jest czymś, czego przybysz ze Stanów zupełnie nie rozumie. Tłumaczy mi znajomy: – „To dlatego, że pensje są niskie, a z pracy nikt nikogo nie wyrzuci, bo bezrobocie wszak nie może być”. I dalej tłumaczy mi tenże znajomy: – „Te piękne wystawy to mydlenie oczu. Niech pani wejdzie do sklepu i poprosi o rozmiar sukni czy butów, który jest pani potrzebny. Okaże się, że nie ma. Jest tylko parę rozmiarów i te leżą, aż ktoś odpowiedni wzrostem i tuszą je weźmie”.

I dalej: odkrywam, że nawet na przedmieściach Warszawy (nie mówiąc już o pomniejszych miastach) nie ma przynajmniej połowy rzeczy, które można znaleźć w centrum, gdzie bywają turyści. Najbardziej rzuca się w oczy brak artykułów spożywczych – garmażeryjnych i tych nieprzetworzonych – oraz odzieży. Chodząc i jeżdżąc po mieście, zauważam brak papieru toaletowego w łazienkach, i to nie tylko tych dla szerokiej publiczności. Przyczyna: kradną. Papier ten, jak sprawdziłam, był w drogerii. Dlaczego więc kradną? Konkluzja nasuwa się smutna: bo się opłaca. Kraj, w którym warto kraść papier toaletowy, jest bardzo ubogim krajem. Porównuję to z Meksykiem, gdzie również kradną, na przykład części samochodowe, ale gdzie jednak nie opłaca się uprawiać tych maleńkich kradzieży w toaletach.

I tak powoli wyzbywam się złudzeń optycznych. Po ich częściowym przynajmniej opadnięciu zaczynam zauważać kontrasty. Między wzruszającą niekiedy uczciwością, w najlepszej tradycji polskiej legendy, a brutalnym cwaniactwem. Między nieuczynnością mniej więcej 85 procent obsługi (której, w moim rozumieniu, płaci się za to, aby była uczynna) a prawdziwą dobrocią (którą też się od czasu do czasu spotyka i która znowu wydaje się być zbyt cenna na okoliczności zawodowe: tutaj wystarczy zawodowa uprzej-

mość). I ten największy kontrast: między elitą i masą; między pewnością siebie elity i potulnością masy; między zarobkami „elity w elicie” i masy.

Rozwarstwienie klasowe w Polsce jest olbrzymie. Dotyczy ono nie tylko zarobków i rozwoju intelektualnego, ale również czegoś, co nazwałabym postawą wobec życia. Zaczniemy od pieniędzy. W Stanach oczywiście też istnieją posiadający i nie posiadający, ale sprawa zarobków najmniej zamożnych jest ciągle wałkowana w prasie i w rozmowach i żywego zainteresowania nią trudno jest uniknąć. W Polsce zauważyłam wśród tych naprawdę zamożnych zdumiewający brak zainteresowania warunkami życia masy. „Tak, pielęgniarki zarabiają około 1700 złotych” powiedziała mi przemiła zresztą pani, której mąż w jednym z bardziej dochodowych lat kupił trzem synom po samochodzie. Dalej – w Stanach różnica między klasą średnią i ubóstwem jest stosunkowo nieznaczna – jest się już zamożnym, gdy zarobek wynosi 3–4 razy więcej niż ten, który ekonomiści określają mianem granicy ubóstwa. W Polsce różnica pomiędzy dobrze zarabiającymi a zarabiającymi bardzo mało jest znacznie większa.

Rozwarstwieniu materialnemu towarzyszy równie wielkie rozwarstwienie umysłowe. Są w Polsce ludzie w każdej nieomal dziedzinie, którzy przy sprzyjających warunkach byłoby w czołówce światowej w swojej specjalności. Ludzie ci są pewni siebie, nieźle poinformowani, rozumiejący doskonale mechanizm życia na niby, który w Polsce uprawia się od lat. Czasem są oni, w pewnym sensie, znacznie bardziej rozwinięci i pojętni niż ich koledzy po fachu na Zachodzie (a mimo to ci ostatni tworzą czołówkę światową). Ale obok tej polskiej elity jest masa – i ta jest dość gruntownie upupiona przez wiele lat kretyńskiego nauczania na wielu poziomach. Masa ta, moim zdaniem, zakonserwowała w sobie postawę ucznia do pani w szkole. Nawet stewardessa w samolocie jest dla takich „władzą”. O, profesorze Pimko! Pokolenia całe takich jak pan upupiały naród i teraz prosperuje pan świetnie w Polsce socjalistycznej. Gdyż bardzo być może, że przeceniam rolę współczesności w tym masowym wyrzeczeniu się inicjatywy umysłowej. Już w XIX wieku niektórzy przebąkiwali, że są właściwie dwie Polski: jedna – wyrafinowane europejska spadkobierczyni kultury i mitów narodowych i druga – trochę troglodycka, której należy nie zauważać, bo nie wiadomo, co z nią zrobić.

Przykładów upupienia i potulności spotkałam wiele. Przechodzę przez ulicę przy czerwonych światłach (nie ma samochodów). Na przeciwnym chodniku wita mnie wymówka: „Ach, jak nieładnie!” Nie powiedział ten głos nic o niebezpieczeństwie (Amerykanin, jeżeli już by się wtrącił w nie

swoje sprawy, powiedziałby: „Proszę uważać, tu niebezpiecznie!”) – dla potulnej masy życie ludzkie nie jest aż tak cenne – ale zganił mnie za brak subordynacji wobec przepisów. Inny przykład: nabożny stosunek do zabytków. Nie, to nie jest miłość i duma z odbudowy zniszczeń, ale pełne niezdawanie sobie sprawy z tego, że po tym pałacu w Łazienkach czy Nieborowie normalni ludzie nie zwykli chodzić w łapciach i że tam, gdzie „nie wolno wchodzić”, normalni ludzie zwykle wchodzi. Ta niezdolność identyfikacji z tymi, co używają owych mebli i domów, zamiast człapać po nich w łapciach. Kontrastowy jest stosunek Amerykanina do wszelkich zabytków: on, ona chce wszystkiego dotknąć, na wszystkim usiąść, bo w swej prostocie nie dzieli ludzkości na tych, co tych zabytków używali lub używają, i tych, co po nich w łapciach chodzą. Taki Amerykanin sieje zgorszenie wśród potulnych łapciarzy: „Ach, ci niekulturalni Amerykanie”.

Do odmian upupienia i potulności zaliczyłabym również gapiostwo, niesłychanie rozwinięte przy zupełnie błahych okazjach. Byłe głupstwo wywołuje ciekawość: syrena karetki pogotowia czy kierowca zmieniający oponę samochodu ciężarowego powodują formowanie się tłumu gapiów lub przynajmniej wyciągnięte szyje. Częściowo jest to wytłumaczalne faktem, że mało co się dzieje, mało jest możliwości efektywnego zużywania ludzkiej energii: nawet błahostka przyciąga uwagę ludzką, jeżeli nie jest ona (uwaga) intensywnie zajęta gdzie indziej.

Upupienie rozwijane jest i umacniane przez prasę i telewizję. Grzeczne tytuły w gazetach, wyjęte z wypracowań uczniów profesora Pimki: „Każdą wolną chwilę warszawiacy spędzają na stołecznych basenach”. „Uroczystość wręczenia nagród”. „Najwyższe uznanie i szacunek dla ludzi nauki, techniki i kultury”*. W dzienniku telewizyjnym jakieś tam zdjęcia z budowy, jakieś cyfry wyładunku, które niezawodowcom nic nie wyjaśniają i jedynie zaśmiecają ich pamięć; a nawet informacja o tym, że ukazała się nowa historia polskiego ruchu robotniczego! Tego rodzaju dezinformacja, trwająca latami, wytworzyła to, co nazwałabym gapiostwem na bardziej abstrakcyjnym poziomie; przesadne zainteresowanie byle jakimi wydarzeniami za granicą: jakis tam obiad dyplomatyczny czy nalot dzikich kaczek na brzegi Hiszpanii wywołują intensywną ciekawość. Tutaj należą też zapewnienia prasy, że Po-

* Wszystko to są autentyczne tytuły, które pojawiały się w okresie, gdy rozpoczynały się procesy około stu pięćdziesięciu (jak słyszałam) ludzi, uwięzionych w związku ze strajkami w Radomiu i innych miastach. O tych procesach, oczywiście, ani mru-mru w prasie [przypisy autorki].

lak za granicą odgrywa bardzo wielką rolę. Zapewnienia te podsuwane są w formie tytułów i historyjek w rodzaju: „Polak wśród Masajów”; „Polski inżynier wśród pól hinduskich wieśniaków”; „W służbie ONZ na Bliskim Wschodzie: Polish Field Hospital”. Wizja czarnej Afryki czy też brązowo-żółtej Azji, skupiającej się wokół Polaka i patrzącej na niego z podziwem.

Wielostowie prasy polskiej (i w ogóle polskich publikacji) również sprzyja upupianiu. Przymiotniki i przysłówki wzmacniające (które tylko rozwdniają), imiesłowy, które rozwlekają, zdania wtrącone, których powinno było nie być, masa wyrażenń biurokratycznych, a więc abstrakcyjnych. Najłatwiej jest to zauważyć, tłumacząc chociażby parę zdań z przeciętnego artykułu w prasie polskiej (włączając prasę literacką) na angielski, w którym wypracowana została bardzo zwięzła frazeologia. Częściowo jest to wina cenzury: dziennikarze i pisarze rzucają piaskiem w oczy cenzurze, a piasek ten – to wyświechtane i biurokratyczne słownictwo.

Odniosłam wrażenie, że rozwarstwienie klasowe w Polsce akceptowane jest zarówno przez czołówkę, jak i przez masę. Coś, co jest tak zasadniczo obce mentalności amerykańskiej: przekonanie, że ludzie dzielą się na gorszych i lepszych, jest w Polsce bardzo rozwinięte. W nikim nie wywołuje ataku nudności fakt, że tylko wybrańcy mogą kupować w Pekao czy Peweksie; że ludzie zwiedzający zabytki dzielą się na łapciarzy i niełapciarzy (bo dygnitarzom oraz niektórym gościom z zagranicy pozwala się wchodzić bez łapci); że Polakom trudno się dostać do hoteli i restauracji (bo pierwszeństwo mają goście zagraniczni). Pewnego razu weszłam do warszawskiej kawiarni na śniadanie. W sali nikogo – trzy kelnerki dziarsko rozmawiają w kącie. Po paru minutach wołam: „Czy jest tu kelnerka?” Zaperzony głos odpowiada: „Jest, ale jest w sąsiedniej sali i obsługuje gości zagranicznych” (był tam jeden stolik zajęty), jak skończy, to do pani przyjdzie”. Nawet w krajach ubogich, takich jak Indie (nie mówiąc już o Meksyku, który pod względem materialnym łatwiej do Polski przyrównać), tuziemiec jest traktowany na równi z cudzoziemcem, jeżeli za to płaci. Ta kategoryzacja społeczeństwa: najpierw zagraniczni, potem elita, a na końcu masa – jest moim najsmutniejszym spostrzeżeniem z Polski. Mentalności amerykańskiej bliskie byłoby sparafrazowane polskie przysłowie: „Cham na zagrodzie równy wojewodzie”. W Polsce, niestety, króluje wciąż to dawne „Co wolno wojewodzie...”.

W maju 1975 roku odbył się w Montrealu zjazd amerykańskich naukowców polskiego pochodzenia, na którym przemawiał między innymi Zbigniew Brzeziński, w chwili obecnej najwybitniejszy politycznie Amerykanin

polskiego pochodzenia. Omawiając alternatywy dla Polski, wyodrębnił on jedną (z czterech), która, jego zdaniem, ma szanse zaistnieć i która byłaby, podchodząc do rzeczy realistycznie, dla Polski najkorzystniejsza. Jest to taka konfiguracja polityczna, w której kraje świata stają się coraz bardziej od siebie zależne, mimo że wielkie mocarstwa nie tracą swojej sfery wpływów. W takiej konfiguracji Polska byłaby w dalszym ciągu uzależniona od swojego wschodniego sąsiada, ale jednocześnie wiązałaby się coraz mocniej z resztą Europy. Okres pełnej suwerenności państw minął, zauważył Brzeziński: najlepszy splot okoliczności przynieść może „względnie niezależną Polskę jako część Europy, w której państwa byłyby bardzo silnie związane i która z kolei wiązałaby się coraz silniej z innymi częściami świata”.* Wydaje mi się, że koncepcja ta jest obecnie dla Polski największą nadzieją i że ograniczenia – jeżeli nie wyeliminowania – naszkicowanych wyżej problemów można obecnie szukać tylko na tej drodze.

Sally Boss

[Ewa Thompson]

[12/1976]

* Z. Brzeziński, *Poland in the Last Quarter of the Twentieth Century: A Panel Discussion*, „Slavic Review”, t. 34 (1975), s. 772.

Rozdział II

Oceny i prognozy



Informacji o kraju towarzyszył stały komentarz do zachodzących wydarzeń lub analiza efektów długotrwałych procesów społeczno-politycznych. Cechą charakterystyczną publikowanych artykułów był pluralizm politycznego myślenia, skutek zróżnicowanego rodowodu autorów „Kultury” i linii pisma obranej przez Jerzego Giedroycia.

Przedstawiciele emigracji sąsiadowali z autorami krajowymi, zwolennicy Piłsudskiego z socjalistami, byli rewizjoniści występowali obok zdecydowanych przeciwników komunizmu. Pisali przedstawiciele starszego pokolenia, którzy w czasach przedwojennych pełnili odpowiedzialne stanowiska, osoby rozpoczynające swoją drogę życiową podczas wojny, a następnie młodzi, ukształtowani już za panowania komunizmu. Różnili się tradycją rodzinną, poglądami politycznymi i doświadczeniem. Różnili się również temperamentem i metodą pracy. Wśród publikowanych artykułów były takie, w których wyraźna linia demarkacyjna oddzielała komentarz autorski od faktów, w innych fakty mieszały się z plotką i osobistymi impresjami, a jeszcze inne w całości wydedukowane zostały z ogólnej teorii sowietologicznej. Byli autorzy, którzy potrafili oceniać toczące się wydarzenia z zachowaniem odpowiedniego dystansu historycznego i ideologicznego, podczas gdy inni dzielili się z czytelnikami swoimi obawami, uprzedzeniami i nienawiścią do komunizmu.

Bogactwo wyrażanych opinii, często ze sobą sprzecznych, powodowało, że nie wszystkie artykuły miały w „Kulturze” tę samą rangę. Niektóre były od razu traktowane jako głosy dyskusyjne, wobec których Redakcja zaznaczała swoją rezerwę. Niektórzy autorzy mieli w piśmie swoją własną rubrykę. Na przykład Wacław Zbyszewski. Na przeciwległym biegunie były komentarze, zazwyczaj krótkie i rzadkie, wyrażające opinię Redakcji. W późniejszym okresie tę rolę pełniły „Obserwatoria”, pisane przez różne osoby, ale zawsze uważnie czytane, niekiedy uzupełniane przez Jerzego Giedroycia.

Osobną pozycję stanowią listy do Redakcji, które były polemiką z autorami, najczęściej z Mieroszewskim, lub w których autorzy przedstawiali własne koncepcje polityczne. Ich oburzenie na linię „Kultury” było niekiedy tak silne, że wyrażało się w wypowiedzeniu prenumeraty.

Mimo wielości i różnorodności autorów piszących w „Kulturze” trudno byłoby mówić o jakiejś stałej, niezmiennej grupie, takiej jak ta, która była związana z „Tygodnikiem Powszechnym”. Nie było grupy, ale byli autorzy, którzy przez lata wiernie towarzyszyli „Kulturze”, jak zmarły niedawno Adam Kruczek, czyli Mi-

chał Heller. Najważniejszą postacią, która wywarła ogromny wpływ na linię polityczną „Kultury”, był Juliusz Mieroszewski, od początku lat pięćdziesiątych najbliższy i najwierniejszy współpracownik Jerzego Giedroycia. W 1976 roku „Kultura” żegnała swojego londyńskiego współpracownika ze świadomością poniesionej straty:

„Zapewne, »Kultura« będzie sobie dawać radę bez Niego, ale nie – jak w przesadnej skromności sądził – doskonale. Śmierć Mieroszewskiego stwarza w naszym piśmie wyrwę, której nikt nie wypełni. Wraz z Nim umarła część »Kultury«”.¹

Po śmierci Mieroszewskiego cele „Kultury” nie uległy zmianie, nie zmieniła się również jej generalna linia polityczna, lecz pismo już nigdy nie uzyskało publicysty tej miary i talentu.

Obok współpracowników z pierwszego kręgu było wielu autorów–meteorów. Pojawiali się, wzbudzając często zaciekanie i podziw, by po pewnym czasie zniknąć. Na przykład Leopold Tyrmand, który zadebiutował błyskotliwym pamfletem², a po półtora roku przestał utrzymywać jakiegokolwiek związek z „Kulturą”.

Aktywna współpraca z „Kulturą” nie oznaczała jeszcze długotrwałości ani systematyczności. Wielu autorów na jakiś czas przerywało współpracę bądź odchodziło na zawsze. Ich decyzje łączyły się najczęściej z tym, co uważali za zmianę politycznego kursu „Kultury”, niekiedy nawet za zdradę ideałów niepodległościowych. Na ich miejsce przychodzili inni. Redaktor kontynuował swoją działalność, lecz wielu czytelników żałowało poprzedniego okresu, twierdząc, że „dzisiejsza” „Kultura” jest gorsza od „wczorajszej”. Tak się mówiło, a czas biegł i „dzisiejsze” ponownie stawało się „wczorajszym”.

Przykładem powikłanej współpracy autorów z „Kulturą” mogą być Konstanty A. Jeleński i Gustaw Herling-Grudziński.

Pierwszy rozpoczyna współpracę w 1950 roku. Jego główną domeną jest krytyka i eseistyka literacka, nie stroni jednak od politycznych komentarzy, pisanych z polemyczną pasją. Dwa razy dochodzi między nim a Redaktorem do sporu, szczególnie intensywnego po 1968 roku. Jeleński był zdecydowanym przeciwnikiem angażowania się „Kultury” w organizowanie lub popieranie jakiegokolwiek grup opozycyjnych wobec reżymu. Ich efektem – jego zdaniem – musiały być represje policyjne oraz więzienie. I tak odebrał słynny proces taterników. W numerze letnim 1968 roku ukazuje się jego ostatni artykuł polityczny.³ Do 1971 roku ogranicza się do rzadkich i krótkich artykułów poświęconych literaturze i malarstwu, by następnie zamilknąć do 1974 roku. Ochłodzenie stosunków znalazło również swój wyraz w korespondencji prowadzonej między nim a Redaktorem.⁴ Po powrocie do „Kultury” Jeleński już nigdy nie wystąpił w roli komentatora politycznego.

¹ Nekrolog Juliusza Mieroszewskiego, nr 7–8/1976.

² L. Tyrmand: *Fryzury Mieczysława Rakowskiego*, nr 10/1967.

³ K. A. Jeleński: *Notatki o »majowej rewolucji« w Paryżu*, nr 6–7/1968.

⁴ J. Giedroyc, K. Jeleński: *Listy 1950–1987*, wybór, opracowanie i wstęp W. Karpiński, Czytelnik, Warszawa 1995.

Gustaw Herling-Grudziński, współzałożyciel pisma i autor jego nazwy, w 1947 roku przestaje z nim współpracować, by powrócić w 1956 roku. Początkowo występuje wyłącznie w roli krytyka. Od połowy lat sześćdziesiątych jego pozycja w „Kulturze” nabiera coraz większego znaczenia. W piątym numerze „Kultury” z 1966 roku Herling jest zaprezentowany po raz pierwszy jako włoski korespondent pisma. Ten skromny tytuł znaczył wiele, określał bowiem stopień związków z „Kulturą”. Herlingo nie tylko otrzymał, ale był drugim po Mieroszewskim, który przez lata go utrzymał. Józef Czapski w artykule rocznicowym pisał:

„Dopiero od jakichś trzech lat Gustaw Herling-Grudziński jest znów tutaj z nami, dojeżdżając systematycznie co parę miesięcy z Neapolu. Od tego czasu wracając z Paryża nocą, widzę jeszcze jedno oświetlone okno, czubek jego głowy schylonej nad stertami rękopisów, czy nad własnymi dla »Kultury« tekstami”⁵.

Związki Herlinga z „Kulturą” stały się jeszcze ściślejsze, zwłaszcza po śmierci Mieroszewskiego i klęsce pierwszej „Solidarności”. A jednak po 1990 roku drogi polityczne Redaktora i Pisarza zaczynają się rozchodzić. Każdy z nich odmiennie ocenia polityczną sytuację Polski i stan demokracji. Racje polityka i sądy moralisty okazały się niemożliwe do pogodzenia. Od stycznia 1996 roku Herling jest już w „Kulturze” nieobecny. W marcu tego samego roku *Dziennik pisany nocą* ukazuje się po raz pierwszy w „Rzeczpospolitej”.⁶

Na znak protestu wobec politycznej linii „Kultury” odchodzili i inni autorzy niezadowoleni z postawy, jaką „Kultura” zajmowała wobec komunizmu i komunistów. Polemizując z tego rodzaju zarzutami, Mieroszewski stwierdzał:

„Gdybyśmy byli doktrynalnymi antykomunistami jak nasi »niezłomni« – powtarzalibyśmy w kółko to samo od lat dwudziestu. W naszej polityce nie byłoby zygzaków, lecz nie byłoby również i sensu”.⁷

Powodem rozstań z „Kulturą” lub rozluźnienia kontaktów nie zawsze były sprawy polityczne, często decydowały o tym warunki życia na emigracji oraz utrudnione kontakty z krajem. W miarę oddalania się od wojny asymilacja stawała się coraz silniejsza, a tym samym spadało zainteresowanie sprawami polskimi. Śledzenie wydarzeń politycznych wymagało czasu, którego emigrantom zaafetowanym pracą zawodową po prostu brakowało. Stała współpraca między „Kulturą” a autorami krajowymi, choć zintensyfikowała się w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, zależała jednak od wielu czynników, na ogół niekontrolowanych, które uniemożliwiały ukonstytuowanie się stałej, regularnie współpracującej z Redaktorem grupy autorów. Brak bezpośrednich kontaktów miał także swoje znaczenie.

Obecność w „Kulturze” autorów wywodzących się z różnych szkół politycznego myślenia była wyrazem postawy Redaktora, dla którego poszanowanie pluralizmu poglądów politycznych było kamieniem węgielnym wolności i demokracji. Dyskusje

⁵ J. Czapski, *Dwadzieścia pięć lat*, nr 7–8, 1972.

⁶ „Plus-Minus”, dodatek tygodniowy „Rzeczpospolitej”, nr 10, 9–10 marca 1996.

⁷ J. Mieroszewski: *ABC polityki „Kultury”*, nr 4/1966.

i polemiki nie wykluczały forsowania przez Redaktora własnej linii politycznej, która najpełniejszy wyraz znalazła w publicystyce Juliusza Mieroszewskiego. Myślą przewodnią jego artykułów było przekonanie, że proces społeczny zachodzący w Polsce wpisuje się w szerszy kontekst historyczny i cywilizacyjny, daleko wykraczający poza geopolitykę i ideologię, choć system komunistyczny ten proces deformuje i opóźnia. Wedle Mieroszewskiego, „polityka na kraj” musi mieć stale na widoku cel kardynalny, jakim jest odzyskanie niepodległości, a zarazem uwzględniać bieżącą sytuację w Polsce.⁸ Stąd wynikał jego pozytywny stosunek najpierw do „odwilży”, a następnie do zmian zaszłych w kraju po objęciu rządów przez Gomułkę. Był konsekwencją poglądu wyrażonego w cytowanym artykule: „W imię wolności nie odrzucamy pół-wolności w imieniu tych, którzy od lat szesnastu pozbawieni są w ogóle wolności”.

Pozytywna ocena zmian zachodzących w Polsce w 1956 roku nie oznaczała bynajmniej zajmowania wobec nich postawy bezkrytycznej. W „Kulturze” owych czasów będą zamieszczane artykuły entuzjastyczne, ale będą również drukowane artykuły krytyczne, zgola bagatelizujące wydarzenia lub też wyśmiewające nagłą zmianę poglądów.⁹ Czujnym i krytycznym obserwatorem pozostał również Mieroszewski, dla którego emigracja polityczna nie straciła racji bytu mimo względnej liberalizacji stosunków politycznych w Polsce.¹⁰

Dla Juliusza Mieroszewskiego czy Zbigniewa Jordana wydarzenia październikowe w Polsce 1956 roku nie sprowadzały się do powierzchownej czystki kadrowej w ramach komunistycznej elity, lecz były efektem ruchu masowego, daleko wykraczającego poza partię. Udział w tym ruchu komunistów określanych później jako rewizjoniści był dla nich dowodem, że partia przestała być ideologicznym i organizacyjnym monolitem. Mieroszewski, jak zresztą inni, pokładał w rewolcie październikowej ogromne nadzieje, które w nikłym tylko stopniu się ziszcily. Jeśli nawet przecenił znaczenie rewizjonistów, jeśli nie spełniły się jego nadzieje na ewolucję reżymu komunistycznego w stronę socjaldemokracji, to jednak trafnie odczytał wydarzenia jako sygnał krachu sowieckiego modelu i koniec marzeń o utopii.

W dziesięć lat po Październiku Mieroszewski nie przestawał przypominać zniecierpliwionym czytelnikom „Kultury”: „[...] konieczność zmiany polityki na danym odcinku nie przeraża pragmatyka, ponieważ wie, że w tej grze jedynym punktem stałym są interesy narodowo-państwowe”. Przypominał również i tę prawdę: „[...] mieszanina norm politycznych i etycznych nie wychodzi na dobre ani polityce, ani etyce”.¹¹ Te przestrogi i pouczenia zarówno wówczas, jak i obecnie pozostały niestety głosem wołającego na puszczy.

Dla Redaktora konieczność łączenia celów dalekosiężnych z pragmatyzmem wyrażała się w doborze artykułów: jednych, które reprezentowały polską złożoność i w których nie wahano się akceptować działań i inicjatyw służących społeczeństwu i pań-

⁸ J. Mieroszewski: *Karty na stół*, nr 1/1956.

⁹ A. Uziębło: *Jak niegdyś...*, nr 9/1956; A. Bobkowski: *Po trzęsieniu spodniami*, nr 6/1956.

¹⁰ J. Mieroszewski: *Dialog*, nr 9/1956.

¹¹ J. Mieroszewski: *ABC polityki „Kultury”*, nr 4/1966.

stwu, chociaż były realizowane przez przeciwników politycznych, oraz drugih, które przypominały o sowieckim i komunistycznym zniewoleniu Polski, jego negatywnych skutkach dla społeczeństwa, i w których popierano działalność osób występujących przeciw komunistycznemu państwu w imię wartości wolnościowych.

Realizacja takiej linii, niewątpliwie trudnej, obfitowała w nieuniknione pomyłki, Mieroszewskiego nie uchroniła od fałszywych prognoz. Dawały one asumpt do łatwej krytyki ferowanej przez samozwańczych nieomylnych. Dla zwolenników dychotomicznych podziałów i prostych ocen linia „Kultury” okazywała się zbyt skomplikowana, bo zbyt śmiała, a przez to samo fałszywa. Przeważnie nie chcieli, ale i nie mogli jej zaakceptować, choć dziś z pewnością można stwierdzić, że działalność „Kultury” bardziej kruszyła komunizm niż ideologiczne sztance nieprzejednanych. Inną jest już sprawa, czy linia „Kultury” faktycznie zwyciężyła, stając się powszechnie akceptowanym wzorem postępowania w życiu publicznym.

Publicystyka polityczna pisana kilkadziesiąt czy nawet kilkanaście lat temu nie może być oceniana z punktu widzenia jej zgodności ze współczesną sytuacją, zwłaszcza gdy ta uległa zasadniczej zmianie. Jej wartość i wpływ na publiczność muszą być osądzone wedle kryteriów epoki, w jakiej była pisana i dla której była przeznaczona. Należy zatem brać pod uwagę ówczesne warunki polityczne, nie tylko zresztą polskie, panujące poglądy i nawyki myślowe oraz nastroje inteligencji w kraju i na emigracji. Dopiero wówczas można docenić przenikliwość i nowatorstwo piszącego lub, wręcz przeciwnie, jego banalność i zaściankowość. Publicysta polityczny tak jak polityk może się okazać tylko rejestratorem nastrojów, ideologiem wsłuchanym w polityczne racje swojej grupy, ale może być wizjonerem dostrzegającym procesy społeczne i polityczne dla innych jeszcze niedostrzegalne bądź też może być konserwatystą zapatrzonym w przeszłość, a zarazem chroniącym wartości liberalne, na przykład prawa jednostki wobec państwa. Tacy publicyści byli w „Kulturze”. Wystarczy wymienić Juliusza Mieroszewskiego i Józefa Mackiewicza. Większość publikowanych artykułów politycznych, mimo że wzbudzały zainteresowanie współczesnych, bo wyrażały ich poglądy i były zgodne z ich nastrojami, nie wytrzymały jednak próby czasu. Należą wyłącznie do historii.

Czas okazał się bezlitosnym sędzią dla dwóch gatunków: złowieszczych prognoz i komentarzy do personalnych przepychanek na górze partyjno-rządowej elity. Prognozy wysnute z pewników ideologicznych i literatury sowietologicznej, oparte na przypadkowych informacjach, roily się od przepowiedni, z których niewiele co pozostało, a niektóre wręcz śmieszą swoim czarnowidztwem. Wychodzono z założenia, że Polacy o przeszłości zapomnieli, terazniejszość jest dla nich nie do zniesienia, a w najbliższej przyszłości nie mają co liczyć na radykalną zmianę systemu politycznego. „Mała stabilizacja” i pierwsza dekada gierkowska oraz spokojny totalitaryzm breżniewowski sprzyjały wyjątkowo tego rodzaju prognozom zarówno w kraju, jak i na emigracji.

Analizy i komentarze dotyczące szczytów partyjnej władzy były oparte na przeciekach płynących „z góry”, przyjmowanych najczęściej bez żadnego krytycyzmu, podparty plotkami i domysłami krążącymi w środowiskach inteligenckich, na ogół warszawskich. Czytane po latach bardziej są świadectwem stanu wiedzy i nastrojów kawiarni literackiej niż efektem analizy politycznej. Ten typ artykułów stał się częstszy

po 1968 roku i cieszył się – jak się wydaje – uznaniem czytelników. W przeciwieństwie do propagandowej prasy, artykuły „Kultury” przedstawiały rządzącą grupę w całkiem odmiennym zwierciadle: jako wasali ZSRR i wykonawców interesów partyjnych, a przede wszystkim jako ludzi, którzy dla zaspokojenia własnych ambicji i prywaty gotowi byli na każdą intrygę, niekiedy i podłość. Znaczenie partyjnych nowinek maleje po ukonstytuowaniu się ośrodków opozycyjnych. Znajdzie to swój wyraz i na łamach „Kultury”.

Niezależnie od współczesnych ocen, publicystyka polityczna jest świadectwem postaw inteligencji polskiej pozostającej w opozycji do komunistycznych rządów. Świadectwem tym ważniejszym, że wyrażanym bez żadnego skrępowania i politycznych nacisków. W publikowanych artykułach ujawniają się obawy, uprzedzenia i fobie nie tylko wobec komunizmu, ale również wobec społeczeństwa. Zazwyczaj jest ono postrzegane jako obca zbiorowość, odległa od tradycji szlachecko-inteligenckich, pogodziona z komunizmem i sowieckim poddaństwem.

W publikowanych artykułach pojawia się również wysiłek zrozumienia procesów zachodzących w Polsce oraz konsekwencji awansu społecznego, obejmującego swym zasięgiem warstwę dawniej pozbawioną dostępu do wykształcenia, zwłaszcza wyższego. Starano się sytuację w Polsce zrozumieć, oddzielić plewy od ziarna po to, by po odzyskaniu niepodległości móc lepiej zagospodarować przestrzeń gospodarczą i społeczną.

Przykładem tej postawy mogą być odpowiedzi na ankietę „Kultury”: „Które z przemian w Polsce są odwracalne?”¹² Wzięło w niej udział 111 osób, różniących się doświadczeniem i poglądami. Byli w tej grupie: przedwojenni działacze, zajmujący niekiedy wysokie stanowiska, dziennikarze zawodowo zajmujący się sprawami ekonomicznymi oraz naukowcy związani na ogół z prestiżowymi uniwersytetami zachodnimi. Wszyscy byli przeciwnikami komunistycznej koncepcji ekonomiczno-społecznej, niemniej jednak większość uczestników ankiety była zdania, że z nacjonalizacją wielkiego przemysłu i banków, a przede wszystkim z reformą rolną należy się pogodzić.

Ich stanowisko wynikało z dwóch przesłanek: konieczności akceptowania faktów, których odrzucenie mogłoby pociągnąć fatalne skutki społeczne i polityczne, oraz z obserwacji podobnych zjawisk zachodzących w gospodarce Europy Zachodniej. Dokonana po wojnie w wielu krajach nacjonalizacja wielkich zakładów, w tym zbrojeniowych, transportu oraz niektórych banków, wzmocniła rolę państwa i jego oddziaływanie na funkcjonowanie rynku. Ingerencja państwa dawała się odczuć nawet w gospodarce Stanów Zjednoczonych. Większość uczestników ankiety nie zapomniała również o polskiej przedwojennej sytuacji: o państwie jako organizatorze i budowniczym okręgów przemysłowych oraz o rozpowszechnionej niechęci do kapitalizmu, który dla jednych był symbolem obcego panowania nad polskim robotnikiem, dla innych natomiast uosobieniem wartości materialnych zabijających polską duchowość.

¹² Ankieta została ogłoszona w 12. numerze z 1954 roku, a jej wyniki w opracowaniu S. Zarzewskiego ukazały się w trzech kolejnych numerach „Kultury”, począwszy od numeru 7–8/1955. W listopadzie 1955 roku została wydana specjalna broszura, na papierze biblijnym, prezentująca wyniki ankiety.

To był rok 1955. Pod wpływem renesansu idei liberalnych lata siedemdziesiąte przyniosły zasadnicze zmiany w programach ekonomicznych oraz w samej praktyce gospodarczej. Gdyby wówczas ogłoszono ankietę, jej odpowiedzi i prognozy byłyby bardziej zgodne z nowym duchem epoki.¹³ Mimo historycznego aspektu ankiety z 1955 roku, wiele uwag poczynionych przez jej uczestników nabrało po 1989 roku nieoczekiwanej aktualności.

Stanisław Zarzewski podsumowujący ankietę, stwierdzał: po odzyskaniu niepodległości nie będzie warunków ani możliwości do mechanicznego powrotu do stanu sprzed 1939 roku; Polską niepodległą będą rządzić – czy to się będzie podobać emigrantom, czy nie – wychowankowie szkół komunistycznych. „Gmach dzisiejszego gospodarstwa polskiego – pisał – to nie jest sobór na placu Saskim, który można rozebrać sposobem mechanicznym, od razu i w całości”.

Truizmem jest stwierdzenie, że w ciągu pięćdziesięciu lat Europa Zachodnia, jak również kraje bloku sowieckiego uległy zasadniczemu przeobrażeniu. Towarzyszyła mu ewolucja programów społecznych i politycznych, a co ważniejsze zmiana postaw wobec powojennego porządku. Jednym z sygnałów zachodzących zmian była powolna, lecz stała erozja socjaldemokratycznego porządku społecznego, innym: narastanie przekonania, iż celem walki politycznej powinny być prawa jednostki, naruszane przez wszystkie typy kolektywizmów, poczynając od komunistycznego.

Ewolucja programów i postaw znalazła swój wyraz na łamach „Kultury”, choć była podporządkowana innym celom niż polityczne spory i partyjne walki świata zachodniego. Po wydarzeniach 1968 roku w Polsce i Czechosłowacji roztano się ostatecznie z nadzieją na demokratyzację systemu komunistycznego i na stopniowe uniezależnienie się krajów „demokracji ludowej” od ZSRR. Programy o lewicowym rodowodzie straciły na atrakcyjności. Sięgnięto do innych wzorów, propozycji i środków, by zwalczyć komunistycznego molocha. Program obywatelskiego nieposłuszeństwa w imię moralnego sprzeciwu zaczynał przybierać realne kształty. Wielką rolę w tych przemianach odegrał Solżenicyn, od początku obecny w „Kulturze”, wydawany przez Instytut Literacki.

Wizja historii bez ciągłej ewolucji programów i postaw ludzkich tworzy w konsekwencji zniekształcony obraz przeszłości, a zarazem zubaża teraźniejszość. Historia ginie, zostaje wyłącznie ideologia wciągnięta w służbę współczesnych interesów partyjnych. Zwolennicy uproszczonych schematów łatwo oceniają przeszłość i jeszcze łatwiej ludzi wówczas działających. Szafują etykietkami, wygodnymi z dzisiejszego punktu widzenia, potępiają i wyklinają, wszystko w imię własnego, a więc jedynie słusznego poglądu na przeszłość i teraźniejszość.

Przedmiotem takich łatwych ocen, a jednocześnie powodem politycznych sporów są wszelkie poglądy lewicowe, niezależnie od programów i środków używanych do ich

¹³ Przekonanie, że w Polsce postkomunistycznej będzie realizowany „społeczny kapitalizm”, to jest taki system, w którym część środków produkcji będzie należała do państwa, które nadto zachowa prawo ingerencji w prywatną działalność gospodarczą, było wyrażane przez wielu autorów „Kultury” gdzieś do lat osiemdziesiątych. Por. np. Bogdan Mieczkowski: *Nowoczesny kapitalizm a przyszła Polska*, nr 4/1971.

realizacji. Dla „prawdziwego prawnicowca” nie ma żadnej różnicy między komunistą a socjaldemokratą, między socjaldemokratą a amerykańskim liberałem czy zachodnim radykałem. Odrzucaniu wszelkiej lewicowości w imię poglądów prawniczych, często zresztą powierzchownych i świeżej daty bądź też ukształtowanych pod wpływem skrajnie nacjonalistycznych wzorów, towarzyszy niechęć do „Kultury” jako pisma, które mimo niepodległościowej frazeologii popierało lewicę: najpierw rewizjonistów, a następnie KOR-owców. W tej mniej lub bardziej manifestowanej niechęci do „Kultury” głównym adwersarzem staje się Mieroszewski. O ile oddaje mu się hołdy za koncepcję ULB, to jest przyznania niepodległości wschodnim sąsiadom Polski, o ile chętnie cytuje się jego artykuły zwalczające komunizm i komunistów, to zazwyczaj przemilcza się jego teksty, w których głosi zasady uważane dzisiaj za lewicowe.

W publicystyce Mieroszewskiego terminy socjalizm i lewica występują dość często, przeważnie z pozytywną konotacją. Socjalizm był dla niego tożsamy z socjaldemokracją. I socjaldemokracja była najczęstszym, choć nie jedynym punktem odniesienia dla walki, jaką prowadził z komunistycznym totalitaryzmem. Czy Mieroszewski był socjalistą?

„Jeżeli chodzi o »Kulturę« – pisał w 1959 roku – niezrozumienie polega na tym, że nikt z nas nigdy nie był i nie jest socjalistą. Podkreślałem to wielokrotnie. Większość z nas wyznaje bezinteresowne poglądy lewicowe, ale w końcu jakież inne poglądy mogą mieć inteligentni ludzie”.¹⁴

Inne jego wypowiedzi sugerowałyby silniejsze więzi z socjalizmem typu zachodniego. Jedno jest pewne: Mieroszewski nigdy nie był człowiekiem jakiegokolwiek partii ani wyznawcą jednej ideologii. Nie był również bałwochwalcą przedwojennego porządku społeczno-politycznego, nie znosił polskiej zaściankowości, jak nie znosił nieustannego biadolenia i bezkrytycznego kultu przeszłości. Mieroszewski marzył o niepodległej Polsce, o demokratycznym państwie prawa, które służyć powinno dobru całego społeczeństwa. Marzył o Polsce jako organicznym ogniwie systemu państw europejskich, świadom pożytków, ale i ograniczeń, jakie taki związek mógłby Polsce przynieść. Jeśli taki program jest lewicowy, to Mieroszewski był lewicowcem.

W warunkach emigracyjnych, przy braku wolności słowa w Polsce, dopuszczanie do głosu różnorodnych poglądów było wielką zasługą Jerzego Giedroycia jako redaktora „Kultury”. Jedynym wspólnym wyznacznikiem autorów „Kultury” było odrzucenie przez nich komunizmu jako formy ustrojowej oraz uznanie niepodległości Polski za warunek niezbędny do zbudowania suwerennego państwa. Tyle i tylko tyle. Reszta była sprawą dyskusji. Pod słowo niepodległość podkładano całkiem różne treści społeczno-polityczne, nie było również zgody co do środków i metod, dzięki którym można by niepodległość odzyskać, jak nie było zgody w ocenie sytuacji i wydarzeń zachodzących w Polsce. Dyskusje, spory, z pasją prowadzone polemiki wyrażały własne przekonania, które odzwierciedlały osobistą wizję Polski. Odmiennosc poglądów i różnorodność wysuwanych koncepcji w tym samym piśmie była wielką lekcją demokracji dla wszystkich: Redakcji, autorów i czytelników.

¹⁴ Londyńczyk: „Kronika angielska”, nr 1–2/1959.

Artykułom analizującym i komentującym sytuację w Polsce towarzyszyła prowadzona przez Redakcję stała akcja, której celem była mobilizacja Polaków do myślenia o kraju, do działania na rzecz niepodległości. We wstępie do broszury: *Które z przemian w Polsce są odwracalne* Redakcja stwierdzała:

„Najważniejsze jest, by rosła ilość ludzi, którzy wbrew ciężkiej sytuacji obecnej myśleliby o przyszłości. Nie można myśleć tylko o odzyskaniu wolności: trzeba już zawczasu planować, jak będziemy pracować, gdy będziemy nie tylko gospodarzami we własnym kraju, ale partnerami w budowaniu nowej Europy”.

Obowiązki, jakich realizacji domagała się „Kultura” od Polaków (nie tylko od własnych czytelników), miały polegać na wykorzystaniu wszystkich szczelin w sowieckim modelu, by rozszerzać zakres wolności i zmuszać władzę do respektowania praw obywatelskich. Tak należy odczytywać postulat Józefa Czapskiego o obowiązku pamięci o Polakach pozostawionych w ZSRR czy wezwanie Mieroszewskiego do uświadamienia robotnikom, że

„[...] istnieje funkcjonalny związek pomiędzy prawem robotnika a wolnością intelektualisty, [...] tam, gdzie nie ma niezależnej prasy – nie ma i być nie może jakiegokolwiek organizacji robotniczej”.¹⁵

Ten sam postulat odnajduje się w „Obserwatorium” poświęconym „procesowi taterników”.¹⁶ Był on kolejnym procesem inteligentów sądzonych za niezależność postaw ideowych. Podobnych procesów w „spokojnych” czasach gomułkowskich było całkiem sporo. „Kultura” starannie odnotowywała każdy z nich, nawet wówczas, gdy sądzeni nie należeli do tej samej rodziny politycznej.¹⁷ Ale „proces taterników” był czymś więcej niż procesem młodzieży upominającej się o prawo do własnych poglądów politycznych, był również procesem „Kultury”. W „Obserwatorium”, którego autorem był Gustaw Herling-Grudziński, wyrażano współczucie z powodu wysokich kar, lecz nie roztkliwiano się nad oskarżonymi. Przypomniano, że tak w historii nie bywało, by „[...] wolność gwarantowała gotowym do walki o nią życie bez ofiar”. To były surowe wymagania, współmierne jednak z celem walki: obaleniem komunizmu.

Publikacja w 1974 roku artykułu *Polityczna opozycja w Polsce*, którego – jak się po latach okazało – autorem był Jacek Kuroń, stała się swoistym wydarzeniem. Już nie przedstawiciel emigracji, lecz autor krajowy używał zapomnianego terminu: opozycja polityczna. Formułował program i oceniał surowo zachowanie niektórych grup inteligentkich, choć inteligencja była jego głównym adresatem. Artykuł wywołał wiele polemicznych uwag: jedni uważali go za niewystarczający, podczas gdy inni za niebezpieczną mrzonkę.¹⁸ Warto przypomnieć, że artykuł Kurońa nie był pierwszym z opublikowanych programów opozycyjnych. Wyprowadził go dokument grupy „Ruch”,

¹⁵ J. Mieroszewski: *Sojusz*, nr 7–8/1969.

¹⁶ „Obserwatorium” nr 4/1970.

¹⁷ J. Zygmunt (pseud.): *Cena myślenia*, nr 7–8/1966.

¹⁸ Między innymi zabrali głos: A. Litwin, *Czy „polityczna opozycja”?*, nr 5/1975; Jeszcze jeden krajowiec (W. Woroszyński): *Czy w Polsce jest możliwa opozycja*, nr 7–8/1975.

który ukazał się wówczas, gdy jej przywódcy siedzieli już w więzieniu.¹⁹ Ale ich program nie wywołał żadnego echa na łamach „Kultury”.

Wkrótce okazało się, że opisywany w artykule Kuronia typ opozycji: niezorganizowanej, bez wyraźnych celów, który jej krytycy – i słusznie – identyfikowali bardziej z ruchem oporu niż z opozycją polityczną okazał się niewystarczający. Między 1974 a 1977 rokiem zachodzą w Polsce ogromne zmiany w świadomości społecznej wyrażające się w publicznej działalności: w związku z propozycją zmian w konstytucji przez kraj przechodzi fala protestów; mnożą się listy protestacyjne różnych grup inteligentnych; a w grudniu 1975 roku ukazuje się *Memoriał 59*, w którym wybitne postacie polskiego życia społecznego przypominają władzy i społeczeństwu podstawowe zasady funkcjonowania demokratycznego państwa²⁰; w czerwcu 1976 roku wybuchają ponownie strajki robotnicze, brutalnie stłumione przez milicję i gromko potępione przez propagandę partyjną. W przeciwieństwie do 1970 roku inteligencja nie pozostaje bezczynna: konstituuje się Komitet Obrony Robotników, którego jednym z organizatorów był Jacek Kuron.

Jego powstanie jest początkiem narodzin faktycznej opozycji: jawnie działającej przeciw panującemu porządkowi politycznemu. W następnych miesiącach pojawiają się nowe grupy, powstaną nowe inicjatywy.²¹ Polityczne oblicze Polski zaczyna ulegać przeobrażeniu. W tym przekształcaniu swój udział miała również „Kultura”, która przez cały okres swojego istnienia popierała i podtrzymywała wszystkie siły polityczne rozsadzające ustrój komunistyczny. Popierała je nawet wówczas, gdy nie zawsze i nie ze wszystkim była z nimi zgodna.

Grażyna Pomian

¹⁹ /-/ *Mijają lata...*, nr 12/1972.

²⁰ /-/ *Memoriał 59*, nr 1–2/1976.

²¹ /-/ *Program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego*, nr 7–8/1976.

JÓZEF CZAPSKI

Katyń i odwilż

„Czemu to o tym nie chcecie pisać, panowie”.

Fowler, dziennikarz angielski z ostatniej powieści Grahama Greene'a, po zburzeniu wieży wartowniczej w Indochinach, w której znalazł się wypadkowo, ukrywa się ciężko ranny, po pas w wodzie, na polu ryżowym.

Przez całą noc, szczękając zębami z zimna, zapada coraz to w półomdlenie z bólu. Mózg jego świdrują jęki, kwilenia dziecinne, głuche szlochania konającego o kilkadziesiąt kroków dalej żołnierza Wietnamczyka.

„Jakże to dziwnie – myśli Fowler – ludzie mojego zawodu nie wyciągną z tej nocy więcej jak dwa wiersze prasowej notatki”.

Cierpienie ludzkie w powieściach Greene'a nigdy nie jest tylko liczbą, tylko „zawiłym zrównaniem rachunku”: każde ma wymiar własny i jedyny. Greene wkłada w usta Fowlera te słowa: „Cierpienie nie mnoży się przez liczby, jedno jedyne ciało może zawrzeć w sobie całe cierpienie świata. Wydałem sąd jak dziennikarz, który oblicza przez ilość – z d r a d z i ł e m m o - j e w ł a s n e z a s a d y” [podkreślenia moje].

Niech więc nie dziwi się Graham Greene–pisarz, że dwa wiersze Grahama Greene'a–dziennikarza w „Sunday Times”, w których ofiary „oblicza przez ilość” i słowem *insignificance* ustawia Katyń w hierarchii zbrodni*, wywołały tak liczne reakcje i listy do redakcji (nie wydrukowane zresztą, gdy były pisane przez Polaków). Ta góra buciczków po spalonych przez Niemców dzieciach, którą pokazywano Greene'owi w obozie–muzeum w Polsce, te krzyże niezliczone, zbite z rur od pieców na placach Warszawy,

* „Katyńska masakra błędnie, traci znaczenie (*fades into insignificance*) w porównaniu z sześcioma milionami zmarłych”, „The Sunday Times”, z 15 stycznia 1956 [przyp. autora].

te materialne ewokujące dowody niemieckiej w Polsce obecności – przy prawdopodobnie jednoczesnym konsekwentnym i jednostronnym kierowaniu uwagi pisarza przez goszczących go przyjaciół Piaseckiego – dały to zdanie, w którym dziennikarz Greene zdradził pisarza Greene'a.

Tu sześć milionów zamordowanych – tam, w dalekim lesie, tylko cztery tysiące i kilkaset trupów. *Insignificance*.

Już niektórzy komuniści operują nikłością tych cyfr. „Cóż znaczą te cztery tysiące w porównaniu z astronomiczną sumą zlikwidowanych wrogów ludu w... Chinach” – powiedziała memu przyjacielowi pewna polska komunistka.

Ale jeżeli tak, więc może trzeba o tym zapomnieć, zapomnieć o Katyniu, zapomnieć o tym, że Katyń dla Polaka to nie tylko trupy w lesie katyńskim, rozkładające się zwłoki, skwapliwie fotografowane i filmowane przez wrogie propagandy („wnętrznosci ich włoczyły się po ziemi, słońce świeciło... byli to ludzie, których matki i siostry kochały”), że to także i Katynie jeszcze nie wykryte, w których wymordowano jeńców z Ostaszkowa i jeńców ze Starobielska.*

Ale i z tamtymi nawet Katyniami to ciągle jeszcze tylko mniej więcej 15 000! *Insignificance*!

Te tysiące nie wiadomo gdzie zgładzonych, w okresie – jak się to dziś pisze – „beriowszczyzny”, miały swoje podwójne „papki” (teczki), z których jedna była w obozie, a druga w centrali w Moskwie, z fotografiami, danymi, skąd i dokąd ich przierzucano. Te teczki niewątpliwie leżą jeszcze, starannie ułożone w skrzętnych archiwach MWD w Moskwie. Sześciuset młodych lotników, ośmiuset lekarzy. Były wśród nich świetne nazwiska polskiej medycyny: prof. Kołodziejski, dr Stefanowski, dr Levitoux, i takie, w całej Polsce znane z rozmachu i ofiarności, jak dr Wroczyński, organizator Kas Chorych, dr Dadej, założyciel sanatorium na Bystrem dla najbiedniejszych dzieci gruźliczych; byli profesorowie uniwersytetów, uczeni jak Pieńkowski i Nelken, technicy jak inż. Antoni Eiger, wiceprezes Ligi Antyhitlerowskiej w Polsce. Pamięć o tych ludziach, zgładzonych w przeróżnych Katyniach,

* Przypominam: od października 1939 do maja 1940 roku przeszło przez obozy Kozielsk, Ostaszków, Starobielsk ponad 15 000 ludzi (wśród których 8700 oficerów). Pozostało z nich przy życiu 448 oficerów i żołnierzy (prawie wyłącznie przetrzuconych do obozu gniazowieckiego i do więzień moskiewskich). Cała reszta, około 14 500–15 000 – zaginęła. Z grobów katyńskich ekshumowano 4143 trupy, wśród których 70% zidentyfikowano: wszyscy byli jeńcami z Kozielska. Miejsca zagłady Starobielszczan i Ostaszkowców są dotychczas tajemnicą archiwum MWD w Moskwie. Te miejsca nazywam „Katynie” [przyp. autora].

wiąże się z około półtoramilionem obywateli polskich wywiezionych w latach 1939–1940, z których ogromna część wyginęła w zaryglowanych wagonach, w Workutach i Karagandach, na stepach Ałtajskich czy w głodnych kołchozach Kazachstanu. O tym wszystkim nie mówili Greene'owi ani Pia-secki, ani jego przyjaciele.

Wyginęła ogromna część tych ludzi, ale nie wszyscy.

Dlaczego dzisiaj piszę o tym? Nie chodzi tu o Greene'a. Ten pisarz, dla którego mam zachwyt, sądząc po dwóch króciutkich artykułach, a bardziej jeszcze z wywiadu udzielonego „Kulturze” – i tak zobaczył to, czego większość turystów nie dojrzała. Odbudowa Starego Miasta nie zasłoniła mu faktu, że Powstanie Warszawskie zostało wykreślone z historii Polski z tą samą konsekwencją, z jaką wykreślono Trockiego z historii WKPb.

Nie chcę również robić propagandy okropności, licytacji okropności – tu tyle, a tu tyle milionów: „cierpienie nie mnoży się przez liczbę”. Jeżeli piszę o tym, to dlatego, że obserwujemy w Rosji Sowieckiej i w Polsce znaki odwilży. „Kultura” próbując ocenić te znaki, próbując w dzisiejszej, o cięń zmienionej sytuacji jawnego dialogu (ciche dialogi między krajem a emigracją ani na chwilę nie były przerwane), jest posądzana z jednej strony o dywersję, o zdradę emigracyjnej niezłomności, z innej zaś o ciężki błąd taktyczny. Zarzuca się nam, że próbujemy mówić o sprawach najdrażliwszych i najboleśniejszych, stawiając kropki nad „i”. Ale jeżeli chodzi nam o dialog, to właśnie o dialog bez niedomówień.

Kosior i Antonow-Owsiejenko w ZSRR, Bela Kun na Węgrzech, Warski, Leński, Bruno Jasieński – cała partia komunistyczna polska w 1938 roku uznana za gniazdo dywersji – zostali przywrócenie do czci i sławy rewolucyjnej. Co to znaczy?

„[...] po zwycięstwie, pewnego dnia, jak to już nie będzie mogło szkodzić, tajemne archiwa zostaną ogłoszone [...] wtedy wy i paru waszych przyjaciół zostaniecie obdarzeni sympatią, współczuciem, które dziś wam zostały odmówione...”

– tak mówi Koestlerowski Gletkin* Rubaszowowi. Gletkin dziś dotrzymuje słowa, ale to wszystko dzieje się tylko wewnątrz partii komunistycznej... po zwycięstwie. Więc czy to jest odwilż, tylko to?

* Gletkin, cyniczny stalinowski prokurator z powieści A. Koestlera *Ciemność w południe*. Została ona opublikowana w „Kulturze” (16/17) w 1949 roku w tłumaczeniu T. Terleckiego, a następnie wydana przez Instytut Literacki w 1983 roku.

Na przykład o rehabilitacji zamordowanych Altera i Erlicha, tych wspa-
niałych przywódców Bundu, którzy się do niczego „nie przyznali” – jakoś
nie słyhać.

Pozwólmy sobie na marzenia, w i ę c e j, na myśl konsekwentną: co dalej?
Jeżeli na porządku dziennym jest rewizja szeregu dalszych procesów, jakże
to odbić się może nie tylko na rodzinach tych ośmiu milionów zgładzonych
podczas czystki 1938 roku* nie tylko na obywatelach sowieckich, ale i na
stosunkach z krajami, które nie są w Związku Sowieckim, ale należą do jego
orbit – n a P o l s c e.

Nie chodzi tu o ocenę m o r a l n ą p o b u d e k, które wywołały decyzje
spektakularnych zwrotów, przeprowadzonych na razie „z i ś c i e s t a l i n o w s k ą
dyscypliną”. Owocem jakich „dyskusji” na wierchusze jest to, że właśnie
Gamarnikiem między innymi, za którego śmierć ponosi odpowiedzialność
Woroszyłow, rozpoczęto rehabilitację, albo Kosiorem, którego oprawcą był
Mołotow, a następcą Chruszczow?

Jeżeli te rehabilitacje właśnie, jeżeli propozycje pani Pankratowej (zmia-
ny wszystkich podręczników przez nią pisanych), jeżeli próby odseparowa-
nia się od stalinizmu przywódców, którzy ze Stalinem za epokę stalinowską
ponoszą odpowiedzialność – oceniamy jako pewne rysy na „monolicie”, to
fakty te mogą przynieść skutki dla samych władców nieobliczalne, a w dal-
szym rozwoju i w stosunkach sowieckich wywołać zmiany zasadnicze.

Jeżeli tak, to trzeba by zacząć i na odcinku sowiecko-polskim od usunięcia
momentów najbardziej trujących. Przemilczenia i zafałszowania, które dziś już
nikogo nie łudzą, muszą być wyprowadzone na światło dzienne i gdzie tylko
możliwe – naprawione, bo przez Polaków z a p o m n i a n e nie będą.

Czy mógł odgadnąć Graham Greene, przez PAX obramowany, czym są
dla świadomości polskiej – tak w kraju, jak i poza krajem – Katyń, „Katy-
nie”, wywiezienie ponad miliona Polaków w latach 1939–1940, wywózki,
skromnie mówiąc, dziesiątków tysięcy AK-owców od roku 1944 – kończąc
na podstępny wywiezienie i uwięzieniu szesnastu przywódców Podziemia
z generałem Okulickim na czele. Wiem, że przygniatająca większość tych lu-
dzi już nie żyje, ale n i e w s z y s k y. Są ludzie, którzy żyją na „wolnym”
osiedleniu, są inni, którzy żyją i co dzień giną w niezliczonych obozach
i więzieniach. Ten łańcuch faktów draży serce każdego Polaka od siedemna-

* Cyfra według oceny A. W. Weissberga-Cybulskiego, jednego z najlepiej zorientowanych
znawców tej epoki [przyp. autora].

stu lat, drąży nie mniej, nie słabiej, niż samotne jęki na ryżowisku drążyły przez jedną noc serce Fowlera-Greene'a.

Dziś mamy o nich szereg nowych informacji, o zesłańcach, którzy jeszcze żyją. Niemcy, Hiszpanie, Włosi, Austriacy wypuszczeni z Rosji przysyłają do Radia Wolna Europa wiadomości o Polakach do dziś tkwiących w obozach. Jeden z nich pisze nawet o jakimś obozie polskich uczonych, drugi (Niemiec) podając listę nazwisk, dodaje: „może fakt, że przyczynimy się do uwolnienia Polaków częściowo zgładzi nasze winy wobec narodu polskiego”.

Każdy, kto był w obozie, wie, co znaczy solidarność przyjaźni obozowej. Nie zapomnę tych oberwanych tłumów w Tocku, przybyłych prosto z obozów. Każdy z nich, każdy miał ze sobą listę nazwisk kolegów jeszcze nie wypuszczonych, o nich mówił, o ratowanie ich nalegał. Mówili o sobie wzajemnie z namiętnym naciskiem Polacy, Żydzi i Ukraińcy. Dziś ta solidarność ogarnęła ludzi, którzy jeszcze parę lat temu byli wrogami na śmierć i których po bratersku łączyły łagry.

W dniu 22 sierpnia 1955 roku zapadł dekret Najwyższej Rady ZSRR o przekazaniu władzom polskim wszystkich obywateli polskich przebywających w Związku Sowieckim. Z kraju wiemy o powrotach z Rosji wielu Polaków. Pisze się jednak o tym w kraju zadziwiająco mało. Przybywają ludzie dorywczo, nie widać tu ani metody, ani planu – wstydliwie i jakby chaotycznie. (Przykład: żona przybywa bez męża, o którego potem dopomina się miesiącami, bez skutku). Ten bałagan jest tajemniczy? Czy zwyczajnie biurokratyczny! Znam to z lat 1941–1942! Nie mamy danych, czy od przybywających wykorzystywane są wiadomości o towarzyszach pozostałych w obozach. Spisy powracających nie są ogłaszane. Wywiady z powracającymi są rzadkie, dobrane, ufryzowane albo wprost załgane. Za wywiezienie na lata Józefa Mieszkowskiego odpowiada, jak się okazuje, ambasador Kot i polska „dwójka”!! Czyżby te wypowiedzi były ceną powrotu?

Ale w Polsce idą, iść muszą, od powracających wieści szeptane, choć może niejednego z nich „pamięć zapisana cała, jak księga herkulańska pod ziemią spróchniała: sam autor zmartwychwstały nie umie w niej czytać, rzekł tylko, będę o to Pana Boga pytać”.

Wracający wydają się być wszyscy z „wolnego osiedlenia” czy już znajdujący się na „wolnym osiedleniu”, po odsiedzeniu lat obozu.

Nie mamy żadnych wiadomości, by Polacy byli wypuszczani z obozów i więzień przed czasem. I to właśnie musi być zrobione. Czym są obozy w Rosji, jaka jest ich śmiertelność i jakie są tam warunki pracy i życia, wie-

my wszyscy, tym bardziej wiedzą o tym dziś ludzie w kraju. Tylko niech nie pada znowu słowo: amnestia, słowo oszczercze. Amnestia dla ludzi wywożonych po nocach w roku 1940, amnestia dla żołnierzy, których zamknięto w obozach, bo bili się z Hitlerem, i wypuszczono, by się mogli bić dalej, amnestia dla żołnierzy AK, amnestia dla podstępnie wywiezionych przywódców Podziemia? To słowo przede wszystkim musi być wykreślone.

Jeżeli odwilż to nie tylko kilka zręcznych gestów propagandowych na zewnątrz i parę lekkich ulg, danych przez zwycięskich Gletkinów ludziom o już przełamanym kręgosłupie, ale pierwsze symptomy może długiego, na pewno niezmiernie ciężkiego, ale organicznego procesu w Związku Sowieckim, to cała prawda o Katyniach musi być ujawniona i muszą wrócić do Polski wszyscy Polacy, którzy j e s z c z e żyją. Inaczej w świadomości każdego Polaka solidarność między dzisiejszymi przywódcami a „beriowszczyzną” nie została zerwana.

Jan Kott pisze w „Przeglądzie Kulturalnym” ze wzruszeniem, którego akcent nie myli, o wstrząsającym wrażeniu *Dziadów* na scenie warszawskiej. „Mickiewicz jakby chwycił wielką historię na gorąco” – pisze Kott. Nie dodaje, że genialność Mickiewicza tkwi jeszcze w tym, że chwycił on na gorąco także i jakby bardziej jeszcze, historię dzisiejszą i że dlatego „każde upuszczenie tekstu odczuwano jak ukłucie w serce”, że dlatego płakali wszyscy, szatniarki, maszyniści i nawet ministrowie. Łzom całej widowni warszawskiej jakże się dziwić – nie upuszczono chyba strofy:

„Jeżeli zapomnę o nich, Ty Boże na niebie
Zapomnij o mnie”.

Te słowa biją w nas wszystkich, w szatniarki, maszynistów, w każdego Polaka w kraju i na emigracji, w ministrów. Biją swą groźną wymową i gdybyśmy zawołali wszyscy o całą prawdę o Katyniach i o ratunek dla tych, co jeszcze żyją, może i my byśmy, jak kiedyś Mickiewicz, w przestrzeniach Rosji znaleźli przyjaciół–Moskali i z ich strony dla spraw tych zrozumienie.

Józef Czapski

Polska „rewolucja październikowa”

„Destalinizacja” i „desatelizacja”

Między tymi dwoma określeniami, wytworzonymi przez wydarzenia bieżącego roku, mieści się znaczna część zagadnienia przyszłości Europy Środkowej, a na ich tle rozwój przemian zachodzących w Polsce stał się ważnym wskaźnikiem położenia międzynarodowego. Pomyślny obrót wydarzeń może tu prowadzić do wytworzenia się nowego kierunku politycznego, którego ideologia nie powinna zagrażać ani Wschodowi, ani Zachodowi; w razie zaś wyłonienia się trudności i opóźnienia całego procesu pozostanie to chyba najśmielszą próbą wyjścia z obecnego politycznego i ideowego impasu. Jest to także demonstracja życzeń autentycznego proletariatu tej części Europy, wyniszczonej najpierw przez Niemców, a następnie pauperyzowanej przez wyzysk stalinowskiego imperium. Ponadto po raz pierwszy konsekwentna akcja polityczna została przeprowadzona przez dojrzewające pokolenie powojenne, prawie już całkowicie wychowane pod rządami komunistycznymi i nie mające za sobą bezpośredniego doświadczenia żadnego innego ustroju poza gospodarką socjalistyczną i absolutyzmem jednej partii.

Po raz pierwszy bowiem w ramach bloku sowieckiego pojawiło się hasło połączenia szacunku dla podstawowych praw jednostki z socjalistycznymi zasadami życia gospodarczego i politycznego, co w znacznej mierze równa się usiłowaniom związania komunizmu z europejską tradycją rewolucyjną wywodzącą się od rewolucji francuskiej. Po raz pierwszy również zażądano nowego ułożenia stosunków sąsiedzkich ze Związkiem Sowieckim, przechodząc do pozycji samodzielnego państwa, świadomie szukającego oparcia w sile Rosji wobec poczucia zagrożenia od strony Niemiec. Nacisk, położony na tym motywie postępowania, dążył do zasadniczej zmiany sytuacji, gdyż odtąd zbliżenie z Rosją miałoby się opierać nie tyle na wspólnocie

ideologicznej albo na jednostronnej zależności, co na łączności interesów. Chociaż Węgry posunęły się dalej, żądając uznania swej neutralności i tym samym zaprzeczając istnieniu wspólnych korzyści, stanowisko polskie otwierało jednak drogę do dalszej polityki, zmieniając samą istotę sojuszu polsko-sowieckiego. Równocześnie w zakresie haseł ideologii komunistycznej uznano tylko słuszność ostatecznego celu, pozostawiając sobie swobodę wyboru środków, to znaczy określenia politycznej teraźniejszości. PZPR przekształcała się tymi decyzjami w socjalistyczny odpowiednik jakiegoś odrębnego „kościółka narodowego”, odrzucającego wszelką ortodoksyjną i autorytatywną „wykładnię pisma”. Wszystko to razem wzięte stanowi krok dzielący „destalinizację” od „desatelizacji”.

Niezależnie od narzucenia układów wojskowych i gospodarczych, przyjęcia baz sowieckich i obsadzenia wielu ważnych stanowisk specjalistami rosyjskimi, w pojęciu tak zwanego „państwa satelickiego”, a więc podporządkowanego ostatecznym decyzjom rosyjskim, leżało ograniczenie swobody i zakresu zmian wewnętrznych. Reforma rosyjska, sprowadzająca się przede wszystkim do ataku na „kult jednostki” i uznania „zbiorowego przywództwa” starała się o usunięcie szkodliwych dla państwowości nadużyć okresu stalinowskiego, bez naruszania wszakże podstawowej struktury państwa, dziedziczonej po Stalinie. Dopóki prąd reformistyczny mieścił się w tych granicach, trzeba było używać słowa „demokratyzacja” jako nie nawiązującego do innego dziedzictwa politycznego poza wzorami rewolucji październikowej. Rzucenie hasła *d e m o k r a c j i s o c j a l i s t y c z n e j*, jako programu zachowującego socjalistyczną własność środków produkcji i przyjmującego ewolucję w stronę bliżej jeszcze nie określonej formy rządów parlamentarnych, mogło być możliwe tylko przy zmianie charakteru stosunków polsko-rosyjskich. W związku z tym urzeczywistnianie reform, przechodzenie od słów do czynów, zależy od stopnia rozluźnienia poprzedniego związku polsko-rosyjskiego i zgody Rosji na tolerowanie warszawskiego eksperymentu, na poddanie go próbie czasu, zanim polityka Moskwy uzyska jasną ocenę, czy w obecnym układzie międzynarodowym *casus* Gomułka sprzyja, czy też szkodzi głównym interesom Związku Sowieckiego.

Wyjaśnienie tej sprawy może zająć tygodnie, a nawet miesiące, może też stać się kwestią najbliższych dni. Dla polskiego punktu widzenia istotny jest wpływ sytuacji na wewnętrzny rozwój wypadków, wobec którego trzeba sobie powiedzieć, że po rozgrywce węgierskiej każde posunięcie musi się liczyć z granicą, jaką Rosja wyraźnie zaznaczyła swym stosunkiem do węgierskiej próby „demokracji socjalistycznej”. Wystąpienie z paktu warszawskie-

go, zajęcie stanowiska neutralnego, co automatycznie pociąga za sobą żądanie likwidacji baz, zostało przez Rosję uznane za naruszenie jej interesów na terenie międzynarodowym i za groźbę dla jej bezpieczeństwa. Jeżeli natomiast tych granic się nie przekracza, Rosja staje przed wyborem udzielenia lub odmówienia swego poparcia takiej grupie partyjnej, która obiecuje stabilizację stosunków nie tylko własnemu społeczeństwu, ale i Związkowi Sowieckiemu.

Jeżeli krajami Europy Środkowej trzeba rządzić przy pomocy okupacji wojskowej, oznaczałoby to dla Rosji całkowite przekreślenie koncepcji bariery państw komunistycznych, zabezpieczających jej granice ze światem Europy Zachodniej. Okupowane tereny, rządzone przymusem i postrachem, miałyby co najwyżej wartość baz lotniczych i wojskowych, utrzymywanych za wysoką cenę. Wiązałyby one znaczną liczbę oddziałów wojskowych, stanowiły stałe źródło zaognienia i dotkliwe obciążenie prestiżu sowieckiego wobec komunistów całego świata i państw neutralnych. Dokładnie w tej właśnie sytuacji znalazła się polityka rosyjska po krwawym tłumieniu protestu węgierskiego, zamieniającego się w ogólnonarodowe powstanie przeciw partii reprezentującej Rosję, a nie miejscowy świat pracy. Nie leży to w jej interesie.

Trudność przyjęcia przez Rosję polityki sprzyjającej jej roli głównego ośrodka komunizmu, a jednocześnie nie zagrażającej jej roli wielkiego mocarstwa, słowem – polityki umiarkowanej „desatelizacji”, polega na tym, że po czyszkach stalinowskich w Europie Środkowej prawie nie ma ludzi, do których mogłaby mieć zaufanie i którzy potrafiliby także skłonić naród do współpracy z Rosją jako do warunku śmielszej reformy stosunków wewnętrznych. Wydarzenia polskie i węgierskie pokazały, iż krępowane dotąd narody żądają jak najdalej idących zmian, podczas gdy Rosji brak ludzi typu Wielopolskiego, a nie chce ona dopuścić do powrotu ludzi typu Mikołajczyka.

Wypadkami często rządzi odruch strachu, pod pozorem uspokajającej się sytuacji mogą się ukrywać plany podjęcia ostatecznego ryzyka, gdyby jednak doszło do głosu logiczne, ostrożne myślenie, wartość Gomułki – z punktu widzenia potrzeb sowieckich – powinna niepomniernie wzrosnąć po wypadkach węgierskich. Ostatecznie Rosja miała sposobność przekonać się, do jakich następstw doprowadza uporczywe popieranie ludzi typu „grupy natolińskiej”, którym nikt nie wierzy i których nikt nie chce. Oczywiście, że dawni staliniści zawsze będą starali się wystąpić w roli jedyne go niezawodnego, prorosyjskiego czynnika partyjnego. Gdyby udało się im sprowokować gwał-

towne zajścia i próbę obalenia ich rządów siłą, mieliby w ręku dowód, że druga strona dążyła do antyrosyjskiego zamachu i że jedynym wyjściem z katastrofy jest udzielenie im przez Związek Sowiecki czynnego poparcia.

Na Węgrzech miejscowy „Natolin” już rozpoczął wykonywanie podobnego planu, ale zaskoczyła go reakcja mas robotniczych i młodzieży; wypadki potoczyły się szybciej, niż przypuszczano i zanim przyszło do oparcia się na groźbie sowieckiej siły wojskowej, stało się oczywiste, iż grupa dawnych stalinowskich rządców porusza się w politycznej próżni, całkowicie wyosobniona ze społeczeństwa i nawet z partii. W końcu fala rewolucyjna wyprzedziła wszystkich polityków i komunistycznych, i reakcyjnych, i demokratyzujących, pozbawiona zaś kierownictwa politycznego przyniosła program nie do przyjęcia dla imperialistycznych ambicji rosyjskich.

W Polsce znajdowano się zaledwie o krok od podobnego dramatu. Jeżeli podwarszawski „Natolin” spodziewał się, że może zatrzymać władzę bez wybuchu masowego protestu, byłby nie do uwierzenia naiwny; jeżeli zamierzano stłumić ten protest siłą, byłoby to decydowanie się na wojnę domową o nieobliczalnych następstwach. Wolno dzisiaj przypuszczać, że najpierw liczone na efekt szybkiego działania i energicznych represji połączonych z koncesjami gospodarczymi dla szerokich mas, których koszt miałyby ponieść Rosja. Kiedy zaś było już jasne, że ten manewr zawiedzie, spróbowano uciec się do trzeciego sposobu, do wymuszenia kompromisu pod naciskiem rosyjskim. Dla grupy reakcyjnej byłby to kompromis czasowy, ale dosadne skompromitowanie dla grupy reformistycznej – Gomułka musiał stać się symbolem, a nie jednym więcej funkcjonariuszem ustroju.

Stopniowe rozszerzanie się krytyki i odwrotu od przeszłości musiało przynieść chwilę, kiedy nie sposób było nadal stosować wzór sowiecki, polegający na prowadzeniu nowej polityki przez dawnych ludzi. Ale równocześnie zmiana ludzi, konieczna i oczywista, musiała nieuchronnie oznaczać przejście od „destalinizacji” do „desatelizacji”, ponieważ od nowego człowieka oczekiwano nowego hasła. Uparty marksista mógłby tu dostrzec klasyczny przykład przejścia zmian ilościowych w zmianę jakościową. Interwencja sowiecka w Warszawie, jeżeli nawet uznała potrzebę przesunięć personalnych, prawdopodobnie starała się oddzielić je od zjawiska „desateliza-

* „Natolinem” lub natolińczykami zwano stalinowską dogmatyczną grupę w ówczesnym kierownictwie PZPR, która walczyła z reformami wprowadzonymi po roku 1956.

cji”. Skutek był wręcz odwrotny i gdyby nie przeszłość Gomułki, dałoby się niemal powiedzieć, że nowemu Biuru Politycznemu partii same wypadki narzuciły hasło suwerenności.

Rewolucja i suwerenność

Cokolwiek będzie dalej, nie ma powrotu do sytuacji sprzed VIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR. Ten punkt zwrotny, być może nie tylko w losach polskich, ale i w historii całego ruchu komunistycznego, jest tak samo naturalnym następstwem poprzedniego łańcucha wydarzeń, jak i zapowiedzią dalszego ich ciągu. Interwencja na Węgrzech doprowadziła Związek Sowiecki do granicy wojny, ale ewentualny wybór pokojowego rozwiązania i przyjęcie przez politykę rosyjską „eksperymentu Gomułki” również będzie musiało mieć swoje konsekwencje. Gdyby Gomułka poległ jedynie na sukcesie osobistym i przejmował spadek poprzedniej działalności partii, zapewne posiadałby większą swobodę ruchów. W tej chwili, rozumiejąc, że dla utrzymania pozycji jest mu potrzebne ułożenie *modus vivendi* z Kremlem, musi zarazem zdawać sobie sprawę, iż ruch, jaki wyniósł go do władzy, nie będzie słabł, lecz potężniał. Najwyższe grupy mogą przyjąć ograniczenia żądań, jeśli idzie o stosunki polsko-rosyjskie, natomiast hamowanie reform wewnętrznych od razu wywołałoby podejrzenie, że suwerenność podlega jakimś ukrytym więzom. W imię zatem suwerenności młodsze pokolenie będzie energicznie domagać się wykonywania i powiększania ogłoszonego programu tym silniej, im bardziej trzeba będzie uważać na słowa i gesty, jeśli idzie o zewnętrzne stosunki z potężnym sąsiadem.

Ta sama fala dyskusji, która w istocie rzeczy ocaliła Polskę od losu Węgier, przygotowując solidarny front narodowy na rozstrzygającą chwilę, będzie zapowiadać następne wydarzenia. Jeżeli nie przeciwstawi się im Rosja, będą one przekształcać życie polskie zgodnie z wymaganiami nie tyle tego, co w tej chwili już dosyć ogólnikowo nazywa się partią, ile w zgodzie z żądaniami politycznie aktywnej części społeczeństwa. Prasa partyjna podkreśla, że w Polsce PZPR znalazła się na czele idącej fali nastrojów i wydarzeń w przeciwstawieniu do Węgier i że dzięki temu partia była w stanie pokierować „polską rewolucją”. Pokierować – w znaczeniu chyba wyłącznie techniczno-organizacyjnym, gdyż treść „rewolucji” przyszła spoza partii, w każdym bądź razie spoza jej oficjalnej ideologii. PZPR staje się w tej chwili wygodnym, bo nie prowokującym sztyldem, gotową ramą organizacyjną, lecz treść ruchu „naprawy Rzeczypospolitej” krystalizuje się równie dobrze

w partii, jak i poza partią. Takie jest rzeczywiste znaczenie zwrotu o „przodującej partii”. Gdyby wraz ze zmianą treści usiłowano zmienić i formy, skutki mogłyby być równie nieobliczalne jak w Budapeszcie, gdzie tego właśnie próbowano dokonać. Stąd respekt dla form i rosnąca śmiałość w kształtowaniu treści.

Być może, że sytuację ułatwiło także niesprecyzowanie programu, jego samorodność, uczuciowa wartość takich słów, jak suwerenność i niepodległość. Gdy nic nie będzie podsycać nastrojów podniecenia, niepokoju czy entuzjazmu, przyjdzie ochłonięcie z pierwszego zapалу i dyskusje zajmą się szczegółowymi zagadnieniami ustrojowymi. W krytycznych natomiast dniach październikowych słowo „suwerenność”, tak wreszcie wypowiedziane przez Gomułkę, że uwierzono jego szczerości, przebiło zaporę „drętwej mowy”; reszty dokonało poczucie wspólnego niebezpieczeństwa, zabarwiające ściśle legalne poczynania atmosferą rewolucji.

Poza bowiem legalną formą działań niewątpliwie leżała gotowość do walki, do zniweczenia ataku przeciwnej grupy, i szeroka praca przygotowawcza, posiadająca coś wspólnego z atmosferą poprzedzającą zwołanie posiedzenia sejmu dla uchwalenia głównych ustaw Konstytucji 3 maja.

Od dawna już odczuwano istnienie linii podziału w partii i w całym krajowym środowisku lewicowym. Ataki na śmiałość prasy, wystąpienia antysemickie, napaści na środowisko intelektualne narzucały po prostu potrzebę wspólnego działania. Z głosów prasy polskiej po październiku bieżącego roku wynika, że grupa odsuwana w cień posiadała plan, który przewidywał użycie, jak napisała „Nowa Kultura” – „środków najhaniebniejszych, najbardziej zbrodniczych”. Część członków Biura Politycznego – w jednej z polskich audycji radiowych powiedziano to wyraźnie – zamierzała oprzeć się na wojsku i wykorzystać interwencję sowieckich autorytetów partyjnych. Oczekiwano nawet aresztowań mających uderzyć w pisarzy, dziennikarzy, w obsługę radia, organizacje młodzieżowe, nie mówiąc już o kierownictwie warszawskiej organizacji partyjnej. W nocy z 19 na 20 i z 20 na 21 ostrzegano się wzajemnie i nie spano we własnych mieszkaniach; przywódców ruchu strzegła utworzona samorzutnie milicja robotnicza. Zadaniem partii w stolicy była ochrona legalnego przebiegu obrad Komitetu Centralnego i zapewnienie natychmiastowego wyniku wyborów do Biura Politycznego. Dodatki nadzwyczajne gazet sprzedawali studenci i wezwani do pomocy uczniowie.

Idące starcie było zarówno wynikiem głośnej mowy Chruszczowa na XX Zjeździe, jak i całych rządów komunistycznych w Polsce. Dochodziło do

rozbratu między wołającymi o potrzebę „dźwignięcia się z naszego upadku” a innymi, przekonanymi o możliwości dalszego łatania sytuacji. Moralisci stanęli przeciwko starym praktykom politycznym; pokolenie powojenne, szukające jakiejś prawdy, przeciw ludziom od lat przyzwyczajonym do lawirowania wśród kłamstwa.

Kolejne akty tragedii Węgier pokazują, czym groziły rządy „Natolina” zaczynane wbrew ogólnej woli. Wydaje się, że społeczeństwo odrzuciłoby wszelką „oktrojowaną reformę”, a represje spowodowałyby gwałtowną reakcję. Kiedy grupa reformy podejmowała swoją niełatwą grę, kluczowym zagadnieniem było dla niej związanie się ze społeczeństwem, w ten sposób stającym się jakby arbitrem w wewnętrznym konflikcie partii. Zbliżenie dokonywało się głównie za pośrednictwem młodzieży, środowiska intelektualnego i lewicowej inteligencji współpracującej z ruchem „samorządów robotniczych”. Rady robotnicze powstawały w większych zakładach pracy, w niektórych oficjalnie, w innych, jak można sądzić, na razie jako grupy projektujące wystąpienie z nową inicjatywą organizacyjną. Ważną rolę w tworzeniu się tego frontu robotniczego spełniał pełny tekst lutowej mowy Chruszczowa, który w nieuszczipionym brzmieniu dotarł tylko do niektórych podstawowych organizacji partyjnych; znały go między innymi załogi fabryczne Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu i zakłady im. Kasprzaka. Wśród inteligencji albo należącej do partii, albo też mającej bliiski kontakt z jej członkami najważniejszą część stanowili dawni socjaliści i ludzie młodzi. Wszystkich ich zaczynała łączyć myśl o konieczności przeprowadzenia podstawowych zmian i usunięcia jednostek obciążonych odpowiedzialnością za „dziesięciolecie Polski Ludowej”.

W przeciwstawieniu więc do zupełnej spontaniczności rewolucji węgierskiej, w Polsce zwolennicy reformy byli w stanie liczyć na przygotowanie nastrojów długotrwałą dyskusją prasową, na wyłaniający się z niej program i na powstanie milicji robotniczej, od razu gotowej do zabezpieczenia świeżych zdobyczy. Gdy na Węgrzech wojsko przechodziło na stronę demonstrantów dopiero na widok czołgów sowieckich, w Polsce reedukacja polityczna dotarła do szeregów wojskowych. „Po prostu” było popularne w kołach młodszych oficerów, a krytyka wychowania politycznego w wojsku wpływała również i na żołnierzy.

Niespodzianym gościom sowieckim mogło więc Biuro Polityczne pokazać postawę społeczeństwa, mobilizację członków partii w Warszawie, na pływ depesz i delegacji. Propozycję wyjazdu członków Biura do Moskwy odrzucono, gdy do Warszawy nadchodziły wiadomości o ruchach wojsk so-

wieckich. Obrady Komitetu Centralnego odroczone i nie byłoby dziwne, gdyby ktoś powiedział: „Nie będziemy obradować pod bagietkami”. Wydaje się, że o rozwoju wydarzeń zdecydowało okazanie poparcia nowemu kierownictwu partii jeszcze przed jego wybraniem, podczas gdy w Budapeszcie dopiero bieg wydarzeń wytworzył spóźnione porozumienie między demonstrującymi mieszkańcami stolicy a Imre Nagyem. Nagy był postacią przypadkową, Gomułka miał za sobą najlepszą legitymację: więzienie i dwukrotne niepoddanie się naciskom Kremla. Raz – przy rozwiązywaniu KPP, drugi raz – w okresie politycznego i ideowego ataku na Titę. Co więcej, Gomułka był starym człowiekiem partii, dawnym jej sekretarzem generalnym, i to zapewniało mu zaufanie szczerých komunistów, a nie tylko grup „demokratyzujących”.

Zjawisko ogólnonarodowej solidarności było w Polsce powojennej czymś tak nowym, że w pierwszej chwili pozwoliło zapomnieć o tym, jak daleko znajduje się również i narodowy komunizm od prawdziwych ideałów demokratycznych. Wobec tragedii Węgier odroczył się okres wypróbowania tego nastroju współpracy, opanowanie zaś sytuacji w Warszawie nie oznaczało jeszcze ogarnięcia całej prowincji ową „legalną rewolucją” wewnątrzpartyjną. W wyborach do Biura Politycznego Rokossowski otrzymał około 25 głosów, co mniej więcej wskazuje na siłę liczebną grupy ortodoksyjnej w Komitecie Centralnym wraz z głosami ludzi, którzy niczego nie chcieli ryzykować; we Wrocławiu, Szczecinie czy Kielcach rzeczy nie od razu poszły gładko. Lecz właśnie tam w całej pełni wystąpił prawdziwy charakter zjawiska politycznego przeżywanego przez kraj. Kiedy Chełchowskiego wybrano na przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej, demonstracja protestacyjna zmusiła go do ustąpienia. O zmianach zatem decydowały masy, dające Gomułce swój kredyt; w partii – ludzie rozsądni postanowili pójść za masami.

Polska rewolucja październikowa

Było więc w tych dniach wiele pierwiastka rewolucyjnego. Wysłannicy fabryki na Żeraniu alarmujący ośrodki prowincjonalne, organizujący nowe rady robotnicze, informujący organy partyjne w miastach pomorskich o prawdzie stosunków na górze partii, roznoszący wiadomości o przygotowanej liście aresztowań – przypominają podobną akcję robotników i marynarzy z Kronsztadu. „Robotnicze ludowładztwo”, hasło powtórzone przez prasę warszawską, jest wczesnym hasłem rewolucji październikowej, którego następnie Kronsztad bronił przeciw absolutnej władzy centralnego rządu rewolucyjnego.

Pod wpływem tych podobieństw, pod wpływem zbiegu okoliczności, sprawiającego, że wypadki warszawskie odbywały się prawie w przeddzień trzydziestej dziewiątej rocznicy rewolucji rosyjskiej, w Warszawie powstało określenie „polskiej rewolucji październikowej”. Tytuły artykułów, mówiące o „dniach, które wstrząsnęły Polską” są wyraźną aluzją do głośnej książki Reeda *10 dni, które wstrząsnęły światem*, opisującej przebieg rewolucji w Petersburgu. Idzie tu o zjawiającą się wtedy świadomość, że w rozpoczętych zmianach może być zarodek odrodzenia ruchu komunistycznego i wprowadzenia go na tory zbliżone do demokratycznego socjalizmu. Akcja rosyjska na Węgrzech otworzyła oczy wielu ludziom, zwłaszcza w zachodnioeuropejskich kołach intelektualnych; próba polska, sięgająca daleko poza granice titoizmu w swej treści ideowej, stwarzała jakąś możliwość pozostania przy partii dla ludzi dławiących się dotychczasowym zakłamaniem. Dla szerokich mas, dla większości narodu, była to „polska rewolucja” z racji przeciwstawienia się groźbom rosyjskim, podczas gdy wielu członków PZPR widziało w tym przemianę rewolucji z zewnątrz narzuconej we własną, polską rewolucję.

Byłoby błędem przyjmować to pochopnie jako upowszechnienie rewolucji w Polsce, jednakże odtąd partia rewolucyjna, kierowana w imię polskich, a nie obcych interesów, może szukać języka porozumienia z czynnikami politycznymi, stojącymi poza jej obrębem. Przy partii stalinowskiego typu, partii podporządkowanej Moskwie, nie do pomyslenia było ułożenie stosunków z Kościołem ani też, choćby częściowe, odzyskanie wielopartyjności. Dziś staje się to możliwe, jeżeli interes narodowy i dążenie do postępu społecznego zaczną stanowić platformę porozumienia między różnymi grupami. Jeżeli nawet ogólny układ międzynarodowy będzie utrudniał czy też opóźniał śmielsze eksperymenty łączenia parlamentaryzmu z uspołecznieniem środków produkcji, Front Narodowy będzie można wypełnić nową treścią, podobnie jak nowa treść wchodzi w stare hasła partyjne. Moralne oczyszczenie lewicy otworzyło jej drogę patriotyzmu.

Dla oceny sytuacji w kraju konieczne jest zdanie sobie sprawy, kto właściwie przeprowadzał tę „polską rewolucję październikową” i jaki jest jej start ideowy. Szeregi partyjne w Warszawie, fabryki „Żerań”, „Kasprzak”, Wojskowa Akademia Techniczna, Uniwersytet Warszawski i Krakowski – oto pobieżna lista najczynniejszych ośrodków, zabiegających, aby „wybiła godzina”. Trzeba to nazwać wystąpieniem „aktywu polityczno-społecznego”. Idzie o czynnik społeczny, poczuwający się do odpowiedzialności za losy kraju i gotowy do przewodzenia, do czynnej i ryzykownej interwencji

w życie polityczne, w odróżnieniu od protestujących milcząco, od sprzyjających, ale biernych i niezorganizowanych.

Rewolucje rzadko bywają dziełem chłopów; w wielkich miastach przeprowadzają je robotnicy i studenci, ta część świata pracy, której nie powstrzymuje pewien dobrobyt materialny i urzędnicza zależność od państwa. We współczesnej Polsce procent synów robotniczych w młodzieży akademickiej jest dość wysoki, by nie było przedziału między wyższą uczelnią i fabryką, to samo odnosi się już i do korpusu oficerskiego. Bez przesady więc „polską rewolucję październikową” można traktować jako protest młodego pokolenia, nie wyczerpanego jeszcze walkami politycznymi jak pokolenie starsze, nie odartego z ideałów. Wydaje się również, że młodzi szukają konkretnego, szybkiego, realistycznego rozwiązania w istniejących warunkach, biorąc jako punkt wyjścia nie przeszłość, lecz teraźniejszość. Jest to ruch rewolucyjny nie przeciw całości ustroju, ale przeciw jego zwyrodnieniu, zbliżony swym duchem do każdej „reformacji” nawracającej do czystości pierwotnej doktryny.

Z historycznego wszakże punktu widzenia dosłowny nawrót jest niemożliwy. Jeżeli podstawą wysuwanych haseł staje się uświęcony tekst, przeciwstawiany praktyce ostatnich czasów, pozostaje zawsze zagadnienie jego nowej interpretacji. Dopóki nie będzie ona wypróbowana i określona czymś dokładniej, aniżeli mogą ją określić słowa, istotna jej treść pozornie może pozostawać bliska dawnej ideologii rewolucyjnej. Po pewnym jednak czasie występuje decydujący wpływ współczesności, wtedy zaś najważniejszą sprawą zewnętrzną nie są formy ustrojowe, ale codzienne działanie ustroju. Każde prawo to przede wszystkim sposób, w jaki społeczeństwo zechce je rozumieć i stosować.

Ani podczas zajęć poznańskich, ani w Warszawie nie występowano przeciw upaństwowieniu przemysłu, upowszechnieniu własności rolnej czy przejęciu przez państwo, w postaci szeroko rozbudowanego systemu ubezpieczeń społecznych, odpowiedzialności za dobrobyt obywatela. Te cele i podstawy uznano, idzie jedynie o rozsądną i sprawną ich realizację oraz o poszanowanie praw jednostki. Symbolem ostatnich dni była swoboda i zaufanie, z jakim Gomułka poruszał się wśród tłumu, nie oddzielając się od niego barierą dygnitarstwa i ochrony policyjnej. Ale poza wymową symbolu pozostaje praktyczna sprawa, jak zapewnić masom swobodne wyrażanie ich opinii bez uciekania się do ciągłych demonstracji. Krótko mówiąc, idzie o osiągalne dzisiaj częściowe wprowadzenie metod demokratycznych.

Jeżeli partia, według oświadczenia Gomułki, ma przewodzić, lecz nie rządzić, źródło władzy powinno znaleźć się w sejmie. Jeżeli rząd jest przed sej-

mem odpowiedzialny, wynika stąd, że musi również być usuwalny wolą sejm. Gdyby zastosować ostatnio przyjęte zasady nowej ordynacji wyborczej, decydującą rozgrywką polityczną staje się moment wyznaczania kandydatów. Podwojenie ich liczby gotowe w pewnej chwili zamienić się w nieoficjalne pojawienie się dwóch odrębnych list wyborczych, w razie gdyby przez partię i społeczeństwo poszła wyraźna linia podziału. Nawet przy utrzymującej się przez pewien czas dawnej formie, można ustrój przesycić nowym znaczeniem.

Wszystko to posuwa się o wiele dalej niż praktyka titoizmu. Titoizm, jako odmiana teorii komunistycznej, był mimo wszystko jedynie modyfikowaniem istniejącej praktyki i korektą założeń sowieckich. Natomiast zasada, wysuwana nie tyle przez Gomułkę, ile przez całość owego nieskrystalizowanego ruchu protestu, jaki ogarnął kraj, wprowadza zasadniczą różnicę. Jeżeli tylko odrzucenie wyzysku człowieka przez człowieka jest nienaruszalną opoką socjalizmu – do czego trzeba by dodać wyrzeczenie się wyzysku człowieka przez państwo – tego rodzaju ograniczenie dogmatu równa się jak najszerszemu empiryzmowi: dobre są wszystkie metody prowadzące do celu, o przyjęciu zaś metod decyduje nie martwy ich „regulamin”, lecz każdorazowe wyniki doświadczenia. Tym samym także sprawdzianem wyższości socjalizmu nad kapitalizmem staje się jego sprawność gospodarcza i społeczna, a nie pozaempiryczna wiara w moralną słusność założeń. Na tym polega istota sprawy. Dalszym współzawodnictwem będzie konkurencja między swoistym „oświeconym absolutyzmem” socjalistycznym a socjalistyczną demokracją. Oczywiście, towarzyszy temu obrona suwerenności, bez której program jest nie do przeprowadzenia.

Gdyby ów polski ruch, będący o wiele bardziej wyrazem patriotyzmu i oburzenia moralnego niż zorganizowanym frontem politycznym, mógł się swobodnie rozwijać, możliwe że wyłoniłaby się z niego ideologia dążąca do syntezy ducha 1848 roku i lat 1917–1918. Byłoby to podjęcie problemu, od którego zależy dalszy los socjalizmu, a może nawet i nadzieja na wyjście z obecnego tragicznego chaosu na lewicy, sprzyjającego tylko imperialistycznym zamierzeniom.

Zdzisław Broncel

Odwrót od Października

Przewrót październikowy stworzył *modus vivendi* między Partią a społeczeństwem. W przeciwieństwie do poprzedniego okresu, w którym Partię i społeczeństwo dzieliła nie do przebycia przepaść wzajemnej wrogości i przeciwstawnych dążeń, przewrót październikowy otworzył perspektywę ułożenia stosunków między nimi na zasadzie współpracy w osiągnięciu określonych wspólnych celów w dziedzinie kulturalnej, społecznej i gospodarczej. Problem stosunku Partii do społeczeństwa zajął centralne miejsce w życiu politycznym kraju, znajdował odbicie w fluktuacjach opinii publicznej i w rozwoju wydarzeń we wszystkich innych dziedzinach życia zbiorowego. Widzimy to dzisiaj jaśniej niż w minionych miesiącach w wyniku coraz wyraźniejszego zagrożenia warunków współpracy ich jednostronnym wymówieniem przez kierownictwo Partii.

Problem stosunku Partii do społeczeństwa znalazł się na pierwszym miejscu wśród zagadnień o ogólnonarodowym znaczeniu w wyniku procesów, jakie doprowadziły do przewrotu październikowego. W przeszłości problem ten nie istniał i istnieć nie mógł. Społeczeństwo widziało w Partii samodzielną bez tytułu prawnego i moralnego do władzy sprawowaną dzięki poparciu obcego mocarstwa. Pozbawiona autorytetu i szacunku Partia rządziła krajem środkami przymusu i w zamian była traktowana przez społeczeństwo jako obce ciało w organizmie narodowym, przebrane w kostiumy narodowe i socjalistyczne zagranicznego wyrobu, by nazwać rzecz po imieniu – *made in the Soviet Union*. Nie było danych po temu, by wytworzyć się mogły kanały komunikacji między Partią a społeczeństwem.

Ten stan rzeczy ulegał powolnym przekształceniom w okresie przedpaździernikowym. Chociaż oficjalna polityka i praktyka Partii pozostanie nie zmieniona, najpierw jednostki, potem całe grupy w Partii stanęły po stronie społeczeństwa i poparły jego dążenia do naprawy istniejącego stanu rzeczy.

W różnych środowiskach w stolicy i na prowincji wyrosli ludzie, którzy posiadali legitymacje partyjne i uznanie społeczne za działalność, jakiej przewodzili. Dynamiki procesów przedpaździernikowych dostarczył podział na dwa przeciwstawne sobie obozy – zwolenników stalinizmu i totalitarnych metod rządzenia oraz wyznawców demokratycznych ideałów życia zbiorowego. Podział ten przechodził poprzez Partię i społeczeństwo. Albowiem w okresie przedpaździernikowym wielu członków Partii znalazło się po stronie wyznawców ideałów demokratycznych, a niektórzy przedstawiciele pozapartyjnych ośrodków społecznych opowiedzieli się całkowicie za stalinowskim odłamek Partii. Fakt, iż w obozie demokratycznym znalazła się znaczna liczba członków Partii stanowił sam w sobie uzasadnienie oczekiwania, iż ze zwycięstwa nad stalinowskim totalizmem Partia wyjdzie zreformowana w swej strukturze wewnętrznej i metodach rządzenia krajem. Te dwa aspekty działalności Partii są bowiem ze sobą najściślej związane.

Partia o autokratycznej strukturze wewnętrznej, w stalinowskim lub leninowskim wydaniu, z natury rzeczy rządzić będzie również społeczeństwem w sposób autokratyczny i stawiać interes własny ponad dobro i wolę narodu. Natomiast partia, która w swej działalności wewnętrznej kieruje się zasadami demokratycznymi, nie jest w stanie traktować społeczeństwa w sposób, jaki określał stosunek feudalnych panów do poddanych. Z tej właśnie przyczyny październikowe zwycięstwo rewizjonistycznego skrzydła Partii budziło tyle nadziei, a sprawa demokratyzacji struktury partyjnej nabrała w oczach myślących kół opinii publicznej decydującego znaczenia dla dalszych losów kraju.

Problem stosunku Partii do społeczeństwa znalazł się w centrum uwagi publicznej również za sprawą Gomułki. Gomułka nie jest twórcą przewrotu październikowego. Nie układał on strategii wydarzeń, jakie do przewrotu doprowadziły, nie kierował nimi i nie stał na czele sił walczących na różnych odcinkach – w fabrykach, organizacjach partyjnych, na wyższych uczelniach, w publicystyce i prasie. Gomułka nie był także ideologiem przewrotu. Program Października wykluczał się w mrocznych latach powojennych w ludzkich sumieniach i umysłach, znalazł sformułowanie w słowie pisanym w miesiącach poprzedzających przewrót, był proklamowny w przemówieniach i rezolucjach podejmowanych na zebraniach publicznych ustami robotników, młodzieży, publicystów i pisarzy. Gomułka znalazł program gotowy, gdy fala rewolucyjna wyniosła go w Październiku do władzy. Jego zasługą w tym okresie było utożsamienie się z siłami dokonującymi przewrotu, przyjęcie ich

programu i obwieszczenie go jako własny. W ten sposób Gomułka zyskał powszechne poparcie społeczeństwa, jakim nie cieszył się w całej historii ruchu komunistycznego żaden komunistyczny przywódca. Stając się głosem społeczeństwa i rzecznikiem jego woli, został uznany za przywódcę narodu, a osiągając tę godność, był w stanie oprzeć się zwycięsko naporowi przeważających sił zewnętrznych i ich popleczników w Partii. Społeczeństwo zaciągnęło dług u Gomułki i Gomułka zaciągnął dług u społeczeństwa. Bez poparcia społecznego Gomułka byłby tylko meteorem. Za sprawą Gomułki przewrót październikowy, narastający samoistnie i spontanicznie, stał się w decydującym momencie ruchem kierowanym, skupił się na określonych celach i te cele osiągał w sposób zdyscyplinowany i zorganizowany.

Stosunek między kierownictwem Partii a społeczeństwem, jaki ukształtował się w wyniku październikowego przewrotu, ma charakter niepisanej umowy. Określił to trafnie zespół „Tygodnika Powszechnego”, który jest uprawniony, by zabierać autorytatywnie głos w tej sprawie.

„W październiku Partia przeszła na stronę narodu, a naród przyznał Partii kierownictwo polityczne. Oczywiście nie bezwarunkowo – warunkiem jest realizacja październikowego programu. Przed Partią stoi teraz alternatywa: czy potrafi ten związek utrzymać, czy utraci zaufanie społeczeństwa” („Tygodnik Powszechny” 5/57).

Powyższe sformułowanie wymaga uzupełnień, jakie znajdujemy w innych kontekstach oświadczenia zespołu „Tygodnika Powszechnego”. Pierwsze z nich dotyczy Partii. Kredyt udzielony Partii przez społeczeństwo w Październiku i potwierdzony w styczniowych wyborach dotyczy tych ludzi, którzy

„[...] w październiku opowiedzieli się za linią reformy, oraz tych, którzy linię tę realizują. Natomiast [społeczeństwo] uznaje za swych przeciwników tych członków Partii, którzy pragnęliby cofnąć się do czasów panowania systemu stalinowskiego i antydemokratycznej dyktatury”.

Drugie ze wspomnianych uzupełnień łączy się z definicją warunków umowy między Partią a społeczeństwem. W poczuciu społeczeństwa warunki te zostały określone w mowie Gomułki na VIII Plenum i w uchwałach tego Plenum. Wśród nich demokratyzacja Partii figuruje na wysokim miejscu. Jest to jedyny punkt programu październikowego o wewnątrzpartyjnym charakterze, w którym społeczeństwo jest jednak żywotnie i prawomocnie zainteresowane. Albowiem bez demokratyzacji Partii nie może być mowy o demokratyzacji w żadnej innej dziedzinie zbiorowego życia. Demokratyzacja społeczna i gospodarcza jest zaś podstawowym punktem programu październikowego.

Umowa między Partią i społeczeństwem nie oznacza poparcia udzielonego przez społeczeństwo Partii lub Gomułce, lecz poparcie udzielone programowi reform, stanowiącemu punkt wyjścia stopniowego przekształcania stosunków politycznych, społecznych i gospodarczych bez przymusu i ucisku, zgodnie z aspiracjami społeczeństwa. Zaufanie pokładane pod tym względem w osobie Gomułki wywodzi się z postawy, jaką zajął wraz z rewizjonistycznym skrzydłem Partii w dniach październikowego przewrotu. Umowa między Partią a społeczeństwem ma charakter trwały pod warunkiem dochowania wierności dobrowolnie udzielonym zobowiązaniom. Dodać trzeba, iż jeśli chodzi o Partię „[...] trwałość układu zależy od dotrzymania przez Partię jej własnych uchwał” („Tygodnik Powszechny” 5/57).

Poczucie zagrożenia

W okresie dzielącym wybory i X Plenum KC PZPR miały miejsce fakty, które podały w wątpliwość dobrą wolę kierownictwa Partii. Na pierwszym miejscu, w porządku chronologicznym, wymienić trzeba utrzymanie na wysokich stanowiskach w rządzie i państwie członków frakcji natolińskiej, obrońców totalistycznych metod rządzenia, ludzi znanych z pogardy dla woli społeczeństwa, spiskujących z obcym mocarstwem przeciw własnemu narodowi, propagatorów antysemityzmu i nienawiści rasowej. Decyzja ta zaskoczyła wszystkich, rzuciła cień na kierownictwo Partii i zachwiała zaufaniem do niego, dała początek dezorientacji w Partii i zaniepokojeniu w społeczeństwie. Udział frakcji natolińskiej w rządzie obudził nadzieję przeciwników programu październikowego w aparacie partyjnym, tak zwanych elementów konserwatywnych – żywotnie zainteresowanych w utrzymaniu dawnego systemu, z którego wywodzi się ich pozycja i prestiż społeczny – iż nic jeszcze nie jest stracone i rozgrywka nie jest rozstrzygnięta, jeżeli trwać będą w oporze przeciw wszelkim zmianom. Następstwem tego stanu rzeczy był fakt, iż w wielu środowiskach prowincjonalnych program Października znany był tylko z nazwy, a reżym kacyków, bezprawie, korupcja i nadużywanie władzy były nadal rzeczywistością dnia codziennego. Z drugiej strony wzbudziło w społeczeństwie podejrzenia, że w Partii bądź dalej toczy się walka, której losy są nadal niepewne, bądź udzielane są koncesje wrogom Października kosztem społeczeństwa i październikowego programu.

Stosunku Gomułki do frakcji natolińskiej opinia publiczna nie mogła bowiem traktować jako przemyślanej gry politycznej, obliczonej na pozyskanie

lub zneutralizowanie przeciwników październikowego programu w Partii. Ta gra, jeśli grą ona była, okazała się błędem, straty narastały z miesiąca na miesiąc bez żadnego widomego zysku. W sześć miesięcy po udzieleniu koncesji frakcja natolińska nie ustąpiła na jotę w swej wrogości do październikowego programu. Zamiast nadziei, iż w partii znikną różnice, pisały „Nowe Drogi” (8/57, s. 64), „dochodzi do formułowania kontrpłaszczyzny [natolińskiej] coraz szerzej i coraz obficie argumentowanej”. Gdy na IX Plenum frakcja natolińska przeszła do generalnej ofensywy na osiągnięcia Października, KC PZPR uchwalił rezolucję podjęcia „sankcji partyjnych aż do wykluczenia z szeregów Partii” za robotę grupową i frakcyjną. Z rezolucji tej nie uczyniono jednak użytku, gdy już na konferencji warszawskiej, odbywającej się w kilka dni po IX Plenum, ponowiono próby „poderwania autorytetu kierownictwa i próby forsowania do składu KW frakcyjnie ustalonych kandydatów” („Nowe Drogi” 8/57). Z dwuznacznego stanowiska, koncesji, niezrozumiałej pobłażliwości kierownictwa Partii w stosunku do frakcji natolińskiej społeczeństwo wyciągało własne wnioski. Narastała nieufność do kierownictwa Partii, a ten fakt psychologiczny kształtował atmosferę polityczną. Jej zasadniczym elementem była apatia i obojętność na sprawy publiczne, coraz bardziej rozpowszechniające się przekonanie, iż nie można liczyć na poprawę w rzeczach ważnych i mniej ważnych, ponieważ kierownictwo Partii nie liczy się z wolą społeczeństwa, dąży do własnych celów i nie zamierza wykonać programu październikowego.

Sprawa frakcji natolińskiej nie była jedyną przyczyną spadku reputacji kierownictwa Partii i zachwiania się pokładanego w nim zaufania. Przyczynił się do tego walenie obrażający poczucie prawa i sprawiedliwości sposób, w jaki Partia przekreśliła własną uchwałę wyrównania robotnikom zaległych roszczeń, unicestwienie dążeń młodzieży do stworzenia samorządowych organizacji, tłumienie inicjatyw społeczeństwa do organizowania się na zasadach dobrowolności i niezależności. Kierownictwo Partii zaznaczało swoje istnienie stawianiem rozlicznych przeszkód w działaniu zbiorowym i w zużytkowaniu energii i inicjatywy zbiorowości dla celów społecznej rekonstrukcji. Partia ciążyła nad społeczeństwem w formie zakazów, ograniczeń i przeszkód w tej dziedzinie życia społecznego, jaka leży poza sferą ingerencji państwa nie posiadającego intencji i ambicji do totalnej kontroli nad społeczeństwem. Zryw energii wyzwolonej w dniach październikowego przełomu nie tyle wypalił się słowiańskim słomianym ogniem, ile został roztrwoniony i udaremniony, a jego miejsce zajęła nieunikniona frustracja, skutek

niepowodzeń poniesionych przy wielkim nakładzie nadziei i psychicznego napięcia.*

Rozdźwięk i wzrastająca nieufność społeczeństwa w stosunku do kierownictwa Partii (o innych przyczynach prócz wymienionych będzie jeszcze mowa) nie były tajemnicą dla bacznych obserwatorów życia politycznego w kraju. Pierwszy w dzwon alarmowy uderzył Edmund Osmańczyk, występując gościnnie w „Polityce” (29/57) z artykułem, który odbił się szerokim echem w całej polskiej prasie. Osmańczyk ostrzegał Partię, iż jej bezceremonialne metody realizowania kierowniczej roli w państwie oraz lekceważenie opinii i reakcji bezpartyjnego społeczeństwa obniżają autorytet kierownictwa partii i wyrządzają poważne szkody sprawom ogólnym i publicznym. W tym samym duchu wystąpił Stanisław Stomma:

„Sztuka rządzenia Polską jest bardzo trudna. Ale naród jest taki, jaki jest i taki, jaki jest – trzeba ku dobru ogólnemu prowadzić. Aby narodem skutecznie kierować, trzeba się z nim porozumieć. Porozumienie jest możliwe tylko na płaszczyźnie wartości ideowych, które naród rozumie i uznaje. Należą tu demokracja i wolność... Doświadczenia przeszłości wykazują, że pomimo najmocniejszego aparatu egzekucyjnego nie osiągnęły powodzenia rządy tych, którzy naród usiłovali wtłoczyć w łożo Prokrusta, starali się rządzić nim w imię ideałów niezrozumiałych i obcych, kierując ku celom z góry narzuconym. Warunkiem sukcesu jest porozumienie z narodem” („Tygodnik Powszechny” 36/57).

W rocznicę październikowego przełomu, pomimo surowej i bezwzględnej cenzury, głos zaniepokojenia i alarmu wobec niebezpieczeństw zagrażających Państwu przemawiał donośnie z kart niektórych dzienników i tygodników. Wśród nich artykuł wstępny „Przeglądu Kulturalnego” (40/57) zasługuje na wyróżnienie, gdyż dotyka sedna omawianej sprawy. Bez ukształtowania „oblicza Partii w sposób, który odpowiadałby zarówno jej celom, jak i potrzebom społeczeństwa – pisał „Przegląd Kulturalny” – więź Partii z masami może być łatwo narażona na naruszenie, a nawet na zerwanie”.

Więź ta jest cenna nie tylko dla społeczeństwa. Dla Partii stanowi ona jej „być lub nie być”. Partia nie ma realnej siły politycznej, poniżej szczybla ko-

* Rolę i znaczenie grup „nieformalnych” i organizacji dobrowolnych w normalnie rozwijającym się społeczeństwie omawiał J. Szczepański w „Przeglądzie Kulturalnym” (36/57). Do spraw tych powrócił w przemówieniu na zebraniu „Krzywego Koła”, drukowanym również w „Przeglądzie Kulturalnym” (44/57). Te świetne wypowiedzi rzucają wiele światła na przyczyny, które sprawiają, iż w życiu zbiorowym w kraju występuje tyle zjawisk patologicznych i szerzy się poczucie osiągnięcia jakiegoś martwego punktu w życiu zbiorowości [przypis autora].

mitetów powiatowych po prostu przestała istnieć. Z grubsza rzecz biorąc, partia zredukowana została do aparatu partyjnego, liczącego kilkadziesiąt tysięcy osób w dwudziestosiedmiomilionowym narodzie. Próba sił ze społeczeństwem może, na długą metę, przynieść jedynie całkowitą porażkę. Żłudny jest argument, iż sprawne użycie pałek przez milicję przeciw kobietom, studentom i strajkującym robotnikom świadczy o tym, iż rząd i kierownictwo Partii są silne, gdyż posiadają sprawny aparat wykonawczy władzy. Największą siłą Partii jest dobrowolne poparcie i posłuch społeczeństwa, wynikające ze zrozumienia geopolitycznej sytuacji Polski w obecnym układzie stosunków w Europie i w świecie. Gomułka znał tę prawdę i do niej się odwołał w przeddzień wyborów (nazywając ją „absurdalną tezą” już na X Plenum).

Ostatecznym fundamentem władzy jest dobrowolna zgoda na nią, przyzwolenie rządzonych. Rzeczy te były jasne już w Październiku. W rok później wygląda na to, iż ta podstawowa zdobycz Października idzie w niepamięć.

Zmiana modelu gospodarczego

Taktyka ustępstw i koncesji kierownictwa Partii w stosunku do frakcji natolińskiej wzmocniła opór konserwatywnych elementów w aparacie partyjnym, państwowym i gospodarczym, w szczególności w zakresie spraw dotyczących gospodarki narodowej. Po przemówieniu Gomułki na VIII Plenum zmiany modelu w rolnictwie nastąpiły częściowo spontanicznie, częściowo przy współudziale kierownictwa Partii, które nie liczyło się z tak zwanymi „trudnościami rynkowymi”, usankcjonowało zmianę modelu i umocniło go szeregiem rozsądnych zarządzeń. Poprawa w produkcji rolnej była natychmiastowa i przekroczyła oczekiwania największych optymistów, nie wyłączając Czesława Bobrowskiego. Wydawać się mogło, iż ten szczęśliwy eksperyment zachęci do radykalnych zmian modelu w zakresie planowania i organizacji przemysłu. Nic podobnego jednak nie nastąpiło.

W maju bieżącego roku Rada Ekonomiczna opublikowała tezy „W sprawie niektórych kierunków zmian modelu gospodarczego”, złożone uprzednio do aprobaty Radzie Ministrów. Wspomniane tezy stały się natychmiast przedmiotem ataków

„[...] ze strony tych żywiołów, które każdy krok naprzód na drodze odnowy usiłują przedstawić jako »zdradę socjalizmu«. Próbowano oskarżyć tezy Rady Ekonomicznej o wszystkie grzechy główne – od nawrotu do kapitalizmu i anarcho-syndykalizmu poczynając, a na powodzeniu wzrostu cen kończąc” („Życie Gospodarcze” 32/57).

Powyższe ataki były już drugim aktem kampanii przeciw zmianom modelowym gospodarki narodowej, prowadzonej przez wyznawców „biurokratycznego centralizmu”. Akt pierwszy rozegrał się w Radzie Ekonomicznej, gdzie zasiadali oni z racji zajmowania wysokich stanowisk w administracji gospodarczej (A. Brzeski – S. Kurowski, „Po prostu” 25/57). Ich działalność nie była całkowicie bezskuteczna. Niemal trzy miesiące minęły, zanim 30 lipca Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów uznał ogólny kierunek też za słuszny. Niewiele to jednak pomogło, by sprawę zmian modelu gospodarczego posunąć naprzód. Przemówienie Gomułki na X Plenum nie zawiera już żadnych konstruktywnych gospodarczych propozycji i wieje od niego pod tym względem myślową pustką (z wyjątkiem spraw dotyczących budownictwa mieszkaniowego). Czy trzeba przypisać to faktowi, iż opracowując tezy dotyczące zmian modelu gospodarczego, Rada Ekonomiczna nie brała względów doktrynalnych pod uwagę, lecz kierowała się realnymi potrzebami natury społecznej i gospodarczej? Niedoktrynalny, empiryczny charakter tez Rady Ekonomicznej skłania do wniosku, iż ich realizacja jest nie do pomyślenia bez dalszego rozwoju demokratyzacji życia w kraju. Jeżeli to nie nastąpi, zdrowy rozsądek i względy ekonomiczne ponieść mogą klęskę.

Obecne szanse zwycięstwa rozsądku i względów ekonomicznych nie wyglądają pomyślnie. Przemawiając na posiedzeniu Sejmowej Komisji Planu Gospodarczego prof. O. Lange, przewodniczący Rady Ekonomicznej, oświadczył między innymi:

„W opinii społeczeństwa występowało i mogło występować zjawisko pewnego zaniepokojenia zbyt powolnym procesem zmian dokonywanych w modelu gospodarki socjalistycznej, któremu to procesowi przeciwstawiano śmiałość założeń nowej polityki rolnej [...] Zagadnienia przemysłu przedstawiają o wiele większą trudność, gdyż wymagają pozytywnych rozwiązań, wymagają wprowadzenia do przemysłu tego wszystkiego, co nazywamy formami i nowymi metodami pracy. Ta kwestia przedstawia – rzecz jasna – o wiele większą trudność i co do samej koncepcji, i – co nie mniej ważne – trudność polegającą na niezbędności przełamania wątpliwości ostrożnego lub nawet konserwatywnego stosunku do nowych form części aparatu gospodarczego” („Trybuna Ludu”, 23 X 1957).

Podkreślając, iż „te trudności w zasadzie zostały przewyciężone”, prof. Lange poinformował komisję sejmową, iż pewne zmiany modelowe nastąpią przypuszczalnie w przyszłym roku, lecz najważniejsza z nich i podstawowa, od której w znacznym stopniu zależy powodzenie decentralizacji organizacji przemysłu, planowanej na 1958 rok (reforma cen i płac), „będzie mogła stanąć na porządku dziennym dopiero w 1959 roku”. Na łamach prasy partyjnej pojawia się znowu argument, iż przyspieszenie realizacji no-

wego modelu, lekkomyślnie propagowane przez „niektórych publicystów gospodarczych”, doprowadziłoby do „obniżenia realnego poziomu życia ludzi pracy”.

Ataki na projekt modelu gospodarczego wychodzą z założenia, iż obecny model żadnych zasadniczych zmian nie wymaga prócz usunięcia „wad”, jakie do niego wprowadzono po przewrocie październikowym.

„Są towarzysze – pisały »Nowe Drogi« (10–11/1957, s. 21) – którzy uważają, że wszystko było dobrze lub prawie dobrze przed Październikiem, że rady robotnicze i w ogóle socjalistyczna demokratyzacja Polski – to tylko niepotrzebny bałagan i ułatwianie roboty reakcji”.

Tezy Rady Ekonomicznej wychodzą z odmiennego założenia. Są one wyrazem poglądu, iż oprócz mnóstwa ułomności, które nie są wyłącznym skutkiem modelu ekonomicznego (a również następstwem braku zdrowego sensu), w gospodarce narodowej występują poważne błędy strukturalne typu modelowego nie pozwalające wykorzystać zasobów kraju i dające początek różnorodnym plagom nękającym życie gospodarcze. Rada Ekonomiczna traktowała przeto przeobrażenia typu modelowego jako niezbędny warunek poprawy, zarówno jeśli chodzi o „zlikwidowanie gleby”, z której wyrastają wspomniane plagi, jak i celem pełnego wykorzystania potencjału gospodarczego kraju.

„Jeśli zapytamy, dlaczego gospodarka kuleje, dlaczego brak towarów, dlaczego panuje brakoróbstwo, dlaczego są absencje, przestoje, dlaczego nie ma produktów na rynku, to jasne, że źródło tego tkwi nie w inflacji, która jest produktem ubocznym, a jedynym i wyłącznym źródłem jest system gospodarczy [...]. Zmiana tego systemu stanowi przesłankę podstawową naprawy gospodarczej [...]. Obecny system jest zły dla socjalizmu i dla gospodarki” (E. Lipiński, „Przegląd Kulturalny” 42/57).

Wahania, opóźnienia i beczynność kierownictwa Partii w dziedzinie zmian modelu gospodarczego miały poważne skutki, jeśli chodzi o postawę klasy robotniczej i o psychologiczno-społeczne warunki sprawnego działania gospodarki narodowej. Ludzi pracy przytłacza ciężar kłopotów materialnych, których usunięcie nie może nastąpić w krótkim okresie. W tych okolicznościach tym większej roli nabierają czynniki psychologiczne, a więc przekonanie, iż podejmowane są dalekosiężne kroki, by ulżyć ich położeniu i podnieść poziom życia. To przekonanie mogą wzbudzić i podtrzymać tylko widome znaki, iż dokonywane są zmiany w organizacji i planowaniu produkcji przemysłowej, które usuwają absurdy i niedorzeczności dotychczasowego systemu. Tego przekonania ludzie pracy dotąd nie nabrali, bo

nabrać nie mogli. Zostali natomiast wezwani do wzmożonego wysiłku i ofiarności w ramach dotychczasowego modelu, którego wadliwy mechanizm jest im aż nadto dobrze znany. Rezultatem była fala strajków – łamanych, jak na przykład w Łodzi, brutalnie dla zademonstrowania siły – niedostateczny wzrost produkcji, zła jej jakość, wzmożona absencja i wiele innych plag oddziałujących ujemnie na poprawę sytuacji gospodarczej.

Fala strajków nie była, jak się to czasem przedstawia, jedynie wynikiem żądań podwyżki płac, w obecnych warunkach ekonomicznych kraju trudnym do spełnienia. Przyczyn wielu strajków, nie wyłączając strajku łódzkiego – pisało „Życie Gospodarcze” (36/57) – szukać należy w błędach funkcjonalnych istniejącego modelu, których nie można lokalnie usunąć przy najlepszej woli. Wywołują one rozdrażnienia i niezadowolenie załóg przedsiębiorstw i na tym tle dopiero dochodzi do strajków koncentrujących się na żądaniu podwyżek płac. Rzeczywistych przyczyn strajków szukać trzeba wśród takich faktów, jak „nieudolna, nieruchawa lub niekiedy nieuczciwa dyrekcja”, sztywne ceny, sztywny fundusz płac, system kontroli, brak możliwości wyboru dostawcy i odbiorcy i w ogólności brak samodzielności przedsiębiorstw. Są to wszystko sprawy, które dotyczą modelowych właściwości obowiązującego systemu planowania i organizacji przemysłu. Wprowadzenie rad robotniczych dało robotnikom wgląd od wewnątrz w działanie obecnego modelu i uświadomiło im wynikające z tego konsekwencje co do zmian niezbędnych dla poprawy ich losu. Ci, którzy mają do czynienia z obecnym systemem organizacji i planowania przemysłu w praktyce i na co dzień, to znaczy rady robotnicze i załogi fabryczne, pisał Włodzimierz Brus („Życie Gospodarcze” 42/57), znają jego sprzeczności i niekonsekwencje, jego „skały podwodne”, o które rozbijają się najlepsze zamierzenia podejmowane w skali przedsiębiorstwa. Ogranicza je nie zmieniona struktura administracji gospodarczej, niedostatecznie zmienione metody planowania, spleciona sieć niezgodnych z nową sytuacją przepisów finansowych, reglamentacyjnych i innych, nie mówiąc już o wadliwym systemie cen i błędnego ustawienia bodźców.

Program październikowy „ulepszenia modeli socjalizmu”, którego głównymi punktami były decentralizacja organizacji i planowania w przemyśle, przywrócenie prawa wartości (reforma systemu cen), rady robotnicze i otwarcie pola działania dla inicjatywy prywatnej, nie wymaga poprawek, lecz konsekwentnej realizacji. Tej konsekwentnej realizacji zabrakło i program październikowy pozostał dotąd w ogromnej części na papierze.

W jakiej mierze kierownictwo Partii nie rozumie rozczarowania spowodowanego beczynnością w dziedzinie spraw gospodarczych oraz na-

stępstw tego rozczarowania, świadczy przemówienie Gomułki w Krakowie z okazji rocznicy strajku chłopskiego w 1937 roku. Na IX Plenum Gomułka uznał, iż strajk jest zawsze „określonym sygnałem” dającym znać o tym, iż istnieją jakieś „schorzenia w funkcjonowaniu administracji albo działalność elementów wicherzycielskich lub wrogich władzy ludowej”. W przemówieniu krakowskim nie było już mowy o pierwszej możliwości, a wyłącznie o drugiej. Strajk łódzki był dziełem „wrogich socjalizmowi prowokatorów”, inne strajki – „warchołów i demagogów” obojętnych na losy narodu i nie dbających o dobro publiczne. Pogrożki o zastosowaniu siły w stosunku do „wroga” nadały przemówieniu złowróżbny wydźwięk.

Ograniczenie wolności prasy

Chociaż omówione fakty są niepokojące, nie uzasadniałyby one same przez się twierdzenia, iż w rok po przełomie październikowym jesteśmy świadkami odwrótu od programu Października. Odwrót ten jest jednak w toku i dotyczy wolności prasy i demokratyzacji partii.

Odwrót od programu październikowego pod określonym względem nie stanowi jego całkowitego przekreślenia. Odwrót i przekreślenie to dwa różne pojęcia. Odwrót nie naruszył ważnych osiągnięć – ułożenia stosunków z Rosją Sowiecką, przywrócenia w pewnej mierze praworządności, poszanowania praw obywatelskich, uregulowania stosunków z Kościołem, zmian w gospodarce rolnej, przywrócenia autonomii nauki, wolności badań naukowych i twórczości kulturalnej. Liczba, waga i zasięg przemian dokonanych przed rokiem składają się na to, iż w Polsce popaździernikowej życie jest swobodniejsze i lżej jest oddychać aniżeli w wielu innych krajach o systemie autokratycznym i monopartyjnym. Ten fakt właśnie budził nadzieję, iż proces przemian stosunków politycznych, społecznych i gospodarczych nie zatrzyma się w miejscu, lecz będzie się pogłębiać i rozszerzać, opierając się na październikowym programie, iż jest on procesem dynamicznym, jaki po przezwyciężeniu trudności ekonomicznych zapewni społeczeństwu wzrastającą miarę wolności, dobrobytu i zadowolenia z życia. Obecnie widzimy, że te oczekiwania były zbyt optymistyczne i opierały się na zbyt niedokładnym rozpoznaniu bądź kierownictwa, bądź układu sił w Partii. Zamiast stopniowo się rozwijać, proces zmian utknął w miejscu i zaczął się cofać na niektórych odcinkach z pozycji przedwcześnie uznanych za trwałe osiągnięcia.

O wolność prasy obóz Października musiał ciężko walczyć i wydarł ją Partii w miesiącach poprzedzających przewrót, gdy – parafrazując słowa Lenina – rządzeni nie chcieli się pogodzić z dawnymi metodami rządzenia, a rządzący nie byli w stanie wymusić dla nich posłuchu. W przemówieniu na VIII Plenum Gomułka uznał wolność prasy, mówienie „prawdy o dniu wczorajszym i dzisiejszym”, za niezbędny warunek zachowania przez ludzi dzierżących ster władzy zaufania klasy robotniczej. Bez tego zaufania znika moralna podstawa sprawowania władzy.

„Przed prawdą uciec nie można. Jeśli się ją skrywa, wypływa ona w groźnej postaci widma, które straszy, niepokoi, buntuje się i wścieka” (przemówienie na VIII Plenum).

Dzisiaj Gomułka nie mógłby tych słów powtórzyć. Jeśli redaktor chce uniknąć ołówka cenzora, gromadzenia się w szufladach stosów skonfiskowanych artykułów, a wreszcie zamknięcia pisma, dwie drogi stoją przed nim otworem – może bądź unikać tematów, co do których ma odmienne poglądy od kierownictwa Partii i milczeć w sprawach budzących zasadniczy sprzeciw, bądź przyjąć linię programowego oportunistycznego konformizmu, jakiej apologetą jest „Polityka”*. Trzeba wówczas „poprzeć kierownictwo Partii” i „w pełni zaangażować się po jego stronie”. Stosunek ten ponoć „bynajmniej nie wyklucza krytyki”, lecz krytyka ta ma być „twórcza” i wychodzić z „socjalistycznych” pozycji. O „twórczym” i „socjalistycznym” charakterze krytyki lub jej braku decyduje kierownictwo Partii.

Głównym zadaniem prasy, oświadczył Gomułka na X Plenum, jest „mobilizowanie wszystkich twórczych sił narodu wokół aktywnego popierania wewnętrznej i zewnętrznej polityki Partii i rządu”. Sprawa oceny słuszności tej polityki nie jest rzeczą prasy, gdyż ocena słuszności jest ograniczonym przywilejem. Słuszność jest zależna od tego, kto się za nią opowiada i jakie miejsce zajmuje w hierarchii partyjnej. *Roma locuta, causa finita*. W słuszność linii politycznej Partii zwyktemu śmiertelnikowi nie wypada wątpić.

Prasa, mówił również Gomułka na X Plenum, ma obowiązek „przedstawić rzeczywistość w ten sposób, jak ona faktycznie wygląda”, prasa posiada „prawo krytyki wszelkich ujemnych zjawisk zachodzących w kraju”. Lecz

* M. F. Rakowski, M. Radgowski: „Polityka” nr 22/1957; M. F. Rakowski: „Polityka” nr 27/1957. Artykuły kwestionujące lub polemizujące z oficjalnym stanowiskiem „instancji partyjnych”, donieśli przy tej okazji redaktorzy „Polityki”, nie były od dawna dopuszczane do druku [przyp. autora].

poglądy o tym, jak „rzeczywistość faktycznie wygląda” i jakie zjawiska są „ujemne” nie mogą odbiegać od poglądów, jakie w tej sprawie głosi kierownictwo Partii. W przeciwnym razie może się okazać, iż rozsiewa się „rozczarowanie do socjalizmu” lub „uderza w socjalizm”, lub uprawia „negację” i wykazuje „brak wiary w socjalizm”. Systematyczne głoszenie poglądów, jakie nie znajdują uznania kierownictwa Partii, naraża na niebezpieczeństwo zamknięcia pisma. Albowiem „[...] rzeczą instancji partyjnych jest decydowanie o losach redakcji złożonej w swej większości [mowa o „Po prostu” – Z. J.] z członków Partii” (S. Żółkiewski, „Trybuna Ludu” 10 X 57).

Wolność prasy stała się wolnością egzegezy i obrony stanowiska „instancji partyjnych”. Dochodzenia przeciw „Po prostu”, wyrok wykluczający członków zespołu tego tygodnika z szeregów partyjnych i nauki dla prasy na X Plenum oparte są, jak się zdaje, na zasadach następujących. Poglądy, jakie nie odpowiadają kierownictwu Partii, są *ex definitione* poglądami antysocjalistycznymi lub burżuazyjnymi. Co jest socjalizmem i co nim nie jest, co można z nim pogodzić i czego pogodzić się z nim nie da, o tym decyduje kierownictwo Partii, autorytatywnie i ostatecznie. Obowiązkiem nieomylnych „instancji partyjnych” jest bronić „prawdy” i chronić ludzi przed „fałszem”, pouczać, gdzie leży granica dzieląca „wolność słowa” i „wolność kłamstwa i fałszerstwa”.

Zawieszenie „Po prostu” nie jest sprawą partykularną, sprawą dotyczącą jeden tygodnik. Jest to wydarzenie zwrotne i decydujące, ma charakter wyroku skazującego niezależność i wolność prasy na banicję. Prawo publicznego głoszenia i obrony poglądów zostało boleśnie okaleczone. Przed zamknięciem „Po prostu” wolność prasy była ograniczona, lecz rzeczywista. Była ograniczona, gdyż obracać się musiała w ramach wyznaczonych względami określanymi skrótowo mianem racji stanu. Te ograniczające ramy dyktował interes narodowy, ich uszanowanie było dobrowolne, wypływało z poczucia odpowiedzialności piszącego, a przeto nie naruszało poczucia wolności słowa. Po przewrocie październikowym były wypadki wykroczenia przeciw powszechnie przyjętym nakazom samodyscypliny piszących, lecz te odosobnione wypadki spotykały się natychmiast z właściwą odprawą. Dziennikarze i publicyści wytworzyli sprawnie i samorządnie działający mechanizm etyki zawodowej, który bez interwencji z zewnątrz określał skutecznie to, co stanowiło nadużycie wolności słowa (ze względu na ograniczenia dyktowane interesem narodowym). W tych granicach wolność prasy była rzeczywista i chociaż kurczyć się zaczęła od znanego incydentu z „Trybuną Ludu”, zaostrożająca się cenzura nie zdołała zmusić wolnego słowa do

milczenia. Czego nie zdołała osiągnąć cenzura, tego dokonało zamknięcie „Po prostu”. Na demonstracje studentów w Warszawie, protestujących przeciw tej decyzji i przeciw brutalnym wystąpieniom milicji dającej po Łodzi drugi z kolei pokaz siły dla przekonania opornych, kto „ma rację”, odpowiedział w prasie codziennej zgodny chór potępień pod batutą wytrawnych znawców totalitarnej techniki władzy. Rocznicę Października uczciła prasa, prócz nielicznych wyjątków, odrodzeniem się drętwej mowy, świecącej blaskiem dawnej świetności w artykule rocznicowym „Trybuny Ludu”.

Istota konfliktu między Partią a „Po prostu”

„Po prostu” nie atakowało nigdy ludzi stojących na czele Partii, polskiej drogi do socjalizmu, polityki realnej, demokratyzacji życia politycznego czy gospodarczego, wypełnienia socjalistyczną treścią istniejących biurokratycznych instytucji. Tę funkcję spełniała w Partii inna dobrze znana grupa, nie ponosząc za to żadnych konsekwencji. „Po prostu”, co jest niemal rzeczą zbyteczną stwierdzać, stało bez zastrzeżeń na platformie Października i czyniło, co było w jego mocy, by uzyskać dla niego poparcie całego narodu „konkretną pracę, inicjatywę, wytrwałość, przełamywaniem przeszkód, na które żadne deklaracje programowe nie mogą stanowić cudownego uzdrawiającego lekarstwa” (21/57). Działalność „Po prostu” była propagandą socjalizmu w najlepszym tego słowa znaczeniu, gdyż przywracała socjalistycznym ideom walor moralny i humanistyczny, łączyła je z szacunkiem dla faktów i myśleniem w kategoriach empirycznych.

Nie wszystko po Październiku było radosną twórczością. Zmieniła się całkowicie ogólna atmosfera w kraju, lecz jednocześnie zaczęły narastać zjawiska ujemne – rozczarowanie, zniechęcenie, apatia, a liczne plagi gnębiące od lat życie społeczne i gospodarcze wystąpiły jaskrawo, gdy można było mówić i pisać o nich bez przeszkód. Przedstawiając stan społeczeństwa nie raz brutalnie i zawsze bez socrealistycznego sosu, „Po prostu” wzbogacało wiedzę o społeczeństwie, której brak był największą przeszkodą w zwalczaniu plag społecznych. Naczelnym obowiązkiem dziennikarza jest niczego nie taić, nie przemilczać, stwierdzać fakty, jak je widzi. To stanowi rację jego istnienia i użyteczności. Przykro jest, iż tego abecadła dziennikarskiej moralności trzeba raz jeszcze bronić. O wierze w program Października nie świadczą słowne deklaracje *at usum Delphini*. O wierze w program i woli jego realizacji świadczy najlepiej wykrywanie i jasne widzenie przeszkód stojących na drodze jego realizacji. By skutecznie działać, trzeba najpierw znać

fakty. Faktów zaś w życiu społecznym nie znajduje się jak kamieni w polu, nie wystarczy spojrzeć, by wiedzieć, jak się rzeczy mają „naprawdę”, nie ma barometrów i termometrów pozwalających zmierzyć bez pomyłek temperaturę i ciśnienie opinii społecznej. Wszechwiedza, do jakiej pod tym względem roszczą sobie pretensje „instancje partyjne” – my wiemy wszystko, jak jest i jak być powinno – jest śmiesznym i tragicznym o nich świadectwem.

Prawdą jest oczywiście, iż „Po prostu” widziało niejednokrotnie sytuację w Polsce inaczej, niż widzi ją kierownictwo Partii. W tym nie ma nic niezwykłego i nie dostarcza to podstaw do twierdzenia, iż „Po prostu” zamieniło wolność słowa w „wolność kłamstwa i fałszerstwa”. Być może, że „Po prostu” nie zawsze miało rację, bo tak się zdarza każdemu pismu, z czego jednak nie wynika, iż „instancje partyjne” miały jaśniejszy i adekwatniejszy obraz sytuacji. „Po prostu” widziało natomiast często rzeczy, które dopiero znacznie później przeniknęły do świadomości kierownictwa Partii. Alarmowało ono niejednokrotnie o tym, że w aparacie partyjnym, we władzach administracyjnych i gospodarczych znajdują się jednostki przeżarte korupcją, nadużywające władzy i nagminnie popadające w konflikt z prawem karnym. Działo się to na długo przed X Plenum, na którym Gomułka odkrył fakty dobrze znane czytelnikom „Po prostu”. Zanim Klub Poselski PZPR i „Trybuna Ludu” stwierdzili w Częstochowie istnienie „atmosfery obycia się [...] z zastarzałym złem i niesprawiedliwością”, o potrzebie dochodzeń pisało „Po prostu”. Z podobnych przykładów ułożyć by można długą listę.

Prawdą jest także, iż „Po prostu” miało inną aniżeli kierownictwo Partii diagnozę zjawisk ujemnych występujących w kraju. W licznych artykułach redaktorzy „Po prostu” podkreślali niebezpieczeństwo tych elementów społecznych, jakie określali nazwą „klasycznej reakcji”. W wachlarzu kierunków politycznych i ideowych „Po prostu” stało zdecydowanie na pozycjach lewicy społecznej i politycznej. Wszelkie ustępstwa na rzecz ugrupowań prawicowych i konserwatywnych traktowało jako koncesje w stosunku do koncepcji „absurdalnych” i „sprzecznych z interesami narodu polskiego”. Jedyne słuszny program, zgodny z „obiektywną sytuacją kraju”, reprezentował dla niego ten odłam polskiej lewicy, który w dziejach PZPR nosi nazwę „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego” („Po prostu” 22/57). Oskarżenie zespołu „Po prostu”, iż „staczał się na pozycje antysocjalistyczne i burżuazyjne” (uchwała CKKP w sprawie zespołu „Po prostu”, „Trybuna Ludu” 17 X 57), jest niedorzeczne. Można je podtrzymać tylko pod tym warunkiem, jeżeli w ten sam sposób oceni się działalność Gomułki.

Przestępstwo „Po prostu” nie polega na tym, iż zeszło ono na pozycje niezgodne z socjalizmem ani na tym, iż nie chciało dostrzec niebezpieczeństw związanych z istnieniem sił społecznej reakcji. Grzech „Po prostu” był wynikiem przekonania, że brak poprawy sytuacji w kraju, narastanie rozczarowania i apatii, nie daje się sprowadzić do faktu istnienia i działalności „wroga klasowego”. „Po prostu” broniło poglądu, że te ujemne zjawiska będą stopniowo ustępować pod naporem reform *explicite* lub *implicite* zawartych w październikowym programie. Istotą konfliktu między „Po prostu” a kierownictwem Partii było nieprzerwane domaganie się pełnego wykonania październikowego programu. Tym samym i w stopniu jeszcze wyższym „Po prostu” popadło w konflikt z konserwatywnym aparatem partyjnym zagrożonym przez reformy, przez ujawnienie na łamach „Po prostu” grupowego interesu aparatu partyjnego w utrzymaniu dawnego systemu i wyciągnięciu na światło dzienne jego korupcji. Nikt nie wyrzeka się dobrowolnie pozycji społecznej, przywilejów i władzy. Jeśli ich utratę przedstawia się jako zagładę „socjalizmu”, „Po prostu” stać musiało na pozycjach „antysocjalistycznych” i „burżuazyjnych”.

Zawieszenie „Po prostu” jest zwycięstwem konserwatywnego i dogmatycznego skrzydła partii nad obrońcami październikowego programu i wzmocnieniem wpływów tego skrzydła w partii. Zmienił się układ sił. Siły partyjnej reakcji zdobyły podstawę wyjściową do ofensywy taktycznej i ideologicznej przeciw radom robotniczym, polityce rolnej, polskiej drodze do socjalizmu, które aprobowały kiedyś jedynie „pod naciskiem opinii, pod terrorem wieców, pod moralną presją społeczeństwa”.

Ku Partii-monolitowi

Na VIII Plenum Gomułka solidaryzował się z programem demokracji Partii, sformułowanym swego czasu przez Adama Schaffa. Na IX Plenum Gomułka zajmował się więcej „demokratycznym centralizmem” aniżeli demokratyzacją Partii, lecz jednocześnie stanowczo odrzucił koncepcję Partii-monolitu. Wreszcie na X Plenum Gomułka zapowiedział, iż ideologiczna jedność i organizacyjna spójność PZPR wymagają odtworzenia Partii-monolitu.

Centralna Komisja Kontroli Partyjnej obarczona została zadaniem „odcięcia rewizjonistycznego skrzydła Partii” oraz „zlikwidowania wszelkich zorganizowanych i pojedynczych przejawów antypartyjnej działalności prowadzonej z pozycji dogmatyzmu”. W języku ukutym przez Gomułkę termin

„dogmatycy” oznacza frakcję natolińską, znaną społeczeństwu jako obca agentura, utrzymywana w rezerwie, gdyby zaistniała potrzeba stworzenia alternatywnego „kadarowskiego rządu”. Dogmatycy tworzą w łonie Partii frakcję we właściwym tego słowa znaczeniu, która odbywa tajne posiedzenia dla ustalenia taktyki walki z kierownictwem Partii, zwalcza je jawnie i potajemnie przy pomocy tak zwanej „akcji powielaczowej” i „szeptanej propagandy”, ma swych przedstawicieli w rządzie i na placówkach dyplomatycznych. Są to ludzie „niepoprawni” i „nieprzejednani”, pisały „Nowe Drogi” (10–11/57, s. 34–45), podejmujący „próby konspiracyjnej akcji przeciwko Partii”.

W przemówieniu na X Plenum Gomułka nie czynił jednak tajemnicy, przeciw któremu z dwóch wymienionych skrzydeł Partii zwróci się główny front walki. Skuteczne zwalczanie rewizjonizmu, oświadczył Gomułka, ułatwi przewycięzenie dogmatyzmu, działalność frakcyjna dogmatyków jest mniejszym niebezpieczeństwem niż działalność rewizjonistów, rewizjonizm jest najgroźniejszym schorzeniem Partii, gdyż wnosi zamęt ideologiczny i rozbija partyjną jedność. Na takim „skrzydle” jak rewizjonizm „socjalizm mógłby zlecieć tylko do przepaści”, podczas gdy dogmatycy jedynie błędzą „tęsknotą za powrotem do starych metod”. Ataki prasowe centrowej grupy w partii na rewizjonistów oraz mowa Gomułka na X Plenum przewyższyły gwałtownością potępień wszystko, co w przeszłości frakcja natolińska miała do powiedzenia o swych nieprzejednanych przeciwnikach – rewizjonistach.

Postępowanie Gomułka jest konsekwentne. Od instrukcji Biura Politycznego wydanej w lutym i nakładającej na organizacje partyjne obowiązek walki na dwa fronty – przeciw dogmatykom i rewizjonistom – hasło walki na dwa fronty stanowiło *camouflage* walki prowadzonej faktycznie tylko na froncie antyrewizjonistycznym. Było to rzeczą nieuniknioną z dwóch względów. Krótco po wyborach Gomułka poszedł na kompromis z frakcją natolińską, politycznym i ideologicznym przywódcą sił konserwatywnych i reakcyjnych w partii. Walka na tym froncie została przeto faktycznie poniechana, zanim została podjęta. Po wtóre, walkę na dwa fronty prowadziły „instancje” w dużym stopniu opanowane przez reakcję partyjną. W początkowym okresie „walki na dwa fronty” wzmocniła ona swe siły, gdyż przepłoszone w Październiku konserwatywne elementy w aparacie partyjnym na nowo podniosły głowę i potrafiły opanować stracone „instancje” („Nowe Drogi” 2/57, s. 71). Obecnie głównie poplecznicy konserwatywno-dogmatycznego skrzydła w „instancjach partyjnych”, będą przeprowadzać czystkę,

która w ten sposób przypuszczalnie dotknie w pierwszym rządzie rewizjonistów.

Sens tej operacji jest przejrzysty, jeśli zdamy sobie sprawę, o co w niej chodzi. Jak w wypadku „Po prostu”, istota sporu między rewizjonistami a Gomułką jest różna od osłaniającej ją zasłony dymnej fantastycznych i absurdalnych oskarżeń. Absurdalne jest oskarżenie, iż rewizjoniści prowadzą ofensywę przeciw uchwałom VIII Plenum, których przewodnich myśli są współtwórcami. Fantastycznie brzmi zarzut uprawiania jałowej i negatywnej krytyki w stosunku do jedyne go twórczego ośrodka myśli marksistowskiej w całym bloku sowieckim. Gomułka doszedł do władzy z tego tytułu, iż był rewizjonistą systemu zwanego „kultem jednostki” i jego odpowiednika w krajach satelickich, do których Polska wówczas należała; rewizjonizm rewizjonistów polega na wyciąganiu konsekwencji z doświadczeń i upadku tego systemu, zapoczątkowanym przez Gomułkę. Nie było jedności Partii, gdy Gomułka do władzy dochodził i to, że nie ma jej dzisiaj nie jest winą rewizjonistów. „Taka sytuacja – mówił Gomułka na IX Plenum – zaistniała w Partii na długo przed VIII Plenum” w związku z dobrze znanymi wydarzeniami poza Polską i w kraju. Jeżeli „to, co w socjalizmie jest niezmiennie, sprowadza się do zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka”; jeżeli „drogi do tego celu mogą być i są różne”, gdyż „warunkują je różnorodne okoliczności czasu i miejsca”; jeżeli teoria „musi rozwijać się w oparciu o doświadczenia życia, musi być stale wzbogacana”, gdyż życie jest od niej pełniejsze (przemówienie Gomułki na VIII Plenum) – jasną jest rzeczą, iż dyskusja nad najlepszą drogą do socjalizmu jest permanentnie otwarta. Z przesłanek, które prowadzą do wniosku, że istnieją różne drogi do socjalizmu dla różnych krajów, również wynika, iż istnieje dróg wiele w obrębie każdego kraju, a wybór najlepszej z nich wymaga rozważenia w każdym momencie różnych alternatyw i uwzględnienia wszystkich dostępnych faktów. Nie jest rzeczą właściwą określenie tego zbiorowego wysiłku mianem „zamętu ideologicznego”, gdyż myśl twórcza i żywa niszczy zawsze schematy i nawyki myślowe, dogmaty i tradycyjne wierzenia.

W Partii istnieje kryzys odmiennego rodzaju, o którym Gomułka nie wspominał. Narastał on w czasach stalinizmu i przeniknął do świadomości w okresie przedpaździernikowym. Adam Schaff nazwał go kryzysem „wiary”, głównym niebezpieczeństwem zagrażającym partii („Przegląd Kulturalny” 41/57). Negatywnym aspektem kryzysu jest porzucenie ślepej wiary w autorytet i ślepego posłuszeństwa w stosunku do władz, pozytywnym – dążenie do prawdziwie samodzielnego myślenia i dobrowolnej, świadomej

dyscypliny. To dążenie popada w konflikt z istniejącą organizacją partyjną, dostosowaną do postaw uznających autorytety ze ślełą wiarą i posłuszeństwem. W organizacji opartej na autorytecie i autokracji władza spoczywa w rękach oligarchii, partyjnego aparatu dominującego nad Partią, wyobcowanego z Partii i społeczeństwa, nie reprezentującego innych interesów prócz własnych jako klasy uprzywilejowanej i panującej. Partia, którą rządzi oligarchia uzupełniająca swe szeregi drogą kooptacji i przetargów rywalizujących między sobą koterii, jest z natury rzeczy oderwana od sił społecznych, jakie powołały ją do życia i odizolowana od ich dążeń. Staje się ona, jak podkreślał Kołakowski, zamiast narzędziem urzeczywistniania celów ogólnych i społecznych celem dla siebie i obrońcą interesów partykularnych grupy rządzącej. W partii zredukowanej *de facto* do aparatu partyjnego, skupiającego całokształt władzy w państwie i nie podlegającego żadnej kontroli społecznej, nieuniknienie szerzy się korupcja, gdyż „wszelka władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje w sposób absolutny”. Wypłenienie korupcji z aparatu partyjnego, nie powołanego przez wybory i nie odpowiadającego przed wyborcami za swą działalność, jest trudem syzyfowym. Te rzeczy stały się w Polsce jasne w kołach partyjnych i bezpartyjnych i tej wiedzy nic nie jest w stanie zniszczyć. Partia, w której zmieniają się osoby bez zmiany jej struktury i form działalności, pozostanie partią niezreformowaną, nieprzydatnym narzędziem urzeczywistniania socjalizmu. Z tej przyczyny, w oczach wielu członków Partii i kół bezpartyjnych, niezbędnym warunkiem odrodzenia i żywotności ideałów socjalistycznych, a również ostatecznym miernikiem szczerości intencji Gomułki, stała się demokratyzacja organizacji partyjnej, do czego Gomułka zobowiązał się na VIII Plenum.

„Aby Partia mogła sprężysto wypełniać swe zadania i stać na czele procesu demokratyzacji, musi być przede wszystkim zwarta i jednolita oraz musi w swych szeregach, w swoim życiu zastosować w pełni zasady demokratycznego centralizmu [...]. Na czoło tych zasad należałoby postawić sprawę wyboru władz partyjnych, jawności życia partyjnego, prawo do zachowania swych poglądów przy zasadzie, że uchwały większości obowiązują wszystkich członków Partii” (przemówienie na VIII Plenum).

Rezolucje na X Plenum stanowią odstępstwo od zobowiązań danych przez Gomułkę Partii i społeczeństwu, gdy dochodził w Październiku do władzy. Konsolidacja i przywrócenie jedności Partii ma się dokonać przez wykluczenie z niej sił, jakie dokonały październikowego przewrotu, sformułowały jego program i wyniosły Gomułkę do władzy. Nie jest to konsolidacja na ideowej platformie Października, lecz na platformie kompromisu i ustępstw na rzecz antypaździernikowego obozu. Zamiast demokratyzacji

Partii nastąpić ma odbudowa partyjnego monolitu, wzmocnienie autokratycznych rządów aparatu partyjnego nad społeczeństwem i dyktatorialnej władzy Gomułki nad aparatem, powolnym narzędziem wykonywania jego decyzji. Konsolidacja Partii, jaka wyklucza siły paździenikowe i przywraca monolityczną strukturę partyjnej organizacji, stanowi wzmocnienie tej części Partii, która nigdy nie uznała osiągnięć Października i dąży do ich powolnej likwidacji. Znaczenia i wpływów tej części Partii nigdy nie można było lekceważyć. Obecnie stała się ona groźna dla społeczeństwa, całego procesu odnowy w kraju, a także, w dalszej kolejności, dla samego Gomułki.

Nasuwa się pytanie, czy próba odtworzenia Partii-monolitu ma szanse powodzenia. Adam Schaff, przedstawiciel grupy centrowej, wrogiej i odcinającej się od koncepcji rewizjonistycznych, odpowiedział na to pytanie odmownie.

„Wraz z mitami absolutnych autorytetów rozbita została w minionym okresie ślepa wiara zwolenników ruchu komunistycznego, którzy otrzymali dotkliwą poglądową lekcję konieczności myślenia samodzielnego [...] Ślepa wiara i ślepa dyscyplina są zjawiskami w ostatecznym rachunku ujemnymi nawet w wojsku, a coś dopiero w partii robotniczej [...]. Wstrząs polityczny i moralny minionego okresu zadał śmiertelny wstrząs ślepej wierze. W każdym razie u nas w kraju nie ma do niej powrotu, albowiem tego rodzaju postawy duchowe są niezwykle kruche i delikatne, a gdy zostaną rozbite, nie dają się łatwo odbudować. Siła tu nic nie wskóra” („Przegląd Kulturalny” 41/57).

Przywrócenie Partii jedności i zwartości nie wymaga odtworzenia Partii-monolitu. Próba w tym kierunku podjęta nie daje się wytłumaczyć przymusową sytuacją Gomułki. Partia polityczna może osiągać ideologiczną jedność i organizacyjną spójność bez narzucania środkami administracyjno-represyjnymi jednomyślności myślenia i działania, pozbawiania członków ich demokratycznych uprawnień i wymogu bezkrytycznego posłuszeństwa w stosunku do kierownictwa Partii. Skuteczną drogą do partyjnej spójności jest jedność kształtowana na podstawie pewnych najogólniejszych przesłanek światopoglądowych i programowych w wolnej dyskusji ludzi samodzielnie myślących. Te dwie różne drogi osiągnięcia partyjnej jedności omawiał Gomułka na IX Plenum i w zasadzie odrzucił jedność monolitu, którą „można wytwarzać sztucznie, teatralnie, przy użyciu wcale nie teatralnych sposobów reżyserii”, na rzecz jedności osiągananej „na drodze dyskusji”. Fatalne dzieje lat ubiegłych, pisały „Nowe Drogi” (8/57, s. 64) na marginesie obrad IX Plenum, nauczyły nas, iż Partia-monolit jest „głosem jednych, a milczeniem innych” i ostatecznie prowadzi do „procesów czarownic”. Jedność „na drodze dyskusji”, przeciwstawianą auto-

kratycznej jedności monolitu, nazywano w kraju demokratyczną, albowiem „istotą demokracji jest nie tylko demokratyczny wybór ludzi, ale głównie demokratyczne ścieranie się poglądów”, formułowanie alternatywnych programów, dla których pozyskuje się większość. Dla lewicowego skrzydła partii

„[...] jedność demokratyczna, a nie autokratyczna oznacza wspólne poparcie nowej linii, ale nie oznacza absolutnej jednomyślności, zdecydowanego zamknięcia dyskusji nad dalszym kierunkiem rozwoju i poszukiwań wynikających z wykonywania obowiązującego programu” (A. Hajnicz, „Życie Warszawy” 10 IV 57).

Postulat poszanowania prawa mniejszości przekształcił tak zwany spór o lewicę w spór z lewicą, wsparty represjami ze strony kierownictwa Partii. Postulat poszanowania praw mniejszości nie mieści się bowiem w ramach „demokratycznego centralizmu”, dającego nadrzędnym instancjom partyjnym prawo mechanicznego narzucania decyzji członkom i instancjom podległym we wszelkich sprawach, zarówno dotyczących aktualnych zagadnień polityki Partii, jak i wykraczających poza kompetencje partyjnych władz wykonawczych.

Decyzje podjęte na X Plenum mają charakter autokratyczny z dwóch względów – pozbawiają ogół członków prawa decyzji w zakresie spraw światopoglądowych i ideologicznych oraz rozstrzygają w sposób arbitralny kwestię zgodności i niezgodności głoszonych poglądów z programowymi założeniami, jakie nie zostały sprecyzowane i przyjęte w sposób prawomocny. Praktyka ta nie jest nowością i Gomułka doświadczył jej osobiście w 1948 roku. Jest ona świadectwem tendencji zmierzających do zachowania centralizmu bez demokratyczności, do poświęcenia wewnątrzpartyjnej demokracji na rzecz Partii-monolitu. Sposób rozstrzygnięcia sporu między kierownictwem Partii a rewizjonistami stanowi powrót do autokracji i, z tej przyczyny, może mieć reperkusje wykraczające daleko poza krąg spraw partyjnych *sensu stricto*.

Trudno bowiem mieć nadzieję, by kierownictwo Partii, które odrzuca zasady demokratyczne w wewnętrznych stosunkach partyjnych, miało wolę ich uszanowania w stosunku do społeczeństwa. Jeżeli ukraca się krytykę z przekonania socjalistyczną, a w myśleniu marksistowską, nie będzie miejsca na krytykę z niemarksistowskich pozycji społecznych, szukającą kompromisu między dążeniami społeczeństwa i programem Partii. Jeżeli wszystkie znaki ostrzegawcze nie są mylne, X Plenum zapoczątkowało nowy okres w stosunkach między Partią a społeczeństwem.

Czytamy w uchwale VIII Plenum:

„Partia w walce z siłami zachowawczymi, z próbami nawrotu wstecz, hamowania rozwoju demokracji wewnątrzpartyjnej i tłumienia krytyki, naruszeń praworządności, nawrotu do obrony biurokratyzmu, kacykowskich porządków i rozbieżności między słowem i czynem skupi i poprowadzi wszystkie żywe siły socjalizmu”.

Po roku doświadczeń zbieżność tej deklaracji z czynami jest daleka od urzeczywistnienia.

Zbigniew Jordan

[12/1957]

„Rewizjoniści”, których popiera Moskwa

PAX* jest jednym z największych i najlepiej zorganizowanych koncernów przemysłowo-handlowych w Europie Wschodniej. Stanowi również najciekawszą organizację polityczno-społeczną będącą unikatem w tak zwanym obozie państw socjalistycznych. Program polityczny PAX-u i jego ideologia – nie mają precedensu ani w europejskich ruchach politycznych, ani w historii polskich doktryn polityczno-społecznych.

Na emigracji krążą o PAX-ie legendy. Owe legendy niezmiernie trudno jest zweryfikować. W niniejszym artykule pominiemy „legendarny” aspekt sprawy, ograniczając się wyłącznie do analizy źródeł, to jest autentycznych „wytycznych ideowych” PAX-u z najświeższej daty 1958 roku. Dokumenty powyższe zarówno z roku bieżącego, jak i z lat poprzednich pozwalają zorientować się nie tylko w głoszonej na zewnątrz propagandzie, lecz również w celach politycznych, do których PAX zmierza.

Ideolodzy PAX-u są *de facto* podwójnymi „rewizjonistami”. Dążą bowiem zarówno do rewizji polskiego komunizmu, jak i do rewizji tradycyjnych norm katolicyzmu. Zastanawiający jest natomiast fakt, że o ile Watykan potępił PAX-owskich „rewizjonistów” katolickich – o tyle Kreml nie potępił PAX-owskich „rewizjonistów” komunistycznych. Należy jeszcze dodać, że PAX jest jedyną organizacją, która – uznając przywódczą rolę partii komunistycznej – programowo dąży do zmiany jej taktyki ideologicznej. W tym zasadniczym punkcie organizacja pana Piaseckiego różni się zarów-

* Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Juliusz Mieroszewski krytykował niejednokrotnie PAX i jego przewodniczącego Bolesława Piaseckiego. Por.: Londyńczyk: „Kronika angielska”, nr 9/1959 i nr 9/1961; J. Mieroszewski: *Polski „nowy wschodni świat”*, nr 3/1961. PAX był broniony przez niektórych czytelników. Por. np. Marian Ośmiałowski, *L. do R.*, nr 3/1962.

no od ludowców, jak i od Stronnictwa Demokratycznego. Oba powyższe ugrupowania uznają również przywódczą rolę partii komunistycznej, ale nie dążą do zmiany jej ideologicznej polityki. Zadowolają się – zależnie od koniunktury – rolą „transmisji” albo młodszego partnera. Współpraca w tych wypadkach oparta jest nie na kompromisie, lecz na kapitulacji. Przywódcy Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego zrezygnowali z politycznych ambicji, gdyż wiedzą doskonale, że w Polsce Ludowej nigdy nie będą rządili ludowcy, tylko KC partii komunistycznej. Stronnictwo Ludowe może istnieć tylko jako partia koncesjonowana – a więc w całości zależna od rządu komunistycznego i w stosunku do niego służebna.

Współpraca na zasadzie kapitulacji do doskonałości doprowadzona jest w Chinach. Rząd Chin komunistycznych udzielił bowiem koncesji tylko tym partiom burżuazyjnym, które w pełni zaakceptowały wytyczne „pokojoyowej rewolucji społecznej”. Innymi słowy, udzielono koncesji tylko tym ugrupowaniom burżuazyjnym, które zgodziły się wziąć czynny udział w swojej własnej likwidacji.

Komuś może się wydawać, że stanowisko chińskiej burżuazji jest absurdalne. W gruncie rzeczy jednak likwidacyjna polityka burżuazji chińskiej jest znacznie mniej absurdalna niż ideologiczne postulaty PAX-u. Burżuazja chińska uznała swoją całkowitą klęskę. Miała przed sobą tylko dwie alternatywy: likwidację poprzez terror typu stalinowskiego – albo likwidację pokojową. Zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, burżuazja chińska wybrała likwidację pokojową.

Jeżeli powiedziałem powyżej, że PAX stanowi zjawisko bez precedensu w świecie komunistycznym – miałem na myśli przede wszystkim fakt, że przywódcy tej organizacji szukają nowych form współpracy z komunistami. Jako zasadę ogólnie obowiązującą we wszelkiej współpracy z komunistami należy przyjąć kapitulację. Treścią aktu kapitulacji jest uznanie przywódczej roli partii komunistycznej w danym państwie. Uznanie przywódczej roli komunistów jest równoznaczne z akceptacją systemu „dyktatury proletariatu” oraz monopolu ideologicznego.

PAX uznaje również przywódczą rolę partii komunistycznej. Ale „obóz społecznie postępowy” – jak PAX-owcy zwykli oficjalnie się określać – dąży do kompromisu taktycznego. PAX-owcy chcieliby być w ramach polskiego modelu równouprawnionym partnerem politycznym, a nie kolaborantem.

Założenie fundamentalne „oboazu społecznie postępowego” jest w równej mierze proste, jak i absurdalne: trzeba uczynić komunizm strawnym dla katolików, a katolicyzm strawnym dla komunistów. W wyniku powstałby „ka-

tolicki komunizm” oderwany od Rzymu. Na reformację – podobnie jak na rewolucję – nigdy nie jest za późno. I niewątpliwie tu należy szukać przyczyny, dlaczego „rewizjonizm” PAX-owski nie spotkał się nigdy z potępieniem ze strony Moskwy.

Reformacja katolicyzmu byłaby tylko wówczas możliwa, gdyby poprzedzona została reformacją polskiego modelu komunistycznego. Piasecki zapewnia jednak pospiesznie, że proponowana „reformacja” komunizmu mieściłaby się bez reszty w ramach „polskiej drogi do socjalizmu”. Natomiast nie ulega wątpliwości, że „postępowa” reformacja katolicyzmu nie mieściłaby się w ramach rzymskiego Kościoła. I to jest atrakcyjny punkt tej sprawy w oczach Moskwy.

W wewnętrznych i poufnych „Wytocznych ideologicznych” opracowanych w bieżącym roku, które otrzymaliśmy z kraju, czytamy między innymi:

„Młody obóz komunistyczny uznał jedynie materializm za światopogląd naukowy i w trosce o jedność swych szeregów ogłosił zasadę wyłączności materializmu jako światopoglądu dla mas wyzwających się z ucisku klasowego. Nie wszystko jednak, co jest historycznie zrozumiałe, staje się przez to samo trwale obowiązujące. Obecnie według przekonania ruchu społecznie postępowego monizm światopoglądowy obozu socjalizmu przestał być narzędziem jego jedności, a stać się może powodem zwężania jego dynamiki rozwojowej”.

Można by w tym miejscu postawić pytanie, dlaczego PAX-owcy sami nie powołują do życia ruchu socjalistycznego. Można by również zauważyć, że monizm ideologiczny obowiązuje nie tyle socjalistów, ile komunistów. PAX-owcy chcą być partnerem i sojusznikiem nie socjalistów, lecz komunistów. Komuniści – jak wiadomo – nie uważają za socjalistów zwolenników poglądu niematerialistycznego. Na to, by PAX-owcy mogli być uznani za „socjalistycznego partnera” przez komunistów – polski komunizm musiałby odstąpić od monizmu światopoglądowego. Innymi słowy, polski model musiałby w pełni tolerować i uznawać zarówno komunistów marksistów, jak i „komunistów” niematerialistów. W dokumentach PAX-owskich powyższy problem jest jasno przedstawiony:

„Obiektywne rozeznanie rzeczywistości społeczno-politycznej w rozumieniu ruchu społecznie postępowego – nakazuje, w oparciu o doświadczenie historyczne Polski Ludowej, teoretyczne i faktyczne uznanie wpływu na bieg rzeczy w kraju sił socjalistycznych o światopoglądzie niematerialistycznym. Inaczej następuje poważne zwężenie zakresu rzeczywistej aktywności socjalistycznej społeczności i partia nie jest w stanie budować socjalizmu, utrzymując pełną więź z narodem.

Ruch społecznie postępowy jest skryształizowanym ideologicznie, doświadczonym w pracy i ostrej walce socjalistycznym sojusznikiem partii. Sytuacja ruchu społecznie po-

stępowego, jako sojusznika partii, jest jednak dotychczas tylko faktyczna i nie znalazła dotąd dostatecznego wyrazu ani w teoretycznej wypowiedzi partii, ani w praktyce oficjalnego życia politycznego w skali państwowej. W oparciu o potrzeby mas budujących socjalizm, ruch społecznie postępowy będzie konsekwentnie dążył do osiągnięcia pełnoprawnej pozycji sojusznika partii klasy robotniczej, będzie dążył do wykonania wszystkich obowiązków wynikających z tej pozycji i wszystkich związanych z nią uprawnień. Ruch społecznie postępowy jest przekonany, że jego oficjalna rola w życiu państwowym Polski Ludowej będzie obiektywnym wyrazem narodowej odrębności warunków budowy socjalizmu w naszym kraju”.

PAX-owcy nie domagają się liberalizacji – są jak najdalej od ewolucji w kierunku socjalizmu demokratycznego – akceptują „dyktaturę proletariatu” i wszystkie związane z nią konsekwencje ustrojowe, a domagają się jedynie taktycznej zmiany w polityce ideologicznej partii – co w ich przekonaniu umożliwiłoby czynne zaangażowanie mas katolickich w procesie skomunizowania Polski.

Postulaty PAX-u są absurdalne zarówno z punktu widzenia komunistycznego, jak i z punktu widzenia katolickiego. W wykładni komunistycznej socjaldemokraci nie są socjalistami. By partia komunistyczna mogła uznać ruch PAX-owski za „socjalistycznego sojusznika i partnera” – musiałaby dopuścić możliwość istnienia ruchu komunistycznego odrzucającego pogląd materialistyczny. Partia w żadnym wypadku nie może uznać za swego sojusznika socjalistów demokratycznych. Z tekstu PAX-owskich dokumentów wynika jasno, że różnica między ruchem „społecznie postępowym” a partią komunistyczną dotyczy wyłącznie poglądu filozoficznego. Zarówno z wypowiedzi samego Piaseckiego, jak i z tekstu dokumentów jest jasne, że PAX jest przeciwnikiem autentycznego rewizjonizmu. W okresie październikowym PAX-owcy zajmowali stanowisko stalinowsko-natolińskie. Analogiczne stanowisko zajmują i dzisiaj.

Obrońcy PAX-u twierdzą, że jest to najbardziej śmiała i rozsądna w naszych warunkach polityka akomodacji. Zwolennicy Piaseckiego argumentują, że postulaty PAX-u zmierzają *de facto* do „odpoganizowania” komunizmu, a tym samym wskazują jedyną drogę do harmonijnego i twórczego współżycia socjalizmu (komunizmu) z katolicyzmem.

Nie podzielamy tych opinii. Jeżeli założymy, że postulaty PAX-u zostałyby zrealizowane, oznaczałoby to, że partia komunistyczna w Polsce – ze względów taktycznych – uznałaby za „socjalistycznego” sojusznika PAX-owski ruch „społeczno-postępowy”. Tak jak w sprawie ustroju rolnego odstąpiono częściowo ze względów taktycznych od klasycznych wskazań marksizmu-leninizmu – tak i w tej sprawie, biorąc pod uwagę specjalne warun-

ki, uznano by taktycznie i czasowo za sojusznika ruch PAX-owski. Niewątpliwie polska partia komunistyczna różniłaby się wówczas od innych partii komunistycznych tym – że dopuszczałaby na swoim terenie istnienie ruchu komunistycznego niemarksistowskiego. Ale w tym wypadku nie chodzi ani o prawdziwą reformę, ani o prawdziwy rewizjonizm. Rewizjoniści zarówno w Polsce, jak i w Niemczech dążyli do reformy marksizmu jako ideologicznej bazy światowego komunizmu. Nie domagali się dla siebie statusu uznawanej przez partię sekty, lecz planami reformy obejmowali całość teorii i praktyki doktryny komunistycznej.

PAX-owcy nie dążą do reformy doktryny światowego komunizmu. Przeciwnie, reprezentują w tej sprawie najbardziej konserwatywny kierunek. Ruch „społeczno-postępowy” jest z zasady przeciwny wszelkiemu liberalizmowi, ponieważ każdy krok ku demokracji obniżałby wartość PAX-u jako sojusznika i partnera. W warunkach demokracji problem PAX-u przestałby w ogóle istnieć.

PAX-owcy nie tylko proponują, ale i grożą. W cytowanych „Wytycznych” czytamy między innymi:

„Dlatego dla rzeczywistej reprezentatywności ogólnonarodowego aktywu budującego socjalizm pod kierownictwem partii klasy robotniczej, niezbędna jest politycznie zorganizowana droga dopływu aktywistów reprezentujących szerokie w Polsce zjawisko obywateli, u których rozwój świadomości socjalistycznej nie spowoduje wyzbycia się światopoglądu niematerialistycznego. W tych warunkach ruch społecznie postępowy, dając wyraz patriotycznym i postępowym potrzebom społeczeństwa, stwierdza jasno, że partia klasy robotniczej nie może zbudować socjalizmu w Polsce bez sojuszniczych sił socjalistycznych o światopoglądzie niematerialistycznym”.

Jak widzimy, Piasecki mówi wyraźnie pod adresem partii: będziecie musieli uznać mnie za pełnoprawnego sojusznika i partnera, albowiem w przeciwnym wypadku nie skomunizujecie Polski.

Jeszcze raz należy podkreślić z naciskiem moment, który w tej sprawie jest najistotniejszy. PAX nie dąży do ewolucyjnej przebudowy komunizmu. Domaga się natomiast od polskiej partii komunistycznej, by uznała „ruch społecznie postępowy” za politycznego partnera. Gdyby partia uwzględniła postulaty Piaseckiego – to polski model wzbogaciłby się niewątpliwie o absurdalny dziwolaż, ale w świecie komunistycznym nie zmieniłoby się absolutnie nic. Uznanie PAX-u za partnera nie oznaczałoby, że komunizm światowy odstąpił na żądanie Piaseckiego od zasady monizmu ideologicznego. Komunizm pozostałby nadal antyreligijny i materialistyczny. Natomiast Piasecki zyskałby taktyczny argument, że w ramach polskiego modelu jest rze-

czą możliwą być katolikiem i komunistą równocześnie. Wystarczy po prostu zaciągnąć się pod sztandary PAX-u.

Osobiście uważam niemal za wykluczone, by Gomułka spełnił kiedykolwiek polityczne żądania PAX-u. Byłaby to bezprzykładna kompromitacja, którą przełknąć mógłby tylko Komitet Centralny opanowany przez natolińczyków gotowych spełnić każde polecenie Moskwy. Gdyby kiedyś Kreml zdecydował się zagrać kartę PAX-owską, oznaczałoby to przyznanie się do kompletnego bankructwa. Oznaczałoby to, że komunizm w Polsce budować trzeba rękami komunistów, którzy nie są komunistami i rękami katolików, którzy nie są katolikami.

PAX-owcy i ich sympatycy usiłują problematykę swojego ruchu przedstawić jako praktyczną próbę rozwiązania konfliktu między religią a postępem.

Jeżeli przez „postęp” rozumiemy komunizm, a przez religię rzymski katolicyzm – to trzeba obiektywnie stwierdzić, iż pomiędzy tymi dwoma poglądami istnieje konflikt antagonistyczny. Ale trzeba dodać, że katolicyzm nie jest w tej sytuacji odosobniony. Istnieje bowiem konflikt antagonistyczny pomiędzy komunizmem a wszystkim, co komunizmem nie jest. Dotyczy to wszystkich religii – wszystkich niematerialistycznych kierunków filozoficznych – wszystkich doktryn i teorii naukowych nie opartych na dogmatach marksizmu. Katolicyzm nie stanowi w tym froncie konfliktów fenomenu odosobnionego.

Do czego zmierza próba „zabrukowania” konfliktu pomiędzy religią a „postępem”, proponowana przez PAX-owców? Ruch „społecznie postępowy” byłby komunistyczną partią odrzucającą monizm ideologiczny. Celem ruchu byłaby sojusznicza współpraca z partią komunistyczną w budowie ustroju komunistycznego w Polsce. Innymi słowy, współpraca w utwierdzeniu owego monizmu ideologicznego, który PAX odrzuca. Dla katolików „postęp” sprowadzałby się w tym wypadku do przywilejów wzięcia udziału, w charakterze uznanych partnerów, w akcji zmierzającej w swych ostatecznych celach do likwidacji wszelkich przejawów życia religijnego. Marksistowscy sojusznicy PAX-u nigdy tego nie taili i dopóki będą marksistami, nigdy od tych tez nie odstąpią.

Można sobie wyobrazić dwie partie socjalistyczne – jedną chrześcijańską, drugą laicką – biorące udział w rządzie koalicyjnym. Ale tego typu współpraca byłaby możliwa tylko w ramach ustroju demokratycznego. Natomiast w systemie „dyktatury proletariatu” każdy ruch czy organizacja społeczno-polityczna pełni funkcję służebną w stosunku do partii rządzącej, to jest komunistów. Organizacja, której taki układ nie odpowiada, zostaje zlikwidowana.

wana i zakazana. Polityczny sojusz z komunistami – czy to w Chinach, czy w Polsce, czy gdziekolwiek partia znajduje się przy władzy – możliwy jest tylko i wyłącznie za cenę kapitulacji. Wynika to z istoty systemu „dyktatury proletariatu”, której podstawą i uzasadnieniem jest monizm ideologiczny.

W ramach państwa komunistycznego nie może być mowy o sojuszu pomiędzy jakimkolwiek autentycznym ruchem religijnym a partią komunistyczną. Możliwa natomiast jest koegzystencja i współpraca na określonych polach na podstawie jasno i wyraźnie sprecyzowanego porozumienia. Ale od współpracy na ściśle określonych polach do sojuszu i totalnego zaangażowania jest droga bardzo daleka.

Katolicy mają prawo domagać się od władz swego Kościoła, by nie stawał przeszkodą w angażowaniu się ludzi wierzących po stronie postępu i socjalizmu. Z drugiej jednak strony, nikt nie może oczekiwać od Kościoła poparcia dla programu, który zmierza do budowy nie tylko bezklasowego, ale i bezwyznaniowego społeczeństwa. Nikomu nie można proponować, by był swoim własnym grabarzem. Tylko socjalizm demokratyczny, głoszący zasadę tolerancji i wielopoglądowości filozoficznej – socjalizm bez pretensji do „dyktatury proletariatu” – miałby możliwość zjednoczenia dla sprawy postępu tak ludzi wierzących, jak i niewierzących.

Dla kogoś spoza „zaczarowanego kręgu” – dla kogoś przebywającego od dwudziestu lat poza krajem – z każdym dniem staje się coraz bardziej oczywiste, że PAX jest albo tworem agentury, albo patologicznym przejawem socjalnej neurozy. Jeżeli PAX nie jest tworem agenturalnym, to przyszli historycy zaliczą go do chorobliwych wynaturzeń spotykanych w tak zwanych środowiskach zamkniętych. W łagrach, w obozach koncentracyjnych, w obozach jenieckich – w wyniku zagrożenia, izolacji i długotrwałego anormalnego układu sytuacji zbiorowej – notowano powstawanie wielu absurdalnych sekt, stowarzyszeń, sprzysiężeń, związków ideologicznych i tym podobnych. Zakładając, że PAX nie jest agenturą sowiecką – należałoby przyjąć, że jest patologiczną próbą rozwiązania nierozwiązalnego konfliktu. Ponieważ zdrowe i normalne rozwiązanie nie jest możliwe – neuroza wywołana znużeniem i kompleksem „sytuacji bez wyjścia” podsuwa rozwiązanie chore i bez sensu. PAX nie jest pierwszy z tej serii. „Polska Chrystusem narodów”, liczne warianty wallenrodyzmu – to wszystko były przejawy neuroz wywołanych kompleksem „sytuacji bez wyjścia”.

Jeżeli podkreślałem agenturalny charakter PAX-owskiej organizacji – to nie opierałem się na bezpośrednich dowodach, które jeżeli nawet istnieją, są oczywiście niedostępne dla zwykłych śmiertelników. Opierałem się na anali-

zie, z której wynika raczej bezspornie – że PAX jest w zgodzie z sensem i z logiką, tylko jeżeli rozpatrywać go pod kątem widzenia interesów Moskwy. Wówczas przestaje być anomalią i przemienia się w nie pozbawiony wyobraźni instrument politycznego działania.

Katolicyzmu nie rozbijają komuniści. Rozczłonkowanie katolicyzmu na zwalczające się obozy może być dokonane tylko rękami katolików. PAX jako kolumna dywersyjna wewnątrz polskiego świata katolickiego musi skupiać na sobie życzliwą uwagę Moskwy. Dylemat PAX-u sprowadza się w gruncie rzeczy do następującej kwestii: fakt, że postulaty PAX-owskie są nie do pogodzenia z marksizmem – Moskwa w pewnym momencie ocenić może za mniej istotny od faktu, że postulaty i ideologia PAX-u są również nie do pogodzenia z katolicyzmem. Gdyby na pewnym etapie „polskiej drogi do socjalizmu” komuniści zostali zmuszeni do uznania PAX-owców za niematerialistycznych „towarzyszy-socjalistów” – perspektywy rozłamu w obozie katolickim wyrównywałyby w ocenie Moskwy z nawiązką utratę twarzy i tak skompromitowanych polskich komunistów. Oznaczałoby to, że Rosja ocenia, iż „gomułkizm” jest eksperymentem chybionym. Oznaczałoby to również, że Moskwa doszła do przekonania, iż nad Wisłą trzeba zacząć od podstaw, a więc od rozbicia zachodniego fundamentu kulturalnego Polski, którym jest niewątpliwie rzymskie chrześcijaństwo.

Juliusz Mieroszewski

GASTON DE CEREZAY

Polska Gomułki i „List 34”

Początek

Mówię o początku sprawy „Listu 34”, złożonego w kancelarii premiera Cyrankiewicza w dniu 14 marca 1964 roku.

Otóż na jesieni 1963 roku odbyło się w Warszawie XIII Plenum Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, na którym dyskusja obracała się dokoła spraw literackich. Członkowie Plenum wypowiadali się, jaka literatura polska ma być i co pisarze pisać powinni. Wskazówki wypowiadane miały właściwie jedną myśl przewodnią: pisarze powinni obrazować, jakim okropieństwem było życie przed nastaniem Polski Ludowej i jakim dobrodziejstwem jest życie obecne. Ponieważ takie otwarte postawienie sprawy wywoływałoby śmiechy w całym kraju, półśmiechy na twarzach samych członków Plenum, więc ta prosta myśl owijana była w skomplikowane frazesy i kunsztowną formę. Wybitny działacz p. Titkow omawiał także sprawy teatralne. Pochwalił wystawienie sztuk Brechta, które mu się podobają, zresztą zupełnie słusznie. Zganił natomiast wystawienie „takiej piły” jak *Ksiądz Marek* Słowackiego.

Można oczywiście Słowackiego krytykować, tak jak można krytykować Szekspira czy Puszkina. Ale nonszalanckie rzucenie z wysokości swego dostojęstwa zdania, że Słowacki to „piła” jest – proszę mi wybaczyć – ogromnym obniżeniem poziomu dyskusji o literaturze.

Ale oto we wrześniowym numerze „Twórczości”, redaktor tego miesięcznika i zarazem prezes ogólnopolskiego Związku Literatów, Jarosław Iwaskiewicz, wystąpił w imieniu wszystkich literatów, składając hołd tej literackiej dyskusji na XIII Plenum i znowuż w imieniu wszystkich polskich literatów ślubował posłuszeństwo wskazówkom tam wypowiedzianym.

„Z najwyższą satysfakcją powitali pisarze polscy referat i dyskusję XIII Plenum” – zapewniał.

„Nie należymy do pesymistów o ile chodzi o współczesną literaturę polską. Ale z największym uznaniem powitaliśmy postulaty skierowane pod jej adresem” – wykrzykiwał.

„Słowa, które padły zarówno w referacie, jak i w dyskusji XIII Plenum, wywarły głębokie wrażenie na społeczeństwie pisarskim” – zaklinał.

Ta czołobitność Iwaszkiewicza wywołała ogromne oburzenie wśród kół literackich. Rosjanie mają wyrażenie: „prorwało”. Później mówiło się dużo, że cały „List 34” był wywołany przez zazdrość Słonimskiego w stosunku do Iwaszkiewicza. Nie siedzę w duszy Słonimskiego, ale takie tłumaczenie wydaje mi się śmiesznym uproszczeniem. Słonimski ma swoją rangę w literaturze, a Iwaszkiewicz swoją. Z przedwojennych sztuk teatralnych Słonimskiego *Murzyn warszawski* jest wspaniałą, ale *Lato w Nohant* Iwaszkiewicza także doskonałe. Wersja, że w grupie „Skamandra” Iwaszkiewicz był popychadłem, nie wygląda mi na prawdziwą. Słonimski ponosi w moich oczach winę, że zanadto wiązał wystąpienia na zebraniach literatów ze sprawą papieru oraz z akcją przeciw połączeniu tygodników „Nowej Kultury” i „Przeglądu Kulturalnego” w jeden tygodnik „Kultura”. Akcja przeciw cenzurze jest akcją odpowiadającą dobru całego narodu, a nawet interesom rządu Polski Ludowej. Natomiast akcja o zdobycie większości papieru dla wydawania produkcji literatów albo o powiększenie honorariów literackich, nie ma żadnego zasadniczego znaczenia. To, co powiem dalej, będzie przez wielu literatów polskich uważane za cyniczne, ale uważam, że po pierwsze pismo literackich w Polsce jest raczej za dużo niż za mało i zbyt liczne są także zastępy grafomanów pisujących bez krzty talentu i nie mających nic do powiedzenia, a zarabiających nie wiadomo dlaczego o wiele lepiej niż zwykły posługacz. Po drugie, co zagniewa Słonimskiego, jak najbardziej pismo „Kultura” wcale nie jest pismem gorszym od innych, a Wilhelmi jest redaktorem niewątpliwie o większym talencie od niejakiego Gottesmana, który redagował „Przegląd Kulturalny” zamknięty przed rokiem. Aby te kwestie wyczerpać, zabiegam naprzód i powiem, że wielu ludzi redakcję „Listu 34” przypisuje Słonimskiemu. Nie wiem, czy to prawda, ale gdyby to była prawda, to umieszczenie na pierwszym miejscu tego listu kwestii papieru było błędem, dezorientacją i ułatwiło bardzo polemikę z autorami tego listu. W liście 34 chodziło o cenzurę, a nie o żaden papier.

Jak by tam nie było, na dzień 17 stycznia 1964 roku zwołane zostało „rozszerzone plenum” Zarządu Głównego Związku Literatów. Nikt nie wie-

dział, jakie są uprawnienia uczestnika takiego zebrania, dlaczego na nie zwożono literatów z prowincji na koszt Związku, ale nie każdy odważył się o to zapytać. Zrobiła to pani Anna Kowalska, bo w Polsce kobiety zawsze są odważniejsze od mężczyzn i ośmieliła tym mnóstwo osób do wystąpienia i coraz ostrzejszego stawiania kwestii. Wielu pisarzy bardzo wybitnych, jak – zacytuję ich w porządku alfabetycznym – Jasienica, Kisielewski, Słonimski, Wańkowicz wygłosili ostre przemówienia. Następnego dnia zabrał głos Mackiewicz, miał jakiś dzień wyjątkowo udany i zebrał najwięcej oklasków, co mu się już w późniejszych przemówieniach nie udawało. Odczytał on upokarzające literatów oświadczenia Iwaszkiewicza po XIII Plenum i określił postawę Iwaszkiewicza jako „rad staratsia”. Młodsze pokolenie literatów uczestniczących w debacie być może nie rozumiało tych wyrazów, ale rozumiał je doskonale sam Iwaszkiewicz, pochodzący z Ukrainy. „Rad staratsia”, czyli dosłownie: „będę się starał z radością”, mówił rosyjski, carski żołdat do podoficera, gdy ten mu podawał rozkaz. Później Mackiewicz rozwijał temat różnicy pomiędzy pojęciem publicysta a propagandzista. Ten ostatni nie jest żadnym pojęciem ujemnym, oznacza tylko, że propaguje poglądy przez siebie nie wypracowane. Za propagandę poglądów socjalistycznych kiedyś wielu ludzi ideowych szło do więzienia, za propagandę chrześcijaństwa ginęli często misjonarze w Chinach lub Afryce. Ale publicysta to nie człowiek, który propaguje jakiś ustalony już światopogląd, lecz taki, który stwarza i wypowiada własne poglądy na politykę, sprawy społeczne i w ogóle na świat. Filozofowie francuscy XVIII wieku, tacy jak Monteskiusz, byli publicystami; twórcy idei politycznych w XIX wieku byli publicystami. Poglądy publicystów mogą być przyjmowane lub odrzucane przez partie polityczne, ale oni stwarzają je sami, bez czyjegokolwiek dyktanda. Lenin był wielkim publicystą, tak jak Plechanow, jak w Polsce Studnicki czy Dmowski. Tacy ludzie jak Niedziałkowski czy Stroiński byli co prawda członkami stronnictw, lecz wyrabiali sobie poglądy samodzielnie i swobodnie, stąd byli publicystami. W Polsce obecnej – wywodził Mackiewicz – nie ma publicystów, są tylko propagandiści.

Potem Mackiewicz wskazywał, że dziennikarstwo polega przede wszystkim na krytyce władz i na informowaniu publiczności. O krytyce władzy nie może być w Polsce Ludowej żadnej mowy. Jedynie konduktorkę autobusu można w Polsce Ludowej skrytykować, a nawet potępić, ale już nie kogoś wyżej. Dziennikarzowi, który by, Panie Boże broń, ośmielił się nie mieć zaufania do działań jakiegoś ministra, uszłaby ręka przed wypowiedzeniem swoich poglądów na piśmie, a koledzy redakcyjni odwieźliby go co

najprędzej do domu wariatów. Prasa polska może tylko albo gruchać z zadowolenia, albo kwilić z zachwyty. Z roku na rok staje się to bardziej mdłe i nie do zniesienia.

Przypominam, że to był dzień 17 stycznia i wtedy miał rację Mackiewicz, że już od dawna konflikt rosyjsko-chiński stał się osią polityki międzynarodowej całego świata, a tymczasem prasa polska wciąż z rozczuleniem i błogością pisze, jakie to braterskie stosunki panują pomiędzy Rosją i Chinami. Istotnie tak to przedstawiano jeszcze w styczniu w Warszawie; ujawnienie, że pomiędzy Rosją a Chinami jest coś nie bardzo tego, przyszło dopiero kilkanaście tygodni później.

Wreszcie Mackiewicz opowiadał o cięciach cenzury, których sam padł ofiarą. Oto w książce jego, zawierającej felietonowy opis wydarzeń pomiędzy 1900 a 1914, skreślono prawie wszystko, co dotyczyło spraw polskich. Skreślono także następujący dowcipas. Opisał on znaną scenę, kiedy Churchill podczas wojny z Burami wyłazi z wagonu, a Botha przystawia mu pistolet do brzucha. Jakkolwiek później, dowcipkował autor, i Churchill i Botha byli premierami, to o tym pierwszym spotkaniu dwóch przyszłych premierów nie można było powiedzieć, że się odbyło w serdecznej atmosferze. Cenzura dlategoż uznała taki zwrot za niedopuszczalny.

Pomimo jednak tych ostrych przemówień zebranie literatów w styczniu skończyło się w sposób spokojny. Iwaszkiewicz wygłosił przemówienie łagodzące i uspokajające. Co więcej, rozpoczęto starania, aby wznowić jakieś drugie pismo literackie w Warszawie, aby literatom zapchać gębę.

W lutym już odbyło się zebranie, zwołane przez warszawski oddział Związku Literatów, poświęcone założeniu takiego pisma. Na tym zebraniu Słonimski przemawiał bardzo dowcipnie, opowiadając o swojej rozmowie z pewnym pisarzem rosyjskim. „Niech pan pisze dla ludu” – powiedział mu ten pisarz. „Ależ ja piszę dla ludu” – odpowiedział mu Słonimski. „Ale niech pan pisze tak, jak pisał Mickiewicz” – nastawał ten Rosjanin. „Próbowałem. Trudne” – odpowiedział Słonimski.

Potem Słonimski dodał, że powiedział jeszcze: „Powołuje się pan na Mickiewicza, ale cóż to jest *Pan Tadeusz* pod względem ideowym: religianctwo, szlachetczyzna i hajda na Moskala”.

Na tym drugim, to jest lutowym, zebraniu literatów wypowiedziała także wiele przemówień przeciw cenzurze duża liczba zebranych.

Konferencja u premiera Cyrankiewicza

Złożony przez Antoniego Słonimskiego w kancelarii Prezesa Rady Ministrów w dniu 14 marca list brzmiał jak następuje:

Do p. premiera Józefa Cyrankiewicza w Warszawie.

„Ograniczenie przydziału papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrzenie cenzury prasowej stwarza sytuację zagrażającą rozwojowi kultury narodowej. Niżej podpisani uznając istnienie opinii publicznej, prawa do krytyki, swobodnej dyskusji i rzetelnej informacji za konieczny element postępu, powodowani troską obywatelską, domagają się zmiany polskiej polityki kulturalnej w duchu praw zagwarantowanych przez konstytucję państwa polskiego i zgodnych z dobrem narodu.

Leopold Infeld, Maria Dąbrowska, Antoni Słonimski, Paweł Jasienica, Konrad Górski, Maria Ossowska, Kazimierz Wyka, Tadeusz Kotarbiński, Karol Estreicher, Stanisław Pigóń, Jerzy Turowicz, Anna Kowalska, Mieczysław Jastrun, Jerzy Andrzejewski, Adolf Rudnicki, Paweł Hertz, Stanisław Mackiewicz, Stefan Kisielewski, Jan Parandowski, Zofia Kossak, Jerzy Zagórski, Jan Kott, Wacław Sierpiński, Kazimierz Kumaniecki, Artur Sandauer, Władysław Tatarkiewicz, Edward Lipiński, Stanisław Dygat, Adam Ważyk, Marian Falski, Melchior Wańkowicz, Jan Szczepański, Aleksander Gieysztor, Julian Krzyżanowski”.

Nazwiska powyższe reprezentują uczonych, pisarzy w ścisłym tego słowa znaczeniu, a także publicystów. Najwybitniejszą postacią wśród podpisanych był chyba prof. Tadeusz Kotarbiński, niedawny prezes Polskiej Akademii Nauk, uczony, którym się bardzo chlubiła Polska Ludowa i zawsze go wysuwała naprzód. Poza tym nazwiskiem „opancerzonym” od wszystkich represji był Leopold Infeld, znany całemu światu jako przyjaciel i współpracownik Einsteina, człowiek, na którego czekają wszystkie katedry uniwersyteckie w Ameryce i Europie.

W dniach 23 i 24 marca 1964 roku, czyli dziesięć dni po złożeniu omawianego listu u premiera Cyrankiewicza, zaczęły o nim mówić prasa i radio zachodniej Europy, między innymi monachijska rozgłośnia Wolnej Europy.

W dniu 26 marca ukazał się wewnętrzny komunikat radia, w którym zabraniano ogłaszać w radio lub telewizji dwunastu z pisarzy podpisanych na liście. Następnego dnia radio dodało jeszcze dwóch. Zakaz dotyczył nie tylko korzystania ze współpracy z tymi pisarzami, względnie wypłacania im honorarium w jakiegokolwiek formie, ale także wzmiankowania o nich w pogadankach radiowych.

Moim zdaniem stosowanie przemilczenia, wymyślone jeszcze w XIX wieku przez prasę wiedeńską i przejęte przez zмовы innych koncernów prasowych specjalnego gatunku, stanowi najobrzydliwszą i najbardziej nie-

lojalną formę walki politycznej. Człowiek podatny na jakiekolwiek tradycje szlachetności i lojalności w polemice nigdy do tej geszeftowskiej metody uciekać się nie będzie.

Od dawna był już zapowiedziany występ Melchiora Wańkowicza przez radio w dniu 1 kwietnia. Na skutek tego okólnika został on odwołany i wszystkie wydawnictwa, które drukowały dotychczas wysoce utalentowane gawędy Wańkowicza, wyrzekły się z nim współpracy.

Antoni Słonimski, dotychczas co tydzień umieszczał w „Szpilekach” felieton w stałej rubryce: „Załatwione odmownie”. Teraz zastosowano do niego represje i felietony te ukazywać się przestały. „Szpilki” odziedziczyły tytuł po przedwojennym dobrym tygodniku satyrycznym. W obecnych „Szpilekach” czytało się tylko dwóch autorów: Słonimskiego i zawsze doskonałego Józefa Prutkowskiego. Poza tym jakiś „wuj Teofil”^{*} redaguje to pismo humorystyczne, rozpylając nudę i przygnębienie z przedsionka zakładu pogrzebowego. Słonimski więc niewiele stracił, rozstając się z tą redakcją.

Plebiscyt „Kuriera Polskiego” w sprawie najlepszej książki ostatniego roku wygrał Paweł Jasienica. Redakcja „Kuriera Polskiego” składa się po części z ludzi, którzy za bierutowych czasów siedzieli w więzieniu. Chcieli oni w związku ze swoim plebiscytem zamieścić wywiad z Jasenicą, ale spotkało się to z zakazem cenzury. Żadne z pism krajowych od 1 kwietnia nie umieściło jakiegokolwiek artykułu Jasienicy, tego wspaniałego publicysty historycznego.

Wydawnictwa PAX-u także od 1 kwietnia zawiesiły swoją współpracę ze Stanisławem Mackiewiczem.

Wreszcie „Tygodnik Powszechny” ukarany został zmniejszeniem przydziału papieru o 10 tysięcy egzemplarzy. To także chwyt w walce politycznej poniżej pasa. Stefanowi Kisielewskiemu konfiskuje się od tamtego czasu artykuł za artykułem.

Po tych wszystkich represjach szereg pisarzy z podpisanych na „Liście 34” zostało w dniu 8 kwietnia zaproszonych na konferencję z premierem Cyrankiewiczem. Premier zaprosił także dwóch wysokich urzędników państwowych pp. Schaffa i Jabłońskiego, oraz literatów: Putramenta jako kierownika organizacji literatów partyjnych, a także wiceprezesa związku literatów Malszewskiego, bo Iwaszkiewicz wojażował po Włoszech, oraz poetę Przybosia.

^{*} „Wuj Teofil” – pseudonim różnych felietonistów „Szpilek”. W tym okresie posługiwał się nim Arnold Mostowicz, redaktor naczelny.

Z sygnatariuszy „Listu 34” zaproszeni byli: pani Kowalska, prof. Karol Estreicher, prof. Kazimierz Wyka, prof. Tadeusz Kotarbiński, prof. Aleksander Gieysztor, prof. Lipiński, prof. Szczepański, Parandowski, prof. Krzyżanowski, Jerzy Zagórski, Dygat, Andrzejewski, Adolf Rudnicki.

Była zaproszona także pani Maria Dąbrowska zamieszkała w Komorowie pod Warszawą, ale wóz Związku Literatów po nią wysłany utknął w piaskach i jej nie przywiózł.

– To wasz samochód – powiedział Cyrankiewicz, zwracając się do Putramenta.

– Nie, to takie pańskie drogi – odpowiedział Putrament.

Przyjęcie ze strony premiera Cyrankiewicza było bardzo uprzejme, kurtuazyjne i jak najbardziej ugodowe. Była herbata, kawa i góry zakąsek po staropolsku. Kiedy Schaff zaczął przemawiać i podniósł głos, siedzący naprzeciw niego Karol Estreicher przerwał mu, mówiąc:

– Czego pan tak krzyczy?

– Karolku – odezwał się do prof. Estreichera premier, który jeszcze z czasów uniwersyteckich jest z nim na ty – ty go nie znasz, on u nas zawsze tak samo krzyczy.

Poeta Przyboś w przemówieniu oskarżycielskim nazwał Słonimskiego kiepskim poetą. Cyrankiewicz przerwał mu, powiadając:

– Ale sam pan przyznaje, że jest znakomitym felietonistą.

Podziwiam zręczność tego premierowskiego zdania. Nie wypowiada ono oceny pisarskiej twórczości Słonimskiego, chwytając tego: „sam pan powiedział”, a jednak było to kulturalną i właściwą obroną literata przed... Trudno mi zakwalifikować zachowanie się poety Przybosia. Oczywiście ma on prawo oceniać twórczość innego pisarza, jak chce, ale przyjąć na konferencję polityczną, będąc samemu poetą i tak się odzywać! Sądzę, że każdy świadek tej sceny uważał to za dowód złego wychowania, rezerwując sobie surowszą kwalifikację.

Cyrankiewicz jest niewątpliwie lepiej wychowany od poety Przybosia i ma ludzkie uczucia. Przemawiając na tej konferencji, powiedział, że od jakiegoś wybitnego pisarza z Krakowa otrzymał list, że ponieważ teraz wielu ludzi drukować się nie będzie, więc może znajdzie się papier na wznowienie jego dzieł.

– Mam nadzieję, że więcej takich szkalujących propozycji otrzymywać nie będę – pięknie powiedział premier Cyrankiewicz.

Co do meritum sprawy, premier przemawiał także pojednawczo, ale nie logicznie. Powtarzał ciągle tezę rządu, że rząd wcale nie uważa za przestę-

ptstwo tego, że szereg pisarzy i uczonych zwróciło się z tym listem, natomiast rząd jest oburzony, że o tym wystąpieniu powiadomiona została zagranica, zanim nawet premier udzielił odpowiedzi sygnatariuszom listu. Ale jeśli tak, to jak usprawiedliwić represje, o których powyżej była mowa. Trzeba mieć chociażby jakieś poszlaki, że ci, na których represje spadły, byli czynni w przekazywaniu tego listu zagranicą.

Poza tym coś się takiego złego stało, że treść listu została przed zagranicą ujawniona. O tym, że cenzura działa, na to nie trzeba listu, przecież z tego robić tajemnicy nie można. To, że pisarze przeciw tej cenzurze protestują, to dowodzi także tego, że w Polsce Ludowej przestały już działać metody stalinowskie, za których to trwania napisanie takiego listu byłoby nie do pomyslenia.

Dziesięciu walecznych opuszcza Warszawę

W dniu 24 kwietnia 1964 r. telefony pobudziły sygnatariuszy „Listu 34”, wzywając ich zaraz, na godzinę 11 min. 30 na konferencję do Związku Literatów. Stawili się: Andrzejewski, Jasienica, Jastrun, Kisielewski, Kott, Kowalska, Mackiewicz, Parandowski, Rudnicki, Sandauer, Ważyk, Zagórski. W nieobecności wciąż przebywającego we Włoszech Jarosława Iwaszkiewicza przyjął ich Jerzy Putrament, który jest jednocześnie wiceprezesem Związku oraz kierownikiem organizacji literatów partyjnych. Zawiadomił on zebranych, że za dwie godziny odlatuje aeroplanem do Londynu tamtejszy ambasador Polski Ludowej i wiezie z sobą list 10 profesorów uprzednio podpisanych na „Liście 34” do „Timesa” i on, Putrament, wzywa obecnych do natychmiastowego przyłączenia się do tego listu. Na razie jednak tekstu tego listu profesorów nie było i dyskusja była hipotetyczna, ale z miejsca zebrani pisarze przypuszczali, że tu chodzi o jakieś *pokajanie*. Padły nawet wyrazy o „neostalinowskich” metodach, surowo skarcone przez Putramenta. Zebranie było dość chaotyczne, bo Putrament był i przewodniczącym, i referentem sprawy, i stroną, i stanowczym polemistą nie zgadzającym się ze zdaniem wszystkich obecnych. Potem obrano na przewodniczącego panią Kowalską i wreszcie nadszedł list, który za chwilę miał odbyć podróż powietrzną. Zawierał on twierdzenie, że żadna z osób, która podpisała list do premiera nie była obecnie pozbawiona prawa wykładania czy publikowania swych książek. Było to zdanie dość ryzykowne, bo wydawcą książek w Polsce Ludowej jest państwo, względnie wydawnictwa od organów państwowych ściśle uzależnione, a więc pro-

fesorowie nie mogli twierdzić, że książki sygnatariuszy „Listu 34” będą wydawane, a dotychczasowe zakazy druku nastrajały raczej pesymistycznie. Toteż Słonimski oświadczył, że treść listu jest kłamliwa. Amatorów przyłączenia się do tego *pokajania*, jak wszyscy się wyrażali, wśród zebranych literatów nie było. Znać było, że Putrament z góry się orientował w nastrojach i nie liczył na pomyślny wynik swojej misji.

Profesorowie, którzy *pokajanie* podpisali nazywali się: Aleksander Gieysztor, Konrad Górski, Leopold Infeld, Kazimierz Kumaniecki, Julian Krzyżanowski, Edward Lipiński, Jan Szczepański, Wacław Sierpiński, Władysław Tatarkiewicz, Kazimierz Wyka.

Powołały się na przykład Leopolda Infelda. Wspomniałem już, że jest człowiekiem zupełnie „opancerzonym”, korzystającym ze swej światowej naukowej sławy. Włos mu z głowy spaść nie może. Nikt go nie mógł przecież zmuszać do podpisania „Listu 34”, który był wyrazem określonego politycznego stanowiska, dążącego do zniesienia, względnie przynajmniej złagodzenia cenzury w Polsce Ludowej. I oto w półtora miesiąca później tenże światowej sławy uczony podpisuje list, który jest działaniem odwrotnym, w którym uprzednie swe stanowisko przekreśla. Podpisywać jedno, a potem odwoływać, nie jest to zajęcie zgodne z pojęciem dżentelmena, przeciwnie, jest to stanowisko nad wyraz niepoważne. Zresztą prof. Infeld napisał jeszcze trzeci list, po raz trzeci zmieniając swe stanowisko, ale już to na nikim poważnego wrażenia nie zrobiło.

Toteż z satysfakcją należy stwierdzić, że nie wszyscy profesorowie podpisani na „Liście 34” zachowali się tak, jak prof. Infeld. I to nie tylko profesor Maria Ossowska, co jest naturalne, bo raz jeszcze powtórzę, że w Polsce kobiety są zawsze odważniejsze od mężczyzn, ale także prof. Tadeusz Kotarbiński, prof. Stanisław Pigoń, prof. Falski i prof. Estreicher odmówili swoich podpisów na *pokajaniu*. Chodziły nawet plotki po Krakowie, że prof. Pigoń powiedział, że zrzuci ze schodów tego, kto mu to proponować się ośmieli i rzeczywiście nie był w tej sprawie nagabywany.

Ogromne znaczenie ma stanowisko prof. Tadeusza Kotarbińskiego, tego laickiego świętego Polski Ludowej. Poparł on swego czasu antykościelne stanowisko rządu i wytrwał na tej linii. Było to reklamowane w sposób możliwie hałaśliwy. Teraz jednak prof. Kotarbiński upominał się o zasadniczą pozycję wśród praw człowieka, o swobodę wypowiedzania myśli. Widzimy więc, że nie tylko jest odważny, ale i konsekwentny.

W tydzień po *pokajaniu* dziesięciu profesorów nastąpił ogólny spód gramanów, ale także niestety prawdziwych, rasowych, wybitnych pisarzy na

proteście przeciwko Free Europe. Należy się dokładnie przypatrzeć wszystkim elementom tej akcji.

Przed wszystkim mieściło się w niej to słuszne przekonanie, że otwarcie za utrzymaniem cenzury w Polsce nikt się nie opowie. Należało więc użyć jakiegoś tematu, który by pośrednio wskazywał, że literaci w sprawie cenzury nie solidaryzują się ze stanowiskiem „Listu 34”. Takim tematem były napaści Free Europe. Ale przecież te napaści z dnia na dzień trwają już od kilkunastu lat, więc nie mogło być żadnej wątpliwości, że tu nie o Free Europe chodzi.

Zebrano tych podpisów rzekomo *contra* Wolnej Europy około 600. Przeważnie były to nazwiska niewiele lub zgoła noc ogółowi nie mówiące, lecz było kilkadziesiąt nazwisk pierwszorzędnych, pisarzy przeważnie starszego pokolenia, w dawniejszym swoim życiu liberałów, endeków lub nawet piłsudczyków. Miejmy dla nich współczucie. Nie można o nich sądzić, że chcieli bronić cenzury. Po prostu okupacja hitlerowska i czasy stalinowskie nie przechodzą bez śladów na systemach nerwowych. Represje w formie wstrzymania druku artykułów swoje zrobiły.

Nadspodziewanie jednak ów spęd, który miał być wielkim zwycięstwem obrońców cenzury w Polsce, stał się czymś wręcz odwrotnym. Oto 57 literatów–komunistów literatów–członków partii, odmówiło swych podpisów na tej obronie cenzury zakamuflowanej w potępienie Free Europe. Nie będę powtarzał nazwisk, ale powiem, że 32 tych pisarzy partyjnych było z Warszawy, a reszta z prowincji.

Nie można już dziś mówić o „Liście 34” intelektualistów bezpartyjnych bez uzupełnienia, że treść tego listu była poparta przez 57 pisarzy partyjnych. Bo chyba odmowę złożenia podpisu na dokumencie, do którego sfery rządowe tak wielką przywiązywały wagę, można uznać za poparcie antycenzuralnego stanowiska.

Przemówienie pani Marii

W końcu maja zjawił się u pani Marii Dąbrowskiej, zamieszkałej w Komorowie pod Warszawą, samochód Władysława Gomułka z zaproszeniem jej na konferencję z pierwszym sekretarzem partii. Panią Dąbrowską bolała jednak tego dnia głowa i nie pojechała. Gomułka powiadomił ją, że sam do niej przyjedzie. Był to z jego strony gest bardzo uprzejmy, dowód, jak dalece Gomułka szanuje literaturę polską w osobie jej znakomitej przedstawicielki.

Ale Gomułka do Komorowa nie przyjechał. Nie jest to daleko od Warszawy, wszystkiego kilkanaście kilometrów przez Pruszków, ale droga, która tam prowadzi, jest godna najdzikszych miejscowości Konga. Tylko tyle, że nie ma lwów ani słoni.

Należy jednak przypuszczać, że Gomułka nie przestraszył się złej drogi, bo 90 procent dróg w Polsce jest w podobnym stanie, lecz że uległ prośbie Zarządu Głównego Związku Literatów. Właśnie na Ojczyzny łono wrócił z Włoch Jarosław Iwaszkiewicz i upomniał się o to, że reprezentować literatów wobec Gomułki powinny oficjalnie wybrane władze. Miała miejsce audyencja Zarządu Związku i padły obietnice co do papieru. Było to oczywiście zreżne wykorzystanie gafy z wymienieniem sprawy papieru na pierwszym miejscu w „Liście 34”. Była podobno także mowa o tym liście, przy tym – znowuż podobno – zgodzono się, że list ten powstał z zazdrości Słomskiego do Iwaszkiewicza o to, że Iwaszkiewicz otrzymał order i zawsze ile razy zechce, otrzymuje paszport i przydział dewiz na wyjazdy za granicę.

Po czym, w dniu 12 czerwca, miało miejsce zebranie literatów celem wyboru delegatów na zjazd walny Związku, który odbędzie się w Lublinie we wrześniu. Zebranie to zwołane było przez Zarząd Oddziału Warszawskiego, złożony z ludzi powściągliwych i lojalnych. Ten zarząd wystawił listę kandydatów na delegatów złożoną z tych samych ludzi, którzy środowisko warszawskie na ostatnim walnym zjeździe literatów reprezentowali. Miało to na celu uniknięcie dzielenia literatów na posłusznych i nieposłusznych.

Ale to właśnie zebranie z 12 czerwca stało się widownią faktu, mającego równie duże znaczenie, co sam „List 34”. Oto pani Dąbrowska w znakomitym wprost przemówieniu dała odprawę wszelkim krytykom „Listu 34”. Było to arcydzieło polemiki. Bardzo spokojne, bez cienia irytacji, a jednak wyśmiewało to, co było do wyśmiania. Wzruszający był widok tej kobiety szczupłej i niedużego wzrostu, odczytującej z wyraźnym wysiłkiem swe przemówienie, swe argumenty czyniące wrażenie młota uderzającego w szkło.

Po zakończeniu przemówienia pani Dąbrowskiej wszyscy obecni wstali z miejsc i zrobili jej długotrwałą owację.

Pani Dąbrowska wskazała, że od kilku miesięcy trwa dziwna polemika z „Listem 34”. Zabiera głos tylko strona oskarżająca, przy czym nigdzie nie była ujawniona ani treść listu, ani nazwiska podpisujących. Jedynie „Współczesność” zamieściła tekst listu, ale go sfałszowała przy tej sposobności.

Następnie pani Dąbrowska zacytowała długą listę osób, którym odmówiono druku artykułów bądź umieszczenia wywiadów, bądź wstrzymano od czytania. Między innymi redakcja „Twórczości”, literackiego miesięcznika kie-

rowanego przez prezesa Związku Jarosława Iwaszkiewicza, wycofała już złożone artykuły tych, którzy podpisali „List 34”.

Te dokładne i szczegółowe informacje pani Dąbrowskiej o represjach wobec pisarzy najlepiej wskazują, jak niesumienne było *pokajanie* dziesięciu profesorów. Skoro dziesięciu walecznych zapewniało redakcję „Timesa”, że nikomu nie będzie wstrzymany druk książek, co mogło być tylko ich własną hipotezą, to powinni byli, gwoździ ścisłości, dodać, że natomiast artykuły, wywiady i odczyty są wstrzymywane, co nie było już żadną hipotezą, ale dokonanym faktem.

Pani Dąbrowska powiedziała złośliwie, że teraz robi się segregację literatów, a niedawno przy jakimś zbieraniu podpisów nie zwracano uwagi nie tylko na przeszłość polityczną podpisującego, ale nawet na jego moralność.

Długo mówiła pani Dąbrowska o zebranych 600 podpisach na proteście przeciwko Wolnej Europie. Zaznaczyła, że nigdy Wolnej Europy przez radio nie słucha, toteż zdziwiło ją nadzwyczajnie, że tylu członków Związku Literatów tak dokładnie te audycje studiuje. Nie można było większego Free Europe zrobić prezentu ani reklamy. Jak najśluszniej pani Dąbrowska dodała, że Wolnej Europy nie zwalczy się tego rodzaju protestami, które ją po prostu reklamują. Jest jeden sposób walki z Free Europe – to zwrócić wolność prasie polskiej w kraju. Nawet za czasów Października dał się zauważyć spadek zainteresowania audycjami Wolnej Europy.

Po przemówieniu pani Dąbrowskiej miał miejsce nader znamieny incydent. Oto zabrała głos pani Natalia Modzelewska, żona zmarłego ministra spraw zagranicznych, człowieka wyjątkowej ideowej wartości, który zawziętym komunistą był jeszcze na ławie gimnazjalnej w Częstochowie, jeszcze przed pierwszą wojną światową. Pani Modzelewska demonstracyjnie postawiła kandydatury na delegatów na zjazd wrześniowy pani Dąbrowskiej, Słomimskiego, Kotta, Andrzejewskiego, Jastruna, Ważyka i Sandauera, czyli sygnatariuszy „Listu 34”, wyrażając się o nich „najlepsi wśród nas”.

Rzecz inna, że wszyscy postawieni przez panią Modzelewską kandydaci rzekli się tego zaszczytu. Zwracam tu uwagę, że pani Modzelewska nie wysuwała ludzi, których przekonania nie odpowiadały jej poglądom. Ale jej wystąpienie było bardzo ciekawe: był to głos tej grupy, którą w tej rozgrywce uważam za najważniejszą, mianowicie członków partii solidaryzujących się z walką o zniesienie cenzury w Polsce lub złagodzenie jej potworności.

W dalszym ciągu zebrania odpowiadał pani Modzelewskiej pułkownik Załuski, pisarz i mówca bardzo inteligentny i zajmujący. Zebrani mieli więc przed oczami dyskusję dwóch odłamów partii: puławian z partyzantami.

Z wielką kurtuazją i szacunkiem odpowiadał pani Dąbrowskiej Jerzy Putrament. W czasie jego przemówienia miał miejsce incydent, który rozśmieszył wszystkich. Oto Iwaszkiewicz przerwał Putramentowi jakimś *zwischenrufem* ni w pięć, ni w dziewięć. Putrament powiedział: „wybaczcie, ale na polityce znam się lepiej niż wy”. Sala wybuchnęła śmiechem, a Iwaszkiewicz, który później zabrał głos, skarżył się, że na niego krzyczano. – „Ależ nikt na pana nie krzyczał” – powiedział przewodniczący, którym był Jerzy Zawieyski. – „No tak, ale robiono różne miny w moją stronę”, z ujmującą szczerością odpowiedział Iwaszkiewicz.

Jakiż inny jest stosunek środowiska literackiego do tych dwóch pisarzy: do Dąbrowskiej i Iwaszkiewicza. O Dąbrowskiej nikt inaczej nie mówi, jak z największym szacunkiem. Iwaszkiewicz zawsze wzbudza niezamierzoną przez siebie wesołość. Zresztą sam sobie winien. Gdy chodzi, to tak zabawnie nadyma się, jakby był z gumy.

Po przemówieniu Putramenta dyskusja zaczęła nabierać tonów zawziętych. Przemawiał Kisielewski, powołując się na swoją krytykę cenzury w Sejmie. Poseł Kisielewski jest reinkarnacją Stańczyka. Za czasów Stańczyka, za Zygmunta Starego, Polska była krajem wolności, dziś jest domem niewoli, ale Stańczyk wypowiadał rzeczy bardzo mądre w żartobliwej formie. To samo robi Kisielewski. Łatwiej było jednak Stańczykowi na dworze Zygmunta Starego niż u Iwana Groźnego.

Przemawiał Mackiewicz, któremu Fiderkiewicz, starszy gość, były ambasador Polski Ludowej gdzieś zagranicą, przerywał wrogimi okrzykami, wypominając mu działalność przedwojenną. Mackiewicz mówił o stosunku rządu do cenzury. Cenzura jest jak morfina – wywodził, na razie przynosi korzyść, ale osłabia cały organizm, jeśli się ją przedłuża.

Ostre starcie było pomiędzy Koźniewskim, publicystą z „Polityki”, a Jasienicą. Na ogół, co jest ciekawe, nikt otwarcie cenzury nie bronił ani jednym słowem. Widać ci literaci wyczuwali, że obrona cenzury przez pisarzy byłaby czymś tak niestosownym, jak oda psa do własnego kagańca. Natomiast atakowane były różne inne sprawy z „Listem 34” związane, ale trzeba przyznać, że dość umiarkowanie. Nad tym zebraniem górowało świetne i poważne przemówienie pani Dąbrowskiej.

Ostatnim mówcą był Melchior Wańkowicz, który przemawiał w charakterze sygnatariusza „Listu 34”. Zrobię tu dygresję, mówiąc słów kilka o tym pisarzu. Jak przyjechał do Polski Ludowej z Ameryki, to był tu noszony na rękach, wszystkie pisma zabiegały o jego współpracę. Kierowniczka jednej z bibliotek publicznych w dużym mieście prowincjonalnym mówiła

mi, że Wańkowicz jest najpopularniejszym z żyjących pisarzy. I oto raptem się wszystko urwało, i to jeszcze przed podpisaniem przez niego „Listu 34”. Popularność Wańkowicza w całej pełni się ostała, lecz wydawnictwa przestały drukować jego książki, gazety rezygnowały z jego artykułów. Widać z tego, jak dalece w ustrojach despotycznych łaska pańska na pstrokatym koniu jeździ.

Technika wyborów na zjazd walny literatów jest następująca: Zostaje rozdana lista kandydatów uprzednio ustalona, po czym każdy z tej listy skreśla kandydatów, którzy mu nie odpowiadają. Po obliczeniu głosów w dniu 12 czerwca okazało się, że najwięcej głosów, to jest najmniej skreśleń otrzymali ci pisarze, którzy są członkami partii, ale odmówili swoich podpisów na spędownym proteście przeciw Free Europe.

Toteż sprawa „Listu 34” nie zeszła z łam gazet i przemówień. Nie jest to rzeczywiście jakaś dyskusja merytoryczna, lecz raczej poszukiwanie inicjatorów „Listu 34”, czyli mówiąc językiem właściwym „zaczinszczików” tego listu. Najczęściej wymienia się nazwisko Słonimskiego. Na IV Walnym Zjeździe Partii Józef Lenart wskazywał na zastygłego w liberalnej pozie liberała – Słonimskiego i premiera rządu londyńskiego – Mackiewicza, jako na wrednych *zaczinszczików*. Inni obok Słonimskiego wymieniają Jasienicę, Ważyka, Kotta itd.

Ale poparcie, które wołaniu o złagodzenie cenzury dało 57 wybitnych pisarzy–członków partii, powinno zwolenników cenzury przekonać, że chodzi tu nie o knowania takiego czy innego *zaczinszczika*, lecz o sprawę zasadniczą, dziś może najważniejszą z możliwych do zrealizowania spraw dla dobra Polski.

Gaston de Cerezay
[Stanisław Cat-Mackiewicz]

JAN MATIS

Dżuma

„Pytał raz Litwin diabła Czypinczuka
Dlaczego siedzisz w błocie?
Siedzę, bo przywykłem”.

Chore, ciężko chore społeczeństwo.

Rozmowa w Krakowie w kwietniu.

– Opowiadaj!

– Co?

– Jak to co? O marcu!

– Nic, studenci rozrabiali.

– No właśnie.

– Nie wiem, nie interesowało mnie to, nie pozwalali chodzić na rynek, to nie chodziłam, bili, to uważałam, żeby mi się nie dostało. Wyrosłam z tego, żeby po Rynku biegać i na wiecach krzyczeć.

Polskie wojska wkraczają do Czechosłowacji, aby zaprowadzić cenzurę, Polska pierwszy raz w swej historii występuje jako żandarm strzegący starego, odrażającego porządku. Trzech ludzi zdobywa się na publiczny protest. Nie grożą łagry, rozprawa sądowa, prześladowania. Ot, trudności w pracy, odmowa wyjazdu zagranicznego. Małość. Jakże słuszny był podtytuł książki Tyrmanda – pierwsza powieść o potędze małości w socjalizmie.

Mała stabilizacja stoi na straży systemu równie pewnie, jak dywizje Krasnej Armii w Legnicy. Ideały drobnomieszczańskie przykrojone do miary M3 bez okna. Życ trzeba, a żeby żyć w spokoju, zachować minimum równowagi psychicznej, niezbędnej do walki o chleb powszedni, trzeba poddać się obowiązującemu dekalogowi wartości, dekalogowi przystosowania. Według tego dekalogu na potępienie zasługują nie ludzie robiący większe czy mniejsze świństwa w Polsce, a Tyrmand – publicznie o tym mówiący, bo z Ameryki. Nie bez kozery Januarego Grzędzińskiego usiłuje się zamknąć w szpitalu.

lu dla wariatów. W dekalogu przystosowania akt ten mieści się bez reszty. Ale czy tylko idzie o poddanie się? Czy nie tkwi on w nas, stanowiąc już trwałą komponentę osobowości, osobowości demoluda. Pelikan, którego felietony w „Kulturze” więcej mówią o sytuacji w Polsce niż dorobek wszystkich instytutów sowietologicznych razem wziętych, ma poczucie zdrady w chwili wysyłania swych obserwacji. Jak jasne i proste jest to dla nas, a czy po drugiej stronie wielkiego muru potrafi to ktoś zrozumieć?

Fenomen wymiany świadomości przy każdorazowym przekraczaniu granicy polskiej stanowić może jedną z ciekawszych zagadek psychologii.

To nie oportunizm, nie strach z jednej, a chęć imponowania z drugiej strony każą co innego mówić w Paryżu, a co innego w Warszawie. Konsekwentna metoda nazywania białego czarnym spowodowała, że choć żelazna kurtyna, jeśli nie przeminęła, to w każdym razie zardzewiała i powstały w niej dziury, jak w podłodze starego samochodu, w nas samych tkwi jak za najlepszych czasów wąsatego wujaszka. Metoda złotego środka dobra jest, gdy spór idzie o odcienie szarości. Ale cóż jest pomiędzy białym i czarnym? Łaciate?

Dwa zdania diametralnie rozbieżne, gdy uwzględnić czynnik geograficzny, mogą być równie szczerze. Wiem, że tego nie zrozumie nikt po tej stronie, nieważne, czy wyjechał z Polski rok, czy dwadzieścia lat temu, dla niego będzie to zwykły, śmierzdzący oportunizm, inaczej jednak muszą myśleć ci, którym przyszło żyć i tworzyć (tak, tworzyć) po drugiej stronie. Ci ze świadomością.

W marcu buntowali się studenci, ci, którym zawile ścieżki przystosowania nie zdążyły jeszcze odebrać „naiwnych” kryteriów dobra i zła, i pisarze, dla których owe kryteria stanowią narzędzie pracy, jak dla stolarza hebel. Byli jednak sami, przeraźliwie sami.

Faktem jest, że marzec, a potem sierpień zachwiały mocno owym mało stabilizującym pancierzem, ale jednak Pelikan pomylił się bardzo, głosząc koniec małej stabilizacji. Zresztą sędzę, że odczuwa to sam najboleśniej. Jego ton w kwietniu i w grudniu!

Dekabryści, dziady – by użyć Pelikanowej przenośni – mówiące do obrazów. Są, na pewno są w Polsce, jednak żyć im, gdy nie chcą utonąć w uciechach, o które w ojczyźnie (na pewnym poziomie) nietrudno i które (znów na pewnym poziomie) są naprawdę pierwszorzędnej jakości (w jakim kraju bywają tak świetne dziewczyny?), nie jest łatwo.

Zmonopolizowanie przez władców wszelkiej myśli marksistowskiej, postępowej, bo przecież z marksizmu czerpią, choćby się nawet do tego nie przyznając, wszelkie ruchy postępowe na całym świecie, nie tylko zakłócają

sen w grobach klasykom, czym oczywiście nikt się nie przejmie, ale stwarzają też sytuację, w której wszelki opór jest niezwykle trudny.

Odrzucić całkowicie? Rozwiązanie tak nachalnie narzucające się przy obserwacji uczestniczącej w codziennych realiach życia, toż to przecież kontrrewolucja, znalezienie się po przeciwnej stronie barykady niż francuscy studenci skandujący Rome–Berlin–Varsovie–Paris. Znajomość tych realiów, wiedza, o jakiej nie mają pojęcia najmocniejsi w marksistowskim piśmie ludzie Zachodu, niezwykle utrudnia z nimi dialog. Dialog przecież potrzebny.

Rewizjonizm? Ten zakłada wyjście od dogmatyzmu z najprzeróżniejszymi tabu, zbyt wiele w nim utopii. Dlatego też, choć stanowi zmorę towarzyszy z aparatu, nie był zdolny do stworzenia żadnej platformy, załączka, który mógłby kiedyś stać się siłą polityczną. Zainteresowani wiedzą, ile wysiłków kosztowało zebranie pamiętnych 34 podpisów. Tylko 34! I to nie dlatego, by którykolwiek z sygnatariuszy nie zgadzał się choć z jednym słowem tego dokumentu, lecz że ten nie chciał z tym, a tamten jeszcze z kimś innym. Zresztą historia marcowych „odcinań”, tak charakterystyczna dla wszelkich ruchów o komunistycznym zabarwieniu, dla których ideowa czystość jest wartością naczelną, paraliżującą wiele akcji w zarodku, jest tu pouczająca.

Nad każdą ideą typu, nazwijmy to, demokratycznego, liberalnego, ciąży świadomość klęski. Kuroń i Modzelewski, na pewno najwięksi bohaterzy naszych czasów, zdobyli się na protest, bo czuli się komunistami. To ich ideę wzięto w pacht i zaczęto z nią wyprawiać rzeczy, od których klasycy muszą w grobie się przewracać.

Czy jednak w tym zatomizowanym, podzielonym, dezinformowanym i nie mogącym się między sobą informować społeczeństwie jest jeszcze miejsce dla wolności? Nie klasowej, nie geoideologicznej, po prostu dla wolności?

W 1897 roku Królestwo Polskie zebrało milion rubli na wiernopoddańczy dar dla przyjeżdżającego do Warszawy monarchy. W tym czasie roczny budżet niepodległościowej Polskiej Partii Socjalistycznej wynosił 5616 rubli. W 1968 roku pisze o tym Melchior Wańkowicz, i pisze to na pierwszej stronie „Polityki”, tuż obok artykułu redaktora naczelnego tego pisma, wychwalającego (w oględnych wprowadzie słowach, ale czy to gorzej, czy lepiej?) marsz naszej armii na południe.

I znów wracamy do początku naszych rozważań. Kompromisy, ciągle kompromisy z władzą, z bliźnimi, z własnym sumieniem, ba, z własną osobowością. Kompromisy rodzące frustracje, rodzące najprzeróżniejsze pozy, tabu, konwenanse, za którymi kryć się trzeba z własnym „ja”. Wypowiedzi i opinie, które po tej stronie muru wydają się nieprawdopodobne, tam jed-

nak nikt im się nie dziwi. Andrzejewski to bohater, bo pisarz i protestuje w Warszawie, ale już Mrozek, że powiedział to samo w Paryżu, moralnie jest podejrzany. „Co za sztuka w Paryżu?”

Opinia o kierownictwie naszej partii i rządu dość jest zgodna w całym społeczeństwie, a jednak na Kisielewskiego się boczą: „Publicznie, *per* ciemniaki, jak tak można?” Słowo się zdewaluowało. Nieważne, co mówicie towarzysz, ale z jakich pozycji.

Białe, czarne, łaciate, i to jeszcze nie wiadomo, z jakich pozycji. I dziwić się, że społeczeństwo jest chore, bardzo ciężko chore.

Smutne to rozważania, być jednak Polakiem w naszych czasach jest nie tylko trudno, jest smutno.

A jednak to, co dzieje się nad Wełtawą napawa optymizmem. Nie forma cenzury, stanowisko Smrkovskiego, tempo zmian ekonomicznych stanowią o wielkim nowym. Po raz pierwszy od dwudziestu lat chore socjalistyczne społeczeństwo zeszło z barłogu. Ludzie podnieśli głowy. Zniknęły tabu zabraniające mówić wprost. I to nie tylko z łamów prasy czy z oficjalnych trybun. Ludzie, zwykli szarzy obywatele, podnieśli głowy. Nie wstydzą się spojrzeć sobie w oczy. Są zdrowi. Wiele mówiono o opancerzonych transporterach przyjaciół jako o czynniku jednoczącym społeczeństwo czechosłowackiej republiki. Jednak wydaje mi się, że lekarstwem, które społeczeństwo uzdrowiło, było wolne słowo. Jednoznaczne, mówione wprost, ludzkie. To dzięki tej pół roku trwającej kuracji, gdy wreszcie owe transportery się pokazały, nie znalazł się nikt, by paktować z okupantem.

Wolne słowo wciąż panuje w Czechosłowacji. Ludzie na ulicach, w piwiarniach, w tramwajach, w fabrykach i w redakcjach nie wstydzą się spojrzeć sobie w oczy. I to właśnie napawa optymizmem. Zdrowie może być też zaraźliwe. Gdy jednak przekroczy się znów granicę, optymizm mija. „Dobrze tym skurwysynom Czechom, co, tylko my jedni mamy w dupę dostawać?” Nie wiem, czy jakakolwiek terapia pomoże, czy nie będzie konieczna operacja. Ciężka, bolesna operacja.

Jan Matis

[Maciej Kozłowski]

Refleksje grudniowe*

Gdyby ktoś w październiku ubiegłego roku powiedział Gomułce, że jako prezent „gwiazdkowy” otrzyma dymisję – towarzysz Wiesław nigdy by w to nie uwierzył.

Gdyby jakiś znakomity specjalista od Europy Wschodniej w październiku ubiegłego roku ogłosił przepowiednię, że w Szczecinie pomiędzy 17 a 25 grudnia istnieć będzie „Szczecińska Republika Robotnicza” – uznano by go za pomyłęca.

W krajach totalistycznych stopień przewidywalności – jeżeli można się tak wyrazić – jest znacznie mniejszy niż w ustrojach demokratycznych. W tych ostatnich istnieje wiele „barometrów”, które umożliwiają odczytywanie nastrojów społeczeństwa. W totalizmie „pogoda” nie jest badana, tylko dekretowana z góry.

Post factum wszyscy mówią o „ostatniej kropli”, która dopełniła miary. Oceniano powszechnie, że drakońskie podwyżki cen artykułów pierwszej potrzeby na krótko przed świętami Bożego Narodzenia – były ową kroplą, która dopełniła miary rozgoryczenia i cierpliwości. Dodam jeszcze, na marginesie, że cierpliwość robotników polskich – w znacznej mierze chłopskiego rodowodu – jest wręcz wyjątkowa.

Oczywiście, jeżeli ktoś „ostatnią kroplą” przelewa naczynie – oznacza to, że jest ślepy i nie wie, do jakiego stopnia naczynie było pełne.

* W pierwszym numerze z 1971 roku Redakcja zamieściła komentarz: *Polski Grudzień*, w którym zajęła stanowisko wobec zaszłych wypadków. W przeciwieństwie do 1956 roku, nie było euforii ani nadziei na zasadnicze zmiany, natomiast mocno podkreślano konieczność „zgrania wszystkich rewindykacji i żądań w jedną całość”, to jest robotniczych i inteligentkich, podobnie jak konieczność buntów i protestów w pozostałych krajach „demokracji ludowej”.

Po fakcie i po zmianie ekipy rządzącej dokonano odkrycia, że partia nie utrzymywała dostatecznego kontaktu ze społeczeństwem, a w szczególności z klasą robotniczą. „Trybuna Mazowiecka” zaatakowała uprzedni reżym, a w „Polityce” ukazał się artykuł stwierdzający, że choć są różne stopnie odpowiedzialności – partia jest odpowiedzialna za to, co się stało.

Na owe zarzuty odpowiedź jest prosta. Partia nie miała kontaktu ze społeczeństwem – ponieważ partia nie może mieć kontaktu ze społeczeństwem. Jeżeli ktoś chce mieć kontakt z księżycem – musi mieć na powierzchni naszego satelity statek kosmiczny, który by przekazywał na ziemię informacje. Jeżeli ktoś chce mieć kontakt ze społeczeństwem – musi mieć instytucje demokratyczne, ponieważ tylko poprzez instytucje demokratyczne rząd może utrzymywać stały kontakt ze społeczeństwem.

Komuniści boją się instytucji demokratycznych, dopatrując się w nich głównego zagrożenia dla swojej władzy. Jeżeli komuniści utracą władzę – utracą ją dlatego, że nie umieli wytworzyć instytucji demokratycznych, które wiązałyby rząd ze społeczeństwem i chroniły wszystkich przed „niespodziankami”.

Podobno Gierek, gdy był jeszcze „gubernatorem” Śląska – chodził wieczorami po barach, pił piwo z robotnikami i rozmawiał z nimi. Lecz tego typu towarzyskie kontakty, choć mogą być cenne – nie zastąpią autentycznych rad robotniczych, władz samorządowych wyłonionych z wyborów itp.

W państwie, w którym nie ma ani swobód obywatelskich, ani instytucji demokratycznych – strajk nabiera nowego charakteru.

Gdy nadeszły pierwsze wiadomości o strajkach na Wybrzeżu – komentatorzy brytyjscy w radio i w telewizji podkreślali, że strajki mają charakter czysto ekonomiczny. Wyczuwało się ulgę w ich głosach – ulgę, że nie zanoszą się na drugą Czechosłowację i że czołgi sowieckie nie opuszczają swoich baz.

To jest jeden z wielu przykładów niezrozumienia sytuacji, ponieważ w Polsce Ludowej każdy strajk jest zawsze strajkiem politycznym. W Anglii, jeżeli robotnicy strajkują w prywatnym przedsiębiorstwie, ich akcja nie ma charakteru politycznego, lecz wyłącznie ekonomiczny. Natomiast w Polsce Ludowej każdy strajk z definicji jest strajkiem politycznym, ponieważ wymierzony jest przeciwko kierownictwu partii, które odpowiada za decyzje gospodarcze.

Robotnicy we wszystkich krajach w większości wypadków przystępują do strajków ze względów gospodarczych. Polska nie stanowi od tej reguły wyjątku. Byłoby naiwnością przypuszczać, że robotnicy w Gdańsku czy w Szczecinie podejmą strajk tylko w tym celu, by przywrócić wolność pol-

skiej prasie. Lecz to powiedziawszy, należy stwierdzić, że w państwie komunistycznym nie ma rozróżnienia pomiędzy ekonomią a polityką. Gospodarką komenderują aparaczczyki kalibru Gomułki – z wiadomymi skutkami. W takich warunkach strajk jest nie tylko protestem przeciwko kierownictwu partii, lecz jest również protestem przeciwko systemowi zarządzania – przeciwko totalizmowi.

Zaczyna się zawsze od chleba. Hasła wolnościowe pojawiają się w następnej kolejności. Fakt, że w czasie wydarzeń grudniowych robotnicy polscy wysunęli hasła wolnościowe dowodzi, że zaczynają zdawać sobie sprawę, iż bez wolności nigdy chleba nie będzie pod dostatkiem.

Jeżeli przez ruch rewolucyjny rozumieć ruch zmierzający do obalenia lub radykalnej przebudowy ustroju – to należy obiektywnie podkreślić, że wydarzenia grudniowe, choć nie były rewolucją, miały jednak charakter rewolucyjny.

W tym punkcie chciałbym zwrócić uwagę Czytelnika na problem przemocy. Obawiam się, że nie dowiemy się nigdy prawdziwej cyfry rannych i zabitych w okresie wydarzeń grudniowych. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że milicja, wojsko i specjalne oddziały – użyły w stosunku do robotników nie tylko przemocy fizycznej, lecz i broni palnej.

W prasie emigracyjnej ukazały się wówczas apele, by „oszczędzać krwi”. Owe apele były zwrócone do robotników – by na przemoc i prowokacje nie odpowiadali przemocą i tym samym nie powiększali liczby ofiar.

Jestem przeciwnikiem przemocy jako instrumentu działania politycznego – lecz niemniej jednak są sytuacje, w których użycie przemocy jest moralnie i politycznie usprawiedliwione.

W chwili gdy piszę te słowa, odbywają się w Anglii demonstracje robotnicze, w których biorą udział setki tysięcy ludzi. W tym kraju policja nie strzela do strajkujących czy demonstrujących robotników. Dzięki temu robotnicy nie strzelają nigdy do policjantów. Robotnicy brytyjscy posiadają duże wyrobienie polityczne i społeczne, lecz gdyby zaczęto do nich strzelać, gdyby przeciwko nim użyto wozów pancernych i czołgów – jestem przekonany, że na przemoc odpowiedzieliby przemocą.

Na dnie duszy konserwatywni Polacy, którzy stanowią większość w naszym społeczeństwie, uważają, że strajk jest czymś złym, nielegalnym i organizowanym zawsze przez „wywrotowców”. W Polsce przedwrzesniowej policja również strzelała do demonstrujących robotników, a rotmistrz Bochenek, kawaler Virtuti Militari poległ na bruku krakowskim na czele swego szwadronu ułanów – tłumiąc rozruchy robotnicze. Wówczas strajkujący robotnicy to byli „bolszewicy”, a dziś strajkujący robotnicy to są „chuligani” i „wywrotowcy”.

Strajk musi być nie tylko ulegalizowany ustawą, lecz musi być również powszechnie społecznie zaakceptowany jako jedna z normalnych robotniczych akcji przemysłowych. Komuniści swoją antysocjalistyczną i antydemokratyczną postawą i ustawodawstwem powodują, że w PRL strajk nie jest zwyczajną akcją przemysłową, lecz jest akcją polityczną, a nawet rewolucyjną. Nie ma więc winy „po obu stronach”. Wina jest całkowicie i tylko po jednej stronie. O tym kardynał Wyszyński też nie pamiętał.

Polska, nawet gdyby nie była państwem komunistycznym, znajdowałaby się w niezmiernie trudnej sytuacji gospodarczej. Gomułka zwlekał z podpisaniem układu polsko-niemieckiego, prowadził bowiem równocześnie pertraktacje z Ulbrichtem. NRD jest zamożnym krajem i Ulbricht, gdyby chciał, mógł być Polsce przyjść z pomocą. Lecz rokowania w tej sprawie zakończyły się fiaskiem. Ulbricht odmówił jakiejkolwiek pomocy finansowej.

Trzeba mniej konsumować, a więcej produkować i eksportować. To wskazanie głoszone przez partię jest w zasadzie słuszne. Polacy mają wszelkie powody do zaciskania pasa.

Nie ma czystej ekonomii – tak jak istnieje czysta fizyka czy czysta matematyka. Ekonomia musi być zawsze rozpatrywana w danym kontekście społecznym. Jest różnica, czy ja sam dociskam mój własny pas, czy ktoś inny – nie pytając mnie o zgodę – dociska na mnie pasa. Operacja dociskania pasa w żadnym kraju nie jest popularna. Jednak w kraju demokratycznie rządzonym odpowiednie ustawy są debatowane i uchwalane przez parlament, a nie narzucane przez KC, którego naród nie wybierał.

Socjologia jest zawsze ważniejsza od ekonomii. Prawidłową gospodarkę można prowadzić tylko w ramach prawidłowego systemu społecznego. Ciężary muszą nie tylko być sprawiedliwie rozłożone – lecz rząd musi uzyskać zgodę od społeczeństwa na nałożenie owych ciężarów. Dlatego powiadam jeszcze raz: nawet gdyby PRL dysponowała najlepszą na świecie ekipą technokratów i menedżerów – w ramach obecnego ustroju ekipa ta nie mogłaby prowadzić prawidłowej gospodarki.

Dwadzieścia kilka lat temu wszystko to wyglądało inaczej. Hasłem była odbudowa kraju i położenie fundamentów pod przemysł. Lecz dziś Polska w znacznej mierze jest uprzemysłowiona i robotnicy oraz pracownicy związani z produkcją stanowią większość. Profil społeczny Polski uległ zmianie, lecz nie jej ustrój. Społeczeństwo przemysłowe posiada swoją własną „gramatykę” socjalną niezależną od ideologii. Ponieważ politycy nie umieją dostosować ustrojów – przeważnie przestarzałych – do owej „gramatyki”, obserwujemy w krajach przemysłowych rosnącą falę strajków i niepokojów ro-

botniczych. W Anglii strajkują nie tylko robotnicy, lecz również urzędnicy państwowi. Strajki nauczycieli czy urzędników pocztowych stanowią zupełnie nowe zjawisko socjalne, które byłoby wręcz nie do wyobrażenia jeszcze piętnaście lat temu.

Komunizm z wszystkich współczesnych ustrojów jest najmniej elastyczny, najmniej reformatorski i najbardziej konserwatywny. Choć może się to wydać paradoksem – komuniści rozbudowując przemysły kręcą bicz na samych sobie. Celem dyktatury jest umacnianie i kontynuacja dyktatury. Przemysły w oczach komunistów mają stanowić bazę ich dyktatorskiej władzy. Komuniści zapominają jednak, że uprzemysłowienie produkuje nie tylko dobra materialne, lecz również nową klasę robotniczą, której siła i uświadomienie polityczne rosną z każdym miesiącem.

Wydarzenia grudniowe stanowiły wielkie zaskoczenie w tym sensie, że wielu nie przypuszczało, że robotnicy polscy są do tego stopnia organizacyjnie uświadomieni i zdyscyplinowani. W wielu miastach powstawały komitety strajkowe, które funkcjonowały wzorowo. Rzecz jest tym bardziej godna podziwu, że większość owych robotników to są robotnicy w pierwszym pokoleniu – bez zaplecza doświadczeń klasy robotniczej.

Wydarzenia grudniowe potwierdzają również naszą tezę, którą na tych łamach powtarzaliśmy dziesiątki razy, a mianowicie, że tylko poprzez napór społeczeństwo może coś osiągnąć. Bez naporu i bez walki nie ma niczego.

Ktoś powie, że robotnicy polscy swoją akcją grudniową wiele nie osiągnęli. Nie podzielam tego poglądu. W mojej ocenie osiągnęli bardzo wiele. Przede wszystkim udowodnili samym sobie, że są zdatni do zorganizowania nowoczesnego strajku na dużą skalę. Swoją akcją skupili na polskiej klasie robotniczej i jej problemach uwagę całego świata. Pojawiło się setki artykułów we wszystkich pismach zachodnich. Polska nagle stała się znów problemem.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Może za największe osiągnięcie należy uznać fakt, że robotnicy polscy podjęli pierwszy krok na właściwej drodze. Drugi krok będzie łatwiejszy, ponieważ robotnicy przekonali się, że nawet w Polsce Ludowej nie święci garnki lepią. Robotnicy swą akcją i postawą przekonali społeczeństwo, że bezpieka nie jest tak potężna, jak ogólnie przypuszczano. Kompromitacja bezpieczeństwa będzie miała trwałe i poważne konsekwencje.

Jakie należy wysunąć wnioski z omawianej sytuacji?

W grudniowym numerze „Kultury” wysunęliśmy postulaty stanowiące minimum. Lecz i owo minimum nie będzie łatwe do osiągnięcia, jeżeli nie

zostaną spełnione pewne warunki. Jak podkreśliłem uprzednio, robotnicy walczą na całym świecie o wyższe płace i poprawę warunków bytowych. Trzeba przekonać polskich robotników, że bez przebudowy ustroju nie będą mieli nigdy lepszych płac, wydajniejszych służb społecznych i korzystniejszych warunków bytowych. Trzeba przekonać robotników, że radykalna reforma ustroju to nie jest zamówienie społeczne inteligentów i studentów – lecz winno być w pierwszym rzędzie zamówieniem społecznym klasy robotniczej.

Osobiście nie wierzę w schematy ustrojowe wypracowane przy biurku w Londynie czy w Warszawie. Ustrój musi być wywalczony i wypracowany w praktyce i budowany w całości z „lokalnych” materiałów społecznych. W gruncie rzeczy w tych sprawach nie można niczego kopiować, bo każdy naród jest inny i owa „inność” musi znaleźć wyraz w budowie ustroju.

W przeciwieństwie do maksymalistów emigracyjnych w „Kulturze” uważamy, że na drabinę winno się wchodzić, zaczynając od najniższego szczebla, a nie od najwyższego. Samorząd robotniczy w postaci prawdziwych rad robotniczych należałoby uznać za osiągnięcie pierwszego szczebla.

Przekonać robotników, że dążyć muszą nie tylko do podwyżek płac, lecz również do zmiany ustroju – jest bardzo trudną sprawą. Znaczny procent robotników nie pamięta Polski niepodległej i inteligenckie tyrady o pięcioprzymiotnikowych wyborach, wolnej prasie i tym podobnych nic im nie mówią. Powinniśmy oddziaływać na polską klasę robotniczą specjalnie zredagowaną literaturą polityczną, której celem byłoby wyjaśnić w sposób nie pompatyczny, a rzeczowy i przystępny, związek pomiędzy ustrojem a gospodarką. Trzeba również wyjaśnić bez szumnych słów, że choć Gomułka odszedł, gomułkizm pozostał. Na spętanym koniu najlepszy jeździec nigdzie nie zajędzie. Konia trzeba rozpętać, jeżeli wóz gospodarki polskiej ma ruszyć z miejsca. Choć reforma ustroju byłaby dla wszystkich w Polsce błogosławieństwem – robotnicy walcząc o reformy, działają przede wszystkim w swoim imieniu i dla siebie, ponieważ z gomułkizmu nie wycisną już niczego. Po kilku miesiącach przyjdą nowe podwyżki cen artykułów pierwszej potrzeby i jeżeli będą poważniejsze strajki – w najlepszym razie skończy się na przyznaniu doraźnych premii, które załatają budżety robotnicze na kilkanaście dni. Szkoda więc owego strajkowego wysiłku – jeżeli temu wysiłkowi nie mają odpowiadać konkretne rezultaty. Trzeba robotników przekonać, że każdy poważniejszy strajk musi w wyniku przynieść nie tylko podwyżkę płac, lecz również określoną zdobycz socjalną i umocnienie pozycji rad robotniczych w zakładach pracy.

Ktoś powie, że komunizmu nie można naprawiać, tylko trzeba go obalić i zastąpić nowym ustrojem. Jeżeli mamy stary samochód, a nie stać nas na kupno nowego samochodu – musimy naprawiać stary samochód do chwili, kiedy lepsza koniunktura umożliwi nam zdobycie nowego. To jest tak zwany zdrowy rozsądek, który dotyczy zarówno samochodu, jak i rewolucji.

Nie ma komunizmu z ludzkim obliczem. Tylko socjalizm może być z ludzkim obliczem. Niemniej pomiędzy komunizmami są wielkie różnice. Gdyby robotnicy polscy korzystali z tych praw, co ich koledzy jugosłowiańscy – byłby to już wielki postęp.

Nie chciałbym, by Czytelnik odniósł wrażenie, że jestem zwolennikiem wejścia tylko na najniższy szczebel drabiny. Przeciwnie, naszym celem jest najwyższy szczebel drabiny, czyli pełna demokracja. Jestem pewien, że robotnicy polscy nie pozwolą sobie odebrać ich najważniejszej broni, jaką jest strajk. Jestem również przekonany, że strajków będzie coraz więcej i będą coraz lepiej zorganizowane. Wówczas robotnicy przestaną być wyzyskiwanym „niemową” i przekształcą się w nową siłę, która obali „gomułkizm” i stworzy zręby demokratycznego ustroju.

A emigracja? W moim przekonaniu w obliczu Polskiego Grudnia emigracja polityczna nie stanęła na wysokości zadania. Lecz to jest temat odrębny.

Juliusz Mieroszewski

Polityczna opozycja w Polsce

„Idź dokąd poszli tamci do ciemnego kresu
po złote runo nicości twoją ostatnią nagrodę
idź wyprostowany wśród tych co na kolanach
wśród odwróconych plecami i obalonych w proch
ocalałeś nie po to aby żyć
masz mało czasu trzeba dać świadectwo [...]
czuwał – kiedy światło w górach daje znak – wstań i idź
dopóki krew obraca w piersi twoją ciemną gwiazdę
powtarzaj stare zaklęcie ludzkości bajki i legendy
bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz
powtarzaj wielkie słowa powtarzaj je z uporem
jak ci co szli przez pustynię i ginęli w piasku [...]
Bądź wierny Idź”

Zbigniew Herbert, *Przesłanie Pana Cogito*

Od słów tego prawdziwego manifestu do ludzi wolnych chcę przejść do deklaracji, być może dla niektórych szokującej.

Są w Polsce ludzie, którzy czynnie, w sposób zamierzony, przeciwstawiają się podstawowym zasadom ustroju narzuconego społeczeństwu przez władzę państwową. Jest ich tak wielu i tak znaczące miejsce zajmują w społeczeństwie, że można mówić o ruchu opozycji politycznej jako trwałym elemencie życia kraju.

Rozumiem, że zszokowani czytelnicy oczekują już w tym miejscu uzasadnienia, to jest odpowiedzi na pytanie o formy, mechanizmy i cele działania opozycji. Rozumiem też niepokój tych wszystkich, którzy sądzą, że odpowiedź na te pytania byłaby denuncjacją. Stąd kolejna deklaracja. Fakt występowania w naszym życiu społecznym ruchu politycznej opozycji, jej formy działania, a nawet w pewnym stopniu skład, są doskonale znane wła-

dzom PRL. Natomiast obawiam się, że bardzo wielu uczestników tego ruchu nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia swojej działalności, z jej rozmiarów, wpływów, możliwości ruchu, w którym uczestniczą.

Co więc mówić o ogromnej rzeszy ludzi biernych, choć opozycyjnie nastawionych? Jakże często przekonani są oni, że w kraju nie ma żadnej możliwości politycznego działania opozycyjnego, żadnej niezależnej myśli. Nic dziwnego, że każde masowe polityczne wystąpienie wydaje im się prowokacją. Święcie wierzą w wszechmoc policji politycznej i powszechny oportunizm czy nawet ześwinienie.

Niezależnie jednak od tego, jak wielu jest tych nieświadomych, procentowo nie można ich nawet porównać z liczbą Rosjan, którzy nie wiedzą nic o istnieniu rosyjskiej opozycji i jej form działania, takich jak wydawnictwa samizdatu i publiczne protesty, ani o represjach, jakim podlega. Co więcej, mam pewne podstawy przypuszczać, że w Polsce większa jest wiedza o rosyjskiej opozycji niż w samej Rosji.

Przy całym szacunku dla heroizmu i zasług rosyjskich dysydentów, nie sądzę, by była to właściwa droga dla opozycji polskiej. Wprawdzie uczyć się zawsze warto, to jednak, jak dotąd, polskie formy działania opozycyjnego okazują się skuteczniejsze niż wszystkie inne w naszym obozie. Choć oczywiście nie wiadomo dokładnie, czy jest to tylko zasługa tej opozycji.

Warunki społeczne i cele ideowe

Definiując formację określoną tu jako polska opozycja polityczna, odwołaliśmy się do jej przeciwnika – do koncepcji ustrojowej realizowanej przez władzę państwową. W ten sam sposób musimy postąpić i teraz, formułując cele ideowe tego ruchu.

Jakiej to mianowicie koncepcji ustrojowej przeciwstawia się opozycja? Socjalizmowi? Nie, bo wielu z przeciwstawiających się bardzo to słowo szanuje. Nie o słowa jednak rzecz idzie. Gdyby zebrać wszystkie narzekania politykujących Polaków – a kto nie narzeka i nie politykuje? – to okazałoby się, że znaczącą większość tych narzekań można objąć dwoma pojęciami: brak suwerenności i totalitaryzm. Gdyby zanalizować żądania, rezolucje, ulotki wszystkich – od pięćdziesiątego szóstego poczynając – masowych wystąpień w Polsce, to ich treść można określić jako protest przeciwko zjawiskom życia społecznego, stanowiącym przejawy braku suwerenności i totalitaryzmu. Ten fakt, z przyczyn, o których dalej, musi wyznaczać charakter ideowy polskiej opozycji – musi być ona antytotitarna i niepodległościowa.

Państwo niesuwerenne, w kategoriach prawa państwowego, to takie, które nie prowadzi własnej polityki zagranicznej i nie ma swobody wyboru formy ustrojowej. Czy ingerencja rosyjska w wewnętrzne sprawy Polski ogranicza się do tych dwóch kwestii? Tak, jeśli uwzględnić szczególny charakter formy ustrojowej, strzeżonej w tym kraju przez rosyjską politykę i czołgi. Jest to system, w którym nie podporządkowany kontroli społecznej centralny ośrodek dyspozycyjny dąży do kontrolowania całego życia każdego obywatela. Ponieważ zaś dążenie takie nie może być spełnione – mamy do czynienia z formą ustrojową, której istotą i dynamiką jest stała tendencja panujących do zniewolenia wszystkich. Dlatego właśnie totalitaryzm jest ciągłą destrukcją wszelkich więzi społecznych, innych niż formalna struktura organizacji państwowej (wszelkie związki, stowarzyszenia, kluby, nie mówiąc już o zakładach pracy, w tym systemie są czy raczej powinny być członkami organizacji państwowej).

Więź społeczna wsi, miasteczka, wspólnoty lokalnej i zawodowej opiera się na swobodnym porozumieniu i współdziałaniu w sprawach swego środowiska. Jest więc możliwa tylko jako inicjatywa nie programowana przez centralę i w związku z tym przez nią nie kontrolowana.

Wspólnota narodowa żyje w swojej kulturze, w nieustannym tworzeniu tego, co ogół jej członków przeżywa jako własne – bo pospólne, i pospólne – bo własne. Warunkiem niezbędnym tego tworzenia i przeżywania są twórcze inicjatywy społeczne, wolność słowa i nieograniczony obieg informacji. Nie można więc tego procesu centralnie programować ani też kontrolować. Totalitarny system nie może jednak, pod groźbą samounicestwienia, dopuścić do inicjatyw społecznych, do nie zaprogramowanego centralnie współdziałania, do swobody obiegu informacji, do swobód twórczych – musi niszczyć więź społeczną, unicestwić naród jako wspólnotę kulturową. Jednocześnie system totalitarny nieustannie rodzi swoje zaprzeczenie. Tendencja do objęcia centralną kontrolą wszystkiego jest tak destruktywna, że każdy obywatel, aby żyć, musi się jej nieustannie przeciwstawiać. Ten opór jednostkowy i zbiorowy występuje na wszelkich szczeblach władzy, we wszelkich instytucjach, organizacjach, w każdej fabryce i w każdej rodzinie.*

W takiej sytuacji system totalitarny może być zachowany w państwie tylko pod warunkiem nieprzerwanego zwalczania oporu społecznego, inicja-

* Często bardzo ujawnia się jako konflikt między resortami, szczeblami władzy, regionami, i chyba obserwacja tego zjawiska nasunęła niektórym sowietologom zachodnim myśl o występującym w naszym obozie „pluralizmie instytucjonalnym” [przypisy autora].

tyw społecznych i stale ponawianych prób tworzenia kultury narodowej. Praktycznie, funkcjonujący w życiu społecznym system jest wynikiem ścierania się tych dwóch przeciwstawnych tendencji, których nosicielami są zazwyczaj ci sami ludzie i te same instytucje.

Skoro zatem brak suwerenności Polski łączy się z totalitaryzmem, to sama zasada utrzymania narzuconej formy ustrojowej wymaga stałej rosyjskiej ingerencji we wszystkie sfery życia społecznego.

Charakteryzowanego powyżej powszechnego oporu przeciw totalitaryzmowi nie można uznać za opozycję polityczną. Stanowi ona jednak warunki, dzięki którym opozycja taka może się ukształtować i działać. Zaś opozycją polityczną staje się wszędzie tam, gdzie ludzie uświadamiają sobie polityczny charakter swego działania. Warunki do takiego samookreślenia posiada stale inteligencja twórcza i posiadają je studenci oraz, z natury rzeczy, okresowo wszelkie środowiska, które zostały zmuszone do wystąpień zbiorowych.*

Inteligencja twórcza, w szerokim tego słowa znaczeniu, z jednej strony w swojej zawodowej działalności napotyka destruktywną siłę tendencji totalitarnej, a z drugiej posiada wiedzę i wyrobienie umysłowe pozwalające interpretować własne trudności w kategoriach ogólnospołecznych. Ekonomista, inżynier, socjolog, psycholog, jeśli chcą rzetelnie wykonywać swoje obowiązki, napotykają opór polityki państwowej i bardzo szybko uświadamiają sobie jego systemowe źródło. Pisarz, poeta, humanista, historyk, reżyser żyją ze świadomością drastycznego ograniczenia, jeżeli nie w ogóle za-blokowania przez system, ich twórczych możliwości.

Inteligencja twórcza musi więc być z natury antytotitalarna, a jako że gwarantem porządku jest wielki sąsiad – wszelki antytotitalaryzm musi łączyć się z pragnieniem suwerenności.

Świadomość, że system panujący w Polsce jest źródłem społecznej destrukcji, a na jego straży stoi Wielki Brat – może prowadzić do poczucia bezsilności i apatii, lecz może też wywołać próby przebijania się mimo wszystko. W jednych zawodach takie próby mogą łączyć się z działaniem opozycyjnym, w innych muszą.

* Przede wszystkim, oczywiście, strajkujący robotnicy, ale także na przykład parafie walczące o budowę kościoła, wieś i miasteczka w obronie swoich inicjatyw społecznych itp. Takie i inne wystąpienia są w naszym kraju znacznie częstsze, niż to się może wydawać nawet nieźle poinformowanym korespondentom.

Nad tym, co mogą i muszą czynić polscy inteligenci, jeśli oczywiście chcą rzetelnie pełnić swoją rolę społeczną, zastanowimy się, omawiając formy działania opozycji politycznej. Na razie chcemy stwierdzić, że sytuacja inteligencji twórczej i studentów w systemie totalitarnym nieustannie popycha jednych i drugich do politycznego, opozycyjnego działania. Do ludzi z tych grup społecznych ogranicza się ruch, o którym tu mowa. Nie sędzę jednak, aby należało uważać ten fakt za słabość. Wręcz przeciwnie, to przecież inteligencja jest twórcą świadomości narodowej, a właśnie w sferze świadomości toczy się walka.

Nie mam zamiaru twierdzić, że mniej lub więcej sprecyzowana postawa antytotaryzmu prowadzi zawsze, czy nawet przeważnie, do działania opozycyjnego ani też, że nie ma w Polsce zwolenników totalitaryzmu i to wśród ludzi, których musimy zaliczyć do inteligencji twórczej.

Zwolennikami totalitaryzmu nie mamy powodu tu się zajmować. Musimy jednak odpowiedzieć na pytanie: czy istnieje w Polsce opozycja nie występująca przeciw totalitaryzmowi, walcząca jedynie o suwerenność?

Są niewątpliwie ludzie i ośrodki, którzy mniej lub więcej otwarcie głoszą program suwerennego państwa totalitarnego. Nie mogą jednak, i trudno mieć do nich o to pretensję, ograniczyć rosyjskiej ingerencji w wewnętrzne sprawy Polski ani też usamodzielnąć polskiej polityki zagranicznej. Cóż więc mogą uczynić i czynią? Budzą dumę narodową, odwołując się do świetlanych momentów historii ojczyzny, tylko jednak takich, które dają poczucie zbiorowej siły, a nie łączą się z niczym, co totalitaryzmowi niemiłe (z parlamentaryzmem, tolerancją, wolnością słowa itp.). Troszczą się o dyscyplinę społeczną rozumianą jako jednostronne podporządkowanie obywatela władzy państwowej, o surowość represji karnej, o uniformizm w myśli, czynie, fryzurach i ubraniu. Zwalczają wszelkie tendencje do liberalizmu, tolerancji, krytycznego myślenia, to jest zwalczają antytotaryzną opozycję. Ponieważ zaś na posłuszeństwo, poczucie dumy narodowej, uniformizm znakomicie wpływa nienawiść do wszelkich obcoplemieńców, więc w propagandzie kierunku, o którym mowa, często szczerze się przeciw Niemcom, Ukraińcom, Żydom.

Zważmy teraz, że totalitarna dyktatura w naszym kraju od dawna postawiła na nacjonalizm jako siłę scalającą naród pod swoim panowaniem. Trudno nie spostrzec, że program naszych, pożałujcie Boże, narodowców jest w gruncie rzeczy tożsamy z programem dyktatury – w ostatecznej instancji jednak moskiewskiej. Nie dziw tedy, że są oni subsydiowani przez państwo, mają organizacje (przede wszystkim PAX), pisma, wydawnictwa i wiele innych możliwości.*

* Już samo wyliczenie tytułów gazet i czasopism tego kierunku zadziwia różnorodnością

Nie twierdzę, że wszyscy ludzie z tym kierunkiem związani są świadomi jego prawdziwego charakteru. Twierdzę jedynie, że nie są oni opozycją, ale jej zaciekle przeciwnikiem. Stoją się przy tym w kostium opozycyjny – dają do zrozumienia, mrużą oko... Jest to znamieny paradoks: okazuje się, że władza państwowa dla ugruntowania w społeczeństwie swego autorytetu musi powoływać do życia fałszywą opozycję.

Podkreślmy więc jeszcze raz. Polityczna opozycja w Polsce ma charakter antytotalitarny i niepodległościowy.

Czy jednak jest ona ideowo jednolita? Nie ulega wątpliwości, że nie, choć obecnie to, co wspólne tak dalece przeważa nad różnicami, że można już mówić o jednolitym ruchu. Obecnie, to znaczy pod wpływem wydarzeń określanych w Polsce za pomocą terminologii kalendarzowej jako marzec, sierpień (wjazd do Czechosłowacji), grudzień. W toku tych wydarzeń zmarły naturalną śmiercią nadzieje na odnowę ruchu komunistycznego, a wraz z nimi rewizjonizm jako ideologia tego nurtu opozycji, w którym akceptowano jakąś część czy jakiś aspekt komunistycznej tradycji. Trzeba przyznać, że poczynając od pięćdziesiątego szóstego roku ten nurt grupował ludzi szczególnie dynamicznych, odważnych, światłych i dzięki tym zaletom popularnych. Dopóki jednak odrzucali oni parlamentaryzm, nie wykazywali zrozumienia dla problematyki niepodległościowej i byli niechętni wobec tradycji chrześcijaństwa, dopóty odpychali od siebie inne nurty opozycji politycznej. Tracąc złudzenia komunistyczne, zapoczątkowali wciąż trwającą rewizję swoich przesłanek ideowych i programów, ale nie stracili cech, które czyniły ich zasadniczym nurtem opozycji.

Jednocześnie wydarzenia marcowe z całą wyrazistością okazały społeczeństwu, że władza upaństwowiła ideologię obozu narodowego i tradycję niepodległościową. Także więc nurty opozycji z tego ideowego pnia wyrastające zostały zmuszone do przewartościowania swoich postaw ideowych.

Tak oto dwa rewidujące swoje światopoglądy nurty spotkały się ze sobą w obliczu wspólnego wroga: totalitarnej dyktatury, znów splamionej krwią.

Co jednak najważniejsze – między marcem a grudniem dojrzało w Polsce pokolenie, które radykalny protest przeciw systemowi uznało za obowiązek moralny. Z tej zaś perspektywy ludzie walczącej opozycji stanowią jednolitą formację. To, co ich dzieli, ma wyłącznie charakter intelektualny – wzbogaca dyskusje, stanowi przedmiot refleksji, a więc łączy, a nie dzieli. Ci naj-

prądów, które tu się spotkały, i możliwościami wydawniczymi: „Kierunki”, „WTK”, „Słowo Powszechne”, „Argumenty”, „Wychowanie”, „Prawo i Życie”, „Walka Młodych”, „Poezja”.

młodszy opozycjoniści, jeśli jeszcze nie są najważniejsi czy najwybitniejsi, to już nadają ton, czują się spadkobiercami tradycji wszystkich walczących o fundamentalne wartości ideowo-moralne. Nie mają żadnych złudzeń co do charakteru ruchu komunistycznego, a jednocześnie żadnych uprzedzeń wobec byłych komunistów. Nie ulegają magii słów ojczyźnianych, a jednocześnie swoje zadanie w realizacji ogólnoludzkich, uniwersalnych wartości widzą w Polsce w kształtowaniu jej samodzielnego bytu i takich urządzeń życia społecznego, które zapewniają jak najpełniejszą suwerenność osoby ludzkiej. Właśnie ten nacisk na wartość jednostki, na niezbywalne prawa człowieka i w związku z tym podmiotowość społeczeństwa – pluralizm polityczny, ideowy, światopoglądowy, przy jednoczesnej świadomości kolektywnego charakteru wytworzenia we współczesnym świecie – stanowi zasadnicze rysy wspólnoty ideowej polskiej opozycji.

Czy jest to, jak sądzą niektórzy, zespół wartości dawno już zrealizowanych w zachodnich demokracjach? Pozostawmy to różniące nas pytanie bez odpowiedzi.

Program działania

Centralnym problemem, który już na wstępie musi rozwiązać wszelka polityczna opozycja, jest wybór między częściową choćby i wymuszoną akceptacją systemu, w którym działa, a jego zasadniczą negacją. W zależności od tej decyzji ruch opozycyjny albo stara się oddziaływać na decyzje władzy państwowej i kontrolować ich realizację, albo przeciwnie – przeciwdziałać polityce władzy. Odpowiednikiem tej alternatywy, w każdym razie w polskiej tradycji politycznej, wydaje się być alternatywa – uczestniczyć w systemie albo konspirować i walczyć zbrojnie. Ponieważ formalna konspiracja wydaje się w kraju niemożliwa, a walka zbrojna niedopuszczalna z oczywistych względów, widzi się często bierność jako przeciwieństwo pewnej, choćby ograniczonej, akceptacji systemu.

Uczestnictwem w systemie, i tym samym jego akceptacją, jest w naszych warunkach wszelkie pełnienie obowiązków zawodowych i w tym sensie wszyscy czy prawie wszyscy obywatele tego kraju, niezależnie od swojej nadziei czy beznadziejności, akceptują system. Jednocześnie zaś również wszyscy jakoś go tam zwalczają, a tym samym negują. Ta sprzeczność odbiera wiarygodność głoszonym od czasu do czasu wezwaniom do pracy organizacyjnej, które mogą stanowić jedynie wygodne uzasadnienie bierności politycznej.

Jeśli mówimy tu o uczestnictwie, to interesuje nas wyłącznie akceptowany przez władze udział w życiu politycznym jednostek czy grup o nastawieniu w jakiś sposób niezgodnym z oficjalnym. Znamienne jest, że nie ma w Polsce, jak zresztą w żadnym innym kraju tak zwanego obozu, takiej formacji. PAX jest wszystkim, tylko nie opozycją. Program tego ugrupowania nie różni się niczym od programu totalitarnej dyktatury. Grupa poselska „Znak” nie uczestniczy w życiu politycznym. Nie ma ona nic do powiedzenia w sejmie, który nie ma nic do powiedzenia w kraju. Zupełnie niedawno jednak jeden z posłów tej grupy – Zabłocki – złożył z trybuny sejmowej zaskakującą ofertę: katolicy, w zamian za prawo udziału w życiu politycznym, poprą aktywnie w sposób zorganizowany system polityczny panujący w Polsce.

W czym imieniu składał swoją propozycję, co naprawdę proponował?

Udział wierzących Polaków w życiu politycznym może oznaczać prawo każdego z nich do wyrażania swoich poglądów politycznych i swobodnego wyboru politycznych reprezentantów. Byłaby to więc propozycja likwidacji systemu totalitarnego, który Zabłocki jednocześnie obiecywał poprzeć, a na wstępie swego przemówienia długo i gorąco chwalił. Podstęp? Naiwność? Obawiam się, że ani jedno, ani drugie. Z tekstu wystąpienia wynika niedwuznacznie, że nie o swobodę głoszenia politycznych poglądów chodzi, a po prostu o praktyki religijne. Udział w życiu politycznym to zatem prawo praktykujących katolików do realizacji polityki partii i rządu. Ceną zorganizowanego poparcia dla systemu byłoby stronnictwo katolickie o takich samych uprawnieniach, jak stronnictwa już istniejące.

Jestem przeciwnikiem wszelkich form dyskryminacji religijnej. Trudno mi jednak uznać za zdobycz demokracji fakt, że funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, dyrektorzy szkół oraz wyżsi i średni funkcjonariusze państwowi będą mogli chrzcić swoje dzieci jawnie, zamiast jak dotąd w ukryciu. Za jaką cenę? Pytanie dla rozważanego problemu zasadnicze. Może stronnictwo katolickie potrafiłoby sobie wywalczyć jakąś, choćby ograniczoną, samodzielność?

System totalitarny, jak się już rzekło, nie może tolerować żadnych ośrodków inicjatywy społecznej. Mogą one istnieć tylko przeciw niemu. Dlatego każde ugrupowanie polityczne powołane przez władze PRL musi stać się w krótkim czasie tylko jednym jeszcze sztyldem na strojonej fasadzie antynarodowej dyktatury. Tak też musi się skończyć wszelka próba grupowego uczestnictwa w życiu politycznym za cenę akceptacji. Grupowe uczestnictwo wkrótce ograniczy się do grupowej akceptacji.

A jednostkowe? To już bardziej skomplikowana sprawa, w zależności od tego, co możemy uczynić, a co musimy akceptować. Zmienimy porządek tego pytania: Co możemy akceptować i musimy czynić?

Milcząco akceptujemy prawie wszyscy – wszystko. Po prostu żyjąc jako ludzie państwowi. Pytamy więc, czy warto deklarować swoje poparcie dla systemu, głosić chwałę socjalizmu, Polski Ludowej i jej osiągnięć? Mniej eufemistycznie: czy wolno kłamać, głosić pochwałę destrukcji społecznej czy nawet zbrodni, na czarne mówić białe, na białe – czarne? To co z tego, że nikt w to nie wierzy? Tym gorzej. Czyniąc tak, pracujemy nad tym, aby język kłamstwa stał się jedynym, jakim Polacy mówią o sprawach pospólnych – narodowych. I to wszystko po to, aby po cichu przeciwdziałać totalitaryzmowi, co przecież każdy i tak czyni po prostu dlatego, że musi żyć. A i samo to przeciwdziałanie jest arcydialektyczne, bo ratuje przed zagładą, a jednocześnie samo jest trujące. Niesie ze sobą prywatę, korupcję, egoizm, pijaństwo, nieuczciwość, kłamstwo...

Deklarować swoje poparcie dla systemu, to uczestniczyć w jego destruktywnej działalności. Tylko za cenę takich nieustannie składanych deklaracji można od wewnątrz oddziaływać na decyzje władzy. Szkody wyraźne, a korzyści wątpliwe.

Nie, nie może to być program dla politycznej opozycji. Nie ulega też wątpliwości, że nie możemy w tej chwili zmienić systemu panującego w Polsce. Gdyby jednak destrukcja moralna Polaków i kulturowa narodu nie znajdowała silnego odporu, to nie moglibyśmy zmienić go nigdy.

Zagrożony jest byt narodu jako wspólnoty kulturowej, i ten fakt wyznacza program działania opozycji. Przeciwstawić się destrukcji moralnej i kulturowej niesionej przez totalitaryzm. Jest to działanie wychowawcze, skierowane przeciw zasadniczemu celowi polityki państwowej. Pozytywnie – znaczy to pracę nad wyrobieniem w społeczeństwie postawy antytotitarnej, wrażliwości moralnej, pluralizmu politycznego, tolerancji, woli samostanowienia, krytycyzmu, a wraz z nimi wiedzy politycznej – umiejętności politycznego myślenia i działania.

Nie pierwszy to raz w historii Polski wychowanie czyni się programem niepodległościowym, a warto pamiętać, że był to chyba jedyny program zawsze skuteczny. Nie oznacza to też wyłącznie, czy nawet przede wszystkim, programu pracy dla przyszłości. Chodzi przecież o ograniczenie tego, co w powszechnym oporze jest społecznie destruktywne, a wzmacnianie jego politycznego charakteru; o wnoszenie w codzienne życie każdego Polaka etyki społecznej i świadomości narodowej.

Fakt, że Polska jest krajem najmniejszej niewoli w największym „łagrze mira” jest spowodowany przede wszystkim szczególną polityczną aktywnością szerokich rzesz naszego społeczeństwa. Tę aktywność jestem skłonny przypisywać stałemu współwystępowaniu w naszym społeczeństwie powszechnego jednostkowego oporu z ruchem opozycji politycznej.

Formy działania

Wszystkie problemy, którymi zajmuję się w tym szkicu, są stale podejmowane przez publicystykę krajową w czasopismach i książkach drukowanych legalnie pod czujnym okiem cenzorów. Ukazywały się i ukazują coraz częściej rozprawy większe i mniejsze analizujące mechanizm systemu totalitarnego, problemy suwerenności i jej warunków, strategię i taktykę opozycyjnego działania.

Prezentowany program wychowawczego działania opozycji ma już w kraju sporą bibliografię i dopiero po burzliwej dyskusji w prasie krajowej sformułował go, niestety nieśmiało, Kołakowski w paryskiej „Kulturze” (*Sprawa polska*).

Legalne piśmiennictwo to zatem ważna forma opozycyjnego działania. Dla zilustrowania zjawiska odwołam się tu do dwóch prac, ze zrozumiałych względów już historycznych. W 1961 roku ukazała się książka Włodzimierza Brusa *Ogólne problemy funkcjonowania gospodarki socjalistycznej*, a w 1972 roku *Dzieje agonii* Pawła Jasienicy, ostatni tom cyklu: *Rzeczpospolita Obojga Narodów*. Obydwie książki wydano w Warszawie. Wybieram właśnie te dwa przykłady, ponieważ każda z tych książek stanowi próbę syntezy wybranego problemu i każda prezentuje odmienną, a wciąż aktualną, technikę przekazywania cenzury.

Książka Brusa poświęcona jest analizie funkcjonowania systemu totalitarnego w gospodarce i wykazuje, że jest to system marnotrawiący siły i środki społeczne, nieefektywny, dający się stosować tylko przy niskim poziomie techniki. Co więcej, autor wykazuje, że totalitaryzm w gospodarce wiąże się ściśle z totalitaryzmem politycznym, a wszelka zadowalająca reforma gospodarcza wymaga politycznej demokracji.

Jak to się stało, że książka taka mogła się ukazać w kraju o prewencyjnej cenzurze, w którym za głoszenie programu demokracji politycznej ferowane są wieloletnie wyroki?

Autor posłużył się techniką trudnych słów i rozważań modelowych. (To ostatnie zapewne nie tylko ze względów cenzuralnych). Obydwie metody są

szeroko stosowane w krajowej publicystyce i piśmiennictwie naukowym. Pierwsza polega na zastępowaniu słów mogących wzbudzić czujność cenzora mało znanymi terminami naukowymi, na przykład zamiast rząd pisze się – centralny dyspozytor, zamiast totalitaryzm – system centralnie sterowany i tym podobne. Posługując się metodą rozważań modelowych, autor deklaruje brak zainteresowania rzeczywistością, zwraca się ku czystej teorii. Konstruuje model systemu centralnie sterowanego i wszystko, co chce powiedzieć o gospodarce socjalistycznej do niego odnosi. Jeszcze chyba w tej chwili można nabyć w prowincjonalnych księgarniach książkę, w której zastosowano obydwie metody dla analizy funkcjonowania systemu społecznego w Polsce. Pisz tam o październiku, marcu, grudniu i przeprowadza zasadniczą krytykę systemu, uzasadniając jego destruktywny charakter.

Pomijając inne walory, jest to dzieło ostrzejsze od trzech czwartych produkcji rosyjskiego samizdatu, wydane w nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy i dostępne w bibliotekach i czytelnich. Nic to, emigracyjni szwależerowie wciąż się dąsają, że w kraju nie ma samizdatu.

Czy jednak to, czego nie zrozumiał cenzor, będzie zrozumiałe dla nie uprzedzonego czytelnika?

Wahałbym się z udzieleniem odpowiedzi twierdzącej. Tym bardziej że przecież nie wszystkie rozważania modelowe, nadużywające trudnych słów, stanowią prace o charakterze opozycyjnym. Może więc trzeba uprzedzać czytelników?

W książce Pawła Jasienicy nie ma trudnych słów ani rozważań modelowych. Jest ona napisana metodą historyczną, najpopularniejszą chyba w krajowej publicystyce opozycyjnej. Traktuje zaś o warunkach, w jakich państwowość polska straciła swą suwerenność, uzależniając się od Rosji, i tym samym o warunkach odzyskania niepodległości. Zasadniczy wątek tej jednoznacznie współczesnej książki to polemika z twierdzeniem, jakoby słabość Rzeczypospolitej tkwiła w jej parlamentarzystwie. Autor wykazuje, że było akurat przeciwnie. Że właśnie degeneracja demokratycznych instytucji życia społecznego, zanegowanie pluralizmu ideologicznego i tolerancji, samowola rządzących i ubezwłasnowolnienie rządzonych stały się źródłem utraty suwerenności i w konsekwencji własnego bytu państwowego. Warto tu także zwrócić uwagę na jeszcze jeden niezwykle doniosły wątek – na sprawy naszych wschodnich i północnych sąsiadów, jednak nie Rosjan, jak przywykliśmy sądzić, ale Ukraińców, Białorusinów, Litwinów. Jasienica dowodzi, i nie sposób się z nim nie zgodzić, że Rosja, która panuje nad tymi narodami, musi grozić suwerennej Polsce. Nasze tragiczne położenie geo-

graficzne nie jest więc darem niebios i może być świadomie przez politykę polską kształtowane. Suwerenność Ukrainy, Białorusi, Litwy to program walki o suwerenność Polski i jednocześnie jej realni, a nie egzotyczni, sojusznicy.

Dla opozycji politycznej w Polsce ta myśl musi stanowić dyrektywę działania. Dla wrogów tej opozycji – już stanowi. Nie przypadkiem Ukraińcy są drugim po Niemcach wrogiem w państwowej i *quasi*-narodowej publicystyce, literaturze, filmie.

Nie pierwszy raz w naszych dziejach używa się historii jako formy mówienia legalnego o nielegalnych sprawach współczesnych. Ma to swoje wady, o których trzeba napisać osobno. Tu chciałbym zwrócić uwagę na pewne niebezpieczeństwo związane ze znamienym faktem, że nie tylko opozycja posługuje się metodą historyczną. Ba, mało – szczególnie często, głośno, narodowo i po polsku (czytaj: z olbrzymią ilością tych przymiotników) piszą o historii Polski fałszywi opozycjoniści. Recepta jest prosta. Przekażmy ją na przykładzie Załuskiego.

Dowodzi on, wciąż od nowa z nie słabnącym zapalem, że żołnierz polski zawsze dobrze służył ojczyźnie, ilekroć słuchał bez zastrzeżeń swoich dowódców, niezależnie od tego, czy ci dowódcy wykonywali rozkazy Napoleona czy Stalina.

Nie mam zamiaru twierdzić, że żołnierz powinien nie słuchać swoich dowódców. Choć może, gdy jechaliśmy do Czechosłowacji? Choć może, gdyby nam kazali jechać nad Ussuri? Nie o to jednak chodzi. Pan Załuski, gromko krzycząc w obronie honoru polskiego żołnierza zdyscyplinowanego, co w żaden sposób nie może zaszkodzić totalnej dyktaturze, zdobywa zaufanie wrażliwych na wszelką polskość czytelników, zaś w tych samych tekstach, w których to zaufanie zdobywa, zwraca je przeciw tak zwanym oszczercom – to jest przeciw tym, którzy chcą o polskiej historii myśleć, bo myśleć przecież można tylko krytycznie.

Opozycyjna publicystyka, aby posługiwać się historyczną formą, musi wybrać w dziejach narodu wątki konfliktowe: atakować jednych, a akceptując innych, czynić to krytycznie, z dystansem, bez uwielbienia. Z taką opozycją najłatwiej walczyć, dmąć w narodowe surmy. Więc dmą, a iluż uczciwych daje się na to nabrać?

Publicystyka opozycyjna to nie tylko książki i nie tylko próby syntezy. To przede wszystkim artykuły, felietony, rozprawki, polemiki związane z różnymi, bardzo nieraz szczegółowymi i pozornie drobnymi sprawami. Nie możemy omawiać szczegółowo całej tej jednak masowej produkcji, za-

sygnalizujemy więc tylko ogólnie. Są to rozliczne, ogólne i szczegółowe, teksty w obronie: godności ludzkiej, prawa do odmiennego stylu życia, głoszenia swoich poglądów, do inicjatyw społecznych, do rozumu, obrony nie-szczęśliwych i prześladowanych, uniwersalizmu, praworządności i tak dalej. A także przeciw: ksenofobii, nacjonalizmowi, samowoli władzy, zaostrowaniu represji, naruszaniu wolności osobistej. Słowem – w obronie fundamentalnych wartości ludzkich, praw obywatelskich, przeciw totalitaryzmowi. Posłużmy się tu jednym tylko przykładem. Na łamach „Walki Młodych” jakaś pani ordynarnie zaatakowała książkę profesora Kępińskiego *Schizofrenia*. O co szło? Po prostu dzieło stanowiące próbę zrozumienia schizofreników jest wielką obroną godności i suwerenności osoby ludzkiej i nakazuje jej, jako nadrzędnej wartości, podporządkować działanie ludzkie. Partyjni specjaliści od dywersji ideologicznej dobrze je odczytali – jest to idea głęboko antypartyjna. Pani wydrukowała stek inwektyw i natychmiast odpowiedziano jej w kilku pismach, wskazując jednoznacznie na totalitarną motywację ataku. Wymieńmy te pisma: „Literatura”, „Kultura”, „Polityka”, „Student”, „Odra”, „Tygodnik Powszechny”, „Więź”, „Znak”. Nie zapominajmy jednak, że to w „Polityce”, piórem naczelnego redaktora pana Rakowskiego, zaatakowano niedawno Sołżenicyna i innych rosyjskich dysydentów, że w „Kulturze” szczególnie przekonująco uzasadnił pan Wilhelmi interwencję w Czechosłowacji, a nawet wspominał, że gdy trzeba, to pójdziemy nad Ussuri. Oni powiedzą, że to cena, którą muszą płacić. A jednak na przykład w „Tygodniku Powszechnym” nie muszą, a kiedy nie było innego wyjścia – odeszli, woleli zamilknąć całkiem, niż uczestniczyć w kłamstwie. Bo, jak już rzekliśmy, uczestniczyć w kłamstwie – to brać udział w najbardziej destruktywnym, antynarodowym dziele miłościwie nam z woli Kremla panujących.

Tak wiele miejsca poświęciliśmy publicystyce, że na omówienie opozycyjnej literatury, poezji, teatru, kabaretu politycznego, nie możemy sobie pozwolić. A kto wie? Może to właśnie fakt powstawania i ukazywania się drukiem w kraju dzieł artystycznych wstrząsających sumieniem narodu, atakujących zbrodnię, kłamstwo, wzywających do oporu, jest najważniejsze? Może to twórczość Herberta, Słonimskiego, Woroszyńskiego, Nowakowskiego, Barańczaka, Krynickiego i tylu, tylu innych stanowi najdonioślejszą formę działania opozycji. Na pewno jednak szczególnie doniosłe znaczenie posiada na pół zinstytucjonalizowany ruch amatorski teatru i estrady, w którym dzieła rzeczywistych twórców kultury narodowej stają się okazją do zbiorowych przeżyć i dyskusji. A jest przecież jeszcze nauka, którą tylko

zasygnalizowaliśmy – dzieła, studia, odczyty, wykłady i seminaria – i ściśle z nauką związany autorytet moralny takich ludzi, jak Ossowska i Lipiński.

Wydaje się jednak, że omawiane tu formy artykulacji dążeń i myśli społecznych w jakimś stopniu zaszyfrowane, najczęściej cząstkowe, a zawsze nie wypowiedziane, nie mogłyby wystarczyć dla krystalizowania się wspólnoty ideowej opozycji, bez której ruch jest niemożliwy. Nie byłoby więc ruchu polskiej opozycji, nie byłoby i tych ograniczonych form artykulacji, gdyby nie trzy instytucje: Kościół, w szerokim tego słowa znaczeniu – środowiska oraz emigracja, a ściśle jej wydawnictwa.

Rolą Kościoła w naszym życiu trzeba się zająć osobno. W sytuacji gdy walka toczy się przeciw moralnej destrukcji Polaków, przeciw zanikowi etyki życia społecznego – nie sposób jego roli przeceniać. Wszystko, co tu piszę, dotyczy więc także, czy przede wszystkim, Kościoła jako hierarchii, kleru, wspólnoty wiernych. Sprawa to jednak złożona. Nie można więc jej skwitować kilkoma czy kilkunastoma zdaniem.

O roli emigracji pisze się w krajowej publicystyce opozycyjnej wiele, wyłączenie w historycznych kostiumach, niemniej jednoznacznie. Zgadza się wszyscy, że zniewolony naród musi mieć możliwość mówienia pełnym głosem. Niezbędna jest otwarta, wypowiedziana refleksja nad zasadniczymi sprawami społeczeństwa polskiego. W kraju jest to niemożliwe – na emigracji tak. Ogromne zasługi dla walki z kłamstwem w szerokich rzeszach społeczeństwa polskiego posiada Radio Wolna Europa. Ale przyznajmy to uczciwie – wszyscy ludzie polskiej opozycji wychowali się na książkach Instytutu Literackiego w Paryżu. Jedno jest też pismo polskie na emigracji, które jest naszym pismem: paryska „Kultura”. Od niedawna pojawił się jeszcze „Aneks”, też wyraźnie adresowany do kraju, ze zrozumieniem naszych potrzeb. Publikują tam wyłącznie rozprawy naukowe i naukowo-publicystyczne, poświęcone sowietologii i problemom szeroko pojętej lewicy.

Coraz więcej jest tych emigracyjnych wydawnictw w kraju, coraz częściej ukazują się w nich teksty tutaj pisane, coraz częściej też w krajowej publicystyce opozycyjnej udaje się przemycić omówienie książek wydanych na emigracji i nawet teksty emigracyjnych autorów.

Powoli, bardzo powoli, zbliżamy się do stanu pożądanego, to jest do jednolitego, a nie jednakowo myślącego frontu opozycji z emigracją polityczną.

W tym miejscu smutna refleksja: ilu emigrantów odwiedzających kraj przywozi książki? Obawiam się, że niewielu. Syty głodnego nie zrozumie.

Środowisko to wprowadzie też formą działania opozycyjnego, ale to jednocześnie po prostu sama opozycja. Mam tu na myśli ludzi, którzy utrzy-

muja z sobą stosunki towarzyskie, a więc bywają u siebie przy różnych okazjach i bez nich, dyskutują, pożyczają książki. Można nawet powiedzieć, że częścią ruchu opozycji jest każdy krąg towarzyski, w którym treścią rozmów są sprawy publiczne. Już bowiem samo to, że ludzie rozmawiają z sobą bez cenzury jest działalnością antytotallitarną. Tyle że nie można z sobą rozmawiać, jeśli się nie ma nic do powiedzenia o rzeczach pospólnych. Na co dzień rozmawiają więc tylko ci, którzy również na co dzień starają się dotrzeć do informacji, przeskoczyć barierę kłamstwa, papki pustych słów i przemilczeń, jakimi darzy ich oficjalna propaganda. Słowem – ludzie poszukujący opozycyjnej publicystyki, emigracyjnej, i w ogóle zachodniej, literatury, słuchający zachodnich rozgłośni. Przede wszystkim w takich kręgach skupia się młodzież studencka i młoda inteligencja twórcza. Nie ma w nich jednak na ogół żadnej bariery wiekowej, jak i zresztą światopoglądowej. Tam, gdzie to możliwe, środowiska takie łączą się, zrastają, krzyżują. Znam takie, które liczą się w setki i takie, które w dziesiątki, choć zdarza się, że jest to tylko kilka osób, w dodatku izolujących się czy izolowanych.

Często środowisko powstaje wokół ludzi-institucji, wybitnych twórców czy ludzi cenionych za postawę moralną, odwagę, jasność myśli. Jeszcze częściej wokół pewnego typu inicjatyw społecznych częściowo zinstytucjonalizowanych, na przykład teatrów amatorskich, grup turystycznych, klubów. Szczególnie wielką jest w tym dziele rola Kościoła jako oparcia dla różnych tego typu grup i nawet całych ruchów. Ale dla powstania środowiska nie potrzeba wcale ani szczególnych ludzi, ani instytucji. Wystarczy, że ktoś myślący *pro publico bono* zacznie szukać wokół siebie innych sobie podobnych. Zaraz też okazuje się, że jest ich wielu i bardzo wiele mogą zdziałać. Same rozmowy w niektórych środowiskach przekształcają się w systematyczne samokształcenia czy seminaria, a nawet całe programy badawcze. To właśnie w środowiskach tego typu krąży literatura emigracyjna, tu dyskutuje się pozycje krajowej publicystyki opozycyjnej, tu czytają swoje wiersze poeci i śpiewa się piosenki polskiej i rosyjskiej opozycji. Z takich dyskusji rodzą się nowe artykuły i książki drukowane w kraju bądź na emigracji. Wreszcie, to dzięki środowiskom możliwe jest publiczne występowanie przeciw samowoli władzy. W różnych lokalnych sprawach na oficjalnych zebraniach, w sprawach krajowych w listach i petycjach. Przecież po to, żeby obronić Kowalczyków przed karą śmierci, wpłynęło do Rady Państwa kilka tysięcy listów, kilkuset ludzi musiało odbyć kilkanaście tysięcy rozmów. Często słyszy się poglądy, że niewielka, jak się wydaje, liczba takich protestów w różnych sprawach naszego życia wynika ze strachu

Polaków. Boją się ludzie – to prawda, i bądźmy szczerzy: mają się czego bać. Ale nie mam żadnych wątpliwości, że w każdej uczciwej sprawie moglibyśmy zebrać około tysiąca podpisów, a jakże przecież ograniczona jest moja perspektywa.

Dlaczego więc nie w każdej sprawie występujemy? Ano właśnie, ze względu na władze. Jeśli czwarty i ostatni list w sprawie uwolnienia z więzienia tak zwanej grupy kierowniczej nielegalnej organizacji „Ruch” podpisało jedenaście osób (Ossowska, Słonimski, Lipiński, Estreicher, Kielanowski, Bartoszewski, Żółkiewski, Strzelecki, Strykowski, Konwicki, Herbert) i fakt ten został przez nich utrzymany w tajemnicy, to nie dlatego, że nie można było zebrać tysiąca podpisów i krzyknąć na cały świat. Władze wiedziały, że możemy to zrobić i nie chciały, żebyśmy zrobili. Dlatego właśnie były skłonne do ugody. A szło przecież o wolność pięciu ludzi i nikt z nas nie chciał tej sprawy poświęcić na ołtarzu polityki.

Może w pewnych sprawach, w których decydujemy się milczeć ze względów taktycznych, należałoby jednak przemówić (na przykład sprawa Solżenicyna czy w ogóle rosyjskich dysydentów). Może warto podyskutować o tym, ale nie ze strachu płynie nasze milczenie.

Na koniec, choć nie ostatnia, funkcja środowisk w moralnej ocenie zachowań ludzkich wobec antynarodowej dyktatury. Zwróćmy, proszę, uwagę, jak bardzo boją się środowisk różni zaprzańcy. Co i raz czytamy w prasie rządowo-narodowej lament nad dyktaturą, a nawet terrorem moralnym pewnych środowisk „kawiarni literackiej” i tym podobnych. Na jednym z procesów tak zwanych komandosów prokurator żalił się, że świadkowie oskarżenia są prześladowani, a nawet nie mogą znaleźć pracy. Przypomnijmy, działo się to na początku 1969 roku, a więc w okresie najostrzejszego terroru policyjno-partyjnego i to wcale nie moralnego. Zresztą, skoro już o komandosach mowa, warto wspomnieć, że był to klasyczny przykład środowiska. Ilu ich było? Bezpieczeństwo twierdziło, że od tysiąca do czterech. To wśród nich napisano „List otwarty do Partii”, to oni panowali we wszystkich dyskusjach uniwersyteckich w latach 1962–1968, zainicjowali petycję w sprawie *Dziadów* Mickiewicza, rozpowszechnili setki emigracyjnych książek i ulotnych, pisanych na maszynie, artykułów, rozprawek, apeli. A kiedy władze postanowiły ich sądzić – okazało się, że nie ma za co, bo wszystko czynili zgodnie z kodeksem karnym. Oczywiście skazano kilkanaście osób, ale za przynależność do tajnego związku, „który dla celów konspiracyjnych nie przybrał form organizacyjnych”, i zdążyli jeszcze wygłosić kilka godnych uwagi przemówień sądowych.

O to właśnie idzie w działalności środowisk opozycyjnych, żeby obejść się bez form organizacyjnych – nic, tylko luźne, towarzyskie kontakty. Nie robić list, nie wymyślać nazw, nie spierać się o punktualność, Boże broń nie ustalać prowadzących dyskusję, nie podejmować żadnych postanowień, nie zbierać składek. A właśnie pieniądze to bardzo trudna sprawa. Bo reżym bierze głodem – wychylisz się i pracy nie dostaniesz. Trzeba więc nieraz utrzymywać tych, którzy za nas cierpią, nie mówiąc już o pomocy rodzinom więzionych, o opłacaniu grzywn i kosztów procesów. Trzeba się więc składać, ale rozmawiać o tym nie wolno. Ot, przyjacielowi daję, bo mam. A znam kogoś dobrze, to poproszę, żeby też dał. Nie wolno się rozliczać, pytać, na co daję ani skąd jest to, co biorę. Trudna sytuacja, ale nie ma rady, tak musi być. No, a skoro to wszystko, co robimy, tylko na przyjaźni ma się opierać, to i o głupie swary może się rozbijać. Musimy więc przeskoczyć osobiste animozje, zazdrości, obmowy, sympatie i antypatie, a bądźmy szczerzy – nie zawsze umiemy.

Wyznaczmy granice

Nie mam zamiaru ukrywać, że tekst niniejszy nie został napisany ku poکرzepieniu serc. Jest to program działania polskiej opozycji. Nie socjoteknika jednak podyktowała jego opisową formę. Program ten zrodził się w działaniu i wciąż coraz pełniej i doskonale jest realizowany. Z tych społecznych korzeni jego genialność. Taki ruch opozycji nie może być stłumiony ani nawet na dłużej ograniczony. Wszystkie represje dodają mu siły, dynamizują, upowszechniają.

Ma on jednak dwie bardzo ważne słabości, które łącznie można określić jako trudności z wyodrębnieniem.

Z jednej strony trudno wyodrębnić nasz ruch od tych, którzy mu szkoda. Z drugiej, bardzo trudne są do wyodrębnienia formy działania ruchu dla tych, którzy są pozbawieni kontaktów, a chcą walczyć.

Zacznijmy od tej pierwszej trudności. Powiedzieliśmy, że działaczem opozycji jest każdy, kto w prasie krajowej zwalcza totalitaryzm we wszelkich jego przejawach. Ale co zrobić z takim, który zwalcza w różnych drobnych, a czasem i nawet większych sprawach, ale równie często głosi chwałę socjalizmu, uzasadnia dyktaturę partii, pisze, że wprawdzie w minionym okresie było trochę źle, ale w obecnym (a zawsze mamy tylko obecny) już jest dobrze. Tak przecież czynią panowie Szczepański, Rakowski, Toeplitz, Urban, Passent i wielu, wielu innych. Uczestniczą w kłamstwie, a twierdzą

na pewno, że to tylko po to, żeby w innym miejscu tego samego artykułu służyć prawdzie. Może nawet sami wierzą w to, co mówią, a głowę dają, że w niektórych środowiskach uchodzą za opozycjonistów. Co to więc mówić o takich, którzy swoje uczestnictwo w kłamstwie ograniczają do z rzadka wygłaszanych paru pustych sloganów czy zgoła raz taki slogan publicznie wygłoszą. Co myśleć o Grotowskim z wszystkimi jego zasługami dla naszej kultury, gdy w Ameryce na pytanie dziennikarzy, czy wybierze wolność, odpowiedział: wybieram, wracając do Polski. Co sądzić o opublikowanej w prasie wypowiedzi Swinarskiego: dziękuję partii za to, że daje mi pełną swobodę twórczą.

Takie pytania można by mnożyć, a przecież koniecznie trzeba udzielić na nie jasnej odpowiedzi. Myślę sobie, że jest taka odpowiedź. Udzielił jej Aleksander Sołżenicyn – człowiek największego formatu wśród nas, ludzi walczących, zeków socjalistycznego łagru. „Nie uczestnicz w kłamstwie! Nigdy, pod żadnym pozorem i za żadną cenę! Jedno kłamstwo człowieka prawdomównego ma większą wagę niż wszystko, co plotą łgarze. Nie uczestnicz w kłamstwie!”

Myślę, że trzeba z tego zdania uczynić podstawowe hasło opozycji i jedyną podstawę potępienia. Każdy, kto publicznie wygłosi myśl, w którą nie wierzy, godny jest pogardy. Niech już nikt więcej nie tłumaczy nam, że nie myśli tego, co mówi. Niech raczej broni „swojego” socjalizmu, „swoich” swobód, „naszych” sukcesów. Każdy ma prawo do głoszenia swoich poglądów.

Nie komplikowałbym już bardziej tej i tak skomplikowanej sprawy. Nie wyróżniał pism, w których można pisać, pochodów i zebrań, w których można uczestniczyć, organizacji, do których można należeć, z wyjątkiem oczywiście służby bezpieczeństwa, ale w tej sprawie nigdy w Polsce nie było żadnych wątpliwości. Jak na razie są to sprawy do ustalania między przyjaciółmi.

A teraz druga z zasygnalizowanych powyżej trudności wyodrębnienia. Są w naszej ojczyźnie ludzie młodzi czy nawet bardzo młodzi, którzy nie chcą, jak to się śpiewa w pewnej piosence, „dłużej godzić się ze złem”. Ilu ich jest, nikt nie wie, ale istnieją pewne dane, że bardzo, bardzo wielu. O opozycji w Polsce nigdy nie słyszeli, bo i skąd? Nie wierzą prasie, radiu, książkom i nie mają się kogo poradzić. To nawet nie o to chodzi, że szkoda – tak strasznie potrzebni, tak bardzo chcą i nic. Największe zło polega na tym, że wielu z nich, czerpiąc wiedzę z dziejów ojczystych, zakłada tajne związki. Mam wrażenie, że poszła nowa fala konspiracji przez kraj.

Konspiratorzy, jak to konspiratorzy, wymyślają ładnie brzmiącą nazwę, sporządzą listę członków, wybiorą kierownictwo i dawaj się zastanawiać, co robić dalej. Daj Boże, książki zaczną czytać, dyskutować, wolne słowo szerzyć.

Bo przecież ktoś parę tygodni temu podłożył bombę pod gmach KW w Szczecinie. Bo przecież dopiero teraz wyszli z więzienia chłopcy z organizacji „Ruch”, którzy chcieli muzeum Lenina podpalić i na cele organizacji dokonywali aktów ekspropriacji. Bo bracia Kowalczykowie wysadzili aulę WSP w Opolu.

Prawda, że gdyby nawet bracia Kowalczykowie wysadzili tę aulę z Gierkiem, to cała wina byłaby po stronie wysadzanego, a nie wysadzających. To „oni”, a tak się mówi w Polsce o panujących, deprawują od dziesięcioleci ten naród, ogłupiają, szerzą znieczulicę moralną, uczą pochwalać zbrodnie i opluwać heroizm, szerzą nienawiść i gnoją miłość.

Prawda, że ci młodzi ludzie, którzy decydują się podłożyć bombę czy podpalić, to najlepsi z najlepszych. Zamiast pchać się po trupach do kariery i topić w wódce chandrę, kraść czy choćby tylko uprawiać swój ogródek – stają do walki o najwyższe wartości ludzkie. Niestety, jeśli tylko konspirują, to niewiele mogą zdziałać, a muszą w końcu trafić w błoto śledztwa i do więzienia na wiele lat. Jeśli zaś ponadto wysadzają czy tylko planują wysadzenie, czeka ich to samo śledztwo, więzienie, a w dodatku szkodzą naszej sprawie. Bo wprawdzie Polacy nienawidzą systemu, ale mimo wszystko wciąż jeszcze, na szczęście, ten kraj i wszystko, co w nim zbudowali, uważają za swoją ojczyznę. Konspiracja, przynajmniej to, nabiera politycznego znaczenia i moralnego sensu w chwili, gdy zostaje wykryta, a wiadomość o niej przedostanie się jakąś drogą do publicznej wiadomości. Ma sens jako nieartykułowany krzyk protestu. Ale i on może nam szkodzić, bo przecież zachęca innych do konspirowania. Potem jest jeszcze sąd, jedyna w Polsce naprawdę wolna trybuna. Tylko trzeba, żeby na wolności pozostali przyjaciele, którzy podniosą krzyk, dostaną się na salę sądową, zapiszą słowa oskarżonych, a później rozpowszechnią. Konspiratorzy do więzienia idą wszyscy. Jeśli więc nie dowiedzą się o procesie ludzie opozycji, słowa oskarżonych dotrą tylko do milicyjnego konwoju.

Przypomnijmy jeszcze, że przed procesem jest śledztwo, a tam łamią charaktery, i później sala sądowa jest miejscem hańby. No i wreszcie, jeśli się pokonspirowało, a jeszcze coś podpaliło czy chciało podpalić, nie mówiąc o ekspropriacjach, to sąd skazuje w majestacie prawa i nawet trudno go potępić.

Dwa razy już w ostatnim dziesięcioleciu sądzony i skazany Jacek Kuroń często powtarza młodym: jak już coś robisz władzy niemiłego, to od razu

przymierzaj się do ławy oskarżonych. Znaczy to, przyzwyczajaj się do myśli o więzieniu, ale także myśl, jak się będziesz czuł, gdy czyny twoje staną się publicznie wiadome.

Każdy ma prawo tyle razy dostać w dupę, ile razy sobie życzy, ale jeśli już, to z sensem.

A więc niech sądzą bezprawnie, niech czyny, za które sądzą, służą wielkiej sprawie walki o duszę narodu polskiego.

Chcesz walczyć – to czytaj, dużo czytaj! Rozmawiaj, dużo rozmawiaj, pisz i występuj na zebraniach, i szukaj, szukaj podobnych do siebie. Żądaj od krewnych i znajomych książek z zagranicy i pożyczaj je. A przede wszystkim kup sobie kodeks karny i nigdy go nie przekraczaj.

To my – opozycja – walczymy o fundamentalne wartości ludzkie, a więc także o jednakowe dla wszystkich sprawiedliwe prawa.

To „oni” są bezprawiem – nich więc tylko oni prawo depczą!

[Artykuł nadesłany z kraju]

[Jacek Kuroń]

[11/1974]

Konstytucja i totalizm

Nie wymyślono dotąd doskonalszego systemu politycznego niż XIX-wieczna demokracja parlamentarna. Mimo wszystkich swoich słabości, mimo rosnącego w naszym stuleciu manipulowania opinią publiczną, wielu fars wyborczych, wpływu kapitału i uzależnionych od niego środków masowego przekazu na decyzję wyborów, system parlamentarny jest jedynym, który gwarantuje jakąś kontrolę społeczną rządzących. Parlamentaryzm wyszedł zwycięsko z konfrontacji z faszyzmem, choć ten ostatni gromko głosił jego całkowitą przegraną.

Pod koniec wojny Józef Stalin doskonale zdawał sobie z tego sprawę i rozszerzając wpływy sowieckie na kraje Europy Wschodniej, zachowywał pozory, że zapanuje w nich demokracja polityczna, uzupełniana wprowadzeniem zasad sprawiedliwości społecznej.

Naturalnie ustrój polityczny krajów demokracji ludowej był fasadą, za którą kryła się dyktatura jednej partii, dyrygowanej z centrali moskiewskiej. Mimo doktryny Lenina o kierowniczej roli klasy robotniczej i jej partii nawet w Związku Sowieckim zachowano formalnie parlamentaryzm, choć zasada dyktatury jednej partii i system parlamentarny pozostają ze sobą w całkowitej sprzeczności. Zawsze znajdowali się jednak teoretycy marksistowscy umiemy sofistycznie wykazać, że sprzeczność ta nie istnieje. W krajach Europy Wschodniej, poza ZSSR, wprowadzono zaraz po drugiej wojnie światowej, w celu łatwiejszego uchwycenia władzy, pozory systemu wielopartyjnego. Choć od początku był on fikcją, stanowił potencjalne możliwości zmian politycznych pod naciskiem wydarzeń, przez częściowy choćby powrót do parlamentaryzmu.

Stalin okazał się w swoich rozwiązaniach ustrojowych nie tyle dogmatykiem, ile dość elastycznym totalistą, godzącym się na teoretyczne niekonse-

kwencje i pragmatyczne ustępstwa, zresztą pozornie, czynione w celu rzeczywistego zawładnięcia krajami Europy Wschodniej.

Mimo błyskotliwych sukcesów międzynarodowych w Azji Południowo-Wschodniej, a ostatnio w Angoli, mimo słabości moralnej i rozbitcia Zachodu i osiągnięcia przez Rosjan bardzo dogodnych pozycji strategicznych, Sowiety są świadome własnej słabości. Tkwi ona w sprzecznościach i nieefektywności ich ustroju gospodarczego. Z tego powodu, już po wojskowej okupacji Czechosłowacji i słynnej doktrynie Breżniewa o ograniczonej suwerenności krajów bloku wschodniego, Rosjanie chcieliby zadeklarować daleko idące zmiany społeczne i polityczne, które – ich zdaniem – powinny być nastąpić po trzydziestu latach rządów komunistycznych w Europie Wschodniej. Breżniew w czasie znanych narad i konsultacji z przywódcami europejskimi i krajów demokracji ludowych narzucił szereg postanowień, które – jego zdaniem – odzwierciedlają okres budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Postanowiono, że „socjalistyczny” charakter społeczeństwa zostaje zadekretowany konstytucyjnie. W nazwie państwa czechosłowackiego wprowadzono formułę „Republika Socjalistyczna”, a dla odmiany w nowej konstytucji NRD stworzono pojęcie „socjalistycznego narodu niemieckiego”, z czego wynika, że zadekretowano, że istnieją w Europie nie tylko dwa państwa, ale i dwa narody niemieckie.

W Polsce ze zmiany nazwy PRL na „Polska Rzeczpospolita Socjalistyczna” zrezygnowano, zanim sprawa nowej konstytucji wyszła oficjalnie z gabinetów partyjnych na światło dzienne. Przedostające się do opinii publicznej plotki na ten temat powodowały takie oburzenie, że zdecydowano się społeczeństwa nie prowokować.

Nasuwa się pytanie, czy dekretowanie socjalizmu ma w ogóle sens i czy nie stanowi nawrotu fali dogmatyzmu, nie liczącego się ani z rzeczywistością, ani z nastrojami społecznymi. Do pewnego stopnia jest tak w istocie. Ale Rosjanie domagają się zmian konstytucyjnych w państwach satelickich, po utwierdzeniu w nich swojej dominacji, celem jej zachowania. Cel ich polega nie tylko na dekretowaniu fikcji społecznej, ale także – i przede wszystkim – na zabezpieczeniu „po wsze czasy” swoich wpływów. Nowe konstytucje w krajach Europy Wschodniej stanowią po prostu przemyślaną realizację doktryny Breżniewa. Dlatego poza odmiennie rozwiązanymi sprawami nazwy państwa w różnych krajach bloku wschodniego, co było uwarunkowane odmienną sytuacją polityczną w każdym z nich, można wyodrębnić trzy główne zasady podnoszone do rangi norm konstytucyjnych. Po pierwsze, jest to zasada kierowniczej roli partii. Po drugie – zasada sojuszu ze

Związkiem Sowieckim. Po trzecie – nakaz związku z blokiem państw socjalistycznych. Podniesienie tych trzech zasad politycznych, będących zresztą rzeczywistością w państwach Europy Wschodniej, do rangi postanowień konstytucyjnych ma na celu spętanie tych państw i ich społeczeństw więzami prawnopolitycznej zależności od Związku Sowieckiego. Cel ten osiągnąć dotychczas różnymi środkami praktycznymi, z terrorem policyjnym i okupacją wojskową włącznie, teraz ma uzyskać podstawę prawną w ustawie zasadniczej, konstytucyjnej.

Polityka sowiecka jest bardzo konsekwentna i po ograniczonym, bo tylko politycznym, a nie prawnomiędzynarodowym uznaniu zasady *status quo*, dąży obecnie do prawnego, konstytucyjnego jej uznania przez wszystkie kraje bloku. Gorset konstytucyjny, dyktaturę zależnej od Rosji partii, sojusz z Sowietami i przynależność do bloku wschodniego uczyni zasadami niepodważalnymi. Wystąpienie przeciw tak ustalonym zasadom konstytucyjnym będzie nie tylko opozycją polityczną, ale akcją wywrotową, działaniem przeciw prawu i konstytucyjnemu porządkowi społecznemu. Jednocześnie Związek Sowiecki uzyska w ten sposób uprawnienie „ochrony konstytucji” i konstytucyjnie zagwarantowanej wspólnoty socjalistycznej wszystkimi środkami, jakie uzna za konieczne, włącznie z akcją i okupacją wojskową.

Mamy więc do czynienia z próbą nadania sankcji prawnokonstytucyjnej dyktaturze jednego mocarstwa i związanej z nim partii nad wszystkimi krajami bloku wschodniego.

Jednakże ta koncepcja totalizmu jest „za dobra”, za bardzo sprzeczna z realiami życia, żeby mogła w pełni zostać wdrożona. Komuniści sowieccy zdają się zapominać, że wszelkie absolutyzacje na ogół nie udawały się, przynajmniej na dłuższą metę. Życie rozsądza zawsze sztuczne gorsety, choćby nie wiadomo jakie sankcje prawne i międzynarodowe formułki je gwarantowały. Dlatego zamierzenie Rosjan nie wyjdzie im na dłuższą metę, a już teraz, w wyniku oporu społecznego, szczególnie w Polsce realizowane jest połowicznie.

Zaczęło się od tego, że spaliła na panewce sprawa zmiany nazwy PRL. Już ta porażka powinna była podyktować ostrożniejszą taktykę. Ale nacisk Wielkiego Brata popychał w przeciwną stronę. Instynkt samozachowawczy nakazywał jednak rzecz załatwić ratami. Dlatego w „Wytycznych” na VII Zjazd PZPR postawiono tylko sprawę wprowadzenia do konstytucji partii jako kierowniczej siły w państwie. Gierek w swoim referacie na Zjeździe sformułował ten zamiar w słowach najbardziej oględnych. Ale w czasie kiedy wygłaszał swoje *exposé*, akcja protestu intelektualistów, studentów i pra-

cowników naukowych, prawników, pewnej liczby członków partii była już faktem dokonanym. Biskupi nadesłali swoje pytania. Zewsząd zaczęły napływać listy, protesty i memoriały.

Partii nie pozostało nic innego do zrobienia, jak zjedzenie żaby do końca. Babiuch ogłosił w sejmie zmianę konstytucji i ujawnił wcześniej nie znane opinii punkty sojuszu z ZSSR i przynależności do bloku wschodniego. Formalnie partia pozostała pryncypialna, nieugięta i do końca powolna wobec życzeń Wielkiego Brata.

Ale zanim umilkły jeszcze twarde słowa towarzysza Edwarda Babiucha, zasygnalizowano już opinii, oczywiście poufnie, chęć odwrotu. Wszystkie trzy zasadnicze nowe punkty miały zostać w konstytucji, ale formę ich ujęcia postanowiono złagodzić na tyle, na ile będzie to potrzebne ludziom skłonnym do kompromisu. Jednocześnie obiecywano mocno zaakcentować w konstytucji suwerenność i wszelkie wolności obywatelskie.

Na komunistów jest tylko jedna rada: twardy opór. Z reguły ustępują wobec oporu, bo znają nastroje społeczeństwa i boją się ich wybuchu. W ten sposób sprawa zmiany konstytucji, która zaczęła się wielce dramatycznie, ma wszelkie szanse skończyć się groteskowo.

Ustawa zasadnicza, która w normalnym państwie otoczona jest poszanowaniem, u nas ma być konglomeratem sprzeczności i owocem doraźnego kompromisu. Najzabawniejsze jest to, że przed nową konstytucją bronimy się, obstając przy dotychczasowej, pochodzącej z okresu stalinowskiego. Wzbudzała ona wtedy niechęć społeczeństwa, ale, jak się okazało, zawierała spory zasób nie realizowanych w praktyce wolności demokratycznych. Współcześni pragmatycy w Moskwie i Warszawie im bardziej zapominają o teorii w gospodarce i polityce, tym bardziej chcieliby dekretować rozwój świadomości społecznej i zasady sprawowania przez siebie władzy. Czyżby współcześni „marksści” nie znali zasady ruchu proletariackiego, że rewolucji nie można przeprowadzić za pomocą dekretów? Czyżby całkiem nie znali historii ruchu komunistycznego i Związku Sowieckiego?

Mimo momentów groteskowych związanych ze zmianą konstytucji nie należy tej sprawy bynajmniej lekceważyć. Jest bowiem przejawem metod i środków, do których ucieka się totalizm. Nie pogardza on żadnym instrumentem, jeśli tylko pomaga to do umocnienia władzy. Z tego powodu „obojętność” pewnej części opinii, lekceważącej wprowadzenie „sformułowań bez znaczenia”, jak i skłonność do poszukiwania „sformułowań kompromisowych” wydaje się zjawiskiem niepokojącym. Któż bowiem wie, jak nowa konstytucja będzie realizowana? Kto ma pewność, że komunistom,

Rozdział III
Inteligent w Polsce Ludowej

z Kościołem. Utrudni to partii powoływanie się na konstytucję przy wdrażaniu marksizmu jako ideologii państwowej w wychowaniu i szkolnictwie. Kościołowi ułatwi obronę jego praw do wychowywania w duchu religijnym. Także sformułowanie o oparciu polityki polskiej na przyjaźni i współpracy z ZSSR jest daleko idącym złagodzeniem pierwotnych zamiarów. Niemniej stało się zasadą konstytucyjną, a nie tylko polityczną, i pozwoli partii i Sowietom na dowolną interpretację i zastosowanie w praktyce, które może być niezgodne z naszymi interesami narodowymi.

Wnioski z tego wszystkiego są oczywiste. Zwycięstwo społeczeństwa polega na tym, że partii udało się przeprowadzić minimum, a nie maksimum swoich planów konstytucyjnych. Toteż z głębokim uznaniem należy potraktować wszystkie akty protestu.

Jednocześnie jest oczywiste, że konstytucja PRL staje się tworem pełnym sprzeczności, w którym pomieszane zostały normy ustrojowe z doraźnymi treściami politycznymi. Daje to partii i Rosji Sowieckiej wielkie pole do dowolnej interpretacji.

Mimo uchwalenia przez niemy sejm zmian konstytucyjnych walka o pluralizm kulturalny i polityczny w Polsce nie tylko nie ustaje, ale się wzmacnia. Partia swoimi kolejnymi projektami zmian konstytucyjnych głęboko uraziła uczucia narodowe: pragnienie suwerenności i poczucie demokratyzmu w społeczeństwie. Musi się więc teraz liczyć z coraz twardszym oporem opinii publicznej. Szczególnie że społeczeństwo przekonało się ponownie o celowości i względnie dużej skuteczności oporu.

Jeszcze raz się okazało, że totalizm napotykając twardy sprzeciw, cofa się bojaźliwie, znając swoją słabość społeczną. I to jest chyba najważniejszy wniosek z perypetii konstytucyjnych w PRL.

Zdzisław Madziarski



Ocena zachowania Polaków pod rządami komunistów była integralną częścią komentarzy i analiz dotyczących stosunków społecznych i politycznych w Polsce zwanej ludową. Choć w „Kulturze” uważnie obserwowano zmiany postaw całego społeczeństwa, najwięcej uwagi poświęcano jednak inteligencji i studentom, a więc obecnej i przyszłej elicie. Nie był to przypadek. Dla Jerzego Giedroycia, jak dla wszystkich publicystów „Kultury” z Juliuszem Mieroszewskim na czele, inteligencja pozostawała tą grupą społeczną, na której spoczywał moralny i organizacyjny obowiązek walki z komunizmem i walki o odzyskanie niepodległości. Ten obowiązek wynikał z tradycji narodowych, z miejsca, jakie z racji swych kwalifikacji inteligencja zajmowała w społeczeństwie oraz z moralnego prestiżu, jakim się cieszyła.

Oceniając inteligencję jako elitę, Redaktor nigdy nie zapominał o robotnikach, których siłę ekonomiczną i polityczną w pełni doceniał. W „Kulturze” krytykowano i strofowano inteligencję za zamykanie się we własnym getcie, co było najbardziej widoczne podczas wydarzeń grudniowych w 1970 roku. Wezwanie do wspólnego dialogu, do okazywania pomocy robotnikom w ich walce z komunizmem było stałym wątkiem publicystyki Mieroszewskiego. Poparcie „Kultury” dla Komitetu Obrony Robotników, zorganizowanego przeciw przez inteligentów, a który stał się symbolem sił społecznych zespolonych w walce z komunizmem, było więc logiczną konsekwencją jej politycznej linii. Popieranie KOR-u nie wykluczało jednak popierania grup opozycyjnych o charakterze wyłącznie inteligenckim, na przykład Polskiego Porozumienia Niepodległościowego.

Artykuły poświęcone inteligencji jako grupie o specyficznym statusie ukazują się już na początku istnienia „Kultury”.¹ Warto przy tym zwrócić uwagę, że w tym samym czasie toczy się w Kraju burzliwa dyskusja wokół pracy Józefa Chałasińskiego: *Společná genealogia inteligencji polskiej*, przedrukowanej natychmiast przez Instytut Literacki.²

Wątek inteligencki będzie poruszany i omawiany przez wszystkie następne lata. Będzie występował w różnych artykułach, niekoniecznie poświęconych inteligencji jako grupie społecznej. Jej problemy i jej poglądy będą wyznaczać horyzont toczących się w „Kulturze” dyskusji. Najczęściej omawiano wpływ przemian społeczno-politycz-

¹ J. Ulatowski: *Polityczna funkcja inteligencji*, nr 4/1948 i tegoż: *Inteligentkie herezje polityczne*, nr 5/1948; Z. Jordan: *Společná funkcja inteligencji*, nr 7/1948.

² J. Chałasiński, J. Ulatowski: *Przeszłość i przyszłość inteligencji polskiej*, Instytut Literacki, Rzym 1947.

narodowe i utrzymywało antykomunistyczne poglądy, lecz utrudniało kontakty i osiągnięcie porozumienia we wspólnych akcjach. Historia zbierania podpisów pod listami protestacyjnymi byłaby pod tym względem pouczająca. Rozproszenie inteligencji ułatwiało partyjną manipulację, a tym samym zwiększało jej obawy i nieufność.

Za podziałami zawodowymi szły podziały społeczne. Inteligencja poszlachecka nadal była odcięta od inteligentów o ludowym rodowodzie. Ostrość tych podziałów wyraźnie się zaznacza w publicystyce „Kultury”. Rozważania jej autorów odnosiły się co prawda do całego społeczeństwa lub inteligencji jako grupy, lecz ich sądy w istocie dotyczyły inteligencji humanistycznej, ze szczególnym uwzględnieniem „starej” lub intelektualistów, co przeważnie było tożsame. I te grupy były adresatem zabiegów wychowawczych. Na przykład tematem częstych analiz były posiedzenia Związku Literatów Polskich, nigdy natomiast nie zajmowano się analizą funkcjonowania Naczelnej Organizacji Technicznej. W niewielkim stopniu zajmowano się innymi stowarzyszeniami zawodowymi skupiającymi inteligencję, na przykład lekarzy, adwokatów czy architektów, choć przed wojną odgrywały one znaczną rolę w życiu społecznym i kulturalnym. Wyjątkiem pod tym względem był artykuł A. Zabrzeckiego *Technika i polityka*, w którym autor analizował propagowany przez partię model inteligenta–technika i jego społeczne funkcjonowanie.

Były różne przyczyny braku zainteresowania inteligencją techniczną, przede wszystkim decydował o tym skład społeczny autorów „Kultury”. Zdecydowana większość piszących, bez względu na miejsce zamieszkania, legitymowała się rodowodem szlachecko-inteligenckim, łączyły ich podobne doświadczenia wojenne: pobyt w Sowietach, udział w armii polskiej walczącej na Zachodzie lub podziemna działalność w oddziałach AK-owskich; podobne były ich zawody: pisarze, naukowcy, artyści, dziennikarze, przedstawiciele wolnych zawodów czy też przedwojenni działacze polityczni i społeczni. Studenci debiutujący w „Kulturze” byli zazwyczaj potomkami grup wyżej wymienionych. Dopiero emigracja pomarcowa wprowadziła zmiany, które zaakcentowały się w latach późniejszych.

W powszechnym przekonaniu, nie odbiegającym zresztą od wyników badań socjologicznych, inteligencja techniczna oraz przedstawiciele dawnych wolnych zawodów przemienieni w państwowych urzędników byli najbardziej związani z systemem komunistycznym, bo całkowicie zależni od partyjnej biurokracji. Wśród tych grup, przede wszystkim wśród inżynierów, najwięcej było również osób, które w pierwszym pokoleniu stały się inteligentami. Siłą rzeczy, postrzegano ich jako obcych, którzy niewiele mogą mieć wspólnego z tradycjami i wartościami reprezentowanymi przez inteligencję „kordianowską”, jak inteligencję poszlachecką ładnie nazwał Mieroszewski.

Konsekwencją stabilizacji komunistycznego aparatu władzy musiał być kolejny konflikt z inteligencją humanistyczną, a przede wszystkim z intelektualistami jako tą grupą społeczną, która ciągle zachowywała wobec PZPR pewną autonomię. Wydarzenia marcowe 1968 roku rozpatrywane pod tym kątem nie sprowadzają się ani do antysemitkiej nagonki, choć niezmiernie bolesnej i politycznie szkodliwej, ani do wewnątrzpartyjnych porachunków z niedobitkami rewizjonistów. Są rozprawą z inteligencją. Nie tylko usuwano z uczelni i ze szkolnictwa czy redakcji niepokornych inteligentów (lub uznanych za takowych) i protestującą młodzież; próbowano również podporządkować życie naukowe i kulturalne regułom postępowania zgodnym z par-

nych na skład inteligencji, na jej mentalność i poglądy polityczne. Dla wszystkich dyskutantów były to sprawy zasadnicze, byli bowiem świadomi tego, że od postawy politycznej inteligencji zależy jej gotowość do walki z komunizmem lub wręcz przeciwnie, zaangażowanie się po jego stronie. Jeśli panowała zgoda co do zmian strukturalnych społeczeństwa i inteligencji, to nie było jednomyślności w ocenie ich efektów. Rozbudowa przemysłu pociągnęła za sobą rozwój wszystkich stopni szkolnictwa, szczególnie zawodowego, a przez to zmieniła liczbę i skład polskiej inteligencji. Nie była to jedyna konsekwencja zmian strukturalnych, inna nie mniej doniosła była następstwem awansu społecznego. Publicyści „Kultury” byli świadomi odbywającego się procesu, ale do końca nikt nie zdawał sobie sprawy z jego skutków. Wydarzenia 1968 roku stały się rewelacją. Ujawniły ostrość podziału między „nową” a „starą” inteligencją, a jednocześnie stopień akceptacji haseł „narodowego komunizmu” przez obie grupy.

W pierwszym powojennym okresie istniał co prawda ostry podział polityczno-kulturalny na „my” i „oni”, lecz udział przedwojennej inteligencji w życiu gospodarczym i społecznym i jej wpływ na kulturę był większy, niż chce się to dzisiaj uznać. Do obozu „my” należała „stara” inteligencja, jednorodna pod względem społecznym, kulturalnym i o podobnej drodze życiowej. „Oni” to byli ludzie znikąd: niekiedy niedouczeni inteligenci, niekiedy ludzie z awansu, bez żadnego zaplecza kulturowego, a przede wszystkim związani z władzą komunistyczną. Każdy przedstawiciel „starej” inteligencji, który opowiadał się za nowym porządkiem politycznym, był uważany za osobę bez charakteru, jeśli nie za zdrajcę.

Październik 1956 roku zmienia sytuację. Obóz „onych” okazuje się politycznie podzielony, a co więcej – kulturalnie zróżnicowany. Okazuje się, że wielu jego przedstawicieli, zwłaszcza młodych i wykształconych, posługuje się tymi samymi pojęciami i odwołuje się do tych samych wartości, co „stara” inteligencja. Polaryzacji uległ również obóz „naszych”. Stosunek do władzy komunistycznej uległ zmianie co najmniej z trzech powodów: „odwilż” zniosła, a w każdym razie obniżyła barierę strachu, a życie codzienne jakby znormalniało; dzięki kontaktom zawodowym nawiązano bezpośrednie stosunki z komunistami, niekiedy wysokiej rangi, czasem przegradzające się w przyjaźń; od 1956 roku pojawiła się możliwość społecznego i politycznego działania zgodnego z własnymi poglądami. Pojawienie się rozmaitych klubów inteligenckich, w tym najbardziej znanego Klubu Krzywego Koła oraz koła poselskiego „Znak” było objawem zachodzących zmian.

Okres względnej liberalizacji trwał jednak krótko. Ekipa Gomułki wkrótce wyznacza granice dozwolonej działalności. Nie ma powrotu do poprzedniego okresu, lecz znika również względna wolność. Inteligencja zostaje zamknięta w getcie zawodowo-kulturalnym. Pisarze żyją w swoim stowarzyszeniu, a socjologowie w swoim. Kompozytorzy swarzą się między sobą, ale razem walczą z władzą o polepszenie warunków bytowych; podobnie zachowują się inne grupy zawodowe. Wyjątkiem były Kluby Inteligencji Katolickiej, jednak nieliczne i wciąż kontrolowane. Większość polskiej inteligencji żyła więc w swoich dobrze znanych kręgach towarzyskich o ustalonych poglądach, tradycjach, nawykach i fobiach.³ Życie z osobna co prawda chroniło wartości

³ *Dzienniki* S. Kisielewskiego, skądinąd autora „Kultury” blisko z nią związanego, są pod tym względem lekturą niezmiernie pouczającą (Iskry, Warszawa 1996).

Powrót do „starych wiar i wzorców” – jak trafnie zauważył Herling-Grudziński – wpisywał się w proces poszukiwań nowych wzorców społecznego zachowania, na co z kolei zwracał uwagę Kazimierz Dziewanowski w esej *Naród jak lawa*, początkowo przeznaczonym dla prasy krajowej. Według niego, drobnomieszczenie społeczeństwa wyrażało się w akceptacji wzorców polityki autorytarnej, na przykład w kulcie porządku społecznego, aż do akceptacji pracy przymusowej; w żądaniach ostrej penalizacji wobec osób naruszających normy społecznego zachowania, łącznie z karą śmierci, szeroko stosowaną. Dziewanowski zwracał uwagę, choć w sposób zakamuflowany, na rolę ośrodków dyspozycyjnych, które świadomie propagowały model autorytatywnego zachowania oraz na drobnomieszczańską mentalność członków aparatu partyjnego, który swoje poglądy i styl życia podnosił do zasług i norm obowiązujących całe społeczeństwo.⁵

Pelikan, który w swoich artykułach wielokrotnie omawiał kondycję polskiego inteligenta w społeczeństwie rządzonym przez komunistów, skutki gierkowskiego modelu oceniał następująco:

„Rzesza, *res publica* o mentalności śląskiej, to nie jest dowolne sprecyzowanie, już w różnych częściach Polski można się przekonać, że skutecznie, a nawet samoczynnie dokonano się ściąganie wymagań i odruchów Polaków, całej jakości Polaków, do małomieszczańskiego wzorca robotnika czy technika śląskiego z jego twardością, materializmem, niedorozwojem kulturalnym, co na Śląsku jako brak nigdy nie było poczytywane i co kompleksów nie powoduje, tylko odwrotnie: zadowolenie i jeszcze większą operatywność i jeszcze większą pewność siebie!”⁶

Konstatacji zmian zachodzących w społecznym zachowaniu wszystkich grup społecznych towarzyszyły obawy co do przyszłości Polski jako suwerennego państwa i przetrwania narodu z własną tożsamością kulturalną i historyczną. Jakich skutków publiczności „Kultury” obawiali się najbardziej? Pogodzenia się Polaków, a przede wszystkim inteligencji, z życiem pozbawionym idei, z życiem bez marzeń o niepodległości, a zatem pozbawionym godności narodowej. Wskazywano na skutki, jakie niesie długotrwałe życie w systemie półkłamstwa i półprawdy, kiedy norma przestaje być normą, a dotychczasowe wartości ulegają przewartościowaniu, zmieniając z czasem swój pierwotny sens. Sugerowano, że polska elita intelektualna, która przez lata broniła narodowych wartości, uległa komunistycznej propagandzie i presji bodźców materialnych, upodabniając się w ten sposób do „nowej” inteligencji, dla której „mieć” jest o stokroć ważniejsze od „być”. Obawiano się wreszcie, że nowa polityka partyjna, ostentacyjnie proklamująca bogacenie się, między innymi wyrażająca się w hojnym wynagradzaniu nie tylko własnych popleczników, lecz również bezpartyjnych, ale pokornych wobec władzy, przemieni ideowców w oportunistów, a buntowników w zwykłych zjadaczy chleba.

Odmienne zabrzmiął głos Juliusza Mieroszewskiego. W esej *Kordian i Cham* przepowiedział nieuchronną zagładę inteligencji poszlacheckiej jako odrębnego stanu.

⁵ Aluzja do aparatu partyjnego ukryta jest w podtytule *Pamflet na Spuchłokarkich*. Jest to synonim „byczych karków”, epitetu, którym określano w owych czasach partyjnych funkcjonariuszy.

⁶ Pelikan [Zbigniew Florczak]: *Somnia Vigilantium*, nr 1–2/1974.

tyjnym systemem wartości. Docenci z partyjnego nadania i punkty za robotnicze i chłopskie pochodzenie jako kryterium dostępu na uczelnię były tylko wierzchołkami góry lodowej.

Proces biologiczny uzupełniony rewolucyjną czujnością powodował widoczną zmianę kadr na każdym prawie szczeblu aparatu państwowego. Konfrontacja z „nową” inteligencją, która po dojściu Gierka do władzy stała się jeszcze bardziej widoczna, pogłębiała przepaść między dwoma grupami. Dyskusja o inteligencji, jaka rozpoczęła się w „Kulturze” od marca 1968 roku i trwała bez mała siedem lat, nie była więc czymś przypadkowym. Była zresztą prowadzona jednocześnie z dyskusją toczącą się na ten sam temat w Polsce. Większości autorów „Kultury”, pośród których spory odsetek stanowili autorzy krajowi, inteligencja jawiła się jako grupa amorficzna, pozbawiona wspólnych cech społecznych i kulturalnych, nie mówiąc już o wspólnocie ideałów. Niektórzy uważali nawet, że nieaktualne jest pojęcie inteligencja (por. artykuł W. Rysaka), gdyż jej miejsce zajęli pracownicy umysłowi. Byli oni postrzegani jako produkt w dużej mierze stworzony przez biurokrację komunistyczną, całkowicie od niej zależny i jako taki odmienny od „starej” inteligencji pod każdym względem: pochodzenia, wykształcenia (wyspecjalizowanego i odhumanizowanego), stylu życia i poglądów. W odczuciu „starej” inteligencji „nowa” stanowiła więc całkowicie inną jakość kulturalną, niewiele mającą wspólnego z polską tradycją. Stąd popularność teorii o zsowietyzowanym Polaku. Teorii, która od lat siedemdziesiątych znajdowała coraz więcej zwolenników.

Inteligencja „kordianowska”, przedstawiając w „Kulturze” wizerunek komunistycznego społeczeństwa i jego elity, stwarzała jednocześnie swój autoportret. Jakie więc były wartości, których publicyści „Kultury” bronili przede wszystkim i jakie zjawiska budziły w nich największe obawy?

Od połowy lat sześćdziesiątych wśród intelektualistów wzrasta przekonanie, że społeczeństwo, łącznie z inteligencją dotychczas odrzucającą komunizm, coraz bardziej oddala się od tradycyjnego modelu kultury. W pierwszej połowie gierkowskiej dekady to przekonanie jeszcze bardziej się wzmocniło. Każdy z zabierających głos w dyskusji o inteligencji zwracał uwagę na nieco inne zjawiska i inne konstatował niebezpieczeństwa, lecz wspólnym wątkiem wywodów była obawa przed drobnomieszczanieniem społeczeństwa, które coraz bardziej miało się podporządkowywać komunistycznej filozofii życia.

Gustaw Herling-Grudziński wyciągając wnioski z artykułów opublikowanych na podobny temat w „Znaku” i „Więzi”, konstatował:

„[...] otrzymuje się taki w ogólnych zarysach wizerunek Polaka pocziwego: zetatygowany chudopacholek w zaścianku, chory na atrofię więzi społecznej, wysilający z plebejską zaciekłością swój spryt na znalezienie i wykorzystanie szczelin i luk w samorodnym bycie instytucjonalnym państwa; żadnym elitom już nie wierzy, bo na nieco wyższym i na mniej plebejskim poziomie uprawiają taką samą jak on grę, może się w nich tylko przeglądać niby w lustrze pogrubiającym; czuje, że to wszystko trochę nie w porządku, co popycha go do przywoływania na pomoc starych wiar i wzorców osobowych. Tu pora na uzupełnienie: te stare wiary i wzorce, głównie »kościół« i »naród«, obciąża dodatkową rolę surogatu brakującej więzi społecznej”.⁴

⁴ G. Herling-Grudziński: *Polak jaki jest?*, nr 11/1972.

pośrednika między intelektualistami a Zachodem (interwencje, stypendia) oraz udzielano pomocy materialnej osobom prześladowanym przez władzę. Ostatnią wreszcie formą było publiczne potępienie tych, którzy zdradzili interesy narodowe bądź też naruszyli reguły godnego zachowania.

Im większe były obawy o przyszłość Polski niepodległej lub, inaczej mówiąc, o wpływ komunizmu na społeczeństwo, tym presja „Kultury” była silniejsza, a jej oceny surowsze. Tak było w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, kiedy „Kultura” potępiała tych przedstawicieli „starej” inteligencji, którzy niepomni na głoszone poglądy przed wojną i podczas jej trwania, tuż po 1945 roku zgłaszali się do zwycięskiego obozu. Szczególnie ostro atakowani byli intelektualiści, nawet wówczas, gdy chodziło o osoby bliskie.⁷ Podczas „odwilży” krytyka postaw inteligencji się wzmogła. W słynnym, choć kontrowersyjnym artykule *Dramat polskich klerków* Mieroszewski nie tylko uznał intelektualistów za kapitulantów, ale był zdania, że nadal mimo poszerzających się szczelin w systemie komunistycznym „polscy intelektualiści w przytłaczającym procencie nie szukają poszerzenia sfery wolności, lecz kolaborują”.⁸ Było wielu negatywnych bohaterów, ale najczęściej zgłaszano pretensje pod adresem Antoniego Słonimskiego i Jarosława Iwaszkiewicza. Ocena pierwszego zmieniła się po 1956 roku, lecz nigdy, nawet po powstaniu KOR-u, nie stał się ulubieńcem „Kultury”. Iwaszkiewicz przez lata wywoływał natomiast gorące spory, ale miał swoich obrońców. Należał do nich K. A. Jeleński, który daleki był od postawy gromowładcy. Ważniejsza od postawy politycznej była dla niego sama twórczość, zwłaszcza gdy stanowiła niezbywalną część kulturowego dziedzictwa narodowego.

Szacunkowi „Kultury” dla 34 intelektualistów, którzy w liście do władzy wystąpili w obronie kultury, towarzyszyła niechęć i oburzenie z powodu tak zwanej listy oportunistów, to jest listy osób, które potępiły protestujących, a zarazem wyraziły pełne poparcie dla władzy. W komentarzu poprzedzającym publikację kontrprotestu Redakcja stwierdzała:

„Większość z tych ludzi po 1956 roku była na Zachodzie, kontaktowała się z nami. Deklarowali swoje poglądy liberalne, tłumaczyli się z »okresu błędów i wypaczeń«. Daliśmy im z miejsca wiarę i duży kredyt moralny [...]. Lecz dziś już nie ma usprawiedliwienia, nie ma podstaw do taryfy ulgowej”.⁹

I faktycznie nie było. Lata sześćdziesiąte różniły się zasadniczo od bierutowskiego terroru. Za odmowę podpisania państwowej listy groziły co najwyżej sankcje administracyjne: uciążliwe, niekiedy dotkliwe, ale w końcu przemijające. A jednak listy podpisywano, a jednak restrykcyjne działania władzy znajdowały popleczników, nawet wśród wybitnych postaci kultury polskiej.

Ogłaszanie przez „Kulturę” „czarnych list” było jednym z niewielu instrumentów walki z komunistycznym rządem, jaki pozostawał w rękach opozycji. Dla wielu inteli-

⁷ K. A. Jeleński: *Notatki o żalobie*, nr 5/1953.

⁸ J. Mieroszewski: *Dramat polskich klerków*, nr 11/1955.

⁹ Redakcja: *Komentarz do listy osób protestujących przeciw autorom „Listy 34”*, nr 6/1964.

Jego zniknięcie nastąpiłoby nawet wówczas, gdyby Polska międzywojenna nadal trwała, gdyż jest to wpisane w proces zmian cywilizacyjnych. Inteligencja poszlachecka musi zniknąć, bo w wyniku mieszczanienia Polski do przeszłości odchodzi model kultury przez nią wypracowany. Inteligencja o chłopskim i robotniczym rodowodzie jest już grupą wiodącą, a jej rola polityczna i kulturowa będzie tylko wzrastała. Choć „nowi” są mniej wrażliwi na sprawę niepodległości niż inteligencja „stara”, to jednak – zdaniem Mieroszewskiego – są nie mniej od niej antykomunistyczni. Ich stosunek do reżymu wyraził się w odrzuceniu komunistycznego modelu gospodarczego, gdyż istniejący nie pozwala na lepsze, godniejsze życie ani na realizację aspiracji zawodowych i bytowych.

Mieroszewski był głęboko przekonany, że w warunkach demokratycznego ustroju nastąpi wchłonięcie najlepszych wartości modelu kultury szlacheckiej przez „nowych” i z czasem ukształtuje się jedna, kulturowo jednorodna grupa inteligencji.

Część prorocstwa Mieroszewskiego sprawdziła się w 1980 roku, podczas powstawania i konstituowania się „Solidarności”, której organizatorami byli w przeważającej mierze inteligenci o plebejskim rodowodzie i technicznym wykształceniu. A więc ta grupa, którą wielu autorów „Kultury” łatwą ręką spisywało na straty. Natomiast na sprawdzenie się drugiej hipotezy przyjdzie nam jeszcze poczekać.

Innym wątkiem „Kultury” była ocena postaw i zachowań wobec komunizmu „starej” inteligencji, a więc tej grupy, która zgodnie ze swoimi tradycjami, politycznymi aspiracjami oraz deklaracjami uważała się za siłę przewodnią narodu. Wedle tych kryteriów starano się ją oceniać, lecz nie było pod tym względem jednomyślności nawet wśród stałych współpracowników Jerzego Giedroycia.

Ocena postaw inteligencji była tym trudniejsza, że pomijając nieliczną grupę niezłomnych antykomunistów, przeważnie biernych, postawy były zmienne i zależały od sytuacji. Samo pojęcie współpracy było wieloznaczne i nastroczało trudności w jej ocenie. Nie było bowiem wyraźnej granicy między koniecznym udziałem w życiu społecznym w celu „zabezpieczenia substancji narodowej” a zwykłą kolaboracją. Stosunek do rządzących zależał również od politycznych fluktuacji samego systemu, to jest stopnia, w jakim akceptowany był pluralizm polityczny i kulturalny. Innym aspektem była ewolucja ideowa nie tylko poszczególnych jednostek, lecz całych grup towarzysko-zawodowych. Wbrew obiegowym opiniom emigrantów, którzy w ocenie stosunków w Polsce mieli tendencję do stosowania dychotomicznego kryterium: za lub przeciw komunizmowi, inteligencja polska jako grupa nigdy zdecydowanie nie odrzuciła komunizmu jako systemu społeczno-politycznego, ale też nigdy całkowicie go nie zaakceptowała.

Redakcja „Kultury” zajmowała specyficzne stanowisko wobec inteligencji humanistycznej żyjącej w kraju. Jej najbliżsi współpracownicy byli przekonani, że tradycja walk o niepodległość i kulturalne dziedzictwo, które ukształtowało polską duchowość, nie dają się wydrzeć z pamięci narodu ot tak sobie, w ciągu kilkudziesięciu zaledwie lat, co nie znaczy, że postawę inteligencji traktowali jako coś stałego, nie podlegającego żadnym wpływom. Stąd stała walka „Kultury” o inteligencję. Używano różnych środków: poza publicystyką typu wychowawczego, której celem było przypominanie inteligencji o obowiązkach wobec narodu, a zarazem konieczności przestrzegania postawy etycznej, to jest prowadzenia walki z komunizmem jako z łem, pełniono rolę

Oba kryteria występowały w publicystyce „Kultury” jednocześnie. Zależnie od sytuacji i okoliczności jedno z nich było bardziej obecne. Gdy w kraju powstawały warunki do działalności publicznej, kryterium pragmatyczno-polityczne wysuwało się na pierwsze miejsce, natomiast w okresach bierności i bezruchu częściej odwoływano się do postawy etycznej. Przemienność tych kryteriów występowała nawet u poszczególnych autorów. Pragmatyk Mieroszewski, przeciwnik teorii: im gorzej, tym lepiej – oceniając inteligencję, posługiwał się kryteriami etycznymi, gdy uznawał to za niezbędne.

Kłęska nadziei na liberalizację reżymu, a następnie pogrom marcowy spowodowały zasadnicze zmiany w zachowaniu intelektualistów. Odpolitycznieniu towarzyszył stan beznadziei i desperacji. Jedyną normą społecznego zachowania stało się zachowanie etyczne. „Nie dać się oswoić, to przede wszystkim – pisał z Polski Pelikan – nie dać się własnej panice. Zrobić wszystko, by utrzymać się w postawie stojącej”.¹¹ Dla bardzo wielu okazało się to programem maksymalnym.

Po wydarzeniach grudniowych 1970 roku sytuacja zaczęła się powoli zmieniać. Nie rozszerzyły się co prawda granice wolności, lecz nastąpiła polityczna polaryzacja inteligencji. Swoją wolę działania zaczęło manifestować pokolenie marca 1968 roku. Sygnałem tych zmian są artykuły, które ukazały się w „Kulturze” w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych.¹² Dyskusja wywołana artykułem Leszka Kołakowskiego *Tezy o nadziei i beznadziejności* trwała lat kilka. Poruszano w niej wiele istotnych problemów. Jak zwykle rozbieżność opinii była duża. Spierano się o ocenę sytuacji w Polsce; możliwości i sposoby wyjścia z komunizmu; zastanawiano się nad kształtem Polski niepodległej oraz formułowano dezyderaty pod adresem inteligencji i społeczeństwa.

Leszek Kołakowski przypomniał nieco zapomnianą prawdę, że „[...] żyć w godności to uznać, że istnienie narodu polskiego rozstrzyga się za sprawą Polaków w Polsce żyjących”.¹³ Jeśli jedni ciągle płakali nad losem polskiej inteligencji, to inni wręcz przeciwnie, domagali się od niej rozliczenia z przeszłością oraz krytycznie oceniali postawę pięknoduchostwa wyrażającą się w ucieczce od rzeczy przyziemnych, w tym i od polityki. Pod tym względem znamienity był artykuł Jerzego Klewińskiego (Marcina Króla). Surowo oceniając grupę, do której sam należał, zarzucał jej zastąpienie racji ideowych przez moralne, co w konsekwencji prowadziło, jego zdaniem, do zaniku odpowiedzialności intelektualnej, niechęci do politycznego samookreślenia się, a za tym i do zaniechania myślenia o przyszłości. Jego ówczesna opinia: „[...] można nie chcieć czy nie potrafić wyciągnąć nauczki z błędów przeszłości, ale trzeba choćby dowiedzieć się, na czym one polegały” – zachowała aktualność po dzień dzisiejszy.

Czy rozrachunki inteligencji z przeszłością i z samą sobą okazały się intelektualnie płodne i społecznie użyteczne? Trudno rozstrzygnąć. Nie ulega jednak wątpliwości, że przyczyniły się do ożywienia atmosfery i ponownego upolitycznienia inteligencji. Zachowanie etyczne jako dyrektywa polityczna przestało wystarczać w sytuacji, w której działalność polityczna opozycji zaczęła obejmować coraz szersze kręgi społeczeństwa.

¹¹ Pelikan [Zbigniew Florczak]: *Nie dać się oswoić*, nr 1–2/1969.

¹² Cytuję przykładowo: K. Bieliński, S. Krajewski, J. Strzemieczny: *Integracja a zjednoczenie*, nr 3/1973; J. Bierzyn: *Wiersze*, nr 5/1974.

¹³ L. Kołakowski: *Sprawa polska*, nr 4/1973.

gentów moralna sankcja „Kultury” była bolesna, niekiedy odbierana z zawstyżeniem, nierzadko jednak z oburzeniem. Wiele osób, nie tylko potępianych przez „Kulturę”, odmawiało jej prawa uzurpowania sobie funkcji sędziowskich i wyśmiewało jej „pretensje” do rządu dusz. A jednak trudno byłoby dziś stwierdzić, że owe listy nie miały wpływu na zachowanie inteligencji. Spośród osób, których nazwiska figurowały na „czarnych listach” wielu przeszło ewolucję i znalazło się następnie w opozycji, stając się niekiedy ofiarami politycznych szykan, co „Kultura” starannie odnotowywała. Fakt, że ktoś znalazł się na takiej liście, nie przesądzał o jego późniejszej postawie politycznej.

Inną formą presji „Kultury” na środowiska inteligentkie była zachęta do czynnego udziału w życiu publicznym. Redakcja była szczególnie perswazyjna podczas wydarzeń 1956 roku, kiedy zachęcano do poparcia rewizjonistów i do nawiązania z nimi współpracy w celu zwalczania wspólnego przeciwnika: prostałinowskiego aparatu partyjnego. Było to następstwem poparcia „Kultury” dla Gomułki, choć na krótko, a przede wszystkim nadziei, jakie wiązała z rewizjonistami.

Stanowisko „Kultury” wywoływało liczne kontrowersje nie tylko wśród emigracji, jej czytelników, ale również w zespole bliskich współpracowników. Większość emigrantów była zdecydowanie przeciwna jakimkolwiek formom współdziałania z komunistami, nawet wyrażającym się w werbalnym poparciu w sprawach tak żywotnych dla narodu i państwa, jak granica na Odrze i Nysie. Stanowisko to znalazł swój wyraz w szkicu Witolda Jedlickiego.¹⁰ Charakteryzując postawy społeczeństwa wobec różnych form władzy odrzucającej przez społeczeństwo, Jedlicki wyróżnił dwie postawy: liberalną („gotowość okazania pewnej tolerancji wobec »złej« władzy dlatego, że jest konieczna”) i narodowo-liberalną (polegającą na tolerowaniu »złej« władzy dlatego, że jest to władza »własna«). Rozpatrując stosunek społeczeństwa do rządów Gomułki, stwierdzał, że przeważała postawa narodowo-liberalna. Mieroszewski, z którym Jedlicki polemizował, był dla niego jej głównym rzecznikiem. Niebezpieczeństwo postawy narodowo-liberalnej wyrażało się zdaniem Jedlickiego w „nadaniu kompromisowi waloru słuszności”, co w konsekwencji niosło za sobą akceptację komunizmu i pogodzenie się z metodami rządzenia, w tym wypadku Gomułki. Obroną przed komunizmem miało być jego totalne odrzucenie, przede wszystkim z pozycji moralnego potępienia. Tę postawę najpełniej wyrażał Józef Mackiewicz. Wątek moralnej odpowiedzialności wobec Polski i społeczeństwa występował również w politycznej publicystyce Józefa Czapskiego. Stosunek do komunizmu i rządów komunistycznych wpisywał się w etyczną postawę, ale jej nie wyczerpywał, co zostało wnikliwie przedstawione w szkicu „*Spowiedź dziecięcia wieku*”.

W przeciwieństwie do tych autorów „Kultury”, dla których postawa etyczna odwołująca się do wartości narodowych i praw jednostki była jedynym kryterium oceny zachowania inteligencji wobec komunizmu, inni, na czele z Mieroszewskim, reprezentowali postawę, którą można określić jako pragmatyczno-polityczną. W centrum zainteresowania tej grupy był inteligent-obywatel, którego politycznym, ale i moralnym obowiązkiem było uczestnictwo w życiu publicznym. Jego działalność była oceniana z punktu widzenia aktualnej użyteczności oraz – co było niezwykle istotne – celu ostatecznego, jakim była suwerenność państwa polskiego.

¹⁰ W. Jedlicki: *Narodowy liberalizm*, nr 5/1963.

następnie dojść do całkowitego odrzucenia komunizmu? Zerwanie rzadko kiedy było następstwem długotrwałych przemyśleń, najczęściej decydowało o tym jakieś wydarzenie, niekiedy drobne, które stawało się zapłonem całego procesu. Przyjęcie Nowej Wiary nie unicestwiało dawnych poglądów i moralności, jak nie niszczyło wszystkich związków z dawnym środowiskiem. Choć publicyści „Kultury”, od Mieroszewskiego poczynając, surowo oceniali inteligencję, byli świadomi tego, że mimo wysiłków PZPR w Polsce nie narodził się nigdy nowy typ obywatela o sowieckim profilu. I być może z tego powodu rozstawanie się z komunizmem przyjmowali jako fakt oczywisty.

Przykładem drogi do i od komunizmu może być profesor Józef Chałasiński, którego znakomity portret przedstawił Zbigniew Jordan.¹⁶ Autorytet intelektualny, powiązany uczuciowo i politycznie ze środowiskiem chłopskim, Chałasiński w 1945 roku opowie się po stronie „demokracji ludowej”. Podczas pierwszych dziesięciu lat jest aktywnym propagatorem marksizmu w naukach społecznych i poprawnym wykonawcą partyjnych poleceń. Od 1955 roku rozpocznie się jego powrót do dawnych, liberalnych poglądów. Gdy w 1959 roku usuwano Chałasińskiego ze stanowisk w PAN oraz likwidowano jego zakład naukowy, nikt w kraju publicznie nie zaprotestował.¹⁷ Zadawnione urazy zawodowe oraz pamięć o tym, jak piętnował kolegów za odrzucanie marksizmu, zostały zżęcznie wykorzystane przez komunistów. Urazy okazały się ważniejsze od pryncypiów, w tym wypadku od prawa do publicznego wypowiedzania własnych poglądów oraz od obrony autonomii nauki.

Schemat poskramiania niepokornych zastosowany wobec Chałasińskiego został wielokrotnie użyty w późniejszym okresie. Za każdym razem partia wykorzystywała środowiskowe animozje, by przeprowadzić swoje decyzje. Triumfem tej polityki była czystka na wyższych uczelniach w marcu 1968 roku, kiedy usuwanie pracowników naukowych i relegacje studentów odbywały się przy słabym oporze reszty środowiska, często przy jego poparciu. Reakcja „Kultury” była wówczas ostra, a krytyka wielostronna. Przede wszystkim osądzano partyjnych organizatorów, nie zapomniano jednak o ambiwalentnej postawie inteligencji ani o studentach: bohaterach, a zarazem ofiarach zająć.

Nowym emigrantom, podobnie jak byłym rewizjonistom, na przykład Leszkowi Kołakowskiemu czy Władysławowi Bieńkowskiemu, „Kultura” udostępniała łamy pisma. Nie czyniono tego w imię zamazywania przeszłości, lecz w obronie zasad: prawa do swobody słowa i prawa do udziału w walce o zmianę ustroju w Polsce.

Ewolucja politycznych postaw inteligencji, a intelektualistów w szczególności, wpłynęła na zmianę stosunku do obozu rządzącego. Znalazło to swoje odbicie w publicystyce „Kultury”. Po klęsce rewizjonistów w 1968 roku komuniści ponownie zaczęli być traktowani jako grupa wyobcowana ze społeczeństwa, bo wprzęgnięta w służbę wrogiej idei i obcych interesów. Uważnie ich obserwowano i osądzano ich zgodnie z polskim interesem narodowym i państwowym. Oceny były więc surowe, często bezwzględne. Z czasem zainteresowanie nimi zmalało, tak jakby sprawy i wydarzenia własnego obozu były ważniejsze niż działalność komunistów, choć to oni ciągle jeszcze sprawowali władzę.

Grażyna Pomian

¹⁶ Z. Jordan: *Bunt intelektualisty*, nr 9/1955.

¹⁷ Z. Jordan: *Sprawa Józefa Chałasińskiego*, nr 1–2/1960.

Kryterium zachowania etycznego nie przestało jednak funkcjonować, niekiedy ze szkodą dla politycznych działań, niekiedy zaś degradując wartości moralne do poziomu politycznych gier.

Jednocześnie z oceną zachowań inteligencji dyskutowano o przyczynach, które zadecydowały o akceptacji komunizmu i przystąpieniu wielu jej przedstawicieli do wrogiego obozu. Wedle potocznej opinii, „zdrada” była konsekwencją dwóch motywów: troski o zapewnienie sobie i rodzinie normalnych warunków bytowych oraz strachu przed policją i władzą polityczną. W innej wersji, o „zdradzie” decydowały cechy osobowe jednostki: niepohamowana ambicja, próżność i służalczość wobec władzy, każdej władzy. Zapewne takie motywacje były dość rozpowszechnione, ale nie wyczerpywały omawianego zjawiska. Zawsze pozostawała jakaś grupa, jakieś jednostki, które nie mieściły się w potocznych wyobrażeniach.

Ogłoszenie przez Czesława Miłosza *Zniewolonego umysłu*¹⁴ wywołało spory, których echa pobrzmiwają do dzisiaj. Intelktualiści, zdaniem Miłosza, ulegli komunizmowi, bo zafascynowała ich idea, która nie tylko tłumaczyła dotychczasowe dzieje i wyznaczała drogę ludzkości, ale przede wszystkim wpływała na przekształcenie świata. Uwierzyli, że komunizm jest nieuchronny, a więc nie ma innej alternatywy. Świadomość, że nie ma odwrotu, nie wyrażała się w powszechnej akceptacji wszystkiego, co władza realizowała i proponowała. Próbuąc coś ocalić z dawnego świata, intelektualiści przyjmowali postawę dającą się określić jako pragmatyzm etyczny.

Analiza Miłosza nie znalazła uznania wśród emigracji co najmniej z dwóch powodów: łatwiej było zaakceptować zachowanie powodowane strachem niż racjonalnym wyborem; wszystkim, którzy mieli doświadczenia sowieckie, a zwłaszcza obozowe, komunizm kojarzył się widocznie z nagą przemocą, poza którą nic nie było. Przeciwnikiem *Zniewolonego umysłu* był i pozostał Gustaw Herling-Grudziński¹⁵, dla którego Miłoszowska koncepcja „heglowskiego ukąszenia” nie miała nic wspólnego z sowiecką ani z polską powojenną rzeczywistością. Wedle Herlinga-Grudzińskiego, intelektualiści nie mogli wierzyć w doktrynę, bo uwierzyć w nią po drugiej wojnie światowej było niepodobna, po prostu nauczyli się nią posługiwać, by zapewnić sobie spokojne życie. O wybraniu Nowej Wiary zadecydowały zatem całkiem prozaiczne, niepiękne powody. Dyskusja wówczas rozpoczęta nigdy się nie zakończyła.

Była droga do komunizmu, ale była też droga odwrotna. O ile pierwszej poświęcano w „Kulturze” wiele uwagi, to drugiej znacznie mniej. Akt zerwania z komunizmem starannie odnotowywano, lecz jego powody nie wywoływały zaciekawienia. Zerwanie traktowano bowiem jako powrót do stanu normalności.

Przyczyny, dla których następowało odejście od komunizmu, były równie bogate, jak te, które zadecydowały o akcesie do niego. Padały różne wyjaśnienia, lecz odpowiedzi były przeważnie niezadowolające, co powodowało, że posłuszny, nierzadko fanatyczny wykonawca partyjnych dyrektyw nagle odmawiał wykonania polecenia, buntował się przeciw decyzji przełożonego, nie składał wymaganej samokrytyki, by

¹⁴ Cz. Miłosz: *Zniewolony umysł*, Instytut Literacki, Paryż 1953.

¹⁵ G. Herling-Grudziński: *Komentarz tłumacza*, nr 3/1959 oraz wzmianki na ten temat w kolejnych tomach *Dziennika pisanego nocą*.

JÓZEF CZAPSKI

„Spowiedź dziecięcia wieku”

To Mauriac pisał, że kiedy człowiek sobie uświadamia, że przestał być młody, kiedy to zauważa w ucisku serca, w nagłym zmęczeniu czy braku reakcji, gdy to spostrzega na twarzach ludzi, którzy z nim się witają (zdawkowa uprzejmość o jeden stopień bardziej podkreślona) – zwykle młodość już dawno go opuściła. Każdy żyje długo w złudzeniu, że jest „obiecujący”, że kiedyś w przyszłości dopiero stworzy to, dlaczego w ogóle jest warto żyć, a tu nagle zauważa, że ludzie go już widzą jako człowieka starego, który dał wszystko, co miał dać, bardzo niewiele, albo nic, patrzą na niego młode oczy, okrutnie i prawdomównie, z bezwzględną krytyką, czasem łaskawą litością, częściej z p o z o r n y m szacunkiem, przez które przebija szczere lekceważenie. On tak samo patrzył na ludzi od siebie starszych trzydzieści lat temu.

I nagle wieczny problem ojców i dzieci widzi człowiek z p r e c i w n e - g o brzegu.

Jak rysunek Leonarda: starzec z wysuniętym, starczym, pod bezzębnymi ustami podbródkiem, patrzy wzrokiem pytającym na młodzieńca. Ten ostatni ma wzrok obojętny i zarazem wyzywający, oczy gdzieś w dal utkwione. Nie zauważa starego człowieka, który go trzyma za ramię i patrzy jakby w ostatniej nadziei, że odnajdzie w nim, młodszym – brata.

Wieczny problem. Czy mi się jednak zdaje, że dziś przepaść, łącząca pokolenie najmłodszych z nami, jest jeszcze głębsza niż zwykle, reakcja w wielu przypadkach brutalniej różna. Pierwsza tego przyczyna jest jasna. Żadne pokolenie nie przeżyło bardziej m a s o w y c h rozdarć i wstrząsów, jak właśnie to pokolenie, które z dzieciństwa w wiek młodzieńczy przeszło w latach ostatniej wojny.

Rodziny, zespoły, przyjaźnie rozsypane, zniweczone, ile trupów, ile wypadło członków, ci, co przeżyli – rozdarci na kraj i emigrację.

dawno się domyślałem, że tym panom chodzi o to tylko, kto będzie dłużej otrzymywał pensję”.

Czy trzeba to przemilczeć i chować te „błuznierstwa”? Ze zgrozą, zasłoniwszy godne oblicze, odwrócić się od bluźnierców?

Kto ze starszych te opinie sły s z y przy zupełnym braku zainteresowania dla ludzi innego pokolenia?

„Ależ to jeszcze szczeniak!” – odpowiada mi czcigodny, patriotyczny i mocno łysiejący mój rozmówca, konstatuując prawie z wyrzutem, że rozmawiam o sprawach ważnych z „dziećmi”. Nie szkodzi, że ten „szczeniak” wyszedł z gruzów Warszawy, że uczył się podczas wojny dorywczo na tajnych kompletach, że w okresie psychicznym najbardziej plastycznym bił się, konspirował, politykował, przeżywał wpływy nie tylko bohaterów walki podziemnej, ale też drani, łajdaków i spryciarzy, ale także gestapowców i enkawudystów.

Moje obserwacje młodzieży są na pewno dorywcze, nie ogarniające całości kształtu, ale chcę je właśnie poruszyć od strony najbardziej bolesnej, o której wielu z nas nawet nie chce wiedzieć.



Cecha, którą się najszybciej zarzuca młodym, to cynizm.

„Ale świętości nie szargać”.

Chciałbym zrozumieć źródła aktualne, charakter tej cechy, którą starsi nazywają cynizmem, skłonnością do bluźnierstw, kalaniem gniazda.

Nie jest to cecha wypadkowa, tylko indywidualna. Ona zawsze coś znaczy i jest nie tylko buntem przeciw hipokryzji starszych. Gdy surrealiści wystąpili we Francji ponad dwadzieścia lat temu, wynosząc jako swoją biblię na szczyt hierarchii nie tylko literackiej, ale nawet moralnej, kompendium bluźnierstw, sadyzmu, bólu, stronic genialnych i wodolejstwa – *Pieśni Mal-dorora* Ducassa Lautreamonta, mądry Valéry zainteresował się tą nikłą początkowo grupką:

„Nie korek mnie interesuje – powiedział – ale fala, która go niesie”.

Czy to, co się zbyt łatwo nazywa słowem cynizm, nie jest do pewnego stopnia zjawiskiem spotykanym w każdej, czy prawie każdej, startującej generacji? Próbuje ona gorszyć dlatego chociażby, żeby się oderwać, o d r ó ż - n i ć, uniezależnić.

W polemice z Barrès'em o *déracinement* Gide dawał argumenty botaniczne: pączki, które najpiękniejsze dają owoce, to te, które najdalej „odskaku-

Jeżeli mówić o kraju, to z głosów, które tutaj dochodzą, rysa między pokoleniami jest ogromna; ojcowie żyją jeszcze wizją Polski sprzed 1939 roku, której młode pokolenie już nie pamięta, a prasa reżymowa, propaganda reżymowa potrafiła przedstawić jako jedno horrendum reakcji i „sanacyjnych” zbrodni. Polityka wychowawcza rządu, zgłajchszaltowanie młodzieżowych organizacji, podporządkowanie młodzieży o wiele bardziej całkowite wpływowi politycznemu reżymu, przy również większej o młodzież niż o starszych trosce – potęgują różnice reakcji na rzeczywistość między ojcami i dziećmi. Gra tu również młodzieńcza zdolność adaptacji.

Jeżeli zaś chodzi o nas, na emigracji, chyba nigdy „starzy i podstarzali” nie żyli dalej od młodych, w większej nieświadomości, czym są oni dzisiaj, nieświadomości przeżyć, załamań czy wewnętrznych osiągnięć tych, którzy przychodzą na nasze miejsce, którym przecież coś dać powinniśmy przedtem, nim odejdziemy zupełnie.

Czasem patrzę z przerażeniem na moich współczesnych, gotowi oni godzinami dyskutować w próżni i bez rezultatu, jak pogodzić wnioski Komitetu Zagranicznego PPS z tezami ND [Narodowej Demokracji], czy rząd musi być rządem „osobistości”, czy partii, czy z Mikołajczykiem, czy bez Mikołajczyka (wcale znaczenia tych zagadnień nie myślę lekceważyć), hoduują przy tym starannie, jeszcze rozbudowując, zastarzałe animozje partyjne i personalne – ale ci sami ludzie nie widzą nic poza zamkniętym kręgiem swoich współczesnych, s w e g o świata, w którym żyją i na który się skazują. Nie widzą naokoło tych oczu ironicznych, pytających, nie słyszą uwag zjadliwych, nieraz naiwnie uproszczonych, ale jakże często celnych, tych dzieci, dla których powody „zasadnicze” naszych walk są już prawie niezbrane i mają w najlepszym razie walor daleki, „historyczny”; tutaj, dzisiaj wydają się im wyłącznie walką przy chudym żłobie personalnych ambicji. Widzą oni jedynie, że „taktyka” pożarła wszelką „mystykę” polityczną.

Będzie rząd – nie będzie rządu. Dla tej młodzieży polskiej z dala od Londynu oficjalnego ten problem istnieje coraz mniej albo wcale. Cudzoziemcy, reżymowcy warszawscy mówili o rządzie-widmie, dziś nawet młodzi Polacy na emigracji mówią to samo. Ci rzadcy właśnie wśród nich, którzy chcą, by na emigracji był rząd centralizujący wszystkie wysiłki polskich niepodległościowców, ci, których to jeszcze interesuje, mówią o konwektyklach polityków londyńskich gorzej niż z goryczą, ze wzgardą.

„Gdzie jest w tych walkach o rząd, którego nie można sklecić, Polska? Gdzie jest troska o Polskę? – woła mi z pasją dwudziestolatek. – Ja już

uprzywilejowana, miała ogromnie łatwy awans społeczny, szybko, jak szybko mogła dojść do władzy, pod jednym warunkiem zupełnego posłuszeństwa nie tylko w czynach, ale w każdym, czujnie podsłuchiwanym, słowie.

Jeżeli nie zawsze, to przecież przeważnie gorzki smak miała ta „wolność” od pierwszej chwili. Warto się wczytać w znaczącą książkę Andrzejewskiego *Popiół i diament*.

„Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak opuszczony i tak gorzko i okrutnie zawiedziony w swoich pragnieniach i nadziejach. Świat, który przez wiele lat opływał krwią, znów otwierał nie zagojone rany i nienawiść, i pogarda dalej toczyły ludzkie serca”.

Tak czuł Maciek, chłopak, który wierzył w życie, w szlachetność, w dniu, w którym wszystkie głośniki miasteczka chrypiały o zawieszeniu broni, kiedy jeszcze istniały lasy, Polska zalana wojskiem sowieckim, a młodzi chłopcy tworzyli na własną rękę własne tajne organizacje na wzór starszych, mordując się wzajemnie.

A na emigracji ci chłopcy znów, którzy trafili do Francji czy Anglii z Polski lub ze wszystkich frontów walki, gdzie krwią ich szafowano rozrzutnie i bez rachunku, robotnicy w fabrykach, młodzież studencka – ci, co wyżyli, ci, co emigrowali dalej jeszcze, bo się d u s i l i w Europie, drwale w Kanadzie, robotnicy w Australii, kto wejrzał w świat przeżyć tych ludzi!

Tu w Paryżu stypendia głodowe, próby dorabiania zamiataniem ulic, czarnym rynkiem czy nawet grą na skrzypcach na Place Blanche, i znowu suchoty. Studia ileż razy zrywane, nieraz pozorne, aby tylko mieć pretekst, by złapać jakiś strzęp stypendium, walka nieustannie o byt w obcym, obojętnym świecie.

Mówiąc o młodzieży, nie oddzielam młodzieży emigracyjnej od pozostałej w Polsce. Ta młodzież bardziej jest sobie bliska niż rozdarte pokolenie starszych.



Chciałbym zwrócić uwagę na dwa typy tej młodzieży, najsakrajniej ze sobą sprzeczne.

Jedni to typowi „eskapiści” społeczni i polityczni, skrajni indywidualiści. Wszystko, tylko nie polityka, wszystko, co z daleka pachnie robotą polityczną, to domena starych idiotów, którzy się kręcą w kółko. Nie chodzi tu bynajmniej o atak na taką czy inną koncepcję polityczną. Świat się wali, niech się wali. Stalin buduje nową „egipską” cywilizację – niech buduje. To, że mu się udaje, świadczy może, że ma rację. Nie rację absolutną, w którą ta mło-

ją” od pnia, a gałąź z pączkiem, najbliższym pnia, musi być nacięta, by go od tego pnia oddzielić.

Różne w swej formie, w swym wyrazie, jakże bliskie są reakcje młodzieży dalekich od siebie pokoleń.

„Kto się ośmieli opowiadać, co się działo w szkołach. Ludzie wątpili we wszystko, młodzi odrzucili wszystko [...]. Młodzież wyszła ze szkół z czołem pogodnym, z twarzą świeżą i rumianą i z bluźnierstwem na ustach [...]. Dzieci piętnastoletnie, rozparte pod krzewami w kwiatkach, mówiły takie zdania, takie słowa, od których by zadrżały ze zgrozy ciche zarośla ogrodów wersalskich”.

„Szczęśliwi ci, którzy ten czas ominęli, szczęśliwi, którzy przeszli nad przepaściami, patrząc w niebo [...]. Jest prawdą niestety, że gest bluźnierczy daje wielki upust sił, przynosi on ulgę sercu zbyt pełnemu [...]. To był paroksyzm rozpacz, wołanie bez imienia do wszystkich potęg niebieskich [...]. To był wielki krzyk bólu i kto wie, czy w oczach Tego, który widzi wszystko, to nie była modlitwa”.

Któż to pisał? Dwudziestoparoletni Musset, którym się zaczytywały nasze pobożne babki, pisze tak o sobie, pisze o młodzieży, wyrosłej na gruzach tamtej epopei, epopei napoleońskiej. Francja bez złudzeń wielkości była dla nich za mała, za duszna i za ciasna.

„Najbogatsi wpadli w rozpustę [...], najbiedniejsi w entuzjazm chłodny wielkich słów, w okropne morze czynu bezcelowego”.

Ale tamta młodzież francuska „o swym szczęściu nie wiedziała”, te sieroty epopei, których ojcowie zginęli na szlakach napoleońskich, nie widziały, jak wywożono i mordowano ich rodziców ani jak łapano i rozstrzeliwano na placach miast ludzi z zalepionymi gipsem ustami, by nie mogli krzyczeć czy wołać. Ci młodzi Francuzi nie patrzyli na wirujące karuzele u stóp płonącego getta, nie widzieli, jak w ginącej Warszawie padali w nierównej walce ich bracia, siostry i pierwsi przyjaciele. Nie przeżyli oni również potem poczucia tej gorzkiej bezużyteczności najcięższej z ofiar.

„I ramiona młodociane
W bezimienny proch rozwiane
Dziejów nazwą śmieciem”.

To Norwid napisał tę strofę gorzką z gorzkich.

Ta młodzież, która przeżyła katastrofę Warszawy, ginęła jeszcze w lasach, likwidowana przez bezpiekę i żarta suchotami, w obozach w Niemczech, w celach więziennych w Polsce, albo przyjmowała nową rzeczywistość, wchodziła w aparat, przyjmując wszelkie tego konsekwencje. Ta ostatnia jedynie mogła się nawet wyżyć społecznie i organizacyjnie, była

Są jeszcze ci, o których pisze Musset, że „przeszli nad przepaściami, patrząc w niebo”. Spotkałem paru, ich twarze skupione i żarliwe wryły mi się w pamięć. Nie zobaczymy ich tak szybko na ulicach Paryża.

Ci opuścili bez hałasu i całkowicie ten „zamęt spraw wielorakich”, ścieżki ich są przed nami ukryte i nie nam się będą te „dzieci wieku” spowiadać.

„Już nie mogłem wytrzymać – pisze mi jeden z nich – wstępuję do zakonu i napiszę do Pana za rok”.

Drugi typ, o którym mówić chciałem, to aktywiści bezwzględni. Tylko czyn i to z „mokrą robotą” (nieraz bez wiary w jej sens); wszelkie dwójki, mordy tajne, pociągają tę młodzież. Dla niej może najbliższa psychicznie jest młodzież Izraela z grupy Sterna czy Irgunu*; wspaniała śmiałość, całkowita bezwzględność żydowskich straceńców. Mówi się wiele o tym, że na walczących Żydach w Izraelu zaciążyły nie tylko prześladowania gestapowskie, ale i metody gestapowskie, które dziś odżywają w zaciętych walkach z Arabami, w akcji antyangielskiej, ale musimy wiedzieć, że nie tylko na Żydów wpłynęło gestapo i NKWD. Na młodzież polską miały one również wpływ psychiczny.

Taki chłopak mówi dziś: „To trzeba, by mu przypiekać stopy na kominu” – jako rzecz całkiem normalną, więcej, całkiem m o r a l n ą, bo tortura weszła już dzisiaj jakby w przyjęty, jawny obyczaj. Brutalność, okrucieństwo gestapowców, zimny, nieludzki, konsekwentnie za pomocą bezpieki realizowany plan podporządkowania sobie Polski przez Sowiety i polskich komunistów u niejednych wzbudzał i wzbudza nie tylko ból i wrogą reakcję, ale także podziw. Cóż znaczą dla tych młodych realistów, dla których ważna jest natychmiastowa skuteczność za wszelką cenę, bezpłodne konwentykle polityków londyńskich; nie tylko, bo nawet wszystkie Somosierry przeszłe i współczesne to dla nich rekwizyt staroświecki i dumnie sterczący pióropusz Polski – „pawia narodów”.

Co z tego? Co z tego? Wołają z pasją: „nasza polska nicość na tym polega, że umiemy ginąć lub gadać, ale żadnego aparatu nowoczesnego siły stworzyć nie potrafiliśmy!”

Idę dalej, są i tacy, których olśniewa „czysta” robota NKWD, wspaniała „reżyseria” procesów. Polska ma także swoich kandydatów na polskich Gletkinów.

Epigoni? Kiedy się wojna kończy, kiedy chłopci zaczynają orać swoją ziemię, nagle wybucha jakaś mina, zabija oracza. Ileż takich min nie wybu-

* Irgun, podobnie jak grupa Sterna, była tajną, wojskową organizacją żydowską, walczącą w latach 1935–1948 o stworzenie własnego państwa w Palestynie.

dzień nie wierzy, ale rację na daną chwilę, w danym procesie historycznym, bo jest w tej młodzieży, w każdym razie na odcinku politycznym, wyraźny nurt oportunistyczny. Słowo *faktopriekłonstwo*, wymyślone przez Rosjan, a które oznacza ubóstwienie faktów w przeciwieństwie do jakiegokolwiek teorii czy koncepcji, cechuje tę młodzież. Chodzi jedynie o to, jak się urządzić, żeby można było spokojnie studiować IV wiek, Bizancjum albo Eliota. Przecież i tak wpływu żadnego się nie ma na rzeczywistość. Jest „maszynka ewolucji”. Tutaj działają spopularyzowane slogany marksizmu. A przy tym przecież „byt określa świadomość”, a nie na odwrót, więc świadomość jest wytworem takich czy innych warunków. Jedyne, co jest ważne, to te dziedziny, które nie zawadzają ani o życie społeczne, ani o przekłętą politykę. W każdym reżymie gorzej czy lepiej można studiować matematykę i badać lata urodzenia Goyi* czy Magnasca – jeżeli napiszę pracę o Goyi, trzeba będzie dodać jakieś *chapeau* marksistowskie lub znów może inne, katolickie, zależy od tego, od kogo biorę stypendium. Ale to wszystko nieważne. Ważne jest jakoś przeżyć, na to trzeba dostać stypendium z tej czy z tamtej strony, skąd, to znów nieistotne, aby było. Gdybyż tylko dano się uczyć, dopędzić czas stracony, gdyby można było choć w nauce i sztuce tak się otorbić, żeby zapomnieć wstrząsy i nędzę dzisiejszej rzeczywistości. Oby te wstrząsy nie zniszczyły mozolnie odbudowywanego świata myśli i sztuki.

Ten stosunek do polityki, do społeczności, ironicznie obojętny, a nawet cyniczny, nie jest nowy. Ma wspaniałe precedensy – czy Leonardo, proponując się jednocześnie Papieżowi i Sforzy – swoją sztukę, wiedzę i... plany maszyn wojennych, nie patrzył z tą samą obojętnością czy nawet cynizmem na wstrząsy i walki swego wieku?

Nie wiem, czy ta grupa jest liczna. Pod względem inteligencji jest ona chyba najciekawsza. Mówiłem o nich z wielką goryczą pisarzowi czujnemu, nie-Polakowi.

„Pan nazywa ich »eskapistami«? – zapytał. – Czy pan jest pewny, że tak jest właśnie, a może jest to słuszna i zdrowa reakcja przeciwko nam, którzy opuściliśmy sprawy najważniejsze, wieczne, dla przemijających namiętności politycznych i społecznych. Może oni jeszcze bardziej niż my mają prawo nam stawiać zarzuty »eskapizmu«?”

Przyszłość wykaże, czy ten stosunek do rzeczywistości jest formą ascezy twórczej, czy tylko bezpłodnym komfortem pięknoduchów.

* Pozostawiono pisownię oryginału.

awansowali, byli ogromnie liczni. Trzeba o tym fakcie pamiętać. Na tym również odcinku żalu do starszych, za niewyżycie nawet na drodze wojskowej, nawarstwiło się sporo.

Wracając jednak do typu młodzieży, o której pisałem, twierdząc, że nie są to tylko wypadki kliniczne, że jeżeli ci ludzie stanowią nawet skrajną mniejszość, nie jest to na pewno mniejszość najlichsza. Są wśród nich ludzie naprawdę ofiarni, z głębokim pragnieniem służby, oddania się czemuś, za co warto by umrzeć i żyć, ale broń Boże nie nazywajmy tego wobec nich słowem ideał czy idealizm. Bo na same te słowa błędną ze złości. Zbyt łatwo zsafowano przed nimi takimi słowami.

Cóż w tym nowego? Każde pokolenie musi znaleźć nie tylko swoją własną drogę myślenia, ale i swój własny *w y r a z*. Jeżeli coś tej młodzieży najbardziej zarzucam, to wcale nie jej bunt, ale to, że wciąż jeszcze się pęta w jakiejś negacji wszystkiego. Nawet o dopracowanie się, podbudowanie konsekwentne z ciągłością swoich własnych myśli mozolić się nie umie czy prędzej *n i e c h c e*. Każde pokolenie musi, jeżeli ma istnieć, jeżeli nie chce być zatarte i zdeptane, znaleźć swoje własne słownictwo, dalekie od słów już zbutwiałych, musi szukać nowego stylu. „Wojenne” wykształcenie, zwykle bardziej niż powierzchowne, sprawy te jeszcze komplikuje: ta młodzież nie ma żadnej genealogii. Dla niej całą przeszłością jest bezpośrednie przed nią wyrosłe pokolenie, od którego właśnie chce się odbić. Ale każdy bunt, każda nowa próba ujęcia rzeczywistości musi stworzyć sobie *n o w ą* genealogię, musi się doszukać swego „*w c z o r a j*”, by znaleźć swoje „*j u t r o*”. Mickiewicz ponad sto lat temu mówił, że kto nie przeżył pierwszych wieków chrześcijaństwa, wojen krzyżowych i Wielkiej Rewolucji Francuskiej, nie może być nazywany człowiekiem współczesnym. A Norwid wyraził to jeszcze ostrzej w *Garści piasku*.

„Ten, co od sumienia historii oderwał się, dziczeje na wyspie oddalonej i powoli w zwierzę zamienia się. I ci, co nie podzielili bólesci ani żalu, ani weszli kiedykolwiek w testament żywotów przeszłych, wyklinają się sami na pokolenie nowe, od zwycięskiej prawdy oddalone. Tak iż bywa, że na nowo proroków i na nowo apostołów posyłać im trzeba na noże ich, ażeby powrócili w dawny prąd”.

Ale Mickiewicz, ale Norwid wierzyli w „wszechprzymiotność prawdy”, młodzież dzisiejsza, ta, o której teraz piszę, wierzy jedynie w skuteczność praktyczną, w procesy historyczne i w absolutną względność jakichkolwiek wartości i jakiegokolwiek hierarchii.

Cóż wtedy zostaje, jak nie Mussetowskie „*okropne morze czynu bezcelowego*”?

chłych jest jeszcze w ziemi. Ale czy epigonem był ten młody Niemiec, autor książki *Die Geachteten*, jeden z morderców Ratenaua. On też zupełnie młodziutki, musiał po tamtej wojnie dać sobie radę z problemem klęski, porażki swego narodu. On też próbował tysiąca dróg. Gdy wybrał wraz z przyjaciółmi Ratenaua na ofiarę zamachu, to wybrał go dlatego właśnie, że go uważał za człowieka porządnego, czystego, za autentycznego demokratę. Bo Ratenau mógł mieć wpływ, mógł oczyścić atmosferę nienawiści i planów zemsty. Ernst von Salomon, autor wyżej wspomnianej książki, opisuje tam również walki z Polakami na Śląsku, okrutne bitwy młodych chłopców niemieckich z polskimi powstańcami wśród łąnów żyta, prawie jak orgie rozkoszy zmysłowej. Z tą samą pasją pisze o walkach ulicznych, o strzelaniu do bezbronnych tłumów z karabinów maszynowych. Nie wiem, co się dzieje z autorem, wiem, że przed wojną mieszkał we Francji, w Cagne, że był chory na płuca, liberalizował i zupełnie odszedł od swojego dawnego światopoglądu, ale wiem również, że jako autor tej książki w oczach młodych niemieckich czytelników był jednym z „patronów” hitleryzmu. Więc on nie był epigonem!

Młodzież polska dzisiejsza, która przeżyła klęskę kraju i klęskę Warszawy, jak kiedyś Ernst von Salomon przeżywał klęskę Niemiec, pełna goryczy dla bezsilnych swych „ojców”, szuka dziś sam o t n i e dróg wyjścia. Kto jej pomoże skrystalizować głód walki, ofiary, brutalnego wyboru i heroizmu? Wystrzegajmy się rozpacz y tych ludzi. Może ona ich pchnąć także na drogi najgorsze.

Nasza obojętność w stosunku do tej młodzieży, nasze frazesy podniosłe, które się nam zdają przynajmniej nieszkodliwe, a rzucane na grunt młodości dają reakcje nieoczekiwane gwałtowne, mordercze, ta niewspółmierność t e m p e r a t u r y ich zapytań i naszych odpowiedzi, to wszystko może dać skutki, których nikt z nas nie oczekuje.

Już widzę oburzenie czytelnika: – Pisze pan o wyjątkach czy wypadkach prawie klinicznych, czy pan nie widzi na emigracji grzecznych zastępów, grzecznie się uczących stypendystów lub tłumy młodzieży grzecznie pracującej w angielskich fabrykach. Mało znam tę młodzież. Może rzeczywiście istnieje taka atmosfera, zbożna i karna, nie jestem tego jednak tak pewny. Ten chłopak, który trafił do Anglii i dziś pracuje na uniwersytecie czy w fabryce, wyniósł również wiele stłumionej goryczy, nawet ten, co poza krajem szedł naszym szlakiem wojennym. Pamiętajmy, że w wojsku polskim awans był niezmiernie trudny i niezmiernie powolny, że „wieczni podchorążowie”, którzy pomimo zasług bojowych, wysokiej klasy wiedzy wojskowej, nie

„W ciągu ubiegłego roku poglądy moje przeszły dużą ewolucję. Stałem się stalinowcem. Nie ma prawdy absolutnej, nie ma czynów samych przez się złych i dobrych. Moralność to system współżycia w grupie, prawidła postępowania, »jedna z podstaw świadomości społecznej«. Zależna jest od warunków życia zbiorowego, przy zmianie tychże zmienia się i ona.

Prawie każdy czyn dobry, zdaniem X, jest zły zdaniem Y. Co innego jest słuszne wedle Polaka, co innego wedle Niemca, co innego dla katolika, a co innego dla komunisty.

Życie samo przez się jest zmianą, nieustającym ruchem.

Prawem natury jest, aby głodni i poniewierani napadali na bogatych i sytych.

Dlaczego do głodnych i poniewieranych się zaliczam?

W dzieciństwie byłem pogardzany i popychany, byłem ubogim krewnym w ziemiańskich pałacach. We mnie bezsilnego rodzina wycierała swe humory. W okresie walki podziemnej w poprzek stała mi głupota i skłócenie dowódców. Jako sekretarz komendanta rejonu, pośród kradzieży rzutów, intryg personalnych, mafii walczących kosztem celu, poznałem pod patetyczno-patriotyczną maską prawdziwe pobudki ich działania. Widziałem, jak rozstrzelano pięciu przypadkowo spotkanych w lesie Żydów (uzasadnienie: wszyscy Żydzi pracują w AL). W 1944 roku spędziłem w Pruszkowie parę dni z byłym agentem Wydziału Bezpieczeństwa we Lwowie, który z lubością wspominał tortury stosowane na Ukraińcach, rozwalane cerkwie oraz wypadki na Ruś Zakarpacką (w okresie rozbioru Czechosłowacji) celem zniszczenia gniazd hajdamackiej zarazy, likwidowania działaczy niepodległościowych.

Mówiłem prawdę w oczy, tępieno mnie, znienawidziłem ich. Jaki był przebieg procesu zmian, które we mnie rosły? W 1944 roku cechowało mnie przyjęcie za prawdziwe tego, co mi szkoła i otoczenie do wierzenia podało. W 1945 roku spotkałem ludzi z Lublina, zetknąłem się z partią, do której w imię realizmu *à la* Wielopolski poszedłem z innym światem wartości. W nowe dogmaty nie uwierzyłem, ale zachwiał się stary. Zjawił się Lucjan, też »człowiek czynu«, lecz jakże daleki od wulgarnych karykatur mówiących o sprawiedliwości dziejowej, o epoce szczęścia chłopca i robotnika, o raju panującym w Sowietach. Idee zaszczone masom mają na celu przemienienie tychże w sprawne narzędzie walki w rękach przywódców. Byłem typem »intelektualisty« pełnego zastrzeżeń, bojącego się czynu i akcji. Lucjan przepędził me wahania. Zrozumiałem, iż nie może stać mi się nic złego ani nic dobrego, a w każdym razie nie jestem tego w stanie ocenić. Stracę rękę – być może powiększy to moją zdolność rozumowania, awansuję – być może przyzwyczaję się do nieróbstwa, przepoję iluzjami na temat samego siebie, co stanie się przyczyną bolesnych rozczarowań. Uczuciowość, nieśmiałość ma zmalala w powodzi coraz to nowych wrażeń. Lublin, Warszawa, Wrocław, hotele, nowe twarze i nowe problemy. Władza, pieniądze, koniak, kobiety...”

Ten list, w którym płacze się i wikła ofiarna i szlachetna gotowość przekreślenia siebie, pragnienie czynu z zachwytem dla bezwzględnych, pozbawionych wszelkiego skrupułu, ale skutecznych metod sowieckich, przy jednoczesnym głębokim sceptycyzmie w sens obiektywny *c z e g o k o l w i e k*, to jest świadectwo i »spowiedź dziecięcia wieku«, dziecięcia *n a s z e g o* wieku.

Co da na dalszą metę, jak podziela na takie psychiki w dzisiejszej rzeczywistości polskiej w korbach bezpieki »władza, pieniądze, koniak i kobiety«?

Tematy, które poruszam, nie zdają mi się wcale specjalnie polskie, u nas jednak z powodu sytuacji politycznej, z powodu rozdarcia na kraj i emigrację, z powodu rozproszenia i zatomizowania – specjalnie tragiczne.

Film o Niemczech, wyświetlany dzisiaj w Paryżu, opowiada o chłopcu, który otrął ojca na skutek powiedzenia swego dawnego nauczyciela, że słabych i nieszczęśliwych trzeba likwidować. To samo dziecko, odrzucone przez swych rówieśników w zabawie, zabija się. Melodramat kinowy? Chyba coś więcej.

W tych dniach „Figaro” podało wiadomość, że syn piętnastoletni zabił ojca. Miał mu niewiele do zarzucenia, ale ojciec wykręcał się od płacenia długów, był słaby. *Un homme comme ça n'aurait pas du vivre* – powiedział, oddając się w ręce policji. Ileż takich wiadomości w gazetach. Jeszcze niedawno dzienniki pisały o siedemnastoletnim chłopcu w Polsce, który zabił swą piętnastoletnią przyjaciółkę, a potem poszedł do kina.

„Po co tyle gadania? Krew! Krew niewiele znaczy” – mówi Szretter, jeden z młodzieńskich bohaterów powieści Andrzejewskiego. Mało kto, zdaje się, zauważył w książce tego pisarza strony, poświęcone młodzieży. Ten polonez pijanych „białych” ludzi o świecie, paszkwil na Polskę przeszłą, to światło, rzucone na jedyną postać jasną, na komunistę, czy i jak daleko zaszedł Andrzejewski na linii prorożymowej, o tym się pisało dużo. Ale nie czytałem nigdzie omówienia stron o młodych, którzy, chcąc odbudować „lepszą Polskę”, bawią się w wodzów, wydają na siebie wyroki, mordują się wzajemnie, łamią się i giną. Ci chłopcy nie są przy tym wcale, ale to wcale wyrodkami. Próbuja budować życie nowe, a kształty, które chcą stwarzać, nie mogą nie być tak czy inaczej zapożyczone z tej rzeczywistości, w której żyją i od której chcą się oderwać. Ale *Popiół i diament* to rok 1945, jeszcze istniała walka podziemna, istniały lasy, najświeższa pamięć gestapo. Dziś jest nowa rzeczywistość i nowe reakcje. Dziś już nie ma gestapo, ale jest bezpieka, procesy młodzieży szkolnej, ale też zręczna walka o duszę tej młodzieży. Nie ma już narodu panów, ale jest wizja opanowania globu ziemskiego przez komunizm stalinowski. Któż o nowej rzeczywistości, o dzisiejszych reakcjach mógłby dzisiaj prawdopodobnie napisać. Na pewno nie Andrzejewski, laureat państwowej nagrody literackiej.

Mam w rękach już od roku list z Polski. Opowiadanie młodego chłopca, osiemnastolatka, jak się stał... stalinowcem. Podaję ten list, nic nie zaokrąglając ani nie zamazując zawartych tam uproszczeń i sprzeczności. Nie chciałbym mieć niczym akcentu prawdy i bólu tej spowiedzi nowoczesnego Baryki.

„Nasza ojczyzna – parafiańszczyzna...”

W lokalnym kinie widziałem przed kilku dniami film Wajdy *Popiół i diament*. Nie taję, że gdy nagle z ekranu rozległa się mowa polska, coś mocnego uchwyciło mnie za gardło. Jest w tym coś oszałamiającego, gdy nagle wszyscy zaczynają mówić po polsku.

O filmach Wajdy ukazało się mnóstwo fachowych krytyk. Osobiście z kinem i z telewizją nic mnie nie łączy i jeżeli wspominam ten obraz, to tylko dlatego, że wydaje mi się w pewnym sensie klasyczny. Klasycznie symbolizuje paradoksalność naszej sytuacji. Jest to film doskonały i równocześnie chybiony.

Należy sądzić, że film – zgodnie z tekstem książki – miał spełnić pewną rolę propagandową. Roli tej nie spełnił. Widownia od pierwszej chwili staje bezkompromisowo po stronie Maćka. Szczuka, który wygląda na pocziwego urzędnika pocztowego – budzi letnie współczucie. Rzekomą dynamikę i rozmach nadchodzącej rewolucji reprezentuje gruby, kulawy podtatusiały urzędnik – a kontrrewolucję młodzieniec będący uosobieniem werwy i urody życia. Było coś niezamierzonego symbolicznego w uwypukleniu owego urzędniczego charakteru polskiej rewolucji. Nadchodzące „nowe” trudno było przedstawić mniej romantycznie i mniej pociągająco.

Dla widza konflikt rozgrywa się między młodością – może durną, ale górną – a starym, znużonym aparatczykiem, który nie mówi absolutnie nic ciekawego. Oczywiście młodość musi zwyciężyć, nawet jeżeli Maciek ma polec na śmietniku.

Z punktu widzenia propagandowego owo skonstrastowanie dwóch pokoleń jest czymś absurdalnym. Młodzi – to Polska dawnego stylu z jej bezadziejnym romantyzmem, ale i z jej wielkością, rewolucja – to pokolenie starszych, grubszych panów *à la* Szczuka i Ochab. Taki film mógł tylko po-

Taka młodzież jest także tu wśród nas, w Paryżu, Londynie. Z tym samym, czy z podobnym, chaosem doświadczeń i brutalnych przeżyć.

Cóż im dajemy, my „starcy”, poza głodowymi stypendiami, poza frazesami wzniosłymi i złym snem naszych swarów politycznych?

Narody giną bez wizji – mówi Biblia. Jaką wizję daje moja generacja emigracyjna tej polskiej młodzieży, która chce wiedzieć, dlaczego warto jest nie tylko ginąć – ale i żyć.

Józef Czapski

[1/18/1949]

Dwa klasyczne dzieła o problemie, który jest osią naszego narodowego dramatu – napisali za nas obcy. Mam na myśli książkę Orwella i *Ciemność w południe* Koestlera. Wówczas kiedy nie będzie już śladu z *Pamiętek z Celulozy** – kiedy nasz czas odpłynie wraz z nami – w bibliotekach europejskich miast ludzie sięgać będą po te dwa dzieła, świadczące o naszej epoce.

W pewnym sensie dobrze, że tak się stało, jak się stało. Łatwo sobie wyobrazić, jakby wyglądał *Rok 1984*, gdyby został napisany przez Polaka. Uniwersalizm zostałby zastąpiony prowincjonalizmem – problem ogólnoludzki byłby zdławiony i zdeformowany. Główny bohater powieści byłby „chory na polskość” i wskutek tego, dla całej ludzkości wolnej od tej choroby, zupełnie niezrozumiały. Książka nie nadawałaby się do przekładu na języki obce i dla Europy byłaby stracona.

Jestem przekonany, że gdyby Orwell nie mógł wydać swej książki w Anglii, wydałby ją na Korei albo na księżycu, ale by ją wydał. Z Rosji przyszedł Terc. *Sąd idzie* nie jest arcydziełem, ale przecież jest komunikatem. Pisarz stamtąd chce Europie coś zakomunikować. Z Polski nie przyszło nigdy nic wartego wzmianki. Nikt mi nie wytłumaczy, że nie jest rzeczą możliwą dla pisarza polskiego wydanie książki pod pseudonimem za granicą. Jeżeli jest to osiągalne dla pisarza sowieckiego, to tym bardziej dla polskiego.

Z Polski nic nie nadchodzi, bo nasi pisarze nie mają Europy do zakomunikowania nawet tyle, co Terc. W gruncie rzeczy są ogromnie zadowoleni, że mogą siedzieć w tej prowincjonalnej literackiej kawiarni, która nazywa się Warszawą i Krakowem. I co zabawniejsze, większości z nich wydaje się, że Europa jest nimi ogromnie zainteresowana. Z rozmów z rodakami, którzy odwiedzają Londyn, można by wnioskować, że Eisenhower, Chruszczow, de Gaulle – o niczym innym nie dyskutują, tylko o Polsce. Ten „polonocentryzm” dla kogoś przebywającego od dwudziestu lat za granicą jest wzruszający, ale trudno zrozumiały.

Ale wracajmy do książek. Problemem światowym numer 1 jest Rosja i naszym problemem numer 1 jest Rosja. Czym jest Rosja w zwierciadle polskiej literatury? Czy mieliśmy pisarza, który by w sposób wolny od nienawiści podjął próbę wyjaśnienia Zachodowi, czym jest Rosja? Mówimy o dziele literackim, a nie o broszurach, studiach i szkicach antykomunistycznych, których albo nie czyta nikt, albo bardzo niewiele.

* *Pamiętka z Celulozy* Igora Newerlego jest przykładem powieści socrealistycznej.

wstać w kraju, w którym ludzi okradziono z romantyki prawdziwej rewolucji. Jest ona dla nich wartością nieznaną.

Anglicy nic z tego nie rozumieli. Napisy w języku angielskim dobre i w dobrej angielszczyźnie – nie mogły stworzyć żadnego pomostu między widzami a ekranem. Myślę, że gdyby Cybulski nauczył się po angielsku i gdyby nagrano oryginalną wersję angielską i wówczas publiczność nic by z tego nie rozumiała. Na to, by Anglicy rozumieli *Popiół i diament* trzeba by dla nich napisać specjalną książkę z setką komentarzy. Wówczas byłoby to tak nudne, że trzeba by wyznaczać wysokie nagrody dla tych, którzy zechcą przez to przebrnąć.

Gdy Maciek ginie na podmiejskim śmietniku – to Polak wie, że chodzi o... śmietnik Historii, na którym wylądowali wszyscy, którzy słuchali rozkazów polskiego rządu w Londynie. Ale dla Anglika to jest tylko zwykły śmietnik i na tym kropka. Uczta z polonezem dla nas jest stypą odchodzącej epoki – dla Anglika wschodnią, pijacką burdą i niczym więcej. Tego typu przykładów można zacytować dziesiątki.

Popiół i diament doskonale ilustruje polski paradoks. Potrafiliśmy tworzyć wybitne dzieła, które jednak są niezrozumiałe poza obrębem polskiej prowincji.

Ktoś powie, że od pokoleń jesteśmy uwikłani w narodowym dramacie, który nas pochłania, a obcych zupełnie nie interesuje. Cała nasza twórczość jest uhistoryczniona, a ponieważ cudzoziemcy nie znają polskiej historii – siłą faktu polska twórczość jest im niedostępna.

To jest prawda. Ale wydaje mi się, że rolą naszej literatury i twórczości artystycznej winno być zeuropeizowanie polskiego losu. Jest wiele elementów w naszym „prywatnym” dramacie narodowym, które posiadają wartość ogólnoludzką. Ale tych diamentów nikt nie będzie szukał w popiele polskiego prowincjonalizmu. Owe diamenty muszą być wydobyte na wierzch i tak oszlifowane, by błyszczały tym samym światłem w Warszawie, w Londynie czy w Sydney.

Weźmy dla przykładu centralny problem epoki, to jest komunizm. Gdy przed dziesięciu laty tłumaczyłem dla Biblioteki Kultury *Rok 1984* Orwella – prześladowało mnie uczucie zażenowania i zazdrości. Kto powinien był napisać tę książkę? Polak – oczywiście Polak. Orwell nigdy nie był w Rosji, nie znał i nie mógł znać ustroju komunistycznego tak dogłębnie, jak polscy pisarze. Ale w owych latach polscy pisarze w Kraju albo milczeli, albo fabrykowali „produkcyjniaki” – a pisarze na emigracji albo przekazywali Historii swe bezcenne wspomnienia, albo fabrykowali broszury o Kołymie i Katyniu.

bardzo wątpliwymi znawcami Rosji. Książka Conrada – choć niewolna od polskiego fatalizmu – jest jednak spojrzeniem zachodniego Europejczyka na *the very soul of things Russian*.

Patrzę na te sprawy nieco inaczej niż wielu rodaków, ale pokoleniami mojej rodziny związany jestem ze Śląskiem i Wrocławiem, a nie z Wilnem, Kijowem czy Petersburgiem. Może dlatego wolny jestem od owej dziwnej fascynacji, z której, wydaje się, nie ma otrzeźwienia.

Ale to są uwagi marginesowe. W tej notatce interesuje nas problem europeizacji. Wędrując po bibliotekach londyńskich, zastanawiałem się niejednokrotnie, dlaczego nie wyprodukowaliśmy żadnego bestsellera. Weźmy dla przykładu milionera literackiego Somerseta Maughama. Przez swoje długie życie Maugham napisał nieprawdopodobną ilość powieści, które ciągle się wydaje, sprzedaje i czyta.

Mamy dziesiątki pisarzy starej, świeżej i najświeższej daty, którzy górują nad Maughamem talentem, oryginalnością, głębią. Ale Maugham jest pisarzem światowym, a nasi luminarze są tylko pisarzami polskimi.

Sprawa jest prosta. Pisarz angielski – czy to będzie Somerset Maugham, czy Aldous Huxley – cokolwiek pisze, pisze dla świata. Ma we krwi poczucie światowego rynku czytelniczego. Jego książka musi być komunikatywna nie tylko w Londynie i w Glasgow, ale i w San Francisco, w Tokio czy w New Delhi. Owa uniwersalna komunikatywność bynajmniej nie jest okupiona rezygnacją z oryginalnej, rdzennej angielskości. *Pickwick Papers* są równie rdzenie angielskie, jak rdzenie polska jest *Lalka*. Niemniej Dickens jest czytany do dziś dnia na całym świecie, a Prus nie.

Ileokroć dyskutuje się na te tematy, padają słowa o „misji”, o specjalnej roli literatury polskiej i tak dalej. Można powiedzieć również, że Anglicy nie utracili niepodległości i nie musieli uprawiać motywu „rozdziobią nas kruki, wrony”. Nikt im nie narzucał ustroju komunistycznego i nie musieli bronić Grenady. To wszystko jest prawda, ale nie trafia w sedno.

W praktyce różnice przejawiają się w podejściu do warsztatu literackiego. Polski pisarz – na skutek ukształtowania, na które złożyło się wiele różnorodnych przyczyn – w chwili gdy zasiada do pisania, zwraca się do Polaków i tylko do Polaków. Wszyscy spoza klanu są mu idealnie obojętni. Nie jest istotne, że pisze po polsku. Istotne jest, że pisze polskim szyfrem, który wprawdzie zrozumiały jest dla współplemieńców, ale nie nadaje się do przekładu. To nie jest ani kwestia prowincjonalizmu, ani unarodowienia czy uhistorycznienia literatury. *Serce Amicisa* było powieścią superpatriotyczną i krzepiącą serca (włoskie), a równocześnie światowym sukcesem literackim. Potrafię sobie do-

Sądzę, że jedyną taką próbą, podjętą przez powieściopisarza poważnej rangi, jest *Under Western Eyes* Conrada. Tłumacz i świetny znawca Conrada, Wit Tarnawski, w przedmowie do swego przekładu *W oczach Zachodu* pisze, że Orwell – w odpowiedzi na ankietę „Horizon” w 1947 roku – nazwał *W oczach Zachodu* najwybitniejszą powieścią angielską roku (*Under Western Eyes* ukazało się w roku 1947 w nowym wydaniu).

Nie ulega wątpliwości, że książka Conrada wywarła wielki wpływ na Orwella. Poprzez Conrada – ale tylko poprzez niego – mamy swój udział w Roku 1984.

Osobiście, choć jestem wielbicielem Conrada, nie jestem entuzjastą *W oczach Zachodu*. Fatalistyczna teza, że „tygrys nie zmienia swych pręg, a lampart cętek” – innymi słowy, że Stalin to Piotr Wielki, a NKWD to ochrana* – nie trafia mi do przekonania. Tym ludzie różnią się od tygrysów i panter, że zmieniają swe pręgi i cętki, że zdolni są do ewolucji i fenomenalnego przystosowania. Gdyby było inaczej, nie stworzylibyśmy ani cywilizacji, ani postępu. Ów fatalistyczny pogląd na Rosję jest całkowicie ahistoryczny. Narody zmieniają się analogicznie jak ludzie. Czy dzisiejsi Hiszpanie to są ci sami Hiszpanie, którzy zdumiewali świat rozmachem i przedsiębiorczością, i w których wspaniałym imperium nie zachodziło słońce? A weźmy Żydów. Czy Żydzi w Izraelu, którzy posiadają dziś nie tylko najnowocześniejszą, ale i najbitniejszą armię na Środkowym Wschodzie – są tymi samymi prześladowanymi, przestraszonymi nędzarzami, którzy z Europy Wschodniej i z Rosji w początkach stulecia pielgrzymowali do Palestyny? Dziś są nowoczesnym, dumnym narodem, a z ich kompleksów nabytych we Wschodniej Europie nie pozostało śladu. Każdego, kto był w Palestynie, ta jedna z najdziwniejszych metamorfoz narodowych musiała wprawić w podziw i zdumienie.

Ale według polskiej historiografii wszystko i wszyscy mogą ulegać zmianom, tylko nie Rosja i nie Rosjanie. Dla Razumowa** nie ma zbawienia. Jest to filozofia ciasna i nieludzka. I jest to filozofia czysto wschodnia. Odmaiwając zbawienia Razumowowi, identyfikujemy się z nim – przyjmujemy jego fatalizm *à rebours* – padamy na twarz przed niezmiennym i niezniszczalnym rosyjskim sfinksem.

Nie jest w stanie zrozumieć, kto nie jest w stanie przebaczyć. Często ludzie nie chcą zrozumieć, by nie musieć przebaczyć. Nienawiść gwarantuje nie tylko niezłomną postawę, ale i ignorancję. Dlatego Polacy na ogół są

* Tajna policja polityczna w Rosji carskiej.

** Postać z książki Józefa Conrada *W oczach Zachodu*.

Młoda inteligencja Polski i jej stosunek do Zachodu*

Dzisiejsza młodzież polska, młoda inteligencja, studenci szkół i uniwersytetów, stanowią właściwie już drugie pokolenie wychowane i ukształtowane w warunkach państwa dominowanego przez partię komunistyczną i podporządkowanego Rosji. Za pierwsze pokolenie powojennej Polski uznać należy tych, którzy mieli w 1945 roku 8–16 lat, którzy nie wzięli jeszcze czynnego udziału w wojnie i w ruchu oporu i których poglądy zaczęły się kształtować w ustawicznej konfrontacji całkowicie przeciwstawnych sobie poglądów, filozofii, całej rzeczywistości, jaka zapanowała w Europie Wschodniej w 1945 roku, po jej zajęciu przez Armię Czerwoną.

Z jednej strony dominujący wpływ na to pokolenie miał dom, nacjonalizm wzmożony walką z okupantem niemieckim i powstająca legenda tej walki, bardzo silny w Polsce Kościół katolicki, istniejące wciąż żywe kontakty z Zachodem, głównie z Anglią, z której czynną kampanię antykomunistyczną prowadziła duża emigracja wojenna tam pozostała. Z przeciwnej strony wpływ szedł przez szkołę, coraz poważniej kontrolowaną przez państwo, przez partię marksistowską, przez szereg organizacji i instytucji w tym celu powołanych, radio, prasę... Komuniści starali się wykorzystać naturalną ideowość młodego człowieka, jego bezkrytyczność, a zarazem naturalny w młodym wieku opór w stosunku do domu, rodziców, ugruntowanych autorytetów, Kościoła. Starali się go przyciągać hasłami wolności – to znaczy odcinania się od zakorzenionych tradycji i mieszczańskiego obskurantyzmu

* Artykuł został przez Redakcję „Kultury” opatrzone dopiskiem – dyskusyjny. Ale nadeszła tylko jedna wypowiedź polemiczna: Piotr Kotwicz, *Pokolenie Polski Ludowej. Uwagi na marginesie artykułu B. Zaporowskiego*, nr 9/1965.

skonałe wyobrazić bestseller, którego tłem byłoby małe, polskie prowincjonalne miasto. Ale polskość nie może być jednoznaczna z wyobcowaniem z Europy. Przeciwnie, musi być tak ważna i tak istotna – by była istotna i interesująca dla czytelnika europejskiego. Musi być mniej parafiańska, a bardziej ludzka.

Europejskość nie polega na odgrzewaniu egzystencjalizmu i dublowaniu w wątpliwym wydaniu dyskusji literackich Paryża, lecz na znajomości mentalności rodaków–Europejczyków.

Nieraz zastanawiałem się, jakby potoczyły się losy Miłosza, gdyby został w Polsce. Sądzę, że dla literatury europejskiej byłby stracony. Pisałby nie gorzej niż dziś, ale pisałby szyfrem wyłącznie dla polskiego, krajowego czytelnika. Nie umiałby pisać dla Europy, tak jak dziś umie, i to po mistrzowsku. I nie jest przez to nic mniej polskim pisarzem niż jego koledzy w Kraju. Dla kultury polskiej za granicą swoimi książkami tłumaczonymi na główne europejskie języki zrobił więcej niż wszystkie ataszaty kulturalne PRL razem wzięte.

I jeszcze jeden punkt, który wymaga wyjaśnienia. Istnieje zasadnicza różnica pomiędzy parafiańszczyzną a egzotykiem. Możemy być albo europejczy, albo parafiańscy – nigdy egzotyczni. Natomiast Rosja, Indie czy Chiny nie będą nigdy parafiańskie, lecz zawsze egzotyczne. To jest kwestia wymiaru. Za literaturą rosyjską stoi olbrzymia i tajemnicza potęga i dlatego wszystko, co napiszą Rosjanie będzie tłumaczone, komentowane i podziwiane. Pod każdym względem jesteśmy w gorszej sytuacji niż Rosjanie, nie wyłączając literatury. Ale w podobnej sytuacji jest – powiedzmy – Szwecja, której udział w literaturze światowej jest niepomiaralnie większy niż nasz. Rosjan czytają dla ich rosyjskości. Nas nikt nie będzie czytał dlatego, że jesteśmy Polakami. Będą nas czytali, pomimo że jesteśmy Polakami, jeżeli nasze problemy potrafimy włączyć do problematyki szerszej – jeżeli naszą sprawę zdegradujemy do rangi jednej z wielu spraw europejskich. To jest degradacja pozorna, która niesie z sobą najtrudniejszy awans.

[...]

Londyńczyk

[Juliusz Mieroszewski]

dego człowieka. Partia komunistyczna nie szczędziła na to funduszy, zwłaszcza że w nowej organizacji indoktrynacja i upolitycznienie marksistowskie stało się chlebem codziennym i rutyną.



Okres największego nasilenia stalinizacji w Polsce, lata 1948–1953, były wobec młodzieży, wobec kształtowania młodej inteligencji najbardziej wyrachowane, bezwzględne i konsekwentne w realizacji. Procent młodzieży na wyższych uczelniach popierających rząd i partię szybko wzrastał, nie tylko w danych oficjalnych. Wprawdzie o ile chodzi o czynnych, najbardziej ideowych aktywistów, procent ten był mały, jednak *gros* studentów starało się coraz częściej pokazywać na zebraniach, dyskusjach, na paradach, w manifestacjach i w różnych masowych akcjach politycznych. Takim wykazywaniem się było na przykład w szkołach artystycznych przygotowywanie coraz większych portretów i plakatów na każdą rocznicę i nową uroczystość, stwarzanie niesamowitych karykatur ośmieszających zachodnich polityków i mężów stanu (ulubionymi postaciami byli generał McArthur, prezydenci Truman i Eisenhower, generał Ridgway, Churchill, Adenauer, Ku-Klux-Klan itp.). Studenci szkół teatralnych i filmowych przygotowywali i wystawiali polityczne sztuki i paszkwile wymierzone w Zachód, młodzi poeci pisali wiersze na cześć Stalina, Bieruta, pięciolatek i komunistycznej odbudowy. Atmosfera przypominała wszystko to, co dostrzega się na zdjęciach, w reportażach, w filmach napływających z dzisiejszych Chin.

Nastroje antyzachodnie, prostalinowskie sięgały w Polsce szczytu w okresie wojny koreańskiej i pewnego pogotowia wojennego, które dawało się wyczuć. Służba w armii i dla armii, praca w tajnych instytucjach i laboratoriach politechnik, skierowanie do pracy do fabryk przemysłu zbrojeniowego były najlepiej płatne, dawały największe przywileje i premie, mieszkania, a nawet samochody. Tysiące młodych inżynierów walczyło o te rzeczy (nie wiedzącym podam, że najbardziej skuteczne „ulepszenie” zagłuszające audycje radiowe z Zachodu zostało w tym czasie stworzone przez polskich młodych inżynierów). Humanisci, pisarze, naukowcy dostawali premie, mieli otwarte drukarnie za tworzenie, rewidowanie i przepisywanie nowej historii, literatury, filozofii i życiorysów przywódców partii, za czynny udział w propagandzie wewnątrz i na zewnątrz, w radiu, pismach, w pracy dla zwoływanych stale kongresów międzynarodowych, konferencji pokojowych, festiwali młodzieży.

kraju zacofanego jak Polska, uniezależnienia się od Kościoła i prymitywnego kleru prowincjonalnego, wzywali do czynnego udziału w reformach, do jakich przystępowali i których wiele kraj rzeczywiście potrzebował: reformy rolnej, unowocześnienia wsi, elektryfikacji, nacjonalizacji przemysłu, do walki z analfabetyzmem, a przede wszystkim do odbudowy zniszczonego wojną kraju. Komuniści otwarli możliwość szybkiego awansu społecznego, otwarli szkoły przed masami biednej młodzieży robotniczej i chłopskiej, na którą szczególnie mogli liczyć.

Organizacje czysto komunistyczne jednak, jak Związek Walki Młodych, nie były wciąż popularne w latach powojennych i znacznie więcej młodych ludzi zapisywało się do TUR-u, organizacji młodzieżowej Partii Socjalistycznej, programowo nie tak radykalnej. Wyciągając z tego faktu wnioski, partia rządząca stworzyła nową organizację pod nazwą Służba Polsce, do której teraz należeć musiał każdy i w której hufcach musiał odpracować co najmniej dwa miesiące, zwykle wakacyjne, przy odbudowie Warszawy i innych miast, dróg, mostów, kolei czy przy żniwach.

Związek Harcerstwa Polskiego, który był wciąż organizacją najliczniejszą po wojnie, ze wspaniałą kartą walki okupacyjnej i skupiał przede wszystkim młodzież miast i pochodzenia inteligenckiego, był najpoważniejszym czynnikiem oporu i hamowania komunizacji młodzieży. Ponieważ nie mógł zająć oficjalnego stanowiska politycznego, zarzucano mu bezideowość, gdyż tysiące jego instruktorów i starszyzna należało do Armii Krajowej, zarzucono mu antykomunizm, nacjonalizm, tendencyjne prozachodnie tradycje imperialistyczne, szarpano ustawicznymi procesami o współpracę z zachodnim wywiadem i szpiegostwo.

ZHP liczył się z tradycjami, Kościołem, operował doskonałymi metodami wychowawczymi, stąd jego zlikwidowanie stało się dla komunistów niezbędne. W 1948 roku związek ten został przymusowo zreformowany, członkostwo ograniczone do wieku 8–14 lat, drużyny podporządkowane kierownikom szkół i kierownictwu partii, instruktorzy zastąpieni nauczycielami płatnymi za te dodatkowe funkcje. Zbiórki, obozy, gry i ogniska zaczęły odbywać się teraz wyłącznie pod czujnym okiem partii.

Niedługo potem, po zjednoczeniu partii komunistycznej z socjalistami, stworzono Związek Młodzieży Polskiej, wszechpotężną organizację ogarniającą całą młodzież, do której nienależenie zaczęło grozić niemożnością dalszego kształcenia się, awansu, otrzymania pracy po ukończeniu studiów i tysiącami podejrzeń. Z drugiej strony, organizacja ta zmonopolizowała obozy i wędrowniki, wymianę międzynarodową i wszystko, co mogło pociągać mło-

wania, wykształcenia, od tego „pierwszego pokolenia rewolucjonistów”. Takimi nowymi oczami zaczęto też spoglądać na Rosję, na ten kraj, który przeszedł o ileż straszniejszą gehennę rewolucji, błędów kolektywizacji, walki często na ślepo, często nawet z cieniami kontrrewolucji (tak na przykład dyskutowano wielkie czystki i procesy Stalina przed 1939 rokiem), wykrwawienie się w straszliwej wojnie z Niemcami, wyniszczającej jego kadry i inteligencję.

Oczywiście, wiele spraw było wciąż niezrozumiałych, tajemniczych, niebezpiecznych. Młodzi ludzie woleli jednak takich spraw nie poruszać lub tłumaczyli ich nieujawnianie i konieczność maskowania przez partię sprawami taktycznymi. Przede wszystkim koniecznością aktywnej, bojowej propagandy za wszelką cenę, walki o wpływ i dominowanie nad masami. Przyznanie do każdego błędu w sytuacji takiej ofensywy byłoby przyznawaniem się, rozpamiętywaniem porażek, słabości, a na to nie było czasu. Jedną z tego rodzaju spraw w Polsce była na przykład wciąż powracająca przy różnych okazjach sprawa Katynia. Nieoficjalnie zdawano sobie sprawę, że Katyń był akcją sowiecką. Rozumiano jednak, że najmniejsza słabość, brak stanowiska może w tym wypadku stworzyć niesłychany zamęt w Polsce, dając jakże potężny argument antysowiecki Zachodowi. Kłamstwo oficjalne było najlepszym wyjściem, zwłaszcza że było ono już tak ugruntowane. Tej sprawy nie odważył się nawet postawić Gomułka w 1956 roku, prawdopodobnie ze względu na rosnący autorytet Chruszczowa. No, a sam fakt rozstrzelania kilkunastu tysięcy oficerów polskich przez Rosjan uważano za rzecz coraz bardziej naturalną w warunkach „rewolucyjnych”. Identycznie postąpił Lenin z oficerami carskiej armii w 1918 roku, gdy nie było pewności, czy nie zwrócą się oni w pewnej chwili przeciwko państwu komunistycznemu. Wszystkie rewolucje wymagają krwi, pociągnięć radykalnych, bezwzględnych, nieliczenia się z jednostką, z całymi klasami. Taki charakter miała cała rewolucja 1789 roku, Komuna Paryska...

Tak więc zadaniem młodego historyka było stwarzanie życiorysu bohatera, w który można by wierzyć, na którego wzór można by patrzeć. Odbieranie i analizę naukową pozostawiano następnym pokoleniom. Ten prąd wydarzeń, życia, dyskusji, konfliktów porywał wielu, którzy nabierali głębokiej wiary, przekonania w słuszność ostatecznego celu i dążeń komunistycznego rządu w Polsce. Pamiętam na przykład, kiedy jeden z moich kolegów, student medycyny i aktywny w tym czasie członek komunistycznej organizacji młodzieżowej, poszedł na pięć lat do obozu pracy (kamieniołomy) za fakt należenia do nielegalnej grupy harcerskiej, powiązanej z AK w 1946

Tysiące innych, którzy starali się opierać, krytykować czy sabotować, wyrzucano z uczelni pod byle pretekstem, a nawet wtrącano do więzień. W takim wypadku wystarczał podejrzany list z Zachodu, „zdemaskowanie” przy okazji jakiegoś zebrania, na którym obowiązywała samokrytyka, jakieś okupacyjne czy powojenne powiązania z antykomunistycznym podziemiem, ba, sam fakt świadomości istnienia czegoś takiego i niedoniesienie o tym władzom, sympatie okazane emigracji na Zachodzie, słuchanie radia zachodniego, powtarzanie takich wiadomości, opowiadanie kawałów ośmieszających rząd i partię. Od tych, na których padało podejrzenie, lepiej było odsuwać się jak najszybciej i jak najdalej. Tajna policja i współpracujący z nią agenci znajdowali się na każdym wydziale, w każdej klasie, na każdym zebraniu. W okresie stalinowskim coraz mniej było biernych. Bierność oznaczała trudności w ukończeniu studiów, niezakwalifikowanie do drugiego stopnia i robienia doktoratów, dawała słabe perspektywy na przyszłość, słabe zarobki w fatalnym stanie ekonomicznym kraju komunistycznego. Ludzi nie umiejących się pchać, biernych, wysyłano do miast prowincjonalnych, do ośrodków kraju najbardziej zacofanych, prymitywnych, gdzie nie było mieszkań i warunków bytowych, jakie znajdowali ci wszyscy, którzy mogli się czymś „wykazać”.

W tych warunkach dominującą cechą pokolenia numer 1 w Polsce po wojnie stawał się coraz bardziej brak wszelkich skrupułów, myślenie o własnym interesie, o sobie za wszelką cenę. Cóż jednak mówić, mieć pretensje do młodych ludzi, gdy w poszukiwaniu dobrobytu coraz trwalszej rzeczywistości do współpracy z partią i komunistami dołączali się najbardziej znani pisarze, poeci, naukowcy, profesorowie starszej generacji. Część ich umiała zachowywać godne milczenie lub udzielać się w mniejszych, mniej politycznych imprezach, pokazywano jednak i widziano tych, którzy składali hołdy Stalinowi, wyjeżdżali na placówki dyplomatyczne i konferencje międzynarodowe, podpisywali dokumenty i deklaracje zjazdów, reprezentując Polskę Ludową. O wszystkim, co przeszłe, przedwojenne, stare, zawsze mówiono z krytycyzmem, ironią, do nowego przyzwyczajono się i zaczęto usprawiedliwiać, nawet przed sobą. Błędy, wypaczenia, obozy koncentracyjne uważano za konieczność, zwłaszcza w obliczu walki Wschodu z Zachodem, groźby wojny, sabotażów, szpiegostwa, rewolucji! Młoda inteligencja zaczęła przekonywać się wzajemnie, że terror, prymitywne metody złagodnieją, zmieniają się z chwilą, gdy sytuacja międzynarodowa ulegnie poprawie, a w każdym razie coraz więcej ludzi z wykształceniem będzie wchodzić do aparatu politycznego i partii, zacznie go przejmować od tych bez przygoto-

robotnicy, młodzież z awansu społecznego żyła się z nimi coraz lepiej. Coraz lepiej też rozumiała się wzajemnie inteligencja obu krajów. W roku 1949 zaczęły się wyjazdy na studia do ZSRR, tak zresztą jak i do innych krajów „demokracji ludowych”. W Moskwie, Leningradzie, Kijowie dawano wyjeżdżającym wspaniałe warunki, stypendia i, co ważniejsze, po studiach tych zapewniano im najlepsze stanowiska w kraju. Kandydatów ubiegających się o te wyjazdy było tysiące, partia wybierała setki, najlepszych jej zdaniem.

Rosjanie przyjeżdżali uczyć się do Warszawy, zaczęli budować Pałac Kultury (który znacznie później uznano za dar niefortunny i nie tylko ze względu na architekturę), przysyłali artystów, teatr, grupy baletowe i śpiewacze. Piosenka rosyjska stała się tak popularna, jak polska. O ile dało się odczuwać pustki na zbyt wielu i zbyt nudnych produkcyjnych filmach radzieckich, to bilety teatralne wyprzedawano na tygodnie naprzód; chór Aleksandrowa, Armii Czerwonej biły rekordy frekwencji, występowały na największych stadionach. Pieśń o Wołdze, Moskwie, pieśni wojenne, o Syberii, Bajkale, pionierach stały się przebojami w Polsce, popularnymi do dziś. Zresztą Polska miała „Mazowsze”, „Śląsk”, chór Armii Polskiej i, identycznie, nasze tańce i piosenki były i są masowymi przebojami od Berlina po Pekin.

O ile chodzi o armię i Rokossowskiego, to atmosfera w związku z przejściem przezeń dowództwa nie była najgorsza. Mówił po polsku, był doskonałym specjalistą i zastępował niepopularnego i pogardzanego Żymierskiego. Rokossowski dbał o żołnierzy, poprawił w armii wiele, czego jednak młodzież nie mogła mu przebaczyć, to wprowadzenie okrągłej czapki na miejsce rogatywki. Ciekawe jest przywiązanie do tradycji własnego żołnierza i jego znaków. Opór i niezadowolenie z powodu czapki były tak silne, że pomimo planów ujednolicenia mundurowego wszystkich armii bloku sowieckiego w tym okresie munduru nie zmieniono tylko w Polsce. Komunistyczna armia polska do rogatywki też chyba wcześniej czy później wróci.

Sprawa Wilna i Lwowa, żywa nazajutrz po wojnie, stała się sprawą coraz dalszą, coraz bardziej przeszłą, minioną, straconą. W miarę zagospodarowywania terenów zachodnich i wzrastających perspektyw tych terenów w Polsce, sprawa wschodniej części Polski, przyłączonej do Rosji już we wczesnych latach pięćdziesiątych, przestała być problemem nawet dla propagandy reżymowej, gdyż zbyt wielu pogodziło się całkowicie z utratą. Dotyczyło to zwłaszcza młodego pokolenia. Tym jednak większą rolę zaczęto teraz przywiązywać do Wrocławia, Szczecina i Gdańska. Każde zebranie ziomkostw w Niemczech Zachodnich, każde przemówienie polityków nie-

roku. Wprawdzie w 1946 roku miał tylko szesnaście lat, ale faktu swej przynależności nie ujawnił do 1951 roku. Wyrok przyjął z głębokim poczuciem własnej odpowiedzialności i surowość kary tłumaczył niezbędną koniecznością walki „o nowe, o socjalizm”! Gdy rozmawiałem z nim o Stalinie i jego dyktatorskich metodach, „błędach”, tłumaczył je faktem wieku Stalina oraz otoczeniem ludzi prymitywnych, często nieodpowiedzialnych, karierowiczów. Cóż mówić o moim koledze, kiedy przykład szedł z góry. W „walce”, wydawało się, poświęcano najlepszych ludzi winnych jakichkolwiek przewinień, odchyień, karanych dla przykładu, ludzi, którzy po upadku z najwyższych stanowisk przyznawali się do win z ich pełnym zrozumieniem, przyjmowali najcięższe wyroki skazujące, z wiarą w ich słuszność.

Tak tłumaczyć można było wszystko, sobie i innym.



Cały stosunek do Rosji sowieckiej ulegał szybkim przemianom wśród młodej inteligencji tego pokolenia. Rosjanie byli widziani niechętnie w 1945 roku. Byli brudni, gwałcili kobiety, przypatrywali się z drugiego brzegu, biernie, walce samotnej Warszawy, rabowali, zabrali Wilno i Lwów, wywieźli wszystko z Ziemi Zachodnich przed oddaniem ich administracji polskiej, kontrolowali przemysł, eksport węgla, całą ekonomię, nie mówiąc o policji i armii. Rosjanie jednak jako ludzie, prości żołnierze, nie byli źli. Nie było w nich poczucia wyższości rasowej Niemca-okupanta, można z nimi było żartować, wypić jak z nikiem, robiło się z nimi małe interesy (zwłaszcza w okresie szabru Ziemi Zachodnich), na których zawsze gorzej wychodzili, można ich było łatwo przekupić i jakże łatwo udobruchać, uprosić o byle co. Byli często jak dzieci, które widzą pierwszy raz rower, zegarek, klozet ze spuszczaną wodą. Im więcej było z nimi kontaktów, im dalej rzeczywistość powojenna następowała w kraju, tym lepiej rozumiano ich problemy, niepokoje, obawy przed terrorem. Z wolna zaczęto odczuwać z nimi wiele wspólnego. Byli oni wytworem tego samego, co następowało w Polsce. Specjaliści, doradcy, żołnierze rosyjscy ze swej strony nie dawali specjalnie odczuwać swej wyższości, nawet władzy. Zlecenia odgórne, partia, policja, kontrola były dla nich samych równie groźne, jak dla Polaków. Starali się wykonywać swoje obowiązki, zachowywali się w pracy często sztywno i ciężko, ale poza zajęciami lubili i szukali kontaktu z wszystkimi, którzy chcieli ich zapraszać, gościć i poznać. Jeśli tych kontaktów często nie mieli, to dlatego że Polacy uważali się za coś wyższego i lepszego od nich. Doły,



O Ameryce nazajutrz po wojnie nie wiadano w Polsce zbyt wiele. Wiedziano o Francji, której mit historyczny prysnął w 1940 roku, stąd przez cały okres wojny patrzono jak w tęczę w Anglię. Anglia powojenna jednak, labourzystowska, była coraz słabsza, sprawiała zawód po zawodzie, imperium brytyjskie znajdowało się w okresie najgorszego fermentu i waliło się w ruiny. Marksisci udowadniali słabość systemów zachodnich, kolonialnych, przepowiadali dalszą ich ruinę, wewnętrzne słabości i upadek. Jednocześnie młodzież polska pozbawiona swobodnych kontaktów z Zachodem gościła, oglądała, dyskutowała, spotykała tysiące przedstawicieli tego Zachodu odwiedzających Polskę. Były to delegacje parlamentarzystów i burmistrzów miast angielskich, studentów francuskich i skandynawskich, łaknących poznania tajemniczej Rosji, wędrujących na wschód całymi stadami. Pokazywano im wszystko od najlepszej strony, tłumaczono braki, wzbudzano ich podziw. Do Polski przyjeżdżali naukowcy i intelektualiści, dla których odbywały się kongresy, tysiączne rzesze działaczy pokoju, ludzie o sympatiach prokomunistycznych, przerażonych najmniejszą myślą jakiegoś konfliktu międzynarodowego, krytykujących ustawicznie swe rządy i Zachód, podpisujących protesty i gotowych na każdą formę współpracy z Rosją i komunistami. Kto w tych latach bardziej gloryfikował i bił pokłony Stalinowi, jeśli nie elita kulturalna Francji? Na małym, ciasnym, ogrodzonym dość szczerze podwórku polskim każdy taki apel, akcja, hasło komunistyczne, zwłaszcza na Zachodzie, odbijały się tysięcznym echem i waliły jak obuch w tych, co starali się wewnątrznie opierać, postępować po swojemu, myśleć inaczej. Można było popełnić samobójstwo, jak na przykład Borowski, trudno jednak mieć pretensje do całego pokolenia za to, że nie popełniło go w całości.

O powojennej, nowej fali antykomunistycznej na Zachodzie i w Ameryce, o ocknięciu się społeczeństw zachodnich, o ich wzrastającym dobrobycie zaczęto dowiadywać się w Polsce później, nie na długo przed śmiercią Stalina. Do codziennych programów BBC, które tak działały na kraj w okresie wojny, ale których efekt osłabł po 1945 roku, doszły programy Voice of America, Radio Free Europe, pomijając mniejsze, jak Paryż czy niezbyt poważne, jak Madryt, Ankara, Watykan.

Do głośników siadali początkowo rodzice, starsi, pokolenie wojenne, ustępujące, spychane, zgryzione stratami i klęskami, wszyscy ci odsuwani od studiów, posad, zsyłani na prowincję, znajdujący się w ustawicznym zagro-

mieckich dotyczące tych terenów, każda nieuwaga któregoś z przedstawicieli Zachodu odbijały się szerokim, wręcz historycznym echem po całej Polsce. Komuniści potrafili wykorzystywać każde najmniejsze głupstwo w tym względzie i tutaj sukces ich był i jest do dziś nieomal całkowity. Pamięć wojny, Oświęcimia jest wciąż niesłuchanie żywa, przekazywana i pokazywana. W tym wypadku łączy ona nie tylko pokolenie powojenne, ale ludzi starszego wieku, masy, dzieci najmłodsze. Niechęć do Niemca zaszkodziła i powołanej do życia później Niemieckiej Republice Demokratycznej, z którą kontakty polskie i zrozumienie młodzieży w porównaniu do innych krajów bloku sowieckiego było i jest najgorsze, mimo pewnych wysiłków komunistów w poprawieniu tego zrozumienia.

W sześć, siedem lat od uchwycenia Polski przez komunistów poważna część młodej inteligencji znajdowała się nie tylko pod wpływem rządu ówczesnego, ale faktycznie dla tego rządu i jego programu coraz czynniej zaczęła pracować. Sam komunizm i rozszerzenie wpływów sowieckich wydawały się wówczas nie mieć granic. Chiny znalazły się w rękach Mao, armia amerykańska bezładnie szarpała się na półwyspie koreańskim, Francja traciła Wietnam, rewolty wybuchały na Bliskim Wschodzie, w północnej Afryce, lada chwila oczekiwano ognia w reszcie Afryki, a nawet w Ameryce Łacińskiej. Zachodnie partie komunistyczne, zwłaszcza włoska i francuska, wydawały się rozsadzać najbliższe zaplecza NATO, Stany Zjednoczone dały odebrać sobie monopol broni atomowej i pod administracją Eisenhowera zachowywały się jak stary, chory słoń.

Czekanie na pomoc Zachodu i łudzenie się jego antykomunizmem słabło w Polsce, w miarę jak zdawano sobie sprawę ze znaczenia Jałty, bezsilności emigracji, sytuacji rządu w Londynie, kiedy zakończyła się powojenna fala powrotów z Zachodu do kraju, kiedy widziano jakże często harmonijną współpracę na terenie Niemiec Amerykanów z Rosjanami, kiedy po zlikwidowaniu PSL i ucieczce Mikołajczyka zaczęła się bezkarna rozprawa komunistów ze wszystkim, co nacjonalistyczne, prozachodnie i antysowieckie. To pierwsze pokolenie młodzieży dorastało w momencie tego rozgoryczenia i rozczarowań i trudno je winić za to, że mając do wyboru matury, otwarte uniwersytety i nieograniczoną liczbę czekających posad, wybrało to ostatnie.

no do wierzenia na Wschodzie. Trudno było ich nie szukać coraz częściej, mimo organizowanej i ulepszanej na gwałt sieci zagłuszającej. Z wolna zaczęło się więc gloryfikowanie Zachodu i teraz w pierwszym rządzie Ameryki, zaczęły się też nowe ryzykanckie ucieczki przez żelazną kurtynę, tych zwłaszcza, którzy mogli dostać samolot lub pracujących na statkach.

Przed wszystkim gospodarcza sytuacja Polski była ciężka. Kraj odbudowywał się z trudem, nie zyskał wiele z odszkodowań niemieckich, na których łapę położył Stalin, Rosjanie wywozili na wschód węgiel, gnębiona kolektywizacją wieś nie była w stanie wyżywić pęczniejących powojennym rozrostem miast, brakowało ubrań, latami wyczekiwano mieszkań, komunistyczne plany załamywały się i nie były wykonywane, obietniczki złotych gór po przeprowadzanych reformach były dalsze niż kiedykolwiek. Co gorsza, wzrastał terror, podejrzania, nieufność, warstwa uprzywilejowanych w rządzie w Warszawie stawiała się coraz mniejsza i odgradzała się coraz szczelniej od reszty, rozumiała kraj coraz gorzej. Stypendia na studiach wobec inflacji nie starczały na podstawowe potrzeby, domy akademickie były coraz pełniejsze, a z braku remontów w coraz gorszym stanie, pensje młodych lekarzy, prawników, nauczycieli, inżynierów nie starczały na minimum egzystencji i zakładanie rodzin, coraz więcej ludzi spychano na prowincję, gdzie stawiali wobec ciężkiej rzeczywistości i braków, którym im kazano zaradzić, stawiali wobec argumentów ludzi tam żyjących, na które nie miał odpowiedzi nikt. Odpowiedź tu na wszystko miał tylko Zachód i jego propaganda radiowa.

Gdy odszedł Stalin i elita na Kremlu zaczęła się chwiać, gdy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej brakło Bieruta, nastąpił rozkład. Przedtem jeszcze proces ten ogarnął Związek Młodzieży Polskiej, w którym przestano przestrzegać dyscypliny, opuszczano zebrania, na których nie było o czym dyskutować, a na mówienie prawdy nie było tu miejsca. W międzyczasie radiostacje zachodnie zaczęły podawać zeznania Światły, które odarły partię z reszty autorytetu, a młode pokolenie pozbawiły reszty złudzeń.

*

Pokolenie to jednak było już zbyt odległe, inne od pokolenia poprzedniego, by rozumować i identycznie spoglądać na świat. Nawrót do przeszłości zawsze jest trudny, zwłaszcza w sytuacjach takich, jaka zaistniała w Polsce w 1955 i 1956 roku. Stąd młodzi ludzie zaczęli gorączkowo organizować kluby i koła dyskusyjne, na których jawnie lub półjawnie wymieniano spostrze-

żeniu, podejrzeniu, wyczekujący wciąż pomocy z nieba, odwrócenia cudem świata zachodniego przeciw komunizmowi. Programy, zwłaszcza te wielogodzinne, trafiały na dobry grunt, grunt wciąż świeży i niepewny pod nogami nowej klasy. Teraz dopiero dowiadywano się czegoś więcej i lepiej o USA, polityce, armii, ustroju tego kraju, zaczęto rozumieć jego sprawy, żyć z nimi, dostrzegać takie czy inne tendencje polityczne, cele antykomunistyczne uważać za swoje. Cieszono się ze wspianego manewru taktycznego McArthura pod Inchon, zaczęto znów liczyć na niektórych przywódców amerykańskich, niektórzy obiecywali sobie wiele po twardej postawie Dullesa i fali antykomunistycznej maccartyzmu w Ameryce (maccartyzm tłumaczono zawsze w Polsce jako dowód prężności antykomunistycznej Kongresu). Programy zachodnie zaczęły przemawiać do robotnika polskiego, który miał radio, ale który za swoje zarobki nie mógł ubrać siebie i dzieci, przekonywały gospodynie i matki stojące w kolejkach po mięso i chleb, docierały do katolickiego chłopca, któremu zabierano ziemię, zmuszano do przymusowych dostaw i zabraniano pielgrzymek na Jasną Górę, dawały ustawiczne porównania z Zachodem, ze stopą życiową krajów Europy Zachodniej, zaczęły stwarzać nowe mity, potrzebne do opierania się zalewowi nudnej, prymitywnej na prowincji prasy codziennej i audycji radia krajowego. Nastroje stały się radośniejsze, zaczęły krążyć kawały, te z kabaretu Hemara i inne, lokalne. Partia, Rosjanie nie mogli ich początkowo zrozumieć i nie od razu pojęli grozę odwracającej się sytuacji. Potem zaczęły nadlatywać baloniki z materiałami antykomunistycznymi. Niewiele ich docierało do Polski i dostawało się do rąk ludzi, ich efekt psychologiczny jednak był niesamowity.

Młode pokolenie, inteligencja, ludzie na dobrych stanowiskach w Warszawie i innych dużych miastach, studenci przeciwstawiali się całej tej fali początkowo tak, jak im kazano i tak, jak do tego byli przyzwyczajeni. Kłócili się z rodzicami, wyszydzając ich naiwną wiarę w Zachód, wyłączali głośniki, zorganizowali własny program, słynną „Falę 49”, udowadniali bezna dziejność samej tylko krytyki polskiej rzeczywistości, bez przeciwstawiania jakiegoś realnego programu, co cechowało ton propagandy zachodniej, widzieli często bezpodstawność niektórych audycji, ich czysto propagandowy charakter, nie rozumieli też, tak jak pokolenie starsze, ducha, atmosfery, nawet języka ludzi przemawiających przez mikrofony Monachium, Nowego Jorku i Londynu. Wobec nawału wydarzeń, konfliktów światowych, wiadomości radiostacji zachodnich były jednak bardziej obiektywne, prawdziwe, komentarze bardziej trafiające do przekonania niż to wszystko, co podawa-

jeszcze w intencji wyzwolenia Europy Wschodniej od komunizmu przez Amerykę przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Jakież lepszej okazji Zachód mógł się jeszcze spodziewać?

Do końca 1957 roku obawiano się jeszcze w Polsce nawrotu stalinizmu. Zamknięte zostało „Po prostu”, wprowadzać zaczęto cenzurę, zabroniono działalności organizacji młodzieżowych powstałych w okresie polskiego Października oraz wielu klubów dyskusyjnych, rozproszono kilkakrotnie demonstracje studentów protestujących przeciw tym niepopularnym krokom władz. Reorganizacja policji wpłynęła jednak na zelżenie terroru i możliwość dalszego swobodnego wypowiedzania się. Strajki górników na Śląsku, tramwajarzy w Łodzi, stoczniovców w Gdańsku kończyły się na perswazjach, zniesienie przymusowej kolektywizacji i rozwiązanie większości istniejących „wspólnot” poprawiło sytuację na rynku. Rząd rozpoczął umiejętnie manewry pomiędzy Wschodem i Zachodem, wykazywał pewną niezależność w ONZ, zawarł umowę gospodarczą oraz w sprawie repatriacji z ZSRR, otrzymał pożyczkę z USA, zezwolił na wyjazdy turystyczne na Zachód oraz zaczął wydawać więcej paszportów tym, którzy mieli rodziny na Zachodzie. Mimo kilku pierwszych, masowych ucieczek przy okazji tych wyjazdów, chętnych do opuszczenia na stałe kraju było, jak się wkrótce miało okazać, mniej niż można się było spodziewać.



W piętnaście lat po wojnie i w okresie Października zaczęło dochodzić do głosu w Polsce drugie pokolenie powojennej młodzieży. Pokolenie to zdawało matury i zaczęło zapełniać uczelnie wyższe w okresie upadania tak zwanego „mitu Stalina” czy „kultu jednostki” oraz w okresie rodzenia się nowego „realizmu polskiego”. Młodzież ta nie odczuła już w takim stopniu terroru i była od samego początku bardziej praktycznie przygotowana do marksizmu i jego doktryn, potrafiła lepiej manewrować, poruszać się i oddychać w systemie komunistycznym. Partia, organizacje społeczne i polityczne, a nawet tajna policja dla tych ludzi nie były już groźną koniecznością, ciałem obcym, narzuconym z góry, jak były nim dla poprzedniego rzutu inteligencji, a czymś naturalnym, do czego przynależność traktowano jako konieczność czy nawet korzyść w określonych wypadkach i czego można wypróbować metodami unikać. Takie zwłaszcza organizacje jak ZMS młodzież ta starała się na własną rękę formować, reorganizować i dostosowywać do własnych potrzeb, jak sport, turystykę, zabawy. Sam ZMS nie zabra-

zenia, dyskutowano sytuację międzynarodową i rzeczywistość polską. Tworzyły się grupy radykalne, prozachodnie i grupy prosowieckie z tych najbardziej związanych materialnie z reżymem. Większość jednak szukała jakiegoś „złotego środka”, nie dopuszczała możliwości nagłego upadku ustroju socjalistycznego w Polsce, uważała jednak za niezbędne daleko idące reformy polityczne, a nawet obalenie monopolu partii komunistycznej i konieczność systemu wielopartyjnego. Nade wszystko zaś ludzie przy każdej okazji przytaczali przyniatające dowody beznadziejności gospodarczej, do jakiej doprowadziły rządy stalinowskie. Pismem dnia stało się „Po prostu”. Zamieszki w Poznaniu, ślepe miotanie się komunistów i Komitetu Centralnego partii, rozbiecie podobnymi debatami aktywu, powiększyły ferment. Na bieg wydarzeń coraz większy wpływ zaczęły mieć teraz słabo już kontrolowane masy niezadowolonego społeczeństwa. Rozkaz strzelania do tłumów w Poznaniu zaważył na nastrojach armii. Wojsko, elewowie szkół oficerskich, zaczęli dołączać się masowo do dyskusji i politykowania. Wizyty sowieckiego politbiura, naciski i pogroźki zwróciły ogólne nastroje przeciw Rosji, w której teraz dopatrywano się przyczyn wszelkiego zła. Zaczęto myśleć o pomocy Zachodu, jej realności w świetle wypowiedzi J. F. Dullesa. Co przeczorsiejsi wzywali do ostrożności, liczenia się z potęgą i desperacją sowiecką. Gdyby jednak nie Budapeszt i walki na Węgrzech, które ostudziły nieco zapęły, do wybuchu doszłoby w Polsce z całą pewnością. Wybuch ten mógł nastąpić lada dzień z lada okazji, zwłaszcza takich, jak presje sowieckie i fermenty w fabrykach czy armii polskiej. Szczęśliwa w wyniku, acz najbardziej ryzykowna wizyta Chruszczowa i towarzyszy 19 października 1956 roku i ustępstwa poczynione Gomułce odroczyły groźbę tragedii. Potem sam Gomułka zaczął od niezwykle silnych akcentów antystalinowskich i antysowieckich, od oficjalnego wydalenia wszystkich doradców sowieckich z Polski, od odmowy wysłania węgla do Rosji. Czołgi sowieckie w Budapeszcie, zasadzka na Pal Maletera, a przede wszystkim całkowita bierność zaskoczonego rozwojem wydarzeń Zachodu i propagandy zachodniej – dokonały reszty. Rozgoryczeni byli nie tylko Węgrzy. Co najgorliwsi młodzi ludzie w Polsce zaczęli organizować pomoc lekarską i żywność dla ludności węgierskiej. Transportom na większą skalę przeszkodziła Czechosłowacja. Dyskusje odbywały się w dalszym ciągu. Wzrastał jednak cynizm. Nieudolność interwencji sueskiej, a zwłaszcza nacisk Ameryki na Anglię wobec pustych gróźb Chruszczowa stały się dodatkowymi dowodami tego, że na Zachód i USA, tak jak i w 1945 roku, nie można liczyć. Fakt ten rozumiała nie tylko młodzież, ale tym razem już całe społeczeństwo, wszyscy ci, co wierzyli

Tego rodzaju szykany różnią się jednak dalece od terroru sprzed piętnastu lat, kiedy za najmniejszy sprzeciw groziły obozy przymusowej pracy, a za posądzenie o współpracę z Zachodem nawet wyroki śmierci. Teraz na antyintelektualizm partii odpowiadać można kawałami, otwieraniem nowych, początkowo praworządnych pism, stosowaniem tysięcy trików. Ponadto w tej walce, w dyskusji, poszukiwanie nowych realnych programów, nowej filozofii czy „nowego oblicza socjalizmu” odbywa się w Polsce bez przerwy. Identyczne procesy daje się odczuwać w całej Europie Wschodniej; jedne społeczeństwa są w tym procesie bardziej zaawansowane, inne mniej, co najważniejsze jednak, ideologiczna presja Rosji i skostniałego kiedyś komunizmu sowieckiego na te społeczeństwa osłabła do tego stopnia, że przed poszczególnymi krajami tak zwanych demokracji ludowych otwarła się po raz pierwszy od wojny szansa własnego kształtowania swych wewnętrznych spraw. Mało tego, w procesie zmian ekonomicznych, „dyskusji” ekspertów marksizmu, dogmatyczny, stalinowski do niedawna Związek Sowiecki wyprzedza niejednokrotnie szereg swych krajów satelickich. Rodzime partie komunistyczne w tych krajach, nie mogące liczyć na oddolne poparcie własnych społeczeństw, są ostrożne w eksperymentowaniu, obawiają się nieoczekiwanych efektów najmniejszych reform, no i, bazując na starym aparacie stalinowskim, właściwie nie są w stanie inicjować reformy. Rozdźwięk między partią a młodym pokoleniem, młodą inteligencją, studentami uniwersytetów czy szkół wyższych polega głównie na tym, że partia rządząca, komuniści, nie wiedzą teraz, jak przyciągnąć i pozyskać to pokolenie w takim stopniu, jak zrobili to zaraz po wojnie. Młodzież dzisiejsza ma sama więcej doświadczenia i wiedzy o socjalizmie, potrzebach kraju, błędach i wypaczeniach, okresie stalinizmu i o innych krajach bloku wschodniego niż przeciętny aktywista partyjny. Młodzież ta ma własne zdanie i własne poglądy na te sprawy. Prymitywne metody komunistów ośmieszają ich w oczach młodej inteligencji i obecny rząd uważa się po prostu za fatalny, nieudolny, za coś, co prędzej czy później musi być zastąpione, o ile sytuacja ma się rzeczywiście poprawić.

Inny jest oczywiście stosunek tych ludzi do samego socjalizmu, pewnych zasad gospodarki planowej i tych wszystkich reform i przemian, które stały się w Polsce po dwudziestu latach faktem dokonanym. Pokolenie wyrosłe w tych dwudziestu latach dyskutuje na temat dalszych zmian i reform systemu, ale nie wyobraża sobie na przykład przekreślenia wszystkiego, nieposiadania otwartej dla wszystkich edukacji wyższej, powszechnej służby zdrowia, tanich książek, ba – komunikacji miejskiej czy mieszkań. Narzeka ono

nia do dziś wielu rzeczy, jak to czynił kiedyś ZMP (jazz, moda zachodnia, mówienie o krajach kapitalistycznych, wyjazdach na Zachód itp.), toleruje swobodną wymianę poglądów i dyskusje, nie zmusza członków do większych akcji społecznych i prac wakacyjnych. Mało tego, panując nad sytuacją w stopniu nieporównanie większym niż kiedyś, młodzież dyskusji politycznych na ogół unika, nie lubi ich, przedkłada zabawę, taniec i *parties*. Za to z drugiej strony, ponieważ w Polsce jest coraz mniej posad i wymagania fachowe wzrastają, o dostaniu się na uczelnie, o studiach, dalszej pracy naukowej coraz bardziej decydują same zdolności, wyniki egzaminów i nauki, a nie, jak kiedyś, przede wszystkim pochodzenie społeczne, postawa polityczna czy przynależność organizacyjna. Pokolenie dzisiejsze ma też lepszych nauczycieli, stoi na wyższym poziomie, daje wyraz większym potrzebom, wymaganiom materialnym i kulturalnym.

Obalenie w 1956 roku mitów stalinowskich i stworzonych przez komunistów autorytetów doprowadziło do atmosfery lekceważenia wszelkich w ogóle autorytetów odgórnych, programów politycznych, haseł czy planów produkcyjnych. Te rzeczy są do dziś dla młodych ludzi w Polsce propagandą, „mydleniem oczu”, czymś, czym nie warto poważniej zawracać sobie głowy poza biurem czy uczelnią. Sama partia i jej ideolodzy znajdują się wciąż w okresie kryzysu; niemożność stosowania starych szablonów, dogmatycznego interpretowania każdej sprawy, konieczność operowania rzeczowym argumentem, dyskutowania podstawowych spraw, odpowiadania na ustawiczne zarzuty o doprowadzenie do tak fatalnego stanu ekonomicznego – odbierają partii moralną inicjatywę. Co gorsza, komuniści w Polsce utracili w 1956 roku *gros* współpracującej już z nimi inteligencji i intelektualistów; pisarze, naukowcy, nawet dziennikarze, o ile nie krytykują w dalszym ciągu bardziej lub mniej otwarcie partii, są w większości swej wobec niej bierni. W swej bezsilności partia Gomułki zamyka bez przerwy coraz to bardziej „radykalne”, czyli krytyczne wobec porządku marksistowskiego pisma, węższy za kontaktami i bezpośrednimi wpływami kulturalnymi Zachodu, organizuje procesy przyłapanych na przewożeniu takiej czy innej „niebezpiecznej literatury” czy, co gorsza, eksportujących to, czego wydawać w kraju nie pozwala, przeprowadza różne demonstracyjne szykany wobec tych grup, które przeciwko „przekręceniu śruby” protestują, podpisując apele, wysyłając listy na Zachód itp. W każdym razie stosuje też politykę niepublikowania przez państwowe domy wydawnicze wszystkiego tym wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób się „narazili”.

akademickie (zwłaszcza techniczne) czy produkty ludowe, eksportowane źle i za słone ceny przez reżymową Cepelię.



Jak wygląda ostatnio, jak kształtuje się teraz stosunek tej młodzieży do Zachodu?

Tak jak w okresie renesansu Italia, później Francja, a w okresie ostatniej wojny Anglia, tak dziś z krajów zachodnich – tych wzorów państwowych i gospodarczych – krajów przede wszystkim dobrobytu na czoło wyszła... Ameryka.

Złożyło się na to wiele przyczyn. A więc upadek Francji w 1940 roku i prestiżu mocarstwowego Anglii w latach powojennych, świadomość pomocy udzielonej przez Amerykę po wojnie Europie Zachodniej i świadomość tego, co Polska straciła, odrzucając w 1947 roku plan Marshalla, dalej świadomość przetrwania potęgi amerykańskiej nad agresywnością sowiecką nie dzięki sile militarnej Ameryki – z niewykorzystania której w 1945 roku, potem w okresie blokady Berlina, ofensywy ochotników chińskich znad Jalu czy powstania w Budapeszcie zdaje sobie sprawę każde dziecko na Wschodzie – ale dzięki potędze ekonomicznej tego kraju. Taki chociażby dolar od czasów wojny stanowił walutę, środek najlepszego lokowania oszczędności. Kto miał dolary w butelce zakopane w piwnicy czy „pod gruszką” w ogrodzie, mógł śmiało spoglądać na piętrzące się trudności. Dolarem handlowano, według niego obliczano wszystko, co miało wartość w okresach załamujących się pięciolatek stalinowskich i wszystkich reform finansowych w stałej inflacji złotego, dolary przesyłane na specjalne konta PKO oznaczały nieosiągalne na rynku lekarstwo, możliwość dostania mięsa i tłuszczu w okresach największych braków, potem możliwość przyzwoitego ubrania się, kupienia dzieciom cytryn czy kilku pomarańczy; dolary oznaczały remont walącego się dachu czy możliwość kupienia cegieł na podkarpackiej wsi opierającej się kolektywizacji, nie mówiąc już o jakże pożądanym skutkach, samochodach czy wyjazdach turystycznych i w „odwiedziny” na Zachód, możliwych przede wszystkim za przesłane waluty obce. Posiadanie dolarów w bankach zachodnich oznacza dziś dla Polaka coś, na co mogą sobie oficjalnie pozwolić tylko niektórzy pisarze, inżynierowie sprzedający tu czy tam jakieś patenty, architekci wygrywający jakieś konkursy czy studenci i naukowcy uzyskujący stypendia na Zachodzie.

na braki, będzie robić w najbliższym czasie wszystko, by poprawić sytuację mieszkaniową, polepszyć zaopatrzenie rynku, obalić instytucje hamujące wzrost produkcji towarów konsumpcyjnych i ich rozprowadzanie, będzie walczyć o przywrócenie inicjatywy prywatnej na większą skalę w rzemiośle, drobnej wytwórczości, handlu detalicznym, nie mówiąc o wsi, która w największym stopniu oczekuje z wejściem na rynek, oczekuje na nowe, odgórne, liberalne decyzje. Nade wszystko zaś przed pokoleniem Polaków, dziś biorących w swe ręce losy kraju, staje, jak nigdy dotąd, konieczność zwrócenia się na Zachód i czerpania stamtąd tego wszystkiego, co doprowadziło kraje Europy Zachodniej do obecnego rozkwitu i dobrobytu.

Nikt nie zmusza już teraz w Polsce specjalistów, studentów i naukowców do ślepego naśladowania Rosji. Odwrotnie, każdy widzi, że ta sama Rosja robi teraz wszystko, by jej stosunki z Zachodem były jak najlepsze.

Hasło koegzystencji oznacza dla Polski nie tylko zielone światło dla coraz liczniejszych wyjazdów turystycznych i „zawodowych” do krajów zachodnich, ale oznacza otwarcie możliwości wymiany kulturalnej, staranie się o stypendia na uczelniach zachodnich, wysyłanie studentów, naukowców i pisarzy na Zachód, przekładanie wszystkiego, co się da z literatury zachodniej, literatury pięknej i fachowej, nadrabianie wieloletniego zamknięcia spowodowanego wojną, żelazną kurtyną i wszystkimi z tym związanymi konsekwencjami.

Mimo zahamowań, ustawicznego gryzienia się z czynnikami urzędowymi i aparatchykami o wizy, wstrzymywania różnych programów, jak Rockefellera czy Forda, oraz starania partii o faworyzowanie za wszelką cenę i wysyłanie własnych ludzi – w dzisiejszej Warszawie jest coraz więcej identycznie kolorowych, nowoczesnych domów co w Turynie czy pod Paryżem, widzi się często znacznie ulepszone modele zachodnioniemieckich czy szwajcarskich elektrowozów na kolejach, wzory skandynawskich mebli, nie mówiąc o odzieży, modzie damskiej, obuwiu. Z drugiej strony coraz liczniejsi malarze polscy wystawiają na Zachodzie, jeździ nie tylko „Mazowsze”, ale i teatry; wyroby Cepelii, dywany, ceramika znajdują coraz większy zbył w Danii i Szwecji, a o ile jest tego wciąż mało – odczuwa to dzisiejsze pokolenie w Polsce dość boleśnie jako dyskryminację „ich” Polski i ich własnych wyrobów. Bo to pokolenie do tego stopnia już utożsamia się ze swoim krajem między Odrą i Bugiem, że w spotkaniach z przyjeżdżającymi z kraju można znaleźć wspólny język, krytykując rząd, partię, propagandę i całą fatalną gospodarkę wschodnioeuropejską, ale trudno dojść do czegokolwiek, próbując „naruszania” takich rzeczy, jak literatura, film, sport polski, wykształcenie

Ameryce, a kierunek przemian, do jakich zmierza – Wspólny Rynek, plany i pociągnięcia de Gaulle'a – są w Polsce jeszcze zbyt mało odczuwalne, niezbyt jasne. Tak Francja, jak i Włochy wciąż są dla ludzi na wschód od Łaby krajami politycznie niestabilizowanymi, ponadto wciąż żyje obawa Niemiec Zachodnich i wzrostu ich niekontrolowanej potęgi militarnej. Entuzjastyczne artykuły niektórych publicystów emigracyjnych o jednoczeniu się Europy Zachodniej niewiele tu pomogą, iluż ludzi je bowiem w Polsce może czytać?



Dla komunistów obalenie mitu USA w Polsce, jakże niebezpiecznego dla nich, stało się teraz zadaniem naczelnym. Nie będąc w stanie przeforsować własnych ludzi na wyjazdy stypendialne i wymianę kulturalną oraz na kontrolę tych programów, czynniki rządowe wybierają wyrzeczenie się obiektywnych korzyści płynących z darowanych funduszy. Rząd Gomułki wyrzekł się, uniemożliwił korzystanie z jakże potrzebnej krajowi amerykańskiej pomocy ekonomicznej i pożyczek, przywrócił ostrą cenzurę listów i wszystkiego, co płynie zwłaszcza z Ameryki. Z drugiej strony stara się on maksymalnie i na niesłychaną skalę rozpowszechniać wszystko to, co godzi w dobre imię tego kraju, w jego instytucje, ustrój społeczny i ekonomiczny, pokazuje w jak najczarniejszym świetle konflikty wewnętrzne. Aparat propagandowy, prasa reżymowa, audycje radiowe, telewizja, wszelkie najbardziej prowincjonalne publikacje pełne są tego rodzaju wiadomości o Ameryce i nawet korespondencji z Ameryki od specjalnych wysłanników, stałych korespondentów czy agentów przemycanych w ramach „wymiany kulturalnej”. Każde dziecko w szkole w Polsce wie natychmiast o każdej demonstracji i proteście związanym ze sprawami rasowymi, ogląda zdjęcia przedstawiające najmniejsze zamieszki w Harlemlu, jest zmuszane do dołączania się do protestów z powodu każdego zabójstwa na tle rasowym czy podciąganego pod sprawy rasowe (ostatnio na przykład do statusu Lumumby awansował Malcolm X). Akcje liberałów amerykańskich, krytyczne wypowiedzi intelektualistów, pisarzy czy dziennikarzy z W. Lippmannem na czele, wszystko to, co jest w najmniejszym stopniu opozycyjne w stosunku do posunięć politycznych rządu federalnego, amerykańskiej polityki zagranicznej, Wietnamu, Chin, Konga, Kuby, Panamy, jest podawane *in extenso* i niesłychanie sprytnie interpretowane. Na wschodzie Europy komuniści stwarzają teraz obraz Ameryki jako kraju olbrzymich sprzeczności: z jednej strony dobroby-

Prestiżu Ameryce dodało przyjęcie w 1956 roku tysięcy uchodźców z powstania węgierskiego, udzielenie pomocy gospodarczej Polsce, budowa szpitala dla dzieci pod Krakowem, nie mówiąc o Polonii amerykańskiej, której charakter, liczbę i wpływ na politykę USA w stosunku do Polski wciąż się w kraju przecenia.

Po Eisenhowerze, który swą prezydenturą zawiódł Europę Wschodnią i szczególnie Polaków, prezydentura Kennedy'ego stała się szybko błyszczącą gwiazdą. Błyszczała ona dzięki ustawicznemu przeciwstawianiu prezydenta i jego żony bombastycznemu Chruszczowowi i jego Ninie, starającym się robić furorę w świecie. Chruszczow, którego autorytet w Polsce starały się za wszelką cenę ugruntowywać czynniki oficjalne, wzbudzał śmiech i był powodem powstawania tysięcznych anegdot. Kennedy zdobył sobie szacunek szeregiem znanych posunięć, nie mówiąc o jego umiejętnym rozstrzygnięciu kryzysu na Kubie. Śmierć prezydenta w Dallas odczuł każdy niemal Polak jak śmierć osoby najbliższej, najdroższej i w zamachu tym do dziś podejrzewa się w Europie Wschodniej spisek komunistyczny.

Nic więc dziwnego, że wizyty wszystkich przedstawicieli USA w Polsce, Boba Kennedy'ego, ministra Gronousky'ego, każda wystawa w ramach wymiany kulturalnej, pawilon amerykański na Targach Poznańskich – cieszą się tak olbrzymią popularnością i są tak oblegane. Kiedyś, w okresie najbardziej ponurych dni stalinowskiego terroru, flaga amerykańska powiewająca codziennie na gmachu ambasady USA przy Alejach Stalina (obecnie znów Ujazdowskich) dla wielu była symbolem antykomunizmu, wolnego świata. Ludzie chodzili na nią popatrzeć z daleka, niektórzy jadąc w autobusach do pracy, zdejmowali przed nią czapki, jak to czyni się wciąż w Polsce przed kościołami. Dzisiaj ta flaga symbolizuje państwo o najsilniejszym ustroju gospodarczym, w którym ludzie mogą nabywać samochody, nie mają kłopotu z ubieraniem się, znalezieniem mieszkania, mięsa w sklepie czy setek innych rzeczy i drobiazgów. Flaga ta symbolizuje kraj, w którym żyją miliony dobrze prosperujących rodaków, z których wielu spotyka się w sezonie letnim przyjeżdżających w odwiedziny do Polski. Wyjeżdżający do Ameryki na stypendia i z wizytami wracają zawsze doskonale zaopatrzeni i opowiadają cuda. A o ile opowiadają coś innego czy krytykują, nie wierzy się im, jak nie wierzy się oficjalnej propagandzie antyamerykańskiej. Prestiż Ameryki jest zbyt potężny w tej chwili w Polsce. I zbyt ludziom potrzebny.

Oczywiście znacznie więcej Polaków wyjeżdża, widzi kraje Europy Zachodniej, ale może dlatego spogląda na te kraje bardziej krytycznie. Zresztą o Europie Zachodniej wciąż każdy wie, że wszystko, co ma, zawdzięcza

ludzie wyrosli w innych warunkach, w innej epoce, mają o ileż lepsze własne dowcipy, powiedzenia i satyrę, która coraz bardziej zaczyna płynąć w odwrotnym kierunku – z kraju na emigrację – najlepiej ukazując charakter tego nowego pokolenia i jego codziennych spraw. W Polsce dziś, dzięki ustawicznym kontaktom z Zachodem, stałym wyjazdom, dzięki przyjacielom, jakich coraz więcej mają Polacy wśród cudzoziemców, w inny sposób szuka się odpowiedzi na podstawowe pytania dotyczące sprawy „my i oni” czy „Wschód i Zachód”. Przede wszystkim szuka się jak najbardziej rzeczowych odpowiedzi i łaknie nade wszystko faktów. Dlatego dzisiejsi słuchacze radiostacji zachodnich chcą jak najwięcej wiadomości, normalnych dzienników i komentarzy politycznych z tym związanych. Ci, co znają obce języki, wolą często nastawiać radio czy nawet telewizor na oryginalne dzienniki w języku angielskim, francuskim czy niemieckim, czy – charakterystyczne – mając do wyboru prasę emigracyjną, wolą jakże często przeglądać pisma zachodnie, jak „The New York Times”, „Le Monde”, londyński „The Guardian”. Dokonał się niejako fakt porozumienia i coraz lepszego rozumienia się nowego pokolenia Polaków z ich rówieśnikami na Zachodzie, z pominięciem w dużej mierze byłej emigracji politycznej.

Literatura polska na Zachodzie, publikacje emigracyjne i na emigracji, artykuły, książki, pamiętniki, nie mówiąc o najważniejszych – programach radiowych w języku polskim, są wciąż jak najbardziej potrzebne w kraju, czytane, słuchane i poszukiwane. Mogą też odgrywać olbrzymią rolę w kształtowaniu się stosunków między Wschodem i Zachodem, o ile nie będziemy zapominać, do jakiego stopnia młode pokolenie polskie – dzisiejsza inteligencja – wyrosło, jest związane, a nawet niejednokrotnie dumne ze swej ojczyzny, jej osiągnięć na polu kulturalnym, w literaturze, teatrze, filmie powojennym. Tylko nieliczni z tego pokolenia zamierzają opuścić swój kraj na stałe, emigrować czy uciekać w nieznanne. Odwrotnie, chcą oni wiedzieć jak najwięcej o krajach zachodnich, których ustroje, zdobycze, systemy ekonomiczne, technika są jak najbardziej godne naśladowania w przyszłości w samej Polsce. W dziedzinie spraw międzynarodowych polskie młode pokolenie nie wierzy w jakieś wyzwolenie Europy Wschodniej przez Zachód i Amerykę.

Dzisiejsza inteligencja polska chce zmian politycznych i robi wszystko, by doprowadzić do zmiany obecnego ustroju, ustroju *de facto* komunistycznego, ortodoksyjnego, znajdującego się wciąż w rękach ludzi prymitywnych. Ale zmiany te widzi przede wszystkim na drodze ewolucji i powolnego procesu, jakiemu ulega cały kompleks sowiecki.

tu, z drugiej wzrastającej, niemożliwej do opanowania nędzy i bezrobocia. Statystyki komunistyczne podają wzrost kosztów utrzymania, liczbę strajków, wzrastanie podatków, biurokracji, nędzy, analfabetyzmu, porównują cyfry wydatków budżetowych, na przykład ostatniej kampanii przeciwko nędzy, z cyframi wydatków na zbrojenia. W okresie wyborów prezydenckich w USA propaganda komunistyczna rozpętała historyczną kampanię przeciwko B. Goldwaterowi, przedstawiając go jako nowego Hitlera, nową groźbę powstającą nad światem, groźbę nowej fali rasizmu i wojen.

Wiele argumentów i posunięć antyamerykańskich jest prostackich i obliczonych na zbyt krótką metę, by mogły mieć efekt. Są jednak inne, bardziej zręczne, lepiej wyzyskujące fakty i głosy krytyczne z Zachodu, stwarzane przez inteligentniejszych ludzi.

Jednym z takich starych, antyamerykańskich i antyzachodnich trików propagandowych jest na przykład wyzyskiwanie sprawy popierania i zbrojenia przez USA Niemiec Zachodnich oraz nieuznawanie *de facto* przez Zachód granicy na Odrze i Nysie. Polskie powiedzenie „nie jesteśmy na kółkach” najlepiej odzwierciedla tu stosunek do tej sprawy ludzi w kraju, ich obawy i nieufność nawet w stosunku do NATO. Sprawa granic polskich jest zagadnieniem wyjątkowo trudnym do postawienia w ramach kampanii zachodniej i antykomunistycznej. Niemniej Zachód w tej walce o „dusze”, zmieniając się wciąż dusze, posiada stale więcej atutów i możliwości do wykorzystania. A więc przede wszystkim szerokie rozpowszechnienie i tłumaczenie wszystkiego, co złożyło się na powstanie potęgi USA. Ci, co słuchają w Polsce programów zachodnich, dostają do ręki różne pisma zachodnie, „Amerykę”, chcą wiedzieć jak najwięcej o instytucjach politycznych oraz sprawach codziennych tego kraju.

Dla polskiego studenta, młodego polskiego inżyniera, naukowca, lekarza, sportowca, dla tych, którzy wyjeżdżają sami na Zachód i dla tych, co stykają się i rozmawiają z tymi, którzy z Zachodu dopiero co wrócili, nie wystarcza już samo wyśmiewanie i krytykowanie komunistów, marksizmu i ustroju w Polsce. O błędach tego ustroju, danych statystycznych, wypaczeniach, brakach, charakterze aparatu partyjnego, „nowej klasie”, o policji, o skandalach na rynku wie dziś w Polsce każdy, najczęściej szybciej i więcej niż jakakolwiek radiostacja zagraniczna. To już nie okres, kiedy mimo braku mięsa i chleba na rynku w Polsce nie wolno było o tym pisać i należało się wpatrywać w dane statystyczne wzrastającej na papierze produkcji, w stek sloganów i haseł. Satyra Hemara, dowcipy mające kiedyś taki oddźwięk w kraju, dziś są często nudne, puste i niezrozumiałe. Nowi młodzi

Konserwatyzm i kłamstwo

Uderzająca jest moc konserwatyizmu w Polsce Ludowej. Jeżeli nawet gwoli zwyczajowi użyjemy eufemistycznego przymiotnika – nie zmieni to faktu, że zachowawczość systemu jest instytucjonalnie zabezpieczona. Ani partia politycznie kierownicza, ani sejm – najwyższy organ władzy państwowej, nie zawierają w sobie rozwojowych sprężyn. I partia, i sejm są zamkniętymi w sobie kołami, niezależnymi od mas. Są samowystarczalne. Partia identyfikuje się na przemian z klasą robotniczą lub z narodem. Sejm – z państwem. Dla mas właściwie miejsca nie ma.

W tonacji zaleconego optymizmu wszystko jest jak najlepiej, więc konserwatyzm, dziecko samozadowolenia, jest dzieckiem pierwotnym reżymu. A jednak, ilekroć słyszy się panegiriki na cześć sukcesów systemu, zawsze pada pytanie: dlaczego jest tak źle, jeżeli jest tak dobrze? Nie brak ludzi (właśnie w środowisku partyjnym jest ich wielu), którzy patrzą z niepokojem na rzeczywistość w kraju, którzy boleją nad każdym niepowodzeniem, często myślą krytycznie, rzadko zaś mówią. W Warszawie krąży anegdota o lekarzu, do którego zgłosił się pacjent skarżący się na rozdwojenie jaźni. „Co pan mówi! – doprawdy? – Jakie ma pan tego objawy?” – pyta lekarz. – „Panie doktorze, to strasznie mnie dręczy: ja jedno myślę, drugie mówię, a co innego robię!” – „Niestety nie poradzę panu – odpowiada lekarz. – Ja partyjnych chorych nie leczę”.

Z moich długoletnich obserwacji życiowych wnioskuję, że socjologowie powinni poświęcić wiele uwagi humorowi. Może nawet należałoby stworzyć socjologię dowcipu. Dowcip ma aspekt społeczny, nawet gdy wydaje się bardzo osobisty. Dowcip rodzi się w kontakcie z człowiekiem, ze społeczeństwem. Nawet dowcipy o zwierzętach mają ludzki charakter. Ponieważ takie dowcipy, jak podany wyżej, chodzą po Polsce w milowych butach i to co najmniej z szybkością obrotu ziemi – naturalnie polskiej – z jakby umow-

Smutna jest rzeczywistość dzisiejszej Polski. Młodzi ludzie ciężiej tam pracują, uczą się, wchodzi w nowe zawody, zarabiają mniej niż gdziekolwiek na Zachodzie. Ci młodzi ludzie zaczynają jednak zdawać sobie sprawę, że liczyć mogą przede wszystkim na samych siebie.

Bogdan Zaporowski

[7-8/1965]

Socjologowie dyletanci dzielą partię na dogmatyków i rewizjonistów oraz centrum. Co to jest po polsku centrum? Jest to złoty środek, ten, który jest u władzy. Złoty środek ma w ręku aparat partyjny i ustanawia „linię”. Wszystko, co nie jest w linii, jest odchyleniem: prawym czy lewym, ale zawsze tępionym. Centrum jednak rozróżnia siłę i znaczenie każdego z nich. Powiada, że dogmatyzm czy odchylenie prawe nie jest groźne, natomiast najbardziej tępić trzeba „lewactwo”.

Zrozumieć to łatwo. Odchylenie prawe to kierunek starszych towarzyszy, pozbawionych biologicznie temperamentu. Odchylenie lewe ma młode siły i przy tym powinno mieć lepszy odbiór w klasie robotniczej. Klasa robotnicza w systemie gra rolę „czarnego luda”, choć nikt nie jest tak mocno w ryzach trzymany, jak on. Oczywiście nie można w żaden sposób powiedzieć, że jest papierowym tygrysem, używając terminologii maoizmu. Mogłoby to spłoszyć sen z jej powiek i okazać by mógł ten tygrys całkiem ostre zęby. Rola klakiera już jej się znudziła w Poznaniu 1956 roku.

Centrum uważa, że każdy ruch dla równowagi wewnętrznej jest niebezpieczny i jest jak najbardziej konserwatywny: nie szarpać się, utrzymać za wszelką cenę *status quo*. Nakaz dla dołów: przestrzegać linii – nie wychylać się.

Ale i centrum (nazywane puławczykami od domu dygnitarzy przy ulicy Puławskiej) zdaje sobie sprawę, że nie wszystko jest najlepiej na tym padole powszechnej szczęśliwości. Gdy się rozlega na wieczorach wychowania politycznego patos (czytaj drętwa mowa) o ponadplanowych sukcesach budownictwa socjalistycznego, z reguły pada skądś pytanie: „to czemuż jest tak źle, jeżeli jest tak dobrze” – nie ma na nie nigdy odpowiedzi.

Zdaje mi się, że socjologowie, gdyby przyjęli oficjalny podział partii na trzy ideologiczne trendy, popełniliby błąd. Przyjąć ten podział to brać *pars pro toto*. Taki podział dotyczy bowiem tylko partyjnego aktywu szczytu, albo góry – jak to się mówi w Polsce. Nie dotyczy natomiast masy partyjnej, która dobierała się bardzo różnie, składa się z różnorodnych elementów; zapisywano się falami do partii: w okresach ideologicznych „łapanek” przyływy były większe, podczas czystek – poważne odpływy, w środowiskach robotniczych zapisywano się najczęściej hurtem – zakładami pracy. Nie są to warunki najlepsze do kształtowania i rozwoju ideologicznego, tak się formuje stowarzyszenie konformistów. Prowadzenie takiego stowarzyszenia nie wymaga przy tym budzenia umysłów, a raczej dobrego katechety partyjnego i sprężystej dyscypliny, a także oczywiście przekonania wiernych, że cała ta polityczna impreza jest prakseologicznie dobrze postawiona, zdała egzamin praktyki i należenie do niej jest indywidualnie korzystne – czy ko-

nym hasłem „podaj dalej”, wniosek prosty: są wyrazem opinii publicznej i dlatego z nich może socjolog odtwarzać tak zwany klimat społeczny epoki. Co mówi owa anegdota o lekarzu? Ogromnie wiele. Mówi, że (w opinii publicznej) partia myśli na dwóch co najmniej płaszczyznach: że to, co mówi bynajmniej nie wyraża zamiaru jej czynu, że w jej słowach należy dopatrywać się fasadowości, że tu „słowo myśli kłamie”, jak mówił Mickiewicz. *A last but not least*, to co robi w istocie nie ma pokrycia w frazeologii partyjnej – praktyka przeczy teorii. Teoria to marksizm, praktyka – to pragmatyzm władzy.

Kiedy opinia publiczna powraca do okresu rozmów, salonów czy kawiarni, który poprzedził prasę i środki masowej informacji, gdy te środki istnieją, ale jej wolnemu kształtowaniu się nie służą – szaleją tak zwane szep-tanki, to jest represje policyjne, a nawet sądowe za wypowiedzane poglądy w prywatnych rozmowach. Taki paroksyzm szeptanek widzieliśmy w okresie zwanym minionym. Wówczas zapewnił nas Władysław Gomułka, że „wierzę głęboko, że okres ten przeszedł w niepowrotną przeszłość”. Szeptanki jednak powróciły obecnie, pociąga się za nie nie tylko do odpowiedzialności wewnątrzpartyjnej (to samo jest już w „stronnicztwach”), ale i sądowej. W szczególności towarzysze, którzy okazali się oporni wobec masowych rezolucji potępiających Izrael, są b e z a p e l a c y j n i e z partii usuwani.

Należy uważać szeptankę za namiastkę organu opinii publicznej. Drugim objawem jej wyrazu jest dowcip lub anegdota. Satyra w pismach lokalnych struchlała, znajduje więc uboczne ujście w kursujących dowcipach i anegdotach. Popularne są w Polsce Ludowej audycje Radia Erewan. Skąd nadaje, nie wiadomo. We wstępnej audycji podano dość enigmatycznie: „Radio Erewan na falach humoru i dobrej woli. Odpowiada na wszystkie pytania, na które nie odpowiedział towarzysz Gomułka”. Istotnie, odpowiada na pytania nawet bardzo drastyczne, jak na przykład: „Czy jak już dojdziemy do socjalizmu, będą jeszcze kraść?” – Odpowiedź: „Ależ naturalnie, towarzyszu, jeżeli będzie coś jeszcze do rozkradania”. Albo takie: „Czy można by u nas zaprowadzić prawdziwy komunizm?” Odpowiedź: „Jak najbardziej, towarzyszu, ale lepiej w Gruzji”. Fakt, że tego rodzaju dowcipy szerzą się, świadczy, że odpowiadają opinii publicznej. Tym większy potrzebny jest wysiłek propagandy. Im większe są te sprzeczności, tym trudniej jest je zamaskować, aby pokazać światu niewzruszony monolit. Jest to sytuacja podobna do sytuacji marcowego kawalera, sprawdzającego co chwila przed lustrem, czy krawat dobrze zawiązany i czy ogólny wygląd jest jeszcze do rzeczy.

la to Władysław Gomułka w każdym przemówieniu zahaczającym o politykę międzynarodową, nie tylko do propagowania tej idei stworzone zostało całe Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej o kilkunastomilionowej dotacji ze skarbu państwa, ale brak entuzjazmu do przyjaźni należy do groźnych zarzutów z konsekwencjami bytowymi. Słyszałem na przykład taki dialog: „Jakoś się wam nie podoba przyjaźń, co?” – „Mylicie się, towarzyszu. My jesteśmy małą myszką wobec tego wielkiego kota, jakim jest Związek Radziecki. Czyżby myszka nie chciała przyjaźni z kotem?”

A może nie jesteśmy myszką, a on nie jest kotem? I tu mi się przypomina taka scena z domu wariatów w Tworkach. Chory wyobrażał sobie ciągle, że jest myszką i drżał przed każdym kotem. Gdy psychiatra uznał, że już jest wyleczony, zwolnił go ze szpitala. „Zabierajcie walizeczkę i jazda ze szpitala. Oto przepustka dla portiera przy bramie”. Chory waha się: „Tylko proszę pana doktora, by kazał portierowi zamknąć swego kota, gdy będę wychodził”. – „A po co, przecież już wiecie dobrze, że nie jesteście myszką”. – „Ja wiem, panie doktorze, ale czy kot o tym wie”. Ale tu wchodzimy w zakres tak zwanej „fałszywej świadomości”: działanie fałszywej świadomości ma tę samą siłę, co świadomości normalnej. W aspekcie społecznym znaczy to, że nawet gdy opinia publiczna się myli, ona decyduje o postawie człowieka. Choćby to było wierutne kłamstwo. Nazywano je „bierutnym” przed Gomułki erą.

Boję się, że może ktoś wyciągnąć wniosek, iż w Polsce opinia publiczna ulega jakiemuś klasowemu podziałowi. Po blisko ćwierćwieku bezklasowej struktury społecznej o tym trudno mówić poważnie. Można by z większym uzasadnieniem mówić o partyjnym podziale opinii. Ale i tak nie jest. Ludzie dobrze zorientowani są i poza partią, i w partii – linia delimitacyjna inaczej przechodzi w Polsce.

Pewien hinduski myśliciel jest zdania, że kłamstwo jest stygmatem naszego życia w demokracjach ludowych, że przez to jest naszą kłodą u nogi. Niewątpliwie nie było jeszcze w historii takiego zakłamania, skutkiem czego fikcje sąsiadują u nas z rzeczywistością. W lesie fikcji trzeba stale uważać i mimo to można zbłądzić. Nieprawdy instytucjonalne tworzą nieprawdy życia codziennego, indywidualnego. Tworzą klimat kłamstwa.

Oto, mówiąc tylko o zasadniczych, kilka pierwszych z brzegu:

Nieprawdą jest, że demokracja ludowa jest demokracją; wiemy, że nie jest demokracją.

Nieprawdą jest, że mamy równość obywateli; wiemy, że są obywatele uprzywilejowani, jak ci chociażby, którym do stopni na egzaminach kon-

rzystne dla kraju? Niech się nad tym głowią inni, ci, o których mówiliśmy wyżej. Toteż ten trójdział ideologiczny nie ma znaczenia na dole: hasło „jedności partii”, do której nawołuje Gomułka, ma w dołach inny wydźwięk niż na górze. Tu bizantyjskie spory o Marksa mało kogo obchodzą. Muszę znowu przypomnieć, że nie można przenosić tych stosunków dosłownie na Zachód. Komunista na Zachodzie działa pod naciskiem innych bodźców. Z nich trzeba wykluczyć koryto i karierę. Stąd i postawy są inne, i oblicze nie to samo. Gra nie tylko inna kultura (w związku z historycznym zapleczem, według Ludwika Krzywickiego), ale też zespół czynników polityczno-społecznych nie jest ten sam. Rację miał Artur Starewicz z Biura Politycznego KC Partii, gdy tym, co w czasie rozprawy partyjnej nad Leszkiem Kołakowskim powoływali się na odrębne poglądy komunistów włoskich jako dowód, że jest dopuszczalna różnorodność zdań w obozie marksistowskim, odpowiadał: „To nie jest miarodajne. Oni nie są u władzy. Gdy będą przy władzy, tak będą myśleli jak my”. Masa komunistyczna na Zachodzie faktycznie należy do partii z przekonania i nikt nie ma z tytułu takiej przynależności osobistych korzyści.

Od wieków jest wiadome, że władza deprawuje rządzących, a od czasów monopartii wiadomo, że żłobizm demoralizuje masy. Bierne masy we wszystkich społeczeństwach stanowią ogromną większość narodu, nigdzie jednak bierność nie została społecznie faworyzowana, uszlachcona, poza obrębem państw ludowych. Tu bezwładność jest siłą. Ci bowiem to nieodrodne dzieci ojca Wergiliusza. Im to przypada rola maluczkich u progu Królestwa Niebieskiego. Do nich to w dni październikowe zwracał się poeta Adam Ważyk, gdy pisał:

„[...] Bądźcie posłuszni, żarliwi i skromni,
Idźcie przez miasto świątecznym pochodem [...]”.

Więcej nie trzeba, tak każe ojciec Wergiliusz – myśli za was partia i Związek Sowiecki. Tak jak śpiewa znana kołysanka:

„Śpij moje małe błogim snem dziecka,
Czuwa nad tobą armia radziecka”.

I znowu nie jest to tylko żart, ale ironiczna reakcja opinii publicznej na akcję psychologiczną, polegającą na wdrożeniu w podświadomość przekonania, że warunkiem spokoju w kraju i jego suwerenności jest utrzymanie za wszelką cenę kanonu przyjaźni polsko-radzieckiej, będącej w rzeczywistości uległością i wyrzeczeniem się własnej politycznej twarzy. Nie tylko podkreś-



Kłamstwo jest płodne i prowadzi do zakłamania całego życia. Z Chin „rewolucji kulturalnej” dochodzi do nas taka charakterystyczna anegdota:

„W luksusowej restauracji, odwiedzanej przez cudzoziemców, dwaj kelnerzy w białych nieskazitelnych kitlach machają nad głowami jak wariaci białymi nieskazitelnymi ręcznikami. Zdziwionemu klientowi tłumaczą się:

– To nic. To halucynacje. Much nie ma. Dawno wszystkie są wytępione, nie może być ani jednej...

– A co towarzysze łapią?

– Łapiemy halucynacje, odnosimy je do kuchni i palimy je w piecu”.

Istotnie byłyby to z nich korzyść pozytywna i w niejednym piecu można by halucynacjami palić.

Nie chcę, by ktoś sądził, że kłamstwo uwiło sobie gniazdko tylko we wschodniej Europie i że go nie ma poza nią. Uważam, by nie wmawiano we mnie rzeczy, których nie myślę. Nie, kłamstwo jest wszędzie, na całym świecie. Nawet jeżeli przyznaję, że Świadkowie Jehowy z godnym uznania charakterem zwalczają kłamstwo, to i w tym wypadku mam wątpliwości, czy sama ich doktryna jest prawdziwa.

Mówię co innego. Mówię, że kłamstwo jest u nas instytucjonalne, że weszło w krew systemu, że nie wolno go zwalczać, że ma do swojej obrony cały aparat represyjny.

Oczywiście i kłamstwo nie jest prawem, ale przywilejem. Wyjaśni to mały dialog z moich spotkań, jakich nikomu nie życzę. Słyszę w rozkazującym tonie takie słowa: – „Mówcie prawdę”. – „A czy pan mówi prawdę?” – „To do was nie należy. Wam kłamać nie wolno”. Jasne? Kłamstwo jest przywilejem – mój „rozmówca” mógłby powiedzieć: „Kłamać wolno tylko nam”.

Uprawnionym do kłamania nie mogą też zaprzeczać ci, którym kłamać nie wolno. Muszą kłamstwu przytakiwać. Tak czy owak kłamią więc wszyscy. Jedni przez negację rzeczywistości, inni przez afirmację nierzeczywistości.

Po prostu jest właściwością systemu, jego nieodrodną córką. Koniecznością okresu – jeśli kto woli. W moim przemówieniu na walnym zebraniu warszawskich literatów 12 czerwca 1964 roku obiektywnie podkreślałem tę konieczność, choć mi zawzięcie przewodniczący Zawieyski, członek Rady Państwa, przeszkadzał. To przemówienie otworzyło przeciwko mnie śluzę fali represyjnej, która wciąż trwa. Trafiało w sedno rzeczy. W przemówieniu tym uznałem, że System i Ustrój nie są jednym i tym samym. Konstanty Ildefons Gałczyński kiedyś kropnął fraszkę:

kursowych dodaje się punkty za „społeczne pochodzenie”, albo jak ci studenci, którzy korzystają z dodatkowych punktów do ZMS (partyjnego związku młodzieży). Dopiero w październiku 1956 roku zlikwidowano „żółte firanki” w sklepach dla uprzywilejowanych, gdzie za grosze mieli wszystko, co ich dusze mogły zapragnąć, to, co nieco wcześniej dostawali w tak zwanych deputatach, tak jak dawniej ich właśnie zaopatrywała UNR-RA. Prawdą jest także, że ci, co nie są uprzywilejowani, jeżdżą pociągami drugą klasą i za bilet płacą, a nie pierwszą za darmo lub służbowym autem do osobistego użytku. Są ci, co wyjeżdżają za granicę co chwila i inni, którym tego się zakazuje. Ma z pewnością podstawy rosyjskie określenie, że „Komuna oznacza k o m u n a, a k o m u n i e t”, bo tak myśli o nich klasa robotnicza.

Nie prawdą jest równość warunków bytu, gdyż skala uposażeń jest w Polsce Ludowej niezwykle rozciągnięta: od głodowych wynagrodzeń na dolnej drabinie do wysokich płac i premii na dyrektorskich stanowiskach.

Nie prawdą jest, że praworządność ludowa lub „praworządność socjalistyczna” jest praworządnością, bo jest to tylko utrzymywanie bezwzględного posłuszeństwa obywatela, a nie rzetelności władzy.

Nie prawdą jest, że obywatel korzysta z wolności zebrań i pochodów, bo odbywają się tylko takie, które są nakazane i są tak zwany spędem.

Nie prawdą jest, że obywatel może być spokojny, iż w „godzinie mleczarza” nie ma odwiedzin Służby Bezpieczeństwa, bo te odwiedziny nadal się odbywają.

Nie prawdą jest, że szanowane jest prawo własności osobistej obywatela, bo w roku 1964 władze właśnie zabrały mi maszynę do pisania i jej nie zwracają. Itd., itd., itd. – przerywam tę listę w obawie, że mi na nią nie starczy papieru, bo od kilku lat chyba w handlu papieru nie ma, z wyjątkiem listowego, a czasem klozetowego. Dodam jednak to, co jest najważniejsze:

Nie prawdą jest, że cudowną właściwością naszego ustroju ma być rzekomo, iż naprawia się sam: żaden system nie może naprawiać się bez rozeznania błędów, a to rozeznanie nie jest możliwe bez swobodnej krytyki, którą właśnie ten system wyklucza. *Vox populi* tak to ujął:

„Nie naprawiaj, nie podskakuj,
Siedź na d... i przytakuj”.

Należy pamiętać, że w okresie października 1956 roku wyzwolenie się chwilowe od cenzury przyczyniło się walnie do zmian.

kiej (dla której istnieć ma ustrój): wszystko, co przeczy samej naturze człowieka powinno być z niego wyeliminowane. Tego jest niemało.

Mamy naród żywotny, pracowity i dzielny, mamy uczonych na światowym poziomie, mamy ręce i mózgi: nie należy im przeszkadzać. Jak w medycynie – przyjąć zasadę *primum non nocere*.

W interesie naszej przyszłości należy szczególnie cenić umysły krytyczne, należy je premiować. Trzeba, żeby i Włodzimierz Sokorski przestał się wykrzywiać i krzyczeć: „Krytyka? Hola! Z jakiej pozycji, panowie!” – „Chyba z każdej, towarzyszu Sokorski”.

Przypomina się anegdota kursująca w Warszawie, że jakiś polski buddysta stanął pewnego razu przed Domem Partii, oblał się benzyną i zapalił. Buchnął ogień. Z okna na piętrze wychyliła się powszechnie nam znana głowa i zawołała: „A wy z jakiej pozycji palicie się, towarzyszu!”

Ale Włodzimierz Sokorski łatwo nie daruje, więc zapyta: „Krytyka konstruktywna czy destrukcyjna – na tę się nie zgodzę”.

Bardzo mi jest przykro i bardzo go przepraszam, ale muszę powiedzieć, że „jak najbardziej destrukcyjna”. Śmiem twierdzić, że miarą krytyki jest jej moc destrukcyjna. Celem krytyki jest zniszczyć to, co za złe uważa. Na jego miejscu można dopiero konstruować. I dlatego gdy ciągle się te zastrzeżenia słyszy, śmiech pusty mnie bierze. Nawet nie pusty, lecz gorzki. Taki bowiem jest smak śmiechu w kraju, gdzie – jak pisał Adam Ważyk – „groteska i zbrodnia w jednym stoją domu”.

Gorzki istotnie jest humor Polaków. Zazdroszczę tym, co tak zdrowo, pełną gębą śmiali się za czasów Pickwicka. Za czasów Kliszki śmiech zgorzkniał.

Ale Włodzimierz Sokorski mi nie daruje i uporczywie słyszę jego pytanie: „Z jakiej palisz się pozycji, buddysto polski?”

Odpowiem mu: „Z pozycji wolnego człowieka i obywatela”.

January Grzędziński

„Naród i Ustrój rozmawiają ze sobą, nazwijmy to rozmową. Naród (*wola*): Ustroju, ustroju! Ustrój (*milczy*). Naród (*wola*): Ustroju, ustroju! Ustrój (*milczy*): ustrój narodowi nie odpowiada...”

Nie zajmowałem się w mym przemówieniu oceną ustroju. Mówiłem o systemie, który „narodowi nie odpowiada”. System w politycznym zarządzaniu państwem jest od ustroju niezależny. Podobnym *Polizei-Staat* była Rzesza Adolfa Hitlera. Podobną – francuska administracja Algierii. Ani jedna, ani druga nic z komunizmem nie miały wspólnego. Z pewnymi odmianami rodzi się on wszędzie, gdzie władza rządzi na przekór opinii publicznej, stosuje przymus i posługuje się kłamstwem, by opinię zmylić, zmieszać, jej moc osłabić. Benjamin Constant powiedziałby: we wszystkich uzurpacjach. Dla opinii jest to system paraliżu postępowego, dla władzy – system leninowskiego Tita Titycza, kacyka z Kaczego Dołu.

Gdy władze dokonują niespodziewanych skoków, wynikających z im tylko znanej koniunktury, ich akrobatyczne zakręty opinię zaskakują. Co było słuszne wczoraj, staje się niesłuszne dziś. Ci nawet, co mają już partyjną tresurę, wypadają „z linii”, gdy linia się odwraca w przeciwnym kierunku. Klną – po cichu – gdy się muszą przestawiać. Jest to bowiem cios w logikę obywatela, a każdy mózg ludzki ma jej elementy wdrożone, mózg inaczej nie mógłby myśleć, ergo funkcjonować. Ustawiczne ciosy w funkcje mózgowe to najbardziej katastrofalna strona systemu, dlatego że degraduje istotę ludzką. W tym sensie jakże głęboko słuszne jest powiedzenie Bertranda Russella: „Lepiej niech zginie świat, niżbym ja lub inna istota ludzka miała wierzyć w kłamstwo”. Reformatorzy różnego autoramentu głowią się u nas nad nędzną stopą życiową, nad deficytowymi budżetami przedsiębiorstw, nad fatamorganą dumpingu w naszym handlu zagranicznym, nad rosnącymi świadczeniami zbrojeń na rzecz obcych, nad rabunkowym charakterem gospodarki, nad coraz większym upadkiem naszej waluty, nawet w przyjacielskich krajach, ex-Oriente kierowanych – myślą o naprawie w przeróżnych domenach, a zdają się nie dostrzegać, że zanika sam człowiek: „nim słońce wszędzie – jak mówił Zygmunt Krasiński – rosa oczy wyje”.

Pozostawiam na boku pytanie, czy możliwy jest ustrój komunistyczny wolnych ludzi, czy może się godzić z wolnością człowieka. Władza partii, która ten system uprawia, najwidoczniej uważa, że nie. Osobiście takim pesymistą nie jestem. Wiem, że rządy socjalistyczne Anglii i Szwecji wolność człowieka szanują. Skłonny nawet jestem tym pesymistom przeczyć. Oczywiście, pod warunkiem pewnych przemian w ustroju pod kątem istoty ludz-

Technika a polityka

W okresie pamiętnych wydarzeń marcowych w 1968 roku, w działalności partii występowały dwa nurty polityczno-policyjnych represji przeciwko inteligencji.

Oprócz tradycyjnego i dobrze znanego w historycznych doświadczeniach komunizmu ostrza wymierzonego przeciwko inteligencji humanistycznej, po raz pierwszy pojawił się także na większą skalę nurt wymierzony wyraźnie i niedwuznacznie przeciwko inteligencji technicznej.

O ile dawniej – jak w przypadku wydarzeń związanych z ogłoszeniem „Listu 34” intelektualistów do Cyrankiewicza – partia mogła przeprowadzić rozgraniczenie pomiędzy humanistyką a techniką, to obecnie, w marcu 1968, nie potrafiono już zatrzymać działalności skrajnych ekstremistów partyjnych, wymierzonej przeciwko każdej zawodowo wykształconej inteligencji. Była to chyba jedyna niespodzianka typu socjologicznego w całych wydarzeniach marcowych. Poza tym mechanizm walki partyjnego ciemnogrodu ze społeczeństwem, wbrew pozorom, nie był dla nikogo rozczarowaniem czy przykrą niespodzianką. Od dawna bowiem narastał proces wyobcowania się władzy z jakiegokolwiek bliższego i rzeczowego kontaktu ze społeczeństwem. „Wysokość” władzy żądającej i karzącej była w ostatnich latach przed wypadkami marcowymi dogłębnie ugruntowana i ukształtowana. Inaczej niż w czasach stalinowskich działał jednak bez zmian stary mechanizm zastraszania i moralnego zniewalania społeczeństwa. „Techniczna” niespodzianka o tyle zaskoczyła, że ludzie o wykształceniu technicznym i z nauk ścisłych zawsze mieli wśród społeczeństwa opinię obojętnych na to, co się w Polsce dzieje; uważano nawet, że niektóre mniejszościowe koła techników w sposób zbyt czołobitny akceptują nowy ustrój.

Inteligencja techniczna w Polsce posiada znacznie rozbudowane zaplecze szkół i warsztatów pracy, jak również – jak na warunki ustroju komunisty-

*nudni pisarze i profesorzy przedmiotów humanistycznych protestują wyłącznie z powodu swoich nieprodukcyjnych dziwactw.**

Prymitywna wypowiedź o własnym samochodzie i możliwościach zmieniania go wcale dla większości tych ludzi nie musiała oznaczać grubą nicią szytej prowokacji i wbijania klina między społeczeństwo.

Samochód w świadomości tych ludzi, będąc wytworem materialnym i jako taki spełniający funkcję kompleksu kulturowego, może również zupełnie dostatecznie zaspokajać jakieś inne potrzeby kulturowe. Stanowi on może rekompensatę za wysiłek, który trzeba było dać, chcąc budować rzekomo nowoczesny przemysł.

Wykształceni w warunkach i w atmosferze rozwoju nauki technicznej w Polsce Ludowej – gdzie technika spełniała rolę ściśle usługową wobec partii, będąc jednym z pierwszych jej elementów zaciskania społeczeństwa w obrożę – technicy nie potrafili myśleć historycznie ani retrospektywnie. Ich świadomością społeczną pierwszego stopnia staje się wyprodukowany przez nich wytwór materialny, tak krzykliwie przez propagandę partyjną święcony. Stopniem wyższym tej dorywczej świadomości społecznej jest wytwór materialny, który posiadają sami.

Zasada: ja mam, ja posiadam, ja wytwarzam najwięcej, ja jestem na pierwszym miejscu w zasługach – wcale nie oznacza, żeby przeciętny inżynier w Polsce wierzył w komunizm. Zdaje sobie on bowiem dobrze sprawę z faktycznej nicości tego ustroju, gdy chodzi o prawdziwe podniesienie kultury materialnej narodu. Niejeden z nich widzi chroniczną indolencję władz, gdy chodzi o programowanie rozwoju przemysłu w Polsce. Inżynier związany bezpośrednio z produkcją musi, oczywiście, całkowicie orientować się w ogromie marnotrawstwa wartości materialnych społeczeństwa, wynikającego z błędnych decyzji i „samodurstwa” najwyższych w górze i najmniejszych kacyków partyjnych – w zakładach pracy na dole. Tenże inżynier często sam pada ofiarą arbitralnych i sprzecznych ze zdrowym rozsądkiem decyzji byle jakiego dygnitarza partyjnego. Wielu z nich zdaje sobie oczywiście sprawę – muszą to odczuwać jako czołowi producenci gospodarczy kraju – że Polska jest rządzona w imię celów i potrzeb gospodarki sowieckiej. Wiedzą zapewne lepiej aniżeli każdy przeciętny obywatel, jak trud ich pracy przechodzi gdzie indziej. Wiedzą doskonale o trudnościach, jakie stawia

* Gwoli przypomnienia – na „Liście 34” intelektualistów protestujących wobec Cyrankiewiczza przeciwko brakowi wolności myśli i słowa w Polsce – znalazł się tylko jeden przedstawiciel świata techniki: prof. matematyki UW W. Sierpiński [przypisy autora].

cznego – dogodną i korzystną sytuację materialną. Marzenie każdego Polaka – wielokrotnie opisywane i przedstawiane w prasie krajowej: własne mieszkanie i samochód – najlepiej uwidacznia się na przykładach inżynierów i techników. Ich możliwości materialne stoją dość blisko najbogatszej warstwy w Polsce, to znaczy rządzących i przylegających do nich ogniw pośrednich (przykładowo: dyrektor szpitala MSW nie posiada żadnej władzy politycznej, korzysta natomiast z przywilejów materialnych dostępnych tylko grupie rządzącej). Wynikają one niewątpliwie z autentycznej pracy, racjonalnie słusznego preferowania prawdziwych twórców industrializacji, lecz mają także jeszcze i inny aspekt.

Wzorem inteligenta w ustroju komunistycznym – skoro już taki tam musi być – ma zostać kreowany przez partię człowiek, umiejący prowadzić maszynę, we właściwe miejsce wkręcić śrubkę, stale wytyczać permanentne budowle przemysłowe, lecz nie myślący szerzej. Grad zaszczytów i honorów, który zawsze spada z okazji święta 22 lipca i podczas przesadnie rozbudowanych świąt zawodowych na ludzi techniki, ma na celu wytworzyć przeświadczenie o skuteczności i podwójnej opłacalności pracy człowieka, który znowu pomógł społeczeństwu w uzyskaniu jakiegoś korzystnego wytworu materialnego. Inżynier i technik przedstawiają swoimi osobami liczące się sukcesy socjalizmu, zwłaszcza że antysocjalistyczna – w opinii partii – humanistyka sieje bez najmniejszego zastanowienia nihilizm i zwątpienie ideologiczne. Były minister spraw wewnętrznych PRL W. Wicha, występując na spotkaniu z naukowcami uczelni technicznych w Krakowie bezpośrednio po ogłoszeniu „Listu 34” intelektualistów, wyraźnie zorientował swoje audytorium o co chodzi partii w tym, tak widocznym, przeciwstawieniu techniki humanistyce. Jego ówczesny wywód dałoby się streścić następująco.

Partia, świat techniki i klasa robotnicza – w takiej kolejności przedstawił te grupy – stale pomnażają dobra materialne kraju. Budują dom dla wszystkich, który humaniści chcą rozbić, przechodząc na stronę imperializmu amerykańskiego w najwulgarniejszym wydaniu, bo mocarstwowych rządów J. Kennedy'ego. Chcemy, żeby było jeszcze lepiej, byście między innymi mogli mieć coraz to nowsze samochody, tymczasem inteligencja humanistyczna, która w wartości swojej produkcji w stosunku do świata techniki jest zerem, stale wam przeszkadza w tak efektywnej pracy – przekonywał dalej Wicha.

Trudno powiedzieć, jak wielu ze zgromadzonych w auli Akademii Górniczo-Hutniczej inżynierów i techników przyjmowało za całkowicie prawdziwe wypowiedzi Wichy. Na pewno jednak niejednen z nich pomyślał, że

zupełnie nierzeczywistych ciałach społecznych istniejących w ustroju komunistycznym.

Inteligencja techniczna w Polsce, wcale nie będąc szczególnie upartyjniona, zdaje się przecież w wielu przypadkach wierzyć zapewnieniom partii o konieczności rozwoju społecznego, kierowanego i kontrolowanego tylko przez partię.

Karykaturalność tego poddania świata techniki partii tkwi dodatkowo w tym, że w większości wypadków mamy do czynienia z inżynierami, którzy znani są z pięknej postawy moralnej i zawodowej. Po prostu oportunizm powoduje, że godzą się bez żadnych wewnętrznych sprzeciwów na uczestnictwo w Dniu Skupienia dla techników „w kościele” z dobrowolną, w gruncie rzeczy, służbą dla partii.

Inteligencja techniczna ponad wszystko zdaje się cenić tradycję – obojętnie jaką – spokój oraz własną wygodę myślową. Robi wrażenie zupełnie świadomie zagubionej w dzisiejszej mozaice ideologicznej świata.



Pomimo przedstawionych powyżej dość znacznych powiązań świata techniki z partią, ta ostatnia w okresie marca 1968 roku rozprawiała gorąco, nie gardząc straszeniem, o niebezpieczeństwie technokratyzmu w Polsce. Zarzucano ludziom techniki, że uniemożliwiają wprowadzenie do zakładów pracy demokracji robotniczej. Mieli oni być także „kozłami ofiarnymi” za niewłaściwe stosunki międzyludzkie panujące w zakładach pracy, jakoby mieli niedostatecznie szerzyć postęp techniczny wśród załogi danej fabryki. Te zarzuty sprowadzały się do bezideowości oraz braku wyrobienia politycznego i niedostatecznego zaangażowania w sprawę socjalizmu. Oczywiście, inżynierowie i technicy mieli być również wrogo nastawieni do klasy robotniczej.

Warszawski tygodnik „Argumenty” długo o tym wszystkim pisał, specjalizując się w tej problematyce grubo po wydarzeniach marcowych.

Bez przerwy próbowano na jego łamach stworzyć jakąś sztuczną sytuację, która miała być okazją i pretekstem do rozprawy z szerzej pojętą inteligencją. Tworzono teorie o nadchodzącym zagrożeniu technokratycznym w zakładach pracy. Wyraźnie sugerowano drugi etap rozprawy z inteligencją. Tylko tym razem, skoro inteligencja humanistyczna była już powalona na ziemię, próbowano znaleźć nowego wroga.

Przyznać trzeba, że publicyści z „Argumentów”, tak brutalnie dyskutujący o technokratach, mieli wyjątkowo przecucie wydarzeń grudniowych

partia przed wszelkim nowatorstwem. Te trudności dotyczą zaś także specyficznych rozwiązań, jakie na potrzeby gospodarki wynajdują przedstawiciele świata techniki. Ileż to wynalazków i patentów poszło do kosza, ponieważ partia ich sobie nie życzyła.

Musi również do nich docierać generalnie istniejący w makrostrukturze subiektywizm rządów partii, brak logicznego myślenia – cechy tak obce ludziom pracującym na polu techniki i produkcji.

Ponad jednak tymi faktami większość inteligentów technicznych godzi się na wszystko, co partia robi. Są oni bowiem w przeważającej części nastawieni konsumpcyjne, spodziewają się, że wbrew wszelkim trudnościom będą mogli utrzymać swoistą autonomię zawodową oraz swój standard materialny. Wierzą w swoją apolityczność jako szansę, że nikt ich nie będzie politycznie prześladował. Uważają również, że fakt, iż aparaczczy partyjni nie znają dziedzin tak specjalistycznych jak nauki techniczne pozwoli im zachować pewną niezależność sądu i działania przynajmniej wobec niektórych decyzji partii. Na pewno tak jest. Partia jeśli w ogóle, w ograniczonym zakresie, szuka u kogokolwiek porady – czyni to w świecie techniki. Niestety inżynierowie wpływają tylko i wyłącznie na pewne szczegóły techniczne zamierzonej inwestycji czy produkcji. Gdy chodzi o stwierdzenie opłacalności społecznej podejmowanych przez partię inwestycji i działań społecznych, to nawet w zakresie ścisłej techniki inżynier nie jest dopuszczany do jakiegokolwiek głosu doradczego. Pomimo tych wszystkich ujemnych cech wzór inżyniera, działającego w życiu społecznym, dość łatwo i niepokojąco był łączony w szerokiej opinii publicznej ze wzorem działacza społecznego, opartego przecież na typie funkcjonariusza partyjnego. Sytuacja ta wynika stąd, że także i funkcjonariusze partyjni snobizują się w „dorabianiu” sobie wyższego wykształcenia na inżynierów, ci ostatni zaś, jako jedna z nielicznych grup inteligenckich, często biorą udział w tzw. partyjno-państwowej pracy społecznej.* Faktem jest, że na każde zawołanie partii szybko biegną do pracy we Froncie Jedności Narodu, w Komisjach Wyborczych czy też innych,

* Mówiąc o funkcjonariuszach partyjnych, którzy studiują – a takich w okresie gomułkowskim było tysiące – stwierdzamy fakt, iż robią to przede wszystkim na politechnikach. Zaczynając od obecnego I sekretarza KC PZPR, który jest inżynierem-metalurgiem, zdecydowana większość z nich zabiega, jako o swoistą nobilitację, o uzyskanie dyplomu z nauk ścisłych. Ten pęd może oznaczać między innymi jeszcze jedną pogardę dla „zgniłej i burżuazyjnej” humanistyki.

kompetencja i umiejętności fachowe powinny stać się ważką argumentacją i siłą polityczną.

W momencie gry nowe kierownictwo partii próbuje ukazywać kolejną „magiczną perspektywę” rozwoju skazanego z góry na niepowodzenie, obowiązkiem inteligencji technicznej staje się wypracowanie alternatywnej przeciwkonceptji, która – opierając się na celach walki przemysłowo-produkcyjnej robotników, łączonej dziś korzystnie z celami politycznymi – byłaby w stanie dążyć do zmniejszenia w Polsce kierowniczej roli partii nad gospodarką kraju. Ta droga, w przypadku wejścia na nią, służyć powinna stopniowym przestawieniom strukturalnym w całokształcie funkcjonowania społeczeństwa globalnego. Może ona bowiem, poprzez zmiany w życiu gospodarczym, otworzyć proces rzeczywistej demokratyzacji stosunków społecznych w Polsce.

Nie przeceniając roli „technokratów” w przekształcaniu ustroju socjalistycznego w Polsce, trzeba przecież zauważyć, że są oni potrzebnym ogniwem, które może dać pożądane zmiany. O ile w Związku Sowieckim czołowi przedstawiciele nauk ścisłych od dawna podjęli wraz z inteligencją humanistyczną walkę z panującym systemem, to w Polsce takiego sojuszu nie widać. W Rosji inteligencja opozycja działa w zasadzie w zupełnej pustce i osamotnieniu, gdy chodzi o poparcie szerszych warstw społecznych. W Polsce odwrotnie – walcząca inteligencja humanistyczna, posiadając nareszcie wsparcie – w tym najważniejszej z nich, bo klasy robotniczej – ciągle nie może znaleźć porozumienia z inteligencją techniczną, którą nawet dziś, po najnowszych zmianach w Polsce, partia potrafi dalej trzymać w kleszczach swojej polityki. Może jednak w końcu technicy w Polsce zrozumieją, że pożar domu, w którym wszyscy mieszkają, prędzej czy później musi dotrzeć i do tych, którzy udają, że go nie widzą.

W dzisiejszym świecie rozbrat pomiędzy polityką a techniką został już dawno przewyciężony i przekroczony. Od czasu udziału A. Einsteina w wynalazku pierwszej bomby atomowej i wypadków, które się z tym faktem łączyły, żaden przedstawiciel świata techniki – o ile nie jest osobiście zakłamaný – nie może twierdzić, że jego dyscyplina naukowa jest dalej wolna od wszelkich uwarunkowań politycznych.

Współczesny, nadmiernie szybki rozwój techniki i jej różnorodnych kierunków technologicznych przeobraża polityczne myślenie człowieka. Technika, przyczyniając się do lepszego i pełniejszego zaspokojenia materialnego społeczeństwa, tworzy również ramy dla życia politycznego danego kraju. O tych dwóch ostatnich sprawach ludzie techniki w Polsce nie po-

1970 roku. Przewidując dalsze narastanie konfliktów społecznych w Polsce, szczególnie zaś tych, które są chroniczne w związku z ogólną sytuacją gospodarczą w kraju, chcieli zapewne mieć z góry przygotowanego wroga klasowego. Rzecz jasna nie partia, jednostronnie rządząca gospodarką, ale jej wykonawcy; świat techniki miał odpowiadać za wadliwą produkcję, niedostatki robotników i ogólny kryzys gospodarczy.

Podobno na osobiste żądanie Gomułki całą tę akcję – na razie tylko prawną – w końcu zawieszono. Krótkość jej trwania wcale nie zmienia faktu, że partia także i inteligencji technicznej zaczyna coraz mniej wierzyć. Również wypadki grudniowe z 1970 roku wskazują, że lokalne władze partyjne chciałyby się bronić przed napierającą klasą robotniczą, rzucając oskarżenia na personel techniczny i zarządzający w zakładach pracy. Jednak w obliczu zasadniczego kryzysu pomiędzy partią a klasą robotniczą, partia będzie zapewne próbowała obecnie – przez pewien okres – czynić pewne „awanse” inteligencji technicznej. Ważną rzeczą będzie, jak ta ostatnia ustosunkuje się do nowej gry partii.

Inteligencja techniczna na etapie strukturalnego kryzysu komunizmu sowieckiego ma do spełnienia w Polsce ważną rolę. Zapewne ważniejszą nawet od inteligencji humanistycznej.

W momencie gdy świadomość społeczeństwa jest już całkowicie i jednoznacznie uformowana – społeczeństwo nie wierzy więcej w żadną poprawę sytuacji ze strony partii – inteligencja techniczna powinna wpływać na „produkcyjne” podbudowanie walki politycznej robotnika. Wskazanie robotnikowi na przyczyny zahamowań w jego własnej pracy produkcyjnej, pokazanie braku kompetencji partii i rozwianie w tej dziedzinie wszelkich mitów, że w przyszłości będzie lepiej – mogłoby zdecydowanie wesprzeć klasę robotniczą w jej aktualnej walce z partią.

Przede wszystkim zaś inteligencja techniczna powinna zerwać ze ślepym posłuszeństwem wobec partii, wobec jej absurdalnych poleceń gospodarczych. Nie podporządkowując się abstrakcyjnym koncepcjom gospodarczym partii, inteligencja techniczna będzie w stanie wyrabiać w całym społeczeństwie poczucie własnej siły i znajomości spraw istotnych dla przyszłości kraju. Ostatnim mitem partii jest bowiem problem pozytywnego rozwiązania zagadnień zarządzania i kierowania gospodarką narodową. Stara się ona wmówić społeczeństwu, że tutaj tkwią przyczyny wszystkich bolączek socjalizmu w Polsce. Inteligencja techniczna wykazująca, że komunizm nie jest w stanie nigdy w żaden sposób rozwiązać problemów gospodarczych w Polsce – ostatecznie zachwiałaby policyjnym systemem ciemniącym kraj. Jej

WOJCIECH RYSAK

Inteligencja polska: rzeczywistość czy mit

Oficjalny podział ludności Polski Ludowej ze względu na stratyfikację społeczne wykazuje, że społeczeństwo polskie dzieli się na trzy nieantagonistyczne klasy (warstwy): robotników, chłopów i inteligencję pracującą. Z trzech warstw tylko jedna była zaangażowana w wypadki grudniowe; dwie pozostałe ustosunkowały się do nich – w najlepszym razie – z cichą aprobatą i – również w najlepszym razie – wydawały się rade, że ktoś inny przejął na siebie ciężar i ofiary walki z reżymem, licząc, jak się okazało nie bez racji, na to, że jeśli partia poczyni ustępstwa na rzecz robotników, to poczyni je również na rzecz innych warstw społecznych.

W związku z tym, że tylko robotnicy wzięli udział czy spowodowali wypadki grudniowe, hasła i postulaty wówczas wysuwane były postulatami wyłącznie ekonomicznymi, choć – gdyby inteligencja wzięła udział w Grudniu – mogłyby być rozszerzone i na sprawy polityczne; nie stało się tak jednak i dlatego wypadki te nie doprowadziły do żadnych zmian polityczno-społecznych, bo przecież trudno nazwać przewrotem politycznym przewrót pałacowy, przechwycenie władzy przez inną klikę w łonie tej samej grupy, nieco tylko (oby!) sprawniejszą w realizacji tego samego programu politycznego.

W Marcu natomiast było zgoła inaczej. Wówczas to grupa studentów i pracowników naukowych wystąpiła przeciwko reżymowi, głosząc hasło wolności słowa i swobody twórczej. Hasło to brzmiało, jak wiadomo: „Nie ma chleba bez wolności”. Była to mała grupa – w zasadzie tylko nieliczni asystenci i profesorowie uniwersytetu, gdyż pracownicy instytutów naukowych, nie prowadzący działalności dydaktycznej, powstrzymali się przed manifestowaniem postawy sprzyjającej studentom, natomiast rezolucje wier-nopoddańcze uchwalano niemalże natychmiast.

winni zapominać. Niechaj wiedzą, że prawdziwa wartość ich pracy będzie w przyszłości oceniana na podstawie osiągnięć technicznych, które sprzyjały rozwojowi materialnemu społeczeństwa. Skoro o tym odcinku życia społecznego w Polsce raczej nie da się nic pozytywnego powiedzieć, technicy powinni czym prędzej wyciągnąć odpowiednie wnioski na polu polityki. Zmieniając ją, będzie można znowu wrócić do tego, by inżynier i technik polski nie pozostawali w tyle w stosunku do czołówki światowej dążącej do rzeczywistego rozwoju kultury materialnej.

Aleksander Zabrzęski

[7-8/1971]

za za dobrodziejstwo ustroju społecznego i właśnie za awans społeczny, a nie za przymus wynikły z niedostatecznego zaplecza ekonomicznego gospodarki wiejskiej.

Historyk czy socjolog winien jednak w tym miejscu zauważyć, że ten proces, owa zmiana struktury społecznej – niezależnie od racji genetycznych – winna być zawsze uważana za przemianę pozytywną zarówno w obrębie stratyfikacji społecznej, jak i w zakresie kultury narodowej. W normalnym społeczeństwie oznacza to bowiem dopływ nowych, prężnych ludzi; świeżych, otwartych umysłów, nie związanych z rodzinnymi koteriami pracowników itp. W normalnym społeczeństwie – ale nie w polskim.

Te subiektywne odczucia „awansujących” chłopów, jak i fakt posiadania własnego gospodarstwa rolnego sprawiają, że chłopstwo akceptuje w zasadzie obecny reżym i będzie go tak długo akceptować, póki nie odbierze się im gospodarstw. Jednocześnie chłop posiadający własną ziemię myśli na ogół kategoriami patriotycznymi o zabarwieniu szowinistycznym, co słusznie zauważył Stalin, pisząc, że mentalność chłopska nie rozróżnia pojęcia „swego gospodarstwa” od pojęcia „swojej ojczyzny”. Aparat policyjny złożony z chłopów (dzieci chłopskich), obdarzony dodatkowymi przywilejami i na skutek tego szczególnie świadom swego awansu społecznego – jest wyjątkowo wierny, lojalny i całkowicie oddany „sprawie narodowej”.

Podobnie jak chłop, tak i inteligencja po roku 1956 zniknęła jakby z powierzchni życia politycznego kraju. Oczywiście inteligencja w najszerszym tego słowa znaczeniu, bo przecież nie intelektualiści. Pytanie, dlaczego tak się stało, dlaczego ani w Marcu, ani przede wszystkim w Grudniu inteligencja nie była obecna, przejawia się w wielu dyskusjach na tematy krajowe. Stawiał to pytanie parokrotnie Herling-Grudziński, starali się na nie odpowiedzieć w „Kulturze” Matejko i Kołakowski.* Ale – o ile pytanie jest niezwykle ważne i istotne – odpowiedź Matejki, polegająca w zasadzie na ironii z inteligencji krajowej, nie rozwiązała wcale postawionej kwestii.

Matejko próbuje zdefiniować inteligencję następująco:

„Być inteligentem znaczy dziś w Polsce wykonywać pracę umysłową (co najmniej w poważnej części), mieć dostateczne wykształcenie ogólne (średnie już dziś nie wystarcza), wykazać jaką taką ogładę towarzyską i kulturalną, podkreślać w jakimś stopniu swą identyczność i poczucie honoru. Inteligent bywa w teatrze, w kinie szuka nie tylko taniej rozrywki, czytuje tak zwane czasopisma społeczno-kulturalne i książki modnych pisarzy,

* A. Matejko: *Świadomość inteligencka*, nr 7–8/1971; L. Kołakowski: *Tezy o nadziei i beznadziejności*, nr 6/1971.

Oczywiste więc jest – pomijając motywy natury propagandowej – że robotnicy, którym nie tyle brakowało wolności słowa, co właśnie chleba, którzy w sklepach mięsnych widzieli tylko gołe haki, odnieśli się do tak sformułowanego hasła nieufnie lub wręcz wrogo. Pozwolę sobie nawet na uogólnienie tego ostatniego stwierdzenia: nie tylko robotnicy, ale w ogóle „ulica” patrzyła niechętnym wzrokiem na manifestujących studentów. Dodajmy, że nie bez racji, bo specyficzne problemy studentów i intelektualistów, nie dotyczące spraw ekonomicznych, były i będą niezrozumiałe dla innych warstw społecznych. Hasło to – co także trzeba stwierdzić – nie zostało zresztą poparte *en masse* przez studentów, którzy musieli się utrzymywać z głodowego stypendium (300 zł na pierwszych latach i 500 zł na ostatnim roku) i mieszkać w domach akademickich w warunkach więziennych – jeśli chodzi o metraż 3–4 m² na osobę.

Jeśli powyższe jest słuszne, to w takim wypadku nawet Marca nie można uważać za wystąpienie inteligencji jako klasy społecznej – choć niewątpliwie było to wystąpienie inteligentkie – lecz jedynie jej drobnej części, na którą złożyli się studenci (dość masowo) i inteligenci (nieliczni).

W każdym razie historyk nie zanotuje żadnego wystąpienia chłopów, jeśli nie liczyć drobnych incydentów związanych z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej czy też z pewnymi obrzędami religijnymi, które to zadrażnienia wynikały na skutek prostackich ingerencji milicji i nie były skierowane przeciwko komunistycznemu systemowi polityczno-społecznemu. Zjawisko owej „niewrażliwości” chłopskiej na reżym (uściślijmy, że od roku 1956) można by, ale tylko z grubsza, wyjaśnić tym, że właśnie chłopstwo jest tą grupą społeczną, której powodzi się jeśli nie dobrze, to przecież najlepiej – po prostu dlatego, że warstwa ta nie cierpi głodu, który był udziałem robotników i drobnych urzędników (spotykane niekiedy twierdzenie, iż w Polsce jedzenie jest tanie, woła o pomstę do nieba), oraz tym, co postaram się dalej udowodnić, że chłopci doceniają fakt, iż dopiero ten reżym stworzył chłopstwu – zresztą przypadkowo – możliwość awansu społecznego i kulturowego w skali niespotykanej dotąd w historii Polski. Awans ten oznacza możliwość przeniesienia się do miasta, wykonywania „miejskiego” zawodu i możliwość kształcenia dzieci. Tak rozumiany „awans społeczny” nie jest tylko wynikiem dobrej woli reżymu czy świadomej polityki kulturalnej, ale w dużej mierze wynika z napięć ekonomicznych, gdyż drobne gospodarstwa chłopskie, typowe dla polskiej wsi, nie są w stanie wyżywić zbyt wielu członków rodziny. Młodzież wiejska jest więc zmuszona – zdając sobie z tego sprawę lub nie – szukać pracy w mieście, co zresztą na ogół uwa-

watnym przekonaniom autora tego artykułu, przejdźmy do zasadniczego pytania: jak to więc jest z tą polską inteligencją? Czy grupa ta, nieobecna od szesnastu lat w życiu politycznym Polski, zdradziła swoje powołanie, jak sugeruje Herling-Grudziński; czy też pozwoliła tchórzliwie zastraszyć się policji – jak sugeruje Kołakowski; czy też grupa ta składa się z nicponi, snobów i letkiewiczów – to Matejko. Nie jest wykluczone, że wszyscy trzej mają rację, ale również nie jest wykluczone, że „nieobecność polityczna” polskiej inteligencji krajowej spowodowana jest po prostu tym, że w Polsce lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych inteligencja jako warstwa społeczna, w znaczeniu naszkicowanym powyżej, po prostu nie istnieje, to znaczy, jeśli nawet istnieje, to stanowi grupę tak nieliczną (na przykład profesorowie uniwersyteccy), że siłą rzeczy nieomal niezauważalną w procesach społecznych.

Aleksander Matejko na wstępie wyżej cytowanego artykułu pisze, że przed drugą wojną światową inteligencja stanowiła w Polsce około 6 procent ludności, to znaczy około dwóch milionów. Następuje wojna, Katyń, sowiecko-hitlerowska polityka eksterminacji w pierwszym rządzie właśnie inteligencji, emigracja wojenna i powojenna. Trudno teraz, nie dysponując odnośnymi materiałami, stwierdzić, jaki procent tej grupy pozostał w Polsce przy życiu, ale zapewne nie bardzo się omylimy, jeśli stwierdzimy, że niewielki. Ci ludzie, ci nieliczni inteligenci – z tego między innymi powodu, że tak nieliczni – cenieni byli zaraz po wojnie na wagę złota. Ale flirt z inteligencją trwał niedługo. Rok, może dwa, trzy. Bezwzględna i krwawa rozprawa z AK, wytaczanie procesów w istocie za nic innego, jak właśnie za „inteligenczkę” – dopełniły reszty. Inteligencja jako klasa społecznie istotna przestała istnieć, niedobitki zaś – co zrozumiałe – przeszły na „emigrację wewnętrzną”. Wygrał oficer śledczy mówiący zaraz po wojnie do badanego AK-owca: „A teraz ty inteligencki ch... poczujesz pięść polskiego robotnika”. I ten, cytowany przeze mnie, poczuł – dziesięć lat w celi śmierci – i do końca życia jej nie zapomni. Czy można się dziwić, że ten człowiek nie będzie jawnie, solidarnie z robotnikiem Grudnia manifestować swej nienawiści do reżymu?

Na opróżnione miejsca przyszła nowa klasa. 30 czy 40% studentów autentycznego pochodzenia chłopskiego (mniej robotniczego) na uniwersytetach to rzecz niespotykana. Przyszli i nadal przychodzą do szkół wyższych świadomi, że na zawsze rzucili wieś, świadomi swego awansu. Na uniwersytetach, co zrozumiałe, spotkali się tylko z afirmacją swej postawy. Nie wychował ich nikt, nikt nawet nie starał się ich wychowywać, gdyż ci prawdzi-

potrafi w towarzystwie sformułować opinie na przeróżne ogólne tematy, dba o schludny wygląd zewnętrzny (a jeśli nie dba, to robi to celowo) i o godność własną, nie pospolicuje się z byle kim, jest patriotyczny (to znaczy nie lubi Niemców i Rosjan, a do Czechów ma stosunek protekcyjny), nie bierze na serio żadnej ideologii”.

Oczywiście, weźmiemy pod uwagę tylko pierwszą część powyższej definicji, ale i ona – jeśli nawet odpowiadająca w jakiś sposób obrazowi inteligencji XIX wieku – nie uwzględnia, moim zdaniem, przemian społecznych tejże grupy, dokonanych przez wiek XX, nie odróżnia na przykład inteligencji z grupy tak zwanych wolnych zawodów od drobnych urzędników, a rozróżnienie to istnieje realnie w świadomości społecznej.

W tym samym numerze „Kultury” inną definicję podaje, cytując Jacka Kuronia, Herling-Grudziński:

„Jestem inteligentem [...]. Funkcją inteligencji jest myślenie i przedstawianie społeczeństwu obrazu rzeczywistości [...]. Moralnym obowiązkiem inteligencji jest przedstawić klasie robotniczej i społeczeństwu prawdziwy obraz rzeczywistości”

i dalej dodaje od siebie (Grudziński):

„W naszej części świata [...] inteligencja nie jest ścisłą kategorią socjologiczną ani nawet zawodową, jest raczej – jak słusznie zauważył Kuroń – swoistym powołaniem w społecznym podziale obowiązków i zadań”.*

Te dwie próby definicji – socjologa z jednej strony i moralisty z drugiej – uzupełniają się w wysiłku uchwycenia fenomenu „inteligencji” w kontekście Europy Wschodniej i wychodzą, choć może niecałkowicie, naprzeciw intuicjom potocznym. Podkreślają więc, że grupę społeczną nazwaną „inteligencja” należy wyróżnić ze względu na: zawód wykonywany przez członków tej grupy, określone tradycje i funkcje społeczne. Wyróżnienie tej grupy będzie oczywiście możliwe, jeśli owe kryteria stosowane będą łącznie, to znaczy, że jeśli chcielibyśmy wyróżnić tę grupę tylko ze względu na kryteria zawodowe, to może się w niej znaleźć magazynier, drobna urzędniczka Powiatowej Rady Narodowej czy też pracownik terenowego aparatu partyjnego, którzy – w odczuciu społecznym – na pewno nie będą zaliczani do inteligencji. Również i tradycje, wzięte same w sobie, nie są kryterium przesądającym o przynależności grupowej, podobnie zresztą jak i funkcje społeczne, o których mówił Kuroń.

Po poczynieniu tych uwag i zastrzeżeń wstępnych, których sposób przedstawienia daleki jest od ścisłości naukowej, a które raczej dają wyraz pry-

* G. Herling-Grudziński: *Pozytywizm barokowy*, nr 7–8/1971.

tworzyła się pewna przejściowa formacja nowoczesnej cywilizacji przemysłowo-miejskiej, którą można by określić jako cywilizację chłopską [...]. Ogromna większość dzisiejszych mieszkańców nowych miast [...] urodziła się na wsi, gdzie spędziła pierwsze lata swego życia [...]. Wczesne lata życia mają, jak wiadomo, decydujące znaczenie dla rozwoju osobowości osobnika [...]. Późniejsze systematyczne zabiegi wychowawcze, realizowane przede wszystkim przez system szkolny, nie mogły już odegrać większego, korygującego wpływu. Przede wszystkim dlatego, że nauczycielstwo w swojej podstawowej masie jest również w pierwszym pokoleniu pochodzenia chłopskiego [...]. Głęboko chłopska, pod względem nawyków społecznych, obyczajowości i kultury, jest znaczna część inteligencji i administracji”.

I wreszcie:

„W całym tym skomplikowanym procesie stawania się w nowych kształtach społecznych i kulturowych, procesie bez głębszych lokalnych tradycji, nie ma nauczycieli, są tylko sami, pozostawieni sobie, uczniowie”.

H. Kosowy udowadnia tezy naszego szkicu z innych pozycji obserwacyjnych – mianowicie z pozycji przemian kulturowych. Powtórzmy je: brak po wojnie inteligencji jako klasy społecznej mającej znaczenie; brak wychowawców; model kulturowy, model awansu i model potrzeb tkwiące głęboko w odpowiednich modelach chłopskich. Cytat powyższy potwierdza również tezę, że do chwili obecnej nie ma w Polsce inteligencji w pełnym tego słowa znaczeniu. Na terenie walki politycznej – co rzeczywistość gorzko potwierdziła – oznacza to, że *inteligencja jest nieobecna*, gdyż mamy – w najlepszym razie – do czynienia z grupą społeczną mogącą, przy sprzyjającej polityce społecznej partii (co wydaje się niemożliwe, ponieważ tępienie inteligencji stanowi rację jej istnienia), stać się (sprawa pokoleń) inteligencją. Na kontrprzykład Herlinga-Grudzińskiego (*Odpowiedź na list Korespondenta*, „Kultura” nr 3/282)* odpowiedziałbym, że proces ten dokonał się w Czechosłowacji jeszcze przed pierwszą wojną światową i dlatego mogła mieć miejsce Praska Wiosna 1968. Być może, że upodlenie czeskiej inteligencji było nieporównanie większe niż polskiej i tu można przyznać rację znakomitemu polemście – ale przecież to była w ogóle inteligencja, która otrząsnęła się w roku 1968 i nie akceptuje żadnych form kolaboracji z sowieckim rządem Husaka. Natomiast w Polsce wszystko odbywa się w zgodzie nieomal ze stereotypami dotyczącymi kultury i obyczajowości chłopskiej, a więc zgoda na feudalne obyczaje urzędników, bojaźliwe czapkowanie i lęk przed gniewnym wrzaskiem półinteligenta partyjnego.

* Korespondent [pseud.]: *List do Herlinga-Grudzińskiego* i odpowiedź tegoż, nr 3/1971.

wi wychowawcy – dla przykładu Ossowski, Kotarbiński* itp. – odsunięci byli przez wiele lat od młodzieży. Co prawda wrócili po Październiku, ale, niestety, niektórzy ze względu na wiek na bardzo krótko. Ich przedwojenni uczniowie, którzy winni byli zająć ich miejsca, to ludzie o biografiiach wojennych, które opisywaliśmy wyżej; nowych uczniów ci starzy nie zdążyli wychować. Ale przecież mała grupa, wychowana jeśli nie przez nich bezpośrednio, to przez ich pisma, książki, przykład – dała o sobie znać w Marcu 1968 roku. Dostętnie brutalnie rozbito i tę niewielką, dopiero pączkującą grupę. Dano zaraz inteligencji pochodzącej z grup awansujących lekcję pokazową, jak partia karze zdradę, a jak wynagradza wierność. Obok nowych docentów, ludzi nie będących w stanie napisać najbliższej pracy naukowej, pozostali na placu boju ludzie, którzy dalej pograżali się w stan apatii, nie chcąc płacić – drogo, to trzeba dodać – za to, że nowa klika pałacowa dojdzie do władzy. No i ci z powszechnego awansu – „nowi”, nawet „nowi” w stosunku do grup, które przed czy zaraz po Październiku osiągnęły status inteligencki. Trudno nie zauważyć ciągłej antyinteligentkiej polityki partii stawiającej na ludzi, którzy nie zakończyli drogi awansu społecznego, a która zaawansowanych degraduje. Pytanie, kiedy wreszcie młodzież awansująca, owe 40 procent na uniwersytetach, przejrzy tę politykę, która polega nie na dawaniu, ale na kuszeniu owym awansem. Tych bowiem, którzy swój awans wezmą na serio i zaczną realizować funkcje „bycia inteligentem”, spycha się natychmiast tam, gdzie nie mają już nic do powiedzenia.

Na poparcie powyższego zacytuję Henryka Kosowego („Tygodnik Powszechny” z 4 IV 1971):

„Paradoks obecnego etapu naszego rozwoju zdaje się bowiem polegać na tym, że stając się – w zgodzie ze statystyką – krajem przemysłowym, nie przestaliśmy zarazem – wbrew statystyce – być krajem chłopskim. Polska była nim co najmniej od stu lat, od momentu ostatecznego załamania się dominacji kultury szlacheckiej i opierającego się na niej modelu społeczeństwa. Nigdy zresztą w swoich dziejach Polska nie była tak jednolicie chłopskim krajem, jak w roku 1945, po zakończeniu drugiej wojny światowej. Warstwy miejskie nie były i przed wojną zbyt liczne. Podczas okupacji zostały one praktycznie wyniszczone fizycznie [...]. Ziemianstwo i inteligencja podzieliły losy mieszczaństwa, likwidowane planowo i świadomie w toku prowadzonej walki. Hegemonem procesu naszej powojennej industrializacji i urbanizacji musiała się więc stać warstwa chłopska, która wniosła do obu tych procesów swoje specyficzne cechy społeczne i kulturowe [...]. Wy-

* Tadeusz Kotarbiński nigdy nie przerwał nauczania, natomiast Stanisław Ossowski, chociaż pozostawał nominalnie pracownikiem Uniwersytetu Warszawskiego, został pozbawiony prawa nauczania i kontaktów ze studentami w latach 1950–1955.

zmienia tego fakt, że są to marzenia niewygórowane. Mają mieszkania, stanowiska, pieniądze. Ich rodzice tego nie mieli. Nie posiadając wychowania (w sensie, o jakim pisał Kosowy), pozbawieni wzorów kulturowych, żądają tylko – i chyba skutecznie – zaspokajania potrzeb konsumpcyjnych.

Nie zapominajmy przy tym o pookupacyjnym spadku, o cynizmie i nihilizmie, które w nieco innych warunkach rugują nawet „ideały komunistyczne”. Prasa zajmuje się wyłącznie sprawami produkcji, konsumpcji *etc.* („Tygodnik Powszechny” stanowi tu chlubny wyjątek, ale to jest pismo katolickie). Poważane są tylko takie cechy ludzkie, jak: sprawność, operatywność, bystrość. O innych się zapomina. Toteż coraz powszechniej zwiększa się cyniczne poczucie bezkarności moralnej. Bowiem system – to znaczy ludzie ratujący swoje synekury – dał możliwość tłumaczenia wszystkiego koniecznością posłuszeństwa rozkazom partii. Tacy ludzie, jak Kąkol i S-ka natychmiast po Grudniu zmienili bezkarnie skórę i nawet – co nie dziwi – awansowali. Są przykłady smutne i pouczające. Zwłaszcza jeśli się nie zapomni, że Kąkol jest również i profesorem uniwersytetu!

Konkluzja: Trzeba dość długo jeszcze poczekać na to, aby w Polsce powstała nowa, prawdziwa inteligencja. Ale nie wolno czekać biernie. Trzeba już dzisiaj – zastępując oportunistycznych nauczycieli – podsuwać wzory wychowawcze, kształtować ideały i uczyć zasad elementarnej uczciwości, choćby względem siebie samego. Trzeba urabiać przekonanie, że „być inteligentem, to znaczy spełniać określone funkcje społeczne” i że to nie tylko przywileje, ale i ciężkie niekiedy obowiązki wobec społeczeństwa. Takie zadanie chciałoby się postawić przed wychowawcami młodzieży uniwersyteckiej, pisarzami, publicystami. Zadanie, za które być może przyjdzie im drogo zapłacić! Ale właśnie dlatego – łącznie z płaceniem kosztów – zostali wyróżnieni przez społeczeństwo. Warto więc, by wreszcie uświadomili sobie, że mimo tak wielu „okoliczności łagodzących” nic nie usprawiedliwia ich nieobecności w Grudniu, nieobecności, która tylko zwiększyła rozdzźwięk między nimi a robotnikami. Oni bowiem, ta nieliczna inteligencja, powinni stać się *spiritus movens* walki o społeczeństwo, w której – jak pisał Kołakowski – nie ma co prawda ostatecznych zwycięstw, ale nie ma też ostatecznych porażek.

Wojciech Rysak

Tak więc ów naturalny, spontaniczny i tak ważny społecznie pęd chłopstwa do awansu społecznego kończy się dojściem do ideału kulturowego drobnomieszczaństwa. Pozostaje nam tylko nadzieja, że wbrew dotychczasowym doświadczeniom, które wskazują, że drobnomieszczenie są z zasady najmniej ruchliwi, zamknięci i nie pretendują do dalszego awansu społecznego, że mimo to jednak – zdolnym jednostkom uda się wyrwać z ich kręgów i przejść czy też stworzyć grupę nowej, autentycznej inteligencji. Ale równie dobrze może być odwrotnie. Psychologia społeczna udowodniła łatwość przyswajania sobie cech, z którymi jednostka styka się dostatecznie długo, a które jeśli nawet nie spotkają się z aprobatą społeczną, to przecież również nie są oceniane jako naganne. To ostatnie zdanie, nawet z punktu widzenia socjologa, podkreśla konieczność ostrej krytyki stosunków społecznych w dzisiejszej Polsce.

Zreasumujmy. Narzekanie na inteligencję polską jest o tyle pozbawione sensu, że w Polsce inteligencja jako warstwa mająca społeczne znaczenie nie istnieje. Niedobitki tej warstwy są sterroryzowane, rozłożone psychicznie wydarzeniami ostatnich trzydziestu pięciu lat i wskutek tego podatne na bierne przyjmowanie „wartości kultury socjalistycznej”. Są to ludzie zastraszeni, którzy, zresztą nie bez oporów, zaakceptowali reklamowany przez policję mit strachu, ludzie wierzący w swoją bezsilność, a przez to – Kołakowski ma tu całkowicie rację – pogarszający jeszcze bardziej swoją sytuację. Ale stanowią oni nikłą grupę. Do nich można by zaliczyć ową garstkę intelektualistów uniwersyteckich, w stosunku do których nie stosowałbym taryfy ulgowej. Ich oportunistyczny, służalczy – szczególnie humanistów – jest niewybaczalny, nie tylko ze względu na doraźną szkodliwość, ale przede wszystkim ze względu na młodzież, która z ich postawy czerpie wzory moralne. Dowodem tego był Marzec 1968 roku. To oni, zaakceptowawszy bez protestu wyrzucanie kolegów, głosili wszem i wobec, że trzeba „ratować”, mając chyba na myśli swoje, tak źle płatne posady. Nie można też im wybaczyć oportunistyki i z tego powodu, że właśnie oni (a także i pisarze) są w zasadzie bezkarni. Można wyrzucić sześciu czy siedmiu profesorów filozofii czy socjologii, ale nie wyrzuci się wszystkich fizyków, polonistów, historyków itp., gdyż żadne państwo, nawet – jeśli idzie o politykę kulturalną – tak prymitywnie rządzone jak Polska, nie jest w stanie obejść się bez wysoko wykwalifikowanych nauczycieli. Ale, powtórzmy, to jest właściwie garstka ludzi.

Nowa pseudointeligencja, wychowana w duchu ideałów chłopsko-drobnomieszczańskich, nie widzi powodów – co jest zrozumiałe – do zadzierania z państwem ludowym. Ma albo może mieć wszystko, o czym marzyła. Nie

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

Kordian i Cham

Jak każdego lata, i w ubiegłym roku odwiedziła mnie garść młodych ludzi z Kraju. Utkwił mi w pamięci zwłaszcza jeden młody człowiek, który spędził u nas dwa popołudnia.

Powiedział mi, że jest zdumiony łatwością, z jaką nawiązał ze mną kontakt. Mój krajowy gość jest urodzony w roku 1945, a ja w roku 1906. Wydawałoby się więc, że poza wspólnotą języka nic nas nie łączy, a wszystko dzieli.

Później uświadomiłem sobie, że owa łatwość i bezpośredniość kontaktu polegała na tym, że ów młodzieniec stanowił niemal dokładną kopię moich uniwersyteckich kolegów z lat 1924–1929. Patrzyłem na niego ze wzruszeniem, jak na moje własne ucieleśnione wspomnienie młodości. Dosłownie identyczni młodzi ludzie – może tylko z nieco krócej obciętymi włosami – siedzieli niegdyś obok mnie na ławach uniwersyteckich.

Mój znajomy powiedział mi, że rozmawia ze mną tak, jakby mnie znał całe życie. Odpowiedziałem, że w pewnym sensie znaliśmy się całe życie, ponieważ mimo różnicy pokolenia oraz faktu, że trzydzieści trzy lata przebywam poza Krajem – tak on, jak i ja należymy do tej samej formacji polskiej inteligencji. Dlatego – jak sam przyznał – łatwiej znajduje wspólny język ze mną niż z pewnymi swoimi rówieśnikami w Kraju, którzy należą do innej formacji inteligencji polskiej.

Mojego stryja Leonarda Mieroszewskiego, który jedyny z mojej rodziny utrzymał się do końca przy rodowym majątku – odwiedzałem często, ponieważ miałem mu wiele do zawdzięczenia. Podczas jednej z takich dłuższych wizyt, w słotne i osowiałe popołudnie, zabrałem się z nudów do studiowania wielotomowego herbarza Niesieckiego. Wertowałem grube tomiska jak książki telefoniczne. Najpierw szukałem nazwisk moich kolegów, potem znajomych i wreszcie sprawdziłem szlacheckość moich profesorów. Zauwa-

Studia uniwersyteckie dawały nie tylko stopień czy dyplom naukowy, lecz stanowiły również nową formę nobilitacji. Po ukończeniu uniwersytetu syn chłopca czy robotnika stawał się pełnoprawnym członkiem inteligencji. Absorbował kulturę szlachecką i uważał ją za swoją. Młody góral z dyplomem uniwersyteckim wierzył niezachwianie, że *Pan Tadeusz* czy *Trylogia* są w równej mierze jego eposami, jak i jego kolegów pochodzących z rodów szlacheckich. Stając się inteligentem przejmował na swe barki całą tradycję i patriotyczno-kulturalny *ethos* szlacheckiej kultury.

Gdy po ukończeniu studiów spotykałem czasem moich góralskich kolegów z gimnazjum w Nowym Sączu – bywałem zdumiony ich metamorfozą. Z nieokrzesanych wyrostków przemieniali się w dobrze ubranych panów z „towarzystwa” i ich mowa, sposób bycia i zachowania – w niczym nie zdradzały ich góralskiego pochodzenia. Ci młodzi panowie nie byli już góralami, tylko stuprocentowymi inteligentami czy nobilitowanymi „neoszlachcicami”.

Góral – doktor filozofii w portkach z parzenicami i narzuconej na ramiona guni – byłby pośmiewiskiem zarówno wśród górali, jak i wśród inteligentów.

W owych czasach inteligenci w cwikierze i w chłopskiej sukmanie trafiali się tylko w teatrze, rzadko w życiu.

„Wyjść na człowieka”, jak się w owych czasach mawiało, dla synów chłopskich i robotniczych oznaczało wyjście i opuszczenie raz na zawsze macierzystej warstwy społecznej. Nie było bowiem w szerszej skali inteligencji chłopskiej czy robotniczej. Witos – brakiem krawatki – brawurowo podkreślał fakt, że jego status stanowi wyjątek, a nie regułę.

Inteligenci pochodzenia inteligenckiego stanowili większość i tym samym wzorzec szlacheckiej kultury przekazywany był z pokolenia na pokolenie.

W okresie mojej wczesnej młodości znałem wielu moich rówieśników o skrajnie lewicowych przekonaniach. Ci z nich, którzy byli związani z komunizmem i przeżyli – wystąpili z partii w Polsce Ludowej. Natomiast kilku moich kolegów, którzy w Polsce dwudziestolecia byli poprawnie prawicowi i wykpiwali moje socjalistyczne sympatie, przetrwali Bieruta i Gomułkę i do dziś są podporami partii. Jeden z nich zajmuje wybitne stanowisko w aparacie partyjno-rządowym. Lecz ci panowie, w zgodzie z tradycją polskiej inteligencji – należeliby do każdej partii sprawującej władzę. Gdyby żyli w okresie zaboru austriackiego, byłiby lojalnymi urzędnikami ck starostwa czy ck namiestnictwa. Ponieważ żyją w okresie zaboru sowieckiego, przenieśli się szybko z BBWR do PZPR. Biurokracja musi istnieć, a inteligencja jest i zawsze była dostarczycielką urzędników.

żyłem, że o ile nazwiska wielu moich kolegów nie figurują w Niesieckim, o tyle niemal wszyscy profesorowie uniwersytetu wywodzą się ze stanu szlacheckiego. Oczywiście były wyjątki. Znakomity historyk prawa rzymskiego profesor Taubenschlag, Pigoń czy (ówcześnie) docent Bulas – nie pochodzili ze szlachty. Lecz grupa nieszlachecka stanowiła zdecydowaną mniejszość.

Kilka lat później przeprowadziłem analogiczne badania w stosunku do kilku innych polskich uniwersytetów. Na podstawie tych danych ogłosiłem w „Kurierze Literacko-Naukowym” (niedzielnny dodatek do „IKC”) dłuższy artykuł, który, jak większość moich artykułów, wywołał liczne kontrowersje.

Główne tezy mojego ówczesnego artykułu można by streścić następująco.

Powstania w głównej mierze były dziełem szlachty. Po upadku powstań wyrazicielem szlacheckiej idei niepodległościowej była literatura. Ponieważ inteligencja składała się głównie z ludzi szlacheckiego pochodzenia – wszystkie nurty myśli politycznej, społecznej, naukowej były *de facto* przedłużeniem kultury szlacheckiej. Piłsudski był szlachcicem i Daszyński był szlachcicem. Szlachcicami byli Sienkiewicz, Prus, Żeromski i dziesiątki innych. Niektórzy historycy literatury podawali w wątpliwość szlachectwo Mickiewicza. Zagłuszono jednak szybko niewczesnych śmiałków, bo nasz główny wieszcz narodowy musiał być szlachcicem.

Przymusowa lektura *Pana Tadeusza* i analiza epopei pod czujnym okiem pedagogów stanowiła wstęp do długiego procesu indoktrynacji kulturą szlachecką. Syn chłopca czy robotnika musiał na równi z synami szlacheckimi uczyć się na pamięć długich fragmentów eposu stanowiącego gloryfikację Polski szlacheckiej.

Niektórzy z moich kolegów chłopskiego pochodzenia – mając lat czternaście (*Pana Tadeusza* czytało się w 4 klasie gimnazjalnej) – często nie wiedzieli, co to jest „klejnot”, „ryngraf”, „wyloty kontusza” – i my, szlacheckie pacholęta, którzy znaleźmy realia szlacheckiej kultury od najwcześniejszego dzieciństwa, musieliśmy objaśniać naszym mniej uprzywilejowanym kolegom, co owe dziwne słowa oznaczają. Lecz przyznać się w klasie przed profesorem do braku znajomości tych spraw – było równoznaczne z podkreśleniem swego nieinteligentnego pochodzenia.

Dziecko naśladuje swoich rodziców – chłopiec w szkole naśladuje swoich nauczycieli. Uczymy się poprzez naśladownictwo.

W okresie mojej wczesnej młodości można było naśladować, to znaczy poznawać i przyswajać sobie kulturę szlachecką, ponieważ inna kultura nie istniała.

ność Marii Teresie – niemniej w sto kilkadziesiąt lat później Polacy bywali premierami, ministrami, generałami, ambasadorami, namiestnikami – monarchii austriacko-węgierskiej.

Kolaboracja w zaborze rosyjskim i pruskim wyglądała mniej efektownie, lecz była również zjawiskiem powszechnym. Generał Anders – pod którym miałem zaszczyt służyć wiele lat – był nie tylko zawodowym oficerem armii rosyjskiej, lecz zajmował wysokie stanowisko szefa sztabu dywizji.

Pomiędzy Pierwszą Rzeczpospolitą a potęgami zaborczymi – choć istniały różnice ustrojowe i polityczne, nie istniały różnice ideologiczne. Rosja, Austria, Prusy podobnie jak Pierwsza Rzeczpospolita były chrześcijańskimi monarchiami europejskimi. Rosjanie, Austriacy, Niemcy – to nie byli XVI-XVII-wieczni Turcy z mahometańskim bezwzględny uniwersalizmem, który dzielił świat ideologiczną zaporą na wiernych i niewiernych.

Dziś sytuacja wygląda inaczej. Pomiędzy republikańską Francją a monarchistyczną Anglią istnieją różnice ustrojowe, lecz nie istnieją różnice cywilizacyjne. Natomiast komunizm to jest nie tylko inny ustrój, lecz i inna cywilizacja. Jak wiemy, cywilizacja opiera się na pewnych skalach wartości – jak wolność słowa, nienaruszalność praw obywatelskich, swoboda twórczości artystycznej itd. Cywilizacja zachodnia i jej jedyne na świecie osiągnięcia naukowe i twórcze – okazały się możliwe dzięki temu, że po długim okresie zmagania zdołaliśmy oddzielić metafizykę od fizyki. Doszliśmy do wniosku, że nauka ani nie zaprzecza, ani nie potwierdza tez metafizyki, ponieważ metafizyka z religią na czele dotyczy wglądu na innym szczeblu poznania.

W świecie komunistycznym obserwujemy odwrót od tak pojmowanej cywilizacji zachodniej. W średniowieczu teologia była królową nauk i domagała się całkowitej zgodności fizyki z metafizyką. Podobne średniowieczne warunki panują dziś w państwach komunistycznych, gdzie ideologia usurpuje status królowej nauk i domaga się absolutnej zgodności nauki i literatury z jej metafizycznymi tezami. Na Zachodzie istnieje jasno zarysowany podział na rzeczy sakralne i świeckie. Natomiast na Wschodzie wszystko musi być „sakralne”, w przeciwnym bowiem wypadku staje się heretyckie i rewizjonistyczne.

Polska współczesna znajduje się nie tylko pod supremacją obcego mocarstwa, lecz również w orbicie antyzachodniej cywilizacji. Zabór oznacza dziś coś zupełnie innego niż dawniej. Polacy rządzą w Warszawie – czego nie było za czasów carskich, lecz równocześnie w całej Polsce obowiązuje antyzachodnia totalna ideologia.

W *Panu Tadeuszu* czytamy, że szlachcic bez urzędu jest jak chart bez ogona. Na emigracji stworzyliśmy nieprzebrane zastępy prezesów, wiceprezesów, sekretarzy, przewodniczących – nie mówiąc o ministrach, generałach i pułkownikach (czasu „wojny”) – ponieważ inteligencja polska nawet na obczyźnie musi urzędować. Być kimś, oznaczało zawsze mieć urząd. Stąd niechęć inteligentów do tak zwanych wolnych zawodów, jak przemysł czy handel.

Inteligencja, podobnie jak niegdyś szlachta, nie jest klasą społeczną, tylko stanem. Traktowanie inteligencji jako klasy społecznej, w analogii do klasy robotniczej czy włościańskiej, prowadzi do zasadniczych nieporozumień.

W niniejszym artykule nie interesuje nas jednak socjologiczna analiza inteligencji. Chciałem tylko podkreślić Janusowe oblicze tej warstwy, która dostarczała zarówno lojalistów, jak i bojowników niepodległościowych. Uformowały nas w ten sposób dwa stulecia niewoli.

Pan Wołodyjowski czy Kmicic mówili często o ojczyźnie, lecz nie mówili nigdy o niepodległości. Nawet w okresie potopu szwedzkiego niepodległość nie stanowiła zagadnienia. Polacy nigdy nie bali się Szwedów. W czasach Pierwszej Rzeczypospolitej jedynym narodem, którego Polacy naprawdę się bali – byli Turcy. Swoistą ironią – w którą dzieje ludzkie obfitują – jest fakt, że potęga otomańska, której baliśmy się nadmiernie i w rezultacie popełniliśmy poważne błędy, była jedynym mocarstwem, które nie uznało rozbiórów Polski.

W czasach Pierwszej Rzeczypospolitej niepodległość uważano za oczywistość, a o rzeczach z natury swej oczywistych nie ma potrzeby dyskutować. Idea niepodległościowa zrodziła się po rozbiorach. Reprezentowała ową ideę szlachta i jej spadkobierczyni – polska inteligencja. Stalin – zgodnie z tradycją carską – odmową pomocy zdławił Powstanie Warszawskie, które było ostatnim zbrojnym zrywem inteligencji polskiej.

Jeżeli za sto lat od dziś Polska będzie państwem niepodległym – nasi historycy będą pisali, że naród polski przetrwał dziesiątki lat totalistycznej sowieckiej niewoli.

Lecz co to znaczy, że naród przetrwał?

W przeszłości przetrwanie gwarantowały dwa elementy. Część inteligencji z postulatu niepodległości wypracowała ogólnonarodową ideologię. W rzeczywistości była to ideologia stanu szlachecko-inteligenckiego. Lecz wówczas nikt nie kwestionował faktu, że w imieniu narodu mówi i działała inteligencja.

Bardzo znaczny procent inteligencji kolaborował z zaborcami. Wprawdzie starosta lwowski po pierwszym rozbiore odmówił przysięgi na wier-

z inteligentami z Polski, najrozmaitszych przekonań i z różnych środowisk. Wykorzystując moje prywatne biuro badań inteligencji polskiej – doszedłem do pewnych wniosków, które chciałbym przedstawić czytelnikom. Fakt, że od dwudziestu pięciu lat przebywam w Anglii umożliwia mi spojrzeć z zewnątrz na omawiany problem, mimo że jako inteligent stanowią częstkę składową zagadnienia.

Inteligencja „szlachecka” – jeszcze raz podkreślam, że mianem tym obejmuję inteligentów, którzy bez względu na pochodzenie przyswoili sobie kulturę poszlachecką – należy do przeszłości. Renesans modelu tej kultury wśród nielicznych grup inteligentów w Polsce spowodowany jest – zwłaszcza wśród młodych – głodem identyfikacji. Legitymacja partyjna czy członkostwo takiej czy innej organizacji nie daje odpowiedzi na klasyczne już dziś pytanie: „Polaku, kim jesteś?” Na to pytanie daje tylko odpowiedź przynależność do określonego modelu kultury.

Należy jeszcze raz podkreślić sprawę o istotnym znaczeniu. Inteligencja poszlachecka była chorążym, bojownikiem i organizatorem idei niepodległościowej. W Polsce Ludowej nie ma elit inteligenckich, które przyznawałyby się do idei niepodległościowej. W okresie Wiosny Praskiej można było być czechosłowackim komunistą i niepodległościowcem. Komunizm Dubczeka oznaczał demokrację wewnątrz i maksimum osiągalnych w danym czasie niezależności na zewnątrz.

W Polsce Ludowej wstępując do partii, rezygnuje się tym samym z jakiegokolwiek suwerenności, choćby nawet bardzo ograniczonej. Nie wszystkich to martwi. Przed wielu laty rozmawiałem z młodym inteligentem, synem chłopa, który pierwszy ze swej rodziny zdobywał uniwersyteckie wykształcenie. Ów student powiedział mi bez wahania, że jeżeli niepodległość miała by oznaczać powrót do gospodarki folwarcznej sprzed roku 1939 roku, to chłopci – inteligenci czy nieinteligenci – wolą Polskę Ludową z jej ułomną niepodległością.

To samo dotyczy robotników. Ileż razy słyszałem z ust krajowców opinię, że na emigracji przez niepodległość rozumiemy Polskę kapitalistyczną wraz z jej przedwojenną konstytucją. Szumne deklaracje, że po odzyskaniu niepodległości „naród przez demokratycznie wybrany parlament wypowie się w tych sprawach” – są zasłoną dymną, która umożliwia emigrantom nieakceptowanie zmian społeczno-gospodarczych, jakie zaszły w Kraju. Polska klasa robotnicza nie poprze idei niepodległości – jeżeli niepodległość miała by oznaczać przywrócenie kapitalizmu opartego na konstytucji przedwrześniowej i na ustroju z nią związanym.

Lecz trzeba przetrwać i Polacy na pewno przetrwają. Inteligencja jednak – na skutek całkowicie odmiennej sytuacji – proces przetrwania pojmuje inaczej niż dawniej.

Wspomniałem na wstępie młodego człowieka z Kraju, który wprowadził mnie w zdumienie. Ofiarował mi miniaturowego orzełka na szpilce. Orzełka z koroną. Nie przywiązywałem nigdy dużej wagi do korony na głowie polskiego orła, lecz dziś w oczach pewnej grupy młodzieży inteligenckiej w Kraju korona urosła do symbolu niepodległości. Mój młody znajomy mówił mi również, że w kole jego bliskich kolegów panuje ogromne zainteresowanie Polską niepodległą dwudziestolecia. Młodzi ludzie, o których mówimy, doszli do wniosku, że zostali w tej sprawie okłamani. Uważają, że władze PRL celowo oczerniają Polskę dwudziestolecia, ponieważ porównanie prawdziwego obrazu Polski sprzed roku 1939 z Polską Ludową – wypadłoby na niekorzyść PRL.

Mój znajomy i jego koledzy przeczytali z uwagą pisma Marszałka Piłsudskiego i gorliwie zbierają książki wydane w okresie dwudziestolecia.

Zapytany, co sądzi o rządzie polskim na emigracji, młodzieniec odpowiedział, że jest to konsekwentna postawa i zgodna z tradycją rządu narodowego. Z chłopięcym zachwytem opowiadał, że widział na tabliczce Instytutu im. generała Sikorskiego orła w koronie. W Polsce Ludowej jak długa i szeroka nie ma ani jednej takiej tabliczki. Mało tego, mój młody przyjaciel oświadczył, że rząd polski w pierwszym dniu niepodległości powinien przywrócić wojsku rogatywki.

Jego ojca zabili Rosjanie, a on sam jest inteligentem z dziada pradziada. To tłumaczy wiele – choć nie tłumaczy wszystkiego.

Renesans zainteresowań Drugą Rzeczpospolitą obejmuje szerszy krąg społeczny niż grupa kolegów mojego młodego znajomego. Młode pokolenie nie wierzy oszczerczej propagandzie, która notabene była dziełem ludzi starszego pokolenia, które pamięta czasy przedwojenne.

Jak wszystko na świecie, Druga Rzeczpospolita miała swoje blaski i cienie. Gdyby zezwolono na krytyczną obiektywną analizę okresu międzywojennego – nie byłoby dziś wśród młodych pewnej kategorii tendencji do odrzucania wszelkiego krytycyzmu jako czarnej propagandy.

Jak wiemy, w epoce porozbiorowej analizowano, krytykowano i dyskutowano dzieje Pierwszej Rzeczypospolitej, szukając uporczywie przyczyn jej upadku.

Od roku 1956 odwiedziło mnie jeżeli nie setki, to wiele dziesiątków ludzi z Kraju. Choć w PRL nigdy nie byłem, przedyskutowałem setki godzin

ne. Wrzesień, okupacja, obozy koncentracyjne, masowe zsyłki w głąb Sowieć, Armia Krajowa, Powstanie Warszawskie, emigracja do wojska polskiego na Zachodzie – wszystko to ogołociło Kraj z inteligencji poszlacheckiej.

Bezpośrednio po wojnie zastosowano podwójną gilotynę – która miała na celu odciąć Polskę raz i na zawsze od wzorców jej dotychczasowej kultury.

Lecz wpiery króćkie wyjaśnienie. Socjalizm humanistyczny i tolerancyjny byłby do pogodzenia z tradycyjną polską kulturą. Sowiećyzm jest nie do pogodzenia z żadną kulturą – ani z tą, którą reprezentował Żeromski, ani z tą, którą reprezentuje Sołżenicyn.

W Polsce Ludowej wszystko jest polskie z wyjątkiem nielicznej klasy rządzącej. Ci ludzie, choć są etnicznymi Polakami, ponieważ w całości zależą od Moskwy, stosują w polityce, gospodarce i kulturze – sowiećyzm.

Nawet totalne państwo nie jest nigdy idealnie totalne – dzięki czemu od czasu do czasu pojawiają się książki wartościowe. Lecz te rodzyńki w cieście podkreślają tylko fakt, że ciasto jest bezpostaciową miazgą.

W Polsce Ludowej jest znacznie więcej uniwersytetów i szkół akademickich niż w Polsce przedwrześniowej. Większość studentów stanowią synowie chłopów i robotników. Młody inteligent zdobywa wykształcenie i ogłąda się za kulturą, której po prostu nie ma. Kultura poszlachecka upadła i powstała próżnia. Tak zwana „kultura socjalistyczna” nie jest ani socjalizmem, ani kulturą. Podobnie „socjalistyczny realizm” nie był i nie jest ani socjalizmem, ani realizmem.

Jak zaznaczyłem powyżej, kultura poszlachecka w wielu dziedzinach była anachronizmem – niemniej przez dwieście lat reprezentowała aktywnie ideę niepodległościową. Ponieważ kultura poszlachecka upadła, idea niepodległościowa nie ma w Kraju żadnego intelektualnego zaplecza.

Synowie chłopów i robotników, którzy kończą studia uniwersyteckie w Polsce Ludowej – spotykają czasem pogrobowców kultury poszlacheckiej, którzy wegetują w plebejskiej, powszechnej subkulturze. Polska nigdy nie była tak małomieszczańska jak obecnie. Trudno się temu dziwić, ponieważ klasa „właścicieli Polski Ludowej” – w poziomie i smaku kulturalnym, w obyczaju i w chciwym materializmie wykazuje wszystkie cechy dorobkiewiczowskiego małomieszczaństwa.

Oczywiście w tym mroku palą się światełka i nie brak pięknych wyjątków. Spójrzmy na „Więź” lub spójrzmy na ostatnią stronę „Tygodnika Powszechnego” z Kisielewskim, Kijowskim, Woroszyłskim, Spodkiem. Lecz fakt, że w całej prasie 33-milionowego narodu jest tylko jedna taka strona,

Wszystko to już było dawno, dawno temu. Chłopi polscy w Galicji uważali cesarza Franciszka Józefa za gwaranta ich wolności, obawiając się, że niepodległość Polski wyrazi się w stosunku do nich przywróceniem pańszczyzny.

Na emigracji jedyna „Kultura” zajęła w tych sprawach jasne stanowisko. Od samego początku reprezentowaliśmy pogląd, że konstytucja przedwrześniowa nie może być nawet symbolicznym „herbem” idei niepodległościowej. Rozumieliśmy bowiem, że Trzecia Rzeczpospolita, która będzie sukcesorką Polski Ludowej – odrzucając komunizm – zatrzyma zdobycze socjalizmu. Tak jak w polskich warunkach nie może być powrotu do wielkoobszarniczej prywatnej gospodarki rolnej – tak nie może być również kapitalistycznej reprivatyzacji wielkich zakładów przemysłowych.

Fakt, że bardzo wielu Polaków w Kraju – nawet tych, którzy z nami się nie zgadzają – uważa od dwudziestu pięciu lat „Kulturę” za jedyne „światło w tunelu”, tu bierze swe źródło.

Inteligencja poszlachecka – do której należy autor niniejszych rozważań – jest na wymarcu. Pogrobowcem można być równie dobrze mając lat 66, jak i 22. Młody człowiek z Kraju, o którym wspomniałem na wstępie – nawiązał ze mną natychmiast kontakt, ponieważ obaj jesteśmy pogrobowcami.

Skąd biorą się w Polsce Ludowej młodzi pogrobowcy? Są nieliczni i rodzi ich komunistyczna „pustynia elit”. W porównaniu z Bierutem, Gomułą, Gierkiem – Piłsudski, Dmowski, Witos to byli giganci. Polska przedwrześniowa była w porównaniu z PRL wielka wybitnymi ludźmi, obfitowała w elity twórcze, błyszczała świetnymi nazwiskami w literaturze, w teatrze i w malarstwie. Jej jedyną wadą był fakt, że żyła tylko dwadzieścia lat i że nie miała szansy naprawienia błędów młodości.

Dla nielicznej grupy młodych ludzi w Kraju Polska dwudziestolecia – szkalowana i obrzucana błotem przez reżym komunistyczny – stała się wizją innej Polski: niepodległej i demokratycznej.

Lecz grupy owych neoposzlacheckich młodych inteligentów nie mają przed sobą żadnych perspektyw, ponieważ proces produkcji inteligencji uległ zasadniczej przemianie.

W Polsce przedwrześniowej profesorowie i młodzież akademicka w większości składali się z inteligentów inteligenckiego pochodzenia. Synowie chłopów i robotników stanowili mniejszość. Młodych chłopów i robotników, którzy dobrnęli do uniwersytetów, wchłania kultura, która choć socjologicznie wywodziła się z jednej warstwy – była kulturą panującą.

Dziś w PRL sytuacja wygląda zgoła inaczej. Przede wszystkim należy podkreślić, że inteligencja poszlachecka poniosła olbrzymie straty biologicz-

czego nie oczekują, ponieważ uważają, że niepodległość i demokracja „nie figurują w tabeli osiągnięć dwudziestego wieku”. W rozmowach podkreślali, że nie są „zawodowymi Polakami” jak my w „Kulturze” i wskutek tego sprawy bytowe interesują ich znacznie więcej niż polityka. To są często kulturalni, wykształceni ludzie, których interesuje Gombrowicz, Staliński, Kołakowski, Miłosz – lecz nie problematyka polityczna. Ich *credo* można streścić następująco. W sprawach ustroju i niepodległości nie można nic zrobić. Narażać się czy „wychylać” nie ma sensu. W istniejących warunkach w Kraju trzeba stworzyć sobie najpełniejsze życie w sensie materialnym i kulturalnym.

Socjologiczną cechą charakterystyczną dla tej grupy młodych jest brak poczucia lojalności wyższego szczebla. Odnoszą się z nieufnością zarówno do władz PRL, jak i do instytucji emigracyjnych. Ideologię PRL uważają za propagandową blagę, a ideologię emigracyjną za anachronizm.

Ci młodzi, choć sobie tego jasno nie uświadamiają, czekali zapewne na „autobus” normalnego społecznego rozwoju ich pokolenia. Lecz do przystanku, gdzie startowali swoje życie, ów „autobus” nigdy nie dotarł.

Powtarzam jeszcze raz. Normalny rozwój powinien być się wyrazić zmajoryzowaniem i wchłonięciem inteligencji starego typu przez inteligencję pochodzenia chłopsko-robotniczego. W prawidłowych warunkach proces ten nie oznaczałby konfrontacji, tylko asymilację mniejszości przez większość. Pewne wartości wypracowane przez pokolenia inteligencji poszlacheckiej stałyby się własnością całego narodu – choć inteligencja pojęta jako całość miałaby charakter chłopsko-robotniczy. To byłaby prawdziwa Polska Ludowa.

Stało się inaczej, ponieważ utrata niepodległości przedłużyła historyczną licencję inteligencji poszlacheckiej z całym jej romantycznym bagażem.

Wszystko zależy od definicji. Jeżeli ktoś głosi tezę, że przywrócenie Polsce choćby najskromniej zdefiniowanej niepodległości jest romantyzmem – to piszący te słowa jest zdeklarowanym romantykiem.

Powiedzenie Clausewitza, że polityka jest grą rzeczy możliwych, dotyczy metod i taktyki, a nie celów. Był czas, że Niemcy składały się z trzydziestu ośmiu księstw i księstewek i zjednoczenie było nie tylko mrzonką, lecz absurdem. A jednak Bismarck dokonał cudu zjednoczenia Niemiec.

Niepodległość Polski – skromnie, lecz istotnie pojęta – nie jest mrzonką, ponieważ jest koniecznością. To, co jest niezbędnie konieczne, wcześniej lub później staje się możliwe. Tylko wówczas, gdyby większość narodu polskiego przestała odczuwać ów postulat za konieczny i niezbędny – niepodległość Polski stałaby się mrzonką pozbawioną wszelkiego realizmu.

świadczy, że owa świetna kolumna reprezentuje *de facto* kulturę pogrobowców.

Andrzej Kijowski ma niewątpliwie rację, wywodząc naszą ideę niepodległościową z romantyzmu. Romantykiem był Piłsudski, o czym może najlepiej świadczy motto „wybrane dla życia” z wiersza Słowackiego.

Polska dwudziestolecia była realizacją marzeń romantyków, a czternasty punkt Wilsona mógłby stanowić fragment *Ksiąg narodu i pielgrzymstwa*.

Lecz jest już czas podsumować nasze rozważania i wysunąć pewne wnioski.

Gdyby nie było drugiej wojny światowej i komunistycznych rządów w Polsce – nawet i wówczas inteligencja poszlachecka nie zdołałaby na dłuższą metę utrzymać swej elitarnej pozycji. Proces „nobilitowania” synów chłopskich i robotniczych poprzez patent uniwersytecki dobiegł kresu.

Komunizm wypaczył i opóźnił naturalną ewolucję. W demokratycznej Polsce młodzież chłopska i robotnicza stanowiłaby nie tylko większość na uniwersytetach, lecz stanowiłaby również, w wieku dojrzałym, większość tych, którzy tworzą kulturę. W warunkach swobodnego rozwoju powstałaby nowa inteligencja, która nie szukałaby „nobilitacji” – ponieważ byłaby świadoma swojego własnego, oryginalnego dorobku kulturalnego. Nie ulega wątpliwości, że owa nowa inteligencja formułowałaby odmiennie ideę państwowej niepodległości, niż formułowała ją inteligencja wywodząca się w prostej linii z romantyzmu i z Wielkiej Emigracji. Inaczej mówiąc, gdyby Polska niepodległa żyła i trwała nieprzerwanie od 1918 roku, proces „mutacji elit” odbywałby się u nas stopniowo i ewolucyjnie – podobnie jak w państwach zachodnioeuropejskich. Prawdopodobnie w roku 1973 nikt by już w Polsce nie mówił o inteligencji, tylko o ludziach pracy. Termin „inteligencja” jako określenie warstwy społecznej wyszedłby z użycia. Kordian istnieje tylko w konfrontacji z Chamem. Z chwilą gdy nie byłoby chamów – nie byłoby Kordianów.

Komunizm zatrzymał normalną ewolucję społeczną. W rezultacie stale rosnące kadry inteligencji chłopskiego i robotniczego pochodzenia nie mają możliwości wypracowania własnego profilu kulturalnego.

Gdyby uznać moje kontakty i rozmowy za „badania opinii młodej inteligencji” – to należałoby stwierdzić, że najliczniejszą grupę stanowią młodzi ludzie na rozdrożu. Romantyczny program niepodległościowy (w najszerszym tego słowa znaczeniu) młodzi tej grupy uważają za „naftalinę”. Komunizm nienawidzą i gardzą nim. Pragną się dorobić i przetrwać w możliwie komfortowych warunkach. Słowu „przetrwać” nadają zupełnie inny sens niż my. Dla nas „przetrwanie” implikuje oczekiwanie. Młodzi tej grupy ni-

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI

Naród jak lawa Pamflet na Spuchłokarkich

„Nasz naród jak lawa,
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi
Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi”.

*

Mój Boże, co by się działo, gdyby to dziś ośmielił się ktoś takie słowa napisać! Jaki by się ryk podniósł i jakie złorzeczenia! Ruszyliby do czynu rycerze publicystycznego kastetu i samuraje felietonowej kłonicy. Z gębą napuchłą od superpatriotycznego frazesu, z karkiem spęczniałym z oburzenia, ale i z chytrym oczkiem patrzącym bystro, czy chorągwie nadal wieją w tę stronę, czy też już może w inną? Czy złego warkotu nie zamienić na okrzyk uznania, a dłoni ściśniętych w pięść nie złożyć do oklasków? Jakiż rejwach czynią ci rwacze, ręce im się trzęsą do posadek, a za katapultę – która jak barona Münchhausena* wystrzeli ich na szczyt góry – przyjęli frazes o ojczyźnie, innym prawa do patriotyzmu odmawiając, a rozumieją ojczyznę jako sztandary i fanfary, czaka i czapraki, pomniki i capstrzyki. „W ojczyźnie było laurowo i ciemno...” I dzieje się tak, jakby dwieście lat naszej ostatniej historii nie nauczyło nas, że patriotyzm to jest ból i gorycz, to jest szarpanie się i palący niepokój, to jest rzecz trudna. Ci Scewolowie** naszej publicystyki i kultury, co dla poświadczenia niezłomnego patriotyzmu swego za-

* Oficer niemiecki służący w armii carskiej, którego barwne opowieści zainspirowały wielu pisarzy i filmowców.

** Legendarny bohater rzymski, który pozwolił sobie spalić rękę, ale przyjaciół nie wydał.

Istotę współczesnego kryzysu inteligencji polskiej stanowi fakt, że chłopsko-robotnicza jej część wychowuje się i formuje na ideowej pustyni. Z drugiej strony pogrobowcy starszego i średniego pokolenia w Kraju i za granicą – mają mały związek z współczesnością, na którą patrzą z perspektywy wspomnień.

Nie pomniejszając wielkiego historycznego wkładu inteligencji pierwszej i drugiej emigracji oraz naszych licznych przyjaciół w Kraju – wydaje mi się oczywiste, że niepodległość i ustrój Polski, których nie doczekamy – będą dziełem nowej inteligencji w przytłaczającym procencie pochodzenia chłopsko-robotniczego.

Lubię czasem przeglądać historię pierwszej wojny światowej A. J. P. Taylora. Patrząc na fotografie żołnierzy brytyjskich w rowach strzeleckich nad Sommą – nie mogę oprzeć się wrażeniu, że oglądam album „familijnych fotografii”. Wszystko niemal identyczne – te same hełmy, te same twarze, ta sama pozorna niedbałość i nonszalancja w geście i te same krzepkie ręce dzierżące karabin z tym samym beznadziejnie długim bagnietem, który w Sidi Bishr nazywaliśmy „śledziem”. Dosłownie tak samo wyglądali dwadzieścia kilka lat po walkach nad Sommą moi brytyjscy towarzysze broni w Palestynie, w Iraku, w Afryce. Jakby z martwych powstałi ze swych dalekich francuskich grobów, by podjąć nową rozprawę z Niemcami.

Dwie końcowe refleksje. Pokolenia wymierają, lecz narody trwają. Genetyczno-psychiczna konstytucja dziedziczona jest z pokolenia na pokolenie – dzięki czemu, mimo wszystkich przemian, Anglicy pozostają zawsze Anglikami, a Polacy Polakami. Na szczęście czy na nieszczęście.

Młoda polska inteligencja chłopsko-robotnicza – choć dziś do nas starych „kordianowskich” inteligentów mało podobna – za dwadzieścia kilka lat, choć my tego oglądać nie będziemy, znacznie się do nas upodobni. Aczkolwiek historia nie wyrównuje, to przecież niezmiernie łagodzi tak zwaną przepaść pokoleniową.

I refleksja druga. Patrząc na fotografie młodych żołnierzy brytyjskich w rowach strzeleckich nad Sommą, myślę, że ci synowie robotników i sklepikarzy – ci urodzeni praktycy – nie zdając sobie z tego sprawy, walczyli i umierali na to, by punkty Wilsona – które według Kijowskiego realizowały sny romantyków – mogły stać się rzeczywistością.

Przewertujcie historię! Zawsze tak było. Sny romantyków urzeczywistniali realiści. Gdyby nie było romantyków – realiści nie mieliby czego urzeczywistniać.

Juliusz Mieroszewski



Zdaję sobie sprawę, że wysunięcie tezy o potęgującym się wpływie drobnomieszczaństwa na życie kraju może być poczytane za ciężki zarzut i może wzbudzić niechętną reakcję, a nawet oburzenie. Uważam, że niesłusznie. Występowanie zjawiska, o którym myślę, nie tylko nie stawia znaku zapytania nad charakterem odbywających się w naszym kraju przemian, ale przeciwnie – jest dowodem, że przemiany te są rzeczywiście głębokie. Postaram się to uzasadnić.

Przede wszystkim jednak: cóż to jest owo drobnomieszczaństwo i gdzie go szukać w nowym polskim społeczeństwie? Chociaż w literaturze socjologicznej i historycznej ostatnich kilkudziesięciu lat pojęcie to pojawia się bardzo często, niełatwo jednak je zdefiniować. Dawniej rozumiano przez to drobnych kupców i przedsiębiorców, przedstawicieli wolnych zawodów, małych urzędników, pracowników umysłowych, nauczycieli, czyli tych, których w Ameryce określają jako *white collars*, białokołnierzykowców. Określając drobnomieszczaństwo w taki sposób, brano pod uwagę nie tylko jego pozycję społeczno-ekonomiczną (kryterium produkcyjne) i standard życia (kryterium konsumpcyjne), ale i pewne cechy mentalności zbiorowej, nawyków myślowych i obyczajowych. Zaliczano do tej grupy również najlepiej płatną „arystokrację robotniczą”, funkcjonariuszy związkowych, nadzorców, magazynierów itp. Tak zdefiniowane pojęcie drobnomieszczaństwa można na przykład znaleźć u profesora Ryszki, kiedy mówi o społeczeństwie niemieckim lat dwudziestych.

A u nas, w społeczeństwie budującym socjalizm? Profesor Jan Szczepański w pracy *Inteligencja a pracownicy umysłowi* wyróżnia kilka kategorii ludzi, których kwalifikuje bez zastrzeżeń jako należących do warstwy „inteligencji”, ale prócz nich wskazuje także na istnienie ogromnej – i rosnącej – masy „pracowników umysłowych”, co do których ma najwyraźniej wątpliwości, czy można ich zaliczyć do ściśle zdefiniowanej kategorii inteligencji. Piszę:

„Czym są? Częścią klasy robotniczej? Nową formą inteligencji? Kontynuacją drobnomieszczaństwa w specyficznych warunkach społeczeństwa socjalistycznego?... Wydaje się, że w Polsce nie można tych mas pracowników umysłowych, tych właśnie mas drobnych urzędników uznać za składową część proletariatu w tradycyjnym marksistowskim rozumieniu tego słowa. Są pracownikami najemnymi, lecz nie mają świadomości społecznej mas robotniczych. Mają inne ambicje i cele życiowe. Ich droga życiowa prowadzi nie przez doskonalenie zawodowe i podnoszenie wydajności pracy w swoim zawodzie, co charakteryzuje robotników fizycznych, lecz przez awans na szczeblach stanowisk służbo-

wsze gotowi cudzą rękę w ogień włożyć. Likurgowie stanu wyjątkowego, sądów doraźnych, represji przeciw każdemu, kto z nimi nie trzyma. Czerwony transparent pomieszał się im z Matką Boską Częstochowską. Stańczyk z Zawiszą Czarnym. Patrz Kościuszko na nas z nieba, tylko nie patrz nam aby na ręce...

A przecież pisał już kiedyś poeta w wierszu *Narodzie mój*:

„Obnażę jego wstyd,
Spod sztandarów i kit
Oberwanych, twarz jego zawstydzę...”

Och, jakby się rzucili na niego, gdyby żył, jakżeby go szarpali i wyzywali, i pluli! Ale on zmarł dawno i dawno już kanonizowany w chramie świętości narodowych, więc go nie ruszają, napadają tylko tych, co żyją i którzy widzą los Polski w dziejach inaczej, nie w poetyce Grottgera i Najświętszej Panny, nie w nutach *Hej, strzelcy wraz* ani *Jak to na wojence ładnie*. Tych, co rozumieją, że ten los był często tragiczny, że czasem dziwny, ale i niesamowity, inny niż los zwykłych rodzin europejskich, wciąż wpłatywany w wielkie wydarzenia, na które zwykły człowiek miał wpływ niewielki, co jednak nie zwalniało go od konieczności przyjmowania wciąż na nowo postawy zgodnej z jego przekonaniami. I nieraz syn zaprzeczał temu, w co wierzył ojciec, ojciec wyrzekał się syna. I zawsze była to sprawa wyboru, dokonywanego wciąż na nowo, z różnymi konsekwencjami, sprawa trudna, niejednoznaczna, która sprawiała, że obok Łukasieńskiego był też Mochacki, a obok Wysockiego – Chłopicki, obok Traugutta – Wielopolski.

A tutaj naraz widzimy, że są tacy, co chcieliby to wszystko uprościć, ustawić w ordynku, samemu stanąć na czele i wydawać komendy. Historii nie znają i pojmują dzieje na zupacką modłę, na zupacki też sposób chcieliby społeczeństwo przykroić, narzucając mu pogląd uproszczony a jednolity, wydając jednym patent na patriotyzm, a innym go odmawiając. Od lat starają się zachachmęcić naszą historię, wmówić społeczeństwu, że była ona taka więcej ułańsko-partyzancka i beztraska, bardziej podobna do *Siedmiu wspaniałych* niż do *Rozdziobią nas kruki, wrony*. Jedni z nich są prostego ducha i rozumieją wszystko po prostu. Inni nie – to cwaniacy, którym nie brakuje sprytu.

Myślę, że są i tacy, co świadomie lub nieświadomie, bardzo jednak konsekwentnie, starają się wykorzystać do swoich celów (to znaczy dla uzyskania poklasku i popularności, a w rezultacie znaczenia i wpływów) potęgujące się w naszym życiu społecznym, publicznym i kulturalnym zjawisko drobnomieszczaństwa.

chód ciągnęły karawany wozów. U nas stało się to dopiero podczas drugiej wojny światowej i później, po roku 1945. Powstała nowa, liczna i prężna grupa ludzi, którzy awansowali. Uzyskali ten awans dzięki przemianom społecznym, dzięki losowi i dzięki własnym wysiłkom.

Jest to wielki skarb, od którego może się zacząć nowy wiek złoty w Polsce. Może – ale nie musi...



Ta nowa grupa ludzi awansowanych (a mam tu na myśli nie tylko pracowników umysłowych, o których pisał profesor Szczepański, lecz tych wszystkich, którzy korzystnie dla siebie zmienili miejsce w hierarchii społecznej) oddziałuje dziś na całe życie kraju, wnosi wkład we wszystkie dziedziny twórczości – i modeluje rzeczywistość na swoje podobieństwo. To wszak właśnie ci, którzy „mają inne ambicje i cele życiowe”. Nie ma w tym niczego pejoratywnego, nie oznacza wywyższania się ponad ludzi zwykłej pracy, oznacza natomiast, że awansowani mają ambicję odegrania większej roli, wybicia się, wniesienia większego i bardziej skomplikowanego wkładu. Taki jest w końcu sens awansu, chociaż nieraz popełniano u nas głupstwa, z jednej strony zachęcając ludzi, by awansowali, z drugiej zaś – mając im to za złe i patrząc na nich podejrzliwie. Umówmy się jednak raz na zawsze, że są to zjawiska dobre i pozytywne.

Jednakże ta grupa jest zarazem młoda, nieokrzepła, trochę zdziwiona, trochę zaskoczona, trochę niepewna. Nieraz zarzuca się jej ważniactwo, zły stosunek do ludzi, odrywanie się od rodzinnego zaplecza, ukrywanie swego pochodzenia, wypieranie się rodziców – świadczy to o poczuciu niepewności, jakże popularnym w pierwszym pokoleniu korzystającym z awansu. Tak zawsze było w podobnych przypadkach i niejedno można na ten temat przeczytać już u starożytnych autorów. A z nowych: u Babla, u Różewicza. Kariera – to nie lubiane, ale przecież niezbędne słowo, oznacza trudne wyzwanie, napięcie nerwów, konieczność szybkiego przygotowania się do nowych wymagań, stresy. Jest to trudny egzamin dla charakterów i często zdarza się, że ludzie poddani takim obciążeniom, chcąc się na nie uodpornić, wyrabiają w sobie te wszystkie złe cechy, które zwykliśmy określać jako drobnomieszczańskie. Dzieje się tak, kiedy najważniejszym, głównym kryterium, staje się z wolna ja sam i moje powodzenie, a później racją mojego istnienia staje się obrona uzyskanej już przeze mnie pozycji.

wych. Mają oni pewne ambicje docierające do nich z dawnej inteligencji i współczesnych kręgów intelektualistów, lecz w znacznym stopniu pozostają po wpływie form życia, stylu mieszkania, zachowania, rozrywek rozwiniętych w dawnych środowiskach drobnomieszczańskich”.

Prócz masy pracowników administracyjno-biurowych, profesor Szczepański wyróżnia jeszcze kategorię „ekspertów”: inżynierów, lekarzy, nauczycieli, których traktuje niejako osobno – lecz w pewnej jednak z nimi łączności. Wydaje się, że w interesującej nas w tej chwili kwestii najważniejsze jest nie tyle ściśle umiejscowienie danej grupy ludzi w strukturze społecznej i produkcyjnej, ile zwrócenie uwagi na pewne zjawiska psychiczne dotyczące mentalności, stosunku do kultury, moralności, celów życiowych, wreszcie gustów. Tu tkwi, moim zdaniem, klucz do zrozumienia licznych zjawisk naszego życia społecznego.

Przełożmy to na język życia codziennego. Kim są owe przysłowiowe „panienki z okienka” lub zza biurka? Kim są owi młodzi technicy, którym szkoła otworzyła możliwość awansu? Kim są awansowani na stanowiska zarządzające robotnicy? Kim są ludzie zarywający noce, aby ukończyć studia zaoczne? Kim są młodzi aktywiści, którzy stopniowo wspinają się po szczeblach drabiny administracyjnej? Kim są młodzi oficerowie, lekarze, prawnicy, agronomowie, nauczyciele, którzy wysiłkiem własnym i rodziców wyszli ze wsi i odbiwszy się z wiejskiej szkoły, wykonali ów klasyczny dziś w naszym społeczeństwie trójskok: geograficzny (bo do miasta), zawodowy (bo do pracy, o jakiej ich rodzice nawet nie marzyli) i społeczny (bo z pozycji zwykłego wytwórcy znaleźli się na poziomie zarządzającego lub twórcy nadbudowy)? Kim oni wszyscy są? Przede wszystkim są ludźmi, którym rewolucja socjalna w Polsce dała szansę wywyższenia się i zrealizowania ambicji. Są produktem – symbolem i jednym z najważniejszych dowodów przemian społecznych w Polsce. Są zarazem transfuzją świeżej krwi, jaką dano polskiej inteligencji, kulturze, instytucjom państwowym, myśli społecznej, nauce i technice.

Nastąpiło, po 1945 roku, wspaniałe wymieszanie, potężna migracja we-wnątrz społeczeństwa, wstrząśnięcie starymi hierarchiami – wielka przemiana materii. Myślę, że już to samo jest wystarczającym powodem, by głosić chwałę rewolucji i wiele jest w historii dowodów świadczących, że takie zjawiska – wynikające z potrząśnięcia społeczną retortą – dobrze wpływały na losy narodów. To właśnie stało się w Anglii w epoce Cromwella i później, w epoce podbojów i wielkiej przedsiębiorczości; to stało się we Francji podczas Wielkiej Rewolucji i podczas następnych wstrząsów dziewiętnastego wieku; to nastąpiło w Ameryce podczas wojny domowej i wtedy, gdy na za-

Nie odkrywam tu niczego nowego, pisano już o tym niejeden raz. Wiadomo, że najzjadlej przekonany o swojej słuszności i racji jest właśnie drobnomieszczanin, który boi się i nienawidzi wszystkiego, co jest inne, co nie jest do niego podobne. Drobnomieszczanin jest nietolerancyjny, a przy tym głęboko również konformistyczny, gotowy posłusznie przyjąć narzucone mu przez wyższe autorytety modele zachowania, myślenia, życia. Wszystko to nie jest nowe, ale myślę, że nie zwracaliśmy dostatecznej uwagi na to, że dotyczy to również i naszego społeczeństwa. Te zjawiska są naturalnym składnikiem wielkich procesów – i w tym sensie nie ma na nie rady – ale ponieważ są zjawiskami szkodliwymi dla społeczeństwa i dla socjalizmu, przeto powinniśmy je sobie uświadomić i szukać na nie lekarstwa.

Drobnomieszczański konserwatyzm, brak tolerancji połączony z nadmiarem konformizmu – jest groźny, ponieważ rodzi prywatę i zabija poczucie służby społecznej. W oparach drobnomieszczaństwa człowiek staje się człowiekowi wilkiem i czasem osiąga takie wyżyny zakłamania i specjalnego rodzaju szantażu, jak ów bohater STS-owego przedstawienia *Solo na perkusji*, który był zawsze gotów zrobić każde świństwo, by się przypodobać zwierchnikowi, a gdy ktoś ośmielił się go skrytykować, wówczas nadymał się, pęczniał i potworniał, wrzeszcząc: – Moi bracia, tam, na Rzeszowszczyźnie, oni orzą, a wy, mnie, tutaj...

W niektórych pismach bywają opisywane z lubością zewnętrzne przejawy drobnomieszczaństwa w postaci badylarskich willi. Myślę, że badylarskie bungalowy z wodotryskami nie stanowią wielkiego niebezpieczeństwa, byle badylarska mentalność, poglądy i gusty nie stawały się obowiązujące. I żeby wszystko było jasne: uważam, że gorsi są ci, co nie mają wprawdzie skrawka ziemi, nie wiedzą, jak się sadzi pomidory, nigdy nie wozili pietruszki na targ – ale czują, że zawsze mają rację, że posiadli już całą wiedzę na każdy temat, znają się zarówno na pielęgnowaniu śliwek, jak i na modzie, na robieniu filmów, handlu zagranicznym, męskich fryzurach i buddystach „zen”, i którzy są przekonani, że cały świat winien być administracyjnie zmuszony do ścisłego stosowania się do ich poglądów na wszystkie wymienione sprawy. I na wiele nie wymienionych.



W Polsce – podobnie zresztą, jak i w licznych młodszych i mniej rozwiniętych krajach – rzecz ma dodatkowe oblicze. Jest to zagadnienie patriotyzmu, stosunku do historii, spojrzenia na rolę i miejsce własnego narodu. Je-

Ludzie, którzy awansowali, instynktownie szukają wzorców postępowania, zachowania, gustu, urządzania życia. I tutaj czyhają liczne niebezpieczeństwa. Któż może dostarczyć tej wielkiej grupie ludzi wzorów interesujących i przekonujących? Są oni chłonni jak gąbka i plastyczni jak glina rzeźbiarska. Nieraz jeszcze mawia się, że owych wzorów wciąż dostarcza im stara polska szlachta, ze wszystkimi swymi wadami, ale myślę, że to wolne żarty. Więc może stara inteligencja? To już jest zapewne bardziej prawdziwe, ale wiemy przecież, że ta inteligencja najpierw została niemiłosiernie przetrzebiona przez wojnę, później zaś była często otaczana podejrzliwością i jej wpływ na młodych awansujących nie mógł być wielki. Istnieje on może w środowiskach artystycznych i akademickich, a i to coraz rzadziej. Któż więc pozostaje? I tu właśnie znajdujemy lukę, która nie została jeszcze wypełniona. Teoretycznie lukę tę powinny w przyszłości wypełnić nowe, socjalistyczne wzory stosunków między ludźmi, lepszego, bardziej ludzkiego pojmowania celu naszego życia i działalności, egzystencji mającej więcej wewnętrznej treści, niż to bywało dotąd. Tak powinno kiedyś być, ale na razie jesteśmy dość jeszcze oddaleni od tej wizji. Na razie w tej luce krzyżują się rozmaite, całkiem nieraz przypadkowe wpływy: czasem jest to wpływ popularnego działacza, a czasem piosenkarza, czasem bywa to prawdziwy twórca, a czasem chciwy dorobkiewicz. Mieszą się wpływy „Przekroju” i telewizji, zagranicznych filmów i podglądanych w nocnej knajpie turystów, złotej młodzieży z najlepiej sytuowanych środowisk, a także „afer orbisowskich”, komisów i Sopotów. W wyniku tych wszystkich oddziaływań wprowadza się jednakowe we wszystkich powiatowych miasteczkach – a także i w stolicy – plusze i kandelabry, a potem zastępuje się je ohydnyymi „pikasami” – o klozetach wszakże zapominając.

Celowo mówię tutaj o przejawach drobnomieszczaństwa w dziedzinie gustu, albowiem są one najłatwiej spostrzegalne. Ale przecież sprawa jest o wiele poważniejsza. Powiedzmy szczerze: ludzie, którzy szybko awansowali niesieni falą ogromnych przemian – i nie są jeszcze pewni siebie, nie wiedzą, czy będą umieli obronić zdobytą pozycję – prędko nabierają skłonności do przyjmowania postaw skrajnie zachowawczych. Za wszelką cenę bronią tego, co zdobyli. Chcąc zasłonić się przed własnym lękiem, z wolna nabierają niezłomnego przekonania o własnej racji, guście, wiedzy, patriotyzmie. Stąd już tylko krok do natarczywego żądania wciąż nowych i coraz ostrzejszych represji: dla przestępców, którzy naruszają porządek, ale i dla tych, co mają inne poglądy, inny gust, różnią się filozofią albo narodowością, albo rasą, albo choćby krojem marynarki i długością włosów.

no heroizm, jak i głupotę, tragedię i pomyłki, poświęcenie i prywatę. Na nowo ukazano, jak trudne, niejednoznaczne były nasze dzieje, jak ciężkie dźwigamy na barkach dziedzictwo.

Wszelako to nie koniec pracy. Zostało jedno niezmiernie ważne zadanie.

*

Oto, obok ludzi dobrej wiary, wśród ludzi, którzy podjęli ciężki trud intelektualny, wymagający nieraz rzetelnej odwagi – pojawili się też sprytni kombinatorzy. Postanowili wykorzystać dla swoich celów słabości i wahania tej wielkiej grupy ludzi awansowanych, tej nowej polskiej inteligencji, jak również – nie bójmy się tego słowa – tkwiących w niej, jak w cemencie, gruzelków drobnomieszczaństwa. Postanowili wykorzystać i jej dążenie do uzyskania nieskazitelного rodowodu narodowego, i pewne kompleksy, i – jakże zrozumiałą – wewnętrzną niepewność, będącą wynikiem ogromnych przetasowań społecznych. Z wyrachowaniem odwołali się do instynktów i reakcji najmniej wartościowych, czasem po prostu szkodliwych. Zawsze i w każdej sprawie, o co tylko toczy się publiczna dyskusja, można na nich liczyć, można być pewnym, że zajmą najbardziej obskuranckie stanowisko, zaapelują do najgorszych cech charakteru społecznego: nie do rozumu, lecz do głupoty, nie do tolerancji, lecz do fobii, do obsesji i nienawiści, nie do szerokiego spojrzenia, lecz do zaścianka, do ograniczeń, do ciemnoty. Czynią to tak konsekwentnie, że trudno przypuścić, aby robili to przez przypadek albo przez nieporozumienie. Należy raczej sądzić, że czynią to z rozmysłem, świadomie, na zimno. Chcą ubić kapitał na najgorszych cechach tej nowej grupy społecznej, a nie na najlepszych: odwołują się do wszystkiego, co w niej drobnomieszczańskie, co w ewidentny sposób jest – i zawsze było – szkodliwe dla społeczeństwa, ale co może stać się trampoliną, od której oni odbijają się do wielkiego skoku do góry.

Represje? Zaostrzyć! Karę śmierci? Stosować! Młodzież? Strzyc i nie dyskutować! Pracę przymusową? Wprowadzić! Z miast? Wysiedlać! Płodzić się! Rozmnażać! Kontrolować! Zakazać! Potępić! Oto program, jaki proponują ci publicyści, którzy – aby utrudnić kontrakcję – przypisują sobie prawem kaduka wyłączny monopol na patriotyzm, na orzekanie, kto jest dobrym Polakiem, a kto nie, kto ma prawo się wypowiadać, a komu trzeba wyrwać język. Napisał Brandys trudną i gorzką książkę o polskim losie*,

* Chodzi o *Wariacje pocztowe*, wydane w 1972 roku.

żeli w Anglii krach imperium skłania ludzi do przyjmowania bardziej krytycznej i ironicznej postawy wobec dziejów kraju – stąd właśnie zrodziła się „szarża lekkiej brygady” albo gorzkie żarty „Puncha” – to u nas niektórzy ludzie sądzą, że trzeba naszą historię napompować ważnością, przydać jej zwycięskiego blasku, którego jej podobno brakuje.

I w tym wypadku mamy znowu do czynienia z widocznymi objawami wewnętrznego poczucia niepewności grupy ludzi awansowanych, poczucia zrozumiałego, wytłumaczalnego i naturalnego, z którym wszelako nie należy się godzić. Wśród historyków można spotkać pogląd, że naród polski ostatecznie uformował się i stał się narodem nowoczesnym dopiero podczas drugiej wojny światowej. Dopiero wtedy, w obliczu totalnej wrogości najeźdźcy, w obliczu komór gazowych i wobec śmierci, jaka została przeznaczona każdemu Polakowi za to tylko, że był Polakiem – dopiero wtedy ugruntowało się poczucie jedności narodowej, wspólnego losu i wspólnej odpowiedzialności. Dopiero wtedy została zasypała przepaść między Kordianem i Chamem, Bartoszem Głowackim i Sułkowskim, Poetą i Czepcem.

I oto młodzi ludzie, którzy po roku 1945 zaczęli się piąć w górę, przekonali się, że tym razem, po raz pierwszy w dziejach, państwo polskie jest naprawdę ich państwem, że stanowi ich skarb, ich własność i dumę – zetknęli się na początku z takim obrazem państwa, z którego wymazano niemal wszystko, co w nim było ważne. Kilkanaście czy kilkadziesiąt nazwisk rozsianych samotnie na przestrzeni wieków – to było wszystko. Reszta zaś była błędem, uciskiem, zacofaniem. Taki obraz nie zaspokajał ich aspiracji. Ci, którzy po raz pierwszy poczuli się panami we własnym domu, chcieli z jednej strony, aby o historii naszego państwa można było mówić prawdę, a z drugiej – aby to była prawda pozytywna, aby była krzepiąca, aby można się było na nią powoływać z dumą. Wśród wielu ludzi z tego pokolenia wytworzyło się – jakże zrozumiałe – pragnienie gloryfikacji dziejów Polski. *My country, right or wrong*, mawiają Anglicy. Podobnie patrzy na naszą przeszłość wielka grupa ludzi awansowanych, przy czym, w odróżnieniu od starej inteligencji polskiej – patriotycznej, ale i głęboko krytycznej – podkreśla ona przede wszystkim to, co było *right*, a wołałaby zapomnieć o tym, co było *wrong*. Rządzą tym głębokie prawidła i potrzeby psychologiczne.

Prezentowany obecnie obraz historii Polski jest bez porównania bogatszy, bardziej złożony, sięgający do wielu źródeł i bardziej prawdziwy – zrobiono w tej dziedzinie naprawdę dużo. Wiele uczynili historycy i publicyści tej właśnie grupy i tego pokolenia. Sprostowano wiele mylnych lub wypaczonych ocen, podniesiono na nowo wiele trudnych spraw, ukazano zarów-

nego od ograniczeń starego świata, dla jego niepowtarzalności, dla jego wewnętrznej swobody. Tak rozumiem zadanie, od którego nikt nas nie zwolni, choć, być może, nie potrafimy mu sprostać. Odwoływanie się zaś do najgorszych cech drobnomieszczaństwa nie daje się z tym zadaniem pogodzić.

Kazimierz Dziewanowski

[Artykuł ten zamieszczamy bez wiedzy i zgody autora]

[4/1974]

starał się pokazać, jak naprawdę było – więc łupnąć Brandysa, że ośmiesza, że zohydza, że drwi. Bo przecież było zawsze fajnie, krzepko, narodowo i teraz winno być tak samo. A Brandys niech trzyma język za zębami, bo patent na narodową mądrość ma tylko „Prawo i Życie”.

Nie twierdzę, że książka Brandysa ma się każdemu podobać. I nie uważam, żeby nie można jej było krytykować. Jednakże argumenty użyte przez pana Strzelewicza w „Prawie i Życiu” to nie argumenty, ale demagogiczna i kłamliwa pałka. I nie twierdzę również, że pan Strzelewicz miał tak daleko sięgające zamiary. Być może on rzeczywiście tak rozumie (albo raczej – nie rozumie) treść narodowych dziejów. Nie mam podstaw, aby go posądzać o złą wolę, ale sądzę, że ludzie, którzy tak systematycznie uprawiają odwoływanie się do cech drobnomieszczańskich – wiedzą, co robią, nie są dziećmi. Zbudowali na tym swoją koncepcję. I dlatego uważam, że należy z nimi polemizować, jest to po prostu obowiązek publicysty. Drobnomieszczaństwo jest obecne. Jest ono ubocznym produktem wielkich przemian społecznych, nieuniknionym wprowadzie i wytłumaczalnym, ale groźnym. Wiemy, że musiało się objawić i nie ma powodu, aby z tej przyczyny załamywać ręce. Ale nie ma również żadnego powodu, abyśmy w s o c j a l i s t y c z n y m społeczeństwie mieli się z tym godzić, a tym bardziej – popierać.

Nie nawołuję, żeby kogokolwiek potępiać czy czegokolwiek zakazywać. Byłoby to sprzeczne z zasadami, o które mi chodzi. Uważam jednak, że nie powinniśmy się godzić, aby monopol w dziedzinie gustu i obyczajów mieli badylarze, złoci młodzieńcy czy idole z telewizji, zaś monopol w dziedzinie wykładania ojczywej historii, orzekania o patriotyzmie, monopol dyktowania zasad moralnych, filozoficznych i politycznych przywłaszczyli sobie Spuchłokarcy. Sądzę, że trzeba się zdobyć na mądry wysiłek ukazania tym licznym rzeszom ludzi, poszukujących wzorów i objaśnienia, wielkich tradycji polskiego humanizmu, tolerancji, oświecenia, szacunku dla człowieka, wielkiej umiejętności czerpania dobrych wzorów od innych, śmiałego wnoszenia własnych wartości – tego wszystkiego, czym Polska wyróżniała się, gdy była świetna i wielka. Polska kultura, polski język i polska myśl – to były najważniejsze bronie, które uchroniły nas od zagłady. Potrząsanie amarantami nie zastąpi prze pojonego prawdziwą troską słowa, nie zastąpi głębokiej, krytycznej myśli. Zacieranie tej prawdy nie służy narodowi, lecz mu szkodzi, choćby temu towarzyszyły trąby jerychońskie i góra patriotycznych frazesów.

Trzeba wysoko podnieść na tarczy to, co było najlepsze w polskiej historii i trzeba to wnieść w nową epokę, w której powinniśmy to połączyć z najszczytniejszymi zasadami socjalizmu: z szacunkiem dla człowieka uwolnio-

O nas samych

Samokrytyka inteligencji jest jednym ze stałych tematów piśmiennictwa rosyjskiego, poczynając co najmniej od Dostojewskiego. Sławne zbiory *Problemy idealizmu* (1903), *Wiechy* (1909), *Z głębokości* (1918) i wreszcie *Spod ruin* (1974) są takimi właśnie dokumentami inteligenckiej samowiedzy krytycznej. Od samego początku krytyka ta była podminowana i rozdarta konfliktem dwóch postaw, których dzisiejszą wersję reprezentują nazwiska Sacharowa i Sołżenicyna. Z jednej strony byli ci, którzy chcieli Rosję oświecać zachodnimi wynalazkami, „europeizować”, zaszczeplając jej wartości demokracji parlamentarnej, racjonalizmu, tolerancji, sprawności technicznej. Z drugiej strony ci, którzy w programach „europeizacji” nie tylko wietrzyli zgubę źródeł ożywiających kulturę rosyjską i podtrzymujących samo istnienie narodu, ale, co więcej, twierdzili, że próby „europeizacji” na rosyjskiej glebie obrócą się w swoje przeciwieństwo, a upowszechniając kultury utylitarystyczne i niszcząc religijną tradycję, staną się pożywką despotyzmu gorszego niż wszystkie znane. Mogłoby się zdawać, że bieg wydarzeń przyznał rację tradycjonalistom, że ideologia nowego ustroju, który miał wszakże – jak pisał Lenin – barbarzyńskimi środkami cywilizować barbarzyńską Rosję, wyrosła z tradycji zachodniego racjonalizmu i utylitaryzmu i wynikami swymi udowodniła bankructwo tych wartości. Jednakże „okcydentaliści” mają po swojej stronie istotne argumenty: despotyzm komunistyczny zakorzenił się w Rosji nie z tej racji, iż komunizm był naturalną kontynuacją racjonalizmu i liberalizmu, ale przeciwnie, dlatego że nie potrafił – między innymi wskutek rusyfikacji – wartości racjonalizmu i liberalizmu sobie przyswoić, że się nie „zeuropeizował” właśnie; a i sam marksizm nie był po prostu dzieckiem oświeceniowej tradycji, ale w równym albo większym stopniu spadkobiercą zgoła przeciwnej kultury romantycznej, bliższej duchowi Rosji. I tak od półtora stulecia nie rozwiązany zostaje rosyjski dylemat: czy do

tuńską, ale polsko-universálną, dzielną w słowie i bez obawy karmiącą się wszystkim, co pożywnego na Zachodzie znajdowała. Wszystko to prawda, ale pokłady kołtuństwa polskiego trwały stężone i trwałe, a patronował im Kościół, który skądinąd przyczynił się waleńniej niż cokolwiek do utrzymania narodowej świadomości (Kościół w Polsce, myślę, bo papież na ogół nam się nie udawali, gdyśmy w niewoli byli). Więc i tu dwuznaczność była i niejasność, o której dziś nikt mówić nie lubi, ani wrogowie Kościoła, ani jego obrońcy: bo był potęgą i w ocaleniu narodu, i w utrwaleniu jego niedojrzałości, a to drugie nie przez to, że wiarę głosił (bo od czegoż Kościół?), ale że tak ją przyprowadził strachem przed wszystkim, co pachniało demokracją, tolerancją, krytycyzmem, sceptycyzmem, socjalizmem, nauką wreszcie i humorem. W rezultacie jałowiało duchowo nasze chrześcijaństwo, odpychało od siebie inteligencję, a to, co w kulturze godnego się działo, działo się przeważnie poza nim albo na jego podejranych obrzeżach. Jest to na chwałę chrześcijaństwa, że wbrew temu, co można było racjonalnie przewidywać, nie obumarło, ale jakoś się z bezwładu duchowego otrząsnęło i naderwało ten łańcuch, co je skuwał z Polonią sarmacką. Różne w tym chytre działały przyczyny, a w ostatnich czasach jedną z nich była i władza komunistyczna, jej presje, szykany i prześladowania. A tymczasem oto Opatrzność, nie bez zmysłu humoru, kazała komunizmowi, który umysłowo sam się wysterylizował doszczętnie i nieodwracalnie, w desperacji do kołtuna polskiego się zalecać, w bębnek narodowego samochwalstwa hałaśliwie walić, na Żyda szczuć, choćby i Żyda nie było, chama najmować, żeby inteligenta opluwał, a wszystko w próżnej nadziei, że soki kołtuństwa martwe drzewko idei cudem wskrzeszą. Powstała z tego wszystkiego konfuzja, którą z mazołem ciągle rozplątywać trzeba.

O czym wszystkim wspominam, choć to nie nowina, żeby powiedzieć, że ta łacina i ten Zachód nie całkiem nam oszczędziły dylematów, nie tych samych zapewne, ale podobnych do rosyjskich. A zresztą nie ma wcale słowiańszczyzna monopolu na te kłopoty, bo w każdej gorliwości nacjonalistycznej tkwi jądro cwaniactwa – i to zarówno w nacjonalizmie imperialnym, jak w takim, co jest głównie obronny. A konfuzja nasza jest większa przez to, że nigdy nie jest nam jasne, czy jesteśmy Wschodem Zachodu czy raczej Zachodem Wschodu. A jeszcze bardziej przez to, że gdy tak dźwigamy na karku wszystko, co dźwigamy – geografię swoją i Sienkiewicza, i powstania, i rok 1918, i 1920, i 1939, i 1944, i duszę pozytywistyczno-endecką, i duszę romantyczno-pepeesowsko-legionową – nieustannie nas inny dylemat trapi, który da się krótko wysłowić: z motyką na słońce czy z motyką do

Europy po naukę chodzić, hasła demokratycznych się uczyć, Woltera czytać, Boga się zaprzeć, pieniądź czcić, w handlu się kształcić, czy raczej na rdzennej tradycji narodowej się wesprzeć, ludowej mądrości zaufać, na odrodzeniu duchowym, nie na samoczynnej sile pieniądza polegać, Ewangelię czytać, do więzi naturalnej, rodzinnej i plemiennej się odwoływać, ziemię po chłopsku kochać, Bogu się kłaniać? Dylemat, powiadam, nie rozwiązany i nierozwiązalny, bo po obu stronach jest coś dobrego i coś złego, ale tak się na ogół w świecie dzieje, że ideologie działają w dziwnych amalgamatkach, które trudno na części rozszczepiać i jak w pudle z czekoladkami przebierać. Zachodnia Europa, w przerażonych oczach Rosji tradycyjnej, to były (i są) razem: demokracja i korupcja, wykształcenie i cynizm, sprawność ekonomiczna i kult pieniądza, wolność i pornografia; a w oczach Rosji zeuropeizowanej Rosja tradycyjna to były razem: Bóg i samowola carska, cnoty ludowe i analfabetyzm, szeroka dusza i chamstwo, bohaterowie Dostojewskiego i bohaterowie Gogola, rybak i żona rybaka. Ach, poodlepiać by to wszystko i na nowo inaczej złożyć, aby mieć dobrą połowę z każdego zbioru! Lecz diabeł nie pozwala, każe całościami wybierać, „sprzedaż wiązana”. Tak to zawsze są jakieś dobre argumenty po obu stronach.

A my, to znaczy, powiadam, polska inteligencja? Nam, wmawiamy sobie, łaskawa historia takich zmartwień oszczędziła, bo oto właśnie millenium strzeliło, od kiedyśmy to mądrze Europę i łacinę wybrali (pożal się Boże z tą łaciną, kto się jej jeszcze w Polsce uczy? Oby księża! Ale tych też rychło do polszczyzny zagonią, żeby łaciny zapomnieli, bo na tym zapomnieniu pono postęp ludzkości się wspiera). Niezupełnie chyba tak było, po prawdzie, albo różnie w różnych czasach. Mieliśmy Renesans swój, skromny może, ale piękny, polsko-kosmopolityczny. Mieliśmy my potem, na przykład, arian polskich, Europejczyków, racjonalistów, erudyków, ale z patriotyzmem u nich nietęgo było – a po drugiej stronie Podbiępietów walecznych, litewskich ćwoków pocziwych a ciemnych. Tak się polskość jakoś z ciemnotą spoiła i wiek minął z okładem, nim co się poprawiać zaczęło, a wtedy późno było. Prawda, jeliśmy się w końcu z sarmackiej obory dźwigać, zdobyliśmy się na Oświecenie godziwe, a w wyniku na Konstytucję 3 maja i Komisję Edukacji – dwa takie dzieła, co nam doprawdy i bez samochwalstwa spiżem dźwięczą (toteż bardzo nie lubili i do dziś nie lubią protektorzy nasi wschodni, żeby je przypominać; ale przypominać będziemy). Może nam, z jakichś powikłanych wyroków boskich, niewola się przysłużyła i pomogła po części narodowe *principium* zjednoczyć lepiej z duchem europejskim? Kulturę romantyczną mieliśmy z najlepszego kruszcu – nie sarmacko-koł-

granci, których ciągłość naturalna życia przerwała się w 1939 roku i nigdy nie została przywrócona i którzy wyobrażają sobie, że przez ostatnie trzydzieści lat Polacy żyli i żyją w takim samym poczuciu tymczasowości i nieciągłości, jak za okupacji niemieckiej. Lecz jest to nieprawda zupełna. W czasie okupacji żyliśmy – inaczej niż na przykład Francuzi – w poczuciu, że jest to katastrofalna i monsturalna przerwa, całkowite zerwanie ciągłości życia, czas nieprawdziwy mimo jego okrucieństwa, niedoli i walki. Otóż taki stan psychiczny nie panuje w Polsce od dawna i przywrócić go ani można, ani warto. Ktokolwiek by sądził, że potrafi wzbudzić w Polsce wojenną świadomość tego rodzaju („jesteśmy pod okupacją, przetrwajmy, walcząc i czekając na wyzwolenie, do tej chwili wszystko nieważne”), nie tylko ludzi się srodze, ale winien jest zasadniczego braku solidarności z narodem, który by chciał oświecać. Polacy w Polsce wiedzą, że nie mają niezawisłości państwowej, a mimo to nie mają wrażenia, że żyją w nienaturalnej przerwie między dwoma realnym światami – jednym pamiętanym, drugim wyczekiwany – i że nie są u siebie; pracują, robią kariery, snują plany na przyszłość, kochają się i kłócą, uczą się, piszą książki i nieraz buntują się przeciw władzy – ale, jeszcze raz powtórzę, nie doświadczają swego życia jako stanu chwilowego zawieszenia. Wiedzą o tym, że system polityczny, w którym żyją, został im narzucony przemocą, że polskie słowo publiczne w sprawach społecznie najważniejszych jest kłamstwem lub półprawdą i nie cierpią, gdy ich się zmusza do wysłuchiwanie frazesów państwowo-sowieckiej ideologii (która zresztą wegetuje dziś tylko w żałosnych szczątkach). Mimo to ma dla nich ogromne znaczenie, czy gospodarką rządzą ludzie głupszy albo mądrzejsi, czy produkuje się sprawniej albo nieudolniej, czy zależność od sowieckiego stupajki jest mniejsza albo większa, czy się stoi albo nie stoi w kolejkach po mięso (rzadko się nie stoi, to prawda), czy można mniej albo więcej drukować w pismach i pokazywać w teatrze, czy jest mniej albo więcej zachodnich książek i filmów, czy łatwiej albo trudniej wyjechać za granicę, czy policyjne bezprawie jest bardziej albo mniej dotkliwe, czy Kościół jest mniej albo bardziej szykanowany. Otóż Polacy cieszą się, jeśli w tych wszystkich lub choćby niektórych punktach rzeczy mają się lepiej, nie zaś gorzej, podczas gdy dla stanowiska, z którego nic nie jest ważne poza kryterium: niepodległość i brak niepodległości – wszystkie te sprawy są bez znaczenia i pomyślane zmiany niechętnie są przyjmowane do wiadomości, a PRL uchodzi za złagodzony wariant GG albo kresów wschodnich z lat 1939–1941.

Ale ten punkt widzenia nie jest bardzo ważny, gdyż istnieje właściwie poza polskimi realnościami i przeczy doświadczeniu powszechnemu; gdyby

ogródka? Polakowi długo tłumaczyć nie trzeba, w czym rzecz, bo od konfederacji barskiej i targowicy, jeśli nie wcześniej, z mlekiem matki tymi sprawami się żywił. Jeden mu powiada: „pałaszem nie machajcie, gdyście samotrzec przeciw ciżbie, przyczajcie się raczej, na włościach swoich okopcie, substancję swoją budujcie, a przyszłość w ręku Boga”. A na to drugi powiada: „Na cuda liczyć grzech, Pan Bóg pomaga temu, co sobie pomaga, do przeczekania wzywać, to na niewolę się godzić, walki poniechać; komu cel główny stale i na co dzień nie przyświeca, temu on nigdy z nieba nie spadnie”. Może więc inaczej mamy nasz dylemat wysłowić, nie o motykę pytać, ale raczej: „czy przed siebie patrzeć, czy tylko pod nogi, aby się nie potknąć?” A w takim brzmieniu już nasza sprawa inaczej wygląda. Bo nie chodzi wcale o machanie pałaszem nie istniejącym, ale o to, czy mamy zapomnieć o naszych aspiracjach narodowych głównych i oczywistych, choć niewykonalnych w tej chwili, to znaczy o przywróceniu niezawisłości państwowej i instytucji demokratycznych naszego kraju. Zbyteczne dodawać, że nikt nie wzywa do zapomnienia, najwyżej do odłożenia tych aspiracji właśnie z tej racji, że nie ma żadnych narzędzi, aby je rychło zaspokoić. Lecz odłożyć te aspiracje w imię hasła realizmu, czy to nie tyle, co utracić zdolność do ich ożywienia i do korzystania z wszystkich okazji, kiedy można zwiększyć ich szanse?

Zdaje mi się, że tutaj dotykam sprawy, o którą głównie mi chodzi, chociaż z pewnym trudem i niesprawnie dobieram słowa. Chodzi mi mianowicie o uniknięcie dwóch przeciwstawnych sobie punktów widzenia na naszą sytuację, obu spotykanych w emigracyjnej piśmienności, a jednego także w Polsce. Mógłbym je określić nazwami polemicznymi, jakimi kiedyś, na początku stulecia, obrzucały się wzajem dwie frakcje socjalistów francuskich: posybiliści i imposybiliści. Ale o nazwy nie będę się spierał. Otóż z jednej strony są ci, co powiadają: skoro nie możemy ani w tej chwili, ani w żadnej dającej się określić sukcesji zdarzeń naszych żądań głównych zaspokoić, to myślimy o tym, co jest wykonalne na razie i to, co się da, poprawiamy w granicach nam narzuconych, albowiem skupiać energię na tym, co teraz niemożliwe, to prześlepić to, co możliwe. Po drugiej stronie mamy stanowisko, które się tak da wyłożyć: sprawą fundamentalną narodu jest niepodległość, a niepodległość jest niepodzielna: albo mamy ją, albo nie mamy; ponieważ nie mamy, tedy trochę lepiej nam czy trochę gorzej, rzecz główna pozostaje bez zmiany i cokolwiek w granicach istniejącego układu rzeczy zmienić można, nie ma znaczenia.

O tym drugim punkcie widzenia powiem tyle, że dla ludzi w Polsce żyjących jest on nie tylko jałowy, ale wręcz niezrozumiały. Są, być może, emi-

systemów ani stopnia, w jakim są one zdolne do wewnętrznych przekształceń. Jednym z powodów, dla których te parabole są nieużyteczne, jest ten oto fakt wiadomy i wielokrotnie opisywany, iż systemy te mają wbudowaną ideologię, bez której obejść się nie mogą, a która zmarła naturalną śmiercią (może jeszcze w Jugosławii coś z niej ocalało; a o Azji nie mówię, bo nie wiem). Po latach pięćdziesięciu z okładem („przeleciało jak z knuta strzelił”, jak się w Warszawie mówiło na pięćdziesięciolecie rewolucji październikowej) systemy te, wskutek uwiąznięcia ideowego, weszły w stan chronicznego kryzysu, którego przyszłe i długofalowe wyniki nikomu nie mogą być wiadome, choć spekulacje na ten temat często się snuje. Mimo przejściowych rozluźnień i złagodzeń kłamstwo tych systemów jest bardziej obnażone, bo nie ma już prawdziwych pobożnych, którzy samą pobożnością swoją kłamstwu jakieś uczestnictwo w prawdzie nadają. Kłamstwo jest zarazem słabsze i bardziej nieodzowne. Kiedy Sołżenicyn proponuje ludziom sowieckim program minimum: nie kłamać i nie pomagać w kłamstwie – zdaje się nie zauważać, że jest to właściwie program maksimum: gdyby nagle większość ludzi przestała kłamać i pomagać w kłamstwie, ustrój w okamgnieniu zapadłby się pod ziemię.

Skoro zaś nikt nie potrafi na przesłankach racjonalnych (wyłączam wróżbitów) przewidzieć przyszłych wydarzeń, bo za wiele różnych okoliczności tu działa, których względnej siły niepodobna wykalkulować, tedy „realizm” pojęty jako zawołanie, bo tylko o tym, co wykonalne myśleć, nie ma sensu: nikt bowiem nie wie, co będzie wykonalne jutro.

A wszystko to przecież dylematy nasze, to jest inteligencji właśnie, bo ona zawsze na nie i za nie odpowiada. Żeby się zaś w tej konfuzji nie stracić, w sen nie oślizgnąć, potrzebna nam energia demonów, a tej nie zawsze staje. (Tu nawias wtrąć: tak się przypadkiem składa, że właśnie czytałem starą książkę Jespersena o rozwoju języka angielskiego; wielki lingwista porównuje w niej angielski z hawajskim i zauważa, że w tym ostatnim żadne słowo nie kończy się spółgłoską, a dwie spółgłoski nigdy po sobie nie następują – najlepszy dowód, że mamy do czynienia z ludem dziecinnym i zniewieściałym, niezdolnym do wysiłku; co innego, powiada, angielski, gdzie dwie, a często i trzy spółgłoski następujące po sobie są wymawiane jak w zwykłych słowach *helped* czy *tests*: oto język narodu męznego, energicznego, zdolnego do walki z przeciwnościami! Jeśli to prawda, to jakież wulkaniczne energie powinny drzeć w nas, Polakach, którzy okiem nie mrugnawszy, potrafimy wymówić zdania w rodzaju: „zgniótszy wiedźm krnąbrność, mknijmy wzwyż”, „w zmierzch ścichił zgielek pszczoł” i podobne!)

Polska nie przywiązywała wagi do częściowych zmian i napraw, gdyby przeżyła owe trzydzieści lat w stanie tępego oczekiwania (a nigdy przecież nie było w tym czasie poważnej szansy na odzyskanie niepodległości), żyłaby dziś na pogorzelisku duchowym, tak zaś na szczęście nie jest.

Ważniejsze jest owo „posybilistyczne” stanowisko, bo jest w Polsce zakorzenione i apeluje nie bez powodzenia do zdrowego rozsądku; sprowadza się, jakem powiedział, do zalecenia, by co się da, usprawniać i naprawiać i o tym tylko, co wykonalne na razie myśleć. W tej zaś sprawie powinniśmy pójść na naukę do Lenina, który systematycznie i zjadadło zwalczał tak pojęty „realizm” polityczny i dzięki temu wygrał. Niejednokrotnie tłumaczył, że kto odkłada „na razie” żądania „maksymalne” (to znaczy, w jego przypadku, rewolucję), nigdy ich nie spełni, bo nikt nie jest w stanie przewidzieć przyszłych wypadków, koniunktur, zbiegów okoliczności, katastrof, na które jednak trzeba mieć gotowe roszczenia i zasady działania, a wobec tego wszystkie zadania, które są w obecnej koniunkturze możliwe i wykonalne, mają być podejmowane jako składniki programu, który w tej koniunkturze wykonalny właśnie nie jest, ale stale być musi na oku. Jak głupio jest lekceważyć różnice między dwojgiem złego (więc, w przypadku Lenina, między caratem a republiką demokratyczną, a w naszym przypadku między sowiecką republiką a pół-niezawisłością obecną albo między skrajnym despotyzmem a despotyzmem złagodzone), tak głupio jest i niebezpiecznie osłabiać pamięć o zasadniczej cezurze, jaka dzieli wszystkie stopnie czy odcienie złej sytuacji od aspiracji głównych, więc „maksymalnych” (czyli zapomnieć, w przypadku Lenina, o cezurze pomiędzy władzą komunistyczną a wszystkim innym; a w naszym przypadku między suwerennością i wszystkimi stopniami niesuwerenności, między obecnością demokratycznych instytucji a ich brakiem).

Jeśli w jednym i drugim przypadku przesadzam albo w niczyje myśli dokładnie nie trafiam, to niech i tak będzie, bo nie chcę nikogo oskarżać, a tylko udobitnić to, co mi się ważne zdaje. Nie widzę też, by były potrzebne polemiki z takimi, co myślą o powrocie do układów politycznych przedwojennych, bo jeśliby tacy istnieli, to wystawialiby sobie świadectwo umysłowej niepożyteczności i nie warto by doprawdy energii tracić na ich zwalczanie.

Chodzi mi natomiast o spostrzeżenie bardzo proste. Systemy zwane socjalistycznymi są nowym zjawiskiem w historii, czego nie przekreślą wszystkie analogie historyczne i wszystkie – trafne zresztą – rozważania o wadze narodowego dziedzictwa rosyjskiego w owych ustrojach. Żadne parabole historyczne nie pozwalają nam przewidzieć przyszłych losów i zmian tych

perialnych. Przyszło, oczywiście, mściwe przeciwdziałanie, od paru lat zwłaszcza nasilone: widzimy, jak but żandarmski coraz mocniej gniecie, więzienia i obozy koncentracyjne dla niepokornych, zsyłki, domy dla wariatów, pogróżki, szykany, banicje. A mimo to walka z bezsilną inteligencją, co to niby, śmiech powiedzieć, ołówkiem na czołgi się zamierza, ta walka jest już przegrana. Nie tylko dlatego, że Postępowy Ustrój wigor stracił, masowych rzezi się wstydzi, konsekwencji nie ma, ale i dlatego, że już z niczego i nijak okrucu wiary wysupłać nie potrafi, że dusi, ale z duszonego gardła pieśni ku swojej chwale nie umie wycisnąć (nie dziwota zresztą, bo póki Stalin był, był nieśmiertelny, więc kręciło się mrowie pieśniarzy i piali mu głośno, wzajem się przekrzykując, ale dziś? Wie przecież każdy muzykus, że oto pieśń dla wodza sporządzi, a następnego dnia obudzi się i w gazecie przeczyta, iż właśnie „się okazało”, że „pewne poważne błędy” itd., słowem, że wodza nie ma i nigdy nie było, a muzykus zostanie niczym z gołą pupą na przyjęciu u gubernatora; a co osoby wodza dotyczy, dotyczy i wielu innych rzeczy, więc i najtępsi przezorności się nauczyli i gdy pieją, to cicho jakoś, półgębkiem i na boki zerkając).

A kiedy mówię o potrzebie wyróżnienia inteligencji jako właściwym ratunku dla Postępowych Ustrojów, to mam na myśli nie po prostu ludzi tak czy owak wykształconych – bo i Postępowy Ustrój potrzebuje wykształconych – ale tych, co w jakichkolwiek zawodach i jakiegokolwiek społecznej proweniencji starają się przechować ciągłość narodowej kultury, jej więzi ze światem, i którym zależy na jakości tego, co robią jako celu dla siebie. Tacy byli podejrzani nie tylko, gdy byli z zawodu robotnikami Słowa, ale także inżynierami lub lekarzami: mieli bowiem lojalność wobec samej swojej sztuki, swojej wiedzy i zawodu, a więc jeszcze inne lojalności aniżeli względem Postępowego Ustroju i jego wodzów. A wartości duchowe związane z własnym rzemiosłem nie są przywilejem żadnej szczególnej części inteligencji. Podejrzany był statystyk, który lubił, by statystyka była dobrze zrobiona, bo taki nie garnał się do fałszowania danych statystycznych; podejrzany lekarz, jeśli pamiętał przysięgę Hipokratesa i jakoś na serio ją brał, bo wtedy trudno go było użyć na przykład do wydawania fałszywych orzeczeń, do zamykania ludzi w psychiatrycznych więzieniach; podejrzany inżynier, który pamiętał, że dzieła inżynieryjne dla ludzi przez ludzi są robione, bo takiego nie cieszyło ani dzieło oparte na pracy niewolniczej, ani dzieło do niczego niepotrzebne, ani dzieło dla celów zbrodniczych; tym bardziej podejrzany prawnik, który prawo na serio traktował. Wszyscy tacy nie mogą mieć lojalności niepodzielnej względem Postępowego Ustroju, ale mają inne lojalności, czę-

Jest w naszej społeczności inteligenckiej zrozumiała, ale sprzeczna z doświadczeniem skłonność do depresyjnego poniżania własnych możliwości. A przecież, czyśmy się dobrze, czy źle spisywali (z czym różnie, jak wiemy, bywało), w żadnej chwili naszych zmagani, upadków i wzniesień nie byliśmy nieważnym dodatkiem do innych sił, ale – wybaczyć – nosicielami słowa, bez którego ludzie i narody skazane są na paraliż. Głupio powtarzać takie mądrości z kalendarza, a jednak nie są one za oczywistości uznane. Należy w tej sprawie uczyć się historii u satrapów, ale przemysłnych satrapów, nie tępych. Tępy satrapa powiada sobie bowiem: „A cóż mi tam paru mędrków może zrobić, palcem w bucie kiwających! A ja mam policję, cenzury, pały, gazety, telewizję, maszyny władzy, wsadzić mogę, zamknąć gębę mogę, nic mi nie zrobią!” Przemysłny satrapa wszelako wie dobrze, że tak rzecz nie wygląda, że inteligencja wcześniej czy później, na pozór bez broni żadnej, jadowitą i nieuchwytną trucizną Słowa tak fundamenty jego gmachu przegryzie, że samo próchno zostaje, choć niby przedtem mało co się działo. To też przemysłny satrapa wie, że na inteligencję jest jedna tylko rada: ani zastraszać, ani przez kapralów w karby brać, ani przekupywać, ani ugłaskiwać, ale tylko wyróżnić, wyróżnić z całym pokoleniem. Póki jest inteligencja prawdziwa w narodzie, choćby zagłuszona i zastraszona, spokoju nie ma i pewności nie ma, bo to plemię, nawet gdy z wierzchu posłuszne, słowem jednak, jak termyty drzewo, wszystko niszczy, a tylko na sposobność czeka i gdzie się szczelina jaka otworzy, już się rzucają i rady dać nie można. Więc wyróżnić ze szczętem. A i to, jak się okazuje, nie jest wcale łatwe. Hitler i Stalin, obaj wiedzieli, że trzeba inteligencję polską zwyczajnie wytrzebić, jeśli chce się naród zbydlęcić i zabrali się do dzieła raźnie, wzajem sobie pomagając: a jednak, mimo spustoszeń i zniszczeń, jakie uczynili, nie udało się zadanie, kultura polska i polska inteligencja przetrwały. A gdy u siebie w domu Stalin jął rzezać inteligencję z tym rozmachem i konsekwencją, jakie tylko nowy, najpostępowszy ustrój dać może (to, co Hitler zrobił w stosunku do niemieckiej inteligencji i niemieckiej kultury, było w tym zestawieniu ćwiczeniem nieśmiałego debiutanta), wydawać się mogło, że dzieła dokonał: że wyniszczył z korzeniem kulturę rosyjską, przerwał jej ciągłość historyczną, na śmierć zdeptał. Lecz patrzcie, ledwo parę lat minęło, od kiedy go anioł apopleksji powalił, a oto nowe kielki jęły ze spalonej ziemi wyrastać, żmija prawdy głowę podniosła, zjawiała się jakby z niczego inteligencja rosyjska, literatura, teatr, film, filologia, wiedza humanistyczna. Pod koniec lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zaczęło się skromne, ale prawdziwe kwitnienie kulturalne w Rosji, a tu i ówdzie nawet w jej przyległościach im-

trudno, bo tak się jakoś dzieje, że rany w walce z wrogiem zewnętrznym odniesione albo zadane szybciej się zablizniają, a krew bratobójczo przelana przez pokolenia nie schnie. I wolno nam przyjąć, że nie ma dziś różnicy między sprawą robotniczą i inteligencką, a podobnie nie ma różnicy między sprawą narodowej i obywatelskiej swobody. Nie powiadam, że zawsze i wszędzie tak się dzieje, bo to najoczywistsza nieprawda (wszakże są kraje bardziej od nas lub całkiem suwerenne, a bardziej od naszego tyrańskie – pierwszym przykładem sam najpostępowszy z Postępowych Ustrojów), ale tu i teraz zbiegają się te roszczenia w jedno. Ilekolwiek w dziejach naszych piętnować możemy niesprawiedliwości społecznej, nietolerancji, krzywdy, głupoty i nikczemności, nigdy nie zdobyliśmy się na to, by wewnętrznymi siłami zbudować despotyczne zasady rządzenia; te nam z zewnątrz były narzucone; i jakąś chlubę moglibyśmy z tego czerpać, ale ten temat zostawmy, bo ślepe samouwielenie i samowybielenie i tak dosyć łatwo nam przychodzi.

Więcej napisałem, niżeli zamierzałem, i ani nie jestem pewien, czy umiałem rzecz, o którą mi chodzi, dobrze nazwać, ani czy mądrości pradiadów nie klepię. Tym drugim się nie martwię, bo coś zrobić, kiedy takie są lekcje w naszym elementarzu, które z pokolenia na pokolenie musimy dukać. Na czym przerywam.

Leszek Kołakowski

[6/1975]

sto z tamtą niezgodne, i podejrzani są, nawet gdy bez oporu pracują. Zadaniem Postępowego Ustroju jest wyprodukowanie tak zwanej „nowej inteligencji”, to znaczy ludzi jakąś jedną rzecz umiejących, a poza tym ciemnych. Niedobrzy są wszyscy, którzy chcą oprócz ścisłego zawodu coś o świecie wiedzieć, inżynierowie znający historię, lekarze interesujący się filozofią, matematycy uprawiający poezję. Stąd naturalne dążenie Postępowych Ustrojów, aby zlikwidować uniwersytety w tradycyjnym znaczeniu i zredukować je do szkół czysto zawodowych, gdzie można dokładnie rozdzielić wiadomości i umiejętności potrzebne do określonych zawodów i produkować niby-inteligentów z kalekim umysłem. Chodzi o to bowiem, że zajmowanie się sprawami ogólnymi ma być przywilejem tych tylko, co posiadli najwyższe posady i nikogo więcej. (Stąd w Związku Sowieckim można przymusowo w psychiatrycznych zakładach zamykać tych, co by w ustroju coś zmienić chcieli: cierpią wszakże na obłąkańcze idee reformatorskie). Perfekcji w tych sprawach nigdy się nie osiągnęło i nigdy, miejmy nadzieję, się nie osiągnie, a Postępowy Ustrój, na szczęście, traci swoją pewność siebie; w Polsce zaś nigdy jej nie miał dosyć, a teraz mniej niż kiedykolwiek. Niemniej żywiołowa jego skłonność zawsze w tym kierunku zmierza.

Oto w jakim znaczeniu inteligencja jest naturalnym wrogiem Postępu. I tego to nasienia ani w Polsce, ani nawet w Rosji nie udało się zniszczyć.

Tak więc myślę sobie, że Słowo nasze nadal, jak wieszcz uczył, za „czarodziejską zdrojów Mojżeszowych laskę” służyć nam może i służy. I czy jest sceptyczne i zgryźliwe, czy raczej wiarą i nadzieją natchnione, czy analityczne i uczone, jakoś się z różnych stron do sprawy naszej przyczynia, jeśli tylko kłamstwem Postępowego Ustroju nie daje się zarazić. A już i robotnik Słowa, i słuchacz jego dobrze wiedzą, kiedy Słowo skażone jest kłamstwem i nawet kiedy z wymuszonego przemilczenia prawda przeziiera, a kiedy jest zatajona; bo wymuszone przemilczenie, któremu prawie wszyscy tak czy owak są poddani, może być różne, a półprawda może pomagać otwieraniu całej prawdy albo utwierdzać kłamstwo, i granica ta, choć trudno ją w formule ująć, wszystkim nam jest wiadoma.

Tak więc, by do sprawy motyki i pałasza powrócić, nie jesteśmy my tacy bezsilni, póki nam Słowo potrzebne w głowie tkwi nieustannie, a jak świat światem ludzie bez motyki i bez pałasza Słowem na słońce się porywali i – uważamy – przeważnie z jakąś skutecznością. Bo w takim położeniu, jakim jesteśmy, tylko szalony mógłby do pałasza wzywać. Nie obeschła jeszcze krew robotników polskich pomordowanych w grudniu 1970 roku, a których liczby nawet do tej pory nie znamy. A z takich nieszczęść leczyć się

JERZY KLEWIŃSKI

Kiedy rozum śpi – budzą się potwory

Problem zniewolenia był omawiany już wielokrotnie. „Zniewolenie” i wszystkie pokrewne terminy często występują w tytułach książek traktujących o rozmaitych wytworach umysłowych powstałych w krajach, w których panuje ideologia totalitarna. Od *Umysłu zniewolonego* Miłosza do *Les illusion fascistes* Alastaira Hamiltona ciągnie się nie tylko ta konwencja językowa, ale i ukrywające się za nią charakterystyczne podejście do całej problematyki ideologii totalitarnych. Celem niniejszego artykułu nie jest polemika z koncepcją zniewolenia, ale od takiego krótkiego sporu musimy zacząć.

„Zniewoleni”, „oszołomieni”, „łudzący się”, wreszcie „opętani” to ci wszyscy, którzy za swoje przyjęli tezy ideologii faszystowskiej czy komunistycznej, by z pełną aprobatą i wigorem służyć jako tych tez interpretatorzy, popularyzatorzy lub przekładać je na języki sztuki. Według zwolenników koncepcji zniewolenia, „opętanych” jest wśród intelektualistów, głoszących totalitarne ideologie, znaczna większość. Nieliczni tylko w sposób „wolny” tworzyli takie ideologie. Większość im się poddawała. Oczywiście stopień i zakres podporządkowania bywał różny, a jego widzialne przyczyny rozmaite. Kiedy koncepcja zniewolenia bywa (Miłosz tego nie uczynił) posuwana do ostatecznych granic, okazuje się, że Lenin w 1924 roku był „zniewolony” przez swoje poglądy wygłoszone w *Państwie i rewolucji*, czyli innymi słowy przez logikę własnej myśli, a zatem w gruncie rzeczy chciał czegoś zupełnie innego, tylko jakoś tak nieszczęśliwie to wszystko wyszło.

Sławne powiedzenia tych, którzy ocknęli się w okolicy 1956 roku, z reguły taką miały treść: „byłem w szpitalu wariatów”, miał powiedzieć wybitny poeta, „wyszedłem i proszę was, panowie, byście rozmawiali teraz ze mną normalnie”. Nie wątpimy więc, że te wyznania wiernie oddawały stan świadomości ich autorów, i w tym – ale w tym tylko sensie – przyznajemy

każdym, słowa jak „lewicowy”, „ideowy”, „zaangażowany”, „osobiście przyzwoity” czy „odpowiedzialny” służą jako słowa-klucze, beznadziejnie zaciemniając treść wszelkich poglądów i uśmiercając każdą dyskusję. Zamieszanie takie będzie się potęgowało, o ile nie spróbujemy jasno powiedzieć na początek, że stalinizm w ideologii i socrealizm w sztuce były dziełem ludzi w pełni świadomych tego, co czynią, a w każdym razie świadomych na tyle, na ile możemy być świadomi swoich intelektualnych wyborów i ich praktycznych konsekwencji. A nikt nie powie, że świadomości takiej jesteśmy do cna pozbawieni.

Nie wszystkim dzisiejszym trudnościom winien jest ów nie odrzucony i pośredni spadek po stalinizmie, ale tu mamy do czynienia z winowajcą, którego można zidentyfikować i z którym należy się rozliczyć. Nie jest to zresztą zjawisko wyłącznie polskie. Występuje ono w podobnej postaci na Wschodzie i na Zachodzie, tyle że w krajach zachodnich „zniewoleni” nie stanowili niegdyś znacznej większości wśród intelektualistów i artystów, stąd więc sukcesja po nich jest nieco mniej niebezpieczna. Analizując tę sukcesję, będziemy w myśli posługiwali się polskimi przykładami, ale niemal zawsze można znaleźć dla nich odpowiedniki w innych krajach. Nie wymienimy jednak konkretnych przypadków ani nazwisk, bo jak wiadomo każdy konkretny jest nietypowy, a poza tym są to ludzie wciąż aktywni, często godni podziwu, więc wszelkie personalne rozliczenia byłyby nie na miejscu.

Dodajmy na koniec zastrzeżenie ogólne. W Polsce, a i na całym świecie, wielu młodych ludzi (poniżej 35 lat) zna stalinizm jedynie z opowiadań i z jego złagodzonych znacznie wersji albo nie zna go wcale, a mimo to ludzie ci tworzą w duchu owego „postzniewolenia”. Można by na tej podstawie sądzić, że idzie tu o nastawienie duchowe bardziej zasadnicze niż to, jakie mogłaby wywołać owa nieprzezwykła sukcesja po ideologii totalitarnej. Tak też zapewne jest, w niczym to jednak nie zmniejsza ważności naszego problemu, ponieważ to bardziej zasadnicze nastawienie będzie trwało na pewno, dopóki sukcesja nie będzie zidentyfikowana, opisana i odrzucona. Próbie jej zidentyfikowania i opisania poświęcony jest ten artykuł. Do jej odrzucenia potrzeba jednak znacznie więcej, potrzeba poważnej i obszernej analizy przyczyn, które sprawiły, że tak wielu, tak mądrych – jak to wcześniej pokazali lub jak to się później ujawniło – ludzi mogło być głosić poglądy, które dziś uważamy po prostu za śmieszne i głupie.

śluszość koncepcji zniewolenia. Rozumiana szerzej, a tak jest rozumiana z reguły, powoduje niepotrzebne mnożenie nieporozumień. Przede wszystkim nieporozumieniem jest traktować inteligentów–ideologów totalitaryzmu jako bierne ofiary. Uważamy bowiem, że stalinizm w ideologii i socrealizm w sztuce odpowiadały dokładnie upodobaniom tych myślicieli i artystów, którzy za stalinistów lub socrealistów byli uważani i sami siebie uważali. Nie należy jednak popadać w przesadne skrzywienie. Przyznajemy więc, że istniała presja administracyjna i prawna, że opornym mogły grozić pewne przykrości (dramatyczne w Rosji przed 1953 rokiem, znacznie mniej poważne, bo niemal wyłącznie finansowe, w Polsce przed 1956 rokiem), wreszcie że stalinizm i socrealizm nie były całkowicie spontanicznie wymyślane przez polskich intelektualistów, a po części przejęte z Rosji. Przejęte wszelako z całą radością i dobrą wolą rozszerzania i udoskonalania, a także przygotowane już przez nastawienia ideologiczne lat wojny i pierwszych trzech latach po wyzwoleniu.

Zasadniczo jednak twierdzimy, że nie ma żadnego zniewolenia wtedy, kiedy z gotowością przyjmuje się tezy przez innych nawet sformułowane. Innym zagadnieniem jest, jakie były przyczyny tej utraty krytycyzmu u jednych i skłonności do prymitywnego, zamkniętego świata siły u drugich. W artykule nie podejmuję jednak tego tematu, a pragnę wyłącznie pokazać ważne powody, które sprawiają, że lekkomyślna niechęć do wyjaśniania tych zagadnień obciąża wciąż naszą intelektualną świadomość i uniemożliwia nam jasne widzenie rzeczywistości. Sprawa przedstawia się zatem tak: koncepcja zniewolenia nie wyjaśnia zjawisk ideologicznych sprzed 1956 roku, tylko dostarcza łatwej i fałszywej etykiety, przy pomocy której i sami ongiś „zniewoleni”, i badacze ich twórczości załatwiają się z całym zagadnieniem. Takie postępowanie powoduje zafałszowanie niedawnej przeszłości, a wobec tego uniemożliwia wykrycie reliktyw przeszłości. Wielu uważa, iż trzeba tę przeszłość odrzucić i pogrzebać, że trzeba zacząć od nowa. Nie jest to jednak i nie będzie możliwe, dopóki będziemy mieć złudne na temat tej przeszłości wyobrażenie. Trwa zatem stan „postzniewolenia”, czyli stan utraty rozeznania rzeczywistości, powodowany przez nieprzewyciężenie stalinowskich i socrealistycznych kategorii. Dodam, aby być dobrze zrozumianym: nie sądzę, by wciąż były powielane dawne kategorie w ich historycznym kształcie, stalinowcy i socrealiści to dzisiaj albo państwowi wyrobniicy, albo kuriozalne postacie. Trwa natomiast przerażające zamieszanie. Nie wiadomo, co sądzić o cudzych poglądach, dopóki nie wie się, kto jest ich autorem i jak przedstawia się jego biografia, każdy może być każdego dnia

nawet subtelnych i niepewnych ocenach merytorycznych, a nie na personaliach. Z tego punktu widzenia tak zwani rewizjoniści, mimo wszelkiego zastrzeżenia, jakie można mieć do ich działalności, byli jedynym (obok katolików) w dziejach Polski Ludowej ugrupowaniem, które próbowało narzucić społecznej świadomości pewne kryteria merytoryczne. Po rozpadnięciu się tej propozycji ideowej wysiłków takich już całkowicie zaniechano.

Sytuacja jest trudna i brak zewnętrznych odniesień w postaci rozmaitych organizmów politycznych dodatkowo ją komplikuje. Jednakże posługiwanie się podziałem na swoich i obcych, chociaż socjologicznie zrozumiałe i psychologicznie oczywiste, sprawia, że owe trudności spowodowane przez czynniki zewnętrzne wzmagają się niepomrotnie już z naszej winy. Żyjemy więc otoczeni cieniami i znakami, każde publiczne zachowanie jest znaczące, każdy najdrobniejszy choćby ewenement jest w koło Macieju analizowany i rozpatrywany, zanim zapadnie decyzja, jak go traktować, każdy uważa za stosowne mieć zasadnicze zdanie na temat cudzego zachowania czy poglądu i natychmiast gotów jest formułować zupełnie przypadkowe reguły nie mające żadnego poważniejszego oparcia. Jakże bowiem mieć pewność, skoro ludzie dziś szlachetni, niegdyś także byli szlachetnymi w swoim przekonaniu, tylko coś ich opętało, dali się zniewolić? Wobec tego nikt nie odważa się już szukać pewności w sobie, swojej prawdy, łapie się cudzych mniemań i tak istnieje nieustający wzajemny sąd, w którym podsądni są zarazem sędziami, adwokaci prokuratorami, a prawem potrzeba autoidentyfikacji.

Postawy i zachowania posttotalitarne są charakterystyczne, w naszym przekonaniu, zarówno dla sympatyków „lewicy”, jak i dla ich równie uwikłanych przeciwników, dla prymitywnych antykomunistów. Dwudzielna wizja świata występuje w obu tych nastawieniach, uniemożliwiając pluralistyczny ogląd rzeczywistości i zamykając obie strony w ramach odwiecznych i beznadziejnych sporów. Najbardziej charakterystyczny pod tym względem jest stosunek do sprawy „narodowej” i sprawy „społecznej”.

Dla jednych każdy objaw najbardziej nawet prymitywnej reakcji, odwołującej się do rudymenarnych więzi narodowych, zwiastuje najpoważniejsze niebezpieczeństwa. Na tej zasadzie do wspólnego mianownika sprowadzane są obrzydliwości głoszone przez jakieś podrzędne i niewątpliwie nacjonalistyczne ugrupowania z wszelką refleksją, w której trosce o losy narodu w XIX, dajmy na to, wieku nie towarzyszy troska o rozwiązanie sprawy chłopskiej. Chociaż od czasów tak zwanego odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego w oficjalnej ideologii nie prowadzi się walki z ideałami naro-

Dwudzielną wizja świata

Na temat wiecznej „lewicy” napisano już nieskończoną ilość książek i artykułów. Posługiwanie się takimi kategoriami, jak „lewicowy”, które straciły dzisiaj wszelkie znaczenie, wynika z pewnej potrzeby. Nazwijmy ją potrzebą autoidentyfikacji. Ponieważ na gruzach stalinizmu nie udało się sformułować żadnej ideologii, ani nawet nie ma żadnej jasności na temat podstawowych faktów z tamtych lat, podział świata na swoich i obcych jest niezbędny dla utrzymania iluzorycznego choćby poczucia, że istnieje jakiś ruch, jakaś grupa, jakaś wspólnota.

Im trudniej jest wyodrębnić podobnie myślących na podstawie ich poglądów, tym silniej interweniują oceny zachowań prywatnych czy półprywatnych. W tym sensie właśnie dziedzictwo po totalitarnej ideologii ujawnia się bezpośrednio. Bawimy się opowiadaniem o tym, jak dwadzieścia kilka lat temu zebrania partyjne były poświęcone rozważaniu, czy towarzysz X miał prawo zrobić dziecko towarzysze Z, a potem ją rzucić, ale nasza interwencja i ocena ludzkiego życia ze względów ideowych rozpoczyna się wprawdzie na wyższym poziomie, ale na wyższym niewiele. W czasach porozbiorowych, a zwłaszcza po upadku powstania styczniowego, powszechnie obowiązywał zakaz utrzymywania stosunków towarzyskich z Rosjanami, a przede wszystkim zawierania małżeństw. Był to zakaz konieczny dla utrzymania więzi społecznych zagrożonych przez zaborcę. Dzisiaj w miejsce tego zakazu pojawił się zakaz współpracy z reżymem. Powody, dla których został sformułowany, są równie oczywiste, ale mniej jasne są kryteria. Część kłopotów wynika z moralnej zawężoności ocen występującej w przypadku ugodowej pracy organicznej. Bez wątpienia każdy, kto chce uczestniczyć w życiu publicznym w naszych czasach, w kraju należącym do socjalistycznego bloku, musi się zdecydować na pewne kompromisy, choćby na przemilczenie niektórych spraw czy na posługiwanie się aluzją lub na wybieranie neutralnych tematów. Znane są wynikające stąd niebezpieczeństwa. Jednak ocena takich kompromisów, formułowana w różnych ugrupowaniach intelektualistów, opiera się nie na kryteriach merytorycznych, lecz na formalnych i symbolicznych, zmiennych i niepewnych, a zarazem z pozoru rygorystycznych.

Nie kończąc się rozważania na temat tego, czy można drukować swoje artykuły w danym piśmie, z kim wolno współpracować, a z kim już nie, z kim wolno spotykać się na gruncie towarzyskim, a komu ręki podawać nie należy, są niezbędne w naszym kraju, ale powinny być oparte na najbardziej

dy, najrozsądniejszy wydaje się być na pierwszy rzut oka pogląd Leszka Kołakowskiego, że mianowicie programy będą powstawały, kiedy będą potrzebne, że nic tu się nie da zrobić na siłę ani wymyśleć bez odpowiedniej sytuacji w rzeczywistości społecznej. Cała dyskusja wokół tej sprawy jest jednak zaskakująco powierzchowna i toczy się całkowicie na ahistorycznym gruncie. Wiadomo przecież, że programy politycznego działania zawsze miały charakter postulatów praktycznych, odpowiadały na pytanie, jak zrealizować konkretne cele. Otóż trudno oczekiwać programów, dopóki nie rozważy się celów, a właśnie takimi rozważaniami zajmują się ideologie. Cele, nawet tak podstawowe jak wolność i sprawiedliwość, muszą być szczegółowiej zinterpretowane, trzeba rozpatrzyć bądź to sposoby zorganizowania automatycznego krążenia elit, bądź to zapewnienia maksymalnej egalitaryzacji, ale przede wszystkim trzeba zastanawiać się nad tym, czy i dlaczego społeczeństwo ma mieć budowę częściowo hierarchiczną lub, przeciwnie, całkowicie horyzontalną, czy jeszcze inną. Dopóki zatem nie zostanie przezwyciężony nasz paraliż ideologiczny, dopóty wszelkie programy muszą mieć najzupełniej przypadkowy charakter. Ostatni program ideologiczny w Polsce sformułowali Kuroń i Modzelewski przed kilkunastoma laty. Dziś nikt nie myśli już o tym, by do niego nawiązywać, ale też nikt nie próbował przedstawić własnego systemu wartości i własnej hierarchii celów.

Najczęstsza postawa to swoisty solidaryzm ideowy. Powiada się zatem, że musimy korzystać ze wszystkich tradycji, które mieszczą się w szerokich ramach myślenia demokratycznego, z neofickim wigorem gotowi jesteśmy uznawać zasadniczą wspólnotę wielbicieli Dembowskiego, księcia Czartoryskiego, Jarosława Dąbrowskiego i Ludwika Krzywickiego, co samo w sobie nie jest złem naturalnie, co jednak absolutnie nie sprzyja wykształceniu ideologii. Przerażeni tym, czego udało się dokonać w ferworze toczonych przed 1956 rokiem walki ideologicznej, odżegnujemy się od ocen, o ile przypadek nie jest na tyle skrajny, że potępienie wydaje się niezbędne i bezpieczne. Sytuacja jest i będzie beznadziejna, bo, jak już mówiliśmy, z jednej strony całe niemal życie, z wyjątkiem obszarów najbardziej prywatnych, jest przeniknięte przez oceny polityczno-moralne, z drugiej zaś owe oceny mogą być formułowane tylko z jakichś eklektyczno-solidarystycznych pozycji. Toczone są gorączkowe poszukiwania takiej pozycji, z której można by formułować ideowe kwalifikacje wzniesione ponad poziom wszelkich antagonizmów, jakie mogłyby powstać w owym najszerzej rozumianym obozie demokratycznym. Pozycja zaś taka oczywiście nie istnieje i zająć jej nie można. Nie wynika z tego, że możliwa jest tylko ideowa walka na śmierć i życie.

dowymi (a czasem nawet się je cynicznie wykorzystuje), resentymenty trwają i będą trwały, dopóki nie zostanie wyjaśniony sens takich kategorii, jak „naród” i „nacjonalizm”, stosowanych we współczesnej Polsce. Na razie uważa się, że najlepiej jest z daleka obchodzić te niepewne sprawy, a w najlepszym razie zabawiać się w naukowe typologie i rozróżnienia w ogóle nie odnoszące się do rzeczywistości.

Równie typowa i wyświechtana jest postawa przeciwnej strony. Dla tych, którzy uważają wszelką lewicę za diabła wcielonego, każdy, kto napomyka choćby o nierówności społecznej, o solidarności klasowej i w ogóle podejmuje społeczną problematykę na szerszą skalę, jest już z góry zaprzeczany komunizmowi, bowiem odważył się kontynuować dawne socjalistyczne wzorce. Kto jest za klasami, ten jest przeciwko narodowi, bo ważna jest solidarność, a na ewentualne konflikty przyjdzie czas po odzyskaniu pełnej niepodległości. Po obu walczących (kiepsko zresztą) stronach obowiązuje przekonanie, że każdy najmniejszy choćby krok w przeciwną stronę równoważny jest ze zdradą.

Słowa i ucieczka od „rozumu”

Kto żyw powtarza do znudzenia pogląd, że w naszych czasach słowa się zużyły. Znaną obserwację (Chiaromonte, Klemperer, Orwell) ukazującą językową specyfikę faszyzmu, i w ogóle sposób posługiwania się słowami przez nowe ideologie, kiedy to raczej chodzi o zaciemnienie sensu niż klarowność, rozszerza się na język wszelkich ideologii. I tym razem ów brak zaufania jest zrozumiały, ale ponieważ słowami operować musimy, napotykamy poważne sprzeczności. Charakterystyczny przykład stanowi frazeologia romantyczna, która przecież była wykorzystywana w XX wieku przez najróżniejsze ciemne siły ideowe, i z tej racji uważa się ją często za skompromitowaną. Otóż jest to wyrazem niekonsekwencji, jeśli jednocześnie nie uważa się za skompromitowaną frazeologię pozytywistyczno-socjalistycznej. Można albo nadawać słowom nowe znaczenia i w ten sposób próbować odbudować ich zdolność do przekazywania myśli – a jest to zabieg prawie niemożliwy – albo nie zważając na zużycie się pewnych słów, posługiwać się nimi w sposób zgodny z duchem języka, dbając jedynie o to, by frazes nie zastępował logiki wywodu. Ta druga droga wydaje się może nie łatwiejsza, ale na pewno rozumniejsza.

Na łamach „Kultury”, a także w kraju od wielu lat toczą się dyskusje na temat potrzeby programu. Wyrażano już najróżniejsze na ten temat poglą-

sensie sztuka jest lub być powinna zaangażowana. Koncepcje te były zawsze częścią jakiejś filozofii lub choćby programu artystycznego. Dzisiaj wystarczy powiedzieć, dajmy na to, że sztuka nie powinna być zaangażowana w bezpośrednie spory ideologiczne, że zatem demonstracja i ilustracja poglądów ideowych nie jest jej naczelnym zadaniem, by obudziły się głosy równie rozgorączkowane, jak sprzeczne i bezkrytyczne. A to, że sztuka nie może uciekać od życia, a to, że nawet gdyby mogła, to nie potrafi, bo zawsze będzie spontanicznie opisywała rzeczywistość, a to wreszcie, że sztuka i filozofia to tylko różne języki służące do oświeclania pod rozmaitym kątem tych samych przedmiotów. I tak bez końca toczą się dyskusje, trwają seminaria, a ludzie bez cienia wstydu powtarzają w kółko te same pomysły i zupełnie nie wiadomo, dlaczego ktoś jest nagle akurat za sztuką zaangażowaną albo przeciwnie zajmuje stanowisko. A wszystko dlatego tylko, że nie zostały wciąż wyjaśnione podstawowe fakty, że nie wiadomo tak naprawdę, jak się ma postulat sztuki zaangażowanej stosowany w XIX wieku w celach narodowych do tego samego postulatu stosowanego w czasach socrealizmu. Zauważ, pojęcie to się zdewałowowało, ale wartość można mu przywrócić jedynie wyjaśniając treści, które kiedyś poza nim stały, a przede wszystkim te treści, jakie z całą jasnością, jak się wydaje, narzucone mu zostały w programie socrealistycznym. Dopóki nie zostanie to zbadane i jasno oraz stanowczo powiedziane, dopóty nie będzie końca owej beznadziejnej gadaninie i beznadziejnym spekulacjom.

Zwolnienie od odpowiedzialności jako skutek i cel zarazem ucieczki w „piękno” ma także bardziej dobitne konsekwencje dla życia ideowego. Ponieważ życie to w Polsce znowu z oczywistych przyczyn jest ogromnie nerwowe, ponieważ wobec braku rzeczywistych ideologii co pewien czas nieco na siłę wyszukuje się ich surogaty, ponieważ coś się komuś z czymś kojarzy, więc bywa, że esteci porzucają swoje schronienie i widząc przed sobą łatwy przedmiot pochwały lub nagany, biorą się za życie i moralność, a to ni stąd, ni zowąd zachwycą się poezją Henry'ego Millera, a to z równie zagadkowych przyczyn nakryczą na Sołżenicyna, że tak wprost porusza w sztuce sprawy polityczne. Nieodpowiedzialność ideowa doprowadza zatem z konieczności do nieodpowiedzialności w formułowaniu sądów artystycznych. Autentyczna linia własnego rozwoju jest nieustannie atakowana i narażona na zewnętrzne przypadkowe interwencje.

Ucieczka w „piękno” w latach stalinowskich była zabiegiem często niezbędnym, jedynym wyjściem z sytuacji. Zaś sztuka zaangażowana realizowała ściśle postulatory ideologii. Obecnie tę samą ucieczkę próbuje się opatrywać

Przeciwnie, możliwe i ze wszech miar pożądane jest porozumienie między różnymi konfliktowymi nawet ideologiami, porozumienie dotyczące pewnych pryncypiów, porozumienie, jakie przecież jest zawierane *explicite* lub milcząco w wielu zachodnich krajach, a dotyczy podstaw demokracji i elementarnych swobód jednostki. Jest to wszelako porozumienie między istniejącymi już ideologiami, a nie zaplanowany z góry solidaryzm i minimalizowanie odrębności w imię na pozór ideałów moralnych, a w istocie ze strachu przed posłużeniem się prywatnym rozumem.

Chociaż nie brak powodów do wątpienia w skuteczność tego prywatnego rozumu, wszystko, co twórcze i wartościowe jest przecież jego dziełem. Prawda, że również jego dziełem jest wszystko, co straszne i zgubne, ale nie mamy gdzie się schronić ani nie ma czym rozumu zastąpić. Jedyna droga to zbadać jego meandry, odpowiedzieć, dlaczego błędził, kiedy dał się uśpić, a kiedy i dlaczego sam sobie narzucił sen, aby dokonywać rzeczy na jawie niedopuszczalnych. Utrata zaufania do rozumu oznaczałaby koniec naszej kultury, a nie wydaje się, by dzisiaj zaufania tego nie dało się przywrócić. Przecież ekscesy rozumu, które obserwowaliśmy w XX wieku, były ekscesami rozumu usamodzielnionego, wyzwolonego z wszelkich więzów: społecznych, ekonomicznych, moralnych i religijnych, rozumu, który wziął rozbrat zarówno z tradycją, jak i z intuicją, z dobrym smakiem i z logiką. Doprawdy nie znaczy to, by rozum oszalał w ogóle, a tylko że potrafi wkroczyć na manowce, jeśli sam nad sobą utraci kontrolę i ten właśnie mechanizm utraty kontroli trzeba zbadać. A jest to mechanizm działania prywatnego, indywidualnego rozumu, a nie mechanizm zniewolenia. Jeśli był to sen, to nie hipnotyczny czy narkotyczny, ale dobrowolny i jakby świadomy.

Ucieczka od rozumu jest jednak wyjściem łatwiejszym niż usiłowanie przywrócenia mu zaufania. Ucieczka dokąd? Najczęściej w „piękno” albo w „dobro”.

Nieodpowiedzialność i esteci

Jeśli mówimy o ucieczce w „piękno,” to, rzecz jasna, nie mamy na myśli samego faktu uprawiania sztuki jako sztuki i tego, że obowiązkiem i racją bytu artysty jest przekazywanie swoich wrażeń, a nie ilustrowanie ani nawet podejmowanie zagadnień społecznych i ideologicznych. Nie artyści zresztą są tymi, którzy najczęściej ucieczki tej dokonują, chociaż często i chętnie korzystają z gotowych już wzorców, wzorców dostarczanych przez wszystkich, którzy krążą wokół sztuki. Estetyzm taki deklaratywnie ma ignorować

ideologicznymi interpretacjami, najczęściej są to interpretacje formułowane w duchu konserwatywnym. W zakresie gustów i smaku oraz rzetelnej znajomości warsztatu artystycznego postawa taka przynosi nadzwyczajne osiągnięcia. Rozszerzona jednak na całość problemów życia społecznego doprowadza do swoistego pesymizmu i zostaje zamknięta w błędnym kole katastrofizmu. Znowu nie jest to fenomen specyficznie polski, ale specyficzne w Polsce są niektóre jego przyczyny. W tej materii do podobnych zresztą konsekwencji prowadzą poglądy estetów-romantyków i ludzi hołdujących konserwatywnym gustom artystycznym. Jedni i drudzy przekonani są, że sztuka się skończyła, że tym bardziej skończyła się ideologia, że wprawdzie coś tam dalej dzieje się ze światem, ale nie ma powodu, ba, nie należy się tym interesować, bo to tylko drobne paskudztwa i przedśmiertne drgawki. Jeśli tak patrzy się na rzeczywistość, jeśli dowodzi się, że Zachód już utracił swoją energię życiową, a Wschód dysponuje jedynie siłą niszczącą, wówczas oczywiście każda diagnoza może być łatwo potwierdzona i katastrofista zacierza ręce, radując się, że wszystko ma się jak najgorzej. I z tego także punktu widzenia ideologiczny stalinizm nie musi być przedmiotem systematycznej analizy, a koncepcja zniewolenia znakomicie się godzi z owym pesymizmem. Nie jest to już po prostu ucieczka w „piękno”, ale ucieczka w „piękno” minione, często, powtórzmy, elegancka i ponętna, ale przez swój tradycyjizm uniemożliwiająca wyważony sąd o współczesności.

Moralisci i Makiawele

Nie wszystkim wystarczają i nie dla wszystkich są interesujące sposoby osądzania świata, ukształtowane na podstawie poglądów na dzieje i współczesną sytuację sztuki. Kiedy niemożliwe jest formułowanie zwartych poglądów ideologicznych, ich miejsce zajmuje moralistyka i taktyka. Nie mamy nic przeciwko jednej i drugiej, dostrzegamy wszakże poważne niebezpieczeństwo w przyznawaniu im przesadnego znaczenia i niewłaściwych funkcji.

Istnieje taki beznadziejny problem, który w Polsce jest nieustannie rozważany. Czy mianowicie słuszniej i korzystniej dla całego życia społecznego jest pieczołowicie dbać o zachowanie czystych rąk, czy raczej zgrabnie i skutecznie rozgrywać swoją partię w celu osiągnięcia pewnych praktycznych możliwości działania. Wiadomo, że żadnych ogólnych reguł ustalić się nie da, ale poszukiwania są bez przerwy prowadzone, zaś ich skutki żałosne. Kilka powodów składa się na taki stan rzeczy. Zaczniemy od powodu może nie najważniejszego i trochę wstydliwego, ale godnego uwagi.

problematykę ideologiczną, a w gruncie rzeczy jest także pewną namiastką postawy ideowej. Automatycznie nasuwają się analogie z myślą modernistyczną i nieprzypadkowo ekstrawagancje modernizmu znajdują dzisiaj tak wielu wielbicieli. Ale analogii tej nie należy posuwać zbyt daleko, dopóki nie zostanie szczegółowo zbadana. Dla naszych celów wystarcza, że taka ucieczka w „piękno” jest dla tych, którzy jej dokonują, równoznaczna ze zwolnieniem od wszelkiej odpowiedzialności intelektualnej. A na tym właśnie im zależy.

Dawniej (przed 1956 rokiem) sądzono, że wszelkie przedsięwzięcie artystyczne musi być podejmowane w sposób zaangażowany. Dziś chciałoby się, by o zaangażowaniu nawet mowy być nie mogło. Paniczny strach, który rządzi umysłami krytyków, drżących, że ktoś mógłby ich posądzić o poważny stosunek do rzeczywistości, powoduje, iż posługują się swoim umysłem jak reflektorem w środku wiecznej nocy, reflektorem wyławiającym to ten, to tamten fragment pejzażu; z pasją gotowi są opisywać i rozważać ten wycinek, o ile tylko nikt nie zażąda od nich relacji na temat całości obrazu. Wówczas dzielą się na dwie frakcje: esteci–sceptycy odpowiadają, że kto to wie, jak jest naprawdę, że trochę wstyd zadawać w towarzystwie tak poważne pytania, że przecież to wszystko jest jakaś rozrywka umysłowa i lepiej się za bardzo nie przejmować, bo wiadomo, co się stało nie tak dawno, kiedy to niektórzy przejęli się za bardzo. Natomiast esteci–romantycy oburzają się na płaskość stawianych im pytań, na tę niszczącą skłonność do dyskursywnego rozważania faktów artystycznych, na „zreifikowaną” logikę, która ignoruje takie zjawiska, jak bezpośredni ogląd intuicji, tylko bowiem ów błysk rozświecła mrok ludzkiego świata.

Obie postawy mają za sobą długą tradycję i nie zostały wymyślone na użytek naszych czasów, doszło tylko do zabawnego ich przeformułowania. Dawniej służyły obronie życia, dzisiaj pomagają od życia uciec. Dawniej stanowiły pewien sposób na ujawnienie zakrytych obszarów rzeczywistości, dzisiaj stanowią sposób na zakrycie widocznych gołym okiem terytoriów. Doprowadza to do takiego pomieszania pojęć, że pewnych rzeczy dzisiaj powiedzieć się właściwie nie da, to znaczy można je łatwo wytłumaczyć ludziom, których pogląd jest na daną sprawę i tak podobny – z czego więc uzyskujemy niewielki pożytek, albo trzeba najprostsze zdanie poprzedzić nie kończącymi się zastrzeżeniami i ograniczeniami, co wstyd czynić i co z bańką lub oczywistości robi traktat.

O przykłady nietrudno. Choćby problem sztuki zaangażowanej. Jak wiadomo, ludzkość zgłasza najrozmaitsze koncepcje na temat tego, w jakim

nie tyle ze względu na jej zalety moralne czy historyczne, ile dlatego właśnie, że prezentowała pewien dość ostro zarysowany pogląd. Powszechny aplauz dotyczył jednak nie tego poglądu, co do którego opowiadali się tylko nieliczni, ale takiej interpretacji, wedle której sama idea niepokorności jest ważniejsza od tego, w imię czego jest się niepokornym. Był to klasyczny przykład upupienia. Udało się potraktować tę książkę tak, żeby była do przyjęcia dla wszystkich dzisiejszych niepokornych. Nie znaczy to, że wszelka idea jedności opozycji jest w Polsce niesłuszna, ale, powtórzmy, punktem wyjścia do takiej jedności powinny być autentyczne różnice, zaś porozumienia zawierane na poziomie taktycznych celów, a nie moralistyk.

Wobec braku życia publicznego, a w każdym razie poważnego ograniczenia jego swobody, zrozumiałe jest, że muszą powstawać tego życia namiastki. W XIX wieku taki parlament duchowy składali trzej wieszczowie, a ich poglądy były zdecydowanie różne, a nawet rozbieżne. Dzisiaj parlament ten opanowali moralisci, którzy równie boją się formułować zbyt stanowczo swoje poglądy, jak chętnie we wszystkim dopatrują się wspólnoty myśli. Wtórują im Makiawele, dla których wszystko sprowadza się do taktyki, do tego, by dzięki zręcznym posunięciom utrzymać stan posiadania, a zapominają o tym, że ów stan posiadania zmniejsza się z dnia na dzień i taktyka jest po to, by przy jej pomocy realizować zasadnicze cele. Jedni i drudzy to w imię „świętości”, to kierowani podejrzliwością, najchętniej cele te ograniczają do kilku ogólników, unikając jakiegokolwiek konkretności.

W takiej sytuacji najprostsze odruchy serca stają się jakimiś konstrukcjami i niemożliwa jest neutralność duchowej i moralnej reakcji. Zwolennicy jakiejś akcji zbierania podpisów będą rozpatrywali ją w kategoriach moralnych, będą oceniali i rozważali, kto też się przyłączył, a kto nie, kto z nami, kto odważny, a kto tchórz, zaś jej przeciwnicy wysuną zastrzeżenia taktyczne, drobnopolityczne wątpliwości, będą się odwoływali do świadomości społecznej i rozróżniali, kto ma prawo co podpisać. Dla refleksji merytorycznej nie ma w tym wszystkim żadnego miejsca.

Zasada, że ważniejsze od tego, co się mówi, jest kto, kiedy i jak to mówi, stanowiła siłę ideologii stalinowskiej. Koncepcja zniewolenia także, chociaż z innego punktu widzenia, lekceważy treść wypowiedzi, i tak dalece przywykliśmy już do takiego okazjonalizmu, że nie dostrzegamy nawet, jak myśłą naszą rządzi przypadek. Bo przecież kryteria moralistyczne są także przypadkowe, są formułowane ze względu na daną okazję, o ile nie są wywodzone z filozoficzno-ideowych przeświadczeń. Ta ucieczka w „dobro” i w tym sensie jest podobna do ucieczki w „piękno”, że częściowo uwalnia

Większość spośród ludzi dziś aktywnych w polskiej kulturze w jakiś sposób była powiązana z ideologią stalinizmu i programem socrealizmu. Dopóki sami swojej minionej roli nie wyjaśniają, dopóty zawsze znajdzie się ktoś, kto ich patosowi moralnemu przeciwstawi ironicznie ich niejasną przeszłość. Dla merytorycznej oceny treści cudzych wypowiedzi nie ma, w każdym razie nie powinno mieć znaczenia, co dany osobnik myślał lub robił przed dwudziestu kilku laty, nie ma to także znaczenia dla oceny jego życia prywatnego, ale każdy, kto chce być Katonem, musi liczyć się z tym, że własna przeszłość zostanie mu wypomniana, powinien więc ewentualne wątpliwości sam wyprzedzić albo wstrzymać się od ferowania moralnych wyroków. Pierwsze jest niemożliwe z ogólnych względów, o których wielokrotnie była już mowa, drugie także z tych względów, tyle że jako ich skutek pośredni. Nie można się wytłumaczyć z przeszłości ani nawet jej opisać, dopóki obowiązuje koncepcja zniewolenia, wobec tego nie udaje się sformułować poglądów ideologicznych (filozoficznych nawet), a w tej sytuacji rolę ideologii pełni moralistyka i nie sposób powstrzymać się od ocen jakby moralnych, które stanowią jedyną formę opisu rzeczywistości.

Posługiwanie się kategorią „ideowości” i całym związanym z nią zespołem skojarzeń to druga przyczyna owego rozkwitu moralistyki. Czasy dzisiejsze, czasy ideowej pustki, przeciwstawia się dziecięcej prostocie ducha osiągalnej w epoce stalinizmu. Tęsknocie za uporządkowaniem świata, odwiecznej ludzkiej tęsknocie, towarzyszy wówczas niemal dosłownie przejęte z ideologii rewolucyjnych upodobanie do postaw heroicznych, bezkompromisowych, jednoznacznych. Oczywista jest oczyszczająca wartość takich wyobrażeń, ale równie oczywisty jest ich infantyizm. A równocześnie odpowiednio silne jest poszukiwanie okazji do wykrzyknienia, że król jest nagi. Ci sami ludzie gotowi są idealizować najbardziej dwuznaczne postacie z rewolucyjnej tradycji i zarazem podejrzliwie lub z eleganckim cynizmem podawać w wątpliwość moralną czystość innego herosa. Poświęcić życie dla utopii – oto cel, który zawsze spotka się z aprobatą. Stąd powtarzane są słowa Simone Weil o tym, że sprawiedliwość jest zawsze po stronie zwyciężonych, stąd przypominane są wciąż XVIII- i XIX-wieczne pomysły umoralniania stosunków międzynarodowych, a jednocześnie z lubością przytaczane są przykłady odwiecznej korupcji panującej wśród polityków, łatwości, z jaką zmienili zdanie i przypadkowości ich najbardziej poważnych decyzji.

Działanie obu tych czynników doprowadza w sumie do zdziecinnienia życia umysłowego. Przykładem mogą być losy odbioru książki Bohdana Cywińskiego *Rodowody niepokornych*, książki niezmiernie wartościowej, ale

nych więźniów przed 1956 rokiem, uważają, że się przesadza. Nikt nigdy im żadnej prawdy o tamtych czasach nie przekazał, ale oni swoje postawy przekazują ludziom młodym, którzy znowu z identycznym lewicowym zapalem zabierają się do pracy. W samej rzeczy nie ma nic złego, ale złem jest, że ludzie ci zachowują się jak pijane dzieci we mgle.

Równie tajemnicza jest po dziś dzień ewolucja polityczna wszystkich trzech stanowisk politycznych, jakie przetrwały wojnę. Dlaczego niektórzy spośród socjalistów tak łatwo włączyli się w szeregi stalinowców, dlaczego niektórzy endecy pogodzili się z socjalizmem i stworzyli PAX, dlaczego ruch ludowy tak łatwo się rozpadł po ucieczce Mikołajczyka? Nie chodzi nam o wyjaśnienie podstawowych faktów (choć o to także), ale przede wszystkim o wyjaśnienie przyczyn tak łatwej akceptacji ideologii oficjalnej lub kapitulacji wobec niej, skoro wszystkie te trzy stanowiska ideologiczne były zasadniczo z nią nie do pogodzenia. Jakże można być dzisiaj socjalistą, jeśli się nie wie, jak to się stało, że socjalizm (czy pewien nurt w obrębie polskiej myśli socjalistycznej), głoszony przez rozumnych przecież i przyzwoitych ludzi, potrafił zaakceptować wszystkie podstawowe a straszne zasady sowieckiego komunizmu? A toczą się spory o socjalizm, w których problem ten nawet nie jest poruszany.

Podobnie na gruncie programów estetycznych i krytyki literackiej przedstawia się sprawa realizmu. Słowem tym wszyscy nieustannie obracają jak gdyby nigdy nic. Jest to sytuacja podobna do tej wcześniej opisywanej gmatwaniny z pojęciem „narodu”. Jednakże kompromitacja endeckiego nadużycia odbyła się już na tyle dawno i jeszcze w czasach wolności, że powierchownie w każdym razie wiemy, co o tym sądzić, a i tak wiele mamy kłopotów wskutek jednostronności podejścia i braku rzetelnych opracowań historycznych. Cóż więc powiedzieć o tym realizmie, który przez równie podejrzane przeszedł koleje? Możemy próbować określić sensowne i przesadne użycie słowa „naród” i całej związanej z nim aury skojarzeniowej. Zanim podobny zabieg będziemy mogli przeprowadzić z takimi słowami, jak właśnie realizm, musimy zbadać całą epokę, o której wewnętrznym życiu i faktycznych motywacjach tworzących ją ludzi nie wiemy prawie nic.

Wnioski

Koncepcja zniewolenia jest więc nie tylko, w naszym przekonaniu, fałszywa, ale i szkodliwa. Kiedy Miłosz ją formułował, odkrywała pewien aspekt całego fenomenu i pozwalała łatwiej zrozumieć, co się stało. Łatwiej

rozum od odpowiedzialności. Każdy grzech może zostać wymazany, jeśli tylko uwidoczniła się intencja poprawy, a ponieważ nie jest to sytuacja księdza i spowiadającego się, bo nie ma żadnej nadprzyrodzonej instancji, więc rozliczenie przebiega również w sposób przypadkowy.

Duch ludzki rozmaite przechodził koleje i czasy totalitaryzmu wprowadzie na pewno nie miały sobie równych w dziejach, ale doświadczenie to można spożytkować i tak, by działało ożywiająco, a nie paraliżująco. Natomiast dopóki się tego nie uczyni, dopóty będą trwały czasy posttotalitarne, w których groźba nowych totalitaryzmów będzie wciąż żywa. Przecież esteci i moralisci nie zdołają długo utrzymać swojego panowania nad opinią intelektualistów. Nadchodzą pokolenia, które jako w żadnym sensie osobiście nie uwikłane, będą chciały wyrazić swój stosunek do świata. Na czym będą mogły się oprzeć? Nie na naszych poglądach, bo ich nie ma. Nie na moralistyce, bo to grubo za mało. Nie na estetyczno-sceptycznym stanowisku, bo jest wyzute z jakiegokolwiek pozytywności. Z oburzeniem i wzdumą odrzuca nasz rygorystyczny moralny, okazjonalizm ocen i letniość poglądów. A co proponują? Zapewne znowu radykalną zmianę wszystkich pojęć i nasze zaczynanie od nowa stanie się dla nich zaczynaniem przeciwko temu, co dawne, sięgną po idee proste, ale brutalne i będą mówili o sztuce zaangażowanej, o walce i nienawiści. Tego dzisiaj na pewno nie pragniemy, ale z obecnego punktu widzenia jest to jedyna ewentualność.

Znamy świetnie pewne klasyczne nieporozumienia w dziejach powojennej Polski. Ale oto mimo tej rzekomej wiedzy sami identyczne problemy obracamy na wszystkie strony w nie kończących się swarach. Nie co do wszystkiego można uzyskać pełną jasność i jednoznaczność poglądów, ale na pewno w niektórych przypadkach taka jasność jest możliwa, a w innych w każdym razie można określić przedmiot dyskusji. Przytoczmy kilka przykładów.

Bezpośrednio po wojnie znaczna część inteligencji (zwłaszcza inteligencji technicznej) ze zrozumiałą energią przystąpiła do prac nad odbudowaniem kraju ze zniszczeń. Wielu spośród nich przed wojną również ze zrozumiałych względów skłaniało się ku stanowisku umiarkowanego lewicowemu. Kiedy jednak znaleźli się w szeregach budowniczych komunistycznej Polski, ich lewicowość bynajmniej nie osłabła. Podstawowe reformy wydawały się słuszne, a rozmaite nonsensy przejściowe. I do dzisiaj nie nastąpiła żadna istotna zmiana w ich poglądach, jeśli są rozczarowani, to co do objawów, ale nie istoty socjalistycznego państwa aktualnego typu. Dla nich ideologia stalinizmu i socrealizm były czymś odległym, kiedy wymienia się liczbę politycz-

dzące uprzywilejowanej intelektualnej pozycji, w jakiej znajdują się Polacy. Miałaby ona być uprzywilejowana z dwóch względów. Raz, Polska jako położona między Rosją a Europą, między Wschodem a Zachodem, dysponuje szczególnym doświadczeniem historycznym, z którego świat mógłby wiele skorzystać. Dwa, specyficzna polska tradycja katolicka i dzieje pomagające w zachowaniu pełnej czystości moralnej narodu (?) miałyby umożliwić nam przekazanie Europie czy raczej przypomnienie jej o wartościach, o których skłonna jest zapominać. Obie te ewentualności, być może prawdopodobne, nie mogą zostać zrealizowane, dopóki zrozumienie powiązań z Rosją będzie ograniczone do historii XIX wieku, a czystość moralna Polski mocno nadwątłona niedawną historią. Jeśli się błędziło, jeśli się grzeszyło, to nie ma innego sposobu na odzyskanie czci i cnoty, jak przez wyznanie prawdy. A moralistyka prawdy nie zastąpi.

Powtórzmy raz jeszcze: koncepcja zniewolenia jako występująca do dzisiaj interpretacja akcesu intelektualistów i artystów do stalinizmu (używamy tego pojęcia w jego najszerszym znaczeniu) jest niewystarczająca. Nie toczy my na tym miejscu sporów o interpretacje, ale wysuwamy przeciwko tej koncepcji zarzut zaciemniania prawdy. Zaś konsekwencje tego są następujące: brak życia duchowego, dwudzielna wizja świata, w której racje ideowe zastąpione zostały moralnymi, zdziecinienie życia umysłowego, utrata wszelkich proporcji oraz poczucia ważności poszczególnych zagadnień, ucieczka w „piękno” oraz ucieczka w „dobro” od odpowiedzialności intelektualnej, wtórne idealizacje i ponowne przewartościowanie. Można nie chcieć czy nie potrafić wyciągnąć nauczki z błędów przeszłości, ale trzeba choćby spróbować dowiedzieć się, na czym polegały. Bez tego opcje polityczne, moralne i artystyczne dokonywane w pustce filozoficznej i ideologicznej będą przypadkowe, a więc bez kontynuacji i bez historycznego znaczenia.

Jerzy Klewiński
[Marcin Król]

było bowiem uznać, że przemożna siła objęła panowanie nad umysłami tysięcy intelektualistów i artystów na całym świecie, niż że oni sami dobrowolnie głosili i realizowali tak zdumiewające cele ideologiczne. Dzisiaj nie możemy poprzestawać na empatii. Jeśli zaś chcemy przywrócić godność i przydatność społeczną profesjom intelektualnym, musimy zastanowić się także nad tym, co lepsze. Czy lepiej jest trwać w przekonaniu, że z rozumem ludzkim rozmaite siły nieracjonalne mogą wszystko uczynić, że zatem nie można intelektualistów obdarzać zaufaniem, ponieważ nie panują sami nad narzędziami, przy pomocy których wykonują swoje zadania? Czy może słuszniej byłoby przypuścić na razie, choćby przypuścić, że ideologie totalitarne i odpowiednie praktyki artystyczne były dziełem ludzi rozumnych i jakoś świadomych, którzy pobłądzili, którzy sami uśpili swoje zdolności krytyczne? Rozwijając tę hipotezę, można rozważać przyczyny tych błędów, można poszukiwać sposobów na zabezpieczenie się przed kolejnymi „złudzeniami”. Można ich poszukiwać w rozumie kontrolowanym czy to przez tradycję, czy to przez świadomość społeczną, czy to przez religię, czy to wreszcie przez intuicję i zmysł harmonii. Możliwości są najrozmaitsze, ale ujawniają się one dopiero wtedy, gdy przyjmiemy ową wyjściową hipotezę. W przeciwnym wypadku jesteśmy dalej bezbronni, a nasze wysiłki będą zupełnie bezplodne.

Po drugie, kultura nie może być tworzona od nowa ani nie można w niej niczego puścić w niepamięć. Od kilkunastu lat w Polsce w rozmaitych kręgach intelektualnych próbuje się przerzucić most ponad dziurą lat stalinizmu i wszystkie te zabiegi okazują się w końcu nieudane. Sztucznie wydłużane korzenie, które na swojej drodze nie napotykają żadnych życiodajnych soków, albo wysychają, albo wegetują tylko dzięki nieustannemu podlewaniu. Powoływanie się na tradycję XIX-wiecznego pozytywizmu, socjalizmu czy konserwatyzmu wprawdzie korzystnie rozszerza naszą wiedzę o przeszłości, ale w gruncie rzeczy jest tylko grą pozorów. We wszystkich bowiem tych ideologiach nie mamy do czynienia z podstawowym problemem naszych czasów, z problemem nowego świata ideologii, świata totalitarnego. Ta nowa jakość świata nie może być pominięta, jeśli chcemy, by nasze diagnozy i oceny odnosiły się jakoś do rzeczywistości. A przecież oddziaływanie tej nowej jakości świata przeżyliśmy wszyscy mniej lub bardziej bezpośrednio na własnej skórze. Od siebie więc musimy zacząć i paraliż umysłowy będzie trwał, będzie się pogłębiał, dopóki ta praca nie zostanie porządnie i systematycznie wykonana.

Wszelako, jak się wydaje, obecnie nikomu na tym nie zależy. Co pewien czas pojawiają się z uśmiechem przez innych przyjmowane głosy, dowo-

Spis treści

Między legendą a historią	5
Rozdział I. Polska z bliska i z daleka	
Wstęp	21
JÓZEF ŁOBODOWSKI	
Sytuacja w kraju poprzez korespondencję	29
WITOLD KOSTRZYŃSKI	
Rozmowa z „pozytywistą” krajowym	41
LONDYŃCZYK	
Na trasie Wschód–Zachód, czyli nasi za granicą	55
JANUSZ MATIASIAK	
Newroza na Śląsku	57
BENEDYKT HEYDENKORN	
Refleksje i obserwacje	65
EWA KARPIŃSKA	
Zieloność i pajęczyna	79
GASTON DE CERIZAY	
Klasa najbardziej niezadowolona	103
GEORGE J. FLEMMING	
Z polskiej rzeczywistości	109
BOGDAN ADAMSKI	
Z pamiętnika architekta powiatowego	121
PELIKAN	
Koniec Małej Stabilizacji	129
MIECZYSLAW LURCZYŃSKI	
Notatnik z podróży po Polsce	149

JANUARY GRZĘDZIŃSKI	
Konserwatyzm i kłamstwo	357
ALEKSANDER ZABRZEŃSKI	
Technika a polityka	367
WOJCIECH RYSAK	
Inteligencja polska: rzeczywistość czy mit	375
JULIUSZ MIEROSZEWSKI	
Kordian i Cham	385
KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI	
Naród jak lawa. Pamflet na Spuchłokarkich	397
LESZEK KOŁAKOWSKI	
O nas samych	409
JERZY KLEWIŃSKI	
Kiedy rozum śpi – budzą się potwory	421

LUCJAN PERZANOWSKI	
List do M. Lurczyńskiego	165
BOLESŁAW SULIK	
Robotnicy	169
SALLY BOSS	
Jankeska na dworze króla Gierka	185

Rozdział II. Oceny i prognozy

Wstęp	193
JÓZEF CZAPSKI	
Katyń i odwilż	203
ZDZISŁAW BRONCEL	
Polska „rewolucja październikowa”	209
ZBIGNIEW JORDAN	
Odwrót od Października	221
JULIUSZ MIEROSZEWSKI	
„Rewizjoniści”, których popiera Moskwa	243
GASTON DE CEREZAY	
Polska Gomułki i „List 34”	251
JAN MATIS	
Dżuma	265
JULIUSZ MIEROSZEWSKI	
Refleksje grudniowe	269
Polityczna opozycja w Polsce	277
ZDZISŁAW MADZIARSKI	
Konstytucja i totalizm	297

Rozdział III. Inteligent w Polsce Ludowej

Wstęp	305
JÓZEF CZAPSKI	
„Spowiedź dziecięcia wieku”	317
LONDYŃCZYK	
„Nasza ojczyzna – parafiańszczyzna...”	329
BOGDAN ZAPOROWSKI	
Młoda inteligencja Polski i jej stosunek do Zachodu	335

